

A GDYBY WSZYSTKIE OWADY ŚWIATA  
NAGLE ZACZEŁY SIĘ POROZUMIEWAĆ MIĘDZY SOBĄ?

# MAXIME CHATTAM



In(Sekt)a



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

# MAXIME CHATTAM

## In(Sekt)a

Z języka francuskiego przełożyła  
Joanna Kluza



*Un(e) secte*

© Editions Albin Michel – Paris 2019

Copyright © 2021 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2021 for the Polish translation by Joanna Kluza

(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan

Korekta: Edyta Malinowska-Klimiuk, Marta Chmarzyńska

ISBN: 978-83-8230-244-8

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

[www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga)

# Spis treści

Prolog

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.

13.

14.

15.

16.

17.

18.

19.

20.

21.

22.

23.

24.

25.

- 26.
- 27.
- 28.
- 29.
- 30.
- 31.
- 32.
- 33.
- 34.
- 35.
- 36.
- 37.
- 38.
- 39.
- 40.
- 41.
- 42.
- 43.
- 44.
- 45.
- 46.
- 47.
- 48.
- 49.
- 50.
- 51.
- 52.
- 53.
- 54.
- 55.

56.

57.

58.

59.

60.

61.

62.

63.

64.

65.

66.

67.

68.

69.

Podziękowania

Przypisy

Piszę i czytam przy muzyce. Oto kilka utworów, które gorąco Wam polecam podczas lektury:

- *Mindhunter* Jasona Hilla,
- *Siedem* Howarda Shore'a,
- *Wróg publiczny numer jeden*, cz. 2, Marca Beltramiego i Marcusa Trumppa,
- *Pozostawieni* Maxa Richtera.

*Mojemu klanowi, rodzinie, przyjaciołom.  
Jestem pisarzem, który może się zaszyć w spokoju,  
by tworzyć, wyłącznie dlatego, że żyje w przyjaznym otoczeniu.  
Jesteście moją galaktyką.*



*...człowiekowi to jego „najgorsze” niezbędnym jest do najlepszego.*

Friedrich Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra*<sup>1</sup>

# Prolog

Fotel na biegunach skrzypiał przy każdym bujnięciu, wprawiając w drżenie chybota tarasową deskę, która ugiwała się, jęcząc, z regularnością metronomu. Janie Fulher bezwiednie odpychała się lekko, nawyku tego nabrała w ciągu kilkadziesiąt lat. Zawsze siadywała w tym samym miejscu, w południowo-wschodnim narożniku, by mieć swobodny widok na ogród warzywny i strumyczek, punkty spotkań całej fauny, którą lubiła zaskakiwać, podnosząc wzrok znad książki. Janie lubiła bowiem czytać. Wykraczając poza rozsądek, jak czasem stwierdzała. Od ponad czterdziestu pięciu lat, kiedy zamieszkiwała to stare drewniane domostwo, nigdy nie rezygnowała ze swego popołudniowego rytuału. Dobra książka w cieniu markizy. Z kocem na kolanach w porze przejściowej albo – pozbawiona możliwości wyboru – z wykuszowym oknem tuż za plecami zimą. Połykała książki tak samo, jak inni wychylają duszkiem kufle w gospodzie, spijając atrament, który układał się w jej mózgu w kalejdoskop opowieści, a gdy jej źrenice unosiły się gwałtownie na jakiś podejrzany trzask przy brzegu strumyka, na krótką chwilę nakładały jej się na siebie dwa krajobrazy, ten z powieści i ten z ogrodu, przy czym sama nie wiedziała, który z nich jest rzeczywisty.

Janie urodziła się w Carson Mills, w Kansas, i prawdopodobnie umrze tam, nigdy nie przekroczywszy granicy stanu. Już samo opuszczenie hrabstwa stanowiło ewenement. Lektura rzucała jej do stóp świat, chociaż sama nie musiała nawet kiwnąć palcem. Mąż Janie, Bernie, twierdził, że właśnie stąd wzięła się jej mania bujania się: dzięki temu miała złudzenie, że naprawdę się przemieszcza.

– Twoje bieguny to krzywizna Ziemi, kochanie, a w swoim życiu okrążyłaś naszą planetę więcej razy niż sputnik!

Nie wiedziała, czy to prawda, ale z chwilą, gdy trafiała jej się dobra książka do pochłonięcia, miała to w nosie.

Tak głównie spędzała czas. Rachunkami zajmował się Bernie. Dom został spłacony, kiedy każde z nich dostało spadek po rodzicach. Jednym słowem Janie wiodła takie życie, o jakim marzyła. Odfajkować obowiązki, a potem czytać. Biblioteka w Carson Mills zdążyła już złożyć broń wobec tej nienasyconej pożeraczki książek, toteż Janie udała się do mekki kompulsywnych czytelników, czyli internetu. Kupowała hurtem całe pakiety. Tak było taniej, szybciej i zmuszało ją to do zainteresowania się powieściami, po które nigdy nie ośmieliłaby się sięgnąć, gdyby nie wysypały się z kartonu. Kiedy już znalazły się pod jej dachem, nie miała wyjścia, jak prędzej czy później zrobić z nich użytek.

Odsprzedawanie ich było kłopotliwe. Nie mogła go uniknąć, jeśli chciała spróbować zbilansować wydatki, przede wszystkim jednak z powodu braku miejsca. Regały zajmowały już całe ściany domu i choć Bernie okazał wyrozumiałość, ani razu nie ustąpił, gdy jego żona robiła zakusy na piwnicę, w której mieścił się jego warsztat, ostatni bastion, nieskolonizowany dotąd przez wielobarwne grzbiety.

Tego marcowego poranka panował chłód, płynący wzdłuż ogrodu strumyczek spowijała aureola mgły. Jak w każdą niedzielę, Janie nie wykonywała żadnych prac domowych, odpoczywała. Zwykle nakazywała sobie pozostanie z Berniem, siadywali w salonie, z telewizorem grającym w tle, rozmawiali o błahostkach, komentowali miejscowe plotki albo ustalali, co jest do zrobienia w ogrodzie lub w domu. Nie było to specjalnie pasjonujące, narzucali sobie jednak te wspólnie spędzone chwile, by nie stracić się z oczu. Po czterdziestu latach życia razem jakże łatwo przestać dostrzegać obecność, która od tak dawna stanowi część krajobrazu, dlatego zachowywali czujność. Niektóre małżeństwa w końcu w ogóle się do siebie nie odzywają. Co do Janie, to była przekonana, że gdyby u Berniego uległ zmianie choćby jeden kosmyk włosów, natychmiast by to dostrzegła.

Lecz tamtego poranka, kiedy popijała kawę, Bernie chwycił ją za rękę i oznajmił, iż zdaje sobie sprawę, że jest całkowicie pochłonięta lekturą, więc nie będzie jej przerywać. Sam ma sporo do zrobienia w ogrodzie, zanim krety zdążą wszystko splądrować, tym bardziej że wkrótce zaczną się pierwsze siewy. Drobne odstępstwo od rytuału im nie zaszkodzi, o ile nie będą go powtarzać częściej.

Jej mężczyzna potrafił ją uszczęśliwić.

Janie bujała się więc bezwiednie, trzymając w dłoniach leżącą na kolanach książkę, a marcowe rześkie i wilgotne powietrze dodawało jej energii.

Nigdy nie przepadała za opowieściami grozy, nie dawała rady przebrnąć przez rozmaite historie Stephena Kinga i jemu podobnych. Po co płacić za to, żeby się trząść ze strachu, skoro świat już i tak jest pełen okropności? Wystarczy otworzyć gazetę albo włączyć telewizor, by się o tym przekonać. W dodatku lęk nie należał do emocji, z którymi żyła za pan brat. Poddać się przerażeniu, utonąć w nim, stracić kontrolę... Jaki jest sens ulegać emocjom, które budzą w niej wstręt?

Dotarła jednak do końca ostatniego kartonu, na którego dnie pozostało tylko to. Książka wywołująca trwogę. Niczym ćpunka na głodzie przyrzekła sobie, że zdobędzie kolejną partię, tymczasem z braku czegoś lepszego, pokonawszy odrazę, przystąpiła do lektury. Wbrew wszelkim oczekiwaniom odnalazła w niej przyjemność. Z kart nie wylewał się zwierzęcy strach, który zamienia nogi w galaretę, nie, za sprawą owej zbieraniny zabawnych pytań przyprawiających o drżenie udała się w podróż do własnych granic – przy nieustannym poczuciu bezpieczeństwa, jakie zapewniało jej

przeświadczenie, że to tylko książka. W każdej chwili mogła przystopować, by zmniejszyć napięcie, a nawet przerwać. Bawiła się w straszenie, a to wszystko zmieniało. Jak to się stało, że po tylu pochłoniętych tytułach dopiero teraz odkryła tę przyjemność?

Książka opowiadała o dziecku, które zgubiło się w lesie, w czasie wielogodzinnej wędrówki zaś wszystkie jego napawające lękiem fantazje nabierały życia. Janie dotarła właśnie do fragmentu o wyczerpaniu, kiedy to malec osunął się w końcu na pagórek mchu u stóp dębu i zasnął. Rozpoczęła się inwazja coraz to nowych owadów, które wspinały się po jego nogach, pod koszulką, Janie czuła je niemal tak wyraźnie, że aż miała ochotę się podrapać. To niesamowite, jak ogromny wpływ wywiera na mózg lektura. Wystarczy przeczytać, że jakiś robał na nas skacze, a już musimy potrzebować łydkę albo kark, przekonani, że błąka się tam jakieś okropne stworzenie.

W oddali Bernie przekopywał grządki i ścigał ryjące zwierzęta. Wokół świergotała niemrawo chmara ptaków, jeszcze onieśmielonych utrzymującymi się w powietrzu resztkami zimy.

Pochłonięta opowieścią Janie nie zwróciła uwagi na długiego parecznika, który wędrował po otaczającej taras balustradzie. Był imponujący, zupełnie jakby wyszedł z kart czytanej przez nią powieści, długi na jakieś trzydzieści centymetrów, jego pierścienie kołysały się przy każdym ruchu licznych odnóży, czepiając się drewna i ani razu się nie ześlizgując, drżące czułki badały teren. Posuwał się zupełnie bezszelestnie, chitynowa spirala wspinająca się błyskawicznie, pewna drogi, jaką ma pokonać.

Od wody nadciągnęła lodowata bryza, Janie otuliła się więc szczelniej kocem. Brakowało jej tylko gorącej kawy, ale dopiero co opróżniła całą filiżankę, a lekarz kazał jej się ograniczać ze względu na ciśnienie. Wobec tego skupiła się na kartach powieści. Chłopiec rzucał się we śnie. Nawiedzały go silne koszmary.

Parecznik dotarł do poręczy i sunął po niej niczym połyskujący brunatnymi refleksami hebanowy wąż. Zdawał się wilgotny, jakby wydzielał jakąś naturalną ciecz, nasmarowany, by wnikać w najmniejszą dziurę.

Po przeciwnej stronie, za plecami Janie jakieś małe czarne stworzenie rozprostowało długie cienkie odnóża, dźwigające jego mięsisty okrągły odwłok upstrzony czerwonymi plamkami. W jego maleńkich oczach odbijały się jedynie czeluści najbardziej prymitywnego instynktu przetrwania: jeść.

Pająk precyzyjnie przeszedł przez szparę w drewnianej markizie i puścił biegiem w przeciwnym kierunku, jego obecność zdradzał olbrzymi odwłok przypominający kulę. Wyglądał, jakby go zrobiono z napiętego do granic lateksu i umieszczono na twardej strukturze. Ruchliwy, przenikał wszędzie, pędząc nad tarasem.

Siedząca tuż pod nim Janie zadrżała, kiedy chłopca niemal wyrwały ze snu rojące się na jego skórze owady. Miała wrażenie, że ją też dosięgną. Do licha ciężkiego, jakże nie podobał jej się ten fragment! Chociaż jednocześnie musiała przyznać, że jest mocny. To było niemal pocieszne.

Parecznik zbliżał się do kobiety, dzięki fantastycznej maszynerii posuwał się do przodu z wystawionymi czułkami.

Z tyłu pająk zaczął się kręcić w kółko, polując na coś. Choć był wiele mniejszy od skolopendry, budził znacznie silniejszą odrazę. Parecznik wywoływał wstręt, pająk niósł śmierć. Wyglądało na to, że każde z nich jest w stanie zyskać przewagę, kiedy zaś się do siebie zbliżały, jedno po poręczy, drugie po suficie, rezultat starcia wcale nie wydawał się oczywisty.

Janie przyspieszyła lekturę, czuła się niepewnie wśród opisów insektów, zwłaszcza gdy znajdowały się na delikatnym ciele dziecka. Wszystkie te paskudztwa wędrujące po skórze chłopca w poszukiwaniu miękkich części i otworów, w które mogłyby wnikać, gotowe przegryźć, wessać, przekłuć, rozpuścić, a potem połknąć – Janie nie cierpiała precyzji szczegółów.

Parecznik uniósł się na telsonie, macając czułkami powietrze, niczym tłusta glista. Przysunął się do skraju poręczy, zawisł w próżni, poruszając odnóżami, tuż obok ramienia Janie, która go nie zauważyła.

W górze pająk spuszczał się po nici.

Prosto ku siwej czuprynie starszej pani, która bujała się rytmicznie w swym fotelu.

Janie podrapała się po ramieniu dokładnie w chwili, gdy po ręce chłopca wspiął się karaluch, powędrował po meszku, śmignął po szyi i przemierzał podbródek, chcąc dotknąć rozchylonych warg.

Nagle wydało jej się, że coś drepcze jej powoli po plecach. Przerwała bujanie, aby się podrapać o oparcie fotela. Już po wszystkim. Przeszło.

Pająk zastygł nieruchomo na końcu niewidzialnej nici, parę centymetrów nad włosami Janie. Wyciągnął przednie odnóża, by wymacać teren.

Janie już miała powrócić do bujania.

Stawonóg opuścił się na dół.

Zatopiona w lekturze Janie nie zwróciła na to uwagi.

Pająk czym prędzej jął się ostrożnie poruszać po tym nowym i potencjalnie wrogim terenie. Przemieszczał się, nie dotykając owłosionej skóry, zachowując równowagę na cienkich odnóżach.

Tymczasem skolopendra rozciągała się nadal, wyginając swe pierścienie w łuk.

Musnęła czułkami koc i natychmiast ściągnęła szczękonoża zaopatrzone w gruczoły jadowe.

Po czym nastąpiło połączenie, parecznik zdołał się wczepić w wełnę i się podciągnąć, co pozwoliło mu się wśliznąć na Janie.

Pogrążona w lekturze i przekonana, że wszystko, co się z nią dzieje, to tylko owoc wyobraźni, starsza pani nie zareagowała.

Pająk wsunął się pod włosy, tuż przy uchu.

Skolopendra wpełzła powoli pod koc.

Oboje prędzej czy później mieli się spotkać.

Janie dotarła do końca rozdziału, kiedy to chłopca obudził karaluch, który usiłował się precyzyjnie pomiędzy jego zębami i wgramolić do ust. Wzbudziło to w niej wstręt, toteż miała ochotę splunąć, zachęcając chłopca, by zrobił to samo.

Poczuła łaskotanie z prawej strony. To pewnie nic takiego, po prostu fałda ubrania.

Następnie coś drapnęło ją lekko w bok głowy, lecz zignorowała to, albowiem przy długich włosach przywykła do tego rodzaju doznań.

Pająk i skolopendra zbliżały się do siebie.

Jedno wisiało na kosmyku, tuż przed otworem ucha, drugie maszerowało pod kocem na wysokości piersi, sunąc prosto ku szyi.

Janie odłożyła powieść na kolana. Ależ to było stresujące! Korciło ją, żeby podrapać się po całym ciele i potrząsnąć chłopcem – niech wstanie i postrąca wszystkie te robale ze skóry!

Czułki parecznika połaskotały ją po podbródku i Janie odruchowo przejechała ręką, lecz nic nie wyczuła.

Pająk delikatnie postawił odnóża na płatku ucha. Jego ogromny odwłok nigdy nie zdołałby się zmieścić w przewodzie słuchowym. Wymacał teren nogogłaszczkami.

Janie instynktownie potrząsnęła głową.

– Cholerna książka! – burknęła. – Teraz mam wrażenie, że łożą po mnie robaki!

Skolopendra wyprostowała się, by dosięgnąć dolnej części twarzy kobiety.

Tym razem Janie zobaczyła insekta na sobie.

Chciała się podnieść, ale fotel bujnął się w tył, uniemożliwiając jej wstanie, szarpnęła więc koc, by zrzucić go na ziemię.

Parecznik tkwił nieruchomo pod spodem.

W tej samej chwili coś wpełzło jej do ucha. Zdjęta paniką Janie zdołała się poderwać.

Kiedy jej palce dotknęły miękkiego ciała, które próbowało przeniknąć do jej bębienka, dotarło do niej, że słyszy drapanie torującego sobie drogę pająka. Zupełnie jakby tańczył wewnątrz jej głowy. Brzęczenie narastało pod jej czaszką, doprowadzając ją do szaleństwa.

Zdyszana Janie otworzyła szeroko usta, by głęboko zaczerpnąć powietrza, tym samym robiąc przejście skolopendrze, która rozczapierzyła szczękonoża zaopatrzone w gruczoły jadowe.

Dalej, w ogrodzie, Berniemu udało się wreszcie namierzyć tunele kretów i właśnie się szykował, by wpuścić do nich dym, kiedy aż podskoczył, słysząc wrzask żony.

Nigdy dotąd tak nie krzyczała, od razu więc wiedział, że to coś poważnego.

Gdy dobiegł na miejsce, nie dostrzegł ani skolopendry, ani pająka, jedynie rozciągniętą na tarasie Janie, której ciałem wstrząsały drgawki.

# 1.

Długie grube palce kończyły przeczesywanie popielatej grzywy, nadając jej pozornie niesforny wygląd. Kilka starannie ułożonych kosmyków. Pogładził z roztargnieniem srebrzysty zarost, kiełkujący z zapadniętych policzków, i cofnął się, by ocenić w lustrze rezultat.

Zawahał się. Szerokie brwi, czarne niczym otchłań piekielna. Wydatne, niemal prowokujące wargi – zawsze się ich wstydził. Nos nieco zbyt kościsty jak na jego gust, ale przynajmniej nierzucający się w oczy, całkowicie niedostrzegalny.

Atticus Gore nigdy nie uważał się za szczególnie przystojnego. Z pewnością był czarujący, lecz się sobie nie podobał. Być może dlatego, że nigdy nie zawarł ze sobą pokoju. Mimo przekroczonej czterdziestki nie wiedział, czy to żałosne, czy raczej groteskowe, jak sugerowały pierwsze strony czasopism psychologicznych, których nie czytał, ale których lśniące okładki dostrzegał mimochodem na stolikach we wszelkiego rodzaju poczekalniach. Klubów sportowych. Spa, żeby zrobić sobie masaż. Salonów piękności, żeby poddać się zabiegom na twarz. U kręgarza. A nawet w salonie manicure w Chinatown. Atticus nie odmawiał sobie niczego, by zachować urodę. Nie bardzo się sobie podobał, nie mógł sobie jednak zarzucić, że nie próbuje wszystkiego, co się da, a nawet więcej, by polepszyć wygląd.

Wycisnął trochę pasty z tubki leżącej na krawędzi umywalki, potarł zęby palcem, następnie poprawił kołnierzyk dzinsowej koszuli, aby leżał idealnie na wycięciu T-shirtu.

Usłyszał za plecami szelest pościeli. Atticus się skrzywił. Nie miał ochoty na rozmowę. Na żadne uprzejmości, zakłopotane spojrzenia, gównianą wymianę zdań, żeby pokryć zażenowanie. Powinien był wyjść, jak tylko się obudził, wskoczyć w dzinsy i dokończyć ubieranie się na schodach – znów ta jego cholerna kokieteria. Lecz ponownie zapadła cisza, zakłócana jedynie sennym oddechem – tak odczytał to z poczuciem ulgi Atticus. Wokół nadal unosiła się ciężka woń. Zwierzęca. Pełna seksu.

Ostrożnie zebrał buty i kurtkę, po czym zostawił obok lampki nocnej zwinięte sto pięćdziesiąt dolarów. Banknoty wyglądały jak wyjęte psu z gardła, miały pozaginane rogi, twarz Andrew Jacksona była zbyt mocno pognieciona – Atticus nie mógł się powstrzymać, by nie dostrzec w tym oznak własnego zakłopotania. *Brudne pieniądze*. Stłumił westchnienie i sam nie wiedząc dlaczego, położył dłoń na chwycie pistoletu. Dodatkowe magazynki miał umieszczone na pasku, a kajdanki w kaburze. Przypięta do skóry, tuż przy klamrze, odznaka Policji Los Angeles, stanowiła rodzaj



pretensjonalnej maskownicy zapewniającej mu męskość, jak często myślał, szykując się do wyjścia. Niektórzy śledczy woleli ją chować pod marynarką, on obnosił się z nią niczym z orderem, nieustannym obwieszczaniem dla świata. Co tak naprawdę nie było zgodne z jego charakterem, ale w końcu uznał to za formę kamuflażu. Ogłaszając wszystkim wokół, jaką wykonuje pracę, chronił i ukrywał to, kim jest.

U jego stóp wynurzyła się spod pościeli noga, potem odwróciły się nagie plecy. Gładka, niemal połyskująca skóra. Parę delikatnie rozmieszczonych piegów i drobna warstwa mięśni, akurat tyle, ile trzeba dla zarysowania zmysłowych krągłości i wypukłości we właściwych miejscach. Atticus pozwolił sobie na kilka dodatkowych sekund, by podziwiać to ciało. Ogarnęło go pragnienie powąchania go, muśnięcia opuszkami palców, ale się powstrzymał. Nie miał ochoty na ciąg dalszy. Na konfrontację. Lepiej zniknąć.

Mężczyzna z głową pod poduszką wydał suche chrapnięcie i ponownie się poruszył. Zaraz miał się zbudzić.

W tej samej chwili zawibrował telefon Atticusa. *Cholera, nie teraz!*

Rzucił się do drzwi, szperając po kieszeniach. Właśnie je za sobą zatrząskował, gdy na ekranie wyświetliło się imię Marcii. Czego ona chce? Nie był na służbie, czekał go piękny dzień wolnego, w kalendarzu miał zapisanych dobre pół tuzina spotkań, które powinny go uczynić lepszym, ucywilizowanym człowiekiem. Wtedy przypomniał sobie, że akurat w ten weekend dyżur przypadł detektywom Marcii Velazquez i Jamesowi Ottingtonowi.

– Gore, mam coś dla ciebie – oznajmiła Marcia prosto z mostu.

– Dzisiaj nie pracuję.

– Wiem, ale to twoja działka.

Już miał coś odburknąć, żeby się odczepiła, ale po jej tonie wywnioskował, że to coś poważnego. Nie kolejny upierdliwy dowcip, w których tak się lubują gliniarze, a które doprowadzają Atticusa do szału.

– To znaczy?

– Sto osiemdziesiątka siódemka.

Co oznacza „zabójstwo”. Sama kwintesencja ich roboty. Mimo to na dźwięk tego słowa Atticusa za każdym razem przeszywał lodowaty dreszcz, jego ciało nabierało gotowości do działania, mózg natychmiast eksplodował, zmysły ogarniała mieszanina nadzwyczajnej czujności i nieufności. Tego typu poważne sprawy nie wpadały w ręce zbyt często, nawet w dystrykcie Hollywood, gdzie pracował Atticus, toteż kiedy dwójka detektywów natrafiała na coś takiego, rzadko oddawała to komuś innemu.

– Dlaczego do mnie dzwonicz, skoro to ty masz służbę? – zapytał podejrzliwie.

– Bo Ottington i ja rozpracowujemy już dziewczynę z Argyle Boulevard i gówniarzy spod Hollywood Freeway. Bo w przyszłym tygodniu muszę się pojawić w sądzie z powodu jednej ze spraw, które prowadzę. A James za miesiąc wydaje córkę za mąż. Jesteśmy zawałeni robotą, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Dlaczego ja?

Ottington za nim nie przepadał, a Marcia nie należała do tych, którzy toczą boje ze swoimi partnerami. Atticus nie dał się nabrać, to nie był z ich strony prezent, coś się za tym kryło. Ta sprawa śmierdziała na kilometr kłopotami, polityką albo show-biznesem.

– Bo idealnie się do tego nadajesz, geniuszu. Rusz się i sam zobacz, później mi podziękujesz.

– Nie próbujesz mi przypadkiem podrzucić jakiegoś obleśnego trupa?

– Dobrze, jeżeli w ogóle jeszcze coś z niego zostało. Ale przecież dekoracje to coś, co lubisz najbardziej. Śmigaj. Stare opuszczone zoo w Griffith Park. Idź za girlandami.

W głowie Atticusa Gore'a ciągle jeszcze rozbrzmiewał trzask odkładanej słuchawki, gdy poczuł rosnącą ciekawość. A jeżeli to nie pułapka? Marcia nie była złośliwa z natury, więc skoro zadzwoniła właśnie do mnie, to widocznie miała pewność, że to dobry pomysł, uspokajał sam siebie. Tak czy inaczej poza odwołaniem treningu i przełożeniem paru spotkań rzucenie okiem, a w razie gdyby mu to nie pasowało, zmycie się, nic go nie kosztowało. To nie jego dyżur, nie ponosi żadnej odpowiedzialności.

Zanim dotarł do swojego niebieskiego kabrioletu Mini John Cooper Works z czarnym pasem, ciekawość przerodziła się w ekscytację.

Wszystko zawierało się w tonie głosu Marcii. Nie brzmiał normalnie.

To, co zobaczyła, wstrząsnęło nią. A przecież Marcia ma za sobą ponad dwadzieścia lat służby. Ona nie jest z tych, co to pękają na widok trupa.

Kiedy rozległo się charakterystyczne bip oznaczające połączenie przez bluetooth jego smartfona z samochodowym systemem stereofonicznym Bose, Atticus starannie wybrał tytuł utworu na początek dnia. On i muzyka stanowili jedność, jego upodobania zaś były wyjątkowe. Playlista towarzyszyła mu codziennie. Metal. Pod każdą postacią. Od najbardziej melodyjnego do czystej dźwiękowej agresji.

Ledwie jeden z kawałków wydał mu się zgodny z chwilowym nastrojem, dotknął ekranu.

Iced Earth – *The Funeral*.

Bolid o mocy 231 koni zaryczał, opuszczając parking, i rzucił się w ruch uliczny w ożywym blasku wczesnego poranka, który właśnie wstawał nad Miastem Aniołów.

Atticus Gore pędził na spotkanie ze śmiercią.

## 2.

Miejski dywan Los Angeles ciągnął się w nieskończoność aż do oceanu, na północy przegradzały go jedynie zgarbione grzbiety gór i wijące się doliny, których wschodnią granicę stanowił Griffith Park. Olbrzymi dziki obszar w postaci ludzkich posiadłości, strome zbocza, sucha, choć obfita roślinność, plątanina zakurzonych dróg dla zdeterminowanych wędrowców. Z kilku szczytów roztaczał się doskonały widok na miasto i jego zamazany z powodu smogu horyzont.

Kabriolet Atticusa Gore'a zjechał z autostrady numer 5 i pomknął trampoliną długich, pustych arterii, z rosnącymi wzdłuż nich dębami, palmami i sykomorami. Na odcinku kilkuset metrów zniknął dla cywilizacji, a jego pępowinę stanowił wyłącznie hałas samochodów na Golden State Freeway, który zagłuszyła podkrecona głośniejsza muzyka. Przy budynku strażników parkowych powitał go kobierzec różowych kwiatów, z górą po lewej stronie i alejami spacerowymi wokół. Atticus zwolnił więc, by odnaleźć drogę. Miejsce było spokojne, bardzo mało uczęszczane. Pomyślał, że w piątek o godzinie 8.15 nie ma w tym nic dziwnego. Dostrzegłszy drogowskaz kierujący do słynnej karuzeli, przypomniał sobie, że musi dotrzeć do następnego skrzyżowania. Jechał powoli, wpatrując się uważnie w krajobraz zarówno po to, by się zorientować w położeniu, jak i po to, by chłonąć to miejsce, które nieczęsto odwiedzał – obiecał sobie dopisać je do i tak już długiej listy rzeczy do zrobienia, na której szczycie królowało odwieczne: „Być lepszym człowiekiem”. Przy tej szybkości skorzystał z okazji, by wdychać pełną piersią woń wczesnowiosennych kwiatów. Słodką, lekko ostrawą, z nutą drewna i drugą, metaliczną. *Kolejne zapachy będą zupełnie inne...*

Kiedy minął szmaragdowe trawniki upstrzone dziecięcymi zabawkami, przestrzeń opanowały na powrót zarośla – przyroda stawała się coraz bujniejsza, aż wylewała się na szosę – po czym na końcu ślepej uliczki Atticus rozpoznał parking. Obecność pół tuzina wozów policyjnych, jak również gliniarza w mundurze rozwiewała wszelkie wątpliwości. Słyszając dźwięki przesterowanych gitar i bębniącej jak szalona perkusji w utworze Slayera, które płynęły z ryczących głośników mini coopera z odkrytym dachem, policjant na warcie zdjął okulary przeciwsłoneczne. Atticus pokazał mu odznakę, nie zwracając sobie głowy, by zwolnić, następnie zaparkował jak najbliżej ścieżki, zagrodzonej charakterystyczną żółto-czarną taśmą.

Furgonetka techników kryminalistyki już była na miejscu.

Muzyka zamilkła wraz z warkotem czterech cylindrów. Atticus skrzywił się i przeciągnął, poprawił sobie dżinsową koszulę i zamknął oczy, by głęboko odetchnąć. Resetował zmysły, jak lubił to określać. Przygotowywał umysł na to, co miało nadejść. Od tej chwili będzie wszystko zapamiętywał, wszystko analizował, wszystko rozpatrywał. Musiał się pozbyć części siebie, tej najbardziej kruchej, najbardziej intymnej, tej, która wprowadzała najwięcej zakłóceń, aby zostawić miejsce dla śledczego. Niemal dziecinny sposób, by nastroić się do działania, przyznawał, godny kiepskiego serialu, ale właśnie tego potrzebował. To był jego własny rytuał.

Otworzył oczy, by się dokładnie rozejrzeć dokoła, wziąć w posiadanie otoczenie. Jego partner Hack nie cierpiał, kiedy tak robił. Następnie odblokował bagażnik i wyjął sportową torbę, a także tę drugą, płócienną, którą zawsze woził w samochodzie. Znajdowały się w niej kosmetyczka i kilka czystych ubrań na wszelki wypadek. W nocy nawet z niej nie skorzystał, tak go bowiem pochłonęło pożądanie, a potem, o świcie, ogarnęło pragnienie ucieczki. *Jak zwykle.* Odpędził tę przykrą myśl i zanurzył dłonie w poszukiwaniu rączek od wielkiej czarnej bryły na samym dnie. *War bag*, jak nazywano ją w żargonie. Z nią również nigdy się nie rozstawał, ale przynajmniej robił z niej dobry użytek. Wydobył ze środka białe lateksowe rękawiczki i wsunął do kieszeni spodni parę plastikowych torebek oraz małych żółtych kopert. *Nigdy nic nie wiadomo.* Po czym wrzucił do bagażnika ciemne okulary. Chciał, by nic nie przesłaniało mu pola widzenia, nie zakłócało zmysłów. To było ważne. Widzieć tak, jak widział zabójca. *Cierpieć tak jak ofiara.*

Do zalesionego cypla, z którego dobiegały jakieś głosy, prowadziła łagodna pochyłość. Atticus sapnął i ruszył naprzód, po czym dotarł do następnej taśmy strzeżonej przez kolejnego mundurowego. Policjant trzymał dziennik miejsca zbrodni, najpiękniejszy wynalazek władz policyjnych w ciągu wieku postępu. Od tej pory koniec z hordami ciekawskich, nieważne, czy to politycy, czy grube ryby z policji Los Angeles: miejsca zbrodni na powrót stały się względnie strzeżonymi świątyniami. Każdy, kto przekroczy linię, musi się wpisać do dziennika, zarówno przy wejściu, jak i przy wyjściu, podając swoją tożsamość i powód przybycia. W dodatku każdy, kto figuruje w dzienniku, może potem zostać wezwany na świadka w ewentualnym procesie. Dosłownie każdy. Rzucony na pożarcie, zmuszony do złożenia przysięgi i wzięty w krzyżowy ogień pytań zacieklej obrony albo wojowniczego prokuratora. Dzięki temu zapanował dużo większy porządek.

Atticus dopełnił formalności i wszedł do serca maszyny. Stare zoo w Griffith Park zamknięto w latach sześćdziesiątych – pozostały po nim rzędy zardzewiałych klatek, wtopionych w skałę u stóp niewielkiej góry. Tworzyły brudną serpentynę, otoczoną roślinnością, zapomnianą przez ludzki wzrok. Gmina daremnie usiłowała przywrócić

im pozory godności, urządzając rozległą strefę piknikową, gdzie na okręgu przyszyżonej trawy, który stanowił centralny punkt terenu, wznosiły się stoły. Miejsce to znajdowało się jednak na uboczu, było mało znane i panowała w nim osobiwa atmosfera. Nie brakowało takich, którzy bez wahania twierdzili, że za zrudziałymi kratami, wyglądającymi jak poplamione zakrzepłą brudną krwią, są uwięzione duchy trzymanyh tu kolejno zwierząt.

Liczni gliniarze, rozproszeni po terenie, badali glebę w poszukiwaniu śladów. Nieduża gromadka skupiła się na północnym skraju trawnika, u stóp krótkiego klifu, uformowanego ze skalnych bloków, jakby ułożonych w niedbały stos, aż utworzyły krajobraz półnaturalnych bunkrów, od których odchodziła sieć tuneli, służących dawniej dzikim zwierzętom jako schronienie przed tutejszymi nadmiernymi upałami.

W miarę jak się zbliżał, Atticus rozpoznał kilku techników, którzy robili zdjęcia, umieszczali numerowane znaczniki albo sporządzali notatki. Na uboczu stał wysoki, chudy jak szczapa facet z siwymi włosami obciętyh na jeża i cieniutkim wąsikiem, rozprawiający o czymś z niską kobietą o starannie przyciętyh rudych włosach, z lekką nadwagą i mnóstwem piegów. Mieli regulaminowe garnitur i kostium śledczyh z wydziału zabójstw zatrudnionych na hollywoodzkim komisariacie. James Ottington i Marcia Velazquez.

Atticus przywitał się z nimi zdawkowo, po czym ruszył czym prędzej w kierunku zagrody, którą od esplanady dzielił jedynie maleńki, łatwy do przeskoczenia murek. Wstępu do niej nie broniła żadna krata – od kiedy przestała służyć do pokazywania dzikich zwierząt, wszelka ochrona nie była już potrzebna.

– Nawet nie wiedziałem, że Griffith Park należy do naszego rewiru – oznajmił swym głębokim głosem Atticus.

– Kolejny trup na dnie wąwozu przypadnie tobie – odparł Ottington. – Wierz mi, przy nim sobie przypomnisz.

W głębi tunelu poza ogrodzeniem strzelały flesze, Atticus wyobraził sobie najgorsze.

– Nakreślicie mi z grubsza sytuację?

– Przejmujesz pałeczkę? – zapytał Ottington.

– Czy to jajko niespodzianka? Nie mogę się dowiedzieć, co jest w środku, dopóki się nie zgodzę?

– Potraktuj to jak prezent, Gore – dodał wysoki wąsacz o stalowoniebieskich zimnych oczach.

*Akurat.* Jeśli istniał kolega, do którego Atticus nie miał zaufania, to był właśnie on. Staromodny seksista, homofob, manipulant i egoista. Jego żona musiała być święta,

skoro go znosiła, chyba że była jeszcze gorsza niż on: prawdziwy diabeł z piekła rodem.

Marcia wtrąciła z notatnikiem w dłoni:

– Ciało znalazł dziś rano jakiś biegacz. Całkowity klasyk. Jego pies się urwał i nie chciał wracać, wobec tego on poszedł go poszukać i natknął się na trupa, a potem natychmiast do nas zadzwonił. Patrol wezwał kogoś wyższego stopniem, jak tylko potwierdził obecność denata, i wysłano nas na miejsce.

– O której godzinie? – zapytał z przyzwyczajenia Atticus.

Marcia zerknęła do notatek.

– Gość zadzwonił o szóstej piętnaście. Dyspozytor wysłał nas tutaj pół godziny później. Cała reszta zjawiała się dwadzieścia minut temu.

– A patolog?

Czterdziestolatka wskazała brodą ogrodzenie, rude zasłony po obu stronach jej twarzy zatańczyły niczym wzburzona woda w wannie.

– Gdzie jest haczyk?

– Jak mówiłam, jesteśmy z Jayem zawaleni robotą, nie mamy ani chwili, żeby dołożyć jeszcze tego... Musisz go zobaczyć, Gore. Ten jest... *wyjatkowy*. I jest dla ciebie. Idealnie się do tego nadajesz.

Atticus zmarszczył brwi. Sęk w tym, że sam nie bardzo wiedział, do czego się właściwie nadaje. Nie cieszył się reputacją nadzwyczajnego wywiadowcy, zwłaszcza ostatnio... Zaczęła mu świtać jakaś niewyraźna myśl – z trudem się przebijała, ponieważ zrodziła się w intymnej sferze, którą próbował od siebie odsunąć na miejscu zbrodni. Jego przypuszczenia nie przypadły mu do gustu. *Zbrodnia pedałów*.

Było to tak idiotyczne i obraźliwe, że wołał o tym zapomnieć.

– Vanessa chce wziąć ślub w Palm Springs – jęknął Ottington. – Muszę stanąć na głowie, żeby wszystko pozałatwiać, latać w tę i z powrotem, aby obejrzeć sale, catering, zaczyna mi już odbijać. A i tak mamy kupę roboty, zupełnie jakby wszystkie świry z Hollywood się zmówiły, żeby przejść do czynów, jak jestem na służbie. Gore, tamten jest twój. Odezwę się.

Marcia dodała z naciskiem:

– Porucznik się zgodzi, zwykły podział obowiązków. W tej chwili nie masz żadnej świeżej sprawy.

Na codzienność śledczych z wydziału zabójstw składały się intensywne okresy, trwające na ogół tydzień, kiedy to natykali się na zbrodnię, później przychodziła kolej na długą papierkową dłubaninę, sprawdzanie i ponowne wczytywanie się w dokumenty, gdy trzeba było cofnąć się do spraw, które nie zostały zamknięte, aby przygotować zeznania w procesie albo pomóc przeciężonym kolegom. Większość

zagadek kryminalnych jednak rozwiązywano w ciągu dwóch, trzech dni. Później szanse na to malały niemal z godziny na godzinę, a zapal śledczego gasł, wracali do monotonnych czynności zgodnych z normalnym czasem pracy.

Istotnie Atticus nie miał na tapecie nic poza starymi aktami, które co jakiś czas przetrząsał, aby się upewnić, czy nie wydobędzie z nich nic nowego. Beznadziejne przypadki. Pozostały mu dwie niewyjaśnione zbrodnie, co dawało w sumie pięć na dziesięć ostatnich dochodzeń. Fiasko za fiaskiem. Musiał odzyskać zaufanie, zapunktować od nowa u zwierzchników, a zwłaszcza u kolegów, zanim jego wizerunek, na którym już widać było rysy, zostanie bezpowrotnie splamiony. Patałach. Zły glina.

Atticus nie mógł sobie pozwolić, by zając się denatem nie w ramach swoich obowiązków i wpaść po uszy w bagno.

– Dlaczego ja? – dopytywał nieufnie, nie dając za wygraną. – Ostatnio u Irzika i D'Angela raczej też panuje posucha.

Ottington poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

– Przecież właśnie to lubisz najbardziej. Podziękujesz Marcii, to jej pomysł.

– Znamy tożsamość ofiary?

– Zdaniem patologa to mężczyzna, właśnie robi oględziny.

– *Zdaniem?* – powtórzył Atticus. – W jakim on jest stanie?

Wysoki wąsacz i niska ruda wymienili porozumiewawcze spojrzenia, po czym Marcia uniosła palec w kierunku trzech otworów pośrodku skalnego bloku.

– Idź rzucić okiem – nalegała Marcia. – O pewnych rzeczach trudno mówić.

Tym razem ciekawość zwyciężyła. Atticus pokręcił głową, urażony i rozdrażniony z powodu tajemniczości tych dwojga, i ruszył w stronę zagrody. Ottington gwizdnął za nim.

– Weź to, przyda ci się – poradził, rzucając mu małą latarkę. – A przede wszystkim patrz pod nogi.

Z błyskiem w oku odsłonił drobne szare zęby w uśmiechu, w którym nie było nic przyjacielskiego.

### 3.

Lokum dla dzikich zwierząt nie miało już w sobie nic przerażającego, o ile człowiek nie uzmysłowił sobie, że te drapieżniki musiały spędzić całe życie zamknięte na kilkuset metrach kwadratowych obejmujących prostokątny wybieg i zacieniony tunel, który otwierały trzy łuki.

Atticus Gore wspiął się na skałę, aby się dostać do jednego z otworów, i wśliznął do wąskiego korytarza w otoczeniu graffiti. Stanął jak wryty, zaskoczony widokiem szeroko otwartej paszczy i wpatrzonych weń oczu. Ścianę na końcu przejścia pokrywał wykonany sprayem malunek. Przedstawiał ryczącego lwa. Coś w jego rysach nadawało mu osobliwie ludzki wygląd. Cierpienie w jego krzyku. Litość w spojrzeniu. Błyski w oczach, głębia, cienie i fałdy skóry zostały oddane z podziwu godną precyzją. Ten lew przejawiał wyraźnie ludzkie cechy, pokazane z fantastyczną dokładnością. Antropomorfizm na wysokim poziomie. Rodzaj dzieła godnego jednej z tych wystaw, które organizowali marszandzi z centrum miasta. Atticus pomyślał, że artysta zapewne właśnie tego chciał uniknąć. Niszowy twórca, ceniący bardziej przekaz niż sławę. *Spokojnie, Christopher Wool to też nie jest.*

Widząc sporą ilość graffiti zdobiących ściany, Atticus wyobraził sobie bez trudu, że stare opuszczone zoo stanowiło schronienie wszelkiej nocnej fauny zgłodniałej rozrywek i spokoju. Miejsce leżało zbyt daleko od miasta jak dla narkomanów i prostytutek – żeby przyjechać aż tutaj, należało być zdeterminowanym i zmotoryzowanym. Zapewne nie panował tu tłok, ot kilkoro dzieciaków, które wpadały od czasu do czasu wypalić jointa i pogapić się w gwiazdy, a potem zostawić odrobinę własnego ego na tych ścianach, by dowieść świata, że istnieją, przynajmniej w chwili składania podpisu.

Żółty znaczek z numerem 17 umieszczono nieco dalej, na ziemi. Atticus włożył rękawiczki, zapalił latarkę i przykucnął obok. To, co w pierwszej chwili wziął za plamę krwi, okazało się stosem rozgniecionych insektów. Stonóg i innych stawonogów. Atticus trochę się na tym znał: przed wstąpieniem do policji studiował entomologię na Uniwersytecie Kalifornijskim w Davis, niedaleko Sacramento, i uzyskał dyplom z biologii. Przez długi czas marzył, że będzie pracował jako entomolog dla FBI albo policji, zanim sobie uświadomił, że tak naprawdę to nie jest zawód i że siły porządkowe korzystają z pomocy ekspertów z zewnątrz, których główna działalność polega na badaniach naukowych, prowadzeniu wykładów, a niekiedy nadzorowaniu zbiorów muzealnych. Atticus chciał być w terenie, mierzyć się ze zbrodniami, nie



tkwić zamknięty w biurze, wstąpił więc do Szkoły Policyjnej w Los Angeles, swym rodzinnym mieście, i zapomniał o miłości do nauki.

Naliczył pół tuzina stert owadów, zastanawiając się, dlaczego przy każdej z nich znajduje się znacznik. Rzecz jasna, nie dało się wyodrębnić odcisku buta, poza tym nie było widać nic innego. Żadnych płynów, żadnych drobinek. Tylko zmiażdżone insekty.

*Przecież właśnie to lubisz najbardziej,* stwierdził Ottington.

Czyżby... Nie. To nie miało nic do rzeczy.

Atticus wyprostował się i podążył w kierunku fleszy rozświetlających jakąś wnękę. Kąt prosty, potem liczne bardzo wąskie schody między ścianami, również wytatuowanymi aż do najdrobniejszej szczeliny, niczym księgi przedstawiające miejską historię na dzikim terytorium. Betonowe stopnie prowadziły wysoko, na sześć metrów w górę, i kończyły się przed okratowanymi drzwiami – dawnym wejściem dla strażników i opiekunów. Dzisiaj była to ślepa uliczka, sklepiona gałęziami jeżyn, które tworzyły roślinną kopułę.

U szczytu technik właśnie robił zdjęcia, chwytając równowagę nad patologiem, którego można było rozpoznać po ciemnoniebieskiej parce z logo Zakładu Medycyny Sądowej Los Angeles. Pochylali się nad ciałem leżącym na stopniach. Z dołu, w dodatku w półmroku, Atticus nie zdołał dojrzeć nic więcej. Przyświecając sobie latarką, powoli podszedł bliżej. Po drodze natknął się na znaczniki od numeru 18 do 20, które ciągnęły się aż na szczyt, i starannie je ominął.

Za każdym razem obwieszczały zbiorową mogiłę rozgniecionych na proch owadów.

Zbliżając się do zwłok, Atticus spodziewał się, że uderzy go kwaśny, ostry odór, może nawet zimny i metaliczny, o ile ciało nie znajduje się w zbyt złym stanie, ale nic z tych rzeczy. Jedynie łaskotanie kurzu, odrobina stęchlizny i chyba w oddali kwaśność moczu, oddawanego przez lata przez nocnych marków.

Dostrzegł podeszwę buta ofiary, zdartą skórę, brzeg nogawki płóciennych spodni, po czym natychmiast zwrócił uwagę na chudość gościa. Niemal alarmującą chudość. Wydawało się, że jest wzrostu dorosłego, za to ledwie dziecinnej budowy. Z bliska wyglądało to jeszcze gorzej.

Ukradkowy błysk flesza. Brak ud. Brak bioder. Tylko śmieszne zgrubienie pod ubraniem. Przede wszystkim jednak wrażenie, że materiał jest wilgotny. A nawet zupełnie przemoczony. Pod spodem zaś widniała obszerna posępna aureola. Mimo to krew nie spłynęła po schodach, zupełnie jakby została wchłonięta, pozostawiając na kamieniu wyłącznie zaschniętą plamę.

Patolog zasłaniał mu widok. Atticus oznajmił swoje przybycie, głośno się witając, lecz żaden z nich się nie obejrzał, pochłonięty wykonywanymi czynnościami. Przynajmniej rozpoznał lekarza. Malkoviana. Nie należał do tych, z którymi człowiek

ma ochotę się napić po robocie, chociaż był skuteczny i dokładny. Dobra wiadomość. Atticus zdawał sobie sprawę, że lepiej mu nie przeszkadzać, tylko obserwować – dopóki patolog nie skończy, detektywom nie wolno niczego dotykać, taka jest żelazna zasada.

W ciasnocie schodów Gore poprzestał na wykręcaniu szyi, żeby nieco lepiej widzieć. Przesunął snop światła latarki po kostce i stopniowo podjechał wyżej.

Od razu dostrzegł ich obecność. Tutaj też były martwe owady. Mnóstwo. Większość rozplaszczona, rozgnieciona. Rozsiane wszędzie po trochu wokół ofiary. Zastanowiło go, skąd się wzięły. Wiele lat spędził z nosem w podręcznikach do entomologii albo w zbiorach, które rozkładał na czynniki pierwsze, i choć od tego czasu minęło prawie dwadzieścia lat, zachował żywe wspomnienia, tak dokładne, jakby to była pierwsza miłość.

Prawdę powiedziawszy, tego, co miał przed oczami, trudno byłoby szukać w takim rumowisku jak to: była to pozbawiona wszelkiej biologicznej spójności mieszanina rodzin owadów. Pozbawiona wszelkich naturalnych cech zbieranina, zarówno pod względem ilości, jak i współwystępowania.

Atticus Gore rozumiał, dlaczego Ottington i Marcia pomyśleli o nim, odkrywając miejsce zbrodni. Jego przeszłość nie była tajemnicą, poza tym wiedział, że ze względu na owadzie hobby i orientację seksualną niektórzy, a szczególnie Ottington, przezywają go za plecami „rob-analem”. Nie zdążył się wściec, był zbyt mocno zaintrygowany, uznał więc, że w gruncie rzeczy nie ma tego Marcii za złe. Może nawet wyświadczyli mu w ten sposób przysługę.

– Ma je na sobie? – zapytał. – To znaczy owady.

Malkovian odwrócił się i zmierzył go wzrokiem zza cienkich okularów. Przezroczyście wianuszek włosów okalający gładką czaszkę, krzaczaste brwi i koścista, kanciasta gęba pozbawiona miękkich krągłości – patolog nie miał w sobie nic miłego.

– Gore, spodziewam się, że jest pan tutaj z powodu wykształcenia. Trzeba będzie wszystko pozbierać do kupy. Paskudny pieprznik, są wszędzie. W rękawach, pod koszulą też je widziałem. Przyznaję, że nic z tego nie rozumiem.

Po tych słowach patolog się odsunął, widok na zwłoki stał się dostępny. Atticus przyglądał im się ostrożnie przez kilka sekund.

Wśród błysków fleszy i w świetle własnej latarki dostrzegł kościstą szczękę, w ziewających ustach długie zęby, brak nosa, jedynie podwójną podłużną jamę, kości policzkowe rzucające cień na puste oczodoły. Burza rudych włosów dziwnie przykrywała górną część bladego czoła, później zaś do Atticusa dotarło, że *przedtem* musiały być koloru blond. Z pewnością zachlapała je krew, a po walce zastygły w niemal groteskowym ruchu, jak źle dopasowana peruka. Pomieszane ze sobą groza,

tragedia i śmieszność śmierci. Obraz umierającej czaszki z powodu swej trywialności od razu przywiódł mu na myśl Hamleta. *Biedny Jorik!*

Tylko że ten tutaj nie miał w sobie nic z błazna. *Umarł, krzyżąc wniebogłosy.*

Następnie spojrzenie Atticusa powędrowało ku ramionom, opadłym w kierunku dłoni. Przykurczonych kosteczek tworzących jakby maleńkie jamki. Na czymś, co służyło kiedyś jako palec wskazujący, nadal trzymał się mocno ozdobiony czerwonym kamieniem sygnet. Codzienny strój nie okrywał chorobliwie chudego ciała, lecz po prostu szkielet. Idealnie oczyszczony z najdrobniejszego fragmentu mięsa.

Ponadto całe ubranie zostało skąpane we krwi. Wszystko ciągle lśniło w słabym świetle. Atticus zauważył, że poplamione nią są rękawiczki patologa, podobnie jak liczna reszta innych par wypełniających plastikową torbę obok walizki.

– Co się tutaj stało? – zapytał półgębkiem.

– Jeśli zdoła pan to wyjaśnić, jest pan mistrzem. Kości są idealnie ułożone, pozostało jeszcze sporo nietkniętych chrząstek. Według mnie to niemożliwe, żeby komukolwiek udało się go ubrać w taki sposób. Owłosiona skóra już prawie się nie trzyma, pod kośćmi palców natrafiłem na paznokcie, wewnątrz nadal jest część narządów, tyle że została z nich zupa.

– Słucham?

– Tak, wiem. Chociaż pracuję już siedemnaście lat, nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Zupełnie jakby tu na miejscu pozbawiono go skóry, ciała i istoty materii, nawet go nie rozbierając.

Atticus Gore brodził w stanie kompletnego niedowierzania. Mózg rejestrował fakty, których rozum nie potrafił pojąć.

Spuścił wzrok na owady u swoich stóp.

To niemożliwe. Niewytłumaczalne naukowo. A jednak najwyraźniej narzucało się z całą oczywistością.

– Pan też myśli o tym samym co my? – zapytał Malkovian. – Jesteśmy zgodni, że to nie do wiary?

– Owady nie mogą pożreć ciała. Nie w ten sposób. Przedtem następują powolne i nieuniknione procesy, rozkład, larwy much, które żywią się mięsem, całe zastępy insektów, które pojawiają się w ściśle określonej, logicznej kolejności, w zależności od pełnionych przez nie funkcji, i trwa to wiele tygodni, a nawet miesięcy.

Patolog wyciągnął dłoń do Atticusa, biorąc na świadka technika kryminalistyki.

– To samo powiedziałem.

– Od jak dawna ten facet tutaj leży?

– To pan będzie musiał ustalić w śledztwie. Każdy ma swoją robotę, detektywie. Ale jeżeli chce pan znać moje zdanie, nie od wielu tygodni. A te jego ciuchy... kleją mi się

do palców. Bardzo niedawno sikał krwią. Co najwyżej czterdzieści osiem godzin temu. Tutaj nic nie jest normalne. Nic.

Atticus podzielał to wrażenie. Krew, którą ciągle jeszcze było przesiąknięte całe ubranie, świeżo porozgniatane owady, zwłoki, które znaleziono zaledwie rano...

– Ma przy sobie jakieś papiery? – odezwał się Atticus.

Malkovian wyjął zza walizki plastikową torebkę i podał mu ją, pozostawiając na niej cynobrowe plamy.

– Pańscy koledzy się ociągali, czekając na pana, więc sam zająłem się pozbieraniem jego rzeczy, żeby wszystkiego nie trafił szlag z powodu krwi.

Wewnątrz Atticus spostrzegł portfel, telefon komórkowy, trochę drobnych, otwartą paczkę gum do żucia, pęk kluczy i kilka złożonych świstków papieru, przypominających potwierdzenia operacji kartą kredytową. Większość z nich zabarwiła się na czerwono.

Atticus wcisnął przez torebkę jeden z klawiszy telefonu. Ekran się rozświecił. Nie dość, że aparat nie był zablokowany, to w dodatku pozostało jeszcze 17% baterii. Wystarczy, żeby ponownie go naładować. Obecnie komórki zawierają takie mnóstwo informacji, że rozpoczęcie właśnie od nich ma kapitalne znaczenie, pozwala bowiem wyciągnąć to wszystko, co kiedyś było dostępne tylko poprzez długie badania laboratoryjne. Zyskają sporo czasu.

*Oni?*

Atticus zacisnął zęby. To nie było jego śledztwo. Oficjalnie nie miał tu nic do roboty i nie goniły go żadne obowiązki. Nieustannie to sobie powtarzał.

Ponownie poddał oględzinom szkielet, złoty sygnet i czerwony kamień, podobny do tych, które nosili mistrzowie NFL. Po uważnym przyjrzeniu się uznał, że mężczyzna nie mógł być zbyt wysoki. Intrygowały go wszystkie owady wokół zmarłego i na schodach.

Był to ten rodzaj zwariowanego przypadku, który mógł się okazać pasjonujący.

*Albo zupełnie nie do rozwiązania. Tygodnie dłubaniny, stopy rzeczy do sprawdzenia, ślepych zaułków, dziwactw, kupa pieniędzy utopionych w analizach laboratoryjnych, a na koniec nic poza rozwścieczonym szefostwem i całym wydziałem, który będzie sobie ze mnie robił jaja: „Atticus Gore, obietnica bezkarnej zbrodni!”.*

Nie mógł sobie pozwolić na kolejną porażkę. W dodatku oznaczało to obarczenie partnera skutkami własnej decyzji bez pytania. Hackowi się to nie spodoba. Zawsze pracowali we dwójkę, nieustannie robili wspólną burzę mózgow, razem działali taktycznie i w terenie, i podczas przesłuchań. Zostali z Hackiem partnerami zaledwie przed pięcioma miesiącami, kiedy dawnego partnera Atticusa przeniesiono do biura w Valley, na północ, na drugą stronę Griffith Park. Oficjalnie po to, by był bliżej

rodziny w San Fernando, w rzeczywistości dlatego, że nie umieli się dogadać. Dowodzący ich grupą porucznik upomniął Atticusa: musi się nauczyć pracy zespołowej, dzielenia się, słuchania innych. Troy Brown był cholernym dupkiem. Trudno grać w jednej drużynie z idiotą, nawet przy maksimum dobrej woli, co najmniej przez osiem godzin dziennie. *Na dodatek Brown śmierdział potem na kilometr, kto to potrafi znieść?*

Od początku współpracy Hack i Atticus mieli na tapecie dwie nierozwiązane sprawy. I wszystko wskazywało na to, że takie pozostaną. Dwie porażki i tyle. Nie mogli sobie pozwolić na kolejną wtopę.

Szkielet połyskiwał przy każdym następnym zdjęciu zrobionym przez technika, który prawie tańczył, nie chcąc rozdeptać maleńkich chitynowych pancerzy. Atticus nie mógł się doczekać, żeby je zbadać, żeby obejrzeć je pod mikroskopem albo chociaż pod świecą lupą, a potem zrobić spis i dowiedzieć się, w jakim celu się tu znalazły.

Z setkami graffiti wokół nich mieszały się raczej obsceniczne, rzadko kiedy udane, niekiedy niepokojące rysunki. Atticus zauważył obecność wielu okrągłych białoczarnych oczu, wpatrujących się w nich osobliwie w półmroku. Poczł wóczas presję jakiegoś równoległego, tajemniczego i przerażającego świata, który obserwował go bacznie z oblepionych brudem ścian, świata uwięzionego tam na zawsze, należącego do nocy, do wyrzuteków, do cierpienia, inności. Odwzajemniając spojrzenie, uzmysłowił sobie, że na próżno szuka pretekstów, by się wycofać: nie znajdzie ani jednego.

Westchnął głęboko w ciemności, u stóp mężczyzny, którego ciało się roztopiło, pochłonięte przez nicość, przyrodziane we wszelkiego rodzaju owady.

Wtedy Atticus Gore przysięgł, że nie będzie tracił więcej czasu.

## 4.

Całe miasto, z którego wyparowali wszyscy mieszkańcy.

Co rok.

Taka była oficjalna liczba. W tym tak zwanym cywilizowanym kraju znikало tyle osób, ile wynosi populacja dużego miasta, przy czym nie wiadomo było, ani gdzie, ani na jak długo, ani czy ci ludzie jeszcze żyją.

Co dwanaście miesięcy około 650 000 osób uznawało się za zaginione. Tylko tyle. Głównie nieletnich. Większość z nich pewnego dnia gdzieś się odnajdywała, w lepszym lub gorszym stanie, czasem byli zimni jak bryła lodu. W sumie jednak mniej więcej 15% rozpływało się na dobre.

Blisko 90 000 osób.

I nigdy ci ludzie nie wypływali na powierzchnię społeczeństwa.

Po czym w kolejnym roku wszystko zaczynało się od nowa. Zawsze i bezustannie. Prawie milion osób w ciągu dziesięciu lat. A liczba ta rosła bez końca.

– Milion – powtórzyła wolno, ze zgrozą Kat Kordell, jakby chciała sobie lepiej uzmysłwić, co to oznacza.

Chociaż pracowała jako prywatny detektyw, dziwnym trafem nie była świadoma tych liczb, dopóki nie natknęła się na nie na stronie NCIC<sup>2</sup>. Jej robota polegała głównie na śledzeniu zdrad małżeńskich, od czasu do czasu sprawdzała coś dla jednego z adwokatów przygotowujących się do procesu, niekiedy rozstrzygała spory między pracodawcą a pracownikami, którym należało pomóc „skutecznie załatwić sprawę”, sporządzić profil osobnika pragnącego się zatrudnić we wrażliwym sektorze prywatnym. W sumie jednak było bardzo mało przypadków zaginięć. Prawie żadnego w ciągu ponad dwudziestu lat pracy. Zdumiewające, jeśli się dobrze zastanowić.

Kat wybrała tę profesję – którą z dużą dozą seksizmu jeszcze dzisiaj traktowano jako „zajęcie dla facetów” – z powodu stryja. Big Tony Kordell był poczciwym, łatwo nawiązującym kontakty kolosem. Jako dziecko go uwielbiała. Później, będąc nastolatką, odkryła tajemniczą stronę jego życia. Godziny obserwacji, śledzenie bez końca i wszystkie te zdjęcia przypięte pinezkami do ogromnej korkowej tablicy zajmującej całą ścianę jego biura na Brooklynie. W takich chwilach jowialny stryj Tony przeradzał się w zamkniętą w sobie istotę, której oczy były w nieustannym ruchu, która oddychała, sapiąc przez nos, której szeroka klatka piersiowa nadymała się, wypełniając koszulę, tak regularnie, jakby spał. Lecz w jego głowie, która z każdym dziesięcioleciem łyślała coraz bardziej, gorączkowo pracowały synapsy.

Wiecznie czujny Tony badał, analizował, knuł. Po czym zniemacka się podrywał, by wystukać raport na hałaśliwej maszynie do pisania z ubiegłego stulecia, albo wkładał podniszczony beżowy prochowiec i wypadał na ulicę.

Fascynował i ukształtował Kat.

Nawet dzisiaj zupełnie nie potrafiła wytłumaczyć przyczyn swojego zainteresowania. Nie dorastała w cierpieniu, ale we względnie spójnej, kochającej się rodzinie. Nie przeżyła żadnej prawdziwej tragedii, która zniszczyłaby jej psychikę, żadnej wielkiej narcystycznej ani uczuciowej luki. Nie, niczego, co mogłoby wyjaśnić jej fascynację ciemnym obliczem człowieka. Była po prostu dziewczynką ubóstwiającą brata własnego ojca, tego zdeklarowanego starego kawalera, który za dużo palił, przychodził na kolację parę razy w tygodniu, gotów opowiadać kawały, głośno się śmiać i radośnie popijać, a kiedy pytała, jak zarabia na życie, odpowiadał z nieprzeniknioną miną, ścisząc głos: „Grzebię w ludzkich tajemnicach. Najchętniej tych najbardziej wstydlivych, którymi za nic w świecie nie zechcieliby się podzielić”.

Prawdopodobnie właśnie od tego wszystko się zaczęło. Od poznawania tajemnic. Kat, dziesięciolatka z jasnokasztanowymi lokami wpadającymi w blond, filuternym noskiem, dużymi zielonymi oczami i szczerym uśmiechem, marzyła, by zakradać się w prywatność obcych, a następnie wszystko rozłożyć w przeznaczonym wyłącznie dla niej pokoju, żeby ich zrozumieć, przejrzeć na wylot.

Big Tony często gościł ją w swoim biurze na szczycie budynku z szafranowej cegły, usytuowanego w sercu brudnej strefy przemysłowej w północnej części Brooklynu. W dzielnicy magazynów i starych, kolejno popadających w ruinę fabryk pomiędzy mostami Brooklyńskim i Manhattańskim, z niczym niezmaconym widokiem na arogancką panoramę południowego Manhattanu jako jedynym pocieszeniem.

Kat dorastała tam, przyglądając się z zaciekawieniem prowadzonym przez stryja sprawom. Woląta odrabiać tam lekcje, niż wracać do pustego mieszkania w Williamsburgu, gdzie jej rodzice, pracujący jako drukarz i pielęgniarz, nierzadko późno wracali. Tony objaśniał jej, nad czym łamie sobie głowę, i chętnie kończył swoje wykłady jakąś lekcją moralności oraz paroma sztuczkami.

Pomysł narodził się sam, kiedy zapytano Kat, co zamierza zrobić ze swym życiem, a ona zupełnie naturalnie odrzekła, że zostanie prywatną detektyw.

Stryj Tony przegrał walkę z rakiem płuc, podczas gdy ją pochłaniały studia nad prawem karnym, nie mając zaś potomka, zostawił jej w spadku swoje biuromieszkanie. Zrezygnowawszy z dalszej nauki, Kat miesiąc później wstawiła tam swoje kartony i rozpoczęła prywatną naukę, aby zgłębić wszystkie oficjalne tajniki zawodu. Co do codziennych sztuczek, zdążyła już je wszystkie poznać dzięki godzinom spędzonym u boku stryja. Aby się ubiegać o licencję prywatnego detektywa stanu

Nowy Jork, musiała mieć przynajmniej trzy lata doświadczenia. Zanim się przekonała, jakim cynizmem przesiąknięte jest to środowisko, uważała, że w wieku dwudziestu jeden lat i przy braku uniwersyteckiego dyplomu nie zdoła się zatrudnić. Młoda, zdeterminowana kobieta, znająca już tryby zawodu, dość ładna i gotowa na wszystko, byleby znaleźć zatrudnienie, stanowała łakomy kąsek dla agencji w Wielkim Jabłku. Wymarzona osoba, by schwytać w pułapkę niewiernych mężów, niebudzący podejrzeń anioł potrafiący wyłuskać kilka informacji od starych biznesmenów, idealna powierniczka z siłowni dla gospodyń domowych z szykownych przedmieść, przygotowujących potajemnie pozwy rozwodowe... Lista była długa, przewrotność niewyczerpana. Kat odbębniła swoje trzy lata, ani dnia dłużej, manipulując, śledząc i zdradzając, po czym śpiewająco zdała pisemny egzamin i złożyła podanie, by móc pracować na własny rachunek.

Utrzymywała się z nędznej pensji stażystki i dzięki pieniądzom pozostawionym przez tego kolosa, za którym tak mocno tęskniła, że często odnosiła wrażenie, iż widzi jego ducha w zakamarkach biura, zanim wolno jej było umieścić tam tabliczkę z własnym nazwiskiem wraz z oficjalną licencją.

Gdy zastępowała tabliczkę Anthony'ego Kordella własną, ścisnęło jej się serce, chociaż jednocześnie w głębi duszy czuła narastającą dumę. Brakowało tylko, żeby on zerknął jej przez ramię i obdarzył ją jednym z tych swoich kpiących spojrzeń.

Pierwsze lata samotnej działalności należały do najtrudniejszych. Ciężko znaleźć klientelę, kiedy człowiek ma dwadzieścia pięć lat i twierdzi, że potrafi wyciągnąć stanowiące największe tabu tajemnice od ludzi, którzy powierzają mu własne życie. Kat musiała brać, co się trafiło, żalosne, słabo płatne, wątpliwe przypadki, wykorzystując swój urok i kobiecość, jedyne atuty, dzięki którym na długiej liście rywali stanowiła rzadkość. Zniżanie się do takiego poziomu napawało ją wstrętem, toteż obiecywała sobie, że pewnego dnia będzie tak znana i utalentowana, iż żaden mężczyzna nie ośmieli się jej zatrudnić z powodu typowych dla tego wieku urody i niewinności.

Obecnie wszystkie fabryki zostały zamknięte, magazyny przekształciły się w sale wystawowe, luksusowe butikie albo minimalistycznie urządzone apartamenty, a cały sektor Dumbo stał się modny, hipsterski, dla ludzi z zasobnym portfelem. Cena loftu, który Kat podzieliła na dwa, aby wyodrębnić gabinet do pracy, jak go szumnie nazywała, ze strefy prywatnej, wzrosła co najmniej dziesięciokrotnie. Przekroczywszy czterdziestkę, Kat Kordell spoglądała rozbawiona, niekiedy z zazdrością na tę wojowniczą kobietę, którą była kiedyś, tęskniąc za młodzieńczą niewinnością i urodą, które zapewniły jej sukces. Nie można powiedzieć, że nie starała się zatrzymać tej drugiej: uprawiała sport, stosowała względnie zdrową dietę, nie paliła, nie piła



alkoholu w nadmiernych ilościach – nie pozwalało jej na to widmo stryja Tony’ego i jego raka – a ostatnio uległa nawet szaleństwu, żeby zrobić sobie parę zastrzyków z botoksu. W sam raz tyle, by wyglądać naturalnie, a jednocześnie zyskać odrobinę świeżości... Mimo to czas zrobił swoje. Była z pewnością apetyczną czterdziestką, marzyła jej się jednak cera nastolatki, ciało traciło jędrność, biust już nie sterczał, tylko powoli ulegał smutnej sile grawitacji, a na skórze uwidaczały się stopniowo zmarszczki. A co do niewinności...

Liczba oznaczająca 90 000 osób, nabazgrana na kartce, ściągnęła ją z powrotem na ziemię. Kat rozpoczęła swe poszukiwania wczesnym rankiem, zanim słońce wstało, a jego promienie rozpały migoczące szyby w oknach budynków po przeciwnej stronie East River. Annie Fowlings zadzwoniła wczoraj bardzo późnym wieczorem. Stanowczy głos mówił powoli, bez wahania, a mimo to przebijała przezeń głęboka rozpacz. Kobieta chciała się natychmiast zobaczyć z Kathleen Kordell. W pilnej sprawie. Bardzo pilnej sprawie. Jej córka, dwadzieścia dwa lata, zniknęła, gliny nie traktują jej poważnie, a Annie Fowlings potrzebuje jej pomocy. Kat wyjaśniła, że przebywa poza miastem, ale może się z nią spotkać nazajutrz, zaraz o siódmej rano.

Odłożywszy słuchawkę, czym prędzej pozbierała swoje rzeczy z letniego domku i zamknęła torbę, ku wielkiemu rozczarowaniu Mitcha, który raz po raz pytał, czy zrobił coś złego. Mitch był sympatycznym facetem, co stanowiło skądinąd jego główną zaletę i sprawiało, że w oczach Kat stał się tak bardzo ujmujący i cenny, ponadto był dobrym kochankiem. Nie był przesadnie przystojny i niekoniecznie zawsze błyszczał intelektem. Chociaż spotykali się od ponad pięciu lat, Kat ani razu nie przemknęło przez myśl, żeby przejść w ich związku do kolejnego etapu. Każde mieszkało u siebie, widywali się, kiedy im pasowało, nie zanudzali się przesadnie opowieściami o pracy, nie składali sobie dziecinnych obietnic, które nie wytrzymałyby próby czasu. Po prostu korzystali z życia, szanowali się wzajemnie, pomagali jedno drugiemu w razie potrzeby i zamierzali żyć chwilą tak długo, jak się da. Kat nie była kobietą tuzinkową. Co to, to nie. Bez dzieci, żadnego pragnienia, by je mieć, ani żeby założyć rodzinę i zamieszkać w ładnie urządzonej drewnianym domu z psem na wycieraczce. Napawała się każdą chwilą samolubnej wolności i nie zamierzała jej poświęcić na żadnym ołtarzu, nawet ołtarzu konwencjonalnego modelu kobiety zbudowanego przez społeczeństwo. Jej własna nowoczesność polegała na wyjątkowości.

Kat pocałowała Mitcha i wyjaśniła, że czeka ją sprawa niecierpiąca zwłoki, po czym późnym wieczorem, bez cienia żalu opuściła letni dom, który wynajmowali w Catskills. Dostała niezbędną dawkę towarzystwa, zwierzeń i seksu. Czuła potrzebę powrotu do swego gniazdko, do samotności. Jej chłopak architekt zrozumie, zdążył się przyzwyczać.

*Mój Boże, „chłopak”. Okropność. W ostateczności „mój facet”. „Mój partner”, dlaczego nie? Ale „chłopak”? Przecież nie mam już dwudziestu lat!*

Odezwał się domofon, wypełniając swym dźwiękiem całe biuro, wyklejone afiszami reklamującymi pokazy magii z początku XX wieku, również stanowiącymi spuściznę po stryju Tonym. Nawet korkowa tablica pokrywała jedną ze ścian od sufitu do podłogi. Jedynie maszyna do pisania została zastąpiona przez laptopa Mac, poza tym Kat nadała całości nieco kobiecy charakter, zadbała o odrobinę zieleni, dyfuzor zapachowy i liczne książki specjalistyczne, z których nieustannie czerpała wiedzę informatyczną i prawniczą. Za jej plecami świt rozpałał świat aureolą płynnych płomieni, które spływały po stalowych konstrukcjach Wall Street, aby natychmiast zamienić je w złoto. Iluzja powtarzana dzień po dniu, jakby po to, by kazać im wszystkim podążać za własnym szaleństwem w tym eldorado, gdzie pieniądze są wyłącznie wirtualne.

Kat upewniła się, że żaden dokument nie jest otwarty, przestawiła krzesło naprzeciwko siebie, zapraszając do rozgoszczenia się, i pobięła otworzyć drzwi. Zacznie od wysłuchania jej, potem przedstawi liczby, których nauczyła się na pamięć – sposób na uspokojenie klientki, na sprawienie wrażenia, że dobrze zna tego rodzaju przypadki, na pokazanie pozytywnego aspektu: prędzej czy później 85% zaginionych osób daje znak życia.

Zerknęła w pośpiechu na swoje odbicie w lustrze obok wejścia i założyła za ucho kosmyk włosów. Swoją czuprynę – w kolorze od beżu po popielaty blond – ujarzmiła gumką i związała na karku. Lekki makijaż, akurat tyle, by uzyskać jednolity odcień cery i podkreślić nefrytowe oczy. *Doskonale*. Kat poprawiła bluzkę koszulową – trzeba nadać sobie poważny wygląd. Dwa guziki rozpięte, kiedy przyjmowała kobietę, trzy, jeśli to był mężczyzna. *Zawsze odciągać uwagę mężczyzny od rozmowy i skupiać ją na wyglądzie fizycznym, aby w razie konieczności móc to wykorzystać*. Odkąd skończyłam dwadzieścia pięć lat, aż tak się znów nie zmieniłam, pomyślała. Przynajmniej jeśli chodzi o stosowane wybiegi. Spodnie cygaretki podkreślały nadal szczupłą talię i kształtne pośladki. *Doskonale*. Tu także kryło się przesłanie: Kat Kordell ma odpowiedni wygląd do pracy w terenie. Wytrzymywać trudy. Biegać, jeśli trzeba. To się podobało klientom.

Na klatce schodowej nadal występowały problemy z oświetleniem, stwierdziła detektyw, otwierając drzwi. Transformator lamp w podwieszanym suficie, jak wyjaśnił elektryk. Najwyraźniej niczego nie naprawił. Obydwie żarówki nad progiem trzeszczały, zalewając strumieniem światła starą wytartą wykładzinę przed windą. I właśnie w jednym z takich błysków Kat ujrzała czekającą na nią postać śmierci.

Wysoka i chuda, z dłońmi splecionymi na utkanej z ciemności sukni, wpatrywała się w nią bez cienia emocji, pod czarnymi oczami jak studnie bez dna widniały sierpowate kręgi, włosy zebrane do tyłu aż do bólu, szpiczasty podbródek przedstawiający niemal fizyczną groźbę.

Wyłaniała się stopniowo, podchodząc coraz bliżej, sunęła prosto na Kat, która jęła tracić pewność siebie.

Annie Fowlings wyprostowała pozbawione ciała ramię i podała Kat kościstą dłoń.

– Proszę mi pomóc, Miss Kordell. Błagam panią.

## 5.

Wczesnoporanne słońce rozbijało się o gładkie ściany budynków Manhattanu, ciskając rozżarzone okruchy aż na drugi brzeg rzeki, poprzez biuro Kathleen Kordell, i zacięcie chłoszcząc dół twarzy jej klientki, Annie Fowlings. Stora chroniła jej oczy, zatopione w mglistym cieniu, gdzie połyskiwały słabo dwie nieruchome źrenice.

Kat nigdy nie czuła się nieswojo w towarzystwie osób, które u siebie gościła. Zdążyła się napatrzeć na pomyleńców, wpływowe, niebezpieczne indywidua, kiedy była młoda, dlatego miała twardą, ogorzałą i wytrzymałą skórę, „odporną na dziury po kulach”, jak mawiał stryj Tony, mając na myśli własne doświadczenia.

Tym razem jednak musiała przyznać, że w obecności tej kobiety była skrępowana. Poza wyglądem, którego nie powstydziliby się Morticia Addams, przeszkadzało jej zachowanie gościa. Całkowity brak życia w tej suchej skorupie, brutalnie świdrujący wzrok, wolny od wszelkich emocji poza posępną, absolutną pewnością siebie, i te jej gesty, oszczędne, wykalkulowane w najdrobniejszym szczególe, nic zbędnego. Kobieta przecięła pokój i usiadła na krześle, nie czekając na Kat, teraz zaś, gdy tkwiły twarzą w twarz, chociaż oddzielone szerokim biurkiem z lakierowanego wiśniowego drewna, detektyw miała wrażenie, że i tak znajduje się za blisko. Brakowało jej przestrzeni. Bezpieczny dystans, przemknęło jej przez głowę i natychmiast poczuła, że jest śmieszna.

– Mrs Fowlings, czy...

– Jak już mówiłam wczoraj przez telefon, zaginęła moja córka. Lena. Ma dwadzieścia dwa lata. Pragnę panią zatrudnić do odnalezienia jej.

Kat zamrugała, po czym lekko skinęła głową.

– O ile dobrze zrozumiałam, skontaktowała się pani z policją...

– Lena jest pełnoletnia, nie stanowi dla nich priorytetu, wyraźnie to wyczułam. Ich zdaniem zwiła z jakimś chłopakiem albo z przyjaciółką, chyba że uciekła od nas z takich czy innych powodów. Według nich prędzej czy później wróci. Jednym słowem nie słuchają tego, co mówię.

– Na jakiej podstawie uważa pani, że są w błędzie?

– Znam swoją córkę.

Kat skrzywiła się nieznacznie, chcąc nadać głosowi właściwe brzmienie, okazać troskę i wyrozumiałość, jednocześnie zachowując profesjonalizm.

– Większość rodziców nastolatków tak uważa i nierzadko bywają zaskoczeni. Proszę mnie źle nie zrozumieć, Mrs Fowlings, nie próbuję pani spławić, tylko zyskać pełny

ogląd sytuacji.

– Niczego innego nie oczekiwałam. Przeczytałam na pani temat wszystko, co udało mi się znaleźć w ciągu ostatniej doby. Matka, która straciła dziecko, niewiele sypia...

Kat się zachnęła. Czy ta kobieta wie, że jej doświadczenie w kwestii zaginionych dzieci jest bliskie zeru? Po co prosić o pomoc prywatną detektyw, która zajmuje się przede wszystkim zdradami małżeńskimi, burzliwymi rozwodami, zwariowanymi przedsięwzięciami albo skomplikowanym dziedziczeniem?

Annie Fowlings odparła, jakby czytała jej w myślach:

– Nie doszukałam się w pani sprawach żadnego porwania ani niczego w tym rodzaju, ale cieszy się pani bardzo dobrą opinią. Pracowała pani dla jednej z moich przyjaciółek, Clary Reese.

Kat przytaknęła, doskonale pamiętała Mrs Reese. Naiwną i zakochaną gospodynię domową, która odkryła, że mąż zdradza ją z piętnaście lat młodszą dziewczyną i zamierza się rozwieść, żeby ułożyć sobie życie na nowo. Płochliwa gazela zmieniła się w żądną krwi lwicę – Clara Reese zatrudniła Kat, aby się dowiedzieć, co knuje mąż. Chciała go rozerwać na strzępy. Tak żeby już nigdy się nie podniósł. Wyssać z niego całą krew. Kat zaś sporządziła betonowe dossier, aby jej pomóc. Dowody zdrady, planu sfałszowania rachunków firmy eksperta księgowego, aby wyczyścić konto i nic jej nie zostawić, jego skłonności do narcyzmu i perwersji. Kawał dobrej roboty. Kat nie miała pojęcia, co się stało z parą zapiekłych wrogów, to już nie należało do jej obowiązków, nie wątpiła jednak, że podczas rozprawy rozwodowej mąż musiał przeżywać przed sędzią katusze.

Odpowiadając na jej pytania, Annie Fowlings i tym razem wykazała się zdolnościami jasnowidza.

– Adam Reese popełnił samobójstwo kilka miesięcy później, a Clara promienieje bardziej niż kiedykolwiek. Wiem, że dba pani o szczegóły, że jest pani zawzięta, Miss Kordell, a ja właśnie tego szukam.

Kat przyjęła cios. To nie była odpowiednia chwila na obwinianie się. Po prostu zrobiła, co do niej należało. Postanowiła zapomnieć wszystkie wykute na pamięć liczby. Do niczego się nie przydadzą.

– Proszę mi opowiedzieć o córce – podsunęła, by odwrócić uwagę od własnej osoby.

Annie Fowlings milczała przez kilka sekund, promienie słońca odbijały się w jej idealnie białych zębach, zatrzymując się na dłużej na spierzchniętych wargach, popękanych od częstego przygryzania. Cień rzucany przez storę na jej oczy przecinał ją na pół.

– Lena to dziewczyna niezależna. Nie będę pani okłamywać: zawsze łączyły nas raczej konfliktowe relacje. Jej ojciec zmarł, gdy miała dwanaście lat, udar mózgu. Trzy

lata temu ponownie wyszłam za mąż, a ona nigdy nie zaakceptowała Malcolma, który mieszkał pod naszym dachem, kiedy była nastolatką. Następnie wyjechała na studia.

– Jaki kierunek?

– Socjologia. Lena dorastała w... powiedzmy, burzliwy sposób. Skaryfikacja, złe towarzystwo, ekstremalna muzyka, tego typu rzeczy. Śmierć ojca potwornie nią wstrząsnęła. Brakowało jej męskiej ręki, a kiedy pojawił się Malcolm, odepchnęła go.

– Narkotyki?

– Nie, na szczęście co to, to nie, udało nam się ją przed tym uchronić.

– Była dobrą studentką?

– Chociaż miała stypendium, trochę ponad rok temu rzuciła naukę. Muszę się przyznać, że i w tej kwestii się różniłyśmy, że tak łagodnie to określe. Mimo wszystko to nigdy nie zniszczyło naszej relacji matka–córka. Czasem na siebie wrzeszczymy, ale zaraz potem padamy sobie w ramiona, kiedy jest lepiej.

– Dlaczego przerwała studia?

– Nie znosiła tego rytmu, tej... maskarady, jak to nazywa. Nauka, dopasowywanie się do formy, uznawanie tekstów, które kształtują nasze społeczeństwo, za świętość. Właśnie takich używa określeń.

– Rozmawia z panią? O swoich przyjaciółach, o życiu uczuciowym, o stanach ducha...

– Raczej rzadko.

– Mieszka z panią?

– Nie, po studiach już nie wróciła. Wynajęła na spółkę mieszkanie w Queens, brała coraz więcej prac dorywczych, a potem, ponieważ nie znosiła życia we wspólnocie, jesienią przeniosła się do studia w Lower East Side, na Manhattanie, tylko na to było ją stać. Dom i dzielnica bez szału, próbowałam ją stamtąd zabrać, ale nie chciała mojej pomocy, a tym bardziej moich rad.

Kat przyglądała się badawczo swej klientce. Kobieta zastygła, nie poruszała nawet dłońmi, tylko cedziła słowa bez mrugnięcia okiem, nie pokazując na twarzy żadnych emocji. Prawdziwa plastikowa lalka... *Lalka, która mogła człowieka zdołować.*

Nagle się ożywiła i po raz pierwszy drgnęła, aby wyjąć z torebki szarą kopertę. Położyła ją na biurku, po czym z powrotem znieruchomiała, jakby była z porcelany.

– Może się to pani przydać. Duplikat jej kluczy wraz z adresem. Zapiłam nazwiska ludzi, z którymi się widuje, w każdym razie tych, których znam, a także nieliczne numery telefonów, którymi dysponuję. Znajdzie tu pani wszystko to, co wydało mi się ważne. Włącznie z namiarami na jej pracodawcę. Ostatnio pracowała w Starbucksie niedaleko domu, jak również...

Kat, która powoli odzyskiwała panowanie nad sobą, przerwała.

– Mrs Fowlings, może pani powiedzieć, kiedy się pani z nią widziała albo rozmawiała przez telefon po raz ostatni?

– Dziesięć dni temu. W środę dwudziestego siódmego marca. Wpadłam do Starbucksa, żeby sprawdzić, co u niej, ostatnio stała się bardziej daleka.

– Jak to?

– Nie oddzwaniała, nie opowiadała, co słyszeć.

– Wie pani dlaczego?

– Potrzebowała spokoju, żeby się odnaleźć. Lena zastanawiała się głęboko nad sobą, nad światem.

– Żadnych oznak depresji? Jadała normalnie? Jakaś zmiana wagi albo wyglądu?

Małe białe refleksy zniecka nabrały intensywności w półmroku. Annie Fowlings świdrowała ją wzrokiem. I po raz pierwszy Kat wydało się, że dostrzega cień emocji. *Gniewu*. Uspokoilo ją to.

– Wiem, że wypytuje mnie pani o to, żeby się upewnić, czy nie mogła gdzieś popełnić samobójstwa, chociaż nie znaleziono jeszcze ciała.

Kat nie miała ochoty jej okłamywać. Poprzestała na nieokreślonym machnięciu ręką na potwierdzenie, że to tylko hipoteza.

– Wiedziałabym, gdyby tak było – ciągnęła matka. – Moja córka się nie zabiła. To mogę pani powiedzieć.

W jej głosie brzmiała tak silna pewność, że Kat wolała zmienić temat.

– Jacyś dalecy krewni albo znajomi, do których mogła pojechać w odwiedzinach gdzieś w kraju?

– Nie. Lena nie podtrzymuje kontaktów. Zawiera znajomości, a potem traci zainteresowanie. To samotnica, taka prawdziwa.

Im wyraźniej rysował się profil dziewczyny, tym silniej Kat uświadamiała sobie, dlaczego gliny nie chciały śledczym zabierać czasu przeznaczonego na bardziej niepokojące przypadki. Wszystko wskazywało na to, że Lena Fowlings spakowała manatki, bo miała to we krwi. Chęć uwolnienia się spod matczynej presji wydawała się całkiem prawdopodobna. Być może Kat powinna podążyć jej śladem, ale czy dziewczyna zechce się wytłumaczyć przed matką albo przynajmniej dać znak życia? *To praca, odmiana, a skoro Mrs Fowlings ma pieniądze, żeby wypłacić mi honorarium, dlaczego odmawiać?*

– Czy romantyczna podróż albo egzystencjalna wyprawa samochodem wydają się pani prawdopodobne?

– Brałam to pod uwagę.

– Brała pani? Czyli że już pani nie bierze?

Spierschnięte usta się zacisnęły, pierś zafalowała i zanim jeszcze na twarzy Annie Fowlings zdążyło się odmalować jakiegokolwiek uczucie, kobieta na nowo zamknęła się w sobie. Następnie wyciągnęła z torebki telefon komórkowy.

– W nocy dostałam od niej tę wiadomość.

Podsunęła Kat aparat, na którego ekranie można było przeczytać: „U mnie w porządku, mam. Luz. Ucałuj ode mnie Tanie”.

– Kto to jest Tanie?

– Jej młodsza siostra. Może powinnam była pokazać glinom tego SMS-a, ale chyba zdążyli już sobie wyrobić własne zdanie na nasz temat. Musi mi pani pomóc.

Kat pochyliła się i oparła łokcie o krawędź biurka. Dostrzegając w swej klientce pewną kruchość, która wreszcie wypływała na powierzchnię.

– Dlaczego pani tak bardzo się niepokoi, Mrs Fowlings?

Naprzeciwno, w półmroku coś jakby zadrżało. Matka wydmuchała nos. Jej pierś unosiła się szybciej, gwałtowniej.

– Tego SMS-a nie napisała moja córka, chyba że w ten sposób przesyła mi wiadomość, że coś jej grozi.

– Ale przecież to jej numer, prawda?

Annie kiwnęła głową.

– Tylko że Tanie zmarła na białaczkę ponad dziesięć lat temu.

Na te słowa Kat zeszywniała, po czym wbiła się w oparcie krzesła, nie spuszczać wzroku ze swej klientki. Obie kobiety przyglądały się sobie nawzajem, pogrążone w zadumie.

Potem słońce przestało zalewać okna, a postać Annie Fowlings zniknęła w półmroku.



## 6.

Eli Hackenberg poprawiał węzeł krawata, jednocześnie przemierzając opuszczoną kolistą przestrzeń zoo z typową dla siebie niewzruszoną postawą i ciężkim krokiem. Ten wysoki mężczyzna miał tak jasne owłosienie, że jego brwi były prawie niewidoczne, lekko zwiędłe policzki i już obwisły podbródek, chociaż ledwie przekroczył czterdziestkę. „Hack”, jak nazywali go koledzy z policji Los Angeles, odznaczał się sylwetką napastnika drużyny amerykańskiego futbolu, lecz z powodu wielu godzin przesiedzianych za biurkiem lub za kierownicą, zamiast uprawiania sportu, stopniowo zatracił resztki dynamicznego młodzieńca, jakim kiedyś był.

Hack zdecydowanie nie należał do subtelnych. Nie bał się przeszkadzać, zadawać pytań budzących złość, nadeptywać na odciski, nikt zaś nie wiedział, czy celowo podkreśla napastliwy charakter, doskonale współgrający z jego wyglądem fizycznym, czy też rzeczywiście jest jak trzydrzwiowa szafa z lustrem i działa brutalnie, nie pytając o pozwolenie.

Zrównawszy się ze swym partnerem Atticusem Gore'em, wskazał dziesięciu umundurowanych gliniarzy, rozproszonych w poszukiwaniu dodatkowych śladów.

– Możesz mi wyjaśnić, co ja tu robię w piątek, chociaż nawet nie mam służby?

– Przejmujemy pałeczkę od Velazquez i Ottingtona.

– Kurwa, mam nadzieję, że wszystko już załatwione, nie uśmiecha mi się marnować na to całego weekendu! Następnym razem przynajmniej zapytaj mnie o zdanie...

Atticus Gore nie patrzył na niego, utkwiał wzrok w porośniętej trawą esplanadzie, otoczonej drzewami. Dostrzegał mnóstwo betonowych, brudnych i starych stołów piknikowych.

Co do Hacka, ten najwyraźniej w ogóle nie zwracał sobie głowy otoczeniem. Zmierzył od stóp do głów Atticusa, całego w dzinsie i w zamszowych botkach.

– Nawet nie włożyłeś garniaka – rzucił z lekką odrazą. – Dobra, to co tu mamy?

– Zakładamy, że nasza ofiara to Oscar Riotto. Mówię „zakładamy”, bo takie nazwisko widnieje na prawie jazdy znalezionym w jego kurtce, ale z ciała został tylko szkielet, więc nie sposób to stwierdzić po wyglądzie.

– Szkielet? To znaczy, że gość leży tu od lat?

Atticus pokręcił głową, ciągle z zamyśloną miną.

– Właśnie tu się sprawy komplikują. Stan ciała wskazuje na to, że zbrodni dokonano gdzie indziej, co wydaje się mało prawdopodobne, inni z kolei skłaniają się ku przeciwnej hipotezie: w tych warunkach nie dałoby się go przenieść. Ani grama

ciała na kościach, zmumifikowanej skóry, tego faceta nie zostawiono tutaj, żeby się rozłożył, on został wyczyszczony.

– Cholera. W sensie, że kwasami?

Atticus ponownie krótko zaprzeczył.

– W klatce piersiowej zostało kilka narządów, w połowie płynnych. Resztę szkieletu idealnie ułożono, razem z chrząstkami, kości naturalnie do siebie przylegają, a wokół jest zaschnięta krew. Raczej jakby gościa kompletnie odarto ze skóry i mięsa.

– Kurwa...

– No i zachował ubranie. To dość... niezrozumiałe. Nic do siebie nie pasuje. Niektóre elementy wskazują, że zabito go właśnie tutaj, ale to fizycznie niemożliwe. Wobec tego to musi być miejsce złożenia ciała. Wszystko sobie wzajemnie przeczy.

– Gore, w co ty nas wpakowałeś? Nie możemy sobie pozwolić na kolejną wtopę...

Niewzruszony Atticus mówił dalej:

– Jest coś jeszcze dziwniejszego: wszędzie naokoło rozdeptane owady w olbrzymich ilościach.

Przygnębiony Hack machnął swoim wielkim łapskiem.

– Czy te dwa pajace jeszcze tu są? Zobaczę, czy da się jeszcze z tego wycofać.

– Ja chcę tę sprawę, Eli. Już im to powiedziałem. Wszystko załatwione. Petrozza o tym wie i wyraził zgodę. Dostaliśmy oficjalny przydział.

Hack zaklął przez zęby.

– Policjanci przeczesują teren, żeby znaleźć ewentualnych świadków, chociaż bardzo mało prawdopodobne, żeby się jacyś trafili – dodał Atticus. Wysłałem zaufanego koleśka, by wypytał strażników ze Służby Parków Narodowych. Ich biuro jest tylko półtora kilometra stąd, to oni pilnują tego miejsca. Oczywiście tablice ostrzegające, że teren jest monitorowany przez kamery wideo, to ściema. Nie ma żadnych kamer. To tylko straszak.

Hack słuchał z roztargnieniem, nieustannie ze złością kręcąc głową. Atticus nie zwracał na to uwagi, wiedział, że wściekłość mija Hackowi równie szybko, jak się pojawia. Gdy dotarli na miejsce, pokazał mu zagrody w kształcie jaskiń.

– Ciało jest tam, nie krępuj się.

– Ależ ty jesteś upierdliwy – syknął jasnowłosy olbrzym i oddalił się we wskazanym kierunku, jednocześnie wyjmując telefon komórkowy.

Atticus wiedział, że zaraz zadzwoni do żony, aby jej wytłumaczyć, że cały dzień go nie będzie, prawdopodobnie wróci dopiero późnym wieczorem i nie spędzi weekendu w domu. Czekala go trudna przeprawa. Tylko że Atticus miał to w nosie. Każdy ma własne problemy. Hack postanowił zostać śledczym, na dodatek w wydziale zabójstw,

wraz ze wszystkimi tego konsekwencjami, jego żona była zaś świadoma wszystkich ograniczeń. To nie jego zmartwienie, wystarczyły mu już same narzekania partnera.

Ponownie uważnie omiół wzrokiem całą strefę. Małe, żółte, numerowane znaczniki ledwie wystawały z trawy. Zaczynały się przy betonowym stole pośrodku, następnie rozbiegały się nieco chaotycznie aż do sztucznej jaskini wiodącej do schodów, gdzie leżała ofiara. Ich kolejność mogła zmylić, umieszczono je bowiem jeden po drugim w miarę odkrywania śladów, co wcale nie odzwierciedlało prawdziwej chronologii wydarzeń.

Gliny wykonały dobrą robotę, przeszukując dokładnie każdy metr kwadratowy terenu, zaznaczając każde miejsce, w którym natknęły się na stertę rozgniecionych owadów. W tym przypadku Marcia Velazquez zrobiła wszystko jak należy. Ledwie zobaczyła zwłoki, nakazała przeczesać obszar w znacznej odległości, aby wyłowić także ewentualne inne nieżywe owady. To był dobry pomysł. Ponieważ walało się ich mnóstwo. Za dużo, jak na zbieg okoliczności.

Atticus zaczął rozważać rozmaite hipotezy. Zgodnie z pierwszą betonowy stół posłużył mordercy do złożenia ciała Oscara Riotta. Owiniętego w płachtę albo pokrowiec. Na miejscu nie znaleziono żadnego niebudzącego wątpliwości śladu krwi, ale być może później wszystko zostało umyte. Technicy zaraz to sprawdzą, Atticus widział, jak starannie przepatrują każdą drobinę. Zdążyli już zgromadzić w pobliżu kilka walizek, zawierających metalowe rusztowanie i płachtę dużego namiotu, które wkrótce zasłonią cały stół, aby pogrążyć się w półmroku. Rozpylą wszędzie luminol, aby wykryć cząsteczki krwi. Nawet jeśli zostały one obficie spłukane, zaświecą intensywnie na niebiesko, prawie jak neon, szczególnie na tak porowatym podłożu. O ile tam są.

Stół stanowił ważny punkt. To stamtąd wędrowały martwe owady. Przedtem nie było nic, poza drogą wyznaczoną ku niemu. Albo morderca otworzył coś, w czym znajdowały się żyjątka, a one rozlały się wszędzie, podczas gdy on kursował od stołu do ogrodzenia, albo kolejność była odwrotna: porzucenie ciała na schodach po odpakowaniu, staranne ułożenie go, wysypanie z pokrowca wszystkich insektów i ucieczka, podczas której zabójca je podeptał.

Tylko dlaczego tak się miotał?

Zupełnie jakby sam nie wiedział, dokąd idzie. Z powodu paniki? Wahania?

*Z trupem na plecach? Chyba że zostawił go na stole, żeby wybrać miejsce złożenia zwłok. I niosąc pokrowiec, zgubił po drodze jego zawartość...*

Atticus miał zastrzeżenia.

*Nie był sam. Do przeniesienia zwłok potrzeba było co najmniej dwóch osób.*

Nie miał cienia wątpliwości, że morderca albo mordercy w pewnej chwili położyli martwą ofiarę w jakimś zamkniętym miejscu, w którym roiło się od owadów, aby przyspieszyć proces oczyszczania. Nie wiedział, w jaki sposób udało im się osiągnąć podobny rezultat, ale zabierając ludzkie szczątki, musieli zgarnąć jednocześnie kilkaset małych padlinożerców, które rozsypały się po drodze niczym okruchy Tomcia Palucha.

Wszystko miało swój początek albo koniec przy tym stole.

Dwaj technicy przycupnęli między ławką a stołem, jeden pokazywał właśnie coś koledze.

Atticus podszedł bliżej.

– Coś nowego?

Młodszy z nich, którego Atticus ledwie znał i który często miewał na twarzy uśmiech równie intensywny jak czerń jego skóry, pokazał mu ciemną plamę. Wcześniej jej nie zauważyli, zdążyła już wsiąknąć w spękaną ziemię. Atticus przypomniał sobie jego imię: Devon.

– Krew. Na pierwszy rzut oka to nie takie oczywiste, ale proszę mi wierzyć, to krew. I w dodatku świeża. Ma mniej niż dobę – stwierdził Devon. – A tam, na nodze od stołu, kilka drobnych rozbryzgów. Niewiele, ale sprawdzimy, czy należy do denata.

Atticus skinął potakująco głową. Ubranie Oscara Riotta było mocno przesiąknięte krwią, nic więc dziwnego, że znalazła się aż tutaj, zwłaszcza jeśli właśnie w tym miejscu wydobyto z worka jego ciało. Rozbryzgi budziły natomiast więcej podejrzeń. Na ogół świadczą o ataku, zdradzając szeroki ruch, łuk, jaki zatoczyła broń, albo po prostu o tym, że krew wytrysnęła, kiedy jeszcze była pod ciśnieniem, co w tym wypadku nie mogło się zdarzyć.

*Chyba że nadal żył i że właśnie tutaj go zamordowano.* Nie. Niemożliwe, jak wówczas wytłumaczyć zniknięcie całej jego powłoki, tak szybko i w tym samym miejscu?

Atticus cofnął się, pozwalając technikom zrobić zdjęcia, po czym jął na powrót krążyć między znacznikami. Do stóp najeżonego otworami niewielkiego klifu, gdzie spoczywał szkielet, naliczył ich dziewięć. Dziewięć. Żadnej linii prostej, żadnego oczywistego szlaku.

*Co się tu wydarzyło?*

Coś jeszcze bardziej niepokojącego: determinacja potrzebna do pozbycia się człowieka w ten sposób. To zakrawało na gang. Meksykanie. Wydawało się mało prawdopodobne, by stała za tym jedna osoba, jeszcze mniej, że mogłaby przenieść ciało na plecach aż tutaj. Poza tym osiągnięcie takiego rezultatu wymagało cholernie dużo przebiegłości. Sama potworna inscenizacja nasuwała skojarzenie, że to sprawka karteli, które chcą przekazać jakąś wiadomość.

*W takim razie po co zostawiać go tutaj, z dala od ludzkich spojrzeń?*

Coś tu nie grało. Efekt makabry i środki niezbędne do jego uzyskania przywodziły na myśl gang, ale ciało i samo miejsce sugerowały czyn szaleńca. *Pieprzonego popaprańca...*

Atticus przykucnął przy jednym ze znaczników. Tuż obok, w podeptanej trawie, widniała miazga chityny i odnóży. Rozejrzawszy się w pośpiechu, czy nikt go nie obserwuje, wyjął plastikową torebkę i schował do niej kilka owadzich szczątków. Zamknął ją i dyskretnie wsunął do tylnej kieszeni spodni. Laboratorium i tak dostanie tego mnóstwo, to w niczym nie zaszkodzi śledztwu. Powtórzył tę operację w dwóch kolejnych miejscach, zanim uznał, że już wystarczy. Ekspertyza zajmie sporo czasu. Atticus wiedział najlepiej, że z laboratorium kryminalistycznym nie współpracuje żaden entomolog, jedynie paru techników dysponujących bazami danych do pomocy. W razie konieczności zwracano się po wyjaśnienia do jakiegoś nienależącego do policji specjalisty, konkretnie do profesora na uniwersytecie albo pracownika muzeum.

Pod jednym z łuków zagrody ponownie ukazał się Hack z telefonem przy uchu. Atticus zastanawiał się, czy cały ten czas przegadał z żoną, chociaż miał przed oczami zwłoki.

Hack ruszył ku niemu swym żwawym, ciężkim krokiem. Nie sposób było ocenić, czy jest wkurzony i szykuje się do starcia partnera na proch, czy też to jego normalny stan.

Rozłączył się, kiedy się zrównał z Atticusem i o mało nie podeptał owadziej papki. Ominął ją jednak, potknął się o znacznik i obraził czyjąś matkę.

– Wykurzają nas stąd – oznajmił. – Ten twój Oscar Riotta to nie nasza ofiara.

– Jesteś pewien? Patolog zdaje się stwierdził, że rozmiar szkieletu może odpowiadać...

– Na sto procent. Dopiero co dzwoniłem, żeby przepuścili Riotta przez NECS<sup>3</sup>, i wyobraź sobie, że wczesnym wieczorem naszego gościa zatrzymali chłopcy z Zachodniego Biura. Przekroczenie prędkości. Właśnie gadałem z kumplem, który go przesłuchiwał, jest absolutnie pewien, że miał przed sobą Oscara Riotta, chyba że facet ma brata bliźniaka!

Atticus powrócił myślami do stanu zwłok na schodach. Owady nie mogły ich oczyścić w ciągu kilku godzin, potrzeba by przynajmniej kilku tygodni, a nawet miesięcy, powtarzał sobie bez przerwy.

*A przecież ciuchy nie były zakurzone ani szczególnie brudne, w dodatku poplamione świeżą krwią. A kości były idealnie ze sobą połączone.*

– Niemożliwe – potwierdził Hack. – To nie pasuje do szkieletu. Nie w ciągu jednej nocy. Więc albo nasz John Doe<sup>4</sup> rąbnął Riottowi portfel, albo ktoś mu go wsunął do kieszeni po tym, jak go sprzątnął.

Atticus splótł ręce na piersi. Po raz kolejny powiódł wokoło wzrokiem. Czuł, że powinien kontynuować czynności tutaj, że kryją się tu jeszcze elementy, które trzeba przeświecić. Jednocześnie miał świadomość, że w przypadku zabójstwa należy koniecznie działać szybko, podążyć śladami mordercy, dopóki są świeże.

*Najważniejsze pytanie brzmi: czy zbrodnia wydarzyła się niedawno?*

Technicznie nie było to prawdopodobne. Instynkt podpowiadał mu jednak, żeby chociaż raz nie kierował się zbytnio rozumem. Żeby otworzył się na inne możliwości, nawet jeśli chwilowo nie do końca pojmuje jakie.

– Zostaw brykę tutaj – rzekł Hack – pojedziemy moją. Prowadzisz jak świr, a jak jeszcze raz usłyszysz tę twoją satanistyczną muzykę, przystawię ci sfluwę do głowy.

– Znasz adres?

– Mam nadzieję, że ten cały Oscar Riotto potrafi nam to wyjaśnić. Jeśli wpakowałeś nas w jakąś brudną sprawę, przysięgam, że poproszę o zmianę partnera.

Nieco dalej technicy otworzyli walizki i zaczęli rozstawiać namiot. Zaraz rozpylą swoje serum prawdy – aby to miejsce przemówiło. Będą szukać niewidocznych śladów. Widm krwi.

## 7.

Z sieci autostrad na dzielnice biznesowe rozlało się mrowie pracowników, zmniejszając częściowo ruch uliczny w pobliżu centrum, którego budynki górowały nad Los Angeles niczym połączone z resztą świata anteny.

Eli Hackenberg zdążył wpaść na hollywoodzki komisariat jeszcze tego samego poranka, aby zamienić samochód prywatny na służbowy, po czym szary ford taurus opuścił węzeł drogowy na poziomie Pico-Union i wtopił się w South Union Avenue. W sektor mieszkalny, szereg małych przysadzistych budynków pozbawionych uroku, i ciągów handlowych, zapewniających samowystarczalność każdemu lub prawie każdemu kwartałowi domów, który przecinały węższe ulice obsadzone drzewami, aby stworzyć złudzenie, że w tym jądrze z czystej stali i szarego betonu, spowitym tłustym woalem smogu, przyroda ciągle jest żywa.

Hack skręcił w jedną z ulic i zwolnił na widok dwupiętrowej budowli, następnie wycelował palec w jej kierunku.

– Tym razem zaparkuję trochę wcześniej, nigdy nic nie wiadomo.

– Czego ty się obawiasz?

– Ostrożności nigdy za wiele. Nie mam ochoty na biegi, dzień jest jeszcze na to za młody.

Nie chcąc się sprzeciwiać partnerowi, Atticus pozwolił mu stanąć jakieś pięćdziesiąt metrów przed celem. Po trzech minutach już byli na szczycie schodów, na piętrze przeznaczonym dla dwóch mieszkań. Hack mocno uderzył otwartą dłońią w drzwi, obwieszczając, że są z policji.

Ich skrzydło uchyliło się lekko pod naporem ręki, ukazując wyłamana blachę, która nie trzymała już rygla.

Hack i Atticus wymienili porozumiewawcze spojrzenie i obaj wyciągnęli broń.

– Policja Los Angeles! – powtórzył głośniejszym głosem Hack. – Jest tu kto? Wchodzimy!

Pchnął kopniakiem drzwi, Atticus zaś wśliznął się do przedpokoju, trzymając glocka na wysokości piersi, gotów w razie potrzeby wycelować.

Atticus obrócił się zwinnie dookoła własnej osi i uważnie rozejrzał. Kuchnia, salon i drzwi, zapewne do sypialni. Hack czym prędzej do niej wkroczył. Wszystko zostało wywrócone do góry nogami. Pootwierane szafki kuchenne, pudełko z płatkami i paczka makaronu wybebeszone pośród butelek z wodą i napojami gazowanymi. Salon spotkał ten sam los: książki rozsypane po parkiecie, rozwalone drzwi do szafy,

kartonowe teczki rozrzucone po stole. Kanapę wypatroszono w kilku miejscach, aby przeszukać zawartość pianki.

– Czysto – oświadczył Hack, wracając do salonu i chowając broń. – Sypialnię też ktoś splądrował.

Atticus także schował pistolet. Omiótł baczny wzrokiem pomieszczenie w poszukiwaniu informacji, jednocześnie wkładając lateksowe rękawiczki.

Hack skrzywił się, odsłaniając niemal zbyt równe zęby, żeby mogły być prawdziwe.

– Najwyraźniej Oscar Riotto naraził się złym ludziom – skwitował. – Najpierw portfel w kieszeni umrzyka, a teraz to.

– Słabe szanse, żebyśmy cokolwiek znaleźli. Wszystko już pozbierano.

Dla świętego spokoju Atticus zabrał się do przeglądania rozsypanych po stole papierów. Wydrukowane strony z Wikipedii, artykuły prasowe i sporo dokumentów ewidentnie ściągniętych z blogów internetowych. Krążąc po poboju, zauważył nadal podłączony do gniazdka zasilacz do komputera.

– Przypuszczam, że nie natrafimy na pasujący do tego laptop – powiedział.

– To by się mogło zgadzać z hipotezą o meksykańskim kartelu.

Wcześniej, po drodze, Atticus przedstawił partnerowi wszystkie swoje teorie.

Hack rozwinął myśl:

– To znaczy śmierć przez... pożarcie ciała, inscenizacja ze szkieletem i zdewastowane mieszkanie. Oscar Riotto ukrywał dragi albo hajs. W dodatku to mocno latynoska dzielnica.

Atticus spróbował odciąć się od wszelkich opinii na ten temat. Brak jakichkolwiek informacji o ofiarach był aż nadto oczywisty. Właśnie od tego powinni zacząć. Kim jest Oscar Riotto i gdzie obecnie przebywa? Czy żyje? Należało również zidentyfikować ciało z Griffith Park.

– Czym się zajmuje ten cały Riotto? – zapytał.

Hack wzruszył ramionami, tymczasem czyjś cienki głos odparł od progu:

– To dziennikarz.

Postawny blondyn położył dłoń na kolbie pistoletu, lecz zaraz ochłonął.

W drzwiach stała ze skrzyżowanymi ramionami i zaniepokojoną miną drobna, opalona brunetka około pięćdziesiątki. Miała podkrążone oczy, a na jej twarzy znać już było upływ czasu.

– A pani to kto?

– Sąsiadka z dołu. Słyszałam, jak panowie krzyczeli. Jesteście z policji, prawda? – stwierdziła, wpatrując się w odznakę, którą Hack nosił przy pasku.

– Komisariat Hollywood – uściślił Hack, wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki notatnik. – A pani?



– Nazywam się Rosalina Torrebiarte.

Mówiła prawie bez akcentu, chociaż jej wygląd zdradzał pochodzenie. Salvador albo Gwatemala, ocenił Atticus. Dwie narodowości silnie reprezentowane w Pico-Union, zwłaszcza od końca lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kiedy to wojny domowe zmusiły je do emigracji. Wiek się zgadzał.

– Zna pani Oscara Riotta? – zapytał Atticus.

– Tak, oczywiście, mijamy się od czasu do czasu.

– Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

– Czy coś mu się stało?

– Kiedy to było, Mrs Torrebiarte?

– Eee... Wczoraj. Po południu. Wpadłam na niego, kiedy wychodził. Właśnie wracałam z zakupów. Nic mu nie jest?

Hack i Atticus wymienili ukradkowe spojrzenia. Wiadomość, że Oscar Riotta żyje, oprócz wieczornego zeznania potwierdzona przez bliską osobę. Technicznie to niemożliwe, by w zoo znaleziono jego ciało doszczętnie ogołoczone z tkanek.

– Właśnie tego chcielibyśmy się dowiedzieć – wtrącił Hack, wskazując mieszkanie.

– Czy wczoraj albo dzisiaj coś pani słyszała? Może w nocy?

Zdenerwowana kobieta kategorycznie pokręciła głową, nie rozplatając rąk.

– Tylko że w nocy mnie nie ma. Pracuję w szpitalu Świętego Wincentego. Wracam koło siódmej.

– Ostatniej nocy też? – naciskał Hack.

– Tak.

– Ktoś z panią mieszka? Mąż?

– Córka Ximena. Ale ona nic nie słyszała, w przeciwnym razie powiedziała by mi o tym. Sypia ze słuchawkami na uszach. Wiem, że to niezdrowe, ciągle jej to powtarzam, ale to do niej nie dociera. W ten sposób może zasnąć. Wolę już to od leków, jednak mimo wszystko...

Hack przytaknął nie bez ironii, unosząc niemal przezroczyście brwi.

– W jakim jest wieku? – zapytał Atticus.

– Ma dwadzieścia cztery lata. Mieszka u mnie, bo przy pensji kasjerki trudno coś znaleźć.

– I zna pana Riotta?

Rosalina Torrebiarte nie zdołała ukryć zakłopotania.

– Tak, trochę.

Wyczuwając jej skrępowanie, Atticus nie dawał za wygraną.

– Czy pani córka i Mr Riotta się spotykają?

– Widują się...

Atticus się przysunął, przewyższał kobietę o głowę. Spojrzał jej w oczy, unikające jego wzroku.

– Spotykają się?

Nieśmiało poruszyła ramieniem.

– Oscar ją lubi.

– Podrywa ją, prawda?

– Możliwe.

Wyraźnie ją to peszy, w każdym razie z takich czy innych powodów nie podoba jej się ta relacja, ocenił Atticus. Postanowił więc zmienić podejście.

– Dla której redakcji pracuje?

– Jest niezależny. Prowadzi blog.

Hack, który przysłuchiwał się rozmowie, nie przestając krążyć po salonie, przystanął, by zapytać:

– I żyje z tego?

– Tak mi się wydaje. Niezbyt dobrze, bo inaczej by tu nie mieszkał, ale daje sobie radę.

Atticus przejął pałeczkę:

– Jakie tematy porusza?

– Nie mam pojęcia. Nie czytuję go. Nie mam czasu...

– Czy pani córka pomaga mu w zdobywaniu informacji?

Rosalina zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie. Ale wiem, że on bardzo lubi się przed nią chwalić.

Rysy jej twarzy ściągnęły się, uwydatniając zmarszczki, tak jakby kierunek, w jakim zmierzała rozmowa, nie przypadł jej do gustu, mimo to w końcu się przełamała i powiedziała:

– Jest trochę zarozumiały.

– Orientuje się pani, czy nie wpadł w złe towarzystwo? Może widziała pani kręcące się tutaj podejrzanе typy?

– O ile wiem, to nie. To spokojny człowiek. Proszę posłuchać, nie chcę go wpędzić w kłopoty, on jest trochę... *caliente*, ale to nie jest zły człowiek.

Atticus uspokajająco skinął głową.

– Zna pani jakąś jego rodzinę, którą moglibyśmy wypytać?

– Nie, nigdy o niej nie wspominał. Według mnie jest raczej... samotny pod tym względem. Chyba nie pochodzi z Kalifornii.

Atticus poruszył jeszcze parę kwestii formalnych, wypytał o adres pracy córki, po czym zapisał najważniejsze rzeczy w notesie. Następnie, aby rozwiać wątpliwości

kobiety, oświadczył, że wezwie radiowóz, aby policjant zapieczętował drzwi, zanim przyjedzie ślusarz.

Biorąc od Atticusa Gore'a wizytówkę, Rosalina obiecała, że zadzwoni, jak tylko Oscar Riotto się pojawi.

Zostawszy sami, obaj detektywi niemal równocześnie westchnęli.

– Coś tu śmierdzi – rzucił Hack. – Niezależny dziennikarz? Jasne. To ściema. Na zapleczu handluje dragami. Właśnie tak to widzę.

– Chciałbym przesłuchać dziewczynę.

Hack machnął ręką.

– Powodzenia. Co do mnie, mam zamiar dowiedzieć się czegoś więcej na temat tego całego Riotta. Wracam do biura poszperać. Potrzebujemy dokładniejszych danych. Gdzie są rzeczy denata z zoo?

– Velazquez i Ottington właśnie wprowadzają je do rejestru i próbują zdobyć nakaz, żeby sprawdzić telefon.

– Świetnie. Ja ogarnę resztę. Powodzenia z dziewczyną – dodał Hack, klepiąc partnera mocno po plecach. – Poradzisz sobie z powrotem? Wieczorem podwiozę cię do zoo, żebyś odzyskał wóz.

Atticus przytaknął, nie przestając się rozglądać po mieszkaniu. Starał się nie nadeptywać na leżące na podłodze przedmioty, odsuwając je czubkiem buta. Było tam mnóstwo książek – bardzo mało powieści, głównie dzieła naukowe, z rozmaitych dziedzin. Podniósł kilka z nich. Budowa samochodu, sporo ekologii. Ekspertyza finansowa, księgowość, zamówienia publiczne. Parę albumów o sztuce.

Hack już miał wychodzić, gdy Atticus go zawołał.

– Nasz trup z zoo to faktycznie Oscar Riotto.

– Niemożliwe! Świadkowie widzieli go żywego jeszcze wczoraj, w tym gliniarz. Nie można się zamienić w szkielet w ciągu jednej nocy, doskonale o tym wiesz.

Atticus kucał, ściskając w dłoni fotografię w ramce. Przedstawiała mężczyznę, który uśmiechał się szeroko, stojąc na rufie statku i trzymając w ramionach świeżo złowionego olbrzymiego tuńczyka. Oscar Riotto. Ten sam co w dokumentach.

Atticus wskazał ogromny sygnet, wyraźnie widoczny na palcu. Z czerwonym kamieniem. Taki sam jak na dłoni szkieletu.

## 8.

Kat Kordell czuła się swobodnie w drelichu khaki, butach do marszu i wytartej skórzanej kurtce. Poza tym idealnie się wtapiała w faunę East Village. Wolą się przebrać przed wyprawą do miejsca, o którym wiedziała, że jest odosobnione i nie zawsze bezpieczne, zamiast wparować tam w seksownej bluzce i spodniach, znakomicie podkreślających figurę. Zdołała wcisnąć większą część kasztanowej czupryny pod czapkę Jankesów, a szmaragdowozielone oczy schowała za okularami przeciwsłonecznymi w okrągłych oprawkach. W wieżowcach na East Village, skąd roztaczał się widok na FDR Drive, tłoczyło się parę tysięcy mieszkańców, z których część niekoniecznie zasługiwała na szacunek.

Annie Fowlings dostarczyła jej sporo danych do pracy. Kat zapamiętała wizerunek Leny ze zrobionego niedawno selfie z matką: na zdjęciu dziewczyna była w czarnym, luźno dzianym swetrze, miała bladą pociągłą twarz z dwoma ciemnymi oczodołami i hebanowe wargi. Czarny, gotycki makijaż i pasujące do niego kręgi pod oczami. Półuśmiech nie wystarczył, by przykryć głęboki smutek.

– Wzięłam najświeższe zdjęcie, jakie mam, i takie, na którym wygląda w miarę neutralnie – wyjaśniła matka w biurze Kat dwie godziny wcześniej. – Żeby mogła ją pani od razu rozpoznać, jak tylko ją pani odnajdzie.

Kat wątpiła jednak, by dysponowała pełną kolekcją fotografii, na których jej córka się śmieje albo robi miny. Skromne informacje, jakie o niej zdobyła, i to, co widziała teraz, wskazywało na młodą, osowiałą, pozbawioną energii kobietę. SMS, który wzbudził w Annie Fowlings panikę, był dość niepokojący, tutaj Kat musiała się z nią zgodzić. Po co wspominać o młodszej siostrze, zmarłej przed ponad dziesięcioma laty, jakby wciąż żyła? Kat poradziła klientce, by wróciła z tym SMS-em na policję i wszystko im wytłumaczyła. Nie chciała jej martwić, ale to nie wyglądało dobrze. Mimo to Annie powierzyła jej misję, honorarium nie stanowiło żadnego problemu. Lecz co do jednego Kat postawiła sprawę jasno: kiedy prywatnemu detektywowi udaje się natrafić na ślad osoby zaginionej, to do tej osoby należy decyzja, czy nawiąże kontakt z otoczeniem, czy też nie. Kat w żadnym razie nie może jej niczego narzucać. Co oznaczało, że nie zdradzi Annie Fowlings, gdzie przebywa jej córka, jeśli sama Lena nie zechce, by matka to wiedziała. Jej klientka się zgodziła. Jak tylko uzyska potwierdzenie, że Lena jest zdrowa i bezpieczna, na tym poprzestanie.

W tej dzielnicy chodniki nie były tak dobrze utrzymane jak te bardziej uczęszczane w zachodniej części miasta. Spomiędzy rozchwianych kafli, usiłujących schwytać

w pułapkę każdą postawioną na nich stopę, wyrastała trawa, poza tym wszędzie leżały sterty śmieci. Większość ludzi szła szybko, ze spuszczoneym wzrokiem, starając się w miarę możliwości unikać kontaktu z innymi. Jeśli się dobrze zastanowić, była w tym jakaś ironia: właśnie tutaj dało się złapać wielu hakerów. Asów wirtualu, którzy mnożyli znajomości w równoległym świecie, podczas gdy w realu rozpływali się wśród cieni. Ale czy natura nowoczesnych relacji nie polega akurat na tym? Portale społecznościowe wyrastały w internecie jak grzyby po deszczu, gdy tymczasem w prawdziwej rzeczywistości relacje międzyludzkie stawały się coraz bardziej napięte. Taki był los tej dekady. Nowe eldorado, podbój Zachodu dla wszystkich, zacierający fizyczne, finansowe, a nawet intelektualne różnice. Każdy znajdował tu swoje miejsce wraz z uczuciem nadziei, akceptacji, przynależności i fasadą, której nie dostrzegał już pod prawdziwą tożsamością. „Prawdziwe życie”, służące głównie do karmienia cyfrowych profili, aby zaistnieć w sieci. Wiele to mówiło o kondycji świata.

*Starzejesz się, moje biedactwo. Młodzi wcale tak tego nie widzą. Dla jednych to zamierzona dwoistość, dla innych kontynuacja, naturalne narzędzie albo po prostu inna strona ich samych. Ludzie już się nie spotykają za pośrednictwem wspólnych znajomych, oni rozszerzają swoje możliwości na cały świat poprzez sieć. Masz cykora, bo to, co się dzieje, oznacza, że twoje granice się walą, a ty do tego nie dorostaś, nie nauczyłaś się, żeby mieć nieograniczone horyzonty, one zależą wyłącznie od tego, ile czasu jesteś gotowa im poświęcić.*

Co za różnica, czy się zestarzała, czy nie – prawdopodobnie ją to przerosło. Jednak w tej sprawie było coś, co budziło niepokój.

Kat podążyła wzdłuż szkoły podstawowej, która z powodu pozbawionych okien murów przypominała schron, następnie ruszyła w kierunku czegoś, co z początku wzięła za ukryty za wysoką siatką i nielicznymi drzewami oraz krzakami magazyn. Kamienny krzyż nad wejściem świadczył o tym, że to kościół. Trafiła do celu. Wcześniej odnalazła to miejsce w Google Maps, aby nie sprawiać wrażenia zabłąkanej turystki. Naprzeciwko, nad elektrownią ciepłą należącą do Consolidated Edison, której wysokie kominy blokowały drogę, a wysyłana przez nią para zasilala kaloryfery i klimatyzatory Manhattanu, górowały budynki z czerwonej cegły. Wieżowce mieszkalne tworzyły skupiska w kształcie krzyża, jakby dzięki temu ludność mogła się stać bardziej anonimowa. Otaczały je przypominające bunkry szkoły, kościoły podobne do opuszczonych hangarów, hałaśliwe autostrady i dymiące fabryki. Po namyśle Kat doszła do wniosku, że w gruncie rzeczy nie brak powodów, by przez cały czas wbijać wzrok w ziemię.

Lena mieszkała na dziewiątym piętrze w budynku 10C. Z duplikatem kluczy w kieszeni Kat prędko odnalazła właściwe wejście i zajrzała do skrzynki na listy, skąd

wyjęła stertę korespondencji. Wsunęła znalezisko do płóciennej torby z zamiarem przeczytania go na górze, po czym w pośpiechu minęła windę, woląc wspiąć się po schodach. Odrobina ruchu dobrze jej zrobi. Wąska przestrzeń, świeżo pomalowane, choć w niektórych miejscach już pomazane ściany. Kat zrobiła parę przystanków, by złapać oddech przed wdrapaniem się na samą górę w żółtym blasku sufitowych lamp. Kiedy dotarła na dziewiąte piętro, piekły ją uda. Namierzywszy drzwi Leny, zadzwoniła, a gdy nie było odpowiedzi, otworzyła je i cicho za sobą zamknęła. Zdjęła okulary i czapkę. W środku panował mrok. Żaluzje były zaciągnięte, mieszkanie spowijał mdlący odór. Smród roztopionego zjełczałego tłuszczu wymieszany z kwaśnym, metalicznym fetorem zepsutego mięsa. Zapach śmierci. Kat natychmiast się uspokoiła. *Gdyby to było ciało Leny, cuchnęłoby jeszcze bardziej. Nieznośnie. W tym wypadku woń jest bardziej... nieśmiała.* Czyżby spleśniałe jedzenie w kuchni? Nie tylko, pomyślała, szukając ręką wyłącznika. Mimo że go wcisnęła, kliknął, nie rozprasząc mroku. *Jak długo nie płaciłaś rachunku za prąd, Leno?*

Jako że na szczęście Kat nie była nowicjuską, wyciągnęła z kieszeni małą latarkę, w której blasku natychmiast ukazały się fruujące w powietrzu drobinki kurzu. Po lewej znajdował się salon, dalej zapewne kuchnia, a naprzeciwko sypialnia i łazienka. Kat postanowiła zachować kolejność, toteż weszła do salonu. Stała w progu jak wryta, o mały włos głowa nie uwięzła jej bowiem w jakimś kształcie tańczącym miękko w powietrzu. W okrągłej, osobliwej płataninie nici, podobnej do utkanej rozety. Gdy oświetliła ów przedmiot latarką, rozpoznała indiański łapacz snów o średnicy jakichś pięćdziesięciu centymetrów. Zwisał z sufitu.

Snop światła podążył dalej, odkrywając obecność trzech innych łapaczy snów, które obracały się powoli wokół własnej osi w każdym rogu pokoju. *To z powodu ruchu powietrza, który nastąpił po moim wejściu.* Kat odsunęła od siebie wszelkie głupie myśli. Jest sama w tych ścianach, to nie ulega wątpliwości.

Lena ma wyjątkowy gust, jeżeli chodzi o urządzenie wnętrza, pomyślała prywatna detektyw, chwytając łapacz snów przed sobą. Powoli badała otoczenie, opierając się na tym, co zechciał przed nią odsłonić słaby blask latarki. Zasłany książkami i papierami stół oraz cztery krzesła. Z boku sofa, a na niej zwinięta w kłębek narzuta, napoczęta paczka herbatników i pognieciony T-shirt. W głębi długa etażerka pełna książek i porzucanych przedmiotów, kilka przewróconych tomów, nieustawionych w pionie tak jak pozostałe, pośrodku walająca się szklanka, a dalej filiżanka. Nie ma telewizora, zauważyła Kat. Wszędzie lichtarze. A na każdym meblu kadzidełka. *Żeby zabić smród zgnilizny?* To by oznaczało, że Lena żyła z tym odorem. Nie, to mało prawdopodobne. Musiała wynieść się z mieszkania, nie sprzątnąwszy go, i Bóg jeden wie, na co Kat natrafi po wejściu do kuchni. Kadzidełka były tu tylko dla przyjemności.

Z wyjątkiem dwóch plakatów jakichś gotyckich albo punkowych zespołów – Kat nie potrafiła ich odróżnić – ściany były nagie.

Przez szparę w żaluzji jedynego okna przenikał z trudem wąły promyk słońca, a jego złota kreska kładła się na imitującym parkiet linoleum. Pod sofą leżała butelka po coca-coli. Czyżby Lena opuściła przed wyjściem wszystkie żaluzje, przewidując, że długo jej nie będzie, czy też wyruszyła wczesnym rankiem i nie miała czasu, żeby wszystko poodstłaniać? Czy miała w zwyczaju zamykać wszystko szczelnie na noc?

Kat usiłowała zapanować nad lawiną pytań i jakoś je uporządkować. Jedne miały sens, inne wymagały zdobycia danych, a co za tym idzie wyłuskania źródła tych informacji, a jeszcze inne wprowadzały chaos, dlatego na razie należało je oddalić.

*Czy wyjechałaby gdzieś daleko i nie posprzątała całego tego bajzlu?* Kat zanotowała w myślach, by zapytać matkę, a zwłaszcza ewentualne przyjaciółki, czy Lena jest maniaczką porządku, czy bałaganiarą. To zupełnie nie wyglądało na włamanie, tylko na ślady życia, które dziewczyna nieposiadająca nawyku sprzątnięcia bez trudu zdołałaby pozostawić.

Kat podeszła do stołu, pochyliwszy się zaś, stwierdziła, że na blacie praktycznie nie ma kurzu. Lena wcale aż tak dawno temu nie zniknęła. Dziesięć dni – jak oceniła matka – to by mogło pasować. Kat w żadnym razie nie traktowała tego jak niepodważalny dowód, lubiła jednak gromadzić informacje, żeby wyrobić sobie własny pogląd.

Zauważywszy na stoliku nocnym obok sofy stos ulotek reklamowych, nie mogła się powstrzymać, by w pośpiechu ich nie przejrzeć. Głównie dotyczyły koncertów. Punk, gotyk, hard rock, ten rodzaj muzyki, której Kat zupełnie nie знаła. W skromnych salach, niektóre w pobliskich, inne w bardziej oddalonych, na Brooklynie, jeden w Queens. Event polegający na tatuażu na żywo, kolejny to seans piercingu i publicznej skaryfikacji. Reklama konferencji na temat apokalipsy. Następnie zapowiedzi wieczorów tematycznych w tym samym klimacie. *Ćwieki, skóra, makijaż i dużo decybeli*, pomyślała Kat. *Prawdopodobnie alkohol i narkotyki*. Czy Lena poznawała tam jakichś ludzi? Nie jest to ten typ imprez, na które kobieta chodzi w pojedynkę, musiała mieć chociaż jedną osobę, która by jej towarzyszyła. Należało ją zidentyfikować.

Czy miała chłopaka?

*Zbyteczne pytanie. Później. Trzymaj się konkretów, tego, co tu i teraz.*

Przysunęła się, by dokładniej się przyjrzeć rozrzuconym na stole książkom. Jak na dziewczynę, która rzuciła studia, Lena sprawiała wrażenie niezłe pochłoniętej nauką.

Publikacje z dziedziny tatuażu. Dwie przypominały katalogi ze zdjęciami, większość wszakże obejmowała teorię, historię tatuażu, symbolikę...

*Podręcznik do samobójstwa doskonałego.*

Tym razem Kat chwyciła książkę i powoli przekartkowała. Wiele stron miało pozaginane rogi. Wszędzie tam, gdzie znajdował się dokładny opis, jak się zabić, nie zadając sobie cierpienia.

*Cholera.*

Kat przeszła do biblioteczki w głębi pokoju. Lena najwyraźniej zachowała podręczniki do socjologii. Zajmowały sporo przestrzeni, detektyw spostrzegła jednak, że wszystkie zostały upchnięte niżej, w mniej dostępnym miejscu. Wyżej stały książki o filozofii, kilka o duchowości, było też parę poradników na temat tego, jak osiągnąć dobre samopoczucie, odnaleźć samego siebie, wyzwolić się spod ludzkich spojrzeń, żyć poza społeczeństwem i tak dalej. Jeszcze inne traktowały o tatuażu, ale tym razem o samej technice, kolejne o różnicach między istniejącymi tuszami. Również w tym przypadku Kat natknęła się na instrukcję dokonania samobójstwa, tuż obok książki z czarnym grzbietem, zatytułowanej „Śmierć: dlaczego się jej boimy?”.

Zaczynało się robić nieciekawie. Kat obawiała się dalszego ciągu.

*Skoro ze sobą skończyła, w takim razie kto wysłał jej matce SMS-a wczoraj wieczorem?  
I dlaczego?*

Będzie musiała sprawdzić wszystkie niezidentyfikowane ofiary znalezione ostatnio w promieniu co najmniej stu pięćdziesięciu kilometrów. Zrobić listę młodych kobiet. Kiedy Kat zapytała Annie Fowlings, czy Lena nie ma jakichś znaków szczególnych, tamta zacisnęła zęby. Znając powód tego pytania, z pewnością stoczyła bitwę sama ze sobą, zanim wzięła tę możliwość pod uwagę i odpowiedziała. Lena nosiła na lewej łopatce wytatuowanego anioła na pamiątkę młodszej siostry, Annie podejrzewała jednak, że potem córka zrobiła sobie kolejne tatuaże, chociaż nie mogła mieć pewności: Lena nie lubi wydekoltowanych ubrań, sporo ukrywa.

Kat upewni się, czy na którychś zwłokach młodych kobiet nie widnieje anioł na lewej łopatce. Może gliny wszczęły przynajmniej takie poszukiwania, o ile przestrzegały minimum zasad profesjonalizmu. Było to jednak mało prawdopodobne: Annie Fowlings nie należała do osób budzących współczucie, a jej córka miała prawo wyjechać daleko bez znaku życia, jeśli tylko przyszła jej na to ochota.

*A jeżeli te książki są własnością kogoś innego, kto często tu wpadał? Choćby chłopaka...*  
W gruncie rzeczy to pytanie wcale nie było pozbawione sensu. Kat nie bardzo wierzyła w taką ewentualność, ale niczego nie należało wykluczać.

Jej wzrok powędrował w górę – na szczycie mebla leżało wahadełko wraz z talią tarota, a za nimi książki z dziedziny ezoteryki. Biała magia, czarna magia, przewidywanie przyszłości, siły tajemne i tego typu rzeczy. Większość z nich nosiła



ślady zniszczenia, świadczące o częstym użytkowaniu. Lena miała obsesję. *Chyba że kupiła je z drugiej ręki... Wyluzuj, nie spiesz się z wyciąganiem wniosków.*

Kat zawahała się, czy wyjąć aparat i obfotografować każdy najmniejszy fragment salonu, lecz w końcu zdecydowała, że najpierw dokładnie się rozejrzy.

W kuchni nie śmierdziało mocniej niż gdzie indziej – chyba że węch już zdążył się jej przytępić – i znać w niej było to samo niechlujstwo: stojące w zlewie, częściowo zapleśniałe naczynia, bałagan w szafkach, wątpliwa czystość... Wszędzie po trochu walały się torebki z kawą ze Starbucksa. Zbyt dużo, by można je było uznać za zwykłe niepochowane zakupy. Podwędzone w miejscu pracy...

Kat ostrożnie położyła dłoń na lodówce, przed otwarciem zaczerpnęła jednak solidny haust powietrza.

W świetle latarki spostrzegła niemal puste półki z wyjątkiem kubka jogurtu, pojemnika z serem topionym i paru przypraw. Ani śladu mdlącego zapachu czy talerza, po którym by coś pełzało. Odetchnęła z ulgą, ale ponownie ją zastanowiło, skąd tak cuchnie zgnilizną.

Wśliznęła się do przedpokoju i czubkiem buta pchnęła drzwi do sypialni. Snop latarki ukazał fragment niepościelonego łóżka i leżącą u jego stóp bluzę z kapturem.

Kat nieufnie weszła do pokoju.

Swąd dochodził stąd, bez cienia wątpliwości.

Szeroki materac, ale tylko jeden stolik nocny i ani śladu obecności mężczyzny czy kogokolwiek innego. *Trzeba to sprawdzić, przeglądając garderobę i łazienkę.* Wszystko wskazywało na to, że Lena naprawdę mieszka sama. Żadnych ozdób. Zamknięta szafa. Funkcjonalna sypialnia.

*Nie z rodzaju tych, w których człowiek spędza...*

Znieruchomiała.

Naprzeciwko łóżka, na komodzie spoczywał kłęb sierści, jakby siedział z rozstawionymi łapami. W nienaturalnie białym świetle futro kota wydawało się szare. Jego łeb leżał odwrócony na bok, nad rozplatanym brzuchem z wnętrznościami na wierzchu.

Wtem trzewia drgnęły, uniosły się i jęły sunąć w kierunku Kat. Detektyw przytrzymała się futryny, żeby nie upaść. Stanowczym gestem skierowała światło na całą tę potworność i wtedy zrozumiała.

W zepsutym mięsie roiły się czerwie, tworząc złudzenie, że się przemieszcza.

W blasku latarki mignęło ukradkiem brudne ostrze skalpela, a po nim kolejne narzędzia chirurgiczne. Kat miała ochotę wyjść, spisać sypialnię na straty, lecz nie pozwolił jej na to instynkt zawodowca. Nawet jeśli wszystko wydawało się jasne, wzięwszy pod uwagę osobliwe upodobania Leny i jej lektury, należało to sprawdzić.

Dokładnie zbadać każdy zakamarek. Nie ryzykować, że pominie jakąś wskazówkę. A jeśli Lena zostawiła obok truchła jakiś list?

Kat zmusiła się do działania, wciągnęła zgniłe powietrze do płuc i natychmiast zakasłała, bliska wymiotów, następnie podeszła do komody.

Wśród przedmiotów wypatrzyła coś w rodzaju długiego pióra zakończonego przewodem elektrycznym, a po chwili rozpoznała w nim pirograf. Tylko że ten był wyraźnie udoskonalony w porównaniu z tymi z jej dzieciństwa – jego obudowa pozwalała na regulację temperatury, a może nawet wymianę końcówek w zależności od pożądanego rezultatu.

Mały kot został całkowicie wybebeszony, a następnie oparty o ścianę, niemal w pozycji siedzącej, naprzeciw łóżka.

W co grała Lena Fowlings? Do jakiego typu świrów należała?

Ofiara? Okrutny i nikczemny eksperyment?

Czerwie wyginały się z nieznośnym syczeniem, mimo to Kat dzielnie się trzymała, omiatając wiązką białych promieni każdy szczegół, w poszukiwaniu informacji.

Zwłoki całkowicie opróżniono z jelit i narządów, toteż mebel nasiąkł krwią, która zakrzepła, tworząc nieprzeniknioną, czarną, grubą, niemal szklistą skorupę. Szeroko otwarta jama, klatka piersiowa z pewnością rozsunięta siłą, pozwalała dostrzec kręgosłup.

Kat westchnęła bliska mdłości.

Już miała zawrócić, lecz postanowiła natychmiast zrobić zdjęcia, aby raz na zawsze skończyć z tym pokojem i nie musieć go więcej oglądać. Zawsze należy sporządzać album fotograficzny, zawsze. Big Tony wielokrotnie jej to powtarzał. To była pierwsza zasada. Aby w każdej chwili móc do tego wrócić, a poza tym to dla klienta dowód wykonanej roboty, pozwalający zażądać honorarium.

Woląc podróżować po dzielnicy bez bagażu, Kat nie wzięła wielkiego canona idealnego podczas śledzenia, tylko mały, dość dokładny aparat cyfrowy do zdjęć we wnętrzach. Dokonawszy odpowiednich ustawień, ponownie westchnęła, po czym niechętnie zabrała się do pracy. Należało wybrać właściwy kąt, żeby niczego nie pominąć, wyregulować ostrość, znaleźć wystarczające światło i pstrykać. Nie za dużo, żeby nie sortować tego potem całymi godzinami, tylko tyle, ile trzeba.

Pstryk. Pstryk. Pstryk.

I już. Prawie gotowe. Kat zmuszała się do oddychania przez usta, żeby w miarę możliwości oszczędzić sobie smrodu rozkładu. Jeszcze jedno, dwa zdjęcia z bliska, szczególnie ziejące zwłoki... Pstryk.

Kat zmarszczyła brwi. Wydało jej się, że dostrzega w kocie coś niezwykłego. Przysunęła się bliżej. Pomruk czerwi stał się bardziej natarczywy, a jednocześnie

smród zgniłego mięsa bardziej kwaśny, metaliczny i zjełczały.

Kat obejrzała dokładnie czerwoną, ohydną, otwartą jamę, ale nic więcej nie zauważyła. Wobec tego oświetliła ją błyskiem flesza.

Na ciemnej kociej sierści zamajaczyły cienie czerwi, które wyprostowały się, kołysząc.

Kolejny pstryk.

Ślady. Czarne. Drobne.

Niczym jakieś niezrozumiałe symbole. Rodzaj nieznanego alfabetu.

Kat niemal wsadziła nos w truchło. Pstryk.

Tym razem zyskała pewność.

Ktoś napisał coś wewnątrz zwierzęcia.

Metodą pirografii na kościach kręgosłupa.

## 9.

Chłodne powietrze, tłoczone rytmicznie przez Zatokę Nowego Jorku poprzez kaniony ze stali, szkła i betonu, nie wystarczyło, by oczyścić płuca Kat. Miała ochotę splukać się obficie pod prysznicem, żeby wyszorować skórę aż w środku. Ten prosty obrazek przypomniawszy jej makabryczną poranną inscenizację z kotem, odłożyła więc ledwie napoczęty bajgiel z łososiem.

Zerknęła na zegarek: 13.45, jeszcze odrobinę za wcześnie.

Zrozumienie, kim jest Lena, stało się najważniejsze. W żargonie prywatnych detektywów osoby zaginione zalicza się do dwóch kategorii: ofiar, czyli tych, które nie znikają z własnej woli, oraz uciekinierów, czyli tych, które same prowokują własne zniknięcie. Istnieje cały wachlarz możliwości, w zależności od tego, czy zwijają obóz chwilowo, niekiedy wręcz niechcący, czy też robią wszystko, by ich nigdy nie odnaleziono. Według tej definicji ostatnie stadium polega na samobójstwie z dala od świata, z zamiarem całkowitego usunięcia się z powierzchni Ziemi.

Lena coraz bardziej przypominała tego rodzaju osobę. Kat usiłowała zachować optymizm, chociaż to, co zobaczyła w mieszkaniu kobiety, wcale nie napawało jej otuchą.

Siedząc na wysokim stołku przed witryną maleńkiej restauracji, obserwowała samochodowy balet Manhattanu. Przez krótką chwilę na pierwszym planie rozpląwały się kolorowe sylwetki, niczym rozmyte przez wodę pastele. Wszystkie te anonimowe ludzkie istoty, pstrokate na tle horyzontu, ulotne i już zapomniane... A przecież we własnym mniemaniu każdy osobnik znajduje się w centrum świata, szczyty się bogactwem perypetii, niewyczerpaną biblioteką emocji i wspomnień. Widziana z zewnątrz masa życia, która wymykała się ogółowi ludzi, czasami przytłaczała Kat. Czowała, że jest nikim, że jest sama, niepotrzebna i zagubiona w potwornym skupisku, na które nie ma żadnego wpływu. Ziarenko piasku w samym środku bezkresnej plaży. Właściwie po co to wszystko?

*Znów zaczynasz. Jest dobrze, jest radośnie.*

W dodatku to niezupełnie była prawda. Ona miała przynajmniej możliwość dowiedzenia się czegoś na czyjś temat, jeśli tego zapragnęła. W epoce cyfryzacji dla znawczyni jej pokroju nie było nic prostszego, niż wybrać osobę, pierwszą z brzegu, i kopać tak długo, aż ją obnaży. Numer ubezpieczenia społecznego, łatwy do znalezienia w sieci dla kogoś, kto wie, gdzie szukać, stan zdrowia, nie zawsze dobrze strzeżony przez towarzystwa ubezpieczeniowe albo towarzystwa ubezpieczeń

wzajemnych, sytuacja finansowa dostępna za pośrednictwem podatków, archiwa sądowe i pewne oficjalne publikacje, adres, osobiste informacje z klubów sportowych albo kółka garncarskiego, często zamieszczane na ich stronach internetowych albo zebrane w stowarzyszeniach, publikacje instytucji edukacyjnych w internecie... Przed prześledzeniem powiązań rodzinnych poprzez strony poświęcone genealogii można określić powiązania zawodowe i przyjacielskie, posiłkując się portalami społecznościowymi, w przypadku zaś tych, którym się udało trzymać od nich z daleka, zawsze można liczyć na to, że ktoś z przyjaciół wstawi jakieś zdjęcia i komentarze pełne wskazówek... To był niemal worek bez dna. A wszystko to na dodatek przy ograniczeniu się do działań legalnych. Nie, Kat nie mogła zaprzeczyć, w razie potrzeby była w stanie starannie przeświecić człowieka, aby uzyskać w miarę dokładny portret.

Przeszkadzała jej za to ten nieustanny zgiełk, w którym była nikim i nic nie wiedziała. Dziesiątki, setki, potem tysiące osobników jakże emanujących życiem i jakże pozbawionych znaczenia ledwie sekundę później. Było w tym coś, co przyprawiało ją o zawrót głowy i przerastało, źródło jakiegoś idiotycznego niepokoju, nad którym nie sposób zapanować.

*Tak, owszem, masz wpływ na samą siebie, a to już niezłe, więc zrób to. Skup się na tym, co istotne. Akurat teraz istotna jest Lena Fowlings.*

Ta stuknięta Lena Fowlings.

Kto jest zdolny wypatroszyć kota, a potem zadać sobie tyle trudu, żeby delikatnie, powoli wypalić coś na jego kościach za pomocą pirografu?

Kat nasunęło się kilka ważnych pytań: czy to Lena jest sprawczynią tych potworności? Czy miała tylko kota? Czy zaliczyła już pobyt w szpitalu psychiatrycznym?

W innych okolicznościach Kat wpadłaby w tak wielki popłoch, że zawiadomiłaby gliny, bojąc się, że dziewczyna trafiła w ręce psychopaty. Tylko że profil Leny pasował do tego szaleństwa. Widoczne zainteresowanie tatuażem, ezoteryką i makabrą. Niepokojące lektury na temat samobójstwa. Wszystko pozwalało przypuszczać, że młoda kobieta nie czuje się dobrze, wręcz zupełnie źle, i że przed zniknięciem na amen z ludzkich oczu poddała się jakiemuś ohydnyemu obrzędowi. Nie czuła już nic w stosunku do samej siebie, do tego stopnia, że chciała umrzeć, był to długi proces moralnego rozkładu. Ale żeby od razu zrobić *coś takiego* swojemu zwierzakowi? Było w tym coś więcej niż kliniczny chłód, niż okrucieństwo...

*Dokładny zamysł. Kot umieszczony na widoku. To przesłanie.*

Kat nie miała pojęcia, co to za alfabet. To było jedno z pytań, które należało postawić Annie Fowlings: jakimi językami włada jej córka.

*A przy okazji ją wysondować.*

W głowie tłukło jej się bez przerwy jedno pytanie: skoro Annie Fowlings miała klucze do mieszkania córki, dlaczego sama nie weszła do środka? Gdyby to zrobiła, natknęłaby się na truchło kota, wpadłaby w panikę, zadzwoniła po gliny... Dlaczego matka zamartwiająca się z powodu córki, która nie daje znaku życia, nie udaje się na miejsce, żeby sama sprawdzić?

Prywatna detektyw odsunęła talerz z bajgłem, definitywnie kończąc lunch, i chwyciła aparat fotograficzny, aby obejrzeć zdjęcia wykonane w mieszkaniu. Posortowała wszystkie metodycznie, każde pomieszczenie oddzielnie. Przypomniała sobie całość, w razie konieczności przybliżając obraz.

Zajęło jej to jeszcze trzy kwadransy, aż wreszcie uznała, że już czas, ruch związany z porą lunchu minął, zatem w Starbucksie na końcu ulicy będzie spokojniej.

Z torbą na ramieniu przekroczyła próg kawiarni i stwierdziła, że tłok rzeczywiście się zmniejszył. Udała, że nie może się zdecydować, a w tym czasie przyjrzała się obsłudze. Dwie dziewczyny i mężczyzna. Natychmiast machnęła na niego ręką, był zbyt pewny siebie, zbyt zadbany i spoglądał zbyt władczy wzrokiem. Dwie pozostałe pracownice miały po dwadzieścia lat – pełne wigoru, tryskały energią i często się uśmiechały. Jak tylko Kat spostrzegła pokrytą tatuażami rękę tej niższej, brunetki – która ściągnęła sobie kolor i zrobiła się na blond – z widocznymi odrostami pośrodku głowy i z mleczną cerą, wzięła ją na celownik. Przyjrzała się nieco ich stałym czynnościom, odczytała napis na jej identyfikatorze, „Ashlee”, po czym podeszła do lady dokładnie w momencie, gdy to właśnie Ashlee mogła jej zaserwować latte. Kiedy stanęły twarzą w twarz, Kat zdecydowała się mówić prosto z mostu i pokazała odznakę prywatnego detektywa.

– Chciałabym porozmawiać o Lenie, to bardzo ważne.

Wesołość na twarzy Ashlee przerodziła się w niepokój.

– Nic jej nie jest?

– Właśnie tego chciałabym się dowiedzieć i potrzebuję pani pomocy.

– Mojej? A... długo to potrwa?

– Pięć minut.

Ashlee przygryzła w zamyśleniu policzek, w końcu poprosiła koleżankę o przerwę, zdjęła fartuszek, okrążyła ladę i przysiadła w kącie wraz z Kat.

– Pani jest z policji?

Często licencja prywatnego detektywa, pokazana pospiesznie wraz ze złotą odznaką, którą Kat się posługiwała, żeby wyglądać bardziej oficjalnie, wywoływała mylne wrażenie, ona zaś wykorzystywała to bez wahania. Lecz nie tym razem.

– Nie, nic z tych rzeczy, ta rozmowa ma charakter czysto informacyjny, nic nie zostanie użyte oficjalnie, a pani nazwisko nawet nie pojawi się w moich notatkach. Ale to bardzo ważne. Dla Leny. Rozumie pani? Dobrze ją pani zna?

Ashlee wzruszyła ramionami.

– Tak sobie. Pracujemy razem od... jakichś trzech miesięcy.

– Zaprzyjaźniła się tu z kimś?

– Niespecjalnie. Od czasu do czasu plotkujemy, jak się uda. Ja, trochę też Jenessa, ale dzisiaj jej nie ma, i zdaje się, Donnie. On też dzisiaj nie pracuje, chyba że wieczorem, sama już nie wiem.

– Czy wiadomo pani, że zniknęła?

– Tak, kierownik jest wkurzony, nie uprzedziła, myślę, że jak jej się zachce wrócić, nie będzie tu miała czego szukać. To nie jest spoko gość. Zachorowała czy coś w ten deseń?

Kat postanowiła pytać dalej.

– Właściwie jaki to typ dziewczyny? Jajcara?

Ashlee pokręciła głową, bez większego zdziwienia.

– Niece, raczej w stylu... ee... Kojarzy pani doktora House'a? Bez przerwy wali trochę okrutne mądrości, w stylu „życie jest do dupy”.

– Cyniczna?

– Taa, można tak powiedzieć.

– Czy wspomina czasem o matce?

– Eee... Wcale.

– Czy jej matka kiedykolwiek ją tu odwiedziła?

– Nie wydaje mi się, nie.

– A co do Leny, pani zdaniem jest smutna, nawet w depresji?

– Jak cholera.

Ashlee skrzywiła się, pogrążona w zawiłych myślach, które musiała rozplątać, aby znaleźć właściwe słowa, co zajęło jej parę sekund.

– W sumie to nie – sprostowała – nie tyle w depresji, ile... twarda. W stosunku do siebie i do innych. I raczej nie na luzie. Czasem coś palnie, w stylu, że niby kpi z klienta za plecami, albo rzuca jakieś ponure uwagi.

– Czy zdradziła się już kiedyś przed panią z czarnymi myślami?

– Znaczący, że zamierza się zabić? Na szczęście nie.

W oczach Ashlee zapłonął blask i dziewczyna zniżyła głos.

– Zrobiła coś głupiego, zgadza się? A tak w sumie to dla kogo pani pracuje?

– Jestem prywatnym detektywem, jej mama zatrudniła mnie, żebym ją odnalazła. Bardzo się martwimy. Kiedy przyszła do pracy po raz ostatni?

– Zapytam dla pewności, ale zdaje się, że jakieś osiem, dziesięć dni temu.

Zbiegało się to mniej więcej z wizytą matki. Od tamtej pory więcej się nie widziały, a Lena nie dała znaku życia.

– Orientuje się pani, czy ma jakichś przyjaciół? Wymieniła jakieś imiona, miejsca, które odwiedza?

– Wiem, że całkiem często chodzi na koncerty. Dzięki temu ma zajęcie, jak sama mówi, to znaczy bez tego jej odbija. Nie sądzę, żeby miała dużo kumpelek, przynajmniej nigdy o nich nie rozmawia.

– A chłopak?

– Nie. To znaczy... chyba. Był już u niej raz jeden popraniem i wyglądało na to, że się znają, zupełnie jej przy nim odwaliło, była cała onieśmielona. Później robiliśmy sobie z niego jaja, ale ona się nie odzywała. Chyba powiedziała Jenessie, że ma na Brooklynie sklep czy coś takiego.

Widząc, że sama musi ją pociągnąć za język, Kat zapytała:

– Ten chłopak ma jakieś imię?

– Mam nadzieję. Ale go nie znam.

– Jak wygląda?

– Właśnie to jest pokręcone, on nawet nie jest przystojny. Właściwie jest wręcz makabryczny, to znaczy moim zdaniem. Wysoki, czarnoskóry, z dreadami i wygolony po bokach. Ma tatuaże na szyi.

– Pamięta pani jakie?

– Nie. To znaczy... tylko jeden. Coś w rodzaju czaszki, ale wygląda, jakby rysunek się nie udał, jest... jakby rozmyty albo jakby właśnie się rozpląwał. Wzrok tego gościa, tego z tatuażem, jest... całkiem czarny. Nie mówię tego z powodu rasizmu, żeby było jasne! Ale czarny... superczarny. Z rodzaju tych, co świdrują człowieka na wylot. Zastanawiałam się, co ona w nim widzi, chociaż sama Lena też jest popaprana.

– Czy przed zniknięciem o niczym pani nie wspominała? Może coś planowała? Jakąś podróż? Koncert gdzieś daleko?

Ashlee pokręciła głową. Kat nie dawała za wygraną:

– Czy według pani mogła zostawić komuś jakiś list?

– Nie sądzę. Ona nie jest... Robota tutaj to jedno, a jej osobny świat to drugie, Lena nie miesza jednego z drugim.

Kat przeciągała rozmowę, jak długo się dało, próbując wydobyć choćby strzęp informacji, aż w końcu mężczyzna skinął na Ashlee, że czas wracać do pracy. Kat zdecydowała się przycisnąć ją po raz ostatni.

– Na pewno nic pani nie ukrywa? To ważne, prawdopodobnie Lena znalazła się w bardzo delikatnej sytuacji.



– No przecież odpowiedziałam na pani pytania!

– Wolałabym nie musieć tu wracać, żeby porozmawiać z kierownikiem i wspomnieć mu o podkradaniu paczuszek kawy z magazynu, o tego rodzaju drobiazgach, które mogłyby wpakować personel w kłopoty. Rozumie pani, co mam na myśli?

Twarz Ashlee natychmiast zrobiła się purpurowa.

– Ach, eee... nie. To znaczy owszem, niektórzy tak robią. Ale nie ja. Możliwe, że Lena tak.

Kat wycisnęła z niej wszystko do ostatniej kropli, Ashlee nie miała nic więcej do powiedzenia. Zanim się jednak rozstały, prywatnej detektyw wpadło do głowy ostatnie pytanie.

– Orientuje się pani, czy Lena miała kota?

Farbowana blondynka wyduła policzki, nie wiedząc, co odpowiedzieć, po czym prychnęła. Kiedy się upewniła, że w razie gdyby stało się coś poważnego, zostanie powiadomiona, wróciła do koleżanki i włożyła fartuszek.

Kat nadal siedziała wsparta łokciami o bar przed witryną, popijając wystygłą latte i zapisując coś w notesie. Gdy wychodziła, zaczepiła ją Ashlee:

– Hej, Amanda mówi, że miała kota.

Koleżanka, która zdążyła już o wszystkim usłyszeć, energicznie pokiwała głową.

– Lena czasami o nim mówi – wyjaśniła. – Wabi się Wenus. Zapamiętałam, bo to zabawne imię jak dla kota...

Kat, której stanął przed oczami widok zmaltretowanego zwierzęcia, wcale nie uważała tego za zabawne. W tym, że bogini miłości skończyła wypatroszona, kryła się raczej jakaś ironia. Zaczęła się więc zastanawiać nad symboliką.

*Za bardzo się rozpędzasz. To mało prawdopodobne...*

A przecież Lena nie była idiotką, sporo czytała, ten wymiar nie powinien był jej umknąć. To tylko podsycalo jej okrucieństwo. Jak doszła aż do tego punktu?

Podążając szybkim krokiem ku najbliższej stacji metra, Kat zadzwoniła do Annie Fowlings. Kobieta odebrała po pierwszym sygnale.

– Wie już coś pani? – ponagliła.

– Chwilowo nie, Mrs Fowlings. Zbieram informacje. Spodziewam się, że Lena miała abonament telefoniczny, ale to nie pani za niego płaciła?

Doświadczenie nauczyło Kat, że niektórzy rodzice, kupiwszy nastolatкови telefon, ponosili związane z nim wydatki, nawet kiedy dziecko stawało się dorosłe.

– Nie, dlaczego?

– No cóż... Gdyby był na pani nazwisko, mogłaby pani otrzymać legalnie wykaz połączeń z ostatnich kilku tygodni.

– Ma pani rację, powinnam sobie z tym poradzić. Lena ciągle używała tych samych haseł.

– Jeżeli telefon nie jest na pani nazwisko, to nielegalne.

– Wpadła pani na jakiś trop?

– Za wcześnie, by o tym mówić.

Po rozłączeniu się Kat niemal pożałowała, że nie podzieliła się swoimi wrażeniami z Annie Fowlings, aby przygotować matkę na najgorsze, uspokoiła się jednak, powtarzając sobie, że przecież jeszcze nie wszystko zostało przesądzone. Być może Lena właśnie leczy się z rozpaczę gdzieś daleko, w ramionach jakiegoś mężczyzny.

Kat jednak nie bardzo w to wierzyła. Tak czy inaczej instynkt podpowiadał jej, żeby nie postępowała ze swą klientką zbyt pochopnie. Coś jej w Annie nie pasowało. Mieć duplikat kluczy, ale nie zaglądać do mieszkania. Znać hasła córki, a mimo to nie wpaść na pomysł, żeby poszperać przynajmniej w połączeniach telefonicznych, a może nawet w e-mailach... Annie Fowlings zapewne miała swoje powody, ale jednocześnie nie stanowiło to wobec niej żadnego zarzutu. *Wszyscy mamy swoje ograniczenia, uprzedzenia i dziwactwa...*

A także strefy cienia.

*Nie ona. Nie w stosunku do córki. Ona naprawdę się martwi. A to nie tłumaczy wiadomości od Leny, w której wspomina o młodszej siostrze, jakby nic się nie stało...*

Świat przypomina niekończący się patchwork, który aż kipi od pozorów, scalony od wewnątrz naszymi nerwicami, wybrykami, lękami i demonami. Jakie demony skrywa Annie Fowlings?

*Twoim celem jest jej córka. Poprzestań na Lenie.*

Kat przystanęła przed wejściem do metra. Najwyższa pora sprawdzić. Nie miała pewności... Ponownie wyjęła aparat i zaczęła błyskawicznie przewijać zdjęcia, aż natrafiła na fotografie zgromadzonych w salonie broszur, folderów i ulotek reklamowych. Na miejscu pobieżnie je przejrzała, następnie po raz kolejny przy lunchu w restauracji, a po rozmowie z Ashlee szczególnie jedna zapadła jej w pamięć... Odnalazszy ją na małym ekranie, powiększyła, aby móc odczytać. Przedstawiała wizytówkę. Z butiku na Brooklynie.

Silas Okporo.

„Specjalista w dziedzinie okultyzmu – artykuły i książki”, widniało pod nazwiskiem.

Z braku czegoś lepszego Kat wygooglowała adres, aby sprawdzić, jak tam dojechać, następnie postąpiła tak samo z imieniem i nazwiskiem. Ani jednego zdjęcia. Było to raczej rzadko spotykane. Pozostał tylko jeden sposób, aby się przekonać, czy nie ma na szyi rozplywającego się tatuażu.

Detektyw popędziła naprzód, po czym tunel metra połączył ją przy  
akompaniamencie ryku pociągu, narastającego w trzewiach miasta.

Cywilizacja w nieustannym pędzie, złączona istnieć i przewinieć.

## 10.

Los Angeles nie sposób sobie wyobrazić inaczej, niż oglądane przez okno przemierzającego je samochodu. Rozwijając się, nieustannie wyciągało swe niebotycznie długie macki, od gór po pustynię, następnie aż po ocean, najmniejszą odległość liczone zaś w kilometrach.

Eli Hackenberg przyjechał na komisariat w Hollywood służbowym wozem, pozwalając, by jego partner wrócił na piechotę, co oznaczało, że zmienił go w rybę pozbawioną płetw na samym środku oceanu. Przede wszystkim Atticus Gore został pozbawiony swojej muzyki na czas przemieszczania się bez końca, co wprowadziło go w zły humor. Wezwał Ubera i kazał się wysadzić po drugiej stronie autostrady, pod centrum handlowym Figat7th, jednym z tych nowoczesnych mrowisk do połowy zakopanych pod ziemią, migotliwych, wyszorowanych do czysta, aby zabić nawet ludzki zapach, ze składankami muzycznymi w tle i krzykliwymi reklamami, żeby silniej zahipnotyzować klientów. Wprawdzie Atticus dbał o wygląd, mimo to nie cierpiał tego typu miejsc, ponieważ odnosił wrażenie, że robi się tu wszystko, byleby stłamsić jego osobowość i uformować go na taką samą modłę jak całą resztę. Tutaj nie był już ludzką istotą, stawał się konsumentem, zwierzyną, której zmysły powinny podlegać nieustannej kontroli, aby dało się nim lepiej manipulować. Na jednym z planów wypatrzył sklep Target, puścił się więc pędem, a kiedy tam dotarł, pokazał odznakę policyjną i zażądał rozmowy z kierownikiem.

Zapytał o Ximenę Torrebiarte i podszedł do kasy, gdzie przy akompaniamencie całkowicie ogłupiającego pikania uwijała się drobniotka brunetka z totalnie nieobecny wyrazem twarzy. Nie ukończyła jeszcze dwudziestu pięciu lat, była dosyć ładna, w każdym razie miała nietuzinkowe rysy. Na jej nadgarstku widniał wytatuowany delfin. Atticus się przedstawił.

– Gore? Dziwne nazwisko jak dla gliniarza.

Atticus nie zareagował, słyszał to już ze sto razy.

– Pani matka powiedziała, gdzie panią znajdę. Zna pani Oscara Riotta, prawda?

Ximena sprawiała wrażenie, jakby właśnie się przebudziła. Zamrugła i rozejrzała się dookoła, aby się upewnić, że żaden klient nie czeka w kolejce ani nie słyszy. Jedynie ciekawska przełożona przysłuchiwała się z oddali rozmowie.

– No... tak.

– Wie pani, gdzie on jest?

Przełknęła ślinę i skrępowana przycisnęła ręce do piersi.

- Nie. W domu? Dlaczego pan mnie o to pyta?
- Możliwe, że wpakował się w szambo.
- Oscar? A co takiego zrobił?

Twarz jej zeszytniała, szczęki się zacisnęły.

- Jesteście sobie bliscy, prawda?
- Co?... Jak to?

Nie trzeba było wybitnego gliny, by wyczuć, że jest bardziej niż zażenowana. Miejsce, zwierzenie, życie prywatne – Atticusowi przemknęło przez myśl, że lepiej by mu poszło, gdyby odsunęli się na bok. Wolał jednak dalej prowadzić tę rozmowę tutaj, pod pewną presją, która być może zmusi dziewczynę do wyznania wszystkiego, byleby tylko mieć to za sobą.

- Lubi pani Oskara? Flirtujecie ze sobą?

Jak wynikało ze zdjęć, facet nie miał w sobie nic ujmującego, w dodatku Ximena nie tylko była od niego młodsza, ale mogła mierzyć o wiele wyżej. Atticus chciał się dowiedzieć, dlaczego robią do siebie słodkie oczy, zresztą matka potwierdziła, że on ją podrywa, a sposób, w jaki to powiedziała, pozwalał się spodziewać czegoś więcej.

– Spotykamy się od czasu do czasu, to wszystko. Ale dlaczego pan tu jest? Narozrabiał?

- Chcielibyśmy z nim porozmawiać.
- Co ja mam do tego?

Mówiła bardzo cicho, wyraźnie ważąc słowa. Atticus położył dłonie na ladzie i nieco się ku niej pochylił, aby lepiej słyszeć, ale również po to, by wydać się groźniejszy.

- Czy to pani chłopak?

Ximena zaprzeczyła ruchem głowy.

– OK. Będzie pani musiała się wykazać większą precyzją, pani Ximeno. Musimy odnaleźć Oscara, a pani jest najbliższą mu osobą.

- Co z nim?
- Kiedy widziała go pani po raz ostatni?
- Wczoraj. Wpadliśmy na siebie na schodach.
- I?
- To wszystko!
- Chciałbym wyjaśnić charakter waszej relacji. Co pani podrzucał? Dragi?

Kasjerka zmarszczyła brwi z oburzeniem.

- Skąd, oczywiście, że nie!
- Nie dilował?
- Nie!
- Nigdy ani odrobinki trawki, amfy ani koki? Nic a nic?

– To nie w jego stylu!

Przynajmniej chwilowo odsuwało to trop prowadzący do karteli, na co Atticus wcale się nie skarżył.

– Za kogo pan go ma? – dopytywała Ximena.

Zaczynała się angażować. *Znakomicie.*

– W takim razie dlaczego taka ładna dziewczyna jak pani się z nim zadaje?

– To mój sąsiad. Nic poza tym.

– Nadskakuje pani, a pani nie każe mu się gonić, chciałbym wiedzieć dlaczego. Co was właściwie łączy?

Wzruszyła ramionami.

– Lubię go.

– Pozwala się pani podrywać wszystkim facetom, których pani lubi?

Łagodność w jej oczach nieco osłabła, ujawniając bardziej nieugiętą naturę, niż Atticus do tej pory podejrzewał. Popatrzyła na niego twardo.

– I co z tego?

– On nie jest w pani typie.

– Co pan może o tym wiedzieć?

– Na tym polega moja robota: na domyślaniu się, jacy ludzie są naprawdę. Uważa, że jest pani urocza, od czasu do czasu zaprasza na drinka. Co jeszcze?

– Nic...

– Kino? No dalej, proszę odpowiedzieć, tu nie ma żadnego haczyka!

– Owszem, zdarzyło się.

– Sukienka? Wycieczka statkiem?

– Ale co to pana może obchodzić?

– Ma pani samochód, pani Ximeno?

– Nie. Co to...

– A on?

– Eee... tak.

– Robi dla pani za taksówkę?

– Zdarza się...

– Jeździcie czasem do knajpy?

– Tak...

– Na romantyczny wypad?

– Nie! To tylko... przyjaciel.

– Który pani nadskakuje.

– Co w tym złego? Rozmawiamy, nic więcej.

– O czym?

- O życiu. O mojej pracy, o jego...
- Długo pani tu pracuje?
- Nie, trzy tygodnie.
- A on?
- Co on?
- Co ma teraz na tapecie?
- Jakiś artykuł, jak zwykle.
- Daje je pani do przeczytania?
- Tak, jest z nich dumny.
- A ten obecny o czym jest?

W oczach Ximeny malował się lekki popłoch. Dziewczyna czuła, że pytania następują po sobie zbyt prędko, że wpada w sidła, nie ma wyboru, musi odpowiadać równie szybko, jeśli nie chce się wydać podejrzana.

Chwila milczenia wystarczyła jednak, by Atticus pojął, że trafił w czuły punkt.

- Nie mówi mi wszystkiego.
- Niech pani nie robi ze mnie wała, Ximeno. Nad czym teraz pracuje?
- Eee... To dziennikarz, obowiązuje go tajemnica zawodowa, chroni wolność słowa, te sprawy!

- Ale nie panią.
- Ja...

Atticus przysunął się bliżej, aby rzucone półgębkiem słowa, którymi zablefował, wywarły mocniejszy efekt:

- Woli pani, żebym panią przyskrzypił tutaj, na oczach ludzi, i żebyśmy wyjaśnili sobie wszystko bardziej oficjalnie, w pokoju przesłuchań?

Do kasy podszedł jakiś klient, lecz Atticus pokazał przypiętą u paska odznakę i władczy gestem dał mu do zrozumienia, żeby udał się do następnej, po czym znów zasłonił Ximenę swą potężną postacią.

- Proszę posłuchać, ja nie robię nic złego – odparła piskliwym tonem, świadczącym o tym, że jej opór słabnie. – Nie wiem, co ma akurat teraz na tapecie, wiem tylko, że to grubsza sprawa, sam tak powiedział. Ale tak między nami, Oscar uwielbia przechwałki i nie mówi tak po raz pierwszy, więc jeśli coś panu wspomniał, lepiej, żeby nie we wszystko pan wierzył, on mocno przesadza. Rozumie pan, co mam na myśli?

- Co jest przedmiotem jego śledztwa?
- Nie wiem! – zdenerwowała się. – Niech pan jego zapyta! Zgoda, trochę wykorzystuję sytuację, OK, ale przecież nie zrobiłam nic złego!
- Nie dał pani nic do przeczytania?

– Nie, nie tym razem! Popisuje się, żeby mnie poderwać, nie jestem idiotką, domyślałam się, że pewnie to znowu kicha. Oscar jest mocny w gębie.

Atticus dostrzegł w grymasie dziewczyny coś w rodzaju politowania i być może odrobiny poczucia winy, tak czy inaczej widać było, że jest niezadowolona.

– Nic pani nie przysłał? Może e-mail? Nie dał żadnej koperty?

Energicznie pokręciła głową ze znużeniem.

Atticus westchnął i się wyprostował.

– Orientuje się pani, czy ma jakieś biuro?

– U siebie w domu.

– Nie wynajmuje gdzieś garażu albo schowka?

– Hej, nie jestem jego matką, tylko sąsiadką, nie wiem wszystkiego o jego życiu.

– Jakąś dziewczynę?

Zmierzyła go z lekką złością.

– Przecież to pani twierdzi, że niczego między wami nie ma – drążył dalej. – Jest pani zazdrosna?

– Wcale nie.

– No więc?

Przewróciła oczami.

– Nie, Oscar nie należy do facetów, na których lecą laski, chociaż bardzo by chciał... Nie wydaje mi się, to znaczy moim zdaniem jest singlem.

– Zna pani jego przyjaciół? Wymieniał przy pani miejsca, do których chodzi?

– Nie, jest raczej samotnikiem.

– Nie ma wrogów? Czy jest coś, co mogłoby na niego ściągnąć kłopoty?

– Proszę powiedzieć, czy przynajmniej nic mu nie jest.

Atticus wolał nie zagłębiać się w szczegóły. Nie miał jeszcze nic na poparcie swoich domysłów, co najwyżej obecność portfela przy zwłokach, budowę ciała, która mogłaby pasować, i sygnet na palcu. *To on, dobrze wiesz, że to twój szkielet.*

– Na razie jeszcze nic nie wiemy. Jeśli wpadnie do domu, może mu pani przekazać, żeby do nas zadzwonił? – poprosił, kładąc przed nią wizytówkę. – A co z wrogami?

Ximena wpatrywała się w wizytówkę, jakby ta była zatruta, nie mając odwagi jej dotknąć. Najwyraźniej biła się z myślami.

– Nie, nie ma wrogów – szepnęła. – To znaczy tak mi się zdaje...

– Czytała pani jego artykuły. Czy to są poważne tematy?

– Na jego blogu? Żartuje pan? Od tego powinien być pan zacząć. Oscar nie potrafi spłodzić niczego, co nie byłoby bombą! – zadrwiła. – Prowokacja to jego znak firmowy.



Atticus poczuł się jak kretyn. Jeśli rzeczywiście się okaże, że Oscar Riotta jest trupem z Griffith Park, to będzie najbliższe zadanie do wykonania.

Pięć minut później właśnie maszerował South Figueroa Street z kanapką w dłoni, gdy zadzwonił Hack.

– Widziałeś się z tą małą?

– Przed chwilą od niej wyszedłem. Trochę się płacze w zeznaniach, ale nie będę tracił czasu na sprawy łózkowe.

– Mogłaby mieć coś wspólnego z zabójstwem?

– Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to tylko zwykła dziunia, która wykorzystuje naiwność poczciwego gościa, nic więcej. A jak tam u ciebie?

– Velaz i Jay zrobili spis rzeczy denata, a ja zacząłem zbierać do kupy te parę zeznań, które uzyskaliśmy od sąsiadów. Jak na razie szalu nie ma. Wystąpiłem też o nakaz dostępu do telefonu ofiary. Pociągnąłem za wszystkie sznurki, żeby jak najszybciej uzyskać billingi. I już mogę potwierdzić, że komórka jest zarejestrowana na nazwisko Oscara Riotta.

– To on, Hack, to nasz denat.

– Przynajmniej dokładnie to ktoś chce nam wmówić. Według mnie Riotta jest głównym podejrzanym! Robi wszystko, żebyśmy myśleli, że to on, ale technicznie to niemożliwe, bo wczoraj jeszcze żył, wiesz o tym równie dobrze jak ja. Malkovian powiedział mi o tym na tych pieprzonych schodach, nie da się tak dokładnie oczyścić ciała i z powrotem ubrać zaledwie w jedną noc – powtórzył z zapalem Hack.

– Powiedział też, że nigdy dotąd nie widział niczego podobnego. Zawsze jest ten pierwszy raz.

– Nie dam się wydymać, Gore, wysłałem list gończy za Riottem. Ten facet się ukrywa i trzeba się dowiedzieć, dlaczego zadał sobie tyle trudu, żeby upozorować własne zniknięcie.

Atticus już miał go obsztorcować za nadgorliwość, ale się powstrzymał. W końcu sam go wpakował w tę sytuację, Hack miał prawo podejmować własne decyzje.

– Odszukałeś jego rodzinę?

– Gość pochodzi z Teksasu, nie namierzyłem żadnych żyjących krewnych.

– Sprawdzałeś w wydziale komunikacji? Facet ma samochód, jego dziewczyna to potwierdziła.

– Owszem... Zaczekaj, muszę siebie rozczytać... Forda c-max hybrydę, chłopcy znaleźli go dzisiaj rano na parkingu najbliższej starego zoo. Technicy właśnie go sprawdzają.

Atticus nie robił sobie złudzeń, nic tam nie znajdą. Oznajmił, że będzie za niecałą godzinę, i się rozłączył.

Sala detektywów na komisariacie w Hollywood była obszernym pomieszczeniem bez okien, oświetlonym lampami sufitowymi i złożonym z rzędów biurk tworzących open space, przyporządkowanych do poszczególnych wydziałów i odseparowanych zaledwie cienkimi przegrodami, których wysokość nie przekraczała wysokości siedzącego człowieka. Każdy oswoił własną przestrzeń, przypinając zdjęcia czy wycinki z gazet, a przede wszystkim rozkładając całą armadę karteczek samoprzylepnych, które przypominały, co zostało do zrobienia. Wydział zabójstw znajdował się na środku, toteż w drodze do swojego krzesła Atticus przywitał się z kilkoma kolegami. Hack zajmował sąsiednie biurko, ale chwilowo go nie było. Naprzeciwko również pozostawały puste miejsca Irzika i D'Angela. Zbliżał się weekend i wkrótce cała sala opustoszeje, zapanuje w niej cisza, zwodniczy spokój, jakby zbrodnia także udała się na odpoczynek – zostaną jedynie śledczy na służbie.

Atticus usiadł przed komputerem w niemal dziewiczym boksie, jeśli nie liczyć kubka Burning Man Festival – należał do tych nielicznych, którzy nie chcieli wpuszczać do przestrzeni zawodowej życia prywatnego – i włączył go, by wejść na blog Oscara Riotta. Kilkadziesiąt krótkich bardziej lub mniej interesujących artykułów na temat możliwości istnienia wątpliwej zмовy między przemysłowcami a politykami, parę notek pochodzących od redakcji i przede wszystkim wzmiankowane na pierwszej stronie liczne poważne teksty, do których dostęp, poza kilkoma pierwszymi wersami, okazał się płatny. Atticus odzłałował wymaganą kwotę i zatopił się w lekturze.

Skandal z substancjami chemicznymi, dorzucanymi do żywności przez słynną sieć sprzedającą burgery, dokument o intratnym biznesie robionym na ekologii, kolejny o głównych koncernach stojących za produkcją konopi, po zalegalizowaniu ich w Kalifornii – Oscar Riotto sypał szumnymi rewelacjami. Raczej dobrze napisane, udokumentowane i wyjątkowo długie teksty świadczyły o oczywistej rzetelności i konsekwencji. Riotto nie zabierał się do pisania, dopóki porządnie nie zgłębił tematu i nie sprawdził źródeł. To był długodystansowiec, który szperał całymi tygodniami, a niekiedy wręcz miesiącami, aż się dokopał do czegoś mocnego. Przy tak wolnym tempie publikacji w płatnej części bloga zapewne nie tarzał się w złocie – była to cena niezależności i solidnej pracy analitycznej. Riotto reprezentował dziennikarstwo z przekonania. A po tym, jak podniósł do góry tyle gówna, musiał mieć wrogów na pęczki, pomyślał Atticus, przygryzając policzek. To nie ułatwi mu zadania.

Eli Hackenberg wrócił po południu, wymachując plastikową torebką z telefonem komórkowym, który rankiem znaleziono przy zwłokach.

– Zastosowałem popisy oratorskie i wykorzystałem swój uwodzicielski talent, więc wszystko poszło jak z płatka. Możemy się do niego dobrać! – wrzasnął z dumą.

Co oznaczało, że przedmiot został wprowadzony do systemu, próbki DNA i odciski palców pobrane i że mogą przystąpić do działania, czekając na wykaz billingów od operatora. Hack usiadł, aż krzesło jęknęło, założył okulary i zabrał się do pracy.

Atticus wrócił do lektury, następnie wpisał nazwisko Oscara Riotta do wyszukiwarki, aby się przekonać, co wyskoczy. Mężczyzna cieszył się sporą popularnością. Cytowało go wielu lokalnych dziennikarzy, którzy napomykali o jego badaniach. Riotta musiał otrzymywać propozycje pracy z licznych gazet, lecz z jego tekstów przebijało pragnienie pozostania wolnym elektronem. W sieci krążyło trochę zdjęć. Atticus rozpoznał na jego palcu ten sam sygnet z czerwonym kamieniem, który dostrzegł na szkielecie w zoo.

– Uwierzysz? – wymamrotał Hack z nosem w telefonie, który obracał w grubych palcach osłoniętych lateksowymi rękawiczkami.

– Co się stało? Ma więcej rozbieranych zdjęć niż ty?

Hack pokazał partnerowi ekran. Otworzył skrzynkę e-mailową. Była zupełnie pusta.

– Nie ma ani jednego e-maila, ani w odebranych, ani w wysłanych. To samo z SMS-ami!

O ile Atticus zdążył się zorientować, Oscar Riotta był człowiekiem zdeterminowanym, intelektualnie poukładanym, na pewno nie żadnym psycholem. Był skrupulatnym zawodowcem, a nie wyznawcą teorii spiskowej. Detektyw nie wyobrażał sobie, że facet ustawicznie wszystko usuwał. Jego poszukiwania odznaczały się zadziornością, dobrą organizacją, zrodzoną z potrzeby stworzenia potężnej sieci, która dostarczałaby mu niezbędne informacje, zbudowania pomiędzy jej członkami relacji opartej na zaufaniu...

– Ktoś tu zrobił porządki – skwitował Atticus. – Nadal wierzysz, że sam Riotta to wszystko uknuł?

– Dlaczego nie? Jeżeli cały jego plan opierał się na wymianie informacji albo jeżeli byłoby coś, po czym namierzylibyśmy jego kryjówkę. Zażądam wyciągów bankowych, żeby się dowiedzieć, czy wypłacał ostatnio większą gotówkę albo czy od dzisiejszego poranka były jakieś ruchy na jego koncie.

Atticus nie podzielał tej wizji. Z każdą godziną rosło w nim przekonanie, że Oscar Riotta został zamieniony w szkielet, w ubraniu, w nocy. „Jak” ciągle było tajemnicą. Natomiast listę odpowiedzi na pytanie „kto” można było znaleźć prawie zbyt łatwo na jego blogu. Nie, na miejscu zbrodni widniało tak wiele mylnych śladów, że to nie mogło być aż tak oczywiste. W takim razie kto? Czyżby Riotta rzeczywiście wpadł na trop grubej afery, jak twierdziła Ximena?

*Pytanie brzmi: po co tak makabryczna i tak... wykreowana inscenizacja? Kto zadał sobie aż tyle trudu?*

Przez moment Atticus zastanawiał się, czy aby zwłoki Riotta same nie stanowią dowodu, przyczyny, dla której „wyczyszczono” ciało, potem jednak zmienił zdanie. To idiotyczne. Czego mogła dowodzić ludzka skóra? *Chyba że wchłonął jakąś toksyczną substancję albo przeprowadził jakieś badania na samym sobie...* Hipoteza zakrawała na szaleństwo.

– A ty dokąd? – zapytał Hack, widząc, że Atticus podrywa się z krzesła.

– Wracam do zoo. Chyba o czymś zapomniałem.

– O bryce – parsknął śmiechem Hack.

Lecz Atticus już zniknął w drzwiach. Nieprzyjemne wrażenie, że ktoś nim manipuluje, nie pozwalało mu myśleć. Brakowało im głównego fragmentu układanki, który musieli mieć pod samym nosem, ale go nie zauważyli. Czuł to, pewnie był to instynkt gliny albo po prostu podświadomość, która również stanowiła część tej roboty.

Dla spokoju sumienia musiał to sprawdzić.

## 11.

„Czarno-biały”, jak nazywano policyjne wozy patrolowe, minął Atticusa Gore’a na niewielkim parkingu pod lasem, w Griffith Park. Wstępu do ogrodzonej żółto-czarną taśmą strefy strzegł gliniarz w mundurze. Przywitawszy się, Atticus zapytał, jak dawno wyniosła się stąd kawaleria.

- Zaledwie godzinę temu, detektywie.
- Masz tu służbę do rana?
- Tak.

Policjant najwyraźniej nie był tym zachwycony, co wcale nie dziwiło Atticusa. Po zachodzie słońca górską faunę się obudzi, kojoty w oddali, a przy braku latarni, jeśli na dodatek księżyc nie wzejdzie, widoczność nie przekroczy dziesięciu metrów. Noc będzie długa, pełna hałasów, Atticus przeżył już ten etap w latach, kiedy szlifował bruki w podłych dzielnicach, i doskonale wiedział, że gliniarz z pewnością będzie rozmyślał o trupie, który leżał tu przed kilkoma godzinami, albo o przestępcach, którzy mogą wpaść na pomysł, by powrócić na miejsce zbrodni. Każda godzina będzie dla tego biednego gościa długa i trudna, toteż Atticus miał nadzieję, że jeśli noc upłynie w spokoju, patrolujący w pobliżu koledzy zatroszczą się o niego i przyniosą mu kawę, aby dotrzymać mu towarzystwa.

Atticus poklepał go na pocieszenie po ramieniu przyjacielskim gestem, policjant zrobił jednak unik, zbyt gwałtowny, by nie dało się w nim wyczuć obrzydzenia. Najwidoczniej wiedział, kim jest Atticus – jego „życzliwi” kumple na pewno nie omieszkali mu zdradzić jego orientacji seksualnej.

- Luz, posterunkowy, wołę facetów w kaskach budowlanych albo Indian.

W końcu Atticus zaczął życzyć kretynowi na służbie niespokojnej nocy bez końca. Wspiął się na wzgórze i schylił pod najniższymi gałęziami, by dotrzeć do porośniętej darnią esplanady.

Technicy kryminalistyki zdążyli wszystko wybierać do najmniejszej drobinki, zewidencjonować każdy ślad, a wszystko to wkrótce zostanie wysłane do analizy, nic jednak nie może zastąpić spaceru po miejscu zbrodni, aby je zapamiętać, aby *pooddychać* sceną.

Atticus zaczął od betonowego stołu piknikowego pośrodku trawiastego koła. Ciągle jeszcze widniały na nim plamy po chemikaliach użytych przez techników, aby wydobyć na światło dzienne ewentualne zatarte ślady krwi. Nie dostrzegł nic poza paroma rozbryzgami pobranymi rankiem.

Następnie rozpoczął wędrówkę w poszukiwaniu rozdeptanych owadów, ale wypatrzył wyłącznie dziury: wszystko, z grudkami ziemi włącznie, wydarto, aby przeprowadzić dokładne badania w laboratorium.

Stanął przed zagrodami w klifie z kamiennych bloków. Liczne brudne wybiegi, a przy każdym łuki wiodące do cienistego tunelu, który z kolei prowadził do zakurzonych służbowych schodów.

Oscar Riotto jeszcze żył wczorajszego wieczoru, teraz to nie budziło już żadnych wątpliwości. Jego samochód, znaleziony na parkingu na dole, pozwalał przypuszczać, że przyjechał tu wieczorem z własnej woli, przedtem zaś przesłuchano go z powodu przekroczenia prędkości.

Krew na stole mogła wskazywać, gdzie rozpoczął się atak.

*Nocne spotkanie. Ze źródłem informacji?* To było bardzo prawdopodobne. Po co wybierać tak odległe i dosyć trudno dostępne miejsce, jeśli nie po to, żeby mieć spokój, żeby być z dala od wszelkiej możliwej kontroli? Atticus nie wyobrażał sobie, żeby Riotto przyprowadził tu dziewczynę, to nie miało sensu. *Nie, tu chodziło o robotę.*

A co potem? Rozmowa przybiera niepożądany obrót. I zjawia się ktoś trzeci.

Atticus rozejrzał się dokoła. Stół piknikowy stał pośrodku, jego zdaniem trudno zostać zaatakowanym z zaskoczenia w tym miejscu, nawet po nocy, zwłaszcza że najbliższa kryjówka znajduje się w odległości ponad pięćdziesięciu metrów. *Jeżeli noc była ciemna, a napastnik zachowywał się wyjątkowo cicho...*

Gliniarz warknął głucho. Nie był przekonany. Skoro Riotto przyjechał aż tutaj, to znaczy, że nie chciał świadków, musiał być nieufny. Nikt nie rzucił się na niego znienacka.

*W takim razie dokonali tego mężczyzna albo kobieta, z którymi był umówiony.*

Tylko że to nie wyjaśniało owadów. Kto i dlaczego je rozrzucił? Zupełnie jakby ziemia została nimi usiana, a Oscar Riotto, chcąc przed nimi umknąć, rozdeptał je i w ten sposób nakreślił trasę ucieczki.

*Niemożliwe.*

Od początku śledztwa coś dużo tych rzeczy niemożliwych, pomyślał Atticus.

*Tak czy siak, zostaje zaatakowany i próbuje uciec, nie wie, dokąd pójść, waha się, a w panice wchodzi do zagrody, widzi tunel, schody, wspina się i kończy w ślepych zaułku. Tam...*

Co? Co się dalej stało?

Atticus westchnął. Nie miał bladego pojęcia.

Cienie jęły się wydłużać, wypęły powoli ze swych legowisk i przybliżyły się w jego kierunku. Śledczy popatrzył w niebo. Do zmroku pozostała jeszcze dobra godzina.

Z zadartą głową spostrzegł wówczas górujący niedaleko skalny cypel. Ten naturalny punkt obserwacyjny oddzielała krata. Roztaczała się stamtąd panorama zoo.

Zawahał się, po czym ruszył naprzód, nie miał odpowiednich butów do wspinaczki. Trudno, będzie improwizował. Jeśli się pospieszy, zdąży obrócić w obie strony, zanim słońce się schowa.

Na północ ciągnął się brunatny jęzor ścieżki, która wiała się wśród zarośli, potem biegła wzdłuż strumyczka, spływającego z wygładzonych przez erozję skał. W pierwszej chwili Atticus podążył właśnie tą dróżką, następnie poszedł inną, węższą i bardziej krętą. Klął, ponieważ śliskie podeszwy jego miejskich butów sprawiały, że tracił równowagę na ostrych zakrętach, chwycił się więc gałęzi albo czepiał jedną ręką wystających kamieni. Woń natury nawet mu się podobała, chociaż nie potrafił rozróżnić konkretnych zapachów, wyczuwał jednak aromaty rozmaitych kwiatów, kory, ziemi, a wszystko to wymieszane ze sobą we wczesnokwietniowym cieple. Z każdym krokiem wspinaczka stawała się trudniejsza, przeliczył się co do własnych możliwości. Słońce zbliżało się do linii horyzontu, nie zdąży zejść na dół, wkrótce zupełnie straci widoczność. Trudno, Atticus nie należał do tych, co to rezygnują w połowie drogi.

Kiedy zaatakował ostatnie wzniesienie, po którym następowało rozwidlenie, pot oblewał mu plecy i perlił się na skroniach. Zgodnie z napisem na tabliczce wysokie wzgórze, które właśnie pokonał, nosiło nazwę Bee Rock, kolejne ścieżki prowadziły zaś na bardziej oddalone i jeszcze wyższe pagórki. Dalej, na zboczu góry, do której przylegał Bee Rock, Atticus odkrył szlak serwisowy. Mógł sobie oszczędzić sporo potu i wysiłku.

Skręcił na południe, po obu stronach kamienistej i śliskiej ścieżki wznosiła się siatka. Znajdował się na samym szczycie skalnego występu i gdyby nie ta powyginana i pordzewiała siatka, przy byle stąpinięciu mógłby się sturlać ze sto metrów w dół, po dzikich stokach. Pokonawszy ostatni stopień w postaci wapiennego występu, dotarł na wierzchołek Bee Rock. Panorama okazała się warta wysiłku: w oddali Glendale, potem szczyty San Gabriel, a w dole, pośród kolczastych zarośli, stare zoo.

Atticus pozwolił sobie na krótki odpoczynek, by odsapnąć i obetrzeć czoło, i z żalem pomyślał o pozostawionej w samochodzie butelce wody. Miał doskonały widok na miejsce zbrodni, a nawet na położony dalej parking i drogę.

Patrząc na ten krajobraz, doznał nagłego olśnienia: to nie Oscar Riotto wyznaczył tutaj komuś spotkanie. To jego tutaj zwabiono. Przy odrobinie szczęścia dowiedzie tego wykaz połączeń telefonicznych, który miał im dostarczyć operator. Późny telefon, żeby go tu ściągnąć.

Jeżeli Oscar Riotto wpadł w pułapkę, cypel stanowił idealny punkt, z którego można było wszystkim sterować. Po starannym przygotowaniu dało się do niego dostać szlakiem serwisowym, który z pewnością zarezerwowano dla strażników leśnych pilnujących Griffith Park, ale też którym po zapadnięciu zmroku mogła się posłużyć bez żadnego problemu każda wystarczająco zdeterminowana osoba.

Można było namierzyć każdy pojazd zbliżający się do parkingu, a następnie obserwować stół piknikowy przez noktowizor.

Atticus uświadomił sobie, że wszystko to wymaga dość szczególnych środków, a nawet udziału kilku osób.

*Bo zginął w spektakularny sposób. Trzeba więcej niż jednego człowieka, żeby zrobić taki numer.*

Czy był tego pewien? Czy przekraczająca wszelkie normy zbrodnicza wyobraźnia nie jest aby cechą charakterystyczną stuprocentowego psychopaty?

Prawdę mówiąc, nie miał zielonego pojęcia. Nie dysponował żadnym wystarczająco mocnym konkretem na poparcie choćby najsłabszej hipotezy, a sądząc po reakcji patologa, lepiej nie oczekiwać po nim żadnych cudów.

Atticus uczeplił się siatki, która wydała metaliczny zgrzyt.

Instynkt mu podpowiadał, że właśnie ma przed oczami miejsce zbrodni dokonanej przez szaleńca. Z każdym spojrzeniem rosło w nim przekonanie, że niczego nie pozostawiono tu przypadkowi. A już na pewno nie lokalizację.

– Ktoś przebywał tej nocy dokładnie tutaj i wszystko widział – powiedział do siebie.

Jakby na potwierdzenie jego słów w oddali, w górach zaczął wyc kojot. O ile się nie naśmiewał.



## 12.

Mini cooper works zatrzymał się przed maleńkim, za to wysokim i długim drewnianym domkiem, szerokości zaledwie samochodu. Żywiłowe dźwięki *Still Echoes Lamb of God*, uzyskane za pomocą przesterowanych gitar i podwójnej stopy, zamilkły, jak tylko Atticus wyłączył silnik.

Sąsiadka, Mrs Articott, już stała w oświetlonym oknie, toteż Atticus posłał jej swój najpiękniejszy uśmiech, starając się jednocześnie zrobić jak najbardziej wyzywającą minę. Ciągle pamiętał, jak mocno ucieszył ją w ciągu pierwszych dni widok gliniarzy w dzielnicy, dopóki nie usłyszała jego diabelskiej muzyki i nie dotarło do niej, że jest gejem. Od tamtej pory zaszczycła go wycudzonym niechętnie „dzień dobry”, kiedy się mijali.

Atticus mieszkał w Silver Lake, spokojnej dzielnicy na północ od centrum, na zboczu, nad brzegiem zbiornika, od którego wzięła ona swoją nazwę. Tutaj większość budynków idealnie nachodziło na siebie wzdłuż wąskich ulic, tworzących labirynt bez ładu i składu w stylu bardziej europejskim niż północnoamerykańskim. Prawie żadnego ogrodu, za to dla równowagi wszędzie drzewa, których korzenie wyrządzały w asfalcie tak potężne szkody, że był on powybrzuszany, a nawet popękany. Panowała tam cygańska atmosfera przesiąknięta zapachami hibiskusa, wisterii i róży.

Atticus wspiął się po zewnętrznych schodach i wszedł do pomieszczenia na piętrze, które służyło mu jako kuchnia i salon. Na balkon prowadziły jedyne przeszklone drzwi. Czarna tafla zbiornika w ciemności była ledwie widoczna, przesłaniały ją znajdujące się w dole dachy, za to wzgórze na przeciwległym brzegu przedstawiało wspaniały widok. Podziwiał go z upodobaniem, szczególnie wieczorami, kiedy życie wszystkich tych ludzi, którzy mieszkali tak blisko, a o których przecież nic nie wiedział, uwidaczniało się w blasku lamp. Lubił długo się w niego wpatrywać i powtarzać sobie, że każde światło oznacza przynajmniej jedną ludzką istotę i że być może właśnie w tej chwili ona się śmieje, płacze, odczuwa przyjemność, tępo gapi się w ekran albo wręcz spogląda w jego kierunku, równie pełna pytań jak on.

Zapalił lampę i usiadł przy barze nad sałatką, którą dopiero co kupił w drodze powrotnej w Whole Foods. Był wystarczająco głodny, żeby pochłonąć drugą taką samą porcję, ale zadowolił się jedną. Dbał o linię. Po przekroczeniu czterdziestki brzuszek rośnie i zamiast kaloryfera zaczyna przypominać wielką piłkę. Atticus i tak już nie był specjalnie zadowolony ze swojej sylwetki, gdyby więc nie wziął się w karby, w końcu kompletnie by sam siebie znienawidził.

Następnie stanął przed imponującą kolekcją CD, która zajmowała całą ścianę. Nie należał do zwolenników całkowitej cyfryzacji, lubił dotknąć, zobaczyć, żeby wzbierała w nim muzyka. Obok winyle okupowały niemal tyle samo regałów.

Na łagodny początek wieczoru wybrał album *Skyscraper* Davida Lee Rotha i położył go delikatnie na tacce napędu CD. Dwa stu pięćdziesięciowatowe wzmacniacze rozpały się i wyrzuciły z siebie pierwsze akordy w monstualnych kolumnach Focal.

Żeby oszukać uporczywy głód, Atticus zaparzył sobie cytrusową herbatę, po czym rozsiadł się na kanapie z laptopem na kolanach. Jeszcze nie skończył na dzisiaj z Oscarem Riottem. Ukazała się strona jego bloga. Atticus zabrał się do szukania, czytania notatek, w które nie zdążył się wgryźć po południu, aż znalazł zakładkę „Kontakt” i wysłał z niej wiadomość. Nazajutrz sprawdzi na telefonie Riotta, czy rzeczywiście dotarła ona na jego skrzynkę e-mailową, czy też została przekierowana na nieznaną adres. Kręcił się w kółko. Kiedy w salonie znów zapadła cisza, poczuł się nieco zagubiony. Wstał i w nadziei, że go to zainspiruje, wybrał jeden ze swych ulubionych albumów winylowych, *Clandestine Entombed*, szwedzkiego zespołu deathmetalowego, którego okładka miała w sobie coś z dzieła sztuki – gotycki posępny krajobraz w odcieniach ochry i fioletu. *Właśnie w takim nastroju jestem teraz...*

Powrócił do strony internetowej i wykorzystując wykupiony na cały dzień dostęp, ponownie przejrzał z uwagą obszerniejsze, płatne pliki, aby się upewnić, że nic mu nie umknęło. Zatrzymywał się na dłużej przy najnowszych wpisach. Żaden szczegół nie przykuł jego uwagi, poza tym nie wyobrażał sobie, żeby lobby od niezdrowego żarcia albo tytoniu założyło mafię, aby zlikwidować jakiegoś dziennikarza, który zdążył już rozpowszechnić swoje artykuły. Wtedy dostrzegł na samym dole komentarze. Było ich niewiele, za to często powtarzał się ten sam nick. IseekTru4U. Moderator strony, Oscar Riotto, najwyraźniej we własnej osobie, często mu odpowiadał. Ewidentnie się znali, robili bowiem aluzje do wydarzeń znanych tylko im. Atticus sprawdził we wszystkich głównych artykułach i niemal w każdym z nich zauważył obecność IseekTru4U – Riotto odpowiadał mu prawie zawsze. Jeśli ktokolwiek mógł znać następny temat Riotta, to był on. Atticus wątpił, żeby dało się go rozpoznać w książce telefonicznej Riotta pod tym nickiem, mimo to będzie musiał rzucić okiem. Jego palce bębniły bezwiednie po krawędzi laptopa. *Jak zidentyfikować kogoś po komentarzach, których główna zasada opiera się na anonimowości?* Atticus nie znalazł odpowiedzi i to go zirytowało. Czuł, że to coś ciekawego, trop, którym należy pójść, i jego frustracja wzrosła. Zawód śledczego: znajdować drogi i natrafiać na ślepe zaułki, aż wreszcie jedna z nich doprowadzi do celu. O ile to w ogóle możliwe. Długie błędzenie po ścieżkach prawdy, obfitujące w etapy, bez gwarancji powodzenia.

Z zadumy wyrwała Atticusa melancholijna solówka z *Evilyn*, którą przyćmił ryk basów i uderzenia perkusji. Pozwolił się na moment wciągnąć w tunel czarnych, potężnych, zwierzęcych emocji. Również dlatego kochał tę muzykę, za jej zdolność do wydobywania tego, co w nim najbardziej nostalgiczne, kruche, pierwotne, czego znaczenia sam dobrze nie chwycił, związku między okrucieństwem życia i nieubłaganym strachem przed śmiercią.

Kiedy wstał, by przełożyć płytę na drugą stronę, powrócił myślami do owadów, które pozbierał rankiem na miejscu zbrodni, czym prędzej więc wyjął z kieszeni plastikowe torebki i rozmieścił na stole. Po krótkim zastanowieniu przypomniał sobie, gdzie schował materiały z czasów studiów, pognął do piwnicy i z maleńkiego garażu wydobył karton. Umył w czystej wodzie przenośny stolik, następnie nieliczne narzędzia, po czym podłączył podświetlaną lupę do gniazdka w salonie. Wysypał zawartość pierwszej torebki na biały plastikowy blat i zaświecił lupę.

W jego głowie rozległ się głos Jaya Ottingtona. *Idealnie się do tego nadajesz*. Miał rację. Przypomniały mu się studenckie lata na biologii, niespełnione ambicje entomologa...

Pośród zmiażdżonych odnóży, szczęk i czułek widniała sterta chitynowych pancerzy. Ktoś je rozdeptał. Więcej, porządnie je rozgniół. Wielokrotnie? W umysł Atticusa wdarł się siłą obraz spadającego na chmurę owadów obcasa. Obcasa, który kopie coraz mocniej, obracając się na wszystkie strony.

Jakie podeszwy miał Oscar Riotta? *Brudne...*

Może to był on. Musi sprawdzić w biurze patologa.

Jeśli to się potwierdzi, to znaczy, że ostatniej nocy na terenie zoo rozegrał się osobliwy scenariusz: jakiś facet dzwoni o późnej porze i umawia się na spotkanie na tym pustkowiu, ktoś w końcu atakuje Oscara Riotta na ławce, zanim tamten spróbuje uciec... *A jeżeli rozdeptał owady, zanim dotarł do ławki i go napadnięto?* Nie, stosiki martwych insektów znaleziono wszędzie po trochu, porozrzucane, chaotyczne, bez ładu i składu. Stratował je nie ktoś, kto zmierzał w określonym kierunku, tylko człowiek w panice, biegający to tu, to tam, nie bardzo wiedząc, dokąd iść.

Atticus uzbroił się w pęsetę i przystąpił do powolnego, żmudnego sortowania. Usiłował odtworzyć kilka owadzich fragmentów – unosił mikroskopijne korpusy, pod którymi odkrywał kolejne, w lepszym stanie, z wydobytego fragmentu uzyskiwał bardziej rozpoznawalną część albo z tego, co wydawało się oczywiste, układał puzzle. Wspomnienia sięgały zbyt daleko, by mógł się bezbłędnie posługiwać nazewnictwem, a bez podręczników nie potrafił precyzyjnie sklasyfikować każdej próbki. Wydawało mu się jednak, że rozpoznaje klasyczną *Necrophilę americanę* – chrząszcza (*tak naprawdę to omarlicę*, poprawił się w duchu), którego łatwo odróżnić po żółtym

przedpleczu – znaną z tego, że rozmnaża się na zwłokach, a następnie składa jaja w zgniłym ciele. Potem kolejnego insekta, rodzaj chrząszcza z rodziny gnilińcowatych, charakterystycznego ze względu na pokrywy w kolorze metalicznej zieleni, przez patologów znanego z tego, że zjawia się na zwłokach w ciągu dwudziestu czterech godzin od zgonu i się nimi żywi. Kilka pobranych próbek nic mu nie mówiło, dopóki nie natrafił na *Omosita colon* – tego dobrze zapamiętał, ponieważ w czasach studenckich bawił go jego okrągły kształt. Znany był z tego, że zjawiał się na padlinie na końcu, niekiedy nawet kilka miesięcy po śmierci, żeby oczyścić kości z najbardziej mikroskopijnych tkanek. I wreszcie Atticus spostrzegł obecność licznych szczękoczułkowców, co go zaskoczyło, albowiem wbrew opinii większości ludzi pajaków nie zalicza się do owadów, tylko do pajęczaków, co dla biologów stanowi różnicę, to dwa dosyć odległe światy. Gdy udało mu się złożyć słynnego pajaka *Loxosceles reclusa*, pustelnika brunatnego, z niedowierzaniem coraz bardziej marszczył brwi.

W tym wszystkim nie było ani krzty logiki.

Zastępy, które powinny się zjawić w określonej kolejności, ponieważ nie biorą udziału w procesie rozpadu ciała jednocześnie, przy czym ich obecność na zwłokach dzielą często bardzo długie okresy, spotkały się w tym samym miejscu, skupione jedne na drugich tak mocno, że w chwili, gdy zadawano im śmierć, niemal zlały się w jedno.

Gorzej, było to niemal całkowite pogwałcenie podstawowych praw natury: rodziny zwalczających się, niewspółgrających ze sobą owadów zgromadzone warstwami.

Atticus widział tylko jedno wyjaśnienie. Ingerencję człowieka, który porzucił je na ziemi, zanim je rozdeptano. Owady musiały już być martwe, bo inaczej by uciekły.

Tylko dlaczego ktoś zadał sobie aż tyle trudu? I jak działał zabójca Oscara Riotta? Atticus znalazł się w impasie, zupełnie nie pojmował, skąd narodził się ten pomysł, chyba że natrafił na poziom makiawelizmu i być może perwersji, z jakim nigdy wcześniej nie miał do czynienia.

*Idealnie się do tego nadajesz!*

Teraz już wcale nie był tego taki pewien.

Wokalista Entombed wydał niekończący się krzyk cierpienia, idealnie dopasowując się do myśli, które kłębiły się w głowie Atticusa. Wówczas detektyw usłyszał pełen przerażenia krzyk Oscara Riotta, biegnącego, aby przeżyć w starym zoo, w nieśmiałym blasku księżyca, który przyglądał się bladym okiem tej scenie jakby żywcem wyjętej z horroru.

Podczas krótkiej chwili dezorientacji Atticus zadał sobie pytanie, czy przypadkiem owady w rzeczywistości nie roiły się, będąc w pełni sił, kiedy Oscar Riotta je rozdeptał, i czy to nie one ścigały go z zamiarem pożarcia, kiedy jeszcze żył.

## 13.

Z kolejki nadziemnej na Brooklynie roztaczał się pełny widok na miasto Nowy Jork. Od lśniących wieżowców Manhattanu po dachy przysadzistych kamienic Park Slope czy Carroll Gardens. Wysokie mrówkowce albo stłoczone sypialnie, połyskujący chrom albo brudna cegła, w każdą szczelinę wylewał się spieszący tłum albo stojące w korkach samochody.

Kat wysiadła na stacji Smith-9th Street, górującej nad Gowanus Canal i barkami wypełnionymi odpadami przemysłowymi, a gdy zbiegła po schodach, znalazła się w samym środku strefy magazynów, pustych ogrodzonych placów i starych sklepików ozdobionych krzykliwymi neonami. Przeszła pod drogą ekspresową Brooklyn-Queens i jej wysokimi stalowymi pylonami pomalowanymi na zielono, zastanawiając się, co w tym ogłuszającym hałasie jadących w górę wozów robi food truck, wołała jednak sobie nie wyobrażać, jak ponure musi być to miejsce po zmroku. Nie miała ochoty się o tym przekonać, dlatego aby sobie tego oszczędzić, musiała przyspieszyć kroku.

*Wszystko w swoim czasie. Teraz najważniejsze to się dowiedzieć, jak wygląda ten cały Silas Okporo...*

I czy to rzeczywiście chłopak, który przypadł do gustu Lenie, jak twierdziła jej koleżanka ze Starbucksa. Lena Fowlings przechowywała jego wizytówkę w czymś, co przypominało zbieraninę ulubionych miejsc bądź wydarzeń – być może ten cały Silas zdoła podpowiedzieć Kat, co dziewczynie chodziło po głowie, zanim się ulotniła...

W miarę jak Kat oddalała się od monstrualnej serpentyny tworzącej powietrzną autostradę, z ulic najwyraźniej znikwały wszelkie ślady życia. Stłoczone, zaniebane, pomazane graffiti, niekiedy opuszczone budowle, zarośnięte chwastami parkingi, popękany asfalt, usiany dziurami większymi niż piłka do kosza. Nieliczni przechodnie przemykali w pośpiechu, zatopieni w myślach, samochody wielokrotnie zmieniały właścicieli i to co najmniej, odkąd stary Bush został prezydentem. W latach osiemdziesiątych dzielnica Red Hook zasłynęła jako cmentarz dla mafii. W jej zaułkach, uliczkach i odosobnionych podwórzach odbyło się mnóstwo egzekucji, nie mówiąc o niedostatecznie obciążonych trupach znalezionych w Gowanus Canal. W latach dwutysięcznych, kiedy Red Hook oparło się wszelkim próbom polepszenia sytuacji, politycy i przedsiębiorcy podwoili wysiłki narzucenia sławnej gentryfikacji, czyli ekonomiczno-socjalnej odnowy dzielnicy poprzez masowe osiedlanie mieszkańców z wyższych klas, lecz bez powodzenia. Ani postawienie Ikei, ani prace przeprowadzane na prawo i lewo, aby zwiększyć atrakcyjność tego sektora, nie

wystarczyły. Przeszczep się nie przyjął. Red Hook stanowiło złośliwą narośl na skraju Brooklynu, a nikt nie chciał być częścią guza.

Tuż obok Kat przemknęła z rykiem naczepa. Prywatna detektyw skręciła w końcu w Lorraine Street i dotarła na miejsce.

Sklep Silasa Okpora oznaczony był jedynie drewnianym szyldem, zawieszonym nad pasażem, który prowadził do brązowego magazynu. Kto przyjeżdżał aż tutaj po tego typu artykuły? Świrry. Nawiedzeni... Tacy jak Lena?

Kat ruszyła pasażem, po czym natrafiła na podniesione drzwi do baraku z uwiązaną w poprzek na sznurku tabliczką „Otwarte”.

Światło dnia z trudem przebijało się przez nieliczne poziome okna dachowe, umieszczone przy suficie na wysokości ponad pięciu metrów. Gdy tylko Kat przekroczyła próg, owionął ją zapach drzewnego i piżmowego kadzidła.

Znieruchomiała na widok ogromnego pyska z wyszczerzonymi kłami i groźnymi ślepiami, który wyrósł przed nią jak spod ziemi.

Mierzący przeszło trzy metry, wykuty w kamieniu kolos musiał ważyć kilka ton – przedstawiał coś w rodzaju złego smoka. *Sympatyczne powitanie...*

Wokół całej hali znajdowały się też inne, równie przerażające monstra, drewniane cebry z wyrżniętymi demonami, hebanowe diabły, gargulce, skulone albo z rozpostartymi nad aleją skrzydłami... W miarę jak Kat posuwała się ostrożnie naprzód, jej oczom ukazywał się cały ogrom kolekcji. Stwory wszelkich możliwych rozmiarów stały grzecznie w szeregu albo przeciwnie, leżały bezładnie na stosie. Na horyzoncie jednak nie było żywego ducha.

Okrążyła stół z orzechowego drewna, którego nogi przedstawiały sprośne sukuby z obfitymi piersiami, uśmiechające się równie lubieżnie co perfidnie. W misach, przypominających zbezczeszczone chrzcielnice, paliło się kilka kadzidełek stożków.

*Kto kupuje takie paskudztwa?*

Czyżby w Nowym Jorku mieszkali bankierzy sataniści albo szefowie firm gotyckich? *Artyści. Ekscentrycy...*

Kat dostrzegła wejście do kolejnego pomieszczenia, jeszcze niższego i ciemnego. Kierunek wskazywał zatknięty za rurę kawałek kartonu z napisem „Informacja”.

Powoli ruszyła w tamtą stronę. Tutaj sufit znajdował się na wysokości głowy, zaś w anemicznym blasku czterech lamp, zawieszonych na wbitych w ściany gwoździach, ciągnęły się regały.

Woń piżma przemieszana z zapachem cedru nasiliła się. Wszędzie po trochu paliły się następne kadzidełka.

– Jest tu kto? – zapytała.

Jej głos odbił się od ciężkich regałów ozdobionych rytualnymi nożami z egzotycznych krajów, flakonami zawierającymi korzenie, zioła i wyciągi kwiatowe, albo też księgami na temat magii, niekiedy w fatalnym stanie. Do podtrzymywania dzid i afrykańskich masek, z których część miała upiorne miny, służyły stojaki. A niemal na każdej półce znajdowało się przynajmniej jedno wypchane zwierzę. Fretka, lis, łasica, ale także parę węży, sów, sępów, a nawet tapir. Rząd zamykała zebra o masywnej sylwetce, wpatrująca się w Kat szklanymi oczami.

Detektyw wypatrzyła także skorpiony i pająki we wszystkich rozmiarach, niekiedy większe niż jej dłoń – ich widok przyprawił ją o dreszcze. Niektóre czaiły się w szklanych akwariach, większość po prostu spoczywała na cienkich odnóżach. Gotowa do skoku.

*Nie zachowuj się jak kretyńka...*

Kat ruszyła jedną z alejek w poszukiwaniu lady, po czym natknęła się na kilkumetrowego krokodyla. Leżał na gołej podłodze z otwartą paszczą, nieruchomym wzrokiem, niewzruszony, tak jakby czekał na najdrobniejszy ruch swej ofiary, by przystąpić do ataku. Kobieta cofnęła się, nie spuszczać z niego oczu, i podążyła następnym przejściem. *OK. Już wiem, że ten cały Silas Okporo to wstrętny palant, który zabawia się, napędzając cykora swoim klientom.*

Wówczas uświadomiła sobie, że krąży wśród setek oczu. Od podłogi do sufitu. Wszystkie pływały w brązowej cieczy, jedne malutkie, inne wielkości pomarańczy – absurdalna i ohydna kolekcja – i spoglądały na nią nieruchomo przez ściany słoików. Przez ten gęsty płyn przenikało bursztynowe światło pobliskiej lampy. Kat zaczynała się czuć nieswojo.

– Niektóre są ludzkie – oznajmił czyjś łagodny głos przed nią.

Kat instynktownie się odwróciła.

– Słucham?

– Oczy – odparł głos zza regału – niektóre z nich są ludzkie.

– To makabryczne... – wyrwało się Kat.

Postać przechadzała się powoli, równoległe do prywatnej detektyw. Jeszcze trzy metry i oboje będą mogli stanąć twarzą w twarz.

– Wie pani, co się mówi o oczach, prawda? – dodał mężczyzna poważnie.

– Że są zwierciadłem duszy, zgadza się? – odrzekła Kat, nieco rozdrażniona tym całym przedstawieniem.

– Właśnie. Proszę więc sobie wyobrazić wszystkie te uwięzione dusze, które dokładnie w tej chwili panią obserwują.

Kiedy dotarli do początku alejki, mężczyzna pojawił się ubrany w cienki skórzany płaszcz przypominający pelerynę. Cera równie ciemna jak strój, nad wygolonymi

skrońmi pęk dredów podtrzymywanych spinkami ze starej miedzi, przewyższał Kat co najmniej o głowę. Jego zapadnięte oczy, ledwie widoczne w półmroku, lśniły intensywnym blaskiem.

Kat przyjrzała się jego szyi.

Po lewej stronie miał wytatuowanego asa pik.

Po drugiej prawie uśmiechniętą czaszkę. Wyglądała, jakby miała się zaraz rozpuścić...

To był on.

– Silas, do usług.

W terenie Kat rzadko kłamała na temat własnej tożsamości, doświadczenie – co Big Tony często jej powtarzał – dowiodło, że większość ludzi dość łatwo się zwierza prywatnemu detektywowi. Jej zawód stanowił gwarancję poważnej rangi, profesjonalizmu, w grę nie wchodziły po prostu odpowiedzi przygodnemu nieznanemu, a w dodatku nie było tak samo jak z gliną, świadkowie nie obawiali się, że zostaną bezpośrednio wmieszani, wezwani na komisariat albo wręcz przed sąd. Prywatny detektyw budził zaufanie tam, gdzie glina przerażał.

Otworzyła wizytownik i pokazała licencję.

– Szukam dziewczyny, którą pan dobrze zna, Leny Fowlings.

Należało mu zademonstrować już na samym początku, że na nic się nie zda zaprzeczanie, udawanie, że jej nie zna.

Mężczyzna wykrzywił usta z rozbawieniem.

– Droga Lena...

– Od dziesięciu dni nie daje znaku życia, rodzina się zamartwia. Wie pan, gdzie ona jest?

Silas Okporo obrócił się, by dokładniej przyjrzeć się swej rozmówczyni. Jedna z lamp zdołała uchwycić w przelocie błysk w jego oczach. Czarnych źrenicach, które spoglądały z niepokojącą intensywnością. Przez chwilę Kat miała wrażenie, że próbuje ją przeszyć na wylot, sprawdzić, co kryje się za cienką barierą jej wzroku, toteż poczuła się nieswojo. *Weź się w garść. To jego sztuczka, znajdujesz się na jego terytorium, on to wykorzystuje, to jego biznes...*

Silny zapach kadzidełek, półmrok, wystrój wnętrza i jego magnetyczna obecność nie pomagały Kat w zapanowaniu nad własnymi emocjami. Silas podszedł jeszcze bliżej. Mogła poczuć jego woń, przyjemną, zwierzęcą... niemal seksualną.

*W co ten facet gra?*

– Kiedy widział ją pan po raz ostatni? – naciskała Kat.

Pozostać w natarciu, sterować rozmową, oto jak mogła zachować kontrolę.

– W ubiegłą sobotę.



Kat wyprostowała się zaintrygowana. Wreszcie jakiś znak życia, pierwszy od dziesięciu dni.

– Jest pan pewien? W sobotę, sześć dni temu?

Silas przytaknął.

– Przyszła oddać książki, które jej kiedyś pożyczyłem.

– Jakiego rodzaju książki?

Pomimo słabego światła Kat zauważyła, jak na twarzy słusznego wzrostu sprzedawcy maluje się uśmiech, i zdało jej się, że na wysokości siekaczy dostrzega migoczący ciemny żąb, coś jakby diament na środku implantu. Silas potoczył dokoła dłoń.

– A jak pani myśli?

– Na temat magii? Ona w to wierzy?

– Prawdziwe pytanie brzmi: czy pani w to wierzy, Miss...

– Kordell. I nie, nie jestem wyznawczynią tego typu praktyk. Czy mogę zapytać o charakter łączących was relacji?

Silas przez chwilę mierzył ją wzrokiem, po czym odparł:

– Jestem kimś w rodzaju mentora.

Kat obawiała się, że mężczyzna stara się ją nawrócić, postanowiła więc nie zagłębiać się w to zagadnienie.

– Od dawna się znacie? O ile się orientuję, Lena nie ma wielu przyjaciół, tym bardziej tych z dawnych lat...

– Od zimy, będzie z sześć miesięcy. Wpadła tu pewnego dnia, żeby się rozejrzeć, pogadać, i wyszła z kilkoma książkami. Usłyszała o mnie na pewnej imprezie.

– Często gdzieś chodzi?

– Powiedzmy, że ją to zajmowało. W każdym razie kiedy ją poznałem. Potem rzadziej.

– Wie pan dlaczego?

– Ponieważ czuje mniejszą potrzebę. Lena odsuwała od siebie samotność i smutek, uczestnicząc w licznych wieczorach, koncertach, następnie się wyciszyła i pogrążyła w nauce.

*Znów do tego wracamy. Nie dam się podejść.*

– Magii, zgadza się? Mówiła panu, czego w niej szuka?

Silas westchnął głęboko, nie odrywając od Kat głębokich niczym studnie bez dna oczu.

– Wiedzy, władzy, sojuszy, wszystkiego, co człowieka fascynuje.

– A wnioskując z lektur, pańskim zdaniem odnalazła to wszystko?

Silas zaczął powoli krążyć wokół Kat. Nagle prywatna detektyw poczuła na sobie wzrok wszystkich gałek ocznych wypełniających słoje.

– Czytanie to otwieranie umysłu, ale żeby umysł się rozwinął, trzeba praktyki.

Kat nie mogła się powstrzymać, by nie powrócić myślami do kota z rozprutym brzuchem i znaków, które wypalono mu na kościach pirografem. Zawahała się.

– Czy jeśli pokażę panu pewne zdjęcie, zdoła pan rozpoznać symbole ezoteryczne?

Silas zachęcił ją machnięciem ręki, by mówiła dalej. Kat wyjęła aparat fotograficzny i odszukała zdjęcie, na którym symbole były dość wyraźnie widoczne, po czym zrobiła maksymalne zbliżenie, aby nie dało się rozpoznać, na czym je wypalono.

Silas pochylił się, otaczając ją w przelocie swym niepokojącym zapachem.

– To enochiański – stwierdził bez wahania. – Język magii.

– Nigdy o nim nie słyszałam

– Wtajemniczeni go znają – ciągnął, podejmując na nowo swój powolny spacer wokół niej. – To język pierwotny, którym Adam przemawiał do niebios, zanim został z nich wygnany. Kiedy obudził się na ziemi, zapomniał go. Za pomocą kilku strzępów enochiańskiego, jakie mu zostały, udało mu się stworzyć coś, co stało się później językiem uniwersalnym, używanym przez wszystkich przed wieżą Babel. Ale u źródeł każdego słowa leży enochiański. Stosuje się go w magii, podobnie jak pismo. To te glify.

Kat nie zdołała się pohamować przed uwagą:

– Skoro nawet Adam go zapomniał, jak to możliwe, że da się rozpoznać jego alfabet?

Silas spostrzegł lekki sprzeciw, lecz się tym nie przejął, odpowiedział z kwaśnym uśmiechem:

– Dziewiętnastowieczni okultyści brytyjscy Dee i Kelley zdołali dokonać retranskrypcji, porozumiewając się z duchami z zaświatów. Powinna się pani zainteresować tą dwójką, znaczą dla okultyzmu tyle co Einstein dla twardej nauki.

Kat wolała nie wnikać w wiarygodność takich praktyk, to wykraczało poza granice jej życzliwości i tolerancji.

– Czy Lena Fowlings praktykuje ten cały enochiański?

– Jest zawarty w części książek, które dałem jej do przeczytania. Napis został wyryty na zwierzęcych kościach, prawda? Na zwierzęciu złożonym w ofierze.

– W stylu: proszę ducha o łaskę, a w zamian daję mu świeżą krew?

Silas, który nie przestawał krążyć wokół niej hipnotyzującym krokiem, cmoknął.

– Zadanie śmierci występuje tu po to, żeby stworzyć szczelinę między światem żywych a światem zmarłych, i właśnie w chwili, gdy duch istoty złożonej w ofierze przechodzi z jednego stanu do drugiego, obrzęd umożliwia wysłanie wiadomości

przez tę szczelinę. Krew nie ma tu nic do rzeczy poza tym, że przeciwnie, jest symbolem życia.

Kat zaczynała odczuwać znużenie gierkami Silasa. Zatrzymała go, kładąc mu dłoń na przedramieniu, na którym podwinięty rękaw odsłonił wytatuowane pierścienie i spirale, niemożliwe do rozczytania w tym półcieniu. Mężczyzna miał chorobliwie zimną skórę. Na moment wpadła w popłoch, lecz zaraz doszła do siebie.

– Właściwie co razem robicie?

– Zaspokajam jej ciekawość. Podsuwam jej lekturę i odpowiadam na pytania, to wszystko.

Pogrążona w depresji, wrażliwa, łatwy cel – zdenerwowała się Kat, nie dając po sobie nic poznać. Lena po prostu znalazła wsparcie w rozpacz.

Kat puściła rękę Silasa.

– Czyli na zdjęciu jest coś napisane?

– Jeżeli mi je pani wydrukuje i da trochę czasu, mogę to pani przetłumaczyć.

Jedno było pewne: nie mogła mu zarzucić braku chęci do współpracy.

– Czy Lena wspomniała panu, że zamierza złożyć w ofierze zwierzę? Czy wie pan dlaczego?

Silas tylko pokręcił głową. Musiał dostrzec jej odrazę.

– Nie powinna się pani o nią martwić – odparł – ona ma się dobrze.

Kat zeszywniała.

– Wie pan, gdzie ona jest?

– Lena od miesięcy mówi o śmierci i z początku myślałem, że jest gotowa przejść do czynu. Ale wróciła z nowym błyskiem w oczach. Ciekawiła ją cała ta wiedza, budziła w niej chęć do życia, o której sądziła, że już wygasła.

– Wspominała panu o samobójstwie?

– Nie musiała, wyczytałem to w jej spojrzeniu już w pierwszej chwili naszego spotkania. Nie dawałem jej więcej niż miesiąc na przeżycie. Wytrzymała. I obudziła się na świat. Bo odkrywała, że jest czymś więcej niż to, czego nas uczą, bo domyślała się, że coś się kryje za fasadą, że istnieje rzeczywistość. A potem z każdym miesiącem przykładała się coraz mniej, przestała mnie odwiedzać i nie dzwoniła.

– Znalazła sobie kochanka albo kochankę? Na ogół to główna przyczyna, dla której ludzie znikają.

– Lena nie jest tego typu dziewczyną. Dawno już odsunęła od siebie wszelkie uczucia w tym stylu. Ale odwiedziłem ją w pracy, aby jej przypomnieć, że ma jeszcze parę moich książek.

Wizyta w Starbucksie, potem odwiedziny Leny w ubiegłą sobotę, żeby mu wszystko oddać. Wszystko układało się w całość. Bez podążania innym tropem...

– W takim razie z czego pan wnioskuje, że ma się dobrze? – naciskała Kat.

Silas lekko odchylił głowę do tyłu, górując nad nią całą sylwetką. Długo się zastanawiał. W kłopotliwym milczeniu Kat wydało się, że dostrzega płynne ruchy wszystkich oczu, które wpatrywały się w nich z obu stron alejki.

– Lena przestała się lękać – rzucił w końcu sprzedawca. – Zrozumiała, jak jest zbudowany świat duchów. Już się go nie boi. A jeżeli chce pani znać moje zdanie: napis, jaki zrobiła na zwłokach tego zwierzęcia, to nie jest wiadomość dla pani ani dla mnie, dla żywych. To wiadomość dla zmarłych.

Po kolejnej teatralnej pauzie dodał:

– Ona ich uprzedza o swoim przybyciu.

Silas pochylił się nad prywatną detektyw.

– Miss Kordell, Lena przekroczyła Rubikon. Przeszła na drugą stronę.

## 14.

Blask nielicznych lamp skupiał się w kryształowej szklance, a następnie rozpraszał, po drodze przyjmując bursztynową barwę. Gwatemalski rum dojrzewał w trzech rodzajach beczek, aby nabrać ciemnego koloru i się skarmelizować, a dzięki temu ujawnić swą osobowość w pełnej krasie.

Czy też ją zyskać?

To bezcelowe pytanie powróciło, gdy Kat zagłębiała się w swoim biurowym fotelu, stawiając przed sobą szklankę.

Kilka łyków wspomagających myślenie, zamiast kolacji. Przez okno za jej plecami, oprawione w ramę światła, widać było krzywizny Manhattanu.

Zacapa nawet nie spalił jej języka, przeciwnie, otulił go, opowiadając swoją historię, przybliżając swe nuty drewna, swój waniliowy miód, rozprawdzając swoje ciepłe aromaty na podniebieniu z delikatnością skóry, która prześlizguje się przez gardło. Wdychała rum. Wzrok jej mętniał.

Silas Okporo sprawiał wrażenie pewnego siebie. Lena się zabiła. Cel drogi bez powrotu dla tej pogrążonej w głębokiej depresji kobiety, która spędziła ostatnie miesiące na utwierdzaniu się co do samej natury śmierci, aż w ogóle przestała się jej bać.

Skoro tak było, co się stało z jej ciałem? Dlaczego się ukryła?

*W dodatku to nie wyjaśnia dziwnego SMS-a wysłanego w nocy do matki.*

Coś w tej historii nie pasowało. Dopóki Kat nie zdobędzie dowodu, że jest inaczej, powinna postępować tak, jakby dziewczyna nadal żyła. Ścigać ją. Aż ją odnajdzie, nieważne gdzie, nieważne w jakim stanie.

Kat odepchnęła szklankę i przysunęła do siebie laptop.

Większość internetowych baz danych aktualizuje się dopiero po jakimś czasie, dlatego Kat wolała udać się bezpośrednio na miejsce za dnia, a wieczór zostawić sobie na wirtualne poszukiwania. Miała słabą nadzieję, że coś odkryje, ale dobry prywatny detektyw musi przez to przejść.

Przede wszystkim, nawet jeśli wydawało się nieprawdopodobne, że Lena Fowlings nie skorzystała z prawa do telefonu, należało sprawdzić, czy zwyczajnie nie siedzi za kratkami od dobrego tygodnia. Dysponując jej pełnym imieniem i nazwiskiem oraz datą urodzenia, Kat miała wszystko, co potrzeba.

Zaczęła od strony więzień stanu Nowy Jork, następnie bez przekonania rozszerzyła swoje poszukiwania na więzienia federalne. Większość ludzi nie zdawała sobie

sprawy, jak łatwo jest poznać miejsce odbywania kary osadzonych, a nawet przewidywaną datę wyjścia na wolność. Wszystko zostało upublicznione i było dostępne po paru kliknięciach.

Zgodnie z oczekiwaniami, bez rezultatu.

Era informatyki w społeczeństwie domagającym się transparentnego państwa znacznie uprościła pracę prywatnego detektywa, wystarczyło tylko umieć się posługiwać komputerem i mieć odrobinę oleju w głowie.

Na wszelki wypadek weszła jeszcze na stronę Ubezpieczeń społecznych i przejrzała główną kartotekę zgonów, wpisawszy numer ubezpieczenia Leny, dostarczony przez jej matkę. W idealnym świecie było niemożliwe, żeby Lenę Fowlings znaleziono martwą, żeby już figurowała w Ubezpieczeniach społecznych jako zmarła i żeby jej własna rodzina nie została powiadomiona o jej zaginięciu. Kat zdążyła się jednak nauczyć, że czasami zdarzają się absurdy, zwłaszcza w przypadku administracji.

Ciągle nic. To przynajmniej stanowiło dobrą wiadomość.

Napisała więc zwięzły e-mail, dołączyła do niego fotografię Leny, podała dokładny opis wyglądu, w tym tatuaż anioła na łopacie, i rozesłała do wszystkich swoich kontaktów w policji, jak również do zakładu medycyny sądowej na Manhattanie. Gdyby wyłowiono ostatnio w okolicy ciało kobiety odpowiadające rysopisowi, dowiedzieliby się o tym i czym prędzej ją uprzedzili.

Podczas gdy zdjęcia zrobione u Leny ładowały się na komputer, Kat wystukała kolejny e-mail, tym razem do Silasa Okpora, na adres, który jej podał. Następnie dołączyła do niego fotografię, która najdokładniej odzwierciedlała symbole wypalone pirografem na kocich kościach, i wysłała całość.

Przez ponad godzinę, sącząc kolejne szklanki rumu, Kat przesuwiała zdjęcia na ekranie, aby mieć pewność, że nic jej nie umknęło, i zapamiętać jak najwięcej szczegółów. Kiedy natknęła się na stos ulotek, które następnie uwieczniła jedną po drugiej, przypomniała sobie o korespondencji, zabranej ze skrzynki Leny. Kompletnie wyleciało jej z głowy, żeby zostawić ją w mieszkaniu.

*Zresztą nie po raz pierwszy...*

Tego typu błąd mógłby ją kosztować licencję, gdyby sprawy przybrały zły obrót. Nie miała żadnego prawa przywłaszczać sobie listów, nawet z pozwoleniem matki dziewczyny, Lena była pełnoletnia i nie znajdowała się pod niczyją opieką. Odniesie je na początku tygodnia.

Kat otworzyła torbę, wyciągnęła z niej mały pakunek i położyła przed sobą na obitym skórą biurku.

Lena Fowlings nie wyjmowała korespondencji od jakiegoś czasu. Krótki rzut oka na stempel pocztowy ujawnił datę 18 marca, czyli jakieś dwa tygodnie przed jej ostatnim

spotkaniem z Silasem, później już jej więcej nie widziano. Lena popadła w beznadzieję. Dwa listy zostały otwarte, znak, że od czasu do czasu musiała zaglądać do skrzynki, aby sprawdzić, czy nie ma nic pilnego. Kat zrobiła małe zestawienie. Głównie pisma urzędowe, jedna z wybebeszonych kopert musiała zawierać czek, w pozostałych było pełno reklam niebudzących żadnego zainteresowania.

*Zaglądasz do skrzynki, ale taka z ciebie bałaganiara, że nie zawracasz sobie głowy, by wszystko posortować i wyłapać to, co ważne.*

Pasowało to do obrazu, jaki przedstawiało sobą mieszkanie. Brudne naczynia, porozrzucane ciuchy, Lena gromadziła stosy wszystkiego, ale robiła porządki dopiero wtedy, gdy została przyparta do muru.

Nic pasjonującego.

Kat rozsiadła się głębiej w fotelu ze szklanką w dłoni. Jakie powinno być jej następne posunięcie? Pogrzebać w finansowych pasywach Leny? W jakim celu? Zajrzeć do archiwów sądowych, aby się przekonać, czy nie była zamieszana w jakąkolwiek historię, o której nie napomknęła matce? Po co, jeśli nie po to, by wyłuskać kilka nazwisk osób, które miały z nią coś wspólnego? Dużo energii i czasu dla marnego rezultatu. Nie, Kat musi działać bardziej dokładnie, skuteczniej.

Otoczenie. Przy każdym zaginięciu wszystko zawsze właśnie tutaj się zaczyna.

Chwyciła notes i zerknęła na nieliczne nazwiska i numery telefonu, które przekazała jej Annie Fowlings. W większości starzy znajomi Leny.

23.11.

*Za późno na dzwonenie.*

Powinna była zacząć od tego. W normalnych czasach właśnie tak by zrobiła, dlaczego więc wypadła z domu?

*Chciałam zrozumieć tę dziwną dziewczynę. Pojechać do niej, powęszyć, wyrobić sobie jaśniejszy pogląd niż to, co opowiedziała mi o niej matka.*

To było ważne, zanim porozmawia z jej przyjaciółmi. Dowiedzieć się, kim jest, żeby nie dać się wykołować. Jeśli któryś ze znajomych krył Lenę, należało się zorientować, kto to był, kto ją okłamał.

Tymczasem przyszedł e-mail, który wyświetlił się na ekranie przed Kat.

Od: Annie Fowlings. Zgodnie z obietnicą matce udało się znaleźć hasło do konta córki u operatora. Przysłała jej kilkadziesiąt stron billingów.

Jeśli Lena Fowlings się o tym dowie i złoży skargę, Kat może wiele stracić. Mimo to ściągnęła i natychmiast wydrukowała plik.

Jak na trzy miesiące, wykaz nie powalał objętością. Lena nie była komórkową maniaczką ani najbardziej popularną dziewczyną.

Na początek Kat zakreśliła każdy numer dostarczony jej już przez Annie Fowlings innym kolorem markera i poszukała ich na trzydziestu stronach. Żadnej regularnej częstotliwości, gorzej: pojawiły się tylko dwa. Rzeczywiście Lena nie należała do tych, którzy podtrzymują przyjaźnie. Następnie za każdym razem, gdy Kat wypatrzyła numer Annie, obwiodła go kółkiem. Najczęściej to matka dzwoniła do córki, a nie odwrotnie.

Potem pod palcami uzbrojonej w pisaki Kat wypłynęły na wierzch te, które się powtarzały.

Powracały uparcie numery dwóch komórek.

Pierwszy pojawiał się bardziej regularnie na początku, w styczniu, po czym w lutym zaczął zanikać, żeby zupełnie zamilknąć w marcu. Kat nazwała go X. Drugi stanowił jego przeciwieństwo, jedno jedyne połączenie w połowie stycznia, z dziesięć w lutym i dwa razy tyle w marcu. Temu przyporządkowała Y.

*Czyżby chłopak, który po paru tygodniach ustępuje miejsca kolejnemu?*

Kat spoglądała na to sceptycznie. Podążyła wzrokiem do ostatniej linijki.

Lena zadzwoniła do Y w niedzielę 31 marca o 8.27, czyli nazajutrz po tym, jak widział ją Silas Okporo. Potem przez cały dzień ani jednego połączenia. Nawet przychodzącego. *Wyłączony telefon?*

Wykaz nie obejmował jeszcze pierwszych dni kwietnia, trzeba by zaczekać niemal miesiąc.

Kat odczytała ponownie nazwę operatora i zmeła przekleństwo. Nie miała u nich żadnego kontaktu.

X i Y to było prawie wszystko, czym Kat dysponowała na temat ostatnich trzech miesięcy. Jeśli ktokolwiek mógł wiedzieć, gdzie Lena się znajduje i jakie ma plany, to właśnie jedno z nich.

Kat otworzyła okno wyszukiwarki i wśród swoich ulubieńców odnalazła odwróconą książkę telefoniczną, którą uważała za dość skuteczną, Masterfiles. Nie dała żadnych wyników na temat numerów X i Y, prywatna detektyw przeszła więc do profesjonalnej bazy danych, Skipmasher, w której miała wykupiony abonament. Wprowadziła obie szukane sekwencje i natrafiła na nazwisko X, Cécile Kingsley. Co do Y, nadal pozostał nieznany.

Kat wygooglowała nazwisko Cécile Kingsley i natknęła się na tatuażystkę z College Point, w Queens. *To ona, na bank. Czyżby przyjaciółka?*

Była prawie pierwsza w nocy, zawartość butelki z rumem zdążyła się skurczyć, nadszedł czas zamknąć budę, nic, co miała do zrobienia, nie nadawało się na tak późną porę.



Wszystko to zapewniło Kat jasność co do jednego: Annie Fowlings nie była blisko z córką. W każdym razie Lena nie mówiła jej wszystkiego. Annie z pewnością nigdy nie słyszała o Cécile Kingsley, chociaż właśnie do tej osoby jej córka dzwoniła najczęściej na początku roku. Podobnie jak najwyraźniej nie miała pojęcia, że córka pasjonowała się magią.

Kat już zamierzała wyłączyć komputer, kiedy zauważyła kolejny przychodzący e-mail.

Tym razem nadawcą był Silas Okporo.

Kliknęła, żeby otworzyć wiadomość.

Tajemniczy sprzedawca przetłumaczył enochiańskie symbole, wypalone wewnątrz klatki piersiowej kota Leny.

Ich lektura wzbudziła w Kat czujność.

„Potem ujrzałem anioła, zstępującego z nieba, który miał klucz od Czułości”<sup>5</sup>.

Silas dopisał pod spodem:

„To cytat z Biblii. Z Apokalipsy”.

Kat westchnęła głęboko. Było coraz gorzej. Im bardziej posuwała się naprzód, tym więcej pytań ją dręczyło. Czy to naprawdę Lena wyrzuciła taką potworność własnemu kotu? Ze względu na zdrowie psychiczne dziewczyny i nadzieję, że żyje, lepiej było w to nie wierzyć. Tylko że włączenie osoby postronnej w równie ohydny rytuał budziło niemal jeszcze większy niepokój. A właściwie jaka dokładnie relacja łączyła Lenę z matką? *Kim są Cécile Kingsley i Mr albo Mrs Y?*

Kat zamknęła z trzaskiem laptop i nieco zbyt szybko się podniosła. Zakręciło jej się w głowie. *Za dużo alkoholu...*

Na szczęście łóżko nie znajdowało się daleko, na końcu korytarza, za tymi kołyszącymi się drzwiami...

*Moje życie sprowadza się do tych drzwi*, pomyślała. Drewnianej przegrody między życiem prywatnym a praktyką detektywa. Łóżko i biuro. Czterdzieści lat egzystencji upchane na tej przestrzeni. Brak dzieci, brak spuścizny duchowej do przekazania następnym pokoleniom, jedynie przelotna obecność na tej planecie, a kiedy przeminą jedna czy dwie generacje, nikt nie będzie już o niczym wiedział.

*Za dużo sobie golnął, kochaniutka...*

Kat dostrzegła przez okno świetlistą masę Manhattanu, odcinającą się na tle ciemnego nieba. Szczególnie południowy kraniec, wraz z ogromnymi wieżowcami przypominającymi palce, które usiłują dosięgnąć chmur. Kat wyrwało się drwiące parsknięcie.

To było zabawne. Dawniej człowiek robił wszystko, żeby przybliżyć się do Boga, wznosząc coraz bardziej majestatyczne, coraz wyższe dzwonnice. Teraz było to

zadanie Wall Street.

A gdyby nazajutrz na świat miała spaść Apokalipsa, jej źródło z pewnością znajdowałoby się właśnie tam. Zasoby giełdy światowej są bezpośrednio połączone z piekłem. Finanse panują nad ludzkim przeznaczeniem.

*Ależ skąd, ci goście wiedzą, co robią, oni nie są stuknięci...*

Na wierzchołkach anten na budynkach mrgały czerwone światła. Skojarzyły się Kat ze złowrogimi oczami czyhającymi złośliwie i cierpliwie na odpowiedni moment.

Ponownie parsknęła śmiechem, tym razem jednak było w nim mniej zjadliwości.

A więcej lęku.

## 15.

Muzeum Historii Naturalnej hrabstwa Los Angeles znajdowało się w sercu miasta, w pobliżu słynnego Uniwersytetu Południowej Kalifornii, w oazie zieleni. Atticus Gore wszedł od północnej strony, przekroczywszy most nad częścią parku. Szum wentylatorów klimatyzacji, dobiegający od tej ściany budynku, niweczył wszelkie szanse na odpoczynek w tej kwietnej enklawie, o czym świadczyły wyludnione alejki. Wewnątrz Atticus poruszał się zgodnie ze wskazówkami, jakich rankiem udzielił mu dziekan wydziału entomologii. Przeszedł pod olbrzymimi szczękami dinozaurów, pokonał niekończący się korytarz wiodący na piętra, minął majestatyczną kopułę po prawej, aż wreszcie stanął przed drzwiami dla personelu, pchnął je i wspiał się po wąskich schodach, które prowadziły do rzędu pokoi. Cieszył się, mogąc uniknąć pokrzykiwania dzieciarni, której w soboty było tu sporo.

Profesor Malcolm Huxley przyjął go w małym gabinecie pełnym książek i wyklejonym pożółkłymi plakatami przedstawiającymi najróżniejsze owady. Pokój rozjaśniało jedyne, wychodzące na północ okno, przez które również dobiegało przytłumione buczenie klimatyzatorów. Huxley miał około czterdziestki, przyszyrzyżone na jeża kępkę utworzone ze świeżo przeszczepionych włosów, duży nos i szczere spojrzenie intensywnie niebieskich oczu.

– Proszę siadać – zaproponował od razu. – O ile dobrze zrozumiałem pański poranny telefon, chce mi pan pokazać próbki?

Uzębienie też zrobione, zauważył Atticus. Dwa piękne rzędy idealnie równych i nieskazitelnie białych zębów. Mężczyzna dbał o siebie. Czyżby kryzys czterdziestolatka? Kochanka? Nowe życie? *Jakie to ma znaczenie?*, skarcił się, tłumiąc stary odruch gliny.

– Zgadza się.

– W ramach policyjnego śledztwa?

Atticus przytaknął, jednocześnie rozkładając na biurku kilkanaście torebek zawierających owady, które własnoręcznie zebrał w starym zoo.

– Ale czy to oficjalna prośba, zaaprobowana przez pańskich przełożonych albo przez sędziego? – naciskał Huxley.

– Nie, konsultacja przy dochodzeniu.

Huxley sprawiał wrażenie nieco poirytowanego.

– Aha. Dobrze. Nie dam panu nic na piśmie, dopóki nie zwróci się pan do mnie normalną drogą, rozumie pan to, prawda?

Atticus skinął, że rozumie, po czym popchnął torebki w kierunku eksperta.

– Oto co znaleźliśmy porzucane w trawie. Było tego dużo więcej, tak jakby ktoś, kto tamtędy przechodził, je rozdeptał.

Huxley włożył wąskie okulary i zerknął pobieżnie na próbki, nie wyjmując ich z plastikowych osłonek.

– Za każdym razem aż tyle? – zdumiał się.

– Tak.

Krótkie nieufne spojrzenie zza szkielec na Atticusa.

– Jak pan to wytłumaczy?

– Nie potrafię, w tym rzecz.

– Dobrze.

– Mógłby się pan upewnić, czy nie dostrzega pan jakiegoś wyjątkowego szczegółu, może wśród rodzin obecnych tu owadów, czegokolwiek, co mogłoby się panu wydać nietypowe?

– Już samo to, że na tak małej przestrzeni zgromadziła się tak ogromna liczba egzemplarzy, nie jest normalne.

– Czy w Los Angeles jest wielu specjalistów takich jak pan?

– O ile mi wiadomo, nie. Kilku naukowców, to wszystko. Wie pan, na świecie jest nas wszystkiego ze trzy tysiące entomologów, to nie jest szczególnie popularna dziedzina wiedzy. Dlaczego pan pyta?

– A kolekcjonerzy? Rynki dla pasjonatów, którzy na terenie regionu wymienialiby się między sobą „próbkami”?

– To możliwe, ale nie jestem na bieżąco, a poza tym, wie pan, dzięki internetowi nie mają już potrzeby, żeby się spotykać twarzą w twarz. Istnieje dość często odwiedzane forum miłośników, jest tam stosunkowo niewielu trolli, większość członków to prawdziwi znawcy, zapiszę panu adres. Szuka pan kogoś konkretnego do pańskiego śledztwa?

– Chcę sobie jedynie wyobrazić, ilu będzie podejrzanych na naszym obszarze.

Kąciki ust Huxleya rozciągnęły się w kwaśnym uśmiechu.

– Właśnie mi pan uprzejmie komunikuje, że jestem podejrzany?

Atticus odwzajemnił się grzecznym uśmiechem i na tym poprzestał.

– Nie. Zastanawiam się, ile osób byłoby w stanie zgromadzić tyle owadów i pajęczaków, aby je następnie porzucić na miejscu zbrodni.

Lśniące zęby stopniowo zniknęły, za to bystry wzrok nadal wpatrywał się w oczy śledczego.

– Wie pan, owady zawsze budziły ciekawość ludzkości, niekiedy wręcz rodzaj czci. To świat równoległy do naszego, ale o wiele obszerniejszy! I bardziej złożony.

Z gatunkami, które spokojnie żyją obok siebie, ignorując się, tymi, które sobie wzajemnie pomagają, tymi, które prowadzą między sobą bezlitosne wojny... Część z nich bardzo przypomina nasze społeczeństwa.

Atticus wiedział to wszystko, wiedział, że trzy czwarte zwierząt na naszej planecie w rzeczywistości stanowią owady, biomasa trzysta razy przewyższająca całą ludzkość, a do tego należy jeszcze doliczyć wszystkie pajęczaki, często błędnie uznawane za owady, a nawet pasożyty, skorupiaki, takie jak stonogi, i wreszcie pareczniki. Zgodnie z wyobrażeniem większości śmiertelników tworzą one wielką rodzinę „rojącego się i plugawego robactwa”.

Nieświadom, że Atticus po części też jest znawcą tematu, Huxley mówił dalej:

– Populacja nie ma realnego mniemania na temat tego, co ją otacza, na temat całego tego życia, które bezustannie krąży wokół nas. Owady są tak liczne, że w porównaniu z nimi jesteśmy jak kropla wody w oceanie. Wie pan, że na każdą ludzką istotę na Ziemi przypada prawie półtora miliarda owadów? Wyobraża pan sobie mniej więcej proporcję? Tylko nam dwóm przypisanym jest ich trzy miliardy, rozproszonych na zewnątrz, chociaż nawet ich nie zauważamy. To może przyprawić o zawrót głowy, jeśli pomnożyć tę liczbę przez siedem miliardów ludzi. W sumie ponad dziesięć tryliardów owadów, przy czym to bardzo skromny szacunek, jako że sklasyfikowaliśmy około miliona różnych gatunków i sądzimy, że zostało jeszcze jakieś trzy, cztery razy więcej do odkrycia, na przykład w lasach tropikalnych.

Huxley zdjął okulary i zagłębił się w fotelu.

– Nie chciałbym pana straszyć – dodał – po prostu należy sobie uzmysłwić ogrom obszaru badań i urok, jaki mogą wywierać. Poza garstką profesjonalistów świat owadów fascynuje paru pasjonatów, może z dziesięciu w Los Angeles i trzy albo cztery razy tylu w całym stanie. To liczba pi razy oko, oparta jedynie na rzadkich dyskusjach, jakie dane mi było prowadzić przy okazji wykładów albo kiedy zagłębiałem na strony internetowe.

– Rozumiem.

– Zajmę się pańską tajemnicą, dysponuję praktycznymi bazami danych do szybkiego rozpoznawania gatunków, w każdym razie przynajmniej ich części, mam nadzieję. A jeśli zabraknie mi informacji, nasza wspólnota jest wprawdzie zamknięta, ale pomocna, a ja mam kilku przyjaciół rozsianych po całym kraju i za granicą. Jeżeli potrzebuje pan wyczerpującej listy, to będzie wymagało czasu.

– Nie, tylko ogólnej opinii, przynajmniej na razie. Dziękuję.

Pożegnawszy się, Atticus pomknął do Hollywood i po dwudziestu minutach dotarł na miejsce. W przeciwieństwie do działalności reszty komisariatu, za którego drzwiami królował uporczywy zgiełk, w obszernej sali detektywów panował

rozbrajający spokój – w końcu był weekend. Świeciła pustkami, nie licząc rozwalonego przy biurku kolosa. Atticus przywitał się ze swym jasnowłosym partnerem olbrzymem, który ssał płat suszonego mięsa w sosie teriyaki z nosem w stercie papierów.

– Hack, w całym holu cuchnie tym twoim gównem.

– Ja też się cieszę, że cię widzę, drogi kolego. Czy muszę ci przypomnieć, że gdyby nie twoja nadgorliwość, nie musielibyśmy być teraz na siebie skazani i każdy z nas byczyłby się na leżaku z piwką w ręce?

Kilkakrotnie postukał swoim grubym palcem w leżące przed nim papiery.

– A ja zdobyłem billingi Oscara Riotta, jeśli cię to interesuje. Niektórzy się nie objijają!

– Byłem w Muzeum Historii Naturalnej w sprawie owadów. Więc co tam masz na temat ostatnich połączeń?

Hack obrócił się na krześle i spojrzał na Atticusa z błyskiem w oku, ledwie powstrzymując uśmiech.

– Jest kilkanaście nieodebranych połączeń w piątek, ale skoro już znaleźliśmy jego ciało albo kogoś, kogo mieliśmy uznać za Oscara, można powiedzieć, że się nie liczą. Ostatnie odebrane połączenie było o dwudziestej drugiej trzynastej w czwartek. Rozmowa trwała zaledwie ponad minutę.

– Namierzyłeś gościa?

Hack złapał kartkę wyrwaną z notesu.

– Jednorazówka.

Telefon komórkowy na kartę.

– Cholera. Ustaliłeś już miejsce sprzedaży?

– Nie, ale nie wyobrażam sobie, że można kupić jednorazowy telefon z zamiarem popełnienia przestępstwa bez upewnienia się wcześniej, że w sklepie nie ma kamer, i bez płacenia inaczej niż gotówką. Pojadę sprawdzić, ale bez większych nadziei.

– To dowód, że ktoś zastawił na niego pułapkę. Ktoś, kto nie chciał, żebyśmy go namierzyli. To było celowe działanie, Hack.

– Albo to Riotto urządza małe przedstawienie! Skąd wiesz, że to nie kontakt do niego dzwonił, żeby powiedzieć, że wszystko gotowe, umrzyk, meta...

Atticus pokręcił głową. Nie wierzył w to ani trochę.

– A co z resztą połączeń?

– Pracuję nad tym, kilka powtarzających się numerów, połączeń nie ma znowu aż tak dużo.

– Trzeba każdego zidentyfikować i zrobić listę nazwisk wraz z adresami i...

Hack wsadził do ust kawałek suszonego mięsa i wymamrotał, patrząc na plik papierów:

– Znam się na swojej robocie, Gore.

Atticus uniósł dłoń w przeproszającym geście, czasami za bardzo go ponosiło. Przyniósł telefon ofiary i przejrzał skrzynkę e-mailową. Wiadomość, którą wysłał poprzedniego dnia na blogu Riotta, dotarła w towarzystwie paru reklam. Przynajmniej wiedział, że dziennikarz nie zlecił przekierowywania swojej wirtualnej korespondencji gdzie indziej.

Następnie zalogował się do DCTS, Detective Case Tracking System, programu, który gromadził wszystkie uwagi śledczych z miasta, umożliwiając sporządzanie zestawień w wielu sprawach. Poszukał najdrobniejszej wzmianki na temat zbrodni związanej z owadami. Wskoczyli mu wszyscy denaci znaleźieni z armią czerwi we wnętrzościach. To było do przewidzenia. Atticus wydrukował wyniki i odłożył na bok na później, kiedy znajdzie czas. To mogło poczekać.

Resztę poranka i sporą część popołudnia spędzili na wyłuskiwaniu nazwisk i adresów większości kontaktów, które pojawiały się w połączeniach Riotta, po czym Atticus zajął się geolokalizacją komórki w ostatnich tygodniach. Riotta niespecjalnie ruszał się z domu, a jego podróże ograniczały się do Los Angeles, często do centrum.

– Sporo się włóczył po Skid Row – stwierdził na głos Atticus.

– I co z tego?

– To podła dzielnica. Co on tam robił?

– Bo ja wiem? Dawał sobie tanio obciągać bezdomnym laskom albo tankował w ulubionej knajpie?

– Mamy w wykazie połączeń kogoś, kto mieszka niedaleko?

Hack przejrzał papiery.

– *Nope.*

Czy miało to związek z jego robotą, z życiem prywatnym, czy z czymś innym, co doprowadziło go do zguby? Atticusa ogarnęło zniechęcenie, czuł, że po raz kolejny znalazł się w ślepej uliczce.

Musiał dopasować nazwisko do gościa o nicku ISeekTru4U, który zaglądał na blog Riotta i go znał. W dniu publikacji artykułu niemal zawsze zamieszczał komentarz. *Skoro porozumiewali się za pośrednictwem komentarzy, nie byli w aż takiej zażyłości, żeby znać swoje numery telefonów? Czy tak się przyzwyczaili?* Obaj mężczyźni robili aluzje do konkretnych faktów, które ich dotyczyły. Raczej dobrze się znali, ocenił Atticus.

Detektyw zapisał datę każdej publikacji Riotta, przy której ISeekTru4U zamieścił komentarz, i porównał z billingami, aby sprawdzić, czy w ciągu tej samej doby tamta osoba nie wysłała na numer Riotta SMS-a, aby go uprzedzić, że jest na jego stronie. To

samo zrobił z połączeniami przychodzącymi i wychodzącymi. Żaden numer szczególnie się nie powtarzał. Wykonał więc tę samą czynność z geolokalizacją, aby się upewnić, że Oscar Riotta nie udawał się regularnie w określone miejsce, aby kogoś ostrzec albo się z kimś spotkać, lecz również nic nie ustalił.

W ostatnim rozpaczliwym wysiłku Atticus chwycił własny telefon i zaczął wybierać numery kontaktów Oscara, które powtarzały się najczęściej. Pomysł, by zbyt wcześnie się ujawnić, przynajmniej dopóki nie zdobędą więcej informacji, nie bardzo mu się podobał, ale nie spodziewał się, że trafi na jakiś inny ślad w najbliższej przyszłości.

Za każdym razem się przedstawiał i pytał, czy jego rozmówca zna Oscara Riotta, a także o charakter ich znajomości. Przedtem jednak musiał wyjaśnić, że po znalezieniu zwłok zostało wszczęte dochodzenie, co uspokajało tych najbardziej opornych, bo przecież nikt nie chce być zamieszany w policyjne śledztwo tylko dlatego, że naopowiadał bredni albo nie współpracuje. Okazało się, że większość z nich to dość bliscy znajomi. Atticus czyhał na członka rodziny, kogoś, kogo należałoby otoczyć opieką, wobec kogo należałoby się wykazać taktem i z kim należałoby się spotkać osobiście, zanim przejdzie się do dalszej rozmowy, aby nie przekazywać przez telefon tak tragicznych wieści. Zwłaszcza że nie znaleźli jeszcze żadnego dowodu potwierdzającego tożsamość ofiary. Technicy kryminalistyki, mający wprawę i odpowiedni sprzęt do tego typu działań, prawdopodobnie wpadną do mieszkania Riotta w weekend albo w poniedziałek, aby pobrać próbki ze szczoteczki do zębów, grzebienia i dwóch, trzech ubrań i porównać je z DNA kości. Nie należało oczekiwać wyników przed środkiem następnego tygodnia. Tyle też potrwają obawy rodziny. *Wszystko wskazuje na to, że nie jest zbyt silnie związany z krewnymi.*

Większość rozmówców zajmowała się dziennikarstwem, było kilku blogerów, reporterów i fixerów – źródeł obeznanych z niebezpiecznym terenem albo środowiskiem, które służą reporterom jako przewodnicy. Każdego z nich pytał, czy zna ISeekTru4U albo czy czytuje blog Riotta. W pewnej chwili wyskoczyło nazwisko Samuela Trappiera, dosyć ekscentrycznego osobnika znanego z anonimowych publikacji na społecznie nieakceptowane tematy, z którym Riotta się widywał i którego cenił, chociaż facet był mocno stuknięty. Pseudonim doskonale by do niego pasował. Potem jeden z mężczyzn zapytał Atticusa:

- To policyjne śledztwo jest dlatego, że Oscar nie żyje?
- Nie mogę nic więcej powiedzieć. A co, ma pan coś do dodania?

Westchnięcie w słuchawce.

– Prawdę mówiąc nie, ale... wiem, że Oscar jest na tropie jakiejś grubszej afery. Czegoś dużego. Bardzo, bardzo dużego.

- Sam to panu powiedział?



– Tak. Jedliśmy razem lunch we wtorek, obaj pracujemy nad jedną sprawą, na razie jest jeszcze w powijakach, zobaczymy, co z tego wyjdzie. Może mi pan zdradzić, czy u niego wszystko w porządku? Wczoraj próbowałem się do niego dodzwonić, ale nie odbierał.

– Szukamy go, więc jeśli pan się dowie czegoś nowego, będziemy wdzięczni za wiadomość. A ten ważny artykuł, orientuje się pan, o czym jest?

– Nie, Oscar dużo gada, ale też nie jest idiotą, dopóki rzecz się nie ukáže, nie puści pary z gęby.

– Nic nie przychodzi panu do głowy, co by to mogło być?

– Milczał przy mnie dosłownie jak grób.

Po rozłączeniu się Atticus przyniósł sobie z dystrybutora kubek wody. To potwierdzało opowieść Ximeny, tym razem jednak bardziej na poważnie. Hipoteza zabójstwa, żeby uciszyć Oscara, nabierała kształtów.

Wróciwszy do pokoju, Atticus wstukał do policyjnej bazy danych NECS nazwisko Samuela Trappiera, uzyskał jednak wyłącznie jego adres z prawa jazdy, w okolicach Venice. Jak na Los Angeles, było to zarazem całkiem blisko i dosyć daleko, jeżeli wziąć pod uwagę odległości, jakie pokonywał Oscar Riotto, o ile wierzyć GPS-owi w jego telefonie, w ciągu ostatnich tygodni.

Atticus przestudiował logowanie telefonu do nadajnika i wyszło mu, że od początku lutego Riotto udał się do Venice dwukrotnie.

Samuel Trappier w ogóle nie występował w wykazie połączeń.

Kiedy Hack beknął po raz enty sosem teriyaki, Atticus poderwał się z krzesła. Miał serdecznie dość tego odoru.

– Jadę do Venice przesłuchać gościa, który może znać naszą ofiarę.

Wszystko, byleby nie musieć tego dłużej znosić. Hack rozpostarł swe długie ramiona i się przeciągnął.

– Taki wypad to dobry pomysł, chętnie ruszę tyłek.

Atticus nie miał najmniejszej ochoty zamykać się razem z nim w samochodzie, nie wywietrzyłby smrodu suszonego mięsa do końca dnia.

– Nie, przy sobotnich wieczornych korkach powrót do domu zajmie ci dwie godziny, a wtedy żona spuści ci łomot.

Hack nie dał się prosić.

– OK, wpadnę do sklepu, w którym sprzedano telefon na kartę, i sprawdzę, czy nie mają nic na temat klienta, a potem wracam do siebie. Jeżeli na coś trafisz, nie wykonasz żadnego ruchu beze mnie, jasne?

Atticus złożył obietnicę, doskonale wiedząc, że i tak zrobi wszystko po swojemu, i ulotnił się, by odetchnąć świeżym powietrzem. Zastanawiał się, czy mimo wszystko

nie woli zapachu zwłok.

## 16.

Światło uwięzło w mulistych wodach Long Island Sound, przekształcając ją w powolny ruch szarości, która sunęła po powierzchni niewzruszona, między Queens na tym a Bronxem na drugim brzegu. Pośrodku, nad Rikers Island unosił się woal mgły, jakby chciał rozmyć kształty tej gigantycznej nowojorskiej wyspy-więzienia. Na niebie zaś samoloty szybowały z rykiem nad położoną całkiem blisko LaGuardią. Ten zakątek miasta całkowicie przypominał czyściec.

Trzeba mieć dużo determinacji, żeby tłuc się z Brooklyn Heights aż tutaj, pomyślała Kathleen Kordell, zatrzymując się przed niskim blaszanym barakiem pomalowanym na zielono. *A jeszcze więcej, żeby wlec się aż z Alphabet City...* Gdzie mieszkała Lena Fowlings.

Salon tatuażu dało się rozpoznać wyłącznie po tabliczce przyklejonej taśmą samoprzylepną do szyby, Kat przekroczyła zatem próg czegoś, co za sprawą podwieszanego sufitu, jarzeniówek i linoleum na podłodze wyglądało jak hala przemysłowa. Ściany pokrywały setki rysunków rozmaitej wielkości i we wszystkich możliwych kolorach. Na środku królował fotel tatuażysty, za nim wąska lada i to by było mniej więcej tyle.

Brunetka przed trzydziestką, z prosto przyciętą grzywką, licznymi kolczykami i podbródkiem równie wystającym jak nos, schowała telefon komórkowy do kieszeni dżinsowych ogrodniczek i zmierzyła Kat od stóp do głów.

– To pani dzwoniła rano?

Kat przytaknęła i szybko się przedstawiła, po czym zmieniła temat rozmowy.

– Zaszła się pani tutaj z dala od wszystkiego – zagaiła, dokonując nadludzkich wysiłków, żeby jej uśmiech wyglądał swobodnie.

Kat zawsze odznaczała się pewną inteligencją emocjonalną, a doświadczenie prywatnej detektyw tylko ją wzmocniło. Już na pierwszy rzut oka domyśliła się, że Cécile Kingsley jest nieufna. Dziewczyna nie była z tych, którzy łatwo się zwierają. Najpierw należało ją zmiękczyć. Jednak dysponując tak krótkim czasem, Kat nie miała zbyt wielu możliwości.

– Jak sądzę, wszystkie te rysunki pani wykonała? Zdolna pani jest.

– Nie da się zrobić brudnopisu na skórze, lepiej mieć pewną rękę.

Lekki akcent. Nosiła europejskie imię.

– Jest pani Francuzką? Chodzi o imię. Chociaż Kingsley nie brzmi z francuska...

– Kiedy tu przyjechałam, poślubiłam Amerykanina, żeby dostać zieloną kartę – przyznała dziewczyna bez odrobiny skrępowania. – Później zachowałam nazwisko, żeby wtopić się w tłum.

– Sprytne. Pani rysunki są naprawdę świetne.

– Jak wspominałam przez telefon, jestem umówiona na dwunastą, możemy więc przedyskutować pani projekt, ale dzisiaj nie dam rady przedstawić gotowej propozycji.

– Ukończyła pani szkołę plastyczną? – zapytała Kat.

– Akademię Sztuk Pięknych w Paryżu.

– Tylko tyle? Brawo...

Kat rozglądała się uważnie, ale w pomieszczeniu było niewiele osobistych akcentów, ani jednej rodzinnej fotografii, ani jednego prywatnego przedmiotu, nic, co pomogłoby się zbliżyć do Cécile. Musiała prędko coś znaleźć, żeby połączyła je jakaś więź, choćby nawet nikła, żeby przeskoczyć z szufladki „nieznajoma” do szufladki „sympatyczna laska”.

Następnie odruchowo przeniosła wzrok ze ścian na figurę Cécile. T-shirt pod ogrodniczkami odsłaniał pokryte tuszem ręce. Spośród arabesek i kolorowych motywów abstrakcyjnych wyłaniały się wieloryb i pantera. Pod szyją widniał wąż. Na prawym ramieniu Kat dostrzegła także twarz, której górna część zniknęła pod rękawem, ale było oczywiste, że to starsza kobieta. Kat nie miała pewności co do podobieństwa, założyła jednak jakieś pokrewieństwo z Cécile.

– To pani babcia?

Tatuażystka przytaknęła, nie rozwijając tematu.

– Uważam, że umieszczanie w ciele na zawsze rysów bliskich to coś niesamowitego. To piękny sposób, żeby złożyć im hołd i przedłużyć życie. Moja babcia też była wspaniałą kobietą.

– Moja była w partyzantce podczas wojny.

– Och, teraz rozumiem. Byłyście sobie bliskie? Pewnie zmarła?

– Pięć lat temu. Jest dla mnie wzorem. Wolna, dzielna, zaangażowana.

– Widziała tatuaż?

– Niestety nie.

– Przykro mi.

– Tak to bywa. Ale jak sama pani powiedziała, teraz jest nieśmiertelna.

Kat nawiązała do własnej rodziny i wraz z młodą artystką przywołała Francję, próbując znaleźć jakiś wspólny punkt, zagrać kartą rodzinnych więzów, następnie na koniec jakiegoś zdania napomknęła o swojej miłości do zwierząt i o pragnieniu, by pewnego dnia dać sobie wytatuować psa z dzieciństwa, ponieważ nigdy nie przeboleła jego straty.

Nagle startujący z LaGuardii samolot sprawił, że mury zadrżały, zmuszając obie kobiety do minuty milczenia.

– Przyszła tu pani z jego powodu? Ma pani zdjęcie? – zapytała Cécile.

Kat oceniła, że nieufność się rozwiązała, skoro zapuściły się w strefę uczuć na kilkanaście minut, jak gdyby nigdy nic, i że dziewczyna nieświadomie opuściła gardę. Nie ma się co rozmarzać, nie zaczną się zaraz sobie zwierzać ani poklepywać się po plecach, ale lody zostały przełamane w wystarczającym stopniu, aby zrodzić nadzieję na odrobinę pomocy z jej strony. Kat miała w zanadrzu parę sztuczek, była gotowa przeholować, a nawet skłamać, byleby stworzyć pozory, że ze świadkami coś ją łączy.

– Nie, nie dzisiaj – odparła Kat. – Przyszłam poprosić o pomoc w sprawie jednej pani znajomej, Leny Fowlings.

– Leny? A co z nią?

Zaskoczenie jest szczere, stwierdziła Kat. *Cień lęku w oczach.*

– Zaginęła. Od tygodnia nie ma z nią kontaktu. Jestem prywatnym detektywem, pracuję dla jej matki, która, jak może sobie pani wyobrazić, umiera z niepokoju. Odnoszę wrażenie, że się przyjaźniłyście. To prawda?

Kat nie wiedziała, czy dziewczyny rzeczywiście się przyjaźniły, zwłaszcza nadal. Lena nie zwierzała się matce z miłosnych przygód, co mogło oznaczać, że ich nie miała albo że nie zdawała sobie sprawy z ich charakteru. *Przy takiej matce wcale nie jest pewne, że czuła się wysłuchana, że miała ochotę podzielić się tym aspektem swojego życia...*

– Tak – przytaknęła Cécile. – Poznałyśmy się na forum o tatuażu. Lena była zaintrygowana.

– Czy sama rysuje?

– Nie, niewiele, w tym sęk, wręcz tego żałuje. Ale interesuje się technikami tatuażu. Dała w długą, prawda?

– Właśnie tego chciałabym się dowiedzieć. Ma pani jakiś pomysł, co mogłoby ją skłonić do ucieczki?

Cécile pokręciła głową.

– Już nie jesteśmy zbyt blisko.

Billingi Leny to potwierdzały. Styczeń był ostatnim miesiącem ich zażyłości.

– Z powodu chłopaka?

Cécile podniosła zamyślony wzrok na Kat.

– Nie, nic z tych rzeczy. Spotkanie, owszem, ale nie zaraz randka. To znaczy nie w sensie zauroczenia chłopakiem.

– A dokładniej? Lena odkryła w sobie jakąś pasję?

– Tak. Delikatnie mówiąc.

– Za pośrednictwem mężczyzny?

Cécile wykrzywiła kącik ust, jakby na znak zawodu.

*Silas Okporo. Magia i całe to barachło...*

Kat stanął przed oczami wybebeszony kot z kośćmi wypalonymi pirografem. Oto do czego doprowadziły ją te paskudztwa.

– To przyszło znienacka – wyjaśniła Cécile. – Nagle się zmieniła. To ją całkowicie zafascynowało, pochłonęło bez reszty...

– Interesowała się magią?

Cécile zmarszczyła brwi ze zdziwieniem.

– To pani wie? Niewiele mówiła na ten temat. Nawet mnie, chociaż jestem, to znaczy kiedyś byłam jej najbliższą przyjaciółką.

– Człowiek, który to wszystko rozpętał, to wysoki czarnoskóry facet z dreadami, o imieniu Silas?

Cécile zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie, to nie Silas.

– Zna go pani?

– Spotkała go pani? To fenomen. Często chodzi na imprezy, trudno go zapomnieć. Wciągnął ją w te historie, był jak diler książek albo wiedzy okultystycznej, jej pierwszy strzał, jeśli pani woli.

– Jakiego rodzaju imprezy?

– Performance, piercingi na żywo, tatuaże, ostra muzyka, imprezy gotyckie, punkowe, koncerty, te sprawy. Ale Silas by jej nie skrzywdził. Dobra, jest trochę nawiedzony, ale to nie robi z niego od razu niebezpiecznego gościa.

– Jest ktoś jeszcze? Kto wyrządził jej krzywdę?

Cécile się zawahała, błędząc spojrzeniem od pokrytych własnymi dziełami ścian do Kat. Po czym jej opór osłabł.

– Lena poznała go w Boże Narodzenie, z miejsca ją oczarował. Z początku nieczęsto się widywali, a potem to stopniowo nabrało tempa. Zmieniła się raptem w parę tygodni. Odbiło jej.

Kolejny ryk silników odrzutowych kazał im zamilknąć, wywołując grymas.

– Wie pani, kto to? – naciskała Kat.

– Nie, Lena zawsze była... tajemnicza, jeśli o niego chodziło. Świrowała z tym i mnie wkurzała. Tylko że to błyskawicznie przybrało zły obrót. Nie mam pojęcia, czego jej naopowiadał, żeby tak szybko osiągnąć cel, po prostu patrzyłam, jak moja kumpela grzebie się żywcem.

– Sądzi pani, że mógł ją nakłonić do zrobienia czegoś nieodwracalnego?

Cécile wpatrywała się w Kat, szukając odpowiednich słów.

– Nie wiem. Ten facet był toksyczny, to pewne, ale nie w takim sensie, tak mi się wydaje.

– Co ona takiego mówiła, że tak pani czuje?

– Zmieniło się jej zachowanie, stała się cyniczna, agresywna, wręcz okrutna. OK, Lena nigdy nie była jajcarą, nie z tych, co to bez przerwy rechoczą, ale... Nie wiem, jak to pani powiedzieć... Dawniej to była dziewczyna trochę poobijana, rozczarowana, ale raczej spoko. Potem, po niecałym miesiącu jakby coś w niej pękło. Kompletnie roztrzaskało się w środku. Nie wiem, co się wydarzyło, to się stało tak szybko...

Na wspomnienie Cécile zatopiła się w żalu, skrzyżowała ramiona na brzuchu i pocierała nerwowo łokcie.

– Próbowałam nią potrząsnąć, skłonić ją do mówienia... Nic z tego. Kazała mi się odpieprzyć. Wszystko podała w wątpliwość, mnie, naszą przyjaźń, świat... W jednej chwili przestałyśmy się do siebie odzywać.

– Proszę mi wybaczyć to pytanie: czy pani zdaniem mogła popełnić samobójstwo?

Cécile zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Szczerze? Możliwe. Nie takie odniosłam wrażenie, przestałam ją widywać... Nie bardzo umiem to wytłumaczyć... Powiedzmy, tak naprawdę wpadła w szal zadawania bólu innym bardziej niż sobie. Ziała nienawiścią.

Kat zatkało. To było coś nowego. Jeśli jednak głębiej się nad tym zastanowić, odkrycie, jakie poczyniła w mieszkaniu młodej uciekinierki, znakomicie tu pasowało. *Kot...*

– Czy osobą, która miała na nią tak straszny wpływ, był mężczyzna?

– Nie chciała o tym mówić. Ale tak mi się wydaje. W czasie tych kilku razy, kiedy udało nam się chociaż z daleka poruszyć ten temat, wyrwało jej się „on”.

– Czy to był jej chłopak?

– Co to, to nie, nie sędzę. Siedział jej w głowie, naprawdę na samym dnie, ohydnie wczepiony, nie w sercu ani w majtkach.

Kat puściła to wyrażenie mimo uszu i przystąpiła do dalszego szkicowania portretu Leny.

– Ma pani jakiś pomysł, gdzie mogła go poznać? Nie? A gdzie się spotykali?

Cécile skrzywiła się z przykrością, że nie potrafi odpowiedzieć.

– Ale z kolei mogę panią zapewnić, że uwielbiała go w takim samym stopniu, jak chwilami się go bała. Widziałam to w jej oczach. Z początku to było zauroczenie. Myślałam, że się na maksa zakochała, ale to innego rodzaju namiętność. Ubóstwienie. Wie pani, właściwie zupełnie jak w religii.

– Co? Był dla niej kimś w rodzaju... boga?

Cécile powoli skinęła głową, świdrując Kat wzrokiem.

– Który prędko przemienił się w diabła, jeżeli chce pani znać moje zdanie – dodała.  
– Mówię pani: ich relacja była bardzo niezdrowa. Ostrzegałam ją, powtarzałam, że to się dla niej źle skończy. Wywaliła mnie ze swojego życia równie szybko, jak mnie do niego wpuściła.

– Więcej już jej pani nie widziała?

– Nie. Nawet jest mi winna kasę. Trudno, wisi mi to.

– Dużo?

Cécile wzruszyła ramionami.

– Zawsze coś. Za tatuaż.

– Anioł na łopatce?

– Niezły strzał, ale pudło. Tamten to gówno, które dała sobie zrobić na Coney Island wiele lat temu. Nie, Lena chciała sobie zrobić coś dużego, od dawna chodziło jej to po głowie, ale nie umiała się zdecydować, co dokładnie. Pod koniec stycznia poprosiła, żebym wytatuowała jej jedno zdanie na całych plecach.

– Chociaż się poprzykałyście?

– Jeszcze nie tak na amen, powiedzmy, że już zaczynało się między nami psuć, darłyśmy się na siebie o byle co. W kółko jej powtarzałam, żeby odpuściła sobie tego nowego faceta, żeby znowu chodziła ze mną na koncerty, ale ona nie słuchała.

– I zrobiła jej pani ten tatuaż?

– Oczywiście.

– Pamięta pani to zdanie?

Cécile popatrzyła na nią jak na wariatkę, po czym pomknęła za ladę i wyjęła kartonową teczkę, z której wyciągnęła zadrukowaną kartkę.

– Proszę. To zajęło jej całe plecy, tuż pod aniołem, aż po sam dół lędźwi.

Kat chwyciła kartkę i przeczytała.

„A potem nastaje dzień laodycejski, kiedy dowiadujesz się, że jesteś marny, nieszczęśliwy, biedny, ślepy, nagi, i z tą wizją upiornego, udręczonego ducha idziesz, drżąc cały przez koszmarne życie”<sup>6</sup>.



## 17.

Klucz stanowił Mr Y.

Teraz Kat była o tym przekonana. To on doprowadził Lenę Fowlings do załamania. Jej zaginięcie było związane z Y. Nawet bez zbaczania w kierunku jakichś szalonych hipotez wiadomo, że ten mężczyzna wywarł na dziewczynę ogromny wpływ, a decyzja, żeby wszystko rzuciła, została jej podsunęta, o ile nie podyktowana przez tego osobnika.

*Jak jeden facet może zahipnotyzować dziewczynę tak bardzo i to w tak krótkim czasie? Po prostu kompletnie ją zniszczył, jak stwierdziła Cécile. Uwielbiała go w takim samym stopniu, jak się go bała. Jakiego rodzaju człowiek może aż tak błyskawicznie i tak silnie oddziaływać? Co on jej zrobił?*

Mając wprawę, przełączyła iPhone'a na tryb anonimowy i wybrała cyfry przyporządkowane Mr Y, które powtarzały się w wykazach połączeń Leny. Kat posiadała wystarczająco dużo informacji, żeby działać, nadeszła pora zrobić krok naprzód. Nie miała wątpliwości, że komórka należy do mężczyzny poznanego w Boże Narodzenie. Numer pojawił się w odpowiednim czasie, ponadto zgodnie z zeznaniem Cécile Kingsley, Lena właśnie tam dzwoniła regularnie, w miarę jak wypisywała się ze świata.

Nie ma takiego numeru.

– OK, wytaczamy ciężkie działa.

Tym razem, podążając ponurymi ulicami College Point, Kat wpadła do znajomego specja od telefonów i podała mu numer, którego szukała. Tego typu specje pobierali wysokie prowizje, ale na ogół osiągalni dobre wyniki. Większość ludzi, którzy zastrzegali własne dane, sama łamała zasadę anonimowości, powierzając swoje numery dziesiątkom państwowych lub prywatnych firm, jak choćby tych sprzedających prąd czy gaz, dostawcom pizzy albo klubom fitness, szkołom... Część instytucji publicznych prowadziła dostępne dosłownie dla każdego rejestry, w których można czasem wygrzebać informacje na temat ich klientów. Z kolei te prywatne sprzedawały bez skrępowania całe listy kontaktów specjalistom od reklamy albo marketingu celowego. I wreszcie niektóre przedsiębiorstwa, niedbające o zabezpieczenia, niemal niechcący przekazywały dane osobom trzecim, głównie z powodu nieudolności. Tacy specje czerpali z tego bogatego źródła na zlecenie licencjonowanych zawodowców, takich jak Kat, i sprzedawali swoje znaleziska. Detektyw zwracała się do nich tylko w ostateczności – byli drodzy, a poza tym wcale

nie miała gwarancji, że ich metody są całkowicie legalne. Raczej wykorzystywali luki w systemie, zamiast przekupywać pracownika operatora telefonicznego, nie chciała więc, by w razie udowodnionego oszustwa można było dotrzeć aż do niej. Niekiedy jednak nie miała wyboru. Od dwóch lat współpracowała z tym samym gościem, dosyć zabawnym kolesiem z Meksyku, i miała do niego względne zaufanie.

Zanim wróciła do domu, Benitio zdążył jej wyłuskać powiązanie. Mr Y w rzeczywistości nazywał się Galvin Hutchinson, z adresem w Greenpoint, na północy Brooklynu.

Skoro numer już nie istniał, prawdopodobnie adres też był nieaktualny.

Kat nabrała zwyczaju dodatkowo sprawdzać informacje od niego, aby oszczędzić sobie porażek. Usiadłszy za biurkiem, otworzyła laptop, wpisała imię i nazwisko Galvina Hutchinsona na wszystkich stronach, którymi się posługiwała. Federalne archiwa cywilne, kryminalne i upadłościowe, wszystkie posiadają publicznie dostępne internetowe bazy danych. Dla każdego, kto wie, gdzie i jak szukać, są skarbnicą wiedzy. Wśród informacji wymaganych przez prawo Kat znalazła trzech Galwinów Hutchinsonów. Jak zawsze, cztery ostatnie cyfry numerów ubezpieczenia społecznego każdego z nich były utajnione – środek ostrożności. Kat starannie zanotowała pięć widocznych i połączyła się z biblią prywatnych detektywów, czyli PACER – Public Access to Court Electronic Records – bazą publicznych danych sądowych, w której już miała zarejestrowane konto. Tam również wstukała to samo imię i nazwisko. W kilkunastu aktach pojawiło się sześciu różnych Galwinów Hutchinsonów. Strona nie podawała szczegółów sprawy, zawierała jednak informacje, w jakim sądzie była ona rozpatrywana, a zatem gdzie można przejrzeć akta – domena publiczna zobowiązuje. Lepiej, PACER identyfikował poszczególnych osobników po personaliach, jak również po czterech ostatnich cyfrach numeru ubezpieczenia społecznego. Magia świata administracji uciekającego się do wielorakich metod.

Kat skopiowała sześć poprzerrywanych ciągów liczb, które w ten sposób zdobyła. Dawało jej to zatem osiemnaście możliwych kombinacji. Natychmiast przetestowała je w internecie za pośrednictwem rozmaitych wyspecjalizowanych stron, w tym swojej ulubionej: Masterfiles, specjalisty od weryfikacji informacji. Posiadany abonament pozwolił jej osiągnąć cel – okazało się, że niejaki Galvin D. Hutchinson, urodzony 21 maja 1969 roku w Albany w stanie Nowy Jork, pasował do jednego z numerów ubezpieczenia społecznego. Kiedy wróciła ponownie na stronę PACER, odkryła, że jej podejrzany był zamieszany w liczne wykroczenia i przestępstwa. Skopiowała nazwy właściwych sądów i czym prędzej sprawdziła, czy ich archiwa są dostępne online. Tylko jeden z trzech sądów prowadził taką usługę. Po paru kliknięciach Kat dokopała się do sprawy fałszerstwa czeku z 2010 roku, w którą zamieszany był Galvin

Hutchinson. Skazany na dwa lata więzienia. *Za sfałszowanie czeku? Ejże, musiałeś już wcześniej mieć swoje za uszami...*

Uzbrojona w zebrane informacje Kat pospiesznie opuściła mieszkanie i pognąła prosto do brooklyńskiego wydziału komunikacji w centrum miasta. Dzięki legitymacji prywatnego detektywa mogłaby tam zdobyć dane zarejestrowane pod nazwiskiem swojego podejrzanego, w tym adres, z nadzieją, że będzie aktualny. Zakłęła, pocałowawszy klamkę. *Pieprzony weekend!* Często jej się zdarzało tracić poczucie czasu, gdy zagłębiała się w jakąś sprawę.

Pozostał jeszcze lokal wyborczy Greenpoint, mieścił się niedaleko. Wskoczyła do metra i udała się na miejsce, żeby przejrzeć listy głosujących. Prawo nakazywało absolutną transparentność, włącznie z upublicznieniem wykazu osób przypisanych do każdego lokalu. Z dbałości o dokładność i aby dowieść, że nie ma żadnych machlojek, posuwano się wręcz do umieszczania przy każdym nazwisku wyborcy jego adresu, ewentualnego powiązania z jakąś partią polityczną, a jeśli tak, to z jaką. W środku nie wolno było robić notatek ani zdjęć, lecz jeden rzut oka wystarczył, by zapamiętać cały wiersz.

Niestety, nie figurował tu żaden Galvin Hutchinson.

Kat nie dała się zbić z tropu i tym razem ruszyła pod adres zarejestrowany u operatora sieci komórkowej. Czekają ją zaledwie piętnaście minut drogi piechotą. Serce Greenpoint było całkiem sympatyczne, dość ożywione, mieszkalne, tworzyło je kilka ulic pełnych odrestaurowanych domów z brązowoczerwonego piaskowca. Jednak w miarę jak Kat oddalała się w kierunku East River, sklepy pojawiały się coraz rzadziej, mury były coraz bardziej pokryte graffiti, a zakłady przemysłowe sąsiadowały z przysadzistymi budynkami mieszkalnymi. Cały ten sektor emanował smutkiem i osamotnieniem. Właśnie to czuła Kat, krążąc po ulicach z zadartą głową. Nowy Jork to złożone miasto, karmiące się energią tych, którzy je tworzą, ale pewne dzielnice rzeczywiście oddziałują na duszę. Po czterdziestu latach przemierzania jego ulic Kat była o tym przekonana. Poczwała to nawet na własnej skórze. Po atakach 11 września 2001 roku metropolia zamarła, nastąpiła długa, pełna zgrozy cisza. Nic nie przedostawało się do wnętrza, lecz zarazem nic nie wydostawało się na zewnątrz. Był to osobliwy okres płynności, kiedy Nowy Jork jakby dryfował poza Ziemią, w oderwaniu, pomimo zapewnień o wsparciu nadchodzących z całego świata. Sami mieszkańcy byli oszołomieni. Po czym maszyna znów ruszyła z niemającą sobie równych żywiołowością. Jej mechanizm ponownie zaczął bezustannie zgrzytać, od podziemi po wierzchołki wieżowców. Miasto, które nigdy nie śpi, otrząsnęło się gwałtownie, by ruszyć naprzód, jeszcze bardziej aktywne. I przez wiele miesięcy, może przez rok czy dwa, Nowy Jork dawał z siebie wszystko, ciągle więcej i więcej, energia

tryskała zewsząd, z czeluści metra po oślepiające billboardy na Times Square. Ośrodek nakarmił swych mieszkańców. Żeby dodać im skrzydeł, żeby znów ich zmobilizować, żeby ponownie uwierzyli w swoje najbardziej szalone marzenia. Wielkie Jabłko podniosło się z kolan.

Obecnie każdy odnalazł własny rytm i wszystkie dzielnice odrobinę zamknęły się w sobie, w jednych miejscach wsysając rzekę ludzi, w innych ją wypluwając, aż powstał z tego rodzaj gigantycznej układanki strumieni energii.

Kat uzmysławiała sobie, że odkąd prowadzi śledztwo w sprawie Leny Fowlings, przyciągają ją wyłącznie strefy spragnione dusz. Mętne kręgi, które spijały swój lud tak jak ziemia wchłania krew zabitych. Czy był to przypadek, czy też owoc samobójczej gonitwy? Czy Lena starała się dobrowolnie zamknąć w tego rodzaju życiu, czy też ulegała mu, powtarzając w kółko te same błędy, nawiązując te same (złe) znajomości?

*Lena nie miała kasy. A to często idzie w parze...*

Właśnie tego Kat nie znosiła w swoim mieście najbardziej. Najczęściej pieniądze pozwalają kupić energię. Najbardziej krwiożercze strefy znajdowały się w posępnych, niezbyt drogich miejscach. *Chwała tobie, boże mamony...*

Jednak niezależnie od pozycji społecznej dało się u Leny zauważyć pewną stałą cechę: ciągnęło ją ku czemuś innemu. Kat nie potrafiła znaleźć właściwych słów na określenie tego, co czuła, było to jakieś napięcie. *Żyła na krawędzi świata. Między rzeczywistością i... magią? Imaginacją? Między życiem i śmiercią...*

Przed Kat wznosił się nowoczesny budynek, samotny pośrodku ulicy, wzdłuż której stały stare budowle i kilka magazynów. Według najświeższych informacji mieszkał tu Galvin Hutchinson.

Prywatna detektyw odczekała moment, po czym wśliznęła się do holu w tej samej chwili, gdy jakaś mama z wózkiem właśnie wychodziła. Na skrzynkach na listy nie było żadnego Hutchinsona. Kat zaczęła kobietę, która ciągnęła po korytarzu torbę na kółkach z zakupami, i zapytała, czy zna Galvina. Tamta słyszała jego nazwisko po raz pierwszy, toteż skierowała ją na czwarte piętro, gdzie znajdowały się dwa mieszkania na wynajem, jedyne niezajmowane na stałe przez te same osoby. Wsiadając z windy, Kat postanowiła sprawdzić całą klatkę schodową, ruszyła więc metodycznie od drzwi do drzwi – dziesięć pięter do pokonania. Większość lokatorów nie otwierała, dwoje pokręciło głowami, a kiedy zostały jej jeszcze tylko trzy mieszkania, drzwi otworzyła jakaś kobieta o dobrodusznym wyglądem. Bardzo wysoka, pulchna, z błyskiem w oku, ubrana w jaskrawe kolory, tryskająca humorem. Kat czym prędzej wygłosiła wyuczoną krótką przemowę: prywatna detektyw zatrudniona, by odnaleźć Galvina Hutchinsona, dostarczyć mu korespondencję i...

Na dźwięk jego imienia kobiecie zrzęła mina, w jej oczach odmalowała się panika, a policzki zaczęły drżeć.

Kat wydało się, że sąsiadka zaraz zemdleje, przytrzymała się bowiem ściany i jęła wymachiwać ręką przed sobą. Nie chciała jej pomóc. Kilkakrotnie pokręciła głową na znak, że nie, nie mogąc złapać tchu.

– Proszę pani? Zna pani Galvina Hutchinsona?

Drzwi zatrzasnęły się gwałtownie przed samym nosem Kat Kordell.

Lecz nie dość szybko, by pewien złowieszczy szczegół uszedł jej uwagi.

Sąsiadka zmoczyła się ze strachu.

## 18.

Gdy czujka wyłączyła światło, korytarz pogrążył się w ciemności, jedynie na jego początku pozostał biały prostokąt okna.

Kat miała gonitwę myśli. Nigdy dotąd nie widziała, żeby ktoś przeraził się na sam dźwięk czyjegoś imienia. W końcu przykleiła twarz do drzwi i powiedziała przez szparę:

– Proszę pani, szukam Galvina Hutchinsona, a pani jest moim jedynym tropem. Być może jest zamieszany w zniknięcie młodej kobiety. Muszę z panią porozmawiać.

Sąsiadka ciągle tam była, tuż za drzwiami. Kat wyczuwała jej obecność, kobieta oddychała głośno. Naciskała więc dalej:

– Dziewczyna, o której mowa, ma na imię Lena. Ledwie skończyła dwadzieścia lat, spotykała się z tym całym Galwinem Hutchinsonem, a potem słuch po niej zaginął. Muszę ją odnaleźć. Prawdopodobnie może mi pani pomóc, a nawet ocalić Lenę. Zajmę pani tylko parę minut. To ważne. Bardzo ważne.

Kat odczekała chwilę i już miała wykorzystać kartę współczucia do samego końca, lecz drzwi powoli się uchyliły.

Okrągła twarz była sina, zalana łzami, wzrok wpatrzony w dal, rzęsy mokre. Kobieta zostawiła wystarczającą przestrzeń, by wysunąć głowę, i nic więcej.

– On już tu nie mieszka – oznajmiła łagodnym, wyjątkowo niskim i jeszcze drżącym głosem.

Kat zrobiła najbardziej współczującą minę i powstrzymała się przed jakimkolwiek gwałtownym gestem. Stojąca przed nią kobieta była zauważalnie bardzo krucha.

– Zajmował mieszkanie naprzeciwko – dodała. – Opuścił je w zeszły weekend.

W tym samym czasie, gdy zaginęła Lena.

– Widziała pani, jak się wyprowadza?

Sąsiadka przytaknęła.

– Parę kartonów, prawie nic nie miał. To umeblowane mieszkanie.

– Jaki to był dzień?

– Wiem, że oddał klucze w sobotę, ale co najmniej przez dziesięć dni wcześniej widziałam, jak systematycznie wynosi jakieś rzeczy.

*Premedytacja.*

Kat skupiła się, by wypowiedzianym słowom towarzyszył jak najłagodniejszy ton.

– Czy mogę zapytać, dlaczego aż tak bardzo się go pani boi?

Policzki sąsiadki zadrżały. Kobieta się zawahała.

- Nigdy go pani nie spotkała, prawda? – odezwała się. – Inaczej by pani wiedziała.
- Dopuszczył się przemocy?

Małe czarne oczka uciekły w bok, w poszukiwaniu wspomnień. Kat pomyślała, że kobieta zaraz znów się rozpłacze. Ona jednak odparła zimno:

– Niektóre indywidua nie muszą się dopuszczać przemocy, a i tak od razu wiadomo, że to drapieżnicy. Pan Hutchinson właśnie do nich należy. Jest wyrachowany, bezlitosny. Wiedziałam to od pierwszego dnia. Sposób, w jaki na mnie spojrzął, kiedy się mijaliśmy... Aż dostałam gęsiej skórki. On mnie... on mnie oceniał. Rozumie pani? Tak jakby chciał się przekonać, czy mogę go zainteresować. Wyczułam to, to aż kłuło w oczy! Nie jak maniak seksualny, co to rozbiera kobietę wzrokiem, nie, on nie był lubieżny, raczej... zupełnie pozbawiony emocji, lodowaty. Studiował mnie i widziałam, że mnie oszczędził. Naprawdę właśnie tak pomyślałam.

- Mogłaby pani go opisać?

– Wysoki, szczupły, głębokie zmarszczki, kręcone, trochę przydługie, szczególnie na karku, zaczesane do tyłu włosy wpadające w blond. Ale pozna pani, że to on, jak tylko go pani zobaczy. Jego oczy. Są wyjątkowe. W... upiornie niebieskim kolorze. Dokładnie tak bym to określiła, tak, upiornie. Pojawiają się z zewnątrz albo widzą poza nami. Zapewniam panią, że gdyby się w panią wpatrywał, w najlepszym razie poczułaby się pani nieswojo. No i ma olbrzymie dłonie, to też zauważyłam. Wyobrażanie sobie, jak te nieskończenie długie palce mogłyby chwycić czyjąś delikatną szyję i się zacisnąć, jest dosyć zatrważające.

Jak na przerażoną kobietę, zaczynała się rozkręcać, Kat zaś nie potrafiła stwierdzić, czy to ona jest nienormalna i roi sobie niestworzone historie z byle powodu, czy też Galvin Hutchinson rzeczywiście uosabia niemal karykaturalny obraz seryjnego zabójcy.

- Odwiedzał go ktoś?

– Nie, nie sądzę. Prawdę mówiąc, prawie nigdy nie było go w domu. Mieszkał tu chyba z sześć do ośmiu miesięcy i tyle.

- Może pani wie, dokąd się wyprowadził?

- Nie mam zielonego pojęcia.

Kat nie mogła uwierzyć, że można się zsikać na samo wspomnienie byłego sąsiada. Z pewnością musiało się za tym kryć coś więcej. Postanowiła uciec się do podstępu.

- Czy według pani dziewczynie, której szukam, grozi niebezpieczeństwo?

- Jeżeli jest z nim, bez cienia wątpliwości tak.

– Co skłania panią do takiego wniosku? To znaczy oprócz tego, jak on patrzy na ludzi.

Kobieta świdrowała ją wzrokiem. Oddychała przez usta, jakby brakowało jej powietrza. Próbuje się zorientować, czy może mi zaufać, odczytała jej zachowanie Kat.

– Zatrudniono mnie do odnalezienia Leny, a moim zdaniem istnieją spore szanse, że jest z tym całym Galvinem Hutchinsonem. Wszystko, co mi pani powie, może ją ocalić. W taki czy inny sposób.

Sąsiadka wychyliła głowę przez drzwi i upewniwszy się, że są same, wyszeptała:

– Galvin Hutchinson nie jest człowiekiem. To diabeł.

– Słucham?

Oczy sąsiadki zwęziły się, jakby dla sprawdzenia, czy Kat z niej nie kpi.

*Nie pozwolici, żeby zamknęła się w sobie, pomóc jej wykrztusić, co myśli, na pewno kryje się za tym jakiś konkret, nawet jeśli to tylko jej osobista interpretacja.*

– Diabeł – powtórzyła Kat. – Ma pani na myśli demona z piekła?

Wahanie.

– W każdym razie istotę w tym rodzaju, tak.

*Coraz lepiej.*

– Co pani podsuwa taki wniosek?

– Nie wierzy mi pani?

Kat wzruszyła ramionami.

– Któregoś dnia wróciłam z roboty, a on był u mnie, siedział w mojej kuchni. Powiedział, że mam się zająć swoimi sprawami. I że jak nie przestanę go szpiegować, to popamiętam.

– To prawda? Szpiegowała go pani?

Teraz to sąsiadka wzruszyła ramionami, nieco zawstydzona.

– Podglądam, co się dzieje na korytarzu albo na ulicy, to normalne, dla bezpieczeństwa. W eleganckich dzielnicach mówią na to „straż sąsiedzka”, tymczasem tutaj nazywają to rozsiewaniem plotek! Domagam się wyjaśnień. Z takim typem pod bokiem wolałam mieć się na baczności.

Nagle jej źrenice zaszły mgłą i spuściła głowę. Głos uwiązał jej w gardle, widać było, że powstrzymuje łzy. Wypuściła powietrze, po czym mówiła dalej:

– Potem, miesiąc później, któregoś wieczoru po powrocie do domu znalazłam w salonie Snoopa. Mojego psa. On był...

Wpatrzyła się w Kat i uchyliła szerzej drzwi, aż ukazała się w nich cała jej postać. Przysunęła się o krok od prywatnej detektyw, górując nad nią o głowę. Ani śladu życzliwości, tylko maska grozy. Niemal budząca lęk. Kat instynktownie cofnęła nogę, by w razie czego mieć solidne oparcie.



– To był Snoop, bez cienia wątpliwości, jeszcze miał obrożę na... Mój pies był szkieletem. Kupka kości przycupnięta w kącie za kanapą. W pokoju unosił się zapach mięsa i krwi, a przecież nic takiego tam nie było poza zaschniętą kałużą, kośćmi pokrytymi skrawkami suchej jak pergamin skóry i sierścią. Przysięgam, że to prawda! Rano po spacerze zostawiłam Snoopa w domu, a wieczorem wyglądał jak mumia...

Mówiła coraz donośniej, nie zdając sobie z tego sprawy, jej głos rozlegał się w korytarzu.

– Wiem, że zrobił to Galvin Hutchinson. Ponieważ nie przestałam go szpiegować, kazał mi za to zapłacić! To potwór. Jest w stanie wejść do cudzego domu i wysać całe ciało z biednego stworzenia, zamienić je w szkielet, skórę i kości. Musi mi pani uwierzyć!

– Zawiadomiła pani policję?

Sąsiadka odrzekła, niemal krzycząc, z twarzą wykrzywioną przez gniew i strach:

– Oczywiście! Ale niby co mieli zrobić? O mało mnie samej nie przymknęli za opowiadanie bajek. Gorzej, na koniec uznali, że to ja skrzywdziłam w ten sposób własnego psa! Ten człowiek to diabeł. Wyssie duszę z tej biednej dziewczyny, której pani szuka, a potem znajdzie pani tylko skórę i kości. Ściga pani zło i mam nadzieję, że jest pani przygotowana na spotkanie z jego zbirami, bo jeśli pani nie ustąpi, dotrze pani do drzwi samego piekła.

W tej chwili jej oczy płonęły intensywnym wewnętrznym ogniem. Kat nie wiedziała, czy ma do czynienia z obłądem, czy z rzadko spotykaną we współczesnym świecie jasnością umysłu.

## 19.

W Los Angeles noc zapada wcześniej, a jeszcze szybciej w Venice. Kiedy o zmroku turyści się rozpierzchają, zostają jedynie hordy dziwaków o czasem mrocznych i chorych umysłach, pośród cyganerii, której wytatuowani i osobliwie ubrani przedstawiciele nawiedzają ulice. Atticus zaparkował niedaleko plaży i właśnie podążał wzdłuż Pacific Avenue, gdy zadzwoniła jego komórka.

– Detektywie Gore – odezwał się pewny siebie głos – mówi profesor Huxley z Muzeum Historii Naturalnej. Udało mi się popracować nad pańskimi próbkami.

– Zidentyfikował pan wszystkie?

– Owszem, to nie było zbyt trudne, większość to pospolite gatunki, a pozostałe mają charakterystyczne cechy.

– Co może mi pan powiedzieć?

– Właściwie nic konkretnego.

Akurat tego obawiał się Atticus. Kolejny ślepy zaułek.

– Oprócz tego, że to wszystko jakaś aberracja.

– Słucham?

– No cóż, całe te pańskie dowody stanowią jakiś piekielny miszmasz.

– Nienaturalny, owszem, zauważyłem. Jedne to drapieżniki, inne ofiary. Doszedłem do wniosku...

Huxley, który prawie nie słuchał, przerwał mu, by wyłuszczyć własny pogląd.

– Są tu gatunki miejscowe, niektóre wręcz endemiczne, co oznacza, że pochodzą konkretnie z regionu Los Angeles.

– Wiem, co znaczy ende...

– A inne z bardzo daleka, w ogóle się ich u nas nie spotyka. Weźmy na przykład takiego pustelnika brunatnego, krąży słuchy, że przybył do Kalifornii. Ale to brednie, wraz z kolegami dokładnie śledzimy jego wędrówkę i mogę pana zapewnić, że ciągle jeszcze nie osiedlił się tak blisko oceanu. A mimo to pan go znalazł.

Atticus wszystko to wiedział, toteż wcale nie czuł, że posunął się naprzód.

– A to nie koniec: mam tu zabójczą pszczołę, że się tak trywialnie wyrażę. To szczególna kategoria, bardzo agresywna i potencjalnie groźna dla człowieka, kiedy osobników jest dużo, ponieważ „namierzają” cel ze sporej odległości, w przeciwieństwie do innych gatunków, bardziej łagodnych, które nie ścigają ofiary dalej niż na kilka metrów. Natrafiono już na osoby, które zmarły po ponad dwóch tysiącach ukąszeń! Pszczoły te pierwotnie pochodzą z Brazylii, ale dużo migrowały, aż

dotarły do nas. I wreszcie wisienka na torcie, mam tu mrówkę legionistkę! Gatunek pochodzący z Ameryki Południowej, również bardzo agresywny! Wie pan, z tych, które widzimy w horrorach i które pożerają obozowiczów.

Atticus przypomniał sobie wykłady. Te mrówki koczujące potrafią połknąć dzikie zwierzę w całości, a ono nie jest w stanie uciec.

– Szukam więc zdolnego zgromadzić pokaźny zapas spryciarza, który przekopuje mniej więcej cały kraj, a nawet ziemie poza nim?

Huxley cmoknął.

– To trochę bardziej skomplikowane, detektywie. Owszem, pański osobnik to cholerny kolekcjoner, co do tego nie ma żadnych wątpliwości, tylko że zdołał dokonać czegoś, co jeszcze nigdy nikomu się nie udało: skłonił do zamieszkania na jednym terenie gatunki, które normalnie powinny się nawzajem pożerać.

– Właśnie dlatego uważam, że owady już były martwe, zanim je rozsypano na miejscu zbrodni – zdołał wreszcie wtrącić Atticus.

– Nie wydaje mi się. Egzemplarze, które mi pan przyniósł, jeszcze całkiem niedawno żyły. Miazga, jeśli pan pozwoli użyć tego barbarzyńskiego słowa, nie zdążyła wyschnąć, niektóre z nich zostały rozgniecione razem, to znaczy, że wymieszano je ze sobą. Powinien pan zlecić waszemu laboratorium zbadanie reszty próbek chromatografem na obecność środków owadobójczych, chociaż bardzo wątpię, żeby je wykryto.

– Dlaczego?

– Jeśli są, to znaczy, że ten pański spryciarz, jak go pan nazywa, wybił swoją kolekcję, zanim ją wymieszał i rozrzucił na miejscu. Jeśli ich nie ma, to wszystkie żyły i tak po prostu uśmiercono je, depcząc po nich.

– To niemożliwe, takie skupisko pajęczaków choćby z muchówkami, one...

– Przecież panu tłumaczę: aberracja. Poza tym z tego, co widzę, wnioskuję, że żyły, zanim zostały zmiażdżone podeszwami butów. Proszę przeprowadzić badania. I proszę mnie informować na bieżąco, to interesujące.

Rozłączywszy się, Atticus stracił orientację i musiał przystanąć, by zobaczyć, gdzie się znajduje. Od tego wszystkiego kręciło mu się w głowie. Czuł, że go to przerosło. Zerknął na szukany adres i obok sklepu z galanterią skórzaną znalazł drzwi. Wszedł do środka i nacisnął dzwonek na pierwszym piętrze, przy tabliczce z nazwiskiem Trappier.

– Kto tam? – odezwał się mężczyzna po drugiej stronie drzwi.

– Policja Los Angeles, detektyw Gore, mam kilka pytań do pana Samuela Trappiera.

Cisza. A potem pytanie:

– Na jaki temat?

– Oscar Riotto. Zna go pan, prawda?

– Bo co?

– Mr Trappier, może by pan otworzył te drzwi, żebyśmy mogli normalnie porozmawiać!

– Niech pan pokaże odznakę!

Atticus odpiął odznakę od paska i przystawił do wizjera.

– Jaką mam pewność, że jest prawdziwa?

– Proszę zadzwonić na komisariat w Hollywood i zapytać.

– Równie dobrze może pan opowiadać bajki.

Atticus zaczynał tracić cierpliwość.

– Oscar Riotto prawdopodobnie nie żyje, a ja prowadzę dochodzenie w sprawie jego zabójstwa. Jest pan pewien, że nie chce o tym porozmawiać?

Po chwili rozległ się szcęk dwóch zamków i w progu ukazał się mężczyzna o długich, siwych, kręconych włosach, w okularach, w hawajskiej koszuli i koszulce pod spodem.

– Odwalił kitę? Na amen?

Atticus przytaknął.

– Mogę wejść?

Mężczyzna się zawahał, po czym pokręcił głową.

– Nie, nie w domu, chodźmy pogadać gdzie indziej.

Neony nad wszelkimi możliwymi sklepami rzucały blask na promenadę Venice Beach, tworząc wielobarwne aureole wśród hałaśliwej muzyki, tymczasem na zachodzie ciągnął się daleko w noc bezkresny pas piasku, ledwie poprządkany miejscami przez zbyt rzadkie latarnie. Przemieszczały się po nim jakieś cienie, mroczne zjawy o niekiedy dziwnych ruchach, w powietrzu unosiły się zaś tłuste opary grillowanych hot dogów albo uporczywy bukiet konopi, konsumowanych zaraz po wyjściu ze sklepów.

Po asfaltowej wstędze służącej jako chodnik wałęsała się owłosiona fauna. Atticus wymijał amatorów rolek albo rowerzystów, podążając za Samem Trappierem, który szedł dziarskim krokiem. Mężczyzna spojrział do góry, na róg budynku, wskazał kamerę, a następnie pociągnął Atticusa na plażę, w kierunku jakiejś wykonanej z rur konstrukcji przypominającej klatkę.

Gdy dotarli do pustego o tej porze placu zabaw, Trappier się odwrócił.

– Tu nas nikt nie widzi, jest bezpieczniej.

– Kogo się pan obawia?

Trappier machnął ręką w stronę świateł miasta, potem Atticusa.

– Wszystkich! Nawet was, gliniarzy. Nikt nie jest godny zaufania. Każdemu się wydaje, że działa na własne konto, ale w rzeczywistości wszyscy realizują szerszy plan, który im umyka, plan wielkich koncernów, konsorcjów rządzących Ziemią.

OK, *nieźle rąbnięty*. Znienacka podważyło to wszystko, co Atticus miał nadzieję od niego wyciągnąć.

– Wmawiają ci, że jesteś wolny – nie dawał za wygraną Trappier – ale to nieprawda. Marketingowa manipulacja i ciągła komunikacja celowa. Jesteśmy tylko konsumentami, którzy muszą być posłuszni i produkować to, czego oni chcą. Tak urobili system, żeby nas mieć na własność. Nawet nasze rozrywki, nic nie pozostawili przypadkowi.

– Proszę mi opowiedzieć o Oscarze Riotcie. Skąd pan go zna?

– Oscar? To przyjaciel. On wie, on to wszystko ujawnia, chociaż nadal jest trochę zbyt strachliwy, jeśli chce pan znać moje zdanie. Wie o tym, za każdym razem mu to powtarzam.

– Czy to pan jest ISeekTru4U na jego blogu?

Trappier nieufnie schylił głowę.

– A więc nie żyje? Morderstwo?

*To on. Wreszcie posuwamy się naprzód.*

– Często się widujecie?

– Mniej więcej raz w miesiącu, jak się da. Wie pan, kto go załatwił?

– Jeszcze nie. O czym rozmawiacie?

– Biedak.

Atticus nie naciskał, pozwolił mu się oswoić z wiadomością. Trappier w końcu odparł:

– Wymieniamy się informacjami o najnowszej robocie. Daję mu cynki, podsuwam pomysły na artykuły. Ja też piszę, ale jestem zmuszony robić to anonimowo, żeby się chronić. Kiedy Oscar bierze się za jakiś temat, to ma inny wydźwięk, ale bardziej zależy mi na rozpowszechnianiu prawdy niż na osobistym sukcesie, dlatego w to wchodzę.

– Co mu pan ostatnio podesłał?

Pomimo półmroku Atticus dostrzegł zmianę w spojrzeniu swojego rozmówcy, który zmrużył oczy.

– Wiem, że był na tropie jakiejś grubszej afery – naciskał Atticus – i muszę wiedzieć, co to takiego, żeby się upewnić, czy to nie przyczyna jego śmierci.

– Jak go zabito?

– Paskudnie.

– To znaczy?

– Chwilowo nie mogę panu udostępnić takich danych, śledztwo jest w toku.

Trappier przytrzymał się klatki.

– Kurwa... Oscar.

– Kiedy widział go pan po raz ostatni?

– Sam nie wiem. Ze trzy, cztery tygodnie temu.

Trappier był wstrząśnięty.

– Wspominał coś o jakichś groźbach, czuł, że jest w niebezpieczeństwie?

Pięćdziesięciolatek nieznacznie pokręcił głową.

– Nie bardziej niż zwykle.

– Mówił panu, nad czym pracuje?

Lśniące źrenice Trappiera ponownie wpatrzyły się w Atticusa.

– Pańscy zwierzchnicy będą naciskać na przeciąganie śledztwa.

Atticus westchnął, męczyła go bowiem ta obsesja konspiracji.

– Nie należę do osób o miękkim kręgosłupie, jeżeli rozumie pan, co mam na myśli.

– I tak obowiązuje pana hierarchia, jak oni rozkażą, pan słucha.

– Mogę pana zapewnić, że to nie działa w ten sposób.

– Międzynarodowe korporacje mają władzę absolutną, sterują finansowymi imperiami, które są ponad tymi krajowymi, finansują partie polityczne, wsadzają na urzędy prezydentów, gubernatorów, burmistrzów i tak dalej i ich zdejmują, tak samo prokuratorów, szefów policji i wszystkich wysokich urzędników. Kiedy czegoś chcą, wysuwają żądania, a wtedy wszystkie te marionetki, spragnione wpływów, mające zbyt dużego cykora, że wypadną z obiegu, stają na dwóch łapkach. Najczęściej wielcy prezesi nie muszą za dużo robić, wystarczy jedno słówko, rzucone niedbale któremuś z politykierów podczas kolacji na jakiejś gali, a potem to idzie dalej, zgodnie z hierarchią, w wyznaczonym kierunku, jak lawina, resztę załatwia gorliwość.

– Nad czym pracował Oscar?

Regularny szum fali przyboju dotarł w ciemnościach aż do nich, mimo basów dobiegających z odległej, oświetlonej neonami promenady.

– Po co drążyć, skoro i tak to się panu wymknie z rąk?

– Gliniarze też bywają przyzwoici. Tak jak dziennikarze, jedni dają się złamać, inni się sprzeciwiają, choćby za cenę zepchnięcia na boczny tor, a nawet utraty roboty.

Trappier nie wydawał się przekonany. Mimo to zapytał:

– Skoro Oscar przypłacił to życiem, jest pan pewien, że chce wiedzieć?

Atticus nie odpuszczał, bardziej zawzięty niż kiedykolwiek.

Trappier ustąpił.

– Trzeba będzie sobie pobrudzić rączki, detektywie. Bo to nie jest coś, o czym trąbią w prasie, podobnie zresztą jak wśród pańskich kolegów z centrum miasta.

Nagle w oddali rozgorzała kłótnia między kilkoma bezdomnymi, rozproszonymi gdzieś po bezkresnej plaży. Trappier upewnił się, że nikogo nie ma w pobliżu, i pochylił w stronę Atticusa. Spomiędzy jego spierzchniętych warg wydobyły się cztery słowa. Pięć sylab, które zabrzmiały niczym zapowiedź strasznej prawdy:

– Potwór ze Skid Row.

## 20.

Eli Hackenberg przełknął ostatni kęs pączka i popił szybkim łykiem ciepłej kawy. Czuł się najedzony. Pełny. W pewnym sensie uspokojony. Dopóki z żołądka nie nadeszło inne doznanie, tłustość w gardle, cukier karmelizujący mu krew aż do mdłości. Znowu zeżarł za dużo. Nie potrafiąc przestać, wciągnął całe pudełko w dziesięć minut. Ślinił się przy każdym spojrzeniu, szprycując mózg glukozą.

W kółko powtarzało się to samo, jadł, jakby od tego zależało jego życie, po czym żałował. Coś z nim było nie tak, coś z poczuciem sytości, a nawet głębiej: skoro musiał tak bardzo się narkotyzować jedzeniem, żeby się zaspokoić, źródło tkwiło zapewne w szacunku do samego siebie albo stosunku do uczuć w ogóle. Nagłe zastrzyki euforii, pełnej po brzegi wszelkiego świństwa, jakie produkowano na skalę przemysłową. Skąd to idiotyczne przekonanie, że to go uleczy?

Zamiast tego za każdym razem czuł się trochę bardziej rozwalony...

Atticus wszedł do dużej sali detektywów, która świeciła pustkami jak to w niedzielny poranek. Zawsze ten miękki chód, pozornie niedbały wygląd, który kosztował go codziennie godzinę przygotowań, i ten aktorski look, dzinsy i T-shirt opinający mięśnie klatki piersiowej. Nie wspominając o skórzanych bransoletkach.

– Jest weekend, więc odpuszczasz sobie regulaminowy ubiór? – rzucił wkurzony Hack.

– Do każdego dnia tygodnia pasuje inny mundurek – odciął się policjant, ciskając na biurko partnera cienką tekturową teczkę.

– Co to takiego?

– Otwórz.

Ociężały po zbyt obfitym śniadaniu Hack powoli spełnił polecenie. Natrafił na zadrukowane kartki, wszystkiego raptem pół tuzina, i rzuciwszy na nie okiem, stwierdził, że to teksty ściągnięte z internetu.

– Zrób mi małe streszczenie – powiedział.

– Co ci przychodzi na myśl jako pierwsze, kiedy słyszysz Skid Row?

– Gównno.

– A konkretniej?

– Ćpuny? Menele?

Atticus machnął ręką na znak, że dobrze mu idzie.

– A kogo to obchodzi?



– Bo ja wiem? Lewaków, którzy przejmują się beznadziejnymi sprawami? Kościoły? Biuro burmistrza, które chce to zamieść pod dywan?

– Krótko mówiąc, mało kogo. Patrz.

Atticus wyciągnął jedną z kartek i pokazał mu artykuł zatytułowany *Strach wśród wyrzutków z centrum*.

– Nie ma prawie nic na ten temat, żadne poważne media jeszcze się nim nie zajęły. Bezdomni ze Skid Row mają cykora, Hack, co i rusz któryś z nich znika.

– Menele, którzy z dnia na dzień ot tak rozpływają się w powietrzu? Bez jaj! I nawet nie zostawiają kumplom nowego adresu?

– Mówię poważnie. Wielu świadków wspomina o kolegach, którzy znikają jak kamfora, o znajomych twarzach, towarzyszach niedoli, którzy jeszcze wieczorem kładą się obok nich w namiocie, a rano już ich nie ma.

– Widziałeś, jaka tam panuje nędza? Wiesz, ilu ich jest?

– Ponad dwa i pół tysiąca, sprawdzałem.

– Kurwa mać, Gore, to całe miasto! Całe miasto meneli! Już i tak nie mają stabilnej sytuacji, a jeśli na dodatek jest ich tak dużo, to oczywiste, że dają w długą bez uprzedzenia!

– Właśnie tak muszą rozumować dziennikarze, że nie ma w tym nic dziwnego, ale ja ci mówię, że coś tu nie gra. Oscar Riotto chciał o tym napisać artykuł, pojechał ich wypytać i wiesz, co oni opowiadają? Że w Skid Row grasuje po nocy jakiś drapieżca. Potwór.

Hack wybuchnął śmiechem.

– Niech zgadnę... Nazywają go „odstawienie”? Za mało dragów albo wody?

Atticus postukał palcem w plik kartek.

– Tym razem jedziesz ze mną, trzeba z nimi pogadać. Być może zabójstwo Riotta jest powiązane z tą historią.

– O, cholera, Gore, nie spędzę niedzieli na...

Atticus już był gotów do wyjścia. Zawołał od progu:

– A po drodze wstąpimy do ciebie, żebyś się przebrał! Nikt nie będzie chciał z tobą gadać, jak wpadniesz tam wystrojony jak urzędas z magistratu.

Hack porządnie odchrząknął, po czym ryknął na całą salę:

– Jesteś najgorszym partnerem, jakiego kiedykolwiek miałem, wiesz o tym?

Z telefonu Atticusa, leżącego na schowku pomiędzy fotelami nieoznakowanego samochodu, wydobywały się dźwięki *War Ensemble* zespołu Slayer. Gdy tylko świeżo przebrany w dzinsy i koszulkę polo Hack wsiadł do środka, chwycił aparat, aby go wyciszyć.

– Skąd w tobie ta wściekłość? – zapytał poważnie.

– Jak to?

– Żeby odczuwać potrzebę słuchania tak agresywnej muzyki, musisz być w głębi cholernie nabuzowany, bo inaczej ona by do ciebie w ogóle nie trafiała, słyszałbyś tylko to, czym rzeczywiście jest: hałas.

Atticus uniósł brwi, włączył silnik i opuścił podjazd przed domem Hackenbergów.

Często zadawał sobie to pytanie. Szczeniące niepoohamowane uwielbienie dla tej potężnej, mrocznej, wojowniczej albo pełnej melancholii muzyki nigdy nie przestało zadziwiać dorosłego mężczyzny, jakim się stał, ponieważ pasja ta nie złagodniała, w miarę jak jego osobowość nabierała charakteru. Przeciwnie, dzisiaj delectował się jej niuansami, techniką, głębią. Lecz co zostało w czterdziestoletnim mężczyźnie z tego, co urzekło go jako chłopca? Na jaki głuchy, ukryty gniew odpowiadała ta muzyka? Jaki rozproszony smutek podsyciała? Atticus był człowiekiem spokojnym, pogodnym, budził zaufanie, jakby trzymał własny los w garści, co nie pozwalało dostrzec otchłani jego ułomności. Ułomności zranionego, innego niż wszyscy, wykluczonego chłopca. Wyrzutka daremnie szukającego wdzięczności, który w ryku gitar i wyciu głosów słyszy bliski sobie zew.

Zew, który nie umilknie.

– No więc?

– Nic. Wiesz, większości ludzi metal kojarzy się z AC/DC albo Metallicą, tymczasem oni nie mają pojęcia, jak rozleg...

– Taa, jasne, ściemniaj dalej. Jak nie chcesz o tym gadać, powiedz wprost, ale nie traktuj mnie jak przygłupa.

Atticus otworzył na chwilę usta, zmienił jednak zdanie i nic nie odpowiedział. Hack miał rację – był mu winien przynajmniej szczerść. Zdecydowanie jednak nie będzie mu się zwierzał z dorastania jako homoseksualista odtrącony przez najbliższych.

– Zajrzałeś wczoraj do sklepu, w którym kupiono telefon na kartę? – zapytał zamiast tego.

– Tak, i zgodnie z przewidywaniami, bez rezultatu. To jedna z tych dziupli bez kamer. I tak dobrze, że przechowują dowody sprzedaży. Zapłacone gotówką, a laska kompletnie nic nie pamięta. Jeśli chcesz znać moje zdanie, musi wypalać hektar trawy dziennie.

– Zabójca Riotta jest metodyczny, bardzo zorganizowany, musiał ją wybrać celowo. Wszystko zostało starannie zaplanowane.

– Jasne. Teraz uważasz się za szychę z RHD<sup>7</sup>?

– Odpieprz się.

Posuwali się w kierunku budynków centrum, następnie przejechali pod oknami ratusza. Rzędy namiotów zamieszkałych przez bezdomnych w parku naprzeciwko

gabinetu burmistrza przypominały z dużą dawką ironii i desperacji o obowiązkach tutejszych władz. Dokładnie na południe ciągnęła się dzielnica Skid Row, królestwo ćpunów i szaleńców, gdzie chodniki dosłownie znikwały pod szeregami namiotów i plandek chroniących przed wiatrem i deszczem. Wszędzie sznury z suszącymi się ubraniami, kartony zamiast mebli, puszki i butelki jako cała dekoracja. Sklepowe wózki wypełnione przypadkowymi przedmiotami, odpadki w rynsztoku, zardzewiałe wózki dziecięce i rowery, niekończąca się zbieranina wszystkiego, co można znaleźć w śmietnikach „tamtych”, czyli ludzi, którzy mieszkają w solidnych czterech ścianach. Trudno było się poruszać inaczej niż po jezdni, jako że chodniki zostały zawłaszczone przez zlepek płótna i przedmiotów z odzysku. Atticus i Hack posuwali się East 6th Street, następnie San Pedro Street, 7th South Central Avenue i Maple Avenue, namioty ciągnęły się bez końca po obu stronach samochodu, Atticus postanowił więc zaparkować, kiedy tylko było to możliwe, zamiast krążyć całymi godzinami. Czuł się niemal jak w jakimś dalekim kraju, gdzie udziela się schronienia uchodźcom, których można czasem oglądać w obozach w wiadomościach telewizyjnych, z tą różnicą, że tutaj namioty nie stały na pustyni albo na polu, tylko w sercu Los Angeles. Oto wyrastała na dziko podziemna warstwa miasta, mocniej ukorzeniona niż bluszcz na murach, druga powłoka niekontrolowanego urbanizmu, który przestał odpowiadać na ludzki porządek, za to rozmnażał się z korzyścią dla obojętności.

– Co my tu, do cholery, robimy? – zapytał rozżalony i zniechęcony Hack, wysiadając z samochodu. – Jaki jest plan? Pokazujemy im zdjęcie Riotta i pytamy, czy go znają?

– Dobry początek. I zwróć uwagę na te zaginięcia, na całą tę historię z potworem. Chcę się dowiedzieć czegoś więcej.

– Bo co, teraz zamierzasz się rozdzielić?

– Jeżeli nie chcesz tu spędzić całego dnia, tak będzie szybciej.

– Poważnie? Nawet sami nie mają pojęcia, kim są, a ty się spodziewasz, że urzędzą ci spis ludności?

– Mają sąsiadów, pomagają sobie nawzajem, czasami biorą się za łby, znają się, Hack, sam tak powiedziałeś, to miasto w mieście. Ja pójdę Piątą, ty bierz się za Crocker Street, dzwoniemy się za jakieś dwie, trzy godziny.

Hack oddalił się, przeklinając. Atticus zaś ruszył szlifować bruki z długą litanią pytań na ustach. Miał fotografię Oscara Riotta, jedną z niewielu dostępnych w internecie, i pokazywał ją wszystkim, których wypytywał. Czy już go gdzieś widzieli? Nalegał, by się dokładnie zastanowili, bo to ważne, a na koniec pytał każdego, czy zna kogoś stąd, kto zaginął. Kiedy to wyczuwał, wtrącał w zdanie słowa „potwór ze Skid Row”, aby zobaczyć reakcję. W południe dołączył do niego Hack

i zafundował mu w foodtracku kanapkę. Zjedli na stojąco, po czym Atticus zaproponował, żeby wrócili do pracy. Ku jego ogromnemu zdziwieniu Hack nie marudził, tylko pomaszerował wypełniać misję. Chyba miał po dziurki w nosie tkwienia w biurze z krzesłem przyklejonym do tyłka, skoro pognał, nie dając się prosić.

Atticus spędził zatem niedzielę wśród bezdomnych, na wysłuchiwanie ich opowieści, często dziwacznych, niekiedy wariackich, kilkakrotnie wzruszających albo mrożących krew w żyłach z powodu swej prawdziwości. Musiał się jednak wykazać wytrwałością, by wreszcie natrafić na kogoś, kto rozpoznał Oscara Riotta i czyje słowa wydawały się wiarygodne. Osobnik sprawiał wrażenie trzeźwego, nie stukniętego ani naszprycowanego. Był to wysoki, rozczochrany czarnoskóry brodacze ubrany w kilka T-shirtów.

– Taa, spotkałem go. Jakiś tydzień temu. Od dawna się tu kręcił, widziałem go już wcześniej.

– Czego od pana chciał?

– Dowiedzieć się, czy znam Dominika.

– Kto to jest?

– Gość, który mieszka trochę dalej, na Kohler. To znaczy mieszkał. Już go nie ma.

– Wie pan, co się z nim stało?

– Nie. Któregoś wieczoru graliśmy w karty, a potem... już go więcej nie widzieliśmy.

Od trzech tygodni. Nie tylko jego, wie pan?

– W każdym razie pan pierwszy mi o tym mówi.

Mężczyzna wskazał pozostałe namioty.

– Bo przecież te sukinsyny nie będą się chwalić, że rozkradają rzeczy tych, którzy zaginęli! Ale coś panu powiem: jeżeli zostawi pan tutaj swoje graty bez opieki na dwa dni, to już po nich! Nic nie zostanie. Chyba że pan wejdzie w układ z tymi naokoło, i jeszcze...

– Właśnie tak było z Dominikiem?

Mężczyzna energicznie pokiwał głową.

– A on już się więcej nie pokazał?

– Nie.

– Wie pan, co mu się mogło przydarzyć?

Mężczyzna wpatrzył się nieufnie w Atticusa.

– Jestem tu, żeby pana chronić – oznajmił szczerze Atticus. – Wiem, że większość glin tutaj ma to w dupie, ale nie ja.

Mężczyzna się skrzywił. Wtedy Atticus zaryzykował.

– Potwór?

Błysk w oczach.

– Kto panu o nim powiedział?

– Ilu ich zaginęło?

– Cała kupa. Co najmniej dziesięciu. Sam znam dwóch: Dominika i Baby Roya.

– Zna pan ich pełne imiona i nazwiska?

– Dominik Sheppard, zdaje się. Drugi to Baby Roy i tyle. Ale powtarzam panu, jest ich więcej. Mnóstwo.

– Jak pan sądzi, mógłby mi pan zrobić listę z imionami i nazwiskami?

Atticus wyjął z kieszeni dwie dwudziestki.

– Możliwe.

– Pańscy koledzy nie za bardzo mi ufają.

– No. Nieszczerólnie lubimy gliny ani urzędasów. Widział pan, jak żyjemy? A w nocy to prawdziwa dżungla, słowo daję. Nieczęsto widzujemy tu policję!

Atticus wsunął mu pieniądze w dłoń wraz z wizytówką.

– Jeżeli lista będzie wiarygodna, dostanie pan więcej. Liczę na pana.

– Mel. Proszę mi mówić Mel. Dobra, zrobię to.

– A Oscarowi Riottowi co pan powiedział?

– To samo co panu.

– Nic więcej?

– Nie, on nie chciał listy osób, chyba już ją miał. Chciał wiedzieć, czy może z nami spędzić parę nocy. Ten facet jest jakiś śliski!

Riotto na coś wpadł, Atticus zaś podążał jego śladem. Pozostawało jedno fundamentalne pytanie: zamordowano go z powodu jego śledztwa, czy też to nie miało żadnego związku? *W Skid Row grasuje prawdopodobnie seryjny zabójca, to nie może być zbieg okoliczności. Riotto deptał mu po piętach, był bliski zidentyfikowania go i ktoś go sprzątnął.* Ten, kto w czwartek wieczorem zastawił na niego pułapkę, to z całą pewnością morderca bezdomnych.

– Czy są jacyś świadkowie tych zaginięć? – zapytał.

– Nie. Właśnie dlatego to nie jest człowiek, tylko potwór. Pojawia się w nocy, wpełza ze ścieków albo z jakichś najciemniejszych zakamarków i bezszelestnie uprowadza swoje ofiary.

Pomimo słabych więzi społecznych, pomimo codziennej przemocy tutejsi ludzie zaczęli tworzyć wokół niego jakąś otoczkę folkloru: skoro wieść niosła się po kolejnych ulicach, a istota zyskała imię i stała się bohaterem mitu, musiała się tu zadomowić już jakiś czas temu.

– Czy w dzielnicy znaleziono jakieś zwłoki?

– To znaczy nie licząc przedawkowania i porachunków? Nie, ci uprowadzeni przez potwora znikają na dobre.

Co z nimi robi? Wrzuca trupy do rzeki Los Angeles? Przepływała tuż obok, niecały kilometr stąd, w strefie przemysłowej. Do oceanu albo do jednego z opuszczonych górskich kanionów? Atticus zanotował w myślach, że musi popytać o ciała, na które natrafiono ostatnio w dość szerokim promieniu.

– Niech pan na siebie uważa – doradził Mel. – Wszyscy mają wywalone na zabójstwa bezdomnych, właśnie dlatego potwór grasuje tutaj, żeby mieć spokój. Jak pana wywęszy, jak się zorientuje, że pan mu depcze po piętach, przyjdzie po pana. A tuż przedtem postara się pana wyrwać ze społeczeństwa, znajdzie metodę, żeby pana wykluczyć. A jak już pana zabierze, wszyscy też będą mieli to gdzieś.

Atticusa korciło, by odpowiedzieć, że już mu przyklejono łatkę wykluczonego – gliny, geja i amatora muzyki, która odstrasza sąsiadów. W ostrzeżeniu Mela brzmiał zdrowy rozsądek. Ten, kto to robił, znał okolicę dostatecznie dobrze, by pozostać niezauważonym, uderzyć we właściwym miejscu, w zdecydowanie osamotnione ofiary. Wcale nie musiał długo szukać, wystarczyło się przespacerować, mieć oczy otwarte, wtopić się w tło i wyskoczyć w odpowiedniej chwili. Zaginięcia, które nie wywoływały szumu, nikogo nie obchodziły. Całe morze możliwości.

Jeśli był tak przebiegły, jak sugerowała to inscenizacja na miejscu zbrodni, mógł tu działać zupełnie bezkarnie przez długie miesiące, a nawet lata.

Nagle Atticusa przebiegł dreszcz.

Zastanawiał się, czy lista ofiar nie ciągnie się bez końca.

Czy nie zakrawa na obłąd. Na miarę tego miejsca.

Ziemi fragment ludzkiego szaleństwa.

I okrucieństwa.

## 21.

Przerywany oddech następował w dłuższych lub krótszych odstępach czasu, z kolei szybkie, lecz idealnie regularne uderzenia serca odmierzały tempo kompozycji. Każdy pokonany kilometr to był jeden kawałek. Mokra od potu Kat doznawała maksymalnego spełnienia przy minimalnym wysiłku.

Bieganie stanowiło jej własną muzykę. Która uwalniała od myśli, oczyszczała synapsy i wzmacniała szacunek do samej siebie.

Sportowe buty ledwie dotykały podłoża ścieżki dla pieszych na moście Brooklińskim, stalowe liny uplotły się pomiędzy nią a błękitnym niebem górującym nad Nowym Jorkiem. Spod języków ładu dookoła wystrzeliwały stalowe i szklane szpikulce, spijając światło albo wypływając jego refleksy, gdy tymczasem w ich trzewiach dokonywały się miliony istnień. Pionowe, rozrośnięte ponad miarę, przyprawiające o zawrót głowy miasto.

Kat patrzyła, lecz bez zaciekawienia. Słuchała *Chasin' The Trane* Coltrane'a i starała się utrzymać tempo, ocierając przedramieniem zalewający jej oczy pot.

Lawirowała wśród licznych w to niedzielne popołudnie przechodniów i pozostałych biegaczy, z których większość doganiała. Godzina sportu to będzie jej weekendowa przerwa, do której prawo przyznała sobie w nagłym odruchu, kiedy jak zwykle siedziała za biurkiem i śledziła w internecie Galvina Hutchinsona. Znienacka nasza ją gwałtowna, niepohamowana ochota, by zaznać rozkoszy. „Chcica”, jak nazywała swoje niespodziewane napady. Odczuwała tę potrzebę częściej niż zwykle, o wiele częściej niż w młodości, jeśli pamięć nie płatała jej figła, i zastanawiała się nawet, czy to przypadkiem nie ostatni akord hormonów, zapowiadający wczesną menopauzę. Myśl ta nie dawała jej spokoju. Nie żeby miała choć cień nadziei, że jeszcze urodzi dzieci, przyczynę stanowiło przesłanie, jakie adresowała do niej natura. *Rozkoszuj się, kochana, dawaj i bierz, co tylko możesz, bo wkrótce już nic z tego nie będzie.* Jako że nigdy nie kochała się w innym celu niż zaznanie przyjemności, nie powinno to stanowić problemu, a wręcz mogłoby rozwiązać te dotyczące kontroli nad sferą intymności. Tylko że nie w tym przypadku. Czuła, że stoi przed nieznośną naturalną powinnością. Nieuchronnym kamieniem milowym. Życie obwieszczało, że jej podstawowa funkcja biologiczna zaraz wygaśnie. Data ważności Kathleen Karen Kordell (jakże nie znosiła tych słynnych inicjałów) właśnie się zbliżała.

Każdego mężczyznę, który by jej to oznajmił w takich słowach, załatwiłaby prawym prostym w szczękę. Nikomu nie wolno było jej tego powiedzieć. Nawet lekarzowi.

Jednak właśnie dokładnie takie miała doznania. Bała się, że poczuje się przedawniona. W czasach, kiedy społeczeństwo próbowało się bardziej sfeminizować z większym lub mniejszym skutkiem, zbliżyć do jakiejś równowagi, myśl, że po menopauzie kobieta może być bezużyteczna, tak jakby upłynął jej termin przydatności do spożycia, zakrawała na przedpotopowy mizoginizm, brudną zniewagę, Kat była tego bardzo świadoma. Mimo wszystko właśnie tak to postrzegała.

Zmarszczki, skóra tracąca elastyczność i wszystkie te niedogodności przychodzące z wiekiem, Kat stopniowo się z nimi pogodziła za pomocą kremów, paru drobnych zabiegów kosmetycznych, coraz większej ilości sportu, pracy... To tylko wygląd, a ona dodawała sobie pewności siebie, powtarzając, że jest piękną, seksowną kobietą. Mniej jędrny biust rekompensowała sobie większą swobodą, wyrazistszą charyzmą. Nie przeszkadzało jej to, że z każdą dekadą jej uroda nabierała harmonii w inny sposób. Tym razem przemiana dokonywała się gdzieś bardzo głęboko, w samym narządzie, który określał jej naturę. Kobieta. Ta, która nosi w sobie życie. I chociaż te słowa natychmiast budziły w niej sprzeciw, bo przecież nie można sprowadzić kobiety wyłącznie do tej funkcji, nie stając się samemu bezsensownie binarnym, wieczorem, przyłożywszy głowę do poduszki, z ciemnością jako jedyną towarzyszką, Kat nie mogła się opędzić od takich myśli.

*Od tych bredni dostaniesz żylaków na mózgu*, powtarzała sobie. A wszystko dlatego, że zalewały ją silniejsze i bardziej regularne fale pożądania niż kiedyś! To było idiotyczne. A jednak...

Nie będąc w stanie zasięgnąć opinii lekarza, ponieważ przerażała ją wizja nieodwołalnej diagnozy, wolała nie wiedzieć, błądzić we mgle i drzeć z niepokoju. To było bardziej znośne niż ewentualne lapidarne potwierdzenie.

Siedząc zatem przed ekranem komputera, dostała właśnie jednego z napadów chłycy, po czym odchyliła się gwałtownie na oparcie fotela. Nie miała odwagi zadzwonić do Mitcha, czekać na niego, a potem szukać wymówki, żeby pozbyć się go przed nocą, a tym bardziej pojechać do niego na Manhattan tylko po to, żeby się z nim pieprzyć. Nie była zaszokowana samą zasadą, nic z tych rzeczy, uważała się wręcz za wystarczająco nowoczesną, żeby się jej domagać, krępowało ją samo nadawanie jej form. Nie miała ochoty na rozmowę, chciała po prostu rozkoszy, zalewała ją słodka i odurzająca fala pochodząca z podbrzusza. Masturbacja jej nie bawiła. Pragnęła ciała mężczyzny, jego skóry, zapachu, ruchów, nie mechanicznego spełnienia pozbawionego smaku.

Z braku czegoś lepszego przebrała się więc w pośpiechu, żeby pobiegać. Szybko i długo. Był to czwarty raz w tym tygodniu, niezłe tempo, a potem prawdopodobnie będzie mogła sobie pozwolić na chińszczyznę na wynos na kolację.



Deski umykały pod jej stopami. Kontrolowała oddech, wszystko szło dobrze.

Miała zły dzień. Seria przykrych niepowodzeń. Kat zdołała namierzyć właściciela mieszkania wynajmowanego w Greenpoint przez Galvina Hutchinsona, a nawet z nim porozmawiać. Tylko że Hutchinson zapłacił gotówką za pół roku z góry, a opłatę za dalszy okres uregulował w ten sam sposób. W dodatku wyprowadził się mimo nadpłaty za jeden miesiąc i wcale nie domagał się zwrotu. Umowę spisali na miejscu, nie było żadnych e-maili, żadnego innego znanego adresu. Z kolei numer komórki Kat już знаła, tyle że został dezaktywowany. Kat zapytała, co właściciel mieszkania sądzi o swoim lokatorze, zarówno o jego wyglądzie, jak i zachowaniu. Jej rozmówca westchnął, po czym przyznał, że „niezły ptaszek” z niego. Nie z tych, z którymi człowiek chciałby się zakumplować. Lecz płacił bez szemrania i z góry, co czyniło z niego najemcę idealnego. Zapowiedział, że opuści mieszkanie w kwietniu, i ku swemu ogromnemu zdziwieniu właściciel znalazł klucze w skrzynce na listy w ostatni weekend marca, bez dodatkowych ceregieli. Hutchinson wyfrunął, właściciel zaś nie miał już żadnego sposobu ani tym bardziej ochoty, żeby się z nim kontaktować. Wbrew przypuszczeniom jego dawnej sąsiadki Galvin Hutchinson nie był diabłem, ale duchem.

Wszystkie inne poszukiwania prowadzone przez Kat skończyły się klęską. Pozostała jej jedynie nikła nadzieja na zdobycie okruchów informacji w archiwach sądowych albo w wydziale komunikacji, gdy otworzą w poniedziałek i pokażą jej prawo jazdy Hutchinsona.

Czekało ją jeszcze zdanie relacji matce Leny.

Czując, że traci siły, Kat pobiegła drogą do Dumbo, swojej dzielnicy, i tak długo kluczyła między starymi magazynami przerobionymi na lofty, aż dotarła do swojego budynku. Stała pod prysznicem jakiś czas, pozwalając, by gorąca woda spływała jej po skórze, zalewając zmysły. *W cholerę z Ziemią, to mój kwadrans egoizmu. Ten sam, który pewnego dnia wszystkich nas pogrąży...* Kiedy wyszła z łazienki w szlafroku, z turbanem z ręcznika na głowie, przespacerowała się po parkiecie, podziwiając widok na miasto. Zapomniała o kupieniu kolacji. Trudno, zamiast tego otworzyła butelkę Zacapy i naląła sobie sporą porcję. To nie było rozsądne, ale wymazała z umysłu wszelkie próby rozsądnego rozumowania. *Brak energii do walki.* Zanim się zorientowała, co właściwie robi, już miała telefon w dłoni i słyszała sygnał.

Annie Fowlings odebrała niemal natychmiast.

- Ma pani jakieś wieści?
- Tropy, ale nic konkretnego. Potrzebuję więcej czasu.
- Boję się o córkę.

– Rozumiem i niczego nie zaniedbuję, proszę mi wierzyć. Instytucje, które mi są teraz potrzebne, otwierają dopiero jutro rano. Rozejrzałam się po jej otoczeniu i...

– Sądzi pani, że ona nie żyje?

Pytanie to wyrwało się z ust Annie Fowlings prawie bezwiednie, tak jakby dręczyło ją zbyt długo, by zdołała się dłużej powstrzymać.

Kat wahała się zaledwie sekundę, ale i tak za długo. Annie odezwała się pierwsza:

– Tego się pani obawia.

Kobieta pociągnęła nosem, hamując szloch.

– Istnieje wiele możliwości, Mrs Fowlings, dobrze pani wie. Rozesłałam wici również w tym kierunku, ale na razie nic nie wypłynęło, już samo to oznacza dobrą wiadomość.

– Ale tak w głębi duszy co pani o tym myśli?

Kat uzmysłowiła sobie, że sama nie wie. Nie potrafiła skłonić się bardziej ku którejkolwiek z opcji. W miarę jak posuwała się naprzód, prawdopodobne wydawały się najbardziej szalone scenariusze. Na pierwszym miejscu samobójstwo, którego hipoteza nabrała realnych kształtów po tym, jak dowiedziała się, kim naprawdę jest Lena. Następnie ucieczka od tej dziwacznej, zimnej matki. Ale przed odkryciem Galvina Hutchinsona i jego demonicznej aury. Ten facet sprawiał groźne wrażenie. Zadbał o to, by nie pozostawiać za sobą żadnych śladów, tak jakby zaplanował swój wyjazd i nie chciał, żeby go odnaleziono. Inni osobnicy, bez szkodliwych intencji, postępowali podobnie, zwłaszcza po przybyciu do miasta, z powodu strachu, ostrożności albo po prostu po to, żeby dano im święty spokój, ale Kat nie czuła tego całego Hutchinsona. Może i nie miał nic wspólnego ze zniknięciem Leny Fowlings, jednak coś aż krzyczało, żeby na niego uważać. Nie wolno spuszczać go z oka. *Rzucił wszystko w ten sam weekend co Lena, to nie przypadek...*

– Nie mam jeszcze wyrobionego zdania – skłamała. – Mrs Fowlings, mogę pani zadać pytanie wprost? Dlaczego nie poszła pani do mieszkania córki, skoro ma pani klucz?

Milczenie. Westchnienie.

– Matka, która *naprawdę* martwi się o córkę, popędziłaby do niej w podskokach. Tak pani uważa w głębi duszy?

– Można tak pomyśleć.

Nastąpiła kolejna długa chwila ciszy – tymczasem Kat przysiadła na fotelu twarzą do szklanej ściany.

– W przeszłości Lena i ja ścięłyśmy się na ten temat – zgodziła się Annie. – Jej zdaniem za bardzo się wtrącam. Jestem zbyt natrętna. I faktycznie taka byłam, nie mogę zaprzeczyć. To nam zepsuło sporo miłych chwil, przyznaję. Pokłóciłyśmy się.

Potem sytuacja się poprawiła, przysięgłam, że się zmienię, że będę szanowała jej prywatność, i dotrzymałam słowa. Obiecałam jej to. Lena całkowicie uzależniła od tego naszą relację. Ona... zagroziła, że nigdy więcej się ze mną nie zobaczy, jeżeli jeszcze raz złamię zasadę.

– Dlaczego mi pani o tym nie powiedziała podczas spotkania?

– Ponieważ to pasuje do ucieczki, prawda? Uznałaby to pani za dodatkowe potwierdzenie, że mogła mieć po dziurki w nosie tej zaborczej matki, która nie umie przeciąć pępowiny... W głębi duszy wiem, że mi tego nie zrobiła, wiem, że nie wyjechała, a ta wiadomość od niej, w której wspomina o zmarłej młodszej siostrze, przeczy logice. Z moją córką dzieje się coś złego, jestem tego pewna!

– Wierzę pani, Annie. Wierzę pani.

Po policzkach kobiety spływały łzy, Kat słyszała płacz, chociaż jej rozmówczyni dokładała wszelkich starań, żeby go ukryć, przełknąć wraz z gniewem kogoś, kto nie potrafi zapanować nad rozpaczą.

– Pukałam do jej drzwi bez końca, w kółko nagrywałam się na pocztę głosową, wiem, że w końcu by odpowiedziała. Nie muszę wchodzić do mieszkania, by wiedzieć, że jej tam nie ma. A kiedy wróci, nie będzie mogła mi zarzucić, że sprzeniewierzyłam się regułom, bo uszanowałam jej życie. Martwię się i tyle.

Annie Fowlings to wypierała, Kat nie znajdowała innego wytłumaczenia. Każda matka pognałaby do dziecka, otworzyła drzwi z lękiem, że zastanie je nieprzytomne, chore albo gorzej... Nie ona. Przede wszystkim nie robić nic wbrew córce. Musiała naprawdę za daleko się posunąć, okazać zbyt silną zaborczość, skoro ta kwestia dopiekała jej do żywego. Kat rozumiała, że wołała przemilczeć ten aspekt w relacji matka–córka. Istotnie, prywatna detektyw tym bardziej mogłaby pomyśleć, że Lena odeszła z własnej woli, aby uciec przed kontrolującym ją potworem.

– Czy często wspomina o swojej kotce Venus?

Kat chciała potwierdzenia, że Lenę łączyła ze zwierzęciem silna więź. Nigdy nie była w stanie sobie wyobrazić, żeby dziewczyna mogła się dopuścić wobec niego aż takiego aktu barbarzyństwa.

– Ona... – Długie, pełne zażenowania milczenie. – Nie, nie wiedziałam, że ma kota.

Zdecydowanie w życiu Leny istniał cały obszar, o którym jej matka nie miała pojęcia. Kat nie ośmieliła się zapytać o ewentualny pobyt w szpitalu psychiatrycznym, na jeden raz to mogło być zbyt wiele.

– Mogę ją wziąć do siebie na czas, zanim odnajdzie pani moją córkę, jeżeli odda mi pani klucze.

– Nie, kotka zniknęła – ucięła Kat.

Nie chciała, żeby Annie wkroczyła do środka i zastała wypalone pirografem truchło. Sprawa przybierała coraz bardziej ponury obrót. *I coraz bardziej niepokojący. Trzeba będzie powiadomić gliny.* Kat nie uśmiechało się rzucanie wszystkiego akurat teraz, wiedziała bowiem, że kiedy tylko włączy się w to policja, odsuną ją, obsztorują, aby pozwoliła im działać i nie plątała się pod nogami. *Chyba że uznają szczątki kota za kolejny dowód obłędu Leny.* To było bardziej niż prawdopodobne. Zresztą nie omieszkają wspomnieć o tym w raporcie. A potem schować akta na dno szuflady i czekać, aż zwłoki dziewczyny wypłyną z rzeki, do której zgodnie z ich pochopnym wnioskiem zapewne wskoczyła. Nie, aby odnaleźć Lenę Fowlings, Kat musi kontynuować śledztwo, w spokoju i bez przeszkód. Przecież to, co do tej pory odkryła, wcale jej nie narzucało obowiązku powiadomienia władz, i tak nie miała dość konkretów.

– Myśli pani, że to dobry znak?

– Słucham? – zapytała Kat.

– Że Lena wyjechała razem z kotką. To brzmi optymistycznie, prawda? To znaczy, że wiedziała, że nie będzie jej jakiś czas, nie uważa pani?

– Nie wiem, Mrs Fowlings, nie ma sensu spekulować bez żadnych dowodów.

– Owszem, ale skoro kocha swoją kotkę, a ona zniknęła, to oznacza, że...

– Mam nadzieję, że w ciągu dnia uda mi się zdobyć więcej informacji o pewnym konkretnym osobniku, zadzwonię jutro wieczorem, żeby zdać relację.

– Mężczyzna? Mógł zrobić Lenie coś złego?

– Proszę posłuchać, to na pewno nie ma związku, ale muszę wszystko sprawdzić. Proszę nie wyobrażać sobie tego, co najgorsze, prawdopodobnie on nie ma z tym wszystkim nic wspólnego. Tak czy inaczej muszę zbadać kilka tropów, odezwę się. Niech pani się postara zasnąć, Mrs Fowlings.

Kat rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź, nie miała siły na rolę współczującej powierniczki, nie teraz.

Siedziała kilka minut zamyślona, aż w końcu włożyła spodnie dresowe i najmielszą w dotyku bluzę, jaką znalazła, a następnie wysuszyła włosy, jednocześnie analizując całą tę historię od początku. Po czym chwyciła szklankę i udała się na koniec korytarza, do swojego gabinetu, z zamiarem sprawdzenia wszystkiego, co wie, posiłkując się notatkami. Zapewne rozkład dnia Leny był istotny, podobnie jak jej otoczenie. Ponowne przejrzenie billingów też. Jednym słowem najbliższe godziny miały się okazać pracowite.

Natknęła się na stosik korespondencji w kącie. Przy najbliższej okazji będzie musiała odłożyć ją na miejsce, wcale nie miała ochoty jej zatrzymać, a tym bardziej otworzyć. Pospiesznie rzuciła okiem, wyłącznie po to, by po raz kolejny się przekonać,

że nie przyszedł żaden interesujący list – w tym wypadku porozumiałaby się z matką, żeby poznać jego treść. Nic poza reklamami i czymś, co przypominało faktury. Wyjęła arkusze wykazu połączeń telefonicznych i upewniła się po raz kolejny, że dobrze namierzyła powtarzające się telefony oraz ich częstotliwość.

Nic nowego.

Chciała stworzyć duży schemat otoczenia Leny, posługując się XMindem, programem do burzy mózgów, który projektuje mapy myśli, pozwalając na rysowanie wykresów ze strzałkami. Kiedy już go wydrukuje na kilku sklejonych taśmą kartkach, zdobędzie ogólny obraz Leny i wszystkich jej kręgów, wraz z rolą odgrywaną przez każdy z nich, mogłaby dodać parę powtarzających się numerów telefonów i prawdopodobnie popracować nad tym, żeby je zidentyfikować w razie czego... *Tylko że z tą dziewczyną wszystko się zmieści na jednej stronie. Ona nie ma prawie nikogo obok siebie.*

Przedtem jednak Kat powróciła myślami do pliku zdjęć zrobionych w mieszkaniu, przejrzała je więc na komputerze, aby jak najprędzej mieć to z głowy. Zawarła pakt z własnym sumieniem, że szybko przewinie fotografie kotki. Nie było już nic do powiedzenia na ten temat.

Zbombardowała obiektywem każdy szczegół, przyjrzała mu się pod wieloma kątami... Analizowanie tego było nudne jak flaki z olejem, zwłaszcza gdy miało się przeświadczenie, że zna się to wszystko na pamięć.

Salon, książki, wątpliwy wystrój, sterta ulotek, przepustka...

Kat ściągnęła brwi. Cofnęła się i zatrzymała na jednej z reklam, zachowanej przez Lenę wśród zaproszeń na wieczorne imprezy.

Był to kremowy papier z dobrej jakości drukiem. Tytuł brzmiał dosyć jasno: *Czy masz wrażenie, że ze światem jest coś nie tak?* Kat wzięła go uprzednio za jedną z tych sztuczek prozelitów świadków Jehowy albo jakiejś tego typu grupy. W tekście pod spodem wymieniono serię wydarzeń i zachowań niechlubnych dla ludzkości, jak na przykład nasza zdolność do samozniszczenia, skłonność do grabienia zasobów naturalnych, do toczenia wojen, aby mieć więcej niż inni, a także oskarżono kapitalizm bez granic, depreczający istoty ludzkie dla dobra systemu, modelu, bez zastanawiania się nad nim. I dalej w tym stylu.

Kat sprawdziła: nie sfotografowała rewersu, nie mogła więc wiedzieć, dokąd to wszystko prowadzi. Gdzieś już jednak widziała tę ulotkę.

Obróciła się w fotelu i wzięła do ręki stos korespondencji zabranej z mieszkania Leny. Odnalazła taki sam egzemplarz wśród reklam sex shopu i dostawcy pizzy. OK, zatem zachowała jeden w swojej kolekcji i najwyraźniej ktoś ją nadal nimi zasypuje. I co z tego?

Niezbyt przekonana Kat właśnie miała odłożyć ulotkę, lecz mimo wszystko, dla świętego spokoju, zerknęła na odwrotną stronę.

U dołu, w białym prostokącie, prawdopodobnie przeznaczonym na przybicie pieczątki, dopisano ręcznie: „Niedziela, godzina 17.00, w tym samym miejscu”.

Kat bardziej się rozsiadła. Jak długo ten świstek leżał w skrzynce na listy, zanim ona go wyjęła? Czy Lena przeczytała wiadomość? Prywatna detektyw usiłowała sobie przypomnieć ułożenie korespondencji w chwili, gdy na nią natrafiła, ale bez powodzenia. Możliwe, że dziewczyna ją widziała, następnie odłożyła, ale nie istniało nic, co mogłoby to potwierdzić.

Czy chodziło o niedzielę, w którą zaginęła?

Pewnie nie miało to absolutnie związku, czysty przypadek...

*Oczywiście. I ktoś zapisał długopisem spotkanie w dniu, kiedy się ulatnia, ale to nie ma nic wspólnego z jej zniknięciem. Przestań.*

Kat przeczytała tekst na odwrocie. Był to idealny manifest odzyskania wiary w życie, adresowany do ludzi z depresją, zniechęconych, szukających sensu. Stwierdzenie, że świat wywołuje dzisiaj tak wiele rozpaczyny nieprzypadkowo, i obietnica, że istnieje sposób, by powstrzymać tę spiralę, która sieje zniszczenie dla nas i dla Ziemi. Wszystko było dość zgrabnie podane, piękne dzieło marketingu duchowego, opracowane przez zawodowców przy użyciu zręcznych argumentów, sprytnie powiązane. W gruncie rzeczy Kat nie umiała stwierdzić, czy autorzy należą do sekty religijnej, są zielonymi politykami, czy też kimś jeszcze bardziej przebiegłym. Wyraźnie jednak przekaz trafiał do odbiorców, a jeśli człowiek miał jakąś bardziej wrażliwą sferę, mógł to wszystko uznać za pasjonujące. Ulotkę wieńczył komunikat u dołu strony: „Weź udział w jednej z naszych prezentacji! Najbliższa w twojej okolicy odbędzie się...”, a potem białe pole, żeby wpisać adres i datę.

Kat wypła łyk rumu. Trunek rozpałił jej gardło, eksplodując smakami na języku.

Najpierw ucieczka, potem samobójstwo, spotkanie z paskudnym psychopata, a teraz jeszcze indoktrynacja przez sektę. Lena Fowlings stanowiła niekończącą się zagadkę.

Kiedy jednak Kat zorientowała się, że za jej plecami zapadła już noc, wiedziała, co powinna niezwłocznie zrobić, i odstawiła szklanke na biurko.

## 22.

Latarka rzucała biały stożek światła, jakby była delikatną powieką, która otwiera się z drzeniem na ocean mroku.

Gdy Kat Kordell zamknęła za sobą drzwi, zaskoczyła ją panująca cisza. Ani jednego dźwięku, ani jednej wibracji, nawet odległego pogłosu telewizora, nic tylko jakaś dziwna wata wokół niej zapowiadająca pustkę. W tak dużym, tak zaludnionym budynku brzmiało to niemal fałszywie.

Wciskając wyłącznik, upewniła się, czy w kwestii prądu nic się nie zmieniło, ale z tak samo miernym skutkiem jak podczas pierwszej wizyty u Leny Fowlings.

Smród wybebeszonego kota zdążył prawie zniknąć, w powietrzu unosiły się jedynie opary najgorszej fazy rozkładu. Kat, nie będąc ekspertką od procesów gnilnych, przypuszczała, że najokropniejsze już minęło. Co ją ucieszyło.

Bezszelestnie weszła do salonu i ruszyła prosto do miejsca, w którym Lena gromadziła zaproszenia na imprezy albo specjalne koncerty. Znalazła to, czego szukała, pośrodku stosu, ulotka miała dokładnie taki sam format jak ta wyjęta ze skrzynki na listy. Poświeciła latarką na odwrotną stronę. W białym prostokącie również widniała notatka skreślona tym samym ścisłym charakterem pisma. Tym razem był to adres. „Naprzeciwko domu nr 132, Siedemdziesiąta Szósta Ulica, Jamaica”.

Serce Kat lekko przyspieszyło, oznaka podniecenia. Nareszcie coś konkretnego.

Wsunęła ulotkę do kieszeni i się wyprostowała.

W nocy, w spokoju i obojętności wieżowca, oryginalny świat Leny wydawał się jeszcze bardziej posępny. Gotyckie plakaty, łapacze snów zwisające z sufitu.

I ten zapach, który niemal rozpuścił się w powietrzu, a mimo to uporczywie utrzymywał gdzieś w głębi...

W tym momencie panowała raczej przyjemna temperatura i chociaż Kat nie była specjalistką w tej dziedzinie, mimo wszystko sądziła, że to przyspiesza, a nawet nasila proces rozkładu włók. Wpadła tutaj dwa dni wcześniej. Jednak to dziwne, że odór się nie wzmógł, tylko osłabł...

Niechętnie udała się ostrożnie do sypialni, mając za przewodnika stożek światła. Zbliżyła się do drzwi i instynktownie zwolniła w progu. Coś tu nie grało. Nie miała pojęcia co, ale od razu wiedziała, jeszcze zanim weszła do pokoju, że od jej przybycia coś się wydarzyło.

Powoli wsunęła głowę do środka i uniosła latarkę, by wiązką białych promieni rozproszyc ciemności.

Łóżko.

Serce Kat biło szybciej, lecz tym razem nie z powodu podniecenia.

Komoda.

Detektyw zaczęła oddychać przez usta, czując się coraz mniej pewnie.

Już nic nie widziała. Musiała wejść do sypialni.

Postąpiła krok do przodu.

Tym razem w blasku latarki ukazał się zwalony na komodę szkielet w ciemnej, zaschniętej aureoli.

Kotkę Wenus dokładnie oczyszczono. Z jej ciała, z narządów została tylko pergaminowa skóra pokryta sierścią, widoczne pod spodem kości, niczym wieszak pod zbyt cienkim ubraniem. To już nie było to samo kocie truchło, które Kat odkryła w piątkowy poranek, ale wyżarte od środka stworzenie, dokładnie pozbawione substancji, płynów i mięsa. Oklapnięta kukła kota. Kto mógł popełnić takie okrucieństwo? Nie była to wina rozkładu, nie tak szybko, nie w ten sposób. Chyba że ktoś znalazł metodę, żeby ją przyspieszyć, w dodatku... Nie, Kat była przekonana, że to sprawka człowieka. Szaleńca.

Mimo wszystko podeszła bliżej z drzeniem i pochyliła się nad trupem.

Wiadomość wypalona pirografem na kręgosłupie przestała być widoczna, przywalona przez obumarłą masę.

W tej samej chwili do Kat dotarło, że pirograf nie leży już obok truchła.

Odwróciła się, skierowała latarkę na prawo, potem na lewo, próbując się upewnić, że jest sama. Drzwi szafy były szeroko otwarte. *Kiedy tu zajrzałam w piątek, były zamknięte.* Nie miała co do tego ani cienia wątpliwości.

Sporo ubrań rzuconych na podłogę, jakby ktoś czegoś szukał. Kto tu był? Lena?

Przez głowę Kat przemknęło kolejne, jeszcze bardziej zatrważające pytanie.

Czy w tej chwili naprawdę jest sama?

Poświeciła na łóżko, szukając wybrzuszenia pod kołdrą.

Nic.

Omiotła pokój wzrokiem, po czym nieufnie przyklękała, by sprawdzić pod materacem. Pod łóżkiem dostrzegła kłęby kurzu. Zapomniany kapeć. Potem jakiś kształt. Szeroki, długi. Zajmował niemal całą przestrzeń.

Oddech Kat przyspieszył. Prywatna detektyw nie potrafiła dokładnie określić, co to jest. Człowiek? *O, nie. Nie ona. Nie w ten sposób.*

Kat uniosła latarkę ku nieregularnej masie. A jeśli kot tylko przytłumił smród innego, bardziej potężnego ciała?



Kat ujrzała rękaw swetra. I nagle przeszył ją lodowaty dreszcz na myśl, że może to wcale nie trup, a całkiem żywy człowiek, który się na nią czai. Zaraz ją chwyci i wciągnie pod łóżko...

*Przestań pleść takie bzdury!*

Pod spodem leżało kilka porzuconych ubrań, Kat zaś nie potrafiłaby rozróżnić, kto lub co się wśród nich kryje, bez wśliźnięcia się samej pod stelaż. Powoli podpełzła bliżej na czworakach. *Żeby to nie była Lena...*

Gdyby matka się dowiedziała, że jej córka targnęła się na swoje życie we własnym domu, kuląc się pod łóżkiem...

Kat złapała za sweter, zapomniany z powodu roztargnienia. Nic niezwykłego u takiej bałaganiary jak Lena. Za nim było jednak coś jeszcze. Prywatna detektyw odsunęła zwinięty dywanik łazienkowy i musnęła palcami coś miękkiego. To nie było zimne.

Znowu serce zaczęło jej walić jak młotem. To miało fakturę skóry!

Pod łóżkiem razem z nią był ktoś jeszcze.

Kat przyświeciła sobie jak mogła i spostrzegła ramię, potem twarz – oczy świdrowały ją lodowatym wzrokiem.

Mężczyzna.

Uwięziona, bezbronna Kat na widok wpatzonego w nią mężczyzny, z wargami zastygłymi w lekkim grymasie, jakby był dumny ze swego małego fortelu, żeby ją zwabić, wpadła w panikę. Nie krzyknęła, tylko zamierzała go odepchnąć wolną ręką, uderzyła jednak tyłem głowy o drewnianą ramę. Mężczyzna ani drgnął, nie próbował jej nawet chwycić i zanim Kat zdołała się wycofać i wyjść, uprzytomniła sobie, że on nadal się nie rusza.

Natychmiast sama sobie wydała się śmieszna. Żałosna.

To był tylko manekin. Połowa człowieka, ta górna, ponieważ brakowało nóg. Kat, która zdążyła się nieco opanować, zdołała go dokładnie obejrzeć i stwierdzić, że cały jest w arabeskach i geometrycznych rysunkach. Popiersie do wprawiania się w tatuażu. Lena musiała je zabrać w czasie jakiejś gotyckiej imprezy albo performance'u...

Kat wydostała się spod łóżka i głęboko westchnęła. Dostała niezłego cykora z powodu byle błahostki. Po co Lena przechowywała coś takiego? Pamiątka z udanego wieczoru? Kat zaczęła sobie wyobrażać, jak kładzie się wieczorem w pościeli obok swojego manekina, udając, że to prawdziwy mężczyzna... Czyżby była aż tak samotna? A jeżeli po prostu wprawiała się w ten sposób w pirografii? Prawdopodobnie...

Wtem Kat uzmysłowiła sobie, że nie obesza reszty mieszkania, i strach powrócił. Ten, kto zjawił się w sprawie Wenus, mógł nadal tu być.

Zapuşciła się więc do kuchni cicho jak myszka. Szybkie spojrzenie, otwarcie najwyższych szafek, sprawdzenie toalety, łazienki...

On albo ona zdążył(a) wyjść.

Co ten ktoś zrobił kotu? Po co go aż tak... ogołocił?

Znienacka wizja leżącej Wenus, jej szkieletu obciągniętego dziwnie suchą skórą, przywiodła na myśl Kat inny obraz.

*Jak się wabił tamten pies?*

Snoop. Pies sąsiadki Galvina Hutchinsona. Opisała go dokładnie w ten sam sposób.

Kat wyciągnęła z kieszeni pomiętą broszurę. Gdzie to było? Jamaica, prawdopodobnie Jamaica Bay, w Queens. Z latarką pod pachą Kat wystukała adres na telefonie.

To było w sercu dzielnicy zwanej The Hole – Dziura. Kat znała reputację tego miejsca. Otrzymało tę nazwę nie bez powodu. Wygwizdów, uważany za nowojorski Dziki Zachód. Prawie jakby się znajdował poza Ziemią. Nie o rzut beretem, ale dało się tam dotrzeć nawet o tej porze.

Kat nie próbowała walczyć z własną naturą.

Pognała wprost do wyjścia.

## 23.

Dziura stanowiła anomalię w nowoczesnym mieście. W rozkroku między granicami Brooklynu a wjazdem do Queens – przejażdżka tam w środku nocy od strony Manhattanu sama w sobie była wyprawą. Kat wypatrzyła taksówkę. Ta wysadziła ją na miejscu, przy Linden Boulevard, po czterdziestu minutach.

Detektyw od razu zauważyła, że Dziura to ciemna jaskinia w mieście, nie było w niej żadnego oświetlenia publicznego. Weszła od Emerald Street. Tutaj sektor zaczynał się prawie normalnie, od parterowych albo jednopiętrowych domów, zamkniętych podwórzy, paru spłachetków zieleni, jednej gdzieś powgniatanej szosy, której od dawna nie remontowano i przy której stały kałuże zgniłej wody. Dziura jako jedno z nielicznych miejsc w Nowym Jorku rozciągała się poniżej poziomu morza, bez odpływu ścieków. Tutaj woda stała tak długo, aż wyparowała.

Po kilkudziesięciu metrach ukazał się pierwszy przerdzewiały samochód na pustakach. Potem następny, wybebeszony na pasie trawy pomiędzy dwiema wątpliwymi budowlami. Domy mieszkalne stawały się coraz rzadsze, tereny zavalone odpadami przemysłowymi coraz obszerniejsze, aż wreszcie pojawił się zarys maleńkiego pagórka, a wtedy do Kat dotarło, że to najwyższy stos zużytych opon, jaki kiedykolwiek widziała. Wszystko to wyglądało jak chiński teatr cieni, gdzie należało odgadnąć, co jest czym.

Powybrzuszany i popękany asfalt miejscami zupełnie odpadł, pozostawiając przerwy wielkie jak kratery po meteorytach, które teraz wypełniał muł.

Wówczas Kat uświadomiła sobie, że otacza ją jakiś dziwny spokój. Oczywiście słyhać było szum samochodów naokoło, lecz w samej Dziurze panowała grobowa cisza.

W tej samej chwili z boku wyłonił się zniecka molos, a jego krwiożercze zęby kłapnęły kilka centymetrów od ramienia prywatnej detektyw, która odskoczyła do tyłu z sercem w gardle. Pies rozszczękał się wściekle, powstrzymywany łańcuchem, który nie pozwalał mu przekroczyć jego terytorium. Kat dyszała z przerażenia, jej ciśnienie wróciło do normy dopiero po kilku minutach.

Zanurzwszy się w ten zapomniany obszar, mijała nieużytki, odkryła też wśród opuszczonych domów parę zamieszkałych, o czym świadczyły suszące się na sznurach ubrania. Jezdnia stopniowo zanikała, ustępując miejsca błotnistej ziemi, na której korzenie krzewów co roku zdobywały coraz więcej przestrzeni.

Wtem wyrosła przed nią zaimprovizowana sadzawka. Woda zalała ulicę. Kat utorowała sobie drogę przez zagracony ogród należący do jednego z mieszkańców dzielnicy. Następnie minęła ciasne skupisko przyczep i kamperów stłoczonych obok siebie, chociaż znajdujący się naprzeciwko porośnięty strzelistą trawą nieużytek był pusty. Na poboczu walały się wywrotki z gruzem pomazane graffiti, a jeszcze dalej kurzyła się śmieciarka z przedziurawionymi oponami i powybijanymi szybami.

*Gdzie ja jestem? To naprawdę podróż w czasie i po księżycowym krajobrazie...*

Kat nie czuła się zbyt pewnie. Wprawdzie nawykła do zapuszczania się w miejsca okryte złą sławą, nie podobało jej się jednak poczucie odosobnienia, które stąd emanowało. Wrażenie, że telefon nie znajdzie zasięgu, że pomoc nigdy by tu nie dotarła.

Lecz to jeszcze nie był koniec niespodzianek. Wzdłuż drogi dostrzegła rząd kudłatych garbów i dopiero kiedy niemal na nie nadepnęła, pojęła, że to śpiące kury. Na wolności, w środku miasta.

W miarę jak zanurzała się w Dziurę, domy pojawiały się coraz rzadziej, otoczone płotami z drutem kolczastym. Zanedbane tereny służyły jako składowiska ciężarówek, autobusów, a nawet pojazdów budowlanych albo jako nielegalne wysypiska, po których należało ostrożnie lawirować wśród kałuż i powykręcanych drzew.

W gąszczu na poboczu cykały świerszcze. W oddali, na wschodzie, zarżał koń. *Obłądne...*

Kat prawie doszła do celu. Zostawiwszy za sobą kolejne wraki samochodów, w tym jeden spalony, a także pobazgrane kontenery, zagłębiła się w coś, co zapowiadało się na ślepią uliczkę. W rogu, tuż przed miejscem, gdzie mieszanina asfaltu i ziemi kończyła się, napotykała ścianę bluszczu, wznosił się jedyny odrapany budynek. Obok piętrzyła się sterta worków ze śmieciami.

Naprzeciw domu numer 132, przypomniała sobie, tak napisano na ulotce. *Jestem u celu.* Pod sto trzydziestką dwójką mieściła się rudera grożąca zawaleniem. Kat podeszła do zupełnie nowego ogrodzenia, za którym rozciągał się lasek o gęstym poszyciu. Umieszczone co dziesięć metrów tablice powtarzały w kółko to samo ostrzeżenie: „WŁASNOŚĆ PRYWATNA – ZAKAZ WSTĘPU”.

*Jak nic to tutaj. Ale spotkanie w takim baraku?* Wydawało się to nieprawdopodobne, punkt zbiórek musiał być w środku.

Kat dostrzegła furtkę w ogrodzeniu, a natychmiast potem kłódkę. Pociągnęła do siebie, ale bez skutku.

*Jeśli pójdę dalej, taki numer może mnie kosztować utratę licencji. Czyżbym pokonała taki kawał drogi na próżno? Jedyny trop, który prowadzi do Leny, wiedzie tutaj. Jeżeli*

*teraz się poddam, muszę zrezygnować z całego śledztwa.*

Zdarzało jej się już naginać przepisy, co samo w sobie jej nie przeszkadzało; dręczyła ją obawa, że straci robotę. Chociaż zazwyczaj balansowała na granicy prawa, w tej chwili wyraźnie by je złamała.

– Trudno! – syknęła przez zęby, szykując się do sforsowania bariery.

Ledwie znalazła się po drugiej stronie, ruszyła po dywanie z mchu koloru ochry, roztrzaskując paprocie i klucząc między sękatymi pniami. Z powodu braku ulicznego oświetlenia panował niemal zupełny mrok, nie pozostało jej więc nic innego jak włączyć latarkę w smartfonie, gdy tylko oddaliła się maksymalnie od ślepej uliczki. Łodygi i pnącza usiłowały zawłaszczyć rozkładające się beczki i zdeformowane przez czas zabawki. Wśród wszechobecnych naturalnych przeszkód natknęła się na jakiegoś grata pogrzebanego przez gąszcz kolczastych krzewów.

Wypatrzyła przejście. Wąskie, niemal niezauważalne, zaledwie krętą ścieżkę w samym sercu roślinności. Kat ruszyła nią ostrożnie, powoli, bezustannie rozglądając się dokoła, podskakując na najłżejszy szelest w zaroślach. Musi tu być mnóstwo okropnych robali, pomyślała.

W krajobrazie ukazał się zarys krawędzi jakiejś białawej konstrukcji, przyspieszyła więc kroku i natknęła się na stary prostokątny budynek, który zapewne kiedyś był betonowym magazynem. Futryny zbutwiały, toteż zdołała ostrożnie wśliznąć się do środka, uważając, gdzie stawia stopy wśród zakurzonych odpadów. Nieśmiały blask latarki odsłaniał przed nią stopniowo głębokość wnętrza wraz z miejskimi akcentami w postaci rozmaitego typu graffiti. Było oczywiste, że te liczne warstwy rysunków też sięgają odległych czasów. Od kiedy postawiono ogrodzenie, żaden dziki lokator nie umieścił tu swojego podpisu. *To było niedawno, najwyżej kilka miesięcy temu. Czyżby jakiś deweloper szykował się, żeby wszystko zburzyć? Żeby co postawić na takim nędznym pustkowiu?* Powinno się zrównać z ziemią całą tę strefę.

Czego Lena tu szukała? Ulotka z adresem to było coś w rodzaju wabika dla naiwniaków, a proponowane wykłady musiały mieć na celu zwerbowanie ich do tej grupy, Kat nie potrafiła jednak określić jej charakteru. Tylko czy byli w stanie urządzić tu swoje szopki? Nie mogła w to uwierzyć. To musiało być coś innego.

*Spotkanie w cztery oczy, wyłącznie dla Leny.*

Dziewczyna udała się na nie co najmniej dwukrotnie, jako że na ostatniej ulotce zaznaczono: „w tym samym miejscu”. Znała więc to miejsce.

*Napisano: „Niedziela, godzina 17.00”. Data i godzina jej zniknięcia. To się stało właśnie tutaj.*

Kat po raz pierwszy żałowała, że jest uzbrojona jedynie w schowany w kieszeni paralizator. A jeżeli ciało Leny gdzieś tam leży?

Prywatna detektyw skupiła się na konkretach. Obserwacja, rozpoznanie, analiza. To był najlepszy sposób, który nie pozwalał błądzić myślami i zapuszczać się w najgorsze.

Coś tu się niedawno działo, dowodziły tego grube wypalone świece – nie były stare, miały najwyżej parę tygodni. Kat krążyła pomiędzy zardzewiałymi stalowymi kątownikami, uwięzionymi pod staroświeckimi podziurawionymi workami z cementem, których rozsypana zawartość tworzyła grubą powłokę. *Jeżeli pod spodem jest jakiś trup, nie da się go wydobyć...*

Nie, cały wygląd magazynu sięgał czasów na długo przed bytnością Leny.

Kat spostrzegła zarys ciemnego prostokąta, do podziemi prowadziły całkowicie zatopione schody – woda sięgała niemal do parteru. Człowiek wrzucony tam z odpowiednim obciążeniem nigdy nie zostałby odnaleziony.

*Przestań sobie wyobrażać, że ona nie żyje.*

Chociaż miejsce temu sprzyjało. Odludne, mroczne.

Ostatnią część hali zajmowało jakieś pomieszczenie. Kat weszła do środka z telefonem przed sobą i pokonała około dziesięciu stopni wiodących na piętro. Kontrast był uderzający. Ze sto metrów wysprzątanej powierzchni, bez śmieci ani brudów, nie licząc pajęczyn. Na wszystkich czterech ścianach namalowano czarne, zniekształcone twarze o wydłużonych rysach. Z ustami rozciągniętymi w przerażającym niemym krzyku, tworzyły rząd niczym trybunał monstrualnych olbrzymów gotowych ją pożreć.

*Nie cierpię tego artysty. Gość jest stuknięty.*

Jego dzieło było jednak bardzo wymowne – dostała gęziej skórki.

Kupki stopionego wosku wskazywały na to, że ktoś i tutaj spędził sporo czasu, Kat naliczyła ich co najmniej dwadzieścia. Wyobraziła sobie wszystkie świece płonące jednocześnie, grę światłocieni na zwisających z sufitu łańcuchach. *Do kompletu brakuje tylko rzeźnickich haków, a będzie jak w horrorze.*

W głębi sali podłoga rozstępowała się, tworząc głęboką na jakieś dwa metry nieckę przypominającą niewielki basen wykonany z brunatnego metalu. Żadnych schodów, nic tylko stroma dziura. Otaczały ją pagórki wosku, jakby stanowiła serce zgromadzenia. Kadź była sucha, toteż hipoteza na temat niespodziewanej kąpieli o północy tu nie pasowała. *Czyżby orgia?*

Kat przykucnęła. Przed niecką widniało sporo śladów stóp. Ktoś przyszedł tu, żeby czekać. Wiele osób.

*Żeby patrzeć.*

Kat wycelowała latarkę w dno otwartej kadzi.

Ujrzała coś, co wzięła z początku za kałuże, zanim dokładnie rozróżniła bezkształtne plamy... *Czyżby błoto?*

Kat westchnęła i wyciągnęła się na całą długość, trzymając włączony telefon w wyprostowanej ręce, aby móc się nieco lepiej pochylić nad niecką.

To nie ziemia, tylko owady. Rozgniecione. Całe gromady. *Ktoś je rozdeptał.* Zapewne było ich mnóstwo.

*O wiele za dużo.*

Kat przebiegł dreszcz. Czując, jak włochate ciała wślizgują jej się pod spodnie i biegną po nogach, przechodzą pod wycięciem T-shirtu i rozpierzchają się po plecach, po piersiach, nerwowo potrząsnęła kończynami. To było tylko w jej głowie.

*Co się tutaj wydarzyło?*

Jej wzrok przyciągnęły rowki na metalowej ścianie, tuż pod jej tułowiem. Równoległe, nieregularne, dosyć głębokie.

– O mój Boże – wyrwało jej się.

Ślady paznokci. Osoby, która rozpaczliwie próbowała się wydostać, aż porysowała stal. Były wszędzie. Doskonale widoczne. Jeszcze niewypełnione kurzem ani brudem, odcinały się, połyskując. *Świeże!*

To się stało zaledwie przed paroma dniami.

Światło załśniło słabiej, chwytając coś tuż pod spodem.

Paznokieć.

Wyrwany. Dało się jeszcze rozróżnić fragmenty skóry i pocerniałej tkanki na krawędzi.

Kat pokręciła głową, starała się zapanować nad oddechem, by nie ulec panice.

Jacyś ludzie zostali wrzuceni do środka i szamotali się, usiłując wyjść. Przerazenie. Tak potężne, że aż powykręcali sobie palce, okaleczyli się, by zyskać szansę na ucieczkę.

*Wśród owadów...*

Kat ujrzała wszędzie naokoło świece. Przyglądano im się. Okrutne, perwersyjne widowisko.

Nie potrafiła w to uwierzyć, a jednak wszystko się zgadzało.

Z powrotem stanęła na czworakach, nie dostrzegając cienia, który rozpościerał się powoli, bezszelestnie za jej plecami.

I który się zbliżał. Coraz bardziej.

Aż ją zasłonił.

## 24.

Kat niemal dostała drgawek na samo wyobrażenie, że tkwi uwięziona na dnie kadzi pełnej robactwa. To jednak nie tłumaczyło, że można stracić rozum do tego stopnia, by powrywać sobie paznokcie. Było coś jeszcze.

*Co takiego zrobiono tym ludziom, że aż tak się bali i...*

Właściwe określenie brzmiało „truchleli ze strachu”. Nie, oni się nie bali, byli gorsi niż zwierzęta walczące o przeżycie.

*Zgadza się, o przeżycie. Świadomość, że wszystko skończy się tutaj, jeśli natychmiast nie wydobędą się z tej plugawej kąpieli.*

Czułość Kat wzbudził zapach, silny odór potu, który znienacka ją owionął. A wtedy już wiedziała, że nie jest sama. Że osobnik znajduje się tuż obok, może nawet kilka centymetrów od niej.

Przekoziołkowała w tej samej chwili, gdy o beton rąbnął łom, który o mało nie rozplątał jej czaszki.

Masywna postać już szykowała się do kolejnego ataku, kiedy leżąca na plecach Kat kopnęła z całej siły w znajdujące się przed nią kolano. Mężczyzna zachwiał się z krzykiem. Detektyw skorzystała z tego, by się podnieść na łokciach, i zamierzała wstać, lecz tamten zrobił młynek łomem. Narzędzie świsnęło w powietrzu, pędząc wprost na twarz Kat, jej reakcja jednak była czysto odruchowa.

Bez namysłu.

Wyłącznie w celu uniknięcia ciosu.

Zakołysała się do tyłu, aby się przed nim uchronić.

Podłoga uciekła jej spod stóp i Kat upadła na dno niecki. Uderzenie ją zamroczyło. Jęczała z zamglonym wzrokiem, w ciemności, tymczasem jej telefon został na górze.

Z bólem przewróciła się na bok i wsparła na jednej ręce, próbując się podnieść. Zanurzyła dłoń w chitynie pomiażdżonych owadów. Wyczuwała ich pancerze, odnóża, skrzydła i żuchwy, aż żołądek podjechał jej do gardła, lecz nie przestała grzebać w robactwie. Musiała odzyskać zmysły, przybrać odpowiednią pozycję, by odeprzeć kolejny atak, od tego zależało jej życie.

Dobiegający z góry zgrzyt uprzytomnił jej, że napastnik się poruszył. Zdołała stanąć na jednej nodze, przytrzymując się ściany, tuż pod śladami zadrapań.

Serce łomotało jej jak szalone.

Oslabiona upadkiem walczyła, żeby się nie osunąć, musiała odzyskać jasność umysłu, przygotować się. Nie miała ani sekundy do stracenia.



Tamten nadal pozostawał niewidoczny.

*Oddychaj.*

Jak uda jej się wydostać na górę? Jeśli czekał na nią ze swoim drągiem, rozwali jej głowę, gdy tylko Kat wychynie na powierzchnię.

Kolejne zgrzytnięcie, któremu towarzyszył jęk.

*Zmywa się.*

Do Kat dotarło, że zraniła go w kolano i że on też się zмага z bólem, próbując się poruszyć, by uciec.

Ogarnęła ją fala gniewu, który częściowo zastąpił strach, żyły zalała jej adrenalina.

Kat oszacowała własne położenie. Z każdą sekundą wracała jej przytomność. Bóle w lewym boku, ale żadnego złamania, oceniła.

Jeszcze krótka chwila wytchnienia z dłońmi na udach, aby zmobilizować na nowo organizm, po czym cofnęła się dla nabrania rozpędu, wybiła z całych sił i chwyciła krawędzi niecki. Wysportowana, zelektryzowana strachem, zdołała się wspiąć na palce, podciągając z wrzaskiem i położyć tułów na podłodze.

Telefon skąpo oświetlał cień, który w tym samym momencie rozpląnął się w powietrzu, kulejąc.

Przez chwilę czuła się bezpieczna, gotowa zaczekać, aż tamten się oddali, by wtedy wezwać przez komórkę gliny. Po czym górę wzięła jej bardziej zapalczywa, bardziej zwierzęca natura. Ma pozwolić, żeby człowiekowi, który próbował ją zabić, uszło to na sucho? Natychmiast dopadła ją żądza krwi. Instynkt samozachowawczy ustąpił pragnieniu zemsty.

Kat nawet nie zdążyła się zastanowić, jej krwiobieg skaziło bowiem zbyt wiele silnych emocji, wydzielając koktajl hormonów, od których traciła rozsądek. Pozostały wyłącznie reakcje.

Żądza zemsty okazała się równie potężna jak poprzedzający ją strach.

Ostatni wysiłek i stanęła na nogi.

*Nie, nie rób tego.*

A jeżeli napastnik to ta sama osoba, która zaatakowała Lenę Fowlings? Nic nie wskazywało na to, że ona...

*Jasna cholera!*

Kat wystrzeliła do przodu. Krzywiąc się z bólu, puściła się biegiem, wskoczyła na schody i ujrzała przed sobą mężczyznę, który kuśtykał zbyt wolno, by móc jej się wymknąć.

Natarła na niego niczym zawodnik obrony w futbolu amerykańskim. Przeturlali się razem w pył, po czym kipiąca z wściekłości Kat chwyciła go za szyję i pociągnęła z całej mocy, chcąc go udusić. W napadzie furii, przypomniawszy sobie zasady boksu,

który dawniej trenowała, zacisnęła drugą pięść i rąbnęła w szczękę raz, drugi, trzeci, z siłą, jaką dyktował jej strach.

Dwie dzikie bestie kierujące się pierwotnymi instynktami.

Mężczyzna jęczał, błagał.

Dziecko. Płakał jak dziecko. Wtedy zdyszana Kat, siedząc okrakiem na wpatrzonych w nią oszalałym wzrokiem istotach, przestała.

Lęk znalazł się po drugiej stronie.

Kat spodziewała się gęby mordercy, lodowatych oczu, mięśni zawodowca. Pomimo ciemności rozróżniała jego kształty. Cuchnącym potem i tłuszczem, wykrzywionym i uległym osobnikiem wstrząsały śmieszne spazmy.

*Włóczęga.*

– Przepraszam – wyjąkał z ustami pełnymi piany i łez. – Przepraszam!

Ten śmieć próbował ją zabić, a teraz błaga o przebaczenie? Kat poczuła narastającą złość i już miała zadać kolejny cios, lecz rozsądek powstrzymał jej ramię. Pomijając sam wygląd tego człowieka, jego osobliwe drżenie świadczyło o pewnego rodzaju obłądnie. Mężczyzna nie zachowywał się normalnie. Przypominał fizyczny i umysłowy wrak.

Refleksja uspokoiła Kat. Serce nadal chciało wyskoczyć jej z piersi, lecz rozum zaczynał brać górę.

– Dlaczego na mnie napadłeś? – zapytała zimno.

Żebrak miał usta wykrzywione płaczem. Poruszał zasłoniętymi brodą wargami, lecz nie wydobywały się z nich żadne słowa, po czym wykonał gest oznaczający, że sam nie wie.

– Mieszkasz tutaj?

Miała świadomość, że mogła okazać większą ugodowość, pobłażliwość i wyrozumiałość, aby załagodzić sytuację, ale nie była w stanie, toteż nadal przemawiała władcym tonem.

– Nie... Nie. Teraz już nie.

– Co robiłeś?

Z trudem odzyskiwał oddech, Kat zaś niemal wbrew sobie cofnęła się i usiadła naprzeciwko niego na kamiennym bloku. Szarpało ją w boku, lecz zacisnęła zęby, nie dając po sobie nic poznać.

Mężczyzna, który zapewne zbliżał się do pięćdziesiątki, dopiero po chwili również przyjął pozycję siedzącą, nie spuszczał z niej wzroku. Bardzo wyraźny zez w lewym oku nadawał mu jeszcze dziwniejszy wygląd. Bał się jej, to było widoczne w całej jego postawie.

– Więc co tu robiłeś? – naciskała Kat.

– Ja... Szukałem przyjaciela.

Wytarł rękawem ślinę i krew z brody. Jego piersią nadal wstrząsał szloch.

– Dlaczego mnie zaatakowałeś?

Pokręcił głową.

– Ja... Przestraszyłem się.

Kat wypluła pomiędzy nich kurz i resztki, które pozostały jej w ustach po bijatyce.

– Mogłam zginąć.

– Przepraszam.

– To nie wystarczy, złożę skargę i zawiadomię gliny.

– Nie! – szczerknął gwałtownie, odzyskując pewność siebie.

Kat zeszytniała, gotowa do skoku.

– Nie ruszaj się!

Przypomniawszy sobie o paralizatorze, wyjęła go z kieszeni kurtki i wcisnęła guzik, wyzwalając impuls elektryczny, a wtedy zalał ich niebieskawy blask łuku.

– Bo jak nie, to przygwoźdź cię tym do ziemi! – zagroziła. – Rzuciłeś się na mnie z bronią! Nie zamierzam tego puścić płazem, daję znać glinom, koniec tematu.

Mężczyzna wymachiwał rękami przed sobą.

– Nie, nie, nie – błagał – nie wolno nikogo zawiadamiać, nikt nie może tu przyjść! Jeżeli nas znajdą...

Kat dostrzegła jego niewiarygodną udrękę, toteż gniew zaczął się powoli przeradzać w litość. Po czym zaświtał jej pewien pomysł.

– Jak masz na imię?

– Dave.

– OK, Dave. Kim są „oni”?

– Kosmici! – wypalił.

Kat westchnęła zawiedziona. Tylko tego brakowało.

– Przebierają się za mężczyzn i kobiety jak pani, ale porywają ludzi z ulicy!

W głowie Kat zapaliła się lampka.

– To dlatego mówisz na nich „kosmici”?

– Tak, zabrali mojego kumpla Jarvisa!

– Wiesz, co z nim zrobili?

Dave odsłonił zepsute zęby.

– Porwali go. Mam nadzieję, że kiedyś wróci, to... To mój jedyny przyjaciel.

– Czyli że tu nie mieszkasz?

Nieufny, wahał się z odpowiedzią. Zżerana przez ciekawość Kat zaproponowała:

– Jeśli odpowiesz na wszystkie moje pytania, może nie zawiadomię glin.

Zdołała dojrzeć jego oczy w bladej poświacie księżyca. Tańczyły niespokojnie. *Facet jest rąbnięty, tych jego bredni nie wolno brać na poważnie.*

– Mieszkam w podziemiach Linden Plaza, niezbyt daleko stąd – zdobył się w końcu na wyznanie. – To Jarvis rozbił tam obóz.

– Dawno temu zaginął?

– Eee... Sam nie wiem. Mam trudności z liczeniem dni. Nie bardzo wiem, co dzisiaj jest.

– Przed wieloma dniami, tygodniami, miesiącami?

– Chyba tygodniami. Aż miesiąc temu to raczej nie.

– Często tu przychodzisz?

– Od czasu do czasu, żeby sprawdzić, czy nie wrócił.

– I właśnie tak zobaczyłeś... kosmitów?

Przytaknął energicznym ruchem głowy. Kat wycelowała palec w pomieszczenie z kadzią.

– Widziałeś, co tam wyprawiali?

– Nie.

– To skąd wiesz, że porywają ludzi?

– Wiem. Jarvis mi powiedział.

– Widział coś?

– Tak i ma stracha, wielkiego stracha.

– Co ci mówił?

Dave oblizał wargi szorstkim językiem.

– Prowadzą doświadczenia.

– Jakie? Medyczne? Tam, w środku?

Kat uznała, że przy całym tym brudzie to trudne do przełknięcia.

– Na żywych ludziach, robią im różne rzeczy.

– Czyli jakie?

– Nie wiem, Jarvis za bardzo się bał, żeby mi powiedzieć.

*Oczywiście, to by było za proste...* Kat zacisnęła pięści z irytacją.

– A więc ty sam nic nie widziałeś?

Dave się zawahał.

– Owszem, ich szefa, jego widziałem kilka razy, kiedy byłem schowany w lesie.

Kat przysunęła się do włóczęgi.

– Mógłbyś go opisać?

– Chyba jest blondynem, ma niesamowite oczy.

– Niebieskie?

Dave ochoczo przytaknął.

*Galvin Hutchinson.*

Mocno zaciekawiona Kat zapytała:

- Często go widywałeś?
- Dwa albo trzy razy... Tak mi się zdaje.
- A byłeś tu w ostatnią niedzielę?
- Eee... Nie wiem, kiedy była niedziela.

Kat zasypała go lawiną pytań, ulegając rosnącej ekscytacji i nadziei.

- Czy ten cały szef był z dziewczyną o ciemnych włosach?
- Tą z czarnymi wargami?

Tym razem serce Kat podskoczyło, lecz nie z tych samych powodów.

- Widziałeś ich? Oboje, tutaj?
- Tak, ona ma na imię Dorothy.

Na dźwięk tego imienia cała euforia Kat się ulotniła.

Dave wyciągnął rękę w kierunku wejścia do magazynu.

- Byli tam. On powiedział: „Wracajmy do Kansas, Dorotko”, a potem zabrał ją samochodem w stronę ulicy. Od tamtej pory już nikogo więcej nie widziałem.

## 25.

Sekcja zwłok Oscara Riotta odbyła się wczesnym rankiem w poniedziałek, w godnym filmu Hitchcocka pałacyku z czerwonej i beżowej cegły, gdzie urzędował koroner Los Angeles.

Uzyskanie pełnego raportu z autopsji w tak szybkim tempie zakrawało na cud, Atticus miał tego świadomość. Przed trzema laty miejskim wydziałem medycyny sądowej wstrząsnęła nagła dymisja jego nowego dyrektora, który uznał, że z powodu braku środków i wykwalifikowanego personelu nie jest w stanie wykonywać swojego zawodu jak należy. Zwłoki czekały na swoją kolej, na liście potrafiło się znaleźć nawet pięćdziesiąt nazwisk, ponadto zdarzało się, że śledczy otrzymywali wyniki badań toksykologicznych dopiero po pół roku. Od tamtej pory sytuacja się poprawiła, ale i tak często to było prawie jak loteria: należało dobrze trafić, żeby zostać prędko obsłużonym. Chociaż sprawiedliwość starała się działać skutecznie, mimo wszystko zajmowało jej to sporo czasu.

Sekcja zwłok Riotta trwała dość krótko, zważywszy na charakter szczątków. Nie było cięcia w kształcie litery Y, narządów do szczegółowego badania, krwi, którą należałoby usunąć czerpakiem z dna klatki piersiowej... Jedyne ubrany szkielet i ohydna papka w jego piersiach. Ku ogromnemu rozczarowaniu Atticusa autopsji nie przeprowadził Malkovian, bo akurat tego dnia nie było go w pracy, ale jego kolega, którego Gore nie znał, biały o podejrzenie różowej cerze.

Atticusa zainteresowały szczególnie podeszwy butów denata. Poprzyklejały się do nich maleńkie fragmenty owadów, które potwierdzały jego teorię. Oscar Riotta biegł w panice, deptając po otaczających go owadach, po czym uciekł do zagrody dzikich zwierząt.

Pozostało jeszcze przekonanie profesora Huxleya z Muzeum Historii Naturalnej: owady były żywe. Na całej esplanadzie wszędzie czarne, rojące się chmary... Ten element sprawy wydawał się najbardziej niezrozumiały. Podczas gdy większość seryjnych zabójców żywiła pewne upodobanie do wynaturzeń i perwersyjnego modus operandi, ten miał w sobie coś z absurdu.

Kiedy patolog skończył rozbierać szkielet i oglądać mazisty stos mający stanowić narządy, zbadał po kolei kości, następnie zastygł powściągliwie przed dyktafonem, wiszącym u sufitu na sznurku, w oczekiwaniu na wniosek, który się nie nasuwał.

– Jakiś problem? – zapytał stojący z tyłu Hack.

Patolog wyrzucił maseczkę.

- Nie wiem, co powiedzieć.
- Przyczyna śmierci to już by było coś.

Patolog machnął dłonią w lateksowej rękawiczce w kierunku szczątków.

- Nie da się określić. Jest za dużo... niepokojących detali.
- To znaczy? – zapytał Atticus, podchodząc bliżej.

Głos patologa odbijał się echem od kafelków – w kolorze ochry na podłodze i bladej zieleni na ścianach.

– Po pierwsze chrząstka i ogólny układ kości. Nie mamy do czynienia z człowiekiem, którego pozbawiono by tkanek, powiedzmy za pomocą kwasu, a potem włożono na szkielet ubranie. Chrząstki są w większości nietknięte, wszystko zostało idealnie dopasowane, co jest niemożliwe do powtórzenia. Z całą pewnością odarto go w ubraniu. Potwierdzają to plamy krwi na rzeczach.

Następnie podniósł jedną z fiolek na próbki, w której znajdowała się odrobina cieczy czerwonej barwy wpadającej w brąz, pobranej z ciała.

– Toksykologia powie nam więcej, ale już teraz mogę was zapewnić, że jego narządy pokrojono na nieskończenie drobne kawałki i rozpuszczono. Jeszcze coś, proszę spojrzeć.

Patolog chwycił mechaniczne ramię, aby przyciągnąć podświetlaną lupę, i ustawił ją nad kością udową.

- Widzą panowie te wszystkie rowki, o tutaj?

Atticus dostrzegł nieuchwytnie wyłobienia, prawie niewidoczne, za to tak liczne, że tłumaczyły niemal ziarnistą strukturę kości.

- Co to takiego? Wygląda jak... mikroskopijna skaryfikacja.

– Cały jest tym pokryty. Wykluczone, żeby sam sobie okaleczył szkielet na żywca, no chyba że patrzycie na największego szaleńca wszech czasów. Nie, skłaniam się raczej ku tysiącom mikrozranień.

Po plecach Atticusa spływał zimny pot.

- Jakby wywołane przez szczęki kolonii owadów?

Patolog przytaknął, równie osłupiały jak stojący przed nim detektyw.

- Tym razem nieźle pojechaliście – wtrącił Hack. – To pewne?

Patolog ponownie wskazał na ciało na stole ze stali nierdzewnej.

– Ja stwierdzam fakty, to do was należy prowadzenie śledztwa, chłopaki. Ale owszem, jeśli pytacie mnie o zdanie, widzę tylko taką hipotezę.

- Czy takie coś jest w ogóle możliwe?

Atticus zaprzeczył ruchem głowy.

– Owady nigdy by nie zdołały pożreć człowieka, nie w samym środku Los Angeles, do tego nawet nie w kilka godzin. Nie mówiąc o tym, że one nie współpracują. To coś

innego.

Hack zrobił wielkie oczy, co nadało mu niemal komiczny wygląd.

– W takim razie co?

– Podpis zabójcy...

– Jak on to zrobił?

– Nie mam pojęcia, Hack. Nie mam pojęcia.

Atticus był całkowicie oszołomiony, nie potrafił ogarnąć rozumem prawdy.

Patolog westchnął przeciągle.

– Zazwyczaj mam gdzieś dalszy przebieg śledztwa – przyznał – brak mi na to czasu, ale w tym wypadku chcę, żebyście informowali mnie na bieżąco, bo w całej mojej karierze nie widziałem czegoś takiego. A przecież w LA nie brakuje dziwnych rzeczy. Macie podejrzanego?

– Dziesięć tryliardów – oznajmił Atticus wpatrzony w lśniące kości na stole sekcyjnym.

*Nie licząc pajęczaków i całej reszty...*

Po powrocie do biura obaj śledczy zastali kolegów z rzędu boksów naprzeciwko, Irzika i D'Angela, którzy wyglądali niemal jak bliźniacy, przed pięćdziesiątką, ogoleni na łyso, z policzkami pobrużdżonymi od wysiłku sportowego i gęstymi brwiami.

– A ja myślałem, że zlikwidowano korupcję! – gwizdnął ten pierwszy, gdy Atticus go mijał. – Tylko jeden gliniarz trzepie taką kasę, żeby sobie pozwolić na taki gang.

Atticus nie cierpiał chodzić w garniturze, ale skoro w dni powszednie i tak miał obowiązek go nosić, porządnie się do tego przykładał. Dzisiaj miał na sobie ten dopasowany niczym druga skóra błyszczący komplet od Johna Varvatos'a za ponad dwa i pół tysiąca dolarów.

– Widzisz, Irzik – odciął się – bywają gliniarze tacy jak ty, którym nie starcza do pierwszego, bo muszą utrzymać i żonę, i kochankę, i tacy jak ja, którzy oszczędzają przez wiele miesięcy, żeby sobie sprawić przyjemność.

Na te słowa Hack pokazał obu klonom środkowy palec, szczerząc zęby. Miał wiele wad, ale solidarność z partnerem rekompensowała sporą ich część.

Gdy obydwaj mężczyźni usiedli na miejscach i zabrali się do przeglądania poweekendowych papierzysk, w ściankę działową ich boks zapukał umundurowany policjant.

– Gore, porucznik chce pana widzieć.

Hack dał Atticusowi gestem wyraźnie do zrozumienia, że to jego problem, jego partner przemierzył więc samotnie długą salę aż do przeszklonego pokoju przy wejściu. Ronald Petrozza miał blisko dwa metry wzrostu, a całe jego ciało było tak



bardzo nieproporcjonalnie duże, że okulary w szylkretowych oprawkach na olbrzymim nosie wydawały się maleńkie.

– Wejdz i posadz swój tyłek, Gore. Jak tam weekend?

– Interesujący.

– Co z tobą? Powiedz, że zaraz zamkniecie tę sprawę, Gore, żeby podbić własne statystyki.

Atticus nie znosił, gdy wypominano mu porażki, był na to zbyt dumny, lecz nie zareagował.

– To morderstwo, jestem przekonany, że działano z premedytacją.

– Dobrze, a masz podejrzanego?

Powtarzane jak mantra pytanie zezłościło go jeszcze bardziej.

– Na razie nie.

– Dobra, bądź ze mną szczerzy: coś tu śmierdzi czy masz dla mnie dobre wiadomości? Bo jak nie, to wcisnę wam D'Angela i Irzika, we czwórkę powinniście dać radę, a jak nawalicie, to będzie zbiorowy blamaż. Nie pierwszy w twoich papierach, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

– Będziemy sobie wzajemnie przeszkadzać. Mamy z Hackiem sporo rzeczy do sprawdzenia, ale to się opłaci, panie poruczniku – skłamał.

Praca z tymi dwoma baranami wcale mu się nie uśmiechała.

Wielkolud skrzywił się z powątpiewaniem, po czym pokiwał głową.

– OK. Wobec tego bierzcie się porządnie do roboty, nadgodziny w rozsądnych granicach, a jak potrzeba więcej, to po cichu, nie chcę o tym wiedzieć, ale chcę wyników, jasne?

Atticus przytaknął i czym prędzej opuścił pokój.

– Poprosił cię o rękę? – zakpił Hack po jego powrocie.

Gore zignorował pytanie, po czym na widok listy spraw, jakie znalazł program DCTS, baza danych detektywów policji Los Angeles, kiedy on szukał zbrodni powiązanych z owadami, chwycił ją i zaczął wertować.

Gdy Eli Hackenberg z trudem się podniósł, żeby przynieść coś na obiad, Atticus pozwolił mu pójść samemu. Chciał przeczytać jak najwięcej przed wieczorem. Lektura posuwała się szybko, pomijał komentarze, wypatrując konkretnej wzmianki: o owadach. Zdążył już przewinąć więcej niż połowę, kiedy zatrzymał się na pewnym osobliwym przypadku. Ciało jakiegoś księgowego, którego znaleziono martwego w jego mieszkaniu, bez śladów włamania. Przyczyny zgonu nie ustalono od razu na miejscu zbrodni. Ofiara krwawiła obficie ze wszystkich otworów, a sekcja wykazała, że stała się jakby porowata od środka. Niezliczona ilość drobniutkich wybroczyn.

Sprawę prowadził RHD, elitarna komórka śledcza, i nic z tego, co wyczytał Atticus, nie pozwalało zrozumieć dlaczego. Znalazłszy nazwisko głównego śledczego, natychmiast do niego zadzwonił i wyjaśnił, że pracuje nad paskudną sprawą i szuka wszelkich możliwych tropów. Nie chciał zbytnio zwracać uwagi RHD na własne śledztwo, ale nie miał wyboru.

– Doskonale pamiętam – przyznał Connor Hogan – to było zeszłej jesieni, facet wykrwawił się wszystkimi możliwymi otworami. Jaki to ma z panem związek?

– Prawdopodobnie żadnego, ale wolę niczego nie pominąć. Przepraszam, że zabieram panu czas, wiem, że w RHD jesteście bardzo zajęci, ale ugrzązłem i pomyślałem sobie, że może...

Zawsze brać ich pod włos, powtarzał sobie Atticus. Gliny z RHD należały do śmietanki i bardzo lubiły, jak im się to nieustannie powtarzało.

– Co chce pan wiedzieć?

– Nikogo pan nie aresztował, prawda?

– Zgadza się. Na miejscu żadnych śladów, było zamknięte od środka, włączony nawet alarm zewnętrzny, zawył, kiedyśmy weszli. Prawdziwa zagadka.

– A co z przyczyną zgonu? Ustaliliście ją?

– Też nie. Patolog powiedział, że to wygląda tak, jakby malusieńka armia ołowianych żołnierzyków obrzuciła ofiarę małutkimi granatami.

– Nic w otoczeniu denata?

– Nie. Nudny do porzygania księgowy ze swoim uporządkowanym życiem, żadnych słabostek, nadużyć, facet oberwał bez powodu, jakby przez pomyłkę.

– Nadal nie wykluczacie hipotezy zabójstwa, o ile dobrze rozumiem?

– Nie ma żadnej hipotezy. Po sześciu miesiącach ciągle nie potrafimy stwierdzić, jak ani od czego umarł, poza ogólnym krwawieniem, a właściwie prawie wykrwawieniem się!

– Jeśli wolno mi zadać to pytanie, dlaczego właśnie wasz wydział przejął śledztwo?

– Gość był księgowym bardzo dużej firmy.

– W sensie z tych wrażliwych?

– Nie, w sensie jednej z największych firm na świecie, EneKu. W ratuszu chcą, żeby tego rodzaju klient był traktowany z dyskrecją i skutecznością. Co do tego ostatniego, jeszcze do tego wrócimy.

Atticus słyszał o EneKu. Potwór rywalizujący z gigantami, do tego stopnia, że w przypadku Google'a, Apple'a, Facebooka i Amazona – najpotężniejszych firm na Ziemi – przestano już mówić o „wielkiej czwórce”, a zaczęto o „wielkiej piątce”. EneK należał do tych korporacji, które zwietrzyły okazję przed innymi, w szczególności w zakresie gromadzenia danych cyfrowych, i daleko na północy, gdzie naturalnie

niskie temperatury umożliwiały wspaniałe oszczędności, pozwalając na uniknięcie przegrzania w wieżowcach, otworzył ogromne hale. Lodowate wiatry polarne odwalają spory kawał roboty, tymczasem zamiast drzew iglastych wyrastały całe miasta magazynów. Do tego stopnia, że aktualnie EneK oskarża się o to, że bezpośrednio się przyczynił do ocieplenia klimatu z powodu całego gorącego powietrza wyrzucanego do atmosfery. Na milionach twardych dysków gromadzi się wszystkie informacje wirtualnego świata. Aby zapisać miliardy danych z każdej z naszych skrzynek e-mailowych, z profesjonalnych i amatorskich stron internetowych i ogólnie dużej części internetu, przestano już liczyć miejsce w megabajtach czy nawet terabajtach, ale zaczęto w petabajtach. Sama „wielka czwórka” zlecała gromadzenie istotnej części danych tej korporacji. Doszło do tego, że większość bojowników, którzy oskarżają EneK o niszczenie planety, za każdym razem, gdy wysyła albo otrzymuje e-mail czy przegląda jakąś stronę w sieci, w rzeczywistości korzysta z jego usług, sama przyczyniając się w ten sposób do wytykanego mu zła.

Wszyscy znali jego założyciela i właściciela, Edwina Kowalskiego, jednego z najmłodszych amerykańskich miliarderów, który tuż po urządzeniu się w tym intratnym biznesie zainwestował w nowy sektor, biotechnologię, gdzie znów święcił głośne i irytujące swym geniuszem triumfy. Atticus przestał ostatnio śledzić historię jego sukcesów, ale obito mu się o uszy, że kolejne wyzwanie gościa to była przestrzeń kosmiczna. Brał udział w wyścigu o kontrolę nad Układem Słonecznym. W końcu skoro położyło się łapę na własnej planecie, dlaczego nie sięgać dalej...

Zgon księgowego z EneKu stanowił bez wątpienia temat newsa, który obiegłby cały świat, a nawet spowodował spadek akcji firmy na giełdzie o kilka punktów. Atticus rozumiał więc udział RHD w śledztwie, ze względu na jego umiejętność prowadzenia tego typu przypadków bez robienia szumu. Do tej pory nikt o tym nie słyszał.

– Ostatnie pytanie – oznajmił Atticus. – Czy na miejscu zbrodni znalazł pan coś, co miałyby związek z owadami?

Cisza. Oddech w słuchawce.

– Skąd pan wie?

Atticus aż podskoczył na krześle, czując przyspieszone bicie serca.

– Znalazł pan martwe owady na miejscu?

Wahanie. Po czym głos mężczyzny:

– Tego nie ma w raporcie DCTS, a ta pańska sprawa to czego dotyczy?

– Dlaczego pan o tym nie wspomniał?

– Bo uznaliśmy, że to nie ma związku. Raptem rozdeptane owady i tyle. To znaczy tak wtedy myślałem. Musimy pogadać, pan i ja.

Mózg Atticusa się gotował, rozważając wszelkie możliwe następstwa, z których najlogiczniejsze to takie, że RHD zwęszy grubszą aferę i odbierze mu śledztwo. W porównaniu z nimi nic nie znaczyły i wykopaliby go po dwóch telefonach. Odparł najbardziej entuzjastycznym tonem, na jaki potrafił się zdobyć, niemal z naiwnością idioty:

– No cóż, krótko mówiąc, to dosyć skomplikowane, bo nie mam nic konkretnego, tylko same niewiadome. Pracuję nad serią zaginięć w Skid Row, sami włóczędzy, jeszcze niczego nie potwierdziliśmy, ale niewykluczone, że w lawinie przedawkowań i gangsterskich porachunków kryje się zabójstwo, czeka nas jeszcze kupa roboty, przesłuchanie setek bezdomnych...

Atticus chciał go wystraszyć, tak aby Connor Hogan wyobraził sobie, że będzie musiał sterczeć całe dni wśród cuchnącej fauny, która pobrudzi mu śliczny garniturek, a wszystko to z powodu zwykłych domysłów.

– Skąd pan wie o owadach? – drążył Hogan o wiele mniej braterskim tonem.

– Powiedział mi o tym technik kryminalistyki, który pobierał dla was próbki, a ja od razu rzuciłem okiem na pańskie notatki w DCTS, ale skoro nic tam nie znalazłem, zadzwoniłem do pana.

– Ale dlaczego to pana interesuje? Co pan ma na ten temat?

– Jeden z bezdomnych, znaleziony martwy w namiocie, został pożarty przez robaki, znaleźliśmy w jego śpiworze całą masę czerwi, prawdziwy horror, więc na wszelki wypadek szukam, czy nie ma więcej podobnych spraw...

Im większego robił z siebie kretyna, tym bardziej rosła jego wiarygodność, zwłaszcza w oczach śledczego z RHD, który miał skłonność do traktowania z pogardą pozostałych śledczych z okręgu.

– I to wszystko? Tylko tyle, że miał pan czerwie na umrzyku? Skąd pan się urwał?

– Eee... Przykro mi, ale...

Tamten posłał go do diabła i czym prędzej się rozłączył.

Atticus szybko oddychał. Udało mu się wcisnąć kit.

Co istotniejsze, teraz zyskał dowód, że Oscar Riotto nie był odosobnionym przypadkiem.

Mieli do czynienia z serią.

## 26.

Księgowy nazywał się Ronald Kopelson i pracował dla EneKu od pięciu lat, kiedy znaleziono go martwego, rozszarpanego w środku na strzępy, bez połowy krwi, która wypłynęła przez wszystkie możliwe otwory ciała.

Jego żona, zaniepokojona brakiem wiadomości od niego, chociaż powinien był dojechać do niej i dzieci na kilkudniowy wypoczynek w domku w Big Bear Lake, w przypływie rozpaczy zawiadomiła policję.

Hack słuchał, jak Atticus zdaje mu relację.

– I nie mamy nic więcej na jego temat? A billingi?

– RHD ma wszystko, ale nie dadzą mi dostępu do informacji, jak im nie wyjaśnię, do czego mi to potrzebne.

– A oni nas wykopią i odbiorą denata. W DCTS nie ma dość informacji, żebyśmy mogli się tym zająć sami?

Atticus po raz pierwszy dostrzegł w oczach partnera zainteresowanie dla sprawy. Hack miał idealną okazję, żeby się wymigać, ale już zaczynał główkować, jak by tu obejść problem.

– Nie, ci z RHD wprowadzili tylko minimum.

– Palanty... Zrobili nas w wała.

Atticusowi wyrwało się westchnienie, które przypominało raczej zerwaną tamę niż irytację.

– Znam jednego gościa z RHD – przyznał. – Jak się uprę, mógłby mi oddać przysługę.

Spojrzenie Hacka znów się ożywiło.

– No i proszę! Zadzwoń do niego.

– To znaczy... Wolałbym tego uniknąć.

– Widzisz jakieś inne rozwiązanie?

Atticus się skrzywił.

– Nie ma pewności, że on się zgodzi – dodał.

Hack wpatrywał się w niego, po czym warknął:

– Jakies łózkowe sprawy między wami?

Atticus zakołysał się na krześle i przytaknął.

– To nie do końca jasna historia – zastrzegł.

– Co? Stary numer z żonatym facetem, który się zawsze zastanawiał, czy przypadkiem nie jest pedałem i... Och, wiesz co? Nie chcę wiedzieć. Zadzwoń do

niego!

Atticus pokiwał głową i zabrał się do wertowania listy kontaktów.

Hack powrócił do swoich papierów, po chwili jednak znów przystąpił do ataku.

– Naprawdę są policjanci, którzy spotykają się z tobą, żeby... To znaczy hetero?

– Odsuść, Hack, dobra?

Jasnowłosey olbrzym zrobił zniesmaczoną minę i zajął się własnymi sprawami. Atticus wyszedł na parking przed komisariatem, by przeprowadzić rozmowę, która trwała kilkanaście minut, po czym usiadł z powrotem i przysunął się do kolegi.

– Prześle mi to, co będzie mógł.

Hack wynagrodził go lubieżnym spojrzeniem.

– Dobrze rozegrane. Widzisz, to wcale nie było trudne. A ile cię to będzie kosztowało? Loda?

Atticusa załapała nagła fala zimnej wściekłości. Kiedy zdobył się na telefon do Stuarta, ożyły bolesne emocje i niepokojące poczucie winy. On i Stuart robili wzajemne podchody przez wiele miesięcy, tylko że Stuart miał rodzinę, żonę i dzieci, aż w końcu padli sobie w ramiona z żarliwością ludzi, którzy czekali zbyt długo. Stuart rzucił wszystko dla Atticusa, tylko że potem mu się znudził, ponieważ Gore wcale się nie zakochał. Dla niego to było jedynie chwilowe zauroczenie, wściekła chcica, prawdopodobnie trochę też, później przyznał się do tego przed sobą, ta niemal perwersyjna ekscytacja, że sprowadził heteryka na złą drogę, ale nie kochał Stuarta. Tamten był przybity. Powrócił do dawnego życia, z rodziną. I ukrywał swój homoseksualizm przed kolegami z policji. Prawie się załamał, Atticus zaś miał poczucie winy. Telefon z prośbą o przysługę był niestosowny. A jednak właśnie to zrobił i Stuart go wysłuchał, po czym zgodził się sprawdzić, co uda mu się uzyskać. Rozłączył się, nie dodając ani słowa od siebie, bez wątpienia dostrzegłszy zakłopotanie Atticusa, który czuł się paskudnie.

– Hack, czasami prawdziwy z ciebie dupek. Wiesz, nawet homosiom zdarza się to coś, czego ty doświadczałeś dawno temu, przypomnij sobie, jak byłeś młodym, sympatycznym i otwartym na świat facetem, to, co się nazywa uczuciami.

Ford taurus pokonywał ulicę, która wiała się na szczyt wzgórze, przez suchy krajobraz kolczastych drzew i zarośli. Poniżej autostrada 405 z San Diego żłobiła bruzdę przez góry na północy Los Angeles.

EneK postawił swą siedzibę w Brentwood, na wierzchołku wzniesienia, które górowało nad Miastem Aniołów, mając za sąsiada Getty i jego słynne białe kształty. Co do reszty – ani żywego ducha, nie licząc nierzucających się w oczy kojotów. Nic nie zakłócało spokoju kompleksowi nowoczesnych budowli.

Relacja Stuarta na temat śledztwa w sprawie morderstwa Ronalda Kopelona okazała się skąpa i zaledwie odrobinę bardziej kompletna niż to, co Atticus zdążył znaleźć w DCTS. W chwili zgonu Kopelson miał czterdzieści sześć lat, czystą kartotekę, żadnego podwójnego życia i jeszcze mniej znanych wrogów, mimo że mężczyzna zrobił dość klasyczną karierę, chociaż należał do elity w swojej branży. Pracował w dużej kancelarii rachunkowej, zanim zwerbował go EneK, gdzie nie zajmował strategicznego stanowiska, ale i tak stanowił istotny trybik w systemie. EneK stwierdził, że Kopelson nie pracował nad żadnymi wrażliwymi dokumentami dla firmy ani nie miał bezpośredniego dostępu do większych kwot pieniędzy. Wynikało z tego, że jego śmierć nie mogła być związana z aktywnością zawodową. Zaledwie jeden z wielu księgowych. Analiza billingów ofiary nie dała nic konkretnego, żadnego podejrzanego połączenia ani wiadomości w dniu zgonu, odtworzony rozkład dnia też nie ujawnił żadnych anomalii. Gliny z RHD dogłębnie zbadały kwestie rodzinne, aby dojść do wniosku, że pod tym względem też absolutnie nic nie ma. Najzwyczajniejsza w świecie żona i dzieci, stałe relacje potwierdzone ze wszystkich stron i przez wszystkie weryfikacje, podobnie jak rodzinna sytuacja finansowa, która nie mogłaby być lepsza. „Życie tak drętwe, że można się zesrać z nudów od tej banalnej monotonii”, jak skwitował poetycko Hack.

Nie istniał choćby cień motywu u kogokolwiek ani jakikolwiek trop, toteż hipoteza morderstwa nawet nie była pewna, zważywszy na dziwaczny charakter samej śmierci. W głębi duszy niektórzy śledczy z RHD zastanawiali się, czy nie chodzi tu o jakąś egzotyczną chorobę, i podzielili się tym przypuszczeniem z przełożonym, aby zostać objętym badaniem lekarskim i nie ryzykować, że zarażą własne rodziny.

Ford minął ogromny parking, przypominający taras widokowy z zapierającą dech w piersiach panoramą Los Angeles od południa, i zaparkował jak najbliżej obszernej prostokątnej bryły, która służyła jako główne wejście. Kampus EneKu dzielił się na pół tuzina nieskazitelnie białych budynków obłożonych stiukiem i gładkim szkłem, zatopionych w połyskującej zieleni, kontrastującej z surowością okolicznych gór. Tutaj każde źdźbło trawy zdawało się korzystać ze specjalnie dla niego zaprojektowanych zabiegów, które miały mu zapewnić dobrostan. Anteny zwykłe i satelitarne szersze niż dom przypominały o technofilii firmy założycielskiej. A cała ta oślepiająca biel przyprawiała o nerwowość Atticusa, który nie cierpiał szpitali.

– Czuję się jak w raj – zażartował Hack, pokonując stopnie tak szerokie, że mogłyby po nich wejść jednocześnie dwie drużyny futbolowe.

Hol, ze swymi roślinnymi ścianami, ozdobnymi fontannami, z których woda płynęła wprost po murach, wyściełanymi ławkami i wszechobecnymi olbrzymimi ekranami,

na których wyświetlano spoty reklamowe wychwalające imperium EneK i prezentujące jego różnorodną działalność, przytłaczał rozmachem całą resztę.

Machnąwszy policyjnymi odznakami, zamiast się przedstawić, Hack i Atticus zażądali rozmowy z Rubenem Wynerem, dyrektorem departamentu, w którym pracował Ronald Kopelson. Chłopak w recepcji nie krył zaskoczenia, gdy przyznali, że nie są umówieni, i usilnie nalegał, by poczekać na jednej z wygodnych sof w holu. Kiedy do nich wrócił, zaproponował, żeby umówili się z panem Wynerem, ponieważ tego dnia nie jest dostępny.

Atticus podniósł się, lecz Hack uprzedził go z tą swoją niezbyt przyjemną miną.

– A zatem policja miejska chce rozmawiać z jednym z waszych pracowników w sprawie morderstwa, a wy nie macie czasu? Właśnie to ma trafić do prasy?

Chłopak spuścił głowę zmieszany i wymamrotał przeprosiny, Hack nie dawał jednak za wygraną:

– Zawsze to samo! – ryczał na cały hol. – Człowiek stawia się grzecznie, bez nakazu, żeby tylko zamienić po przyjacielsku parę słów, a wy zatrzaskujecie mu drzwi przed nosem! Za to jak wrócimy z papierem od sędziego i prokuratora okręgowego przy tyłku, wtedy będziecie nam robić wyrzuty, że nie załatwiliśmy tego polubownie!

W swój wybuch złości włożył tyle zapалу, aż Atticus zaczął się zastanawiać, czy w gruncie rzeczy przypadkiem nie jest szczerzy.

– Tylko potem się nie skarżcie! – ciągnął. – Wtedy będzie za późno na umizgi i układy, żeby uniknąć nacisków ze strony mediów.

Podeszła do nich szybkim krokiem kobieta o zaciętej twarzy i w nieskazitelnym kostiumie i nagle rozciągnęła wargi w szerokim uprzejmym uśmiechu.

– Panowie, jestem Lisa Oshi, pracuję w biurze komunikacji zewnętrznej, czym mogę służyć?

Hack wygłosił swoją formułkę i naciskał na spotkanie z Rubenem Wynerem w związku z morderstwem jednego z ich pracowników.

Oshi nie okazała żadnych emocji i po kolejnej chwili czekania poprowadziła ich labiryntem korytarzy, przejść, wind, poprzez otwarte przestrzenie, sale odpoczynku, obficie wyposażone w akcesoria, na koniec zaś wpuściła ich do neutralnego salonu, który z pewnością służył do tego typu rozmów. Pic na wodę, pomyślał Atticus, dla którego połowa drogi była tylko wybiegiem, żeby zyskać na czasie albo zrobić wrażenie.

Wyner kazał im czekać jeszcze ponad dwadzieścia minut, zanim wszedł. Około pięćdziesiątki, w świetnej formie, głowę miał tak samo gładko ogoloną jak policzki, elastyczne ruchy sportowca, mocny uścisk. Atticus dostrzegł pod mankietem szytej na



miarę koszuli niebieską silikonową bransoletkę i rozpoznał znak jednego z klubów surfingowych na prywatnej plaży w Malibu.

– Panowie detektywi, bardzo mi przykro, ale właśnie mam spotkanie, dlatego będziemy musieli się streszczać.

– Jesteśmy tu z powodu Ronalda Kopelzona – zaczął Hack – i...

– Tak, wiem. Czyli macie coś nowego?

Zaskoczony Hack wahał się przez moment, pałeczkę przejął więc Atticus.

– Jak pan zauważył, jesteśmy nowym zespołem, który ma za zadanie rzucić świeże spojrzenie. I musimy po raz kolejny dokładnie przeanalizować osobowość Ronalda Kopelzona, w tym tutaj, w pracy.

– Zatrzymaliście kogoś?

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu – wtrącił Hack – to my będziemy zadawać pytania. Czy możemy uzyskać wgląd w akta pana Kopelzona?

Wyner zrobił marsową minę.

– Obawiam się, że trzeba złożyć oficjalne podanie na piśmie uzasadnione podstawą prawną. Nasza firma szanuje w najwyższym stopniu swoich pracowników i ich dane osobowe, nie udostępniamy ich, jeżeli nie jesteśmy do tego zmuszeni.

– Znał go pan? – zapytał Atticus.

– Tak, oczywiście. To wspaniały człowiek. Ogromna strata, tragedia.

*Skończ te grzeczne farmazony.*

– Czym dokładnie zajmował się w firmie? Wyobrażam sobie, że muszą tu pracować setki księgowych, a każdy ma określone zadanie.

– Wykonywał proste operacje, to znaczy odpowiednie dla swojego stanowiska.

– Ale czym dokładnie się zajmował? Kwestiami personelu, wynagrodzeniami, zarządzał zakupami, całościową księgowością koncernu, filiami...

– Nie mogę się wdawać w szczegóły, to prywatne sprawy firmy.

Hack znienacka zmienił ton.

– Niech pan sobie nie robi jaj, Mr Wyner, nie pytamy o tajemnice strategiczne, tylko o to, na czym polegała robota Kopelzona!

Wyner przenosił wzrok z Atticusa na Hacka z niezmienną zimną kalkulacją.

– Chyba będziemy musieli dokończyć tę rozmowę w obecności prawnika.

Na te słowa do środka weszła energicznym krokiem jakaś kobieta i powiedziała coś na ucho szefowi departamentu, który natychmiast pożegnał obu gliniarzy gestem ręki.

– Muszę panów opuścić. Do widzenia.

Lisa Oshi wskazała im inne wyjście i odprowadziła ich aż na ogromny dziedziniec.

Gdy tylko zostali sami, Hack zwrócił uwagę na jedną z wielu kamer.

– Wszystko po to. Te łajdaki na pewno właśnie nas nagrywają. Chodź, nie płaczmy się tu, nie chcę, żeby nasłali na nas ochroniarzy.

– Przypominam, że to my jesteśmy policją. I założę się, że ta dziewczyna, która weszła, żeby zakończyć spotkanie, szepnęła mu o nas kilka słów. Zafundowali nam wycieczkę, a w tym czasie zdążyli zasięgnąć informacji. Teraz Wyner już wie, że nie jesteśmy z RHD.

– Tak czy siak, zamierzałeś jeszcze tu wrócić? Koniec, jesteśmy spaleni, tą drogą nic nie uzyskamy.

– Zostaje jeszcze wdowa. Masz czas?

Dzień miał się ku końcowi, jego pomarańczowe i czerwone kolory zaczęły gasnąć, a niebo nad oceanem zabarwiło się na złoty brąz. Hack zerknął na zegarek.

– I tak żona strzeliła focha za robotę w weekend, więc teraz możemy się już nie krępować.

Dom zmarłego księgowego znajdował się niedaleko, obok centrum handlowego w Century City, w kompleksie małych willi. Pracownik odpowiedzialny za ochronę kazał zaczekać obu śledczym w samochodzie, przed bramą, sam zaś wrócił do budki wartowniczej, by zadzwonić do Kopelsonów. Po krótkiej rozmowie podszedł do nich.

– Przykro mi, pani Kopelson nie chce was przyjąć.

– Powiedziała dlaczego? – odezwał się Atticus, kładąc dłoń na ramieniu partnera, żeby uciszyć jego gniew.

– Tylko tyle, że jeśli mieliście jej coś ważnego do przekazania, trzeba było to zrobić przez adwokata. Miłego wieczoru.

Hack podniósł szybę i wycofał.

– Sympatyczna wdówka – zadrwił. – Od razu wydaje się podejrzana!

– Zdali jej relację. Widziałeś, jak szybko przekazała mu instrukcje? Ledwie zdążył powiedzieć, że tu jesteśmy, a już odłożył słuchawkę. To EneK, donieśli jej, uprzedzili nasz następny ruch.

– Myślisz, że taka duża firma ryzykowałaby, tuszując morderstwo?

– Nie, po prostu całkowicie kontrolują przekaz i wszystko, co się wokół nich kręci. Hack, to nie jest zwykła firma, to imperium, z budżetem większym niż budżet połowy krajów na świecie. A gość, który kieruje EneKiem, ma większą władzę niż lwia część prezydentów. Taki nie dopuści, żeby jakaś niewyjaśniona afera z denatem zaciążyła na kursie jego akcji. Jedna nieprzychylna pogłoska i od razu kurs na giełdzie spada. Wyobrażam sobie, że straty liczy się w dziesiątkach milionów dolarów.

– Za taką cenę sam bym schował głowę w piasek – burknął Hack. – Dobra, wracamy. Po drodze odezwał się telefon Atticusa.

– Detektyw Gore? Mówi Paul Kash z Centralnego Biura, dobrze by było pogadać.

- Na jaki temat?
- Gdzie pan jest?
- Dojeżdżam do Hollywood.
- Może pan do nas wpaść?
- Czego pan chce?
- Jest pan jedną z ostatnich osób, które rozmawiały z moim denatem.
- Kto to?
- Czy nazwisko Malcolm Huxley coś panu mówi?

Krew zastygła Atticusowi w żyłach.

Szef działu entomologii w Muzeum Historii Naturalnej Los Angeles. Bez cienia wątpliwości to nie był przypadek.

Zabójca uderzył tuż obok.

W pierwszej chwili Atticus samolubnie pomyślał o sobie.

*Jest coraz bliżej.*

## 27.

Trzy nieodebrane połączenia.

I dwa razy tyle SMS-ów.

Kat z powrotem położyła głowę na poduszce, już zmęczona, chociaż dzień się jeszcze nie zaczął. Mitch się martwił. Nie odezwała się od czwartku wieczorem, domagał się jedynie wiadomości, że nie musi się bać, że wszystko w porządku, a jeśli zrobił albo powiedział coś, co ją uraziło, prosi o wybaczenie i pragnie o tym porozmawiać.

*Nic dodać, nic ująć, cały Mitch...*

To zaledwie trzy dni, odrobinę przesadzał, przecież znał zasady panujące w ich związku, każde ma swoje życie i bez nacisków.

*Tamtego wieczoru uciekłam jak złodziejka.*

Z powodu Annie Fowlings i jej córki.

Kat podniosła się i skrzywiła, czując ukłucie w lewym boku. Wróciła późno obolała, poobijana i połknęła kilka tabletek tylenolu na uśmierzenie bólu.

Powlokła się do łazienki i dokładnie przejrzała w lustrze. Nie miała nawet odwagi włożyć koszuli nocnej albo piżamy. Od łopatki aż do uda biegła czerwonosina pręga, która tylko czekała, żeby rozkwitnąć.

*Będę miała krwiaka jak cholera.*

Niemal żałowała, że pozwoliła temu włóczędze Dave'owi dać nogę. Chociaż wiedziała, gdzie go znaleźć, upewniła się przed odjazdem.

*Nie miałam prawa przebywać na terenie tej prywatnej posiadłości, gliny mogłyby mnie pozbawić licencji.*

Było coś jeszcze. Jakieś bardziej rozproszone, trudne do wytłumaczenia wrażenie, nieufność albo nadmiar ostrożności. *Najpierw muszę się dowiedzieć więcej. Potem to już będzie zadanie policji, żeby wszystko zamknąć.*

Połknęła jeszcze dwa tylenole, mając świadomość, że zażywa ich zbyt dużo w zbyt krótkim czasie, wzięła prysznic i z trudem się ubrała. Rwała ją prawa dłoń, dawno już nie trenowała boksu. Zaczynała się pozbywać sztywności, niektóre ruchy jednak sprawiały jej wysiłek, toteż złościło ją, że jest aż tak krucha.

Widok telefonu na blacie zrodził pytanie. Czy należy zawiadomić Annie Fowlings?

Jej córka wyjechała z Galvinem Hutchinsonem, człowiekiem, któremu, jeśli wierzyć jego byłej sąsiadce, absolutnie nie należało ufać. Według kartoteki drobnym opryskiem.

„Wracajmy do Kansas, Dorotko”.

Kat nie miała wątpliwości, to właśnie Lenę ujrzał włóczęga w towarzystwie Hutchinsona. Imię nie pasowało, ale stanowiło aluzję do *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*. To było oczywiste. Po prostu taki styl, by powiedzieć, że czas ruszać.

*Wrócić na stare śmieci?*

W tym wypadku Kat nie posunęła się naprzód, musiała zatem zdobyć więcej informacji na temat Hutchinsona. Rzecz jasna miała szczęście, że bezdomny coś zauważył, ale w gruncie rzeczy raczej nie na wiele jej się to zdało, poza utwierdzeniem się we wcześniejszych podejrzeniach.

Kim naprawdę był Galvin Hutchinson? Hochsztaplerem czy perwersyjnym manipulantem? Jaką uknuł intrygę?

Przez całą krótką noc prześladowały Kat obrazy podrapanej kadzi, paznokcia i rozdeptanych owadów. Prywatna detektyw nie potrafiła nadać im sensu. Odrzucała to, co usiłowała jej podsunąć najciemniejsza sfera mózgu, to niemożliwe, nierealne. A przecież Jarvis, przyjaciel włóczęgi Dave’a, był świadkiem... Właściwie czego? *Menel! Alkoholik albo wariat! Jak można mu wierzyć?* A jeżeli te okropne ślady w niecce to był on?

Kat przyśnił się koszmar. Zgraja osobników w kominiarkach, którzy wpychali ją do kadzi skutą kajdankami i naga, na samym dnie roilo się od robactwa, tymczasem ona wrzeszczała, a oni polewali ją kwasem, żeby się rozpuściła. Wokół śmiał się tłum. Krwiożerczy i szalony, rechotał jednym głosem.

*To niemożliwe.*

I lepiej, żeby sobie to wyperswadowała, bo inaczej nie da rady ciągnąć sprawy dalej bez włączenia w nią policji. *Jeszcze nie. Nie w ten sposób. To zbyt ryzykowne i za mało dowodów. Właściwie żadnych, jeśli nie liczyć rys na stali i zeznania z drugiej ręki stukniętego alkoholika.*

Zdołała wydostać się z dziury o własnych siłach. Skoro inni przed nią pozrywali sobie paznokcie, to znaczy, że ich wymęczono, skrępowano albo nie pozwolono im wyjść. *Odrażające.*

Kat zaparzyła sobie kawę i pochłonęła jogurt, który walał się w lodówce. Zawodowy pragmatyzm kazał jej wyjść, prowadzić dalej dochodzenie wokół człowieka, którego główna rola się potwierdzała: Galvina Hutchinsona.

Annie Fowlings zaczeka. Jeżeli Kat zdoła tego dowieść, nie spodoba jej się to, co się kroi. Jej córka związała z mężczyzną i wcale nie musiała dawać znaku życia.

*Nie zapominaj o wypalonym pirografem kocie. O apokaliptycznym zdaniu wytatuowanym na całych plecach. I o SMS-ie do matki ze wzmianką o zmarłej siostrze.*

To nie było takie oczywiste.

Zawołowany krzyk rozpacz? Być może Lena wyjechała z własnej woli, a potem tego pożałowała i działała pod przymusem.

Kat chwyciła torbę i pognąła na Brooklyn do wydziału komunikacji, żeby zdążyć na otwarcie. Licencja pozwalała jej na przeglądanie dokumentów związanych z prawem jazdy. Czasem, gdy urzędnik w okienku nie był przyzwyczajony, należało go przekonać, pokazać mu fragment Ustawy o ochronie prywatności kierowcy, szczególnie wyjątek z paragrafu ósmego, który dotyczył jej profesji, ale Kat, jako stara wyjadaczka, nigdy nie ruszała się z domu bez kopii tekstu.

Galvin Hutchinson figurował w rejestrze: prawo jazdy wydane przez stan Nowy Jork i odnowione przed pięcioma laty<sup>8</sup>. Mierzył metr osiemdziesiąt pięć, na fotografii widniał wychudzony blondyn, który nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt lat. Zgodnie z tym, co twierdziła sąsiadka, miał głębokie, niepokojące spojrzenie.

*Magnetyczne. Ten facet mógłby być pastorem i przyciągać tłumy.*

Czy w pewnym sensie nie tak właśnie się stało?

Ostatni podany adres znajdował się w Syracuse, w tym samym stanie. Kat miała nadzieję, że nadal jest aktualny. Ostatni mandat dostał przed rokiem, za nadmierną prędkość w Carson Mills, w Kansas.

Kat po raz drugi przeczytała nazwę miasta.

*Carson Mills. Kansas.*

Nie wiedziała, co o tym sądzić. Oczywista zbieżność ze słowami, jakie wypowiedział Galvin Hutchinson, sprawiła, że w głowie zapaliło jej się ostrzegawcze światełko, chociaż równie dobrze to mógł być przypadek. *Zwykłe zdanie, a ja od razu się nakręcam. Powoli. Nabierz dystansu, przetraw to.*

Po opuszczeniu surowego budynku rządowego Kat włożyła okulary przeciwsłoneczne i przecięła bulwar, by kupić kolejną kawę. Dokuczało jej klucie w boku, ale było do zniesienia, a ona nie miała czasu, żeby się przebadać. Była przekonana, że nic sobie nie złamała.

Jazda samochodem do Syracuse potrwałaby spokojnie pięć godzin, o ile by się nie guzdrała. Zabrałoby jej to cały dzień, nie licząc czasu potrzebnego na sprawdzenie na miejscu. To się nie opłacało. Zadzwoiła do jednego z kolegów, prywatnego detektywa z Manhattanu, starego wygi, który dobrze znał Big Tony'ego i dysponował szerokimi kontaktami na Wschodnim Wybrzeżu. Poprosiła o namiary na zaufaną osobę w Syracuse i od razu zleciła jej sprawdzenie adresu Galvina Hutchinsona na miejscu. Miało ją to kosztować parę banknotów, ale i tak było lepsze niż wlokąca się bez końca podróż w tę i z powrotem, w dodatku przez nie jej teren.

Z kawą w dłoni Kat wyszła na ulicę i zajrzała do notesu. Kiedy w czasie weekendu wertowała bazę danych PACER, wypluła jej ona kilkanaście spraw, w które był

zamieszany Galvin Hutchinson. Z zajmujących się nimi trzech sądów tylko jeden publikował swoje archiwa w internecie. Kat zdążyła je już przekopać, co oznaczało, że teraz, po otwarciu, dwa pozostałe były dostępne na miejscu. Kat wskoczyła do metra i udała się do pierwszego z nich, na Manhattan. Spędziła tam resztę przedpołudnia z nosem w dokumentach, wspomagana przez pracownika archiwum, lecz nie uzyskała zbyt wielu jednoznacznych wyników. Skargi na zastraszenie, złożone przeciwko Hutchinsonowi przez ofiarę wypadku drogowego, który sam spowodował, z podejrzeniem, że był pijany. Kary się zsumowały. Kat próbowała wyciągnąć z tego jak najwięcej informacji, które dałoby się wykorzystać, ale nic nie znalazła.

Pochłonęła sashimi w podłej knajpie naprzeciwko. Kiedy kończyła posiłek, pod wpływem nadawanej akurat w telewizji reklamy nieruchomości wpadł jej do głowy inny pomysł.

W magazynie w Dziurze coś się wydarzyło. Wiele osób. Być może jakaś makabra. A skoro tamci mogli całkowicie spokojnie dopuszczać się swoich czynów, wiedzieli, że nikt nie będzie im przeszkadzał. Ogrodzenie było nowe, co najmniej z tego roku. Ci, którzy tam przychodzili, czuli się bezpiecznie. Świece i kadź, w której przynajmniej jedna osoba wyrwała sobie paznokcie, usiłując się z niej wydostać... *Oni byli u siebie.*

Kat musiała zdobyć nazwisko właściciela.

Jak na ironię okazało się, że urząd skarbowy Queens znajdował się dość blisko dzielnicy Dziura. Kat dotarła tam wczesnym popołudniem i przy odrobinie sprytu prędko odnalazła w ogólnodostępnej kartotece numer parceli, na której stał magazyn. Ponieważ, jak lubił powtarzać stryj Tony, poszczególne urzędy chętnie trzymają się blisko siebie, bo to im zapewnia poczucie bezpieczeństwa, Kat nie musiała iść daleko do sądu w Queens – dwa kwartały na wschód – gdzie rejestrowano wszelkie transakcje nieruchomości.

Prywatna detektyw ślęczała właśnie z nosem w szufladkach numerowanych szafek, szukając dokumentów związanych z parcelą, gdy zadzwieczał jej telefon. Myśląc, że to oddzwania kontakt z Syracuse, odebrała, nie patrząc na ekran.

– Przynajmniej żyjesz – powiedział męski głos.

*Och, nie, nie teraz.*

– To nie jest odpowiednia chwila, Mitch.

– To nigdy nie jest odpowiednia chwila, chyba że to ty zdecydujesz inaczej.

– Naprawdę zrobisz mi scenę, tutaj, teraz?

– Chciałbym jedynie odrobinę więcej uwagi. Latem będziemy obchodzili szóstą rocznicę, wiesz, a ja nawet nie mam u ciebie własnej szczoteczki do zębów.

Kat poczuła kielkującą irytację. Mitch nie pozwolił jej dojść do słowa, zbyt szczęśliwy, że nareszcie może wyrzygać wszystko, co mu leży na wątrobie.

– Wychodzisz w środku nocy, a potem przez trzy dni nie dajesz znaku życia. Po prostu zastanawiam się, dokąd to wszystko zmierza, Kat, rozumiesz?

– Donikąd, Mitch, i właśnie taka była umowa. Bez komplikacji, oczekiwań, których nie można spełnić, fałszywych złudzeń.

– No cóż, zdaje się, że ja mam oczekiwania i złudzenia. I trudno, skoro po drodze doznam zawodu.

– Posłuchaj, nie mogę teraz rozmawiać. Zjemy razem kolację jutro wieczorem?

– I będziemy poruszać prawdziwe tematy, jak dorośli? Nie wymigasz się po raz kolejny, szcując mnie seksowną bielizną pod płaszczem? Nie tym razem, słyszysz? Chcę, żebyśmy pogadali. Nie szybki numer, chwila wzajemnego towarzystwa i cześć.

Kat przysięgła, że zrobi, co tylko on zechce, wszystko, byleby wreszcie zakończyć tę rozmowę w sali archiwum, i rozłączyła się rozdrażniona. Powróciła do swoich podchodów, aby przestać o tym myśleć.

Dziesięć minut później udało jej się uzyskać kopię ostatniego aktu sprzedaży parceli.

Pochodził sprzed piętnastu miesięcy, a nowym właścicielem okazała się prywatna spółka.

Kat zwolniła, podążając przez hol i doczytując dokument do końca.

Spółka miała swą siedzibę w Carson Mills, w Kansas.



Kat z trudem zaciskała prawą dłoń, której paliczki siniały w oczach.

Przyłożywszy woreczek z lodem, rozsiadła się na kanapie w kawiarni, gdzie przychodziła chować się przed światem.

Magazyn należał do TGHC, spółki z Kansas, która skupowała nieużytki, aby następnie je odsprzedać, gdy nabiorą wartości. Kat odrobiła lekcje, posługując się smartfonem. Magia internetu, dostępnego wszędzie i o każdej porze.

Sęk w tym, że TGHC splajtowała. Po sprawdzeniu okazało się, że ostatni podany adres to opłacona z góry skrytka pocztowa, lecz właśnie zbliżał się termin uiszczenia kolejnej opłaty. Kat przytomnie zdobyła nazwisko i namiary zarządcy. Nie mogła do niego zadzwonić, bezpośrednio pytanie mogłoby wszystko zepsuć, gdyby robił jakieś machlojki z Galvinem Hutchinsonem. Na razie biła się z myślami, co począć z tym odkryciem. Prawdopodobieństwo, że firma jest zamieszana w brudne sprawy, wydawało jej się znikome. Należało raczej założyć, że się nią posłużono. Hutchinson to był cwaniak, mistrz machinacji. Skoro śledził lokalne transakcje nieruchomościami, musiał wiedzieć, że celem TGHC było wyłącznie czekanie miesiącami albo i latami, aż cena terenu poszybkuje w górę. Oni nigdy by się nie osiedlili na miejscu, toteż dysponował sanktuarium dla swoich operacji, na czymkolwiek by one polegały.

*Ale TGHC to firma z Carson Mills w Kansas, tam, gdzie Galvin Hutchinson dostał mandat za nadmierną prędkość rok temu. Był tam.*

Zadzwęczała jej komórka. Zgłosił się prywatny detektyw z Syracuse. Tamtejszy adres Hutchinsona był już nieaktualny, jemu zaś nie udało się natrafić na nic więcej.

Koniec historii.

Kat oceniła swoje szanse na odnalezienie Leny Fowlings, gdyby sama zawitała do Carson Mills, dysponując wyłącznie nazwiskiem dyrektora zbankrutowanej spółki i słowami, jakie wypowiedział jakiś włóczęga z kiepską pamięcią. Słabo. Bardzo słabo. Zawsze mogła podsunąć ten pomysł Annie Fowlings, która opłaciłaby jej bilet bez szemrania, tyle że nie byłoby to zbyt profesjonalne. Jeśli nie chce kręcić się w kółko po wylądowaniu na miejscu, musi mieć więcej danych.

Odsunęła entą kawę tego dnia i zostawiła woreczek z lodem na stoliku. Nie porzucać otwartych tropów. Ostatni sąd, który skazał Galvina Hutchinsona, znajdował się tuż obok. Jeżeli się pospieszy, do zamknięcia zostaną jej dwie godziny.

Tym razem akta były bardziej interesujące, chociaż dramatyczne. Dawna konkubina, którą pobił. Galwinowi Hutchinsonowi wystawiono zakaz zbliżania. Lista

wszystkich policyjnych interwencji w ciągu blisko dwóch lat świadczyła, że przemoc regularnie się powtarzała, zanim dziewczyna rzeczywiście złożyła skargę. Nazywała się Marcia J. Romero i mieszkała o kwadrans stamtąd taksówką. Sprawa była sprzed ponad czterech lat, mimo to Kat uznała, że wyprawa pod wskazany adres nie zaszkodzi.

Gdy stanęła w progu domu Marcii Romero, było już po 17.00. Drzwi otworzyła jej chuda kobieta, na której pół wieku mozolnej szarpaniny z życiem odcisnęło swoje piętno. Musiała być kiedyś ładna, zauważyła z nutą goryczy Kat, wracając myślami do własnych zmartwień.

– O, tak, dobrze znam tego łajdaka – odparła kobieta, gdy Kat wyjawiała jej powód wizyty. – Co znowu zmalował?

Wyszła na ganek i zapaliła papierosa.

– Jeśli powiem, że prawdopodobnie jest zamieszany w zaginięcie pewnej dziewczyny, zdziwi to panią?

– U Galvina? Nic mnie już nie dziwi. Zgwałcił ją?

– Pani zdaniem mógłby to zrobić?

– Nie cierpi, jak ktoś sprzeciwia się jego żądaniom.

– O ile mi wiadomo, jest porywczy.

– Zdecydowanie. Spotkała go już pani?

– Jeszcze nie.

– Proszę mieć się na baczności. Może panią uwieść i zarazem zmrozić jednym spojrzeniem. To twarde, w środku jest bezlitosny. Dla niego liczy się wyłącznie on sam. Czytałam różne rzeczy w gazetach i przez długi czas sądziłam, że to zboczony narcyz, jak o nim mówią.

– Rozumiem.

– Ale to brednie. Galvin to coś innego. On nie jest zboczonym narcyzem, tylko czymś o wiele gorszym. To psychopata. Nie żywi żadnych uczuć wobec innych. Właśnie dlatego pytam, czy zgwałcił tamtą dziewczynę. Moim zdaniem to tylko kwestia czasu, zanim wyrządzi jeszcze więcej zła, niż do tej pory wyrządził, jeśli rozumie pani, do czego zmierzam.

Po tym wyznaniu Marcia Romero zaciągnęła się głęboko papierosem.

– Czy on jest religijny? – zapytała Kat.

– On? Nie, co to, to nie. I nawet diabeł by go nie chciał!

– Czy chodził do klubów albo na jakieś zgromadzenia, kiedy byliście razem? W jakieś miejsce, gdzie mógłby nawiązać przyjaźnię, założyć jakąś... grupę albo sieć, rozumie pani?

– Rozmaite bary, żeby regularnie chlać, ale głównie po to, żeby zorganizować jakiś grubszy przekręt. To kombinator, gdyby kiedykolwiek się pani na niego natknęła, proszę mu nigdy nie ufać!

– Nie zostawił pani przypadkiem adresu albo numeru telefonu?

– Spaliłabym je, gdyby się ośmielił.

– Czy po zakazie zbliżania nie miała już pani od niego żadnych wiadomości?

– Akurat! Byle sędzia nie będzie mu dyktował, co ma robić, nadal mnie nachodził, zwłaszcza żeby położyć łapę na mojej kasie.

– Kiedy widziała go pani ostatni raz?

– Półtora roku temu. Myślałam, że nie żyje. Skoro nie umarł i nie sterczał pod moimi drzwiami, to znaczy, że znalazł sobie nową laskę albo siedzi.

Lena Fowlings nie tarzała się w forsie, nic z tych rzeczy, a po jej zniknięciu matka nigdy nie otrzymała żądania okupu ani prośby o wsparcie finansowe od córki. W jej przypadku motywem nie były pieniądze.

– Czy ma jakieś powiązania z Kansas?

Marcia Romero wydmuchała dym nosem.

– To dla niego za daleko. Poza jednym czy dwoma przeważkami chyba nigdy nie opuszczał Nowego Jorku. Ciągłe go gdzieś nosi, ale jednocześnie nie jest wielkim podróżnikiem.

Kat zadała jeszcze sporo ogólnych pytań, aż wreszcie się poddała. Przekraczając próg swego mieszkania na ostatnim piętrze budynku na Brooklynie, stwierdziła, że nie posunęła się naprzód.

Skoro Galvin Hutchinson udał się aż do Carson Mills, musiał mieć szczególny powód. Albo pragnął znaleźć się jak najdalej stąd, zaszyć w jakimś spokojnym miejscu. Wszystko zaplanował. Do tego stopnia, że przetrząsnął cały kraj w poszukiwaniu cichej przystani. A jego wyprawa na miejsce w ubiegłym roku? Wszystko ukartował. Jak seryjny zabójca, uznała Kat i aż przeszył ją dreszcz.

Zaczęła żałować, że nie może zbadać DNA na pozostawionych u Leny ulotkach i przepuścić Galvina Hutchinsona przez sito kryminalnych kartotek. Sprawdzić, czy jego DNA albo chociaż odciski palców nie pojawiają się w innych brudnych sprawach.

Miała gonitwę myśli, po czym poderwała się, w wyniku ciągu skojarzeń zdjęły ją bowiem wątpliwości. Odnalazłszy ulotkę na drugim końcu korytarza, na biurku, dokładnie ją przestudiowała. To, czego szukała, napisano drobnym drukiem, pionowo na marginesie. Lista numerów i nazwa drukarni. Zajrzawszy do internetu, namierzyła drukarnię w Wisconsin.

Wyposażona w swoją ulubioną broń Kat wybrała numer i ku jej zdziwieniu ktoś odebrał telefon, chociaż dochodziła dziewiętnasta. Dzięki bajerowi i urokowi

osobistemu zdobyła nazwę zleceniodawcy: Joker Diffusion, dziesięć tysięcy egzemplarzy. *Dziesięć tysięcy!* Hutchinson miał wielkie plany. Ponownie posłużycy się komputerem, dowiedziała się nieco więcej o tej małej firmie specjalizującej się w eventach. Przedsiębiorstwo nadal działało, a kiedy Kat odczytała, gdzie się mieści, prawie jej to nie zaskoczyło. Carson Mills, Kansas.

Kat chwyciła stojącą przed nią butelkę rumu, nie nalała sobie jednak. Powinna się wystrzegać tego typu odruchów. Jakże łatwo można wpaść w alkoholizm. Zwłaszcza gdy się jest samotną dziewczyną taką jak ona. Niejeden się szybko stoczył, wierząc, że nad tym panuje.

Zamiast tego, dumna z własnej trzeźwości, wypiła sporą szklankę wody i połknęła dwa tylenole.

Ciąg dalszy był oczywisty.

Godzinę później torba czekała w pogotowiu. Annie Fowlings potwierdziła na piśmie, że akceptuje trop i koszty, które on za sobą pociągnie, po czym Kat wskoczyła do taksówki.

Mitch trzykrotnie próbował się do niej dodzwonić.

Kat zapomniała o tej przeklętej kolacji. Trudno. Poprosi o wybaczenie po powrocie. On zrozumie.

Samolot odlatywał o 22.00, nie mogła więc się guzdrać. Była wyczerpana, miała za sobą nieskończenie długi dzień, który jeszcze nie dobiegł do finału. Odpocznie na pokładzie.

*Wracajmy do Kansas, Dorotko!*

## 29.

Paul Kash miał siwiejące wąsy, podobnie jak obcięte krótko włosy, oraz życzliwe i promienne spojrzenie, od którego człowiek natychmiast nabierał ochoty, żeby mu się ze wszystkiego zwierzyć. Czekał na Atticusa na parkingu – źle oświetlonym z powodu wysłużonych latarni – przed Corner Kafe, restauracją w pobliżu Centralnego Biura, z taco w ręce. Hack postanowił nie zostawiać partnera samego, wysiadł więc z samochodu razem z nim. Zaczynający się dopiero wieczór zapowiadał się ciepło i pogodnie.

Kash zapakował resztki kolacji i przywitał się z kolegami po fachu. Emanował taką serdecznością, że aż trudno było sobie wyobrazić, że to glina, a zwłaszcza że potrafi wymusić posłuszeństwo.

*To sprawia, że jest jeszcze bardziej niebezpieczny,* stwierdził w duchu Atticus, nie mogąc się powstrzymać.

– Wolałbym nie zawracać panu głowy, niestety pański numer pojawia się w wykazie ostatnich połączeń profesora Huxleya – wyjaśnił Kash.

– Jak umarł?

Kash zmierzył obu swych rozmówców wzrokiem, zanim podzielił się informacjami.

– Trudno to wytłumaczyć, jego ciało znaleziono wczoraj rano w Elysian Park, gdzie uprawiał jogging. Nie miał żadnych widocznych obrażeń, za to sikał krwią z nosa i z uszu.

– Morderstwo czy wypadek?

– Czekam na wyniki sekcji, żeby coś więcej wiedzieć. A teraz czy wyjaśniłby mi pan, po co się spotkaliście w sobotę. Czy mogłoby go to powiązać z jednym z pańskich dochodzeń, a nawet postawić w groźnej sytuacji?

Atticus czym prędzej odpowiedział, chcąc uprzedzić Hacka.

– Poprosiłem go o konsultację w sprawie owadów znalezionych na miejscu zbrodni, nad którą pracujemy, to wszystko.

Na te słowa Kash zmarszczył brwi, radość w jego oczach zaś nieco przygasła, ustępując ciekawości.

– Owadów?

*Tu cię mam, ty też znalazłeś insekty na zwłokach Malcolma Huxleya, to jasne jak słońce.*

– No tak, wie pan, jak to się często zdarza z umrzykami. Można dzięki nim określić datę i godzinę zgonu. Na przykład badając larwy much. To dosyć fascynujące. Krótko

mówiąc, technicy nie mogli mi dostarczyć odpowiedzi przed upływem kilku tygodni, a sam pan wie, jak jest, musimy szybko posuwać się do przodu. Wobec tego uprzedziłem ich badania i udałem się ze swoimi pytaniami prosto do specjalisty. Nie na wiele się to zdało.

Atticus miał tylko nadzieję, że profesor Huxley nie prowadził dokładnego dziennika ani nic w tym rodzaju, co mogłoby go zdemaskować, bo inaczej jego gładkie kłamstwo wkrótce wyszłoby na jaw.

Kash dał znak, że rozumie, i przygładził wąsy palcami.

– Uprawiał jogging, mówi pan? – ciągnął Atticus. – Brak ran wyklucza potrącenie przez samochód, którego kierowca od razu zbiegł?

– Na tym etapie sam pan wie, jak jest, nie mam żadnej pewności. Według mnie rozległy udar mózgu jest tak samo prawdopodobny – odrzekł w zamyśleniu Kash.

– Mogę zapytać, po co pan mnie wzywa, skoro nie wyklucza pan wypadku?

– Zacząłem odtwarzać rozkład dnia Huxleya, a pan pojawia się w jego terminarzu, podobnie jak w wykazie połączeń. Jest pan ostatnią osobą, z którą rozmawiał przez telefon, oprócz żony w sobotni wieczór.

– Chciał mi przedstawić swoje wnioski. Niezbyt przydatne, muszę przyznać.

Hack, któremu milczenie zawsze przychodziło z trudem, wtrącił:

– Chce pan naszej pomocy? Możemy przejrzeć billingi, żeby się upewnić, czy nie ma w nich jakiegoś znanego numeru, który mógłby się łączyć z naszym śledztwem.

Kash posłał mu jeden ze swych najpiękniejszych uśmiechów.

– To raczej nie będzie konieczne. Sam się tym zajmę, a jak coś się wyklaruje, dam wam znać. Dziękuję za poświęcony czas.

Atticus patrzył, jak jego auto odjeżdża i znika w Maple Avenue.

– On wie, że ściemniasz – rzucił Hack.

– Tak.

– Dłaczego nie grasz z nim w otwarte karty?

Atticus odwrócił się do partnera.

– Bo to grubsza afera, Hack, olbrzymia, a kiedy to się rozniesie, odstawią nas na boczny tor i wcisną dochodzenie tym z RHD.

– Naprawdę sobie wyobrażasz, że takie dwa palanty jak my rozwiążą tę sprawę?

– Tak trzeba.

– Taa, ja też chciałbym trafić na pierwszą stronę „Timesa”, ale bądźmy realistami, jakie mamy środki do dyspozycji? Trzech denatów, w tym dwóch, co do których nawet nie prowadzimy oficjalnego śledztwa.

Atticus pokręcił głową w żółtawym świetle parkingu.

– Hack, to kwestia czasu, a wszystko nabierze rozpędu. Riotta sprzątnięto, bo na coś natrafił, a teraz Huxley, tuż po mojej wizycie! Złapaliśmy trop, niedługo przyskrzynimy tego sukinsyna, kumasz?

Pochwyił wzrokiem rzędy namiotów okupujących centrum i postacie, które błąkały się wokół nich niczym zjawy. Pośród nich krążył potwór. Najgorszy z możliwych. Atticus potrafił niemal wyczuć jego metaliczny odór, blisko. Zapach krwi.

Hack odstawił służbowego forda taurusa na parking przy Hollywood Station, oddał kluczyki i wpisał się do rejestru na kontuarze u dyżurnego. W tym samym czasie Atticus ledwie zdążył wpaść na salę detektywów i sprawdzić, czy nie nadeszły jakieś wiadomości, gdy na drugim końcu ukazał się porucznik Petrozza.

– Gore! Do mnie!

Obecność porucznika po dwudziestej pierwszej i jego ton nie zapowiadały nic dobrego.

Wielkolud czekał oparty jednym pośladkiem o biurko.

– Co to za burdel? – zapytał bez wstępów. – Niecałą godzinę temu zadzwonił do mnie sam szef we własnej osobie i oświadczył, że jesteś cholernie upierdliwy i że powinienem cię trzymać na smyczy. Możesz mi to wyjaśnić?

– Sam Jego Wysokość?

– W dodatku bezpośrednio do mnie, z pominięciem kapitana. Jak kapitan się o tym dowie, będzie wściekły.

Dochodzenie właśnie wymykało mu się z rąk. Skoro sam komendant policji osobiście złapał za telefon, to znaczyło, że Atticus nieźle namieszał. *EneK*. To oni musieli interweniować, żeby tak szybko poszło, i od razu walnęli z grubej rury. *Nie tracili czasu...*

Atticus przygryzł wargę i cicho zamknął drzwi, aby zapewnić sobie maksimum ciszy i prywatności.

– To nasz denat z zoo, panie poruczniku – odparł. – Nie był pierwszy, RHD prowadził podobne śledztwo jakieś pół roku temu, a od wczoraj na pewno mamy kolejne ciało.

Petrozza zdjął okulary i przetarł oczy.

– Chwileczkę, masz na myśli seryjnego zabójcę?

– Tak.

Porucznik westchnął głęboko, jakby chciał się oswoić z tą nowiną.

– A dlaczego szef do mnie dzwoni i mówi, że zawracasz dupę?

– Bo ludzie, u których dzisiaj węszyłem, jedzą z nim przy jednym stole, a może nawet mają powiązania jeszcze wyżej.

Petrozza pokręcił głową.

– W jakie gówno wdepnąłeś? Zabezpieczyłeś się?  
– Jestem w stanie znaleźć związek między tymi trzema morderstwami. Na cienkich podstawach, ale jeśli RHD będzie współpracować, da się zrobić.

– RHD? Pożrą cię na surowo, Gore.

– Właśnie dlatego wypływam na głębokie wody.

Petrozza wpatrywał się w swojego śledczego, nie dodając ani słowa więcej. Po długim namyśle się odezwał:

– Masz podejrzanego?

– Jestem blisko.

– A co na to Hackenberg?

– Jest całkowicie po mojej stronie.

Petrozza wytarł okulary skrajem amerykańskiej flagi, która tkwiła na poczesnym miejscu.

– Daję wam czterdzieści osiem godzin – oznajmił. – Potem sporządzisz mi dokładny raport i prześlemy go RHD, żeby ocenili sytuację.

Innymi słowy miał dwa dni, zanim wykopią go ze śledztwa.

Atticus położył dłoń na kłamce, przed wyjściem jednak zapytał:

– Co szef panu powiedział?

– Że jak twoja noga znów postanie w EneKu bez arcyważnego powodu, z błogosławieństwem samego prokuratora okręgowego mam cię ukrzyżować i spalić żywcem. Bo inaczej już on ci zgotuje coś gorszego.

Pełen neonów, reklam, szyldów nad restauracjami Sunset Boulevard umykał za szybami mini coopera, czemu towarzyszyły wściekłe szarpnięcia plektronu Dave'a Mustaine'a, który śpiewał *Hangar 18*. Atticus zawahał się, czy nie stanąć przed jednym z punktów *drive-through* i nie wziąć czegoś na kolację, ale zrobiło się już późno, a zgodnie z jego kodeksem zdrowego życia jedzenie po określonej porze nie było rozsądne. Wyłączył kawałek Megadeth, nie miał nastroju. Wybrał Craddle of Filth, lecz niemal natychmiast kliknął ponownie. Musiał pomyśleć.

*Sail Into The Black Machine Head*. Wnętrze samochodu wypełnił gardłowy głos Robba Flynna, niemal piekielny tybetański śpiew. To było lepsze.

Atticus poczuł frustrację i jednocześnie pełne ekscytacji uniesienie. Żaden z jego wniosków nie prowadził do potencjalnego podejrzanego. A przecież on znajdował się całkiem blisko, zmuszony zabijać, żeby się bronić. Gonił ich czas. Wszystkich.

*Od teraz muszę jak najstaranniej planować kolejne posunięcia. To partia szachów. Krótka wycieczka do EneKu okazała się błędem. Atticus był ledwie komarem ocierającym się o czołg i właśnie rozkwasił się o pancierz. Dobrze, że przynajmniej nie otworzyli ognia, bo wtedy razem z Hackiem mielibyśmy przerąbane do końca kariery.*



Zgoda, to nie było zbyt sprytne z jego strony. Na co on liczył? Firma się broniła, nic więcej, nie trzeba od razu popadać w paranoję ani upatrywać w tym przyznania się do winy.

Spostrzegł na chodniku bezdomnego, który z trudem pchał swój wózek, z twarzą niemal niewidoczną pod długimi włosami, zarostem i brudem. Przypomniał sobie słowa Trappiera.

W całym swym szaleństwie wcale tak do końca się nie mylił. Pośrednio potwór ze Skid Row o mało nie wypchnął go na margines, a jeżeli nadal będzie tak postępował, w mgnieniu oka się go pozbędą i wszędzie będzie niemile widziany. EneK miał absolutną władzę, a jeśli jego prezesi sobie tego zażyczą, mogą go dosłownie wymazać, wdeptać w ziemię.

Oscar Riotto ominął wszelkie radary, przeprowadził własne śledztwo, nie budząc niczyich podejrzeń. *Jego nie obowiązuje hierarchia, nie musi nikomu zdawać relacji.* I mógł temu poświęcić dużo czasu, bo najwyraźniej sporządził listę potencjalnych ofiar potwora. *Aż powinęła mu się noga.*

Od czego zaczął? Co stanowiło źródło?

*Trappier?*

Minąwszy bezwiednie dodatkowe dwa kwartały, Atticus zawrócił.

Wiedział, że nie zdoła zasnąć. Po krótkim namyśle, kiedy to rozważał wszystkie za i przeciw intensywnego treningu, a następnie wahał się, czy nie zadzwonić do jednego z chłopaków, z którymi się od czasu do czasu umawiał – przy użyciu kilku banknotów pięćdziesięciodolarowych, stanowiących cenę za spokój – podjął decyzję. Może spożytkować całą tę energię w o wiele przydatniejszy sposób.

Puścił na głośniki wielki klasyk *For Whom The Bell Tolls* Metalliki i podkręcił dźwięk na cały regulator, jednocześnie dodając gazu.

W oddali mógł usłyszeć dzwony.

Tylko komu biły?

## 30.

Tym razem Trappier poprowadził Atticusa przez Venice aż do kanałów. Był przyjemny wieczór, minęli zaledwie kilka par, które przechadzały się splecione w miłosnym uścisku, spacerowicza z psem i grupę spieszącej dokądś młodzieży. Mężczyźni przekroczyli pierwszy most i zanurzyli się w dzielnicy, gdzie życie toczyło się niemal z namacalną łagodnością, szeregowie domy we wszystkich możliwych stylach architektonicznych stały obok siebie na długich prostokątach ziemi w otoczeniu wody.

O tej porze nie było tłoku. Trappier odezwał się cicho, nie przestając się posuwać naprzód, chociaż w wyraźnie spokojniejszym tempie.

– Widzimy się po raz ostatni – zapowiedział. – Jeżeli ktoś pana śledzi, namierzają mnie.

– Czy poza systemem w ogólnym sensie obawia się pan kogoś konkretnego?

Trappier odgarnął dmuchnięciem siwy kosmyk z twarzy i zmierzył Atticusa wzrokiem.

– Niech pan nie lekceważy moich ostrzeżeń. Kiedy człowiek jest całkowicie niezależny, wolny od zasad rządzących światem, tak jak ja, staje się nieustannym celem. Bo oni nie chcą, żeby ta zaraza się przeniosła dalej. Wyobraża pan sobie, żeby jutro tysiące, a potem miliony ludzi odrzuciły dyktaturę konsumpcji? Koniec z telewizją, koniec z internetem, koniec z odmóżdżającą robotą, precz ze smartfonami, śmieciowym żarciem, podporządkowaniem modzie, zegnajcie sieci społecznościowe, które kreują osobowość spod sztancy... Kapitalistyczny model rozwalony przez własnych użytkowników. Oczywiście, że jestem w niebezpieczeństwie. Wszyscy żądają mojej głowy albo przynajmniej chcą mnie uciszyć. Jak pan sądzi, dlaczego nikt nie czyta moich artykułów?

Atticus miał na końcu języka odpowiedź, że przyczyną jest jego samowykluczenie z masowego systemu i że właśnie z powodu izolacji jego krzyk niesie się samotnie po pustyni, którą sam się otoczył.

– À propos międzynarodowych koncernów, zna pan EneK?

– A pan wie, kto jest prezydentem Stanów Zjednoczonych? Oczywiście, że znam EneK! Przecież dokładnie o tym mówię. Oni się tak bardzo rozrosli, że to już nie jest firma, to prąd nośny, kreator rzeczywistości, wszechogarniający byt, który objął nas we władanie i steruje naszym życiem. Jego prezes jest teraz liderem, ma tak wielką

moc, że może ukształtować świat według własnego widzimisię. Podobnie jak reszta „wielkiej czwórki”!

– Czy EneK ma związek z muzeami albo ze specjalistami w dziedzinie entomologii?

– Czego pan szuka?

– Prawdę mówiąc, sam nie wiem, po prostu usiłuję zrozumieć, dlaczego Oscar Riotto zginął z ręki tej samej osoby co jeden z księgowych EneKu. Sprawa z owadami. A ponieważ wiem, że jego szef, Edwin Kowalski, zainwestował mnóstwo pieniędzy w biotechnologię, zastanawiałem się...

– Niech pan sobie wbije do głowy, że EneK ma środki na wszystko. Niemniej jednak nie jest pan w stanie zmierzyć się z takim kolosem. Przede wszystkim proszę sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego EneK miałyby to zrobić? Na co mogłoby im się to przydać?

– Prawdopodobnie na nic. Nie podejrzewam samej firmy, ale kogoś stamtąd.

– To bardziej trafne. Jeżeli istnieje związek między waszymi dwoma denatami, szukajcie od strony ludzi, nie od strony stojącego ponad nimi podmiotu, jego drzwi na zawsze pozostaną przed wami zamknięte.

– Zdążyłem to zauważyć.

– Proszę nie zapominać, że jest pan jak mrówka w obliczu cyklonu. Niech pan zegnije kark i nie wychyla głowy ponad ziemię, prowadząc śledztwo, bo inaczej on pana porwie.

Trappier wskazał piękne budowle wokół nich.

– Wszyscy ci ludzie uważają się za wolnych, bo żyją w demokracji. Akurat! Rządzą konsorcja, wszędzie panuje zmowa, od polityki po informację, nawet w rozrywce. Dobrze wytresowani obywatele robią, co im się każe: pracują, są posłuszni, kupują. Wpasowuje się w to idealnie utopia elekcji, związków zawodowych, łatwej kontestacji, aby upuścić nadmierne ciśnienie. A żeby zachować pozory wyboru, ogłupia się istoty ludzkie, podsuwając im gotowy pakiet w każdej dziedzinie, aż w końcu nawet nie zdają sobie sprawy, że za każdym razem to jest to samo gówno, mające ten sam cel: zniewolić je. Nasza codzienność jest naszpikowana narzędziami pozwalającymi nas zanalizować i uprzemysłowić. Szpieguje się drobiazgowo nasze poszukiwania w internecie, nawet telefony bezustannie nas podsłuchują i przesyłają dane do programów, które nagrywają, rozszyfrowują i klasyfikują nas według osobowości. Oni wiedzą o nas wszystko, wszystko, nawet o której godzinie chodzimy srać, bo większość ludzi korzysta z okazji, żeby wyjąć komórkę! Reklama celowana, dostosowany marketing i rynek przekształcają opakowanie, żeby stworzyć wielką iluzję wyboru. Akurat! Zawartość zawsze jest tak samo pusta.

Trappier kręcił głową, przybity i poirytowany. Odetchnął i zaczął mówić dalej:

– Przystraja się to wszystko w wirtualne profile, dzięki którym pozwala się ludziom przybrać maskę próżnej oryginalności i mamy doskonałe opakowanie. Wszystkie te barany pędzą z zagrody do rzeźni, nawet nie pojmując, że były tylko narzędziem systemu kontrolowanego przez maleńką garstkę jednostek, jedynych, które są wolne, które dokonują prawdziwych wyborów. Co do całej reszty, ich cenne życie w rzeczywistości nie liczyło się bardziej niż pierdnięcie szczura.

Trappier chwycił Atticusa za ramię i zacisnął palce.

– Ale, do licha ciężkiego, życie jest cenne, przecież to wszystko, co mamy! Raptem kilka dziesięcioleci i wszystko, co człowiek myślał, ulatnia się w nicości.

– Nie jest pan wierzący, panie Trappier?

– Religia? Mówi pan poważnie? To jeszcze jedna manipulacja możliwych, niech pan otworzy oczy! Czytał pan historię wierzeń? O ich narodzinach i rozwoju każdego z nich? Dlaczego każda religia pojawia się dokładnie w chwili, gdy ludzie potrzebują nad sobą kontroli? Dlaczego każda religia wpasowuje się w lokalną kulturę albo zostaje narzucona innym przemocą przez silniejszych? Ponieważ to są pierwsze narzędzia zniewolenia mas! Przed rewolucją przemysłową i światowym handlem, zanim znaleziono sposób na zaszczepienie wiary w postęp społeczny. Ach, porozmawiajmy o nim! To nic innego jak wabik, żeby zapewnić większej liczbie ludzi możliwość konsumpcji, a tym samym za pośrednictwem uzależnienia ich od posiadania wyprodukować łatwe do usidlenia cele.

Atticus czuł, że coraz bardziej zbaczają z tematu i że później trudno mu będzie na powrót skupić uwagę Trappiera na tym, co go interesowało.

– Nie przestaję się zastanawiać nad Oscarem Riottem. W jaki sposób odkrył potwora ze Skid Row? Czy to wyszło od pana?

Trappier znieruchomiał, gdy nagle zapaliło się przed nimi światło, po czym jakiś mężczyzna wyłonił się z budynku ze śmieciami.

– Nie. Oscar wpadł, żeby zapytać mnie o zdanie na ten temat, ale nigdy wcześniej o tym nie słyszałem. Był mocno podekscytowany.

– Powiedział panu, kto mu dał cynk?

– Jak zwykle jego źródło.

– Tak, ale jakie?

– Myśli pan, że dzielimy się tego typu informacjami? Rozmawiamy sobie z Oscarem, dobrze się rozumiemy, ale nie można świrować, nie do tego stopnia, żeby ujawniać własne źródła.

– Czy mógł zachować namiary na swoje źródło?

Tym razem Trappier przystanął i przyjrzał się Atticusowi.

– Jest pan naiwny jak na glinę.

– Zdziwiłby się pan, widząc, co niektórzy ludzie przechowują dla bezpieczeństwa, z ostrożności, na wszelki wypadek albo po prostu żeby odświeżyć pamięć.

– Doskonale wiem, mówię tylko, że jeśli potwór zabił Oscara, zatarł wszelkie ślady swojej obecności również u niego.

Istotnie, mieszkanie Riotta przewrócono do góry nogami, kolejny dowód na to, że morderca traktował ofiarę bardzo poważnie. *Punkt dla ciebie, cymbale*. Atticus nie lubił, kiedy ktoś wytykał mu błędy.

– Coś panu powiem – upierał się Trappier. – Gdyby Oscar zabezpieczył się na wypadek nieszczęścia, to ja byłbym adresatem. Tymczasem nic nie dostałem, bo inaczej bym teraz z panem nie rozmawiał. To koniec. Na cokolwiek natrafił, to zniknęło wraz z nim.

Właśnie tego obawiał się Atticus. Pozostała mu więc tylko jedna możliwość: podążyć śladem Oscara Riotta. Postępować tak jak on w nadziei na uzyskanie idealnych rezultatów.

– Trappier, nie mogę panu udzielić żadnej rady w kwestii ostrożności, ucieka pan przed ludźmi lepiej niż ktokolwiek inny. Niemniej, jeżeli zobaczy pan owady, to znaczy ogromną ilość owadów, choćby się to panu wydało pokręcone, niech pan spieprza jak najdalej i jak najprędzej.

Tym razem to Trappier popatrzył na niego tak, jakby się zastanawiał, czy przypadkiem nie zwariował.

Atticus się pożegnał.

Musiał ruszyć w teren.

Przemierzyć terytorium potwora w porze łowów.

## 31.

Gdy osłona dnia się rozwiała, Skid Row nie przypominał już obozu dla uchodźców, lecz strefę wojny. W mętnej nocnej ciszy cienie czmychały ukradkiem, w pośpiechu, skulone, bezszelestne, z lękiem przemykając przez ulice albo podążając na paluszkach wzdłuż namiotów. Istnieć oznaczało pokazać się, a zatem wystawić na niebezpieczeństwo. Paść ofiarą ćpunów na głodzie, cierpiących na bezsenność nawiedzonych szaleńców, zboczeńców pragnących wyrządzić krzywdę albo pierwszego lepszego oportunisty, który usiłuje przeżyć, okradając bliźniego, nawet z pary starych, ledwie wysuszonych butów.

Miejskie oświetlenie było skąpe, a na niektórych ulicach co druga latarnia została stłuczona. Mrok spowijał przepełnione chodniki woalem, przez który przenikał z rzadka elektryczny blask wewnątrz namiotów, niekiedy płomień w puszcze po konserwie. Zewsząd zaś dobiegały szepty, cichy szmer społeczności. Jedni mówili sami do siebie, czasem rozlegały się krzyki albo kłótnie, przebłysk przemocy, płacz, a nawet popiskiwanie dziecka.

Przebrawszy się w strój schowany na dnie bagażnika, aby nie wparować tutaj w luksusowym garniturze, Atticus przedzierał się powoli przez ten labirynt nędzy, z wyostrzonymi wszystkimi zmysłami. Unikał najbardziej ruchliwych grup, które wypatrywał bez trudu, i co jakiś czas przystawał w jakimś załomie, aby spędzić chwilę z milczącymi postaciami wokół beczki z palącymi się śmieciami. Żar żłobił wszystkie te zmęczone twarze jeszcze głębszymi bruzdami.

Namiotowa ośmiornica ciągnęła się daleko poza Skid Row. Aż do ratusza na północy i do granic Fashion District na południu. Niektóre instalacje wykraczały poza szalasy: deski zamiast ścian, odgradzające płachty płótna i sterty podartych kartonów wszędzie wokół, niczym ochronne żywopłoty. Od jak dawna mieszkali tutaj ci ludzie? Atticus powątpiewał w oficjalną liczbę dwóch i pół tysiąca osób zajmujących fragment rynsztoka – miał wrażenie, że to bezkresne morze. A wyścig po wydajność, zażarta konkurencja, żeby utrzymać się w trybach systemu, pozwalały przypuszczać, że w ciągu najbliższych lat miejsce to będzie coraz bardziej pękać w szwach. Chociaż jego przemowa obfitowała w skrajności, Trappier tak do końca się nie mylił w swoich osądach. Skoro społeczeństwo nie może wyeliminować tych, którzy nie nadążają, upycha ich z dala od mieszkalnych dzielnic i odwraca wzrok. Obojętnie pozwala na samozagładę najsłabszych elementów. *Nikt nie zamierza brudzić sobie rąk, czas robi swoje...*

Kiedy Atticus miał dość błąkania się, przysiadł na murku i czuwał. O pierwszej w nocy szmer ucichł, dały się słyszeć jedynie głosy tych najbardziej niezrównoważonych, którzy nie potrafili zasnąć, na ogół w kółko miotających przekleństwa. Momentami Atticus dostrzegał jakiegoś osobnika, który przemykał pod fasadami magazynów albo płotami wzdłuż parkingów bądź nieużytków, a wtedy go śledził. Większość przetrząsała śmietniki, podkładała cichaczem własność należącą do sąsiada albo udawała się za potrzebą. Wszyscy wracali do swojego zaimprovizowanego igloo.

Kilkakrotnie wyrastali przed nim jakiś mężczyzna bądź kobieta i proponowali loda w zamian za pieniądze, jedzenie czy dragi i za każdym razem Atticus nie mógł się opędzić od myśli, że skoro mu to proponują, to znaczy, że istnieje rynek dla tych ludzkich wraków, które ledwie trzymają się na nogach, z opuchniętymi wargami, ze strupami na twarzach i nieobecny, już martwym wzrokiem.

Ilu ludzi przychodzi tutaj, by wykorzystać ich nędzę? W ekonomii aż do przesady cynicznego rynku, gdzie każda nisza powstaje według podaży i popytu, gdzie upadek jednych zapewnia powodzenie innym, kto może stwierdzić, czy rozpacz nie podlega recyklingowi w postaci przemysłu beznadziei, gdzie każdy może do woli albo za bezcen wykorzystać, kogo tylko chce, i zaspokoić zboczone fantazje?

Potwór ze Skid Row nawet nie musiał się ukrywać, wystarczyło, że powąłęsał się jak cień wśród zapomnianych, przyczał, by wybrać najsłabszą ofiarę i uderzyć w odpowiedniej chwili. Nietrudno pozostać niezauważonym w królestwie obojętności.

W jaki sposób je wybierał? Jakie stosował kryteria? Aby na to odpowiedzieć, Atticus powinien przestudiować poprzednie ofiary. Tylko że na co mógł liczyć w miejscu takim jak to, gdzie nikt zbyt wiele nie wie o innych, gdzie kłamstwo zapewniające ochronę i przetrwanie, albo to czysto patologiczne, stanowiło dogmat? Uzyskanie wiarygodnych informacji było rzeczą niemożliwą.

Snując takie refleksje, skierował się do zakątka, gdzie mieszkał człowiek, który poprzedniego dnia zgodził się z nim porozmawiać, i zajął pozycję w pobliżu. Doskonale zdawał sobie sprawę, że to na nic się nie zda, przecież nikt nie wyskoczy ze ścieków, żeby rzucić się na jego kontakt tuż pod jego nosem, mimo to z braku czegoś lepszego przysiadł na podeście betonowego budynku i czekał.

Od czasu do czasu nocną ciszę zakłócały jęki cierpienia, jednak głównym dźwiękiem, jaki się o tej porze rozlegał, było chrapanie.

Atticus zachowywał zadziwiającą czujność. Jego mózg pracował na pełnych obrotach, nie mogąc przestać, nieustannie międląc.

*Już lepiej być tutaj, niż gapić się w sufit...*

Wyobrażanie sobie, że mógłby stanąć oko w oko z zabójcą, a tym bardziej, że zdoła go rozpoznać, jak tylko go zobaczy, zakrawało na pocieszna naiwność. Będzie się włóczył, żeby nasiąknąć atmosferą, dopóki nie uśnie. *Czym nasiąknąć? Masz się za Hemingwaya? Jesteś gliną, a gliny analizują, przesłuchują, przeszukują, ale nie czują atmosfery...*

Robił to także na miejscu zbrodni. *Gdyby przyniosło ci to szczęście albo na coś się zdało, byłoby o tym głośno...*

W namiocie jego kontaktu rozbłysło światło i Atticus się wyprostował. Odczekał chwilę, patrząc, jak światło słabnie, słyszał obracającą się korbkę, po czym latarka z ręczną prądnicą zaczęła świecić.

Atticus wstał i podszedł do namiotu. Poskrobał paznokciami w nylon.

– Mel? Mel, tu Atticus Gore, wczorajszy śledczy, pamięta pan?

Zamek błyskawiczny się rozsunął i w szparze ukazał się zdumiony Mel.

– Co pan tu robi o tej porze?

– Najwyraźniej to samo co pan. Nie mogę spać.

Mel włożył drugi T-shirt na ten, który już miał na sobie, i wyszedł z namiotu. Zaczerwienione oczy zdradzały chroniczną bezsenność.

Atticus spodziewał się, że od razu usłyszy żądanie pieniędzy, zamiast tego jednak mężczyzna zaproponował:

– Chce pan herbaty ziołowej? Udało mi się ją skądś wytrzasnąć i trzymam w termosie. To dobre na sen, pomaga.

Obaj mężczyźni usiedli na krawężniku.

– Dlaczego nie może pan spać, co?

Mel wzruszył ramionami.

– Trudno się odprężyć przy... tym naokoło.

– Jak długo pan tu jest?

Mel zmierzył go spojrzeniem, zaskoczony, że może w ogóle kogoś obchodzić.

– Co teraz mamy? Początek kwietnia? Niedługo będzie półtora roku.

– Jak to się stało?

Mel potarł policzki wpatrzony w dal.

– Nie będę pana okłamywał jak cała reszta tutaj, która chce dobrze wypaść. Jak ich posłuchać, zawsze są bez winy. Ja dawałem w palnik. Za mocno. Kobita poszła się bujać, robota też, a potem to już leci, człowiek nawet nie zdaje sobie sprawy, jak szybko. Z początku, w pierwszych dniach powtarzasz sobie, że to tylko chwilowe, dopóki nie znajdziesz pracy, że nie warto prosić o pomoc. A potem grzęzniesz na dobre. Kiedy wreszcie do ciebie dociera, że to już koniec, że stałeś się uliczną zjawą, jak ci, których dawniej w ogóle nie zauważałeś, jest za późno. Teraz jest po ptakach,



z moją gębą nie znajdę normalnego zajęcia. Trzeba patrzeć realnie, przy całym bezrobociu, jakie panuje w kraju, taki szef może wybierać między gościem z prezencją, z jakąś pozycją społeczną a mną: bez stałego adresu. Od razu sobie wyobrazi, że moja moralność jest tak samo wątpliwa jak higiena: dokona wyboru raz-dwa.

– Nie ma pan nadziei na powrót do normalności?

– Chciałbym mieć zwykłe życie. Tylko nie wiem, jak to zrobić.

– Co sprawia, że pan się jakoś trzyma?

– Po pierwsze, jak u wszystkich ludzkich śmieci, które pan tu widzi, tchórzostwo. Większość z nas nie ma jaj, żeby ze sobą skończyć. Nawet jak zdychamy z gorąca latem, przy czterdziestu pięciu stopniach w cieniu, i tak wolimy to niż śmierć. Czepiamy się życia jak muchy gówna.

– Nie chciałem tego powiedzieć, Mel, przepraszam.

– Ależ nie, to prawda.

– Sprawia pan wrażenie silnego.

– Powiem panu, dzięki czemu się trzymam: dzięki iskierce nadziei. Właśnie dlatego nie przeszedłem jeszcze całkiem na drugą stronę jak ci, którzy przestali się myć, czasami szczają w gacie po nocy, zamiast ryzykować, że ich ktoś napadnie, kiedy będą szukać sracza. Chwytam się pazurami pewnego marzenia.

– Jakiego marzenia?

Mel upewnił się, czy nikogo nie ma w pobliżu, i przysunął do Atticusa.

– Czekam na wielki krach. Aż wszystko się zawali.

– Co znaczy wszystko? Świat?

– Tak. Jak giełdy oszaleją i po raz ostatni się posypią, jak cały system zostanie wessany, zawałą się banki, nikt nie będzie miał już szmalu, państwo zostanie przeciążone, nawet Gwardia Narodowa nie da rady nic zrobić, faceci będą woleli zostać w domach i pilnować rodzin, zamiast słuchać rozkazów podyktowanych przez panikę. Wojsko też przestanie dostawać wynagrodzenie, podobnie jak gliny, i z początku będą się starać ze wszystkich sił, aż wreszcie skapitulują jak byle kto... Ludzie będą mieli w głowach tylko jedno: zgromadzić jak najwięcej żarcia i wody, dopóki to nie minie, tylko że powstanie chaos, więc nikt już nie pójdzie do roboty, no bo po co, skoro to się na nic nie zda? Brak prądu, brak ogrzewania i klimy, koniec. I zabarykadują się, żeby chronić skromny dobytek. Mogę pana zapewnić, że przy całej tej broni, która się wala w naszym kraju, będzie gorąco od rana do wieczora, matki i ojcowie zamienią się w wilki i hieny, żeby bronić swoich najbliższych, i to będzie początek apokalipsy.

– Właśnie na to pan czeka? Na wojnę domową?

– Dlaczego nie? Z początku trzeba by działać ostrożnie, nie rzucać się w oczy, ale ja to potrafię. Jak tylko wszystko się ułoży, wszyscy znów znajdziemy się na jednakowym poziomie. Skończą się różnice, przywileje, podział na pozbawionych środków do życia i krezusów, zostaną tylko mężczyźni i kobiety zmagający się z codziennością, żeby przetrwać. Wtedy taki gość jak ja da sobie radę. Może nawet znaleźć wyznawców. Otoczę się nimi, poprowadzę ich i stanę się czymś w rodzaju króla.

Atticus, który uważał go za trzeźwo myślącego, odkrył z goryczą, że Melowi roi się o dominację poprzez destrukcję.

– Co pan robił przed chwilą w namiocie? – zapytał.

– Czytałem. Podręcznik przetrwania. Jak znaleźć wodę, rozpoznać jadalne grzyby i tak dalej.

Atticus był przybity. Miał już dość i wreszcie chciał wracać.

– Przyszedł pan z powodu listy? – zapytał Mel.

– Znalazł pan nazwiska pozostałych zaginionych?

– Nie żebym był zawałony robotą – odparł ironicznie mężczyzna, wsuwając się do namiotu, by złapać świstek papieru. – Mam jeszcze dwójkę potwierdzonych. Nie umieściłem tych wskazanych przez lamusów, do których nie mam zaufania. Proszę.

Atticus rozczytał nerwowe pismo: Dominik Sheppard, Baby Roy, Lorette, Ravnik Chessernicof.

– Dobra, co do pisowni nazwisk, to nie jestem pewien. I nie odkryłem prawdziwej tożsamości Baby Roya. Lorette, właśnie tak na nią mówiliśmy, nikt nie umiał mi powiedzieć, jak się nazywa. Będę grzebał dalej, są jeszcze inni, mnóstwo innych, to pewne. Niech pan wpadnie w tygodniu.

Atticus poczuł zawód. Trochę zbyt szybko porwał się na tę listę, mając nadzieję, że zdoła z niej wyciągnąć modus operandi, że dzięki niej lepiej zrozumie zabójcę, ale uświadomił sobie, że nic nie może zrobić. Nazwiska były niekompletne albo przybliżone, w dodatku należały do osób, które zniknęły z rządowych baz danych jakiś czas temu. Na co on liczył?

*Dlaczego akurat Oscarowi Riottowi udało się coś uzyskać dzięki tej liście ofiar? Co takiego trzymał w garści, czego ja nie znalazłem?*

Atticus wyjął komórkę i wybrał zdjęcie martwego dziennikarza. Może Mel zdoła mu pomóc odtworzyć jego drogę przez te ulice.

– Przypomina pan sobie tego mężczyznę?

– Tak, pokazywał mi go pan wczoraj, gadałem o nim z chłopakami stąd.

– Ja też próbowałem.

– Już panu mówiłem: przy panu nie pisną ani słowa, pan nie jest jednym z nas, tylko jednym z „tamtych”. Za to mnie Pedro i Lana opowiadali, że pamiętają tego

pańskiego kolesia.

Atticus zastrzygł uszami i się wyprostował.

– Widzieli go? Przypominają sobie, gdzie i do kogo się zwracał?

– Nie, nie bardzo, tylko tyle, że go widzieli. Nieźle węszył.

– A z nim zgodzili się rozmawiać? – zdziwił się Atticus.

– Tak, ale to nie to samo. Bo on został wprowadzony przez odpowiednią osobę.

– Kogoś takiego jak pan? Mógłby pan zrobić to dla mnie?

Mel parsknął i pokręcił głową.

– Nie, nie jarzy pan, on miał przewodnika, który dobrze znał teren i jego mieszkańców i któremu oni ufali. To dziewczyna, która pracuje dla jednej fundacji, przez długi czas opiekowała się nami na ulicy.

– Członkini jakiegoś kościoła?

– Nie, chyba nie, to była po prostu fundacja... No wie pan, takie coś, żeby uspokoić sumienie bogaczy, tamci wpłacają kasę na tę swoją organizację, a w zamian nie muszą zawracać sobie nami głowy.

– A zna pan nazwę tej całej fundacji?

– Nie. Szczerze mówiąc, mamy to w dupie, byleby dawali nam żarcie i koce. Jedyna rzecz, jaką mieliśmy zrobić, to odpowiadać na pytania dziewczyny, a potem każdy odchodził z pełną torbą.

Atticus musiał zidentyfikować tę fundację.

– Jakiego rodzaju pytania? – drążył dalej.

– Pierdoły: imię, wiek, miejsce pobytu, imiona sąsiadów i cała masa w tym samym stylu, dlaczego wylądowaliście na ulicy, jakie mamy powiązania z rodziną, z ludźmi stąd i tyle... Nazywała to badaniami socjologicznymi.

*Studencka praca albo działalność charytatywna wraz z publikacją na koniec?*

– Nie przypomina pan sobie nazwy albo chociaż logo? – naciskał Atticus.

– Nie, dziewczyna, która robiła za przewodnika dla pańskiego kolesia, była Meksykanką albo coś w tym rodzaju, drobniutka, ale dość ładna. To trwało wiele miesięcy i było raczej spoko.

Wówczas Atticusa ogarnęły wątpliwości. Chociaż było to nieprawdopodobne, wolał się ich pozbyć.

– Czy dziewczyna była bardzo szczupła i miała wytatuowanego na nadgarstku delfina?

Mel przytaknął po krótkim namyśle.

– Taa, to ona.

Atticusowi aż mowę odebrało ze zdumienia. Wszystkiego by się spodziewał, ale nie tego.

*Ximena Torrebiarte.*  
Sąsiadka Oscara Riotta.

Carson Mills przycupnęło wśród porośniętych polami i lasami równin, prowadziły tam niekończące się monotonne drogi, pozbawione wszelkich krajobrazów poza silosami na zboże, które przetrwały scalenie ziem rolnych. Kat dotarła tam w porze obiadowej, po tym, jak poprzedniego dnia przegapiła lot i została zmuszona spędzić noc na lotnisku w Chicago. Wskoczyła do pierwszego samolotu do Kansas City, gdzie wynajęła samochód. Aby utrzymać się na nogach, wypijała więcej kawy niż jej nissan benzyny. Pyskówka przez telefon z Mitchem o pierwszej w nocy, w hotelowym korytarzu, ponieważ zarzucił jej, że celowo wymigała się od wspólnej kolacji, ją dobiła, toteż była w wisielczym nastroju.

Czuła potrzebę, by się zemścić na kimś lub na czymś, i liczyła, że Carson Mills dostarczy jej po temu okazję.

*Galvinie Hutchinson, lepiej dla ciebie, żebyś się dobrze ukrył...*

Przystanąła przed północnym wjazdem do miasta, na parkingu przed barem-restauracją Samotny Wilk, żeby pochłonąć stek z frytkami – w punkcie, w którym się teraz znajdowała, samobójstwo kulinarne wydawało się dobrym rozwiązaniem – i zapytać o jakiś znośny motel w okolicy. Jako że kelnerka okazała się dosyć rozmowna, Kat skorzystała z okazji, by wypytać ją o wszelkie dogodne miejsca, gdzie ktoś, kto ma ochotę na trochę zostać, mógłby się zatrzymać. Po wyrecytowaniu skromnej listy dostępnych pokoi w Carson Mills kelnerka dodała:

– Aha, a jeżeli szuka pani czegoś naprawdę niedrogiego, niedaleko stąd w lesie jest osiedle przyczep, nazywają to „Baraki”, tamta koleżanka tam mieszka.

Galvin Hutchinson nie należał do krezusów, toteż nieco schowana przyczepa mogła mu odpowiadać. Kat przywołała drugą dziewczynę i zapytała, czy zauważyła ostatnio w „Barakach” jakichś nowych. Pokazała jej zdjęcie z prawa jazdy Hutchinsona, które udało jej się sfotografować telefonem, a także zdjęcie Leny.

– Nigdy nie widziałam żadnego z nich. Nie ma ich u nas. Mogę to pani zagwarantować, mam dość dobrą pamięć do twarzy, a ta mała jest mniej więcej w wieku mojej córki, zwróciłabym uwagę.

Przynajmniej oszczędzi jej to wyprawy na miejsce. Pozostały zatem wszystkie motele. Na początek Kat wynajęła pokój w najczystszy z nich, niedaleko od centrum miasta, po czym z fotografią w garści ruszyła na obchód po pozostałych przybytkach.

Carson Mills była skromną miejsciną, po dwóch godzinach załatwiła więc sprawę, chociaż bez powodzenia. Tego rodzaju metoda miała swoje ograniczenia, nie wszyscy

hotelarze byli kompetentni lub uczciwi, ale mogła stanowić niezły punkt wyjścia do poszukiwań.

Kat udała się więc do głównej siedziby Joker Diffusion, na wschodnim przedmieściu, i zaparkowała przed nowoczesnym parterowym budynkiem. W recepcji pracowała w zaskakującej ciszy młoda kobieta z mikrofonem przy ustach i słuchawkami w uszach. Kat nie mogła sobie pozwolić, by wiecznie lawirować, dlatego zażądała rozmowy z szefem, nie podając powodu. Trzymała licencję prywatnego detektywa na podorzędziu, na wszelki wypadek, nie chcąc się z nią zbyt obnosić. Legalnie wolno jej było prowadzić śledztwo na miejscu przez trzydzieści dni, jednakże wzmianka o stanie Nowy Jork zamiast Kansas mogła budzić opór.

– Jakiej firmy?

– No cóż, Joker Diffusion. Bo co, są dwie?

Dziewczyna wskazała tablicę w holu, a na niej pięć nazw.

– To jest centrum biznesowe, proszę pani, gościmy tu sektor małej i średniej przedsiębiorczości. Joker Diffusion zajmuje przestrzeń A3 na końcu korytarza po pani lewej stronie, ale dzisiaj nikogo tam nie ma.

– Orientuje się pani, kiedy wróca?

– Szczerze mówiąc, prawie nigdy nikogo nie ma. Pani też jest dziennikarką?

– Nie, prywatną detektyw. Czy to pani odbiera telefony do nich?

– Tak. I przekazuję.

– Czy Joker Diffusion dużo ich dostaje?

Dziewczyna się uśmiechnęła, pokazując okropnie krzywe zęby.

– Gdyby wszyscy byli tacy jak oni, mogłabym się obijać na Instagramie przez cały dzień.

Najwyraźniej Joker Diffusion to była tylko wydmuszka. Po tym, jak TGHC się zamknęło, to sporo ułatwiało. Kat podsunęła recepcjonistce pod nos zdjęcia Hutchinsona i Leny, pytając, czy już ich kiedyś widziała. Padła również negatywna odpowiedź. Dziewczyna zapałała entuzjazmem do zawodu prywatnego detektywa, zwłaszcza gdy wykonywała go kobieta, i mnożyła pytania. Nadszedł czas zwinąć manatki.

W progu Kat się obejrzała.

– Wspomniała pani o jakimś dziennikarzu. Interesował się Joker Diffusion?

– Owszem, tak jak pani. Chciał wiedzieć, kiedy przychodzą i takie tam.

– Nie zostawił przypadkiem wizytówki?

– Faktycznie, żebym ją przekazała szefowi Jokera.

– Zechciałaby pani mi ją pokazać? Tylko rzucę okiem.

Kelvin Snell pracował dla „Wichita Eagle”. Kiedy odebrał telefon, w słuchawce rozległ się miły, niemal śpiewny głos. Jego ton natychmiast uległ zmianie, gdy tylko wspomniała o Joker Diffusion.

– Pani jest prywatnym detektywem, zgadza się? – zapytał bardziej podejrzliwie. – Dlaczego ta firma panią interesuje?

– Poszukuję pewnej kobiety, która zaginęła – zdecydowała się wyjawić Kat, wiedząc, że odrobina szczerości może się czasem okazać najlepszym wyjściem, zwłaszcza wobec dziennikarza.

– Co panią łączy z Jokerem?

– Mogę panu zaproponować deal. Pan mi zdradzi, dlaczego węszy na ich temat, a ja panu opowiem moją historię. Dostanie pan wyłączność, a jeżeli rozwiążę sprawę, będzie co zamieścić na pierwszej stronie pańskiej gazety.

– Ta dziewczyna została porwana, czy odeszła z własnej woli?

– Powiedziałabym, że i to, i to.

Snell westchnął do słuchawki.

– Joker to jedynie przykrywka. Słyszała pani o Dzieciach Jana?

– Nie.

– Czy ona pani ufa? Jak pani sądzi, jeżeli ją pani dopadnie, porozmawia ze mną?

– Możliwe.

– Proszę przyjechać do Wichity. Musimy pogadać.

– Będę za godzinę.

Snell niemal krzyknął:

– Ej! Mówię poważnie. Nikomu nie wyjawia pani mojego nazwiska, jasne? Chyba wiem, gdzie jest dziewczyna, której pani szuka.

Pomieszczenie było ciasne, bez okna, wygłuszone jasnoszarą izolacją ściany nadawały mu wygląd pudełka, w dodatku odznaczało się szczególną akustyką: tutaj krzyk na nic się nie zdał. Znajdowały się tu tylko stół, trzy krzesła i nic więcej, poza tym panował lodowaty chłód.

Hack i Atticus obserwowali Ximenę Torrebiarte na ekranie kontrolnym filmującej wszystko kamery. Otuliła się ciasno ramionami, przemarznięta na kość.

– Trochę przesadziłeś z klimą – stwierdził z wyrzutem blondyn.

– Chcę, żeby poczuła się źle – odparł Atticus. – Dobra, już dojrzała.

Zgarnęli ją rankiem sprzed domu matki, kiedy wychodziła do pracy, i przywieźli na komisariat w Hollywood.

Zamknawszy drzwi, na których widniała tabliczka oznajmiająca, że sala jest zajęta, usiedli naprzeciwko niej. Nikt nie będzie im przeszkadzał.

– Miss Torrebiarte – zaczął Atticus – wie pani, dlaczego tu jest?

Młoda kobieta splotła palce na brzuchu i zaprzeczyła ruchem głowy.

– Naprawdę chce się pani z nami bawić w ciuciubabkę? – wtrącił brutalnie Hack.

Spuściła wzrok.

– Oscar Riotto – podsunął Atticus. – Podczas naszej rozmowy zrobiła pani ze mnie idiotę. Doskonale pani wie, nad czym pracował.

Atticus był zły na siebie przede wszystkim dlatego, że tak łatwo dał się zmanipulować byle smarkuli przy sklepowej kasie. To, co uznał za niepokój, niemal śmieszne poczucie winy uwodzicielki, nie było niczym więcej jak oznaką kłamstwa, a on w ogóle się nie zorientował.

Ona tylko przełknęła ślinę, unikając jego wzroku. Atticus miał świadomość, że za maską drobnej kruchej brunetki kryje się piekielny charakter, to przynajmniej zdążył zauważyć, i tym razem nie łykał wciskanego przez nią kitu. Wolał jej jednak nie ponaglać, za nic w świecie nie chciał, żeby zamknęła się w sobie i wywaliła ich, domagając się adwokata.

– Ximeno – rozpoczął łagodniejszym tonem – pora podjąć właściwą decyzję, w pani interesie. Dla Oscara to już skończone, nie da się nic zrobić, skoro znaleziono jego ciało.

Liczył, że wiadomość o śmierci sąsiada nią wstrząśnie, ale ona nawet nie mrugnęła. Atticus był zaskoczony. *Albo jesteś jeszcze twardsza, niż myślałem, albo dzielnie to znosisz, tylko że nagle się załamiesz.* Widywał już takich jak ona: brać wszystko na



siebie, niczego po sobie nie pokazać, aż zniecka w lakierowanej powłoce powstanie wyłom. Właśnie ci stawali się potem bardziej rozmowni.

– Dlaczego ukryła pani przede mną, że oprowadzała pani Oscara po Skid Row, wśród bezdomnych?

– I co to za fundacja? Jakiś kościół z pani dzielnicy? – zapytał Hack.

Na te słowa popatrzyła na niego, po czym odwróciła się do kamery w rogu.

– Można ją wyłączyć? – odezwała się w końcu.

– Nie – odrzekł jasnowłosy olbrzym – ona nagrywa wszystko w pani interesie.

– Wobec tego nic nie powiem.

Hack się uparł, lecz Atticus podniósł się, stanął przed kamerą i dał znak, by przerwać rejestrację. Wiedział, że Hamilton, oficer dyżurny, na pewno nie spogląda w monitor, zagubiony wśród tych wszystkich policyjnych ekranów informacyjnych, które musiał śledzić, i jednocześnie gawędzący z oficerami, którzy bezustannie kręcili się przed jego biurkiem.

– Gotowe.

– Jest pan pewien, że nas nie słychać?

– Pokój jest dźwiękoszczelny.

Ximena nerwowo potarła dłonie.

– Zimno mi.

– Wchodząc, wyłączyłem klimę – skłamał Atticus. – Zaraz zrobi się cieplej.

– Jeżeli z panem porozmawiam, czy potem będę musiała wynająć adwokata?

Atticus wyczuwał narastające napięcie. Stąpali po kruchym lodzie.

– Ma pani do tego prawo – odparł, nie wdając się w szczegóły.

Wcześniej odczytał Ximenie jej prawa, nie miał obowiązku robić tego teraz.

– A jeżeli ja nie chcę adwokata?

– Wtedy zaoszczędzi pani sporo pieniędzy – skwitował pragmatycznie Hack.

– Nic z tego, co tu powiemy, nie może wyjść poza te mury – oświadczyła, jakby to ona miała decydujący głos. – Jeżeli oni się dowiedzą, już po mnie.

– Jacy oni? – zdziwił się Hack.

– Fundacja. To Long Life Harmony.

– Nigdy nie słyszałem – przyznał duży glina. – Na czym polegała pani rola u nich?

– Miałam nakłonić bezdomnych ze Skid Row do wypełnienia kwestionariusza.

– W jakim celu? – drążył Atticus.

– Cała lawina pytań, żeby ich lepiej zrozumieć, a przede wszystkim spróbować ustalić moment, w którym nastąpiło pęknięcie, poznać okoliczności, w których powinęła im się noga i wypadli z ustabilizowanego życia na ulicę. To było dobrze

przygotowane badanie, a w Long Life Harmony wyjaśnili nam, że służy ono poprawie pomocy osobom pozbawionym środków do życia, zanim pójdą na dno.

– Mówi pani „nam”. Dużo was było?

– W dniu szkolenia było nas co najmniej ośmioro lub dziewięcioro. Mnie i jeszcze jedną dziewczynę przydzielono do Skid Row, ale bezdomni są wszędzie po trochu, w South Figueroa Corridor albo Crenshaw, i o wiele dalej, a do każdej ich grupy fundacja skierowała przynajmniej jedną parę. Wie pan, ilu ich jest w hrabstwie Los Angeles? Prawie sześćdziesiąt tysięcy. Wszyscy śpią na ulicy. Musiało nas być więc dosyć dużo. W ośmioro czy dziewięcioro mogliśmy się spotkać zaledwie z namiastką populacji. Ale właśnie tego chcieli w Long Life Harmony: próbki reprezentatywnej.

Atticus czuł nasilające się mdłości. Sześćdziesiąt tysięcy osób. Jako teren polowań wziął pod uwagę jedynie Skid Row, ale kto mógł zagwarantować, że zabójca nie uderza wszędzie, gdzie gromadzą się bezdomni? Sześćdziesiąt tysięcy jednostek, które wymknęły się z systemu, bez ochrony, które już prawie nie istniały, ogromny staw, w którym można bezkarnie łowić. Zabójca wynalazł zbrodnię doskonałą i od lat mógł się jej oddawać z całkowitą swobodą. Na samą myśl o liście potencjalnych ofiar kręciło mu się w głowie.

– OK, a co miał z tym wszystkim wspólnego Oscar Riotto? – zapytał Hack.

Ximena podrapała wytatuowanego na nadgarstku delfina. Ponownie odwróciła się w stronę kamery.

– Przyrzeka pan, że to się nie nagrywa, co?

Atticus i Hack spojrzeli po sobie, zdumieni jej namacalnym strachem.

– Czego się pani obawia, Ximeno? – dopytywał Atticus.

Grdyka dziewczyny aż podskakiwała od ciągłego przełykania śliny.

– Bo to właśnie Oscarowi dałam znać, jak do mnie dotarło, co się dzieje.

Atticus pochylił się ku niej nad stołem.

– To znaczy? O fundacji?

Nie przestawała mrugać i głośno oddychała.

– Tak.

– Kto nią kieruje? Jakaś parafia, osoby prywatne, firma?

– To mała organizacja, ale w rzeczywistości należy do olbrzymiej korporacji.

Atticus poczuł, jak wilgotnieją mu dłonie, zanim jeszcze zdążyła wypowiedzieć tę nazwę.

– EneK. Zna pan?

## 34.

Kelvin Snell czekał na Kat na ławce w skromnym parku w Wichicie, kilka kwartałów od siedziby redakcji, na południe od starego miasta, całego z czerwonej cegły. Brodaty trzydziestolatek w okularach siedział nad sztuczną rzeką i rzucał okruchy ciastek kaczkom. Nie podniósł się na nadejście prywatnej detektyw, tylko otrzepał ręce i przesunął na skraj ławki.

- Szybko pani jechała – stwierdził.
- Piekielnie mnie pan skusił. Chce pan zobaczyć moją legitymację?
- Nie ma potrzeby, jest pani podobna do laski, którą widziałem na zdjęciach.
- Mam swoją galerię w sieci?
- Ostrożności nigdy za wiele. Proszę mi opowiedzieć o pani sprawie.

Kat nie bardzo lubiła pierwsza wykladać karty na stół – jeśli go to nie zainteresuje, gotów zachować informacje dla siebie – ale nie miała wyboru. Nakreśliła sytuację w ciągu pięciu minut i skończyła na Joker Diffusion, który zapłacił za wydrukowanie dziesięciu tysięcy ulotek.

- W niecałe pięć dni? Nie próżnowała pani.

Istotnie, Kat była z siebie bardzo dumna. Odkąd Annie Fowlings odwiedziła ją w biurze w ubiegły piątek o siódmej rano, codziennie nie narzekała na brak zajęć. Snell czym prędzej wylał jej na głowę kubek zimnej wody.

– Tylko że wykonała pani dopiero połowę roboty. Przyznaję, że reszta wymaga czasu i umiejętności, aby odtworzyć schemat organizacyjny.

- Co?

– Nie doprowadziła pani swojego rozumowania do końca. Należało pogrzebać w finansach TGHC i Jokera.

- Bo pan to zrobił?
- Musi mi pani obiecać, że to będzie obopólna wymiana.
- Właśnie wyznałam panu wszystko jak na spowiedzi, już bardziej wprost się nie da.
- Jeżeli odnajdzie pani dziewczynę, chcę mieć jej historię na wyłączność.

Kat nie ryzykowała niczym, składając przyrzeczenie.

- Deal.

Snell delikatnie poprawił okulary, które zsunęły mu się na czubek nosa.

– Wyśledziłem cztery biznesy tego samego rodzaju, skupione w Carson Mills albo w pobliżu. Drobne firmy. Należą do fikcyjnych spółek, które razem stanowią część skomplikowanego mechanizmu.

Kat spodziewała się, że zaraz w całej tej kombinacji wyskoczy nazwisko Galvina Hutchinsona. Tymczasem opowieść przybrała inny obrót.

– Nie ukrywam, że to nie było proste, ale powoli udało mi się rozszyfrować każde pośrednie ogniwo i źródło kapitału.

– Uznałam, że w takich kompletnie nieprzezroczystych rajach podatkowych jak Bahamy czy Kajmany takie śledztwo jest niemożliwe.

– Jeśli nie chce pani zwrócić uwagi fiskusa, lepiej pozostać na terenie Stanów Zjednoczonych. Wprawdzie można wtedy panią wyśledzić, ale jeśli nikt nie znajdzie powodu, żeby zerknąć w papiery, i nie będzie zawzięty, może pani wszystko rozmydlić poprzez piramidę fikcyjnych spółek. Właśnie tak tutaj postąpiono. Dotarcie do źródła zajęło mi wiele miesięcy, a wszystko zawdzięczam przypadkowi. Nigdy bym nie wpadł na pierwszy trop, ale kiedy już się nim pójdzie...

– Co się za tym kryje?

Snell pogładził krótki zarost, robiąc pewną siebie minę.

– Jest pani gotowa?

Zaczynał ją wnerwiać tym swoim zarozumiałstwem i „sztuką” budowania napięcia.

– No niechże pan wreszcie to wykrztusi, Snell.

– EneK.

– Konsorcjum informatyczne?

– O, teraz EneK to o wiele więcej niż tylko informatyka. Działają niemal we wszystkich sektorach, obracają miliardami.

– Chwileczkę, nie bardzo rozumiem. Jaki interes może mieć międzynarodowy koncern w mnożeniu wydmuszek, żeby założyć dwa, przepraszam, cztery główniane przedsiębiorstwa? Co oni mają z tym wspólnego?

Snell zwrócił się twarzą do niej.

– Właśnie od tego momentu pani historia staje się interesująca. Mówi pani, że Joker zlecił druk dziesięciu tysięcy ulotek? Musieli zalać wiele miejsc w kraju, nie tylko Nowy Jork. I wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby gdzie indziej inni robili to samo. To operacja na ogromną skalę.

– Jaka operacja?

– Dzieci Jana – rzucił tajemniczo.

– Niech pan skończy z tymi zagadkami, proszę mi wszystko powiedzieć!

Snell przyjrzał się jej nieufnie.

– Byłam wobec pana szczerą – nalegała – a życie Leny Fowlings wisi na włosku, więc niech pan ze mną nie pogrywa, Snell, do cholery.

Dziennikarz zrobił dzióbek i cmoknął, przetrawiając jej słowa, po czym zdecydował się mówić.

– Jedna z tych fikcyjnych spółek kupiła olbrzymie tereny na zachód od Carson Mills, zbudowali tam zamknięte, niedostępne miasteczko.

– Co tam wyprawiają?

Snell zbył ją niecierpliwym machnięciem, dając do zrozumienia, że zaraz do tego dojdzie.

– Zauważyłem, że od miesiący napływają tam różni ludzie, coraz więcej ludzi. Nie wiem, ilu ich dokładnie jest, ale przestrzeni jest dosyć, żeby mogło tam zamieszkać całe mnóstwo osób. Szperałem, wypytywałem, jednak udało mi się ujawnić tylko nazwę organizacji.

– Dzieci Jana – pojęła Kat.

Lena musi tam być, to oczywiste.

– Nie sposób dowiedzieć się więcej, prawie nikt stamtąd nie wychodzi, regularnie zaopatrują ich ciężarówki, czasem helikopter. Nawet w ratuszu Carson Mills nic nie wiedzą poza tym, że otrzymali dużo darowizn, aby się nie czepiali, i że podatki są płacone co do centa. W świecie kapitalistów i pragmatycznych polityków to dość pieniędzy, żeby człowiek nie miał ochoty im zawracać dupy. Uważają ich za nawiedzonych, ale skoro nie mieszają się z ludnością ani nie sprawiają kłopotów, wszyscy przymykają oko i inkasują szmal.

– Pana zdaniem to może być jedna z nich? To znaczy sekta?

Na widok jej ignorancji Snell zgrzytnął ze złości zębami.

– Nic nie przenika na zewnątrz. A osią tego wszystkiego jest EneK, który steruje całością. Z początku myślałem, że prowadzą tam jakieś tajne eksperymenty naukowe, konstruują prototypy, coś w stylu „jesteśmy paranoicznie podejrzliwi w biznesie, więc rozwijamy nasze innowacje z dala od ludzkich oczu”. Ze strachu przed szpiegostwem przemysłowym. Ale zaczynam w to wątpić.

– Dziewczyna, o której panu mówiłam, Lena, wpadła w łapy wstrętnego typu, charyzmatycznego hochsztaplera. Skoro zwerbowali tego rodzaju osobników, to nie po to, żeby przyciągnąć naukowców.

– Właśnie to sobie powtarzam. Coś tu śmierdzi. A ta pani ulotka, ta „inna wersja świata dla załamanych”, nie zetknąłem się z tym. Musi mi pani podrzucić egzemplarz.

– Nic pan jeszcze nie opublikował?

– Kilka razy o mało tego nie zrobiłem, ale czekam, aż uzyskam wizję całości. Kiedy to się ukaże, to będzie prawdziwa bomba.

– Nie naciskali na pana ani na pańskich zwierzchników, żeby wyciszyć sprawę?

– Umie zachować dyskrecję, poza moim naczelnym nikt nie ma o niczym pojęcia. Teraz jeszcze pani. Jestem ostrożny, taki drobny dziennikarz jak ja w nikim nie budzi podejrzeń.

– Sądzi pan, że mogę się tam dostać?

– Niby gdzie? Do Dzieci Jana? Nie, proszę o tym zapomnieć. To prawdziwy Fort Knox. Drut kolczasty, podwójne ogrodzenie pod napięciem, wszędzie kamery, ochrona, zapewniam panią, że jeśli nie pracują nad kolejnym iPhone'em albo samochodem na wodę, to ukrywają statek kosmiczny. Sęk w tym, że nie wiadomo, dlaczego EneK potrzebuje w jednym miejscu wszystkich tych nawiedzonych, podatnych na manipulację umysłów i kandydatów na samobójców. Co oni z nimi robią?

– A pan co zamierza zrobić?

Snell zapatrzył się w dal zamyślony. Wahał się.

– Skoro ma pan związane ręce, niech pan publikuje, to z pewnością uzdrowi sytuację – podsunęła Kat.

– Nie, jeszcze nie.

– W takim razie na co pan liczy?

Wyznał niemal wbrew sobie:

– Wyniuchałem pewne źródło.

– Wewnątrz?

– Lepiej: kogoś, kto tam mieszkał i stamtąd uciekł.

## 35.

Ximenie Torrebiarte prawie zabrakło tchu, tak silny lęk odczuwała.

– Jak się dowiedzą, że z wami rozmawiam, mam przesrane.

– Ejże, luz – spróbował łagodzić Hack, trzymając przed sobą wielkie jak bochny dłonie. – Mówi pani EneK? Jest pani pewna?

– Tak mi powiedziała jedna dziewczyna, z którą pracowałam, wystarczy sprawdzić.

– Z czego pani wnioskuje, że poważny światowy koncern chciałby panią skrzywdzić?

– Ja to wiem.

– W filmach wielcy prezesi to psychopaci, ale chyba ma pani świadomość, że gdyby w realu tak gigantyczny koncern działał jak mafia, mógłby wszystko stracić? Proszę pani, ci ludzie to miliarderzy. Czy jest pani w stanie sobie wyobrazić, że zaryzykowałiby więzieniem dla... pani?

Atticus nie potrzebował argumentów, on jej wierzył. To nie przypadek, że ich księgowego zamordowano w dość podobny sposób jak Oscara Riotta. A obu łączyło jedno: EneK.

– Już to robili, mają to gdzieś – rzuciła Ximena.

Atticus przejął pałeczkę.

– To znaczy? Czy coś pani wiadomo na temat potwora ze Skid Row?

Wytrzymała jego spojrzenie, po czym przytaknęła.

– Wiem, że to Long Life Harmony.

– Fundacja, która uprowadza tych ludzi?

– Tak.

– Może pani to udowodnić? – zapytał Hack.

– Nie.

Atticus dał partnerowi nieuchwytny znak, by pozwolił mu działać.

– Dlaczego pani sądzi, że to fundacja? – indagował.

– Wykonywałam tę robotę ponad pięć miesięcy. Kręciłam się wśród nich, rozdawałam żywność i ubrania, więc bezdomni mnie znali, a wielu polubiło, w każdym razie mi ufali. Sami opowiedzieli mi o zaginięciach. Szczerze mówiąc, z początku nie przywiązywałam do tego wagi, potem temat coraz częściej powracał, wspominali między sobą o jakimś potworze, który grasuje po nocy. Wobec tego wypytałam ich o to, a oni podali mi nazwiska. Powiązanie faktów zajęło mi kilkanaście tygodni, ale w końcu odkryłam, co łączy wszystkich zaginionych.

– Jakiś szczegół w wyglądzie fizycznym? – wyrwało się Hackowi.

– Nie. Z moich kwestionariuszy wynikało, że to właśnie oni są najbardziej wyizolowani.

*Oczywiście. Ci, których zniknięcie zauważa się dopiero po pewnym czasie, którzy sypiają z dala od reszty, których łatwiej uprowadzić...*

– Powiadomiła pani o tym zwierzchników z fundacji? – zapytał Atticus.

– Nie miałam odwagi. Straciłam do nich zaufanie. Złożyłam wymówienie i zastanawiałam się, co zrobić z tą wiedzą. Byłam pewna, że duże dzienniki mi nie uwierzą, zrobiłam najprostszą rzecz.

– Poszła pani do Oscara, sąsiada, tego, który panią podrywał.

Skinęła potakująco głową, jej spojrzenie przepełniało silne poczucie winy.

– Ma pani jakiś pomysł, co mogli robić z porwanymi?

– Nie, wydaje mi się, że nigdy ich nie odnaleziono i tyle.

– A ta druga dziewczyna, z którą pani pracowała, mogłaby potwierdzić pani przypuszczenia?

– May? Nie, ona jest w Long Life Harmony od jej powstania. Jeżeli rzeczywiście mam rację, o wszystkim wie.

– Będzie pani musiała nam podać nazwiska wszystkich osób, które poznała pani w fundacji – zapowiedział Hack. – Adresy też.

Ximena przygryzła wargę niemal do krwi.

– Czy zapewnicie mi ochronę?

– Czy wyglądamy jak federalni? To FBI ma na to środki, nie my.

– Jeżeli będzie pani z nami współpracować – sprostował Atticus – będzie pani mogła odejść wolno i się ukryć, więc...

– Nie, nie chcę stąd wyjść.

– Przecież to nie jest hotel – podkreślił jasnowłosy olbrzym siedzący naprzeciw niej.

Nagle stała się jakby bardziej nerwowa, po czym zacisnęła dłonie na łokciach i rzekła błagalnie:

– Wsadźcie mnie do więzienia.

– Słucham?

– Za zabójstwo Oscara. Chcę, żebyście mnie zamknęli. To ja go zabiłam.

*Tylko tego brakowało.* Atticus nie mógł jej pozwolić na przyznanie się do zbrodni w nadziei, że tylko wtedy trafi za kratki i znajdzie się pod ochroną federalnego wymiaru sprawiedliwości. To zdyskredytuje całe jej wcześniejsze zeznanie, tymczasem on był przekonany, że jest wiarygodna, przynajmniej w kwestii roli odegranej przez fundację, a w tle przez EneK.



– Ximeno, proszę tego nie robić – ostrzegł. – Są inne sposoby na...

– Powtarzam, że go zabiłam. To ja kupiłam telefon na kartę, żeby do niego zadzwonić i wyznaczyć mu spotkanie w starym zoo, powiedziałam, że muszę się z nim jak najszybciej rozmówić w sprawie fundacji.

Tym razem Atticus oparł się głębiej na krześle. *Cholera, ona naprawdę to zrobiła!*

– Jak pani się do tego zabrała?

– Kazałam mu czekać na ławce pośrodku trawnika.

– A potem?

Zawahała się.

– Potem...

– Nie poszła tam pani, prawda?

Wpatrzyła się w czubki swoich butów.

– Nie. Ale on zginął przeze mnie.

– Kto pani polecił to zrobić? Kto dał pani instrukcje co do telefonu i zoo?

Stopa Ximeny uderzała o podłogę z zawrotną prędkością.

– Nie miałam wyboru – przyznała. – Pewnego wieczoru jeden z byczków, którzy nas ochraniali podczas akcji z kwestionariuszami, przerażający, nierzucający się w oczy, zawsze trzymający się z tyłu typ, przyszedł do mnie i napędził mi takiego stracha jak nigdy w życiu.

Wtem pierwsze łyzy popłynęły jej po twarzy. Zacisnęła zęby i kontynuowała.

– Przytknął mi nóż do piersi i powiedział, że jak nie będę posłuszna, to obetnie mi cycki, a potem zgwałci moją matkę ostrzem. Powiedział, gdzie mam kupić telefon i co mówić Oscarowi.

– Nie zwiłała pani w Griffith Park? – zdziwił się Hack, niemal zawiedziony.

– Nie.

– Mogłaby pani rozpoznać tego byczka? – chciał wiedzieć Atticus.

Ocierając łyzy, przytaknęła, że byłaby w stanie.

Atticus dał jej chwilę wytchnienia, po czym dodał:

– Czy w ciągu całego pobytu w fundacji widziała pani albo słyszała cokolwiek, co miałoby związek z owadami?

Ponieważ nie zrozumiała pytania, Atticus musiał je sformułować inaczej. Pokręciła przecząco głową.

Nie miał pojęcia, co knuto na korytarzach EneKu, ale te szumowiny szykowały jakiś potężny numer.

– Błagam was – wymamrotała z płaczem – nie pozwólcie mi stąd wyjść.

Oparty o ścianę Hack i stojący naprzeciw niego Atticus przetrawiali informacje w korytarzu przed pokojem przesłuchań.

Pierwszy odezwał się Hack.

– Wierzysz jej?

– Nie ma cienia wątpliwości, dobrze wiesz.

– Kurwa. Nie jestem pewien, czy potrafię stanąć na wysokości zadania.

– Będzie trzeba, bo jak tylko włączy się w to prokurator okręgowy, to się rozdmucha na niesamowitą skalę.

– Właśnie. Wyobrażasz sobie?

Na widok przechodzącego nieopodal funkcjonariusza Hack ściszył głos i zmełł w ustach przekleństwo.

– Skandal z jednym z największych koncernów na świecie w roli głównej! – oznajmił z naciskiem. – I Bóg jeden wie, co oni kombinują z tymi wszystkimi porwanymi menelami!

– Po czymś takim twoja kariera może nawet nabrać rozpędu.

– Wcale nie jestem pewien, czy mam na to ochotę. W każdym razie przy takich prostakach jak my waśniaki nie mają się czego bać. Widziałeś nasze akta osobowe?

– W tym tkwi nasza siła, nikt nie wie, że się zbliżamy.

– Wolę, żeby tak zostało. W życiu nie pozwolę nam drążyć dalej. Zdajesz sobie z tego sprawę, zgadza się? RHD przejmie pałeczkę.

– Nie, jeśli zagrozę, że polecę z tym do gazet.

– Nie baw się w to, Atticus. Znajdziesz się na celowniku góry.

– Walczę ich własną bronią. Jeżeli pójdziemy na całość, staniemy się bohaterami, będziemy nietykalni. Nie chcę im zostawiać wyboru. A przecież ta dziewczyna nam ufa, ona nie będzie gadać z palantami z RHD, zyskaliśmy przewagę, znamy tę sprawę lepiej od nich, ja mam swoje kontakty w terenie, zwłaszcza w Skid Row. Jeśli trzeba będzie działać szybko, RHD zabraknie czasu, żeby tak głęboko wejść w temat, jak my to zrobiliśmy.

Eli westchnął głęboko, łapiąc się za niemal przezroczyste włosy.

– Oni nas potrzebują, Hack. Jeżeli przyprę ich do muru, nie dadzą rady nas odsunąć.

Hack kołysał się w przód i w tył.

– Dlaczego musiałeś odebrać ten pieprzony telefon akurat w dzień wolny od służby?

– Jesteś ze mną?

Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

– Nie mam wyjścia i dobrze o tym wiesz, świrze – rzucił Hack.

Atticus podziękował mu klepnięciem w ramię.

– Trzeba dać cynk porucznikowi, a potem dzwonię do prokuratora okręgowego.

– Rób, co musisz. Niech nas piekło pochłonie.

## 36.

Butelka wina Hess Select była już do połowy opróżniona, zauważył Kelvin Snell. Znakomity cabernet-sauvignon z 2015 roku, dobre aromaty, bogaty bukiet, jeden z jego ulubionych. Nalał sobie kieliszek i wyłączył telewizję, która nadawała w kółko te same wiadomości. *Można by sądzić, że powtarzają się tak długo, aż telewidzowie w końcu uwierzą w te wszystkie bajki!* Pranie mózgu.

Sprawdził komórkę po raz dwudziesty tego wieczoru. Ani jednej wiadomości. Jego kontakt ciągle nie dawał znaku życia – miał nadzieję, że to nie zapowiada niczego złego. *Przecież mnie nie wystawi. Wie, że jeśli kiedyś chce odzyskać normalne życie, musi wszystko upublicznić. Dopóki jego zwierzchnicy nie wpadną, nigdy nie będzie bezpieczny.* Co w rzeczywistości mogli zrobić? W każdym razie nie mogli go ścigać ani uwięzić... A dlaczego nie? Aby chronić imperium warte kilkaset miliardów dolarów, cóż znaczy jedno życie?

Snell nie wiedział, co myśleć o spotkaniu z Kat Kordell. Sprawiała wrażenie godnej zaufania, wyczuł to. *Lepiej, żeby tak było, bo wszystko jej wyśpiewałeś!*

Może we dwoje zdołaliby wyciągnąć więcej informacji, zapewne miała swoje metody, kontakty... A zaginiona dziewczyna mogłaby stanowić kolejne świadectwo, dodatkowy dowód. W skandalu na taką skalę im większą liczbą zgodnych wskazówek będzie dysponował, tym lepiej. *O ile ją odnajdziemy.*

A poza tym Kelvin miał po dziurki w nosie dźwigania tego brzemienia w pojedynkę. Prawda sporo ważyła i bał się, że w końcu go pogrziebie. Musiał się od niej uwolnić.

*Nie teraz, za wcześnie na publikację. Jeszcze tylko ta relacja i wpuszczam do sieci.*

Gyllensen, jego redaktor naczelny, był tego samego zdania. Spłodzić żelazny, niepodważalny artykuł dzięki wewnętrznemu źródłu i mogliby zostać światowym centrum przynajmniej na najbliższe pół roku. Pulitzer, książki historyczne, może Nobel.

Snell potarł oczy, morzył go sen. Upił łyk i wyszedł do ogrodu przez otwarte przeszklone drzwi. Gobo nie wrócił z wieczornej włączki. Gdyby Patsy tu była, po raz kolejny zarzuciłaby mu, że znowu puścił psa bez opieki, że jak zwykle zostawia go samego, tego typu brednie. Kiedy się rozwodzili, usiłował jej wcisnąć labradora, twierdząc, że ma za dużo roboty i rzadko będzie w domu, ale przypomniała mu, że sam go wybrał, że uparł się, by nadać mu imię jednego z Fraglesów – co już wtedy uznała za idiotyczne – i że po raz kolejny nie wywiązuje się ze swoich obowiązków!

Patsy potrafiła wyłącznie gderać, ale Bogu dzięki nie musiał jej już dłużej znosić. Była żona. Były wrzód na tyłku. Były stres.

*Ale ona tak bardzo zatrula ci życie, że to głęboko w tobie siedzi, i nawet teraz, chociaż jej nie ma, nadal słyszysz jej kazania!*

Snell się zastanawiał, po jakim czasie człowiek pozbywa się widma byłej żony. Władza kobiet. Przenikają człowiekowi do serca w ułamku sekundy, za to opuszczają umysł dopiero po wielu latach.

– Gobo! Do nogi, piesku!

W ciemności nie widział dalej niż rząd krzewów odgradzających jego posiadłość. *Muszę wreszcie postawić płot. A wtedy żegnaj wolności wśród gajów oliwnych.* Gobo zostałyby zamknięty na ograniczonej przestrzeni niczym na więziennym spacerniaku.

*W sumie tak jest spoko. O ile ten głupol w końcu wróci...*

– Gobo! Do nogi!

Wiecznie ten sam cyrk z czekaniem bitą godzinę.

Snell pociągnął kolejny łyk. Przynajmniej ma doborowe towarzystwo.

Krzaki w oddali zatrzęsły się pod wpływem czarnej postaci psa, która ruszyła w jego kierunku. *Nie spieszyłeś się, stary.*

– Chodź tu, dobry pies.

W nocy Snell nie rozpoznał radosnego kroku Goba. Poprzestał na obserwacji zbliżającej się czarnej plamy.

– Nie przejmuj się, mamy czas! Jestem twoim właścicielem, nie portierem!

Gobo był jakiś duży...

Snell pochylił się, by lepiej widzieć. Nie pojmował, co ma przed sobą.

– Co to...

To nie był jego pies.

Przez ogród przetaczała się błyskawicznie ruchoma kałuża i pędziła wprost na niego.

– Ale...

Snell nie potrafił nadać sensu temu, na co patrzył. To było wielkie, to było dziwne i to było niemożliwe.

Cofnął się powoli, znów kierując się instynktem.

Wtem spadła nań ciemna chmura.

Szklanka rozbiła się o posadzkę, Snell zaś ledwie zdołał wrzasnąć, gdy głos uwiązał mu w gardle, które zalała gwałtowna fala.

Zaczął piszczeć jak dziecko.

Dziecko przerażone najpotworniejszym koszmarem.

Ból okazał się jeszcze gorszy.

## 37.

Wszczęto procedurę.

Po przesłuchaniu Ximeny Torrebiarte wtorek upłynął Atticusowi i Hackowi na sporządzaniu akt, a następnie na rozmowie przy drzwiach zamkniętych w gabinecie porucznika Petrozzy, który kazał im wszystko powtórzyć dwa razy, aby móc uwierzyć. To była grubsza afera. Za gruba dla niego, zaprosili więc kapitana z komisariatu w Hollywood, Terrence'a Schaeffera, żeby go wtajemniczyć.

Schaeffer osobiście zaprowadził ich do prokuratora okręgowego, od którego wyszli dopiero wieczorem.

Aby uruchomić maszynę, potrzeba było czasu, ale przy tym, co wlewali do silnika, jak tylko odpali, nikt jej nie zatrzyma.

Tej nocy Atticus męczył się, nie mogąc zasnąć, i pożałował, że nie ma towarzystwa. To nie był dobry moment, a jednak czyjaś obecność – chociaż oddech tuż obok – ukołysałaby go i uspokoiła. Przyszła mu na myśl Ximena spędzająca pierwszą noc w celi. Jest spokojna czy też zdaje sobie sprawę z własnego położenia? Mel i pozostałe zjawy ze Skid Row z pewnością wsłuchują się w odgłosy nędzy. Hack, podobnie jak on, zapewne wpatruje się w sufit, dumając o żonie i dzieciach, i o tym, co będą musiały znieść, jak media rzucą się na dwóch gliniarzy, którzy stali się źródłem tej rewelacji. A gdzie są w tej chwili tamci mężczyźni, których Atticus posuwał za pieniądze? Co robią? Jak wygląda ich życie?

Rankiem Gore wyszykował się wcześniej i zaczekał na dzwonek komórki. Dostyc jasno się wyraził co do własnych późniejszych zamiarów. Nikt go nie wywali. Skoro razem z partnerem rozpoczęli to śledztwo, sami doprowadzą je do końca, nawet gdyby burmistrz osobiście nakazał coś przeciwnego. Bo inaczej zostawi ich wszystkich. Będą się użerać bez niego, bez jego kontaktów, a przede wszystkim wyleje całą żółć przed jednym z dziennikarzy z „Timesa”, którego numer miał zapisany w kontaktach w telefonie.

Atticus wyczekiwał niecierpliwie sygnału od szefa policji. Tamten zaraz mu oświadczy, że jak nie będzie posłuszny, to już po jego karierze i do końca swoich dni będzie żarł gównem w puszkach, bo ośmielił się sprzeciwić najwyższej władzy policji Los Angeles.

Tylko że telefon nie zadzwonił.

Nikt nie dał znaku życia. Nienaturalnie spokojny poranek.

Atticus wyobrażał sobie, że sztab kryzysowy będzie się zbierał na jedno posiedzenie po drugim, że telefony będą się urywały, a oni nie będą wiedzieli, w co ręce włożyć, koordynując działania wielu zespołów, że będą zawalieni raportami do przeczytania. Tymczasem nic.

Zreflektował się, powtarzając sobie, że przecież to dopiero początek, że prokurator okręgowy zwołuje własne oddziały, nakreśla plan bitwy. W końcu to nie do pomyslenia, żeby wytoczyć działa przeciw jednemu z filarów narodowego przemysłu, nie opracowawszy wszelkich możliwych strategii wraz z armią prawników. Gdy nadejdzie pora, tamci wystawią całe tabuny swoich adwokatów.

Atticus zrobił swoje, pozostało mu jedynie postępować zgodnie z instrukcjami, które jakoś nie nadchodziły.

*Daj im czas. To normalne.*

Denerwował się.

W południe poderwał się na dźwięk dzwonka.

W progu stał Hack, wystrojony w jeden z tych swoich tanich garniturków.

– Ty też nie możesz usiedzieć na miejscu?

Hack nie odpowiedział, tylko wprosił się do środka.

– Bez przerwy sobie powtarzam, że teraz trzeba zachować cierpliwość – wyznał Atticus – ale to nie jest moja mocna strona.

Hack otworzył piwo, którym właśnie się poczęstował.

– Nikt się nie odezwał? – zapytał.

– Flauta. Cisza przed burzą.

Hack stanął przed przeszklonymi drzwiami i podziwiał widok na przeciwległe wzgórze, za położonym w dole zbiornikiem.

– Alicia oszalałaby z zachwyty – stwierdził w zadumie.

Atticus wyczuł, że coś nie gra.

– Wszystko w porządku?

Hack westchnął głęboko.

– Nie wiem.

– Mów. To presja tak na ciebie działa? Uda nam się, przecież wiesz! Na początku trzeba będzie zacisnąć zęby, a potem sam zobaczysz, spodoba ci się bycie bohaterem. Wyobraź sobie spojrzenia twoich córek.

Hack pokiwał głową.

– Odpuszczam sobie, partnerze.

Atticus stanął przed nim twarzą w twarz.

– Nie, nie możesz. Nie teraz.

– Przykro mi.

- Przypomnij sobie, co mówiliśmy wczoraj na korytarzu, ty...
- To niemożliwe. Ty też powinieneś się wycofać. Pozwól im działać.
- Do licha ciężkiego, Hack, nie poznaję cię, przecież to życiowa szansa!
- Ja nigdy nie śniłem o sławie.
- Ale kochasz swoją odznakę i to, co ona uosabia.
- Daj sobie spokój. Chroń swój tyłek.
- Mowy nie ma.
- Ukrzyżują cię i spalą żywcem, jak będziesz drążył dalej.

Atticus zesztyniał.

- Coś ty powiedział?
- Że popełniasz zawodowe samobójstwo! Powstrzymaj się, dopóki...

Atticus zmierzył partnera wzrokiem.

– Kurwa, Hack, oni na ciebie naciskają, tak? Ukrzyżować i spalić żywcem. To są słowa szefa policji. Dzwonił do ciebie?

Złapany na gorącym uczynku jasnowłosy olbrzym skrzywił się. Nie był z siebie dumny.

– Złożył mi wizytę. To zaszło za daleko, ty i ja jesteśmy tylko prostymi glinami, nic nie znaczymy, za to EneK to narodowa potęga, która zapewnia dziesiątki tysięcy miejsc pracy. Nie zdajesz sobie sprawy z możliwych konsekwencji.

– Konsekwencji? Bo oni zdają sobie sprawę, zabijając Oscara Riotta, żeby go uciszyć? Albo porywając bezdomnych, żeby nie wiadomo co z nimi wyprawiać? Nie, Hack, ja nie składam broni. Może i jestem przy nich ziarenkiem piasku, ale nie wygryzą mnie tak łatwo ze swoich pięknych planów.

W oczach Elia Hackenberga malowało się przerażenie. Było coś jeszcze.

- Dostałem pogróżki – oznajmił. – Zdjęcie córek i kulki w kopercie.
- Co?
- Godzinę temu.
- Cholera...
- Wiedzą, gdzie uderzyć.

Po szybkim namyśle Atticus położył dłoń na ramieniu Hacka.

- Rozumiem.
- Ostrzegałem: jesteśmy za krótcy.

Atticus przytaknął.

– Pewnie masz rację – zgodził się po długim milczeniu.

Porwali się na to. Hack wypadł z gry, dla niego było już po zawodach. Atticus wcale go nie potępiał. Sam nie miał rodziny, niczego, czym można by go przymusić,

wywrzeć na niego nacisk. Pogodził się ze wszystkim, kim był, z samotnością włącznie, co po raz pierwszy okazało się zaletą. Co miał do stracenia?

Jeśli chcą go powstrzymać, będą musieli bardziej się postarać.

Wkrótce po wyjściu partnera przed domem Atticusa zatrzymało się błyszczące auto z napędem na cztery koła, imponujący model jak te używane przez federalnych. Gliniarz usłyszał je, kiedy chował służbową broń do kabury, szykując się do wyjazdu na komisariat w Hollywood. Dwaj mężczyźni, którzy wysiedli z wozu, nawet nie musieli dzwonić do drzwi, bo właśnie zszedł im na powitanie.

Wysportowani, kamizelki taktyczne, widoczne chwytaki pistoletów, krawaty na gumce, kauczukowe podeszwy antypoślizgowe, gotowi do walki.

– Mr Gore, zechce pan udać się z nami?

– Kim jesteście?

Jeden z molosów wyciągnął legitymację ochrony EneKu.

– Po co? Czego ode mnie chcecie?

– Próbował się pan skontaktować z jednym z naszych pracowników z kadry kierowniczej, ma pan okazję kontynuować rozmowę.

Atticus machnął ręką i odwrócił się do nich plecami.

– Powiedzcie waszym szefom, że już za późno.

– Mr Kowalski mówi, że więcej propozycji panu nie złoży.

*Edwin Kowalski. Założyciel.*

– Czy to jeden z jego zbirów was nasłał?

– To Mr Kowalski we własnej osobie.

Mężczyzna odsunął się, robiąc przejście do otwartych drzwi samochodu.

Atticus już miał stanowczo odmówić, lecz jakiś cichy wewnętrzny głos go powstrzymał. Koniec z piramidami pośredników, z hordami indywiduów broniących dostępu, z wymigiwaniem się, z protekcją. Edwin Kowalski we własnej osobie. Z krwi i kości. Gotów go wysłuchać, przyjmować ciosy. Odpowiadać za swoje czyny.

Gość wielki jak szafa trzydrzwiowa z lustrem miał rację, że więcej propozycji nie będzie. Ta była wyjątkowa.

Atticus nie miał w sobie za grosz naiwności, wiedział, że wielki Manitu na szczycie świata nie wyciągnie od razu rąk, żeby byle glina założył mu kajdanki. Będzie próbował go kupić.

Atticus wprawdzie miał zwyczaj płacić, sam jednak nie był na sprzedaż. To był jego jedyny powód do dumy i zamierzał go bronić.

Odepchnął ochroniarza i wszedł do auta.



## 38.

Kat nie ruszała się z motelowego pokoju nawet na krok z powodu obietnicy danej Kelvinowi Snellowi, że nie spróbuje niczego na własną rękę, dopóki on nie zdoła się spotkać ze swoim potencjalnym świadkiem. Jeśli wierzyć jego słowom, miało to nastąpić niebawem. Prywatna detektyw przyrzekła, że nie będzie ryzykować, aby niczego nie spać. Ani kłopotliwych pytań, ani węszenia, nic, co mogłoby zwrócić uwagę Dzieci Jana. Jeśli liczy na jakieś wieści od Leny, właśnie ten tajemniczy kontakt jest jej jedyną nadzieją.

Uwięziona w klimatyzowanym pokoju, ukołysana do snu przez telewizję, która nadawała wyłącznie programy porażające głupotą, Kat kręciła się w kółko. Brak aktywności sprzyjał natomiast, by w poczuciu winy przeżywała ciągle od nowa to, co zrobiła Mitchowi, i rozpaczała nad stanem ich związku, a to doprowadzało ją do szaleństwa. Nie cierpiała rozwiązywać problemów na odległość, zwłaszcza przez telefon. Powtarzanie w kółko w myślach przemowy nie miało sensu, powinni się porządnie rozmówić w cztery oczy.

W południe chęć dotrzymania obietnicy nieco osłabła, gdy bowiem Kat wyskoczyła do sklepu spożywczego w centrum miasta po coś na obiad, nie mogła się pohamować i zapytała kasjerkę, czy słyszała o ludziach, którzy mieszkają w kompleksie na zachód od Carson Mills.

– Szwagier mówił, że to letni obóz dla maminsynków, ale to bujda. Ci, którzy tam zaglądali, opowiadali, że to okropne, tam są wieżyczki strażnicze jak w więzieniu. Już prędzej to wygląda jak tajne Guantánamo. Proszę pani, dopóki torturują obcych terrorystów, mam to gdzieś, typki same są sobie winne. Albo my, albo oni, prawda?

Nieco dalej, w aptece, gdzie Kat poszła odnowić zapas tylenolu, uraczono ją tezą o uprzywilejowanej bazie survivalowców. Korzystając z eskapady, przemierzyła i dokładnie obejrzała urząd pocztowy, gdzie zwyciężyła obojętność, bo przecież ci ludzie nie robią nikomu krzywdy i nigdy ich się nie widuje.

Pochłonawszy na łóżku sałatkę, Kat zajęła pozycję przy oknie, by wyglądać na ulicę. Nie mogła już dłużej wytrzymać, miała ochotę znów działać, wpaść w wir wydarzeń. Czekanie było nie do zniesienia.

O godzinie 14.00 obietnicę szlag trafił.

Kat znalazła sklep dla majsterkowiczów, by się zaopatrzyć w lornetkę, następnie kupiła GPS oraz batony zbożowe, a także małą latarkę i manierkę.

O 15.00 podążała na zachód, mijając po drodze stary młyn przy wyjeździe z miasta.

Zadbała o to, by zapamiętać parę wskazówek co do dokładnego położenia kompleksu, pod pretekstem, że woli go ominąć podczas jednej ze swoich wycieczek przez las. Bez trudu odnalazła świeżo wytyczoną drogę, zagłębiającą się w las. Przejechała obok, nie zwalniając, i zdołała jedynie dostrzec tablicę „WŁASNOŚĆ PRYWATNA – ZAKAZ WSTĘPU”. Taką samą jak ta przed magazynem w Dziurze, tylko dużo większą. Goście nie byli tu mile widziani.

Kat zawróciła półtora kilometra dalej i pokonała tę samą trasę wolniej. Trochę za drogą do Dzieci Jana wyłowiła to, co miała nadzieję wypatrzeć: wijący się wśród drzew iglastych szlak drwali albo gajowych. Jej nissan z trudem się posuwał po miękkiej ziemi. W końcu zdołała go zaparkować z dala od ludzkich spojrzeń – zostawiła auto przed stosem drewna i ruszyła dalej na piechotę.

W mieście miała raczej dobry zmysł orientacji, za to na łonie przyrody trochę się gubiła, pogratulowała więc sobie inwestycji w kompas, aby nie zboczyć z kursu. Z braku ścieżki, która by prowadziła w interesującym ją kierunku, posuwała się naprzód wśród zarośli, torując sobie drogę przez paprocie i krzewy, omijając kolczaste gęstwiny, morza pokrzyw i doły. W kompletnej głuszy, bez żadnego zasięgu odkrywała świat, po którym nie stąpała od bardzo dawna. Świat gadatliwej fauny, która wprawdzie pozostawała niewidoczna, lecz porozumiewała się w mnóstwie nieodgadnionych języków, szeleściła znienacka, świat pachnący żywicą albo dzikimi kwiatami, próchnicą, miętą, korą. Kat z zapałem pokonywała zbocza, pozwalając się nieść na dół i bawiła podczas biegu z przeszkodami. Towarzystwa dotrzymywały jej motyle, biedronki na ubraniu, a kiedy przystanąła, by się napić z bidonu, wydało jej się, że widzi umykającą sarnę. Jako mieszczuch napawała się tym powrotem do źródeł, mimo że chwilami aż pojękiwała, tak jej bowiem dokuczało obolałe ciało.

Po blisko dwóch godzinach, gdy dotarła na szczyt leśnego grzbietu, roślinność rzredła, a Kat dostrzegła słoneczne refleksy uwięzione w szybach. Zwolniła, zaczęła się chować za najszerszymi dębami i powoli podeszła na skraj lasu.

Obóz Dzieci Jana znajdował się pięćset metrów dalej, lekko poniżej miejsca, w którym była, na olbrzymiej polanie.

Kat od razu uderzyła jego wielkość i zastosowane środki ochrony.

Większość kompleksu stanowiło jakieś dziesięć jedno- bądź dwupiętrowych budynków – przeważnie długich prostopadłościanów wyposażonych w wąskie okna – otoczonych przez dość liczne hale. Pośrodku królował imponujący okrągły gmach o średnicy połowy boiska piłkarskiego, okolony pasem trawnika. Widniał w nim jeden jedyny otwór: drzwi ze stanowiskiem dla wartownika.

*Jeśli ci fanatycy mają swój kościół albo coś w rodzaju świątyni, to musi być to. W takim razie po co strzec do niego dostępu nawet na terenie obozu?*

Snell nie przesadził: polana została obwałowana podwójnym ogrodzeniem wysokim prawie na dziesięć metrów, z czego jedno było bez cienia wątpliwości pod napięciem. Pomiędzy oboma umieszczono ostre zasieki. Rogów strzegły cztery wieże strażnicze godne Rikers Island, a także cała masa kamer umieszczonych na masztach. Posiadłość patrolowali uzbrojeni wartownicy w czerni, z psami lub bez, niekiedy po trzech w jeepach, które krążyły wzdłuż ogrodzenia.

Nawet jak na gniazdo paranoicznej sekty było tego trochę za wiele, poza tym świadczyło o braku jakichkolwiek ograniczeń finansowych.

Kat oparła się o pozbawiony korzeni pniak i przystąpiła do dalszej obserwacji przez lornetkę.

Część osób kursowała swobodnie pomiędzy budynkami, podobną swobodą cieszyły się siedzące przy piknikowych stołach grupki. Mieszkańcy baraków nie nosili tunik ani mundurów – jak na razie tylko to odróżniało owo miejsce od więzienia.

Coś nie dawało Kat spokoju, chociaż nie potrafiła dokładnie określić co.

Skupiła swą uwagę na głównym wejściu do obozu: przy każdym ogrodzeniu stała budka wartownika ze szlabanem. Nikt nie mógł wejść bez pozwolenia.

*Co wy tam w środku knujecie?*

Było tam nawet lądowisko dla helikopterów.

Aż nagle Kat pojęła, co nie dawało jej spokoju. Nie potrafiła stwierdzić, czy wszystkie te urządzenia zabezpieczające mają uniemożliwić wtargnięcie, czy przeciwnie, ucieczkę.

*A jeśli ci wszyscy ludzie są tutaj trzymani wbrew swojej woli?*

Lena wysłała matce SMS-a, celowo robiąc aluzję do zmarłej siostry. Wiedziała, że to wywoła reakcję, to nie było niewinne. Nie mogła jednak wprost poprosić o pomoc. *Ponieważ ktoś czytał jej przez ramię albo kontrolował wysyłane wiadomości.*

Lena tu jest, to nie ulega wątpliwości. Tylko po co? Kat nie miała zielonego pojęcia, wiedziała jedynie, że nie można się stąd swobodnie komunikować ze światem zewnętrznym.

Wyjęła własną komórkę, by sprawdzić zasięg, i upewniła się, że wrócił. Był wystarczająco silny, by mogła zatelefonować, ale nici z internetu, zastanawiała się więc, czy to z powodu odludzia, czy też celowo zakłócano sygnał, aby chronić obóz.

Jej uwagę przykuł jakiś ruch na niebie w strefie położonej najbardziej na uboczu, w przeciwnym kierunku niż jej pozycja. Chwyciła lornetkę i ukłękła, by lepiej widzieć.

Dom z cegły, niezbyt wysoki, lecz zdominowany przez dwa strzeliste kominy niepasujące do podstawy.

*Kotłownie. Cała techniczna logistyka, dzięki której obóz funkcjonuje.*

Z pierwszego komina zaczął się ulatniać pióropusz dymu.

Z boku rozciągał się także ogród warzywny, chociaż mimo lornetki Kat nie potrafiła go wyraźnie zobaczyć, gdyż widok zasłaniały budynki. Wstała.

Z ceglanego domu wyszła jakaś postać, pchając wypełnione piaskiem taczki, a gdy dotarła do ogrodu, wysypała piach do głębokiego dołu. W górę wzbiła się chmura szarego pyłu, tymczasem większe grudy spadały z taczek do dziury.

Kat ośladnęło uczucie zgrozy. Serce zabiło szybciej, zaschło jej w gardle. Opuściła lornetkę.

A jeżeli to nie jest ogród warzywny?

Ceglany dom z gigantycznymi kominami przywiódł jej na myśl ponure epizody z historii.

W taczkach nie było piasku.

Tylko ludzkie prochy.

## 39.

GMC Yukon zawiózł Atticusa na szczyt dominującej nad Los Angeles góry, gdzie EneK miał swoją kwaterę główną. Tam podjęto go niczym prezydenta państwa, oprócz ochroniarzy towarzyszyły mu dwie przeurocze hostessy, a na każdym piętrze, aż po dach budynku głównego, na którym czekał na nich śmigłowiec, częstowano go napojami orzeźwiającymi.

– Dokąd mnie zabieracie? – zapytał nieufnie gliniarz.

– Proszę się nie obawiać – odparł jeden z aniołów stróżów – wieczorem będzie pan z powrotem.

Kiedy maszyna oderwała się od dachu i pognała nad kanionem, Atticusowi zakręciło się w głowie, toteż nie mógł się pohamować i uczeplił kurczowo fotela.

W dole przelatywało miasto, twór ludzi, teraz tętniące własnym życiem, które jakby dawno temu im umknęło. W porównaniu z nim ocean na zachodzie, już ujarzmiony, wydawał się mroczny.

Zanim przelecieli nad górami, Atticus po kryjomu wyciągnął telefon, aby zawiadomić Hacka, co się z nim dzieje, i podać mu swoją ostatnią znaną pozycję. Lepiej zachować ostrożność.

Śmigłowiec skręcił i przez dwie godziny pędził na północny wschód.

W końcu wylądował w środku bezkresnego lasu, który otulał strome zbocza niczym aksamitna skóra. Atticusa powitał majordomus w orientalnym jedwabnym stroju w czarno-białych barwach i poprowadził ku drewnianej kładce, wijącej się pomiędzy drzewami. Wzdłuż niej stały latarnie, już zapalone, chociaż dzień był jeszcze młody, a w powietrzu unosiła się woń jaśminu. Hen, wysoko, ponad potężnymi pniami, które wieńczyły korony drzew, rozlegały się różnorakie trele.

Wreszcie ukazały się dwie wille połączone szerokim tekowym tarasem wychodzącym na dzikie jezioro, godne uwiecznienia na pocztówce. Chociaż otoczenie było pełne przepychu, budowle nie miały w sobie nic z blichtru, ale robiły wrażenie swym ogromem w środku odizolowanego od świata lasu. Atticus spodziewał się całej armii służby, jednak poza niskim Chińczykiem, który pełnił funkcję jego przewodnika, aż do samego środka tarasu, gdzie urządzono letni salon z widokiem na krajobraz, nie zauważył nikogo.

Edwin Kowalski czekał tam na niego, otoczony śpiewem ptaków.

Drobny mężczyzna, niższy, niż wyobrażał sobie Atticus, blady, ani przystojny, ani charyzmatyczny, niemal banalny. Krótkie, praktycznie ostrzyżone włosy, gładko

wygolone policzki pachnące wodą kolońską albo kremem nawilżającym. Miał na sobie białą koszulę ze stójką i spodnie z jasnoniebieskiego lnu. Żadnej biżuterii ani zegarka. Musiał być w tym samym wieku co on, około czterdziestki, i gdyby Atticus minął go w centrum handlowym, prawdopodobnie nawet by go nie zauważył.

Nad obydwojma tańczyły w lekkiej bryzie trzy dzwonki wiatrowe zawieszane na gałęziach, wydające łagodne aluminiowe lub drewniane dźwięki.

Kowalski nawet nie drgnął, pozwalając Atticusowi podejść bliżej.

– Bardzo mi się podoba pańskie imię, detektywie Gore.

Miał monotony, niski głos.

Gestem ręki zaprosił go, by usiadł, po czym Atticus zajął miejsce.

– Dlaczego tu jestem? – zapytał bez ceregieli glina.

Kowalski świdrował go swymi piwnymi, zimnymi oczami. Jego twarz pozostała bez wyrazu.

– Posiał pan piekielną panikę.

– Jest pan gotów wziąć to na siebie?

Miliarder odwrócił się, by podziwiać jezioro.

– Wziąć na siebie co? Całe zło tego świata, bo jestem „wstrętnym bogaczem”?

– Na początek śmierć Oscara Riotta, Ronalda Kopelsona, Malcolma Huxleya i wszystkich tych biednych nieboraków ze Skid Row.

Kowalski cicho westchnął, w jego oczach pojawiło się na moment coś jakby błysk rozczarowania.

– Czytał pan Nietzschego, Atticusie? Przypuszczam, że nie. Nietzsche zasłynął swoją teorią o nadczłowieku.

– Proszę mi pozwolić zgadnąć: to pan?

Kowalski zbył go i nie zmieniawszy tonu, jął mówić dalej, spokojnie cedząc słowa.

– On uważa, że to konieczność, byśmy zdołali przetrwać. Przekroczyć, przezwyciężyć samego siebie.

– A zatem wszyscy, którym się to nie udaje, są podludźmi – skwitował wyniośle Atticus. – Są niegodni. Można z nimi zrobić, co się chce.

– Pojęcie równości między istotami ludzkimi jest absolutnie iluzoryczne, to błyskotka, którą się wymachuje, żeby ich uspokoić. Nie rodzimy się równi, jedni posiadają geny, które zapewniają im uprzywilejowaną pozycję, aby mogli się stać silniejsi, bystrzejsi, bardziej wytrzymali, inni przychodzą na świat z chorobami, przez całe życie są wątli i wrażliwi, i bez względu na to, co pan by zrobił, ich iloraz inteligencji nigdy nie poszybuje zbyt wysoko. Jedni mieszczą się w średniej, inni powyżej lub poniżej i nic pan na to nie poradzi. Tu nie ma reguł, to niesprawiedliwy owoc zupy pierwotnej. Inteligencja albo wyczyny fizyczne to nasze wyróżniki.

Edukacja natomiast stanowi labirynt, w rzeczywistości to znakomity twórca różnic. Zawsze tak było, mężczyźni i kobiety, którzy nie byli równi nawet kiedyś, gdy o pozycji w hierarchii społecznej decydowało urodzenie.

Jedna z rurek największego dzwonka wiatrowego uderzyła w sąsiednią i z wysoka, jakby dla spuentowania tyrady, zabrzmiał głęboki, gwizdzący i przyjemnie niski dźwięk.

– Co pan kombinuje razem z tą swoją fundacją?

Kowalski zatopił się na chwilę w obserwacji jeziora, po czym odrzekł, tym razem jednak nie odwracając się twarzą do rozmówcy:

– Uzyskanie nadczłowieka to kwestia przetrwania dla ludzkości. Transhumanizm opiera się zbyt mocno na wierze w naukę, żeby zdołał nas ocalić, pozostaje wyłącznie zbiorowe dążenie do uwolnienia się od zwierzęcej podłości, które pozwoli nam stawić czoło poważniejszym wyzwaniom, jakie staną na drodze naszego nieuniknionego rozprzestrzeniania się. Nietzscheański nadczłowiek to skuteczna odpowiedź: porzucić, zrezygnować z pewnych aspektów i wychować nas. Jeśli czekamy na naturalną ewolucję, jak w przypadku przejścia od małpy do człowieka, zostaniemy zniszczeni o wiele wcześniej. Nietzsche zrozumiał to już dawno, jeszcze zanim cywilizacja zdążyła się zderzyć z ociepleniem klimatu, z rosnącym przeludnieniem, ze zmniejszaniem się zasobów i z wszechobecnością broni masowego rażenia.

– Pańskim zdaniem wszyscy jesteśmy skazani?

Mężczyzna ponownie wpatrzył się w Atticusa. Nadal bez żadnej czytelnej emocji, aż detektyw zaczął się zastanawiać, czy w ogóle jest zdolny do rzeczywistego odczuwania czegokolwiek.

– Przy wykładniczej prędkości, z jaką pojawiają się i rosną wyzwania? Bez wątplenia. Sami wygenerowaliśmy udręki własnego wymarcia i nie jesteśmy zdolni do niezbędnych poświęceń, by je powstrzymać. Wolimy oskarżać polityków, że nie udaje im się zrobić wspólnie tego, czego i tak nie robimy indywidualnie, a nasza jedyna nadzieja spoczywa w nauce, która nie jest ani odpowiednio koordynowana, ani finansowana i która tak czy inaczej stanowiłaby przebiegły sposób, by nie wypełniać swoich obowiązków.

– A pana rola w tym wszystkim? Czy to pan jest tym nadczłowiekiem, tym tak wyczekiwany mesjaszem?

Kowalski długo mierzył swego gościa wzrokiem, po czym zacisnął usta, tak jakby już podjął decyzję.

– Detektywie, proszę pozwolić działać siłom, które pana przerastają, proszę się w to wszystko nie mieszać.

– Bo jest pan bogatszy niż ktokolwiek inny, bo ma pan wizję, uważa pan, że nie musi się rozliczyć? Sądzi pan, że władza upoważnia do zabijania?

Miliarder nieznacznie pokręcił głową.

– Nie, ale korzyść dla większości już tak. Proszę popatrzeć na wojny. Gdyby przywódcy mojego pokroju nie podjęli decyzji, żeby wysłać na front tysiące młodych, mówiłby pan po niemiecku, Atticusie, oczywiście zakładając, że pańscy rodzice nie byłiby Żydami.

Szyderczy uśmieszek dla zaakcentowania prowokacji przyprawił Atticusa o mdłości. Obojętność Kowalskiego, jego wyniosła, niewzruszona postawa i głoszone przekonania były dla niego nie do zniesienia.

– Nie prowadzimy wojny.

– I tu się pan myli, detektywie. Prowadzimy, to wojna bardziej niebezpieczna niż wszystkie, które ludzkość dotychczas wywołała, ponieważ stawką jest nasze własne przetrwanie. Proszę mi wierzyć, skoro byliśmy zdolni wystawić kilka tysięcy naszych cennych dzieci przeciw armatom ideologii, choćby nawet dla równie szlachetnego ideału jak wolność, nie powinniśmy się zżymać na myśl o pozbyciu się garstki, aby większość zdołała przeżyć.

Wszystko zawierało się w użytym przez niego słowie: pozbyć się. *Człowiek nigdy nie pozbywa się życia.*

– Co pan proponuje? – zapytał Atticus, usiłując ukryć obrzydzenie.

Założyciel EneKu przełknął ślinę i zamrugał – pierwsze widoczne przejawy reakcji emocjonalnej.

– Moja firma, powodowana niezłomnym dążeniem i wizją, którą się z panem nie podzielę, Atticusie, działa w tajemnicy. Trafił pan tu wyłącznie po to, by wysłuchać mojego ostrzeżenia: jest pan inteligentny, proszę więc zrozumieć, gdzie pańskie miejsce. Każdy z nas ma powinność, którą może spełnić, pańskie krótkotrwałe szczęście polega na uświadomieniu sobie i zaakceptowaniu tego obowiązku. Niech pan nie próbuje wdrapać się tam, gdzie nie jest pan mile widziany, bo będzie pan tylko szalbierzem, który zakłóca harmonię systemu. Wszystko jest na swoim miejscu, wszystko idzie naprzód. A teraz proszę zrezygnować ze swojej samolubnej krucjaty, która może panu jedynie zaszkodzić. W grę wchodzi wyższe cele, proszę zaufać innym, nie może pan odgrywać wszystkich ról.

Atticus wstał.

– Zrozumiałem przesłanie, Mr Kowalski.

Zbyt długo to znosił, nie miał tu już czego szukać, Kowalski nie powie mu nic więcej.

Kiedy miliarder otworzył dłoń, pojawił się majordomus.



– Znam drogę – oznajmił Atticus i oddalił się bez pożegnalnego gestu.

Co do jednego wszakże Edwin Kowalski całkowicie się mylił, mianowicie co do roli, jaką Atticus odgrywał w tym świecie.

Nie był wyłącznie gliną w służbie systemu i jego wad. Bez względu na to, jak bardzo wydawał się naiwny, ciągle wyznawał wartości, które towarzyszyły mu w okresie młodości i które nadal uosabiała noszona przezeń odznaka. Dziecięce cierpienia prześladowały go aż obsesyjnie. Ucieleśniał tę sprawiedliwość dla wszystkich, tę samą, za którą tak tęsknił, gdy był młody, by go broniła.

Był gliną w służbie ludzi i prawdy.

Poruszone wiatrem dzwonki kołysały się u góry, po lesie zaś niosła się melopeja głębokich dźwięków. Coraz bardziej donośna.

## 40.

Szklanki bourbona zbyt szybko pojawiały się jedna po drugiej.

Kat kręciło się w głowie.

Do baru zaglądali stali bywalcy, w większości farmerzy, jako że w Carson Mills nie było zbyt wiele przemysłu poza rolniczym. Po dokładnym otaksowaniu Kat ze wszystkich możliwych stron każdy tracił zainteresowanie tą obcą, która przesiadywała przy barze od dwóch godzin.

To nie było sprytne i prywatna detektyw miała tego pełną świadomość. Po prostu czuła potrzebę odmóżdzenia się.

Za dużo możliwości, hipotez, prawdopodobnych potworności.

Już przez to, co zobaczyła w magazynie w Dziurze, w Nowym Jorku, wpadła w chwilowy popłoch. Z kolei samo istnienie obozu Dzieci Jana zasiało w niej trwogę, jeszcze zanim się tam udała.

Kominy i nieużytki, na które wysypywano zawartość taczek, przejęły ją zgrozą.

Trzęsa się od tego przez całą drogę powrotną przez las, który tym razem wcale nie wydał jej się przyjazny ani ożywczy.

Z dłonią kurczowo zaciśniętą na telefonie, przy każdym kroku, w miarę jak oddalała się od martwej strefy i zbliżała do cywilizacji, wahała się, czy zadzwonić pod numer alarmowy i zawiadomić władze, jednocześnie wypatrując, czy wrócił zasięg.

Podobnie jak po napaści ze strony włóczęgi Dave'a, przeszkodziło jej w tym poczucie niepewności. Wezwanie glin oznaczało wyjście z cienia, ujawnienie się i puszczenie w ruch całej maszyny systemu. Coś ją powstrzymywało. Poza utratą anonimowości nie potrafiła się zdobyć na zaufanie. Infrastruktura, którą widziała, była tak potężna i wymagała tak wielu środków.

*Jeżeli ci, którzy stoją za tym cyrkiem, mają zbrodnicze zamiary, muszą kontrolować mnóstwo osób w regionie.*

Wszystko to miało taki rozmach, przerastało ją na tak wielu poziomach, że obawiała się, iż lada chwila zostanie wchłonięta, nie pojmując nawet, skąd nadszedł atak.

W dodatku również i teraz wszystko opierało się jedynie na domysłach, na podejrzeniach. A jeśli Leny wcale nie ma w obozie albo jej się tam podoba? Jeśli zawartość taczek, którą wzięła za ludzkie prochy, to tylko popiół po pieczonym dziku albo po zasilających piece polanach?

*Szukasz wymówek, żeby nie stawić czoła rzeczywistości: wpakowałaś się w sytuację, z którą nie umiesz sobie poradzić.*

Sama już nie wiedziała.

Alkohol ją rozgrzewał, uspokajał, myśli tonęły w bourbonie, rozmywając wszelką formę poczucia winy, że nie reaguje.

Kelvin Snell zaraził ją dziwacznymi teoriami. Albo się pomylił, śledząc superskomplikowane konstrukcje kryjące się za Joker Diffusion i TGHC, co było niewykluczone, a EneK nie miał absolutnie nic wspólnego z ich kłopotami, albo to była sprawka jakiegoś drobnego spryciarza, który się przyczaił i od wewnątrz wykorzystuje fenomenalną renomę swego pracodawcy, żeby dokonać malwersacji.

*Muszę wyluzować. Oczywiście, że to nieprawda! EneK! Tylko tego brakowało. Nigdy cieszący się takim poważaniem i tak sławny koncern nie splamiłby się jakąś ponurą historią z porwaniami albo więzieniem ludzi... To kompletne kretynstwo!*

Tym bardziej, że jeśli to prawda, EneK dysponował mnóstwem sposobów, by ją wytropić i zlikwidować jednym pstryknięciem palców.

*Boisz się! To dlatego nic nie robisz!*

Nie, potrzebowała czasu. Żeby określić, na czym polega problem, żeby rozpoznać dokładny charakter tego, co ją otacza. Kto co robi? Kim są jej wrogowie? Komu wierzyć? Przed kim się wywnętrzyć?

*Napij się, to będzie prościej.*

Kat popchnęła szklankę w stronę barmana.

– Jeszcze raz to samo.

Mężczyzna, do tej pory dość obojętny, posłał jej spojrzenie pełne wyrzutu.

– Jest pani pewna?

Kat postukała szklanką o bar.

Mężczyzna wzruszył ramionami i chwycił butelkę, by spełnić jej życzenie.

– Zawód miłosny?

– Zgadza się.

Wychyliła whisky duszkiem, nie czując już pieczenia, tylko mocny jad, który błyskawicznie rozszedł się we krwi.

W telewizji nadawano mdłe wiadomości lokalne, począwszy od prognozy pogody, w której wyszczególniono obecność szkodników zagrażających żniwom, przez wyniki sportowe licealistów z okolicznych hrabstw po wywiady z przedsiębiorcami z Wichity lub Kansas City. Wreszcie nastąpiło zbliżenie kobiety z mikrofonem w dłoni, przed jakimś pawilonem, oświetlonej policyjnymi kogutami.

Pasek u dołu ekranu skutecznie przykuwał uwagę: „Tajemnicza śmierć dziennikarza”.

Kat wyprostowała się na stołku.

Nie podobało jej się to.

*To nie ma żadnego związku, wracaj do swojej butelki.*

Warknęła, chcąc zagłuszyć wszelkie myśli, które burzyły jej spokój.

– Może pan zrobić głośniej? – raczej zażądała, niż poprosiła.

Barman spełnił polecenie.

„...zgon nastąpił ubiegłej nocy, chociaż policja stanowa odmawia potwierdzenia.

Twarz Kelvina Snella świadczy o tym, że był to spokojny człowiek, który...”

Kat odstawiła szklanę.

Drżenie z powrotem mocno przybrało na sile. To było jeszcze gorsze, niż sobie wyobrażała. Potwierdzały się wszystkie najbardziej pokręcone teorie.

*Nieograniczone środki. Determinacja w miliardach dolarów.*

Musiała wyjechać.

Daleko. Prędko.

Dopóki jeszcze mogła.

## 41.

Atticus nie chciał, żeby odstawiono go do domu.

Ledwie wysiadł z helikoptera, wezwał taksówkę, byleby tylko nie siedzieć ani sekundy dłużej w łapach EneKu i jego zbirów.

Edwin Kowalski wyraził się jasno. Nawet nie wypierał się zbrodni. Sprowadzając Atticusa, chciał jedynie dać mu do zrozumienia, że jest tylko zwykłym, prostym gliną i że nie wolno mu się wychylać, musi pozwolić, by „mózgi” zarządzały tym, co istotne. On jest zaledwie maleńkim pionkiem, który ośmielił się wyjść z roli i którego należy usadzić.

Kowalski zachowywał się tak swobodnie, jakby nie był ludzką istotą. Już sama zgoda na rozmowę w cztery oczy znakomicie dowodziła jego nieskończonej wspaniałomyślności... Atticus aż się gotował ze złości. *Jego Wysokość raczył się zniżyć do mojego poziomu, jest doprawdy aż za dobry...*

Atticus dobrze zrozumiał przesłanie.

Jego odpowiedź będzie ostra.

EneK nie zawahał się przed zamordowaniem Oscara Riotta, Huxleya czy Kopelсона ani przed zagrożeniem wprost Hackowi i jego rodzinie. Atticus nie podzielił ich losu z pewnością dlatego, że mu nie ufali, był tego świadom. Pozwolił się wysłać w sam środek prywatnej posiadłości Edwina Kowalskiego, wiele setek kilometrów dalej, co świadczyło o tym, że traktowali go bardzo poważnie. On zaś dostrzegał tylko jeden powód: swoje groźby w czasie rozmowy z szefem policji, że wszystko wypaple prasie. EneK nie miał pojęcia jak, lecz Atticus zabezpieczył sobie tyły i dopóki nie dowiedzą się, w jaki dokładnie sposób, nie zaryzykują, żeby go usunąć. Nie, dopóki nie poznają układu, jaki wiąże go z pewnym dziennikarzem, ani nie poznają jego tożsamości.

*Oni myślą, że zostawiłem dokumenty z instrukcją, by wszystko opublikować, w razie gdybym zniknął. Inaczej już bym nie żył.*

W chwili, gdy się zorientują, że tak nie jest, unieszkodliwią go, bo nie będą musieli wywierać na niego nacisków, próbować go kupić ani zastraszyć. Atticus wcale nie miał złudzeń.

Jego dni były policzone.

Wczesnym wieczorem taksówka wysadziła go przed komisariatem w Hollywood. Wewnątrz panował zgiełk – liczne interwencje, kradzieże, napaści, kilkanaście przypadków schwywania na gorącym uczynku przy handlu prochami, na głównym korytarzu roiło się od mundurowych i rozwrzeszczanych zatrzymanych. Atticus

pchnął drzwi prowadzące do sali detektywów, o wiele cichszej o tej porze. Uzmysłowił sobie, że ostatnio wpadał tu wyłącznie o nietypowych porach, i nawet ceniał sobie ten pozorny spokój. Światło w gabinecie porucznika oznaczało, że zwierzchnik nadal jest gdzieś w budynku. Znalazł go na piętrze, rozprawiającego o czymś zawzięcie z kapitanem. Obaj mężczyźni zmierzli Atticusa osobliwym, pełnym rozdrażnienia wzrokiem, w którym kryła się wszakże isierka podziwu.

– Jak postępy sztabu kryzysowego? – zapytał śledczy, nie zadając sobie trudu, by opowiedzieć o krótkiej popołudniowej wizycie u miliardera.

– Posuwają się do przodu – odparł lakonicznie kapitan. – Wracaj do siebie, Gore, damy ci znać, jak pojawi się coś nowego.

– Nie ma mowy, panie kapitanie, trzeba koordynować działania, chę...

– Morda w kubek, Gore – zgasił go oschle zwierzchnik. – Nie masz kwalifikacji, żeby cokolwiek koordynować, i gdybyś nie zrobił przedstawienia przed szefem, nawet byś nie brał udziału w tym dochodzeniu.

Ton jego głosu uległ diametralnej zmianie, odkąd Atticus zagroził komendantowi policji, że wszystko wyjawia prasie, jeśli zostanie odsunięty. Nie miał pojęcia, czy Schaeffer rzeczywiście się do niego uprzedził za niesubordynację, czy był po prostu zmęczony i próbował chronić własny tyłek, trzymając śledczego na dystans.

Petrozza westchnął i postarał się załagodzić sytuację.

– Zapewne nie lubi pan RHD, ale oni mają wprawę, wiedzę, co robić, i podejmą właściwe decyzje.

– Chcę być obecny na ich odprawach – upierał się Atticus.

Kolos uniósł brwi za okularami w szylkretowych oprawkach, lecz to kapitan udzielił odpowiedzi.

– Niech pan do nich zadzwoni i sam się z nimi użera.

Zatem tak ma to wyglądać, każdy sobie rzepekę skrobie. Atticus nie został oficjalnie odsunięty od śledztwa, ale jako żółtodziób, będzie musiał się teraz rozpychać łokciami wśród starych wyjadaczy.

– Czy Hack pana uprzedził, że się wycofuje? – zapytał Atticus.

– On się odsuwa od ciebie, Gore – sprostował kapitan – i ma całkowitą rację.

– To pańska interpretacja, kapitanie.

Hack tak bardzo bał się o swoją rodzinę, że zapewne nawet nie wyznał prawdy przełożonym.

Atticus pożegnał się i wrócił na dół. Kiedy znalazł się na zewnątrz, w łagodnym nocnym mroku i wśród niez mordowanego miejskiego szumu, wybrał numer Connora Hogana, śledczego z RHD, z którym rozmawiał już wcześniej w sprawie zabójstwa księgowego EneKu.

– Hogan, jak to się stało, że nikt jeszcze nie przeszukał fundacji? Z każdą godziną ich szanse na posprzątanie rosną!

– Oczywiście, Gore. Proponuję, żeby sporządził mi pan notatkę na ten temat, przedstawimy ją dyrekcji na najbliższej odprawie.

– Ja nie żartuję! Proszę przekazać wiadomość, że jeśli jutro rano nie wkroczymy do Long Life Harmony, gazety będą się rozpisywały o głośnym skandalu.

– To błąd, Gore, po prostu ma pan niewyparzoną gębę. Właśnie przeglądam pańskie raporty i nic w nich nie ma.

– Bo robi pan wszystko, żeby nie szukać dowodów w fundacji i bezpośrednio w EneKu! Prasa będzie zachwycona takim faworyzowaniem przez policję Los Angeles.

Atticus się rozłączył. Liczyło się wyłącznie to, że Edwin Kowalski miał wątpliwości co do tego błędu. Wystarczająco poważne, żeby go wezwać i zostawić przy życiu.

Hogan zadzwonił do samego komendanta policji, żeby streścić mu rozmowę. Atticus wahał się, czy wrócić do domu. Miał pewność, że prędzej czy później jego telefon się odezwie. Będą go piekły uszy.

Przynajmniej teraz Kowalski wiedział, że jego przemowa nie przyniosła zamierzonego efektu. Jeżeli chciał usadzić Atticusa Gore'a, zabrał się do tego w najgorszy możliwy sposób.

Atticus musiał otoczyć się życiem, radością, skoro sam nie mógł jej odczuwać. Należał do stałych bywalców West Hollywood, tylko że to nie był odpowiedni moment. Ostatnio geje stali się modni, a społeczeństwo bardziej tolerancyjne, ale jeśli w prasie wybuchnie skandal, a EneK przypuści kontratak rozwiązłymi zdjęciami Atticusa, opinii publicznej, choćby nie wiadomo jak dzisiaj przyjaznej gejom, nie spodoba się wywlekanie na światło dzienne pikantnych praktyk seksualnych. DNA narodu ciągle była purytańska Ameryka, która go stworzyła, a najmniejsze zawirowanie budziło stare demony. Jeżeli Atticus ma być ucieleśnieniem tej sprawy, nie może pozwolić się zdyskredytować.

Wybrał bar przy Vine Street i zaczekał, aż rozpęta się burza. Kogo też mu przyślą? Szef policji się nie ruszy, nigdy by nie zaryzykował, żeby go widziano z Gore'em, w razie gdyby Atticus ukrył gdzieś dziennikarza, który pstrykałby ukradkiem zdjęcia. Jak wybuchnie skandal, nie wolno dopuścić, żeby Atticus miał coś na poparcie swoich słów. Co do chłopaków z RHD, byli zbyt zadufani w sobie, żeby się zniżyć do tego, by przyjść tu i prawić mu morały. Nie, to będzie ktoś z jego najbliższego otoczenia. A Hack nie zechce grać roli pośrednika.

Petrozza z dobrą radą, o ile zechcą rozegrać to po przyjacielsku. Albo kapitan, o ile zdecydują się na autorytet.

*Kiedy ostatnim razem czekałeś, aż wojna wybuchnie, sterczałeś cały dzień i dosłownie nic się nie wydarzyło.*

Komórka zadzwiała przed północą.

Hogan. Najwyraźniej RHD miała więcej odwagi, niż sądził.

– Gore, zgarniamy Long Life Harmony jutro o świcie.

Atticus był zbyt zdumiony, żeby wykrztusić choć słowo. Nie wziął pod uwagę takiej reakcji na swoją prowokację.

– Lepiej, żebyśmy nie wyszli stamtąd z pustymi rękami, bo inaczej będziesz skończony.

Nieco później Atticus pozwolił się odwieźć do domu. Reflektory taksówki, która zawracała właśnie w ciasnej uliczce, nadal oświetlały schody zapewniające wejście przez pierwsze piętro, gdy natknął się na prezent.

Brązową kopertę wsuniętą pod wycieraczkę.

Chwycił ją ostrożnie, spodziewając się wyczuć pod palcami łuski od pocisków albo podobną wymowną groźbę. W środku znajdował się jedynie dokument, plik papierów.

Otworzył kopertę i natychmiast się obejrzał, aby sprawdzić, czy na dole nikogo nie ma.

On, który uważał, że otaczają go sami wrogowie, właśnie odkrył, że ma przyjaciela.



## 42.

Kat obudziła się w motelowym pokoju ze skroniami zmiażdżonymi przez migrenę.

Wyciągnęła się na brzegu łóżka zeszywniała, nadal z bólem w boku, jakby utknęła pomiędzy szczękami gigantycznego potwora.

Przesunęła na oślep palcami po stoliku nocnym w poszukiwaniu flakonika tylenolu, który od trzech dni zastępował jej kulę.

Ledwie potrafiła sobie przypomnieć, jak poprzedniego wieczoru wróciła spanikowana z baru.

Jej walizka leżała wybebeszona na podłodze.

Zaatakowały ją przebłyski pamięci. Jak wrzuca do środka swoje rzeczy z zamiarem opuszczenia w nocy Kansas i wyruszenia w drogę. Następnie odurzenie alkoholem, po krótkim mgnieniu świadomości, zwaliło ją z nóg.

Kat przyjrzała się sobie. Nadal była w ubraniu.

Dowłokła się do łazienki, żeby ocenić szkody.

*Morda brzydka jak kupa. Obowiązkowy makijaż.*

Wypiła trochę wody i zaparła się dłońmi o umywalkę, chwytając równowagę.

Teraz, gdy wywołana nadmiarem alkoholu szajba minęła, musiała obmyślić plan działania.

Kelvin Snell nie żyje. To nie był wypadek, jej naiwność nie osiągała aż takich rozmiarów. Jego morderstwo potwierdzało, że się nie mylił. Miał przeciwko sobie całe imperium, bogatsze niż niejeden kraj. *EneK.*

Tylko tyle.

*Najrozsądniej byłoby wrócić, przekazać wszystko, co mam, pani Fowlings i zapomnieć o całej sprawie.*

Tyle że to nie było w jej stylu. Kat nigdy nie robiła niczego na pół gwizdka. Do tej pory zdążyła się już zbyt mocno zaangażować, żeby zrezygnować tak blisko celu. Ponadto sprawa ta stała się dla niej osobista.

W głowie kłębiło jej się tysiąc myśli, lecz odepchnęła je wszystkie, nie chcąc dopuścić do siebie wątpliwości. Jej postępowanie nie było roztropne – wiedziała, że gdyby pozwoliła sobie na godzinę wytchnienia, na refleksję, w jakie bagno się wpakowała, załamałaby się i dała spokój. Tymczasem skłaniała się ku zdecydowanemu pragmatyzmowi, oświeconemu przez jakąś formę sprawiedliwości dziejowej: chroniona przez swoje wartości musiała napiętnować kłamstwo. Nie przejmować się wielkością tyrana: brakowało jej kompetencji, by określić, kto w firmie

jest umoczony, ale miała to w nosie. Jej zadaniem było odnalezienie Leny Fowlings, a jeśli przy okazji udałoby jej się zwrócić uwagę władz na zbrodnię, nie wahałaby się ani przez chwilę.

*Zachowujesz się jak dziecko.*

Doskonale pamiętała, jaką była nastolatką, dumną, że może udowodnić stryjowi Tony'emu – i pośrednio również rodzicom, którzy zawsze okazywali wobec tego zawodu i jej fascynacji nim przykry brak zrozumienia – swoje zacięcie i odnieść sukces w szlachetnej sprawie przekraczającej zadanie prywatnego detektywa. Na tle powszechnego cynizmu taki model niewinności, spontaniczności i ideału sprawiał jej satysfakcję. Głęboką. Przez moment w przeblýsku trzeźwości zastanawiała się nad potencjalnie samobójczym charakterem tej postawy, pociągało to jednak za sobą tak czarną wizję samej siebie, że czym prędzej odrzuciła tę hipotezę.

Ilu ludzi miało w swoim życiu sposobność dokonania kluczowego wyboru, dzięki któremu mogli stanąć twarzą w twarz z kimś, kim każdy z nich był kiedyś, za młodu, pełnym marzeń i ideałów, i kazać mu rozważyć, kim się stali?

Kat wzięła niemal zimny prysznic, żeby rozproszyć zamroczenie alkoholem i do końca się rozbudzić, następnie związała włosy gumką i włożyła wygodny, miękki strój. Legginsy, sportowe buty, koszulkę polo. To nie był czas na robienie dobrego wrażenia, na uwodzenie. Mimo to wyznaczyła sobie dwadzieścia minut na przyzwoity makijaż. Miała swoją godność.

Kiedy wyszła na parking przed motelem, zadbała o to, by wyglądać na odprężoną, i jak gdyby nigdy nic rozejrzała się dokoła, aby sprawdzić, czy nikt jej nie śledzi. Nie zauważyła nic szczególnego, co ją niemal rozczarowało.

*Przecież nie mam zwidów. Snell nie żyje. To nie żadna gra, wszystko jest prawdą.*

Wsiadła do samochodu, by pojechać po kawę, po czym ruszyła prosto na północ, w kierunku Wichity. W siedzibie redakcji dziennika, gdzie pracował Kelvin Snell, kazano jej czekać ponad godzinę, aż w końcu odesłano ją z kwitkiem. W zaistniałych okolicznościach redaktor naczelny nie miał dla niej czasu. Wahała się, czy pójść na policję, przed samym komisariatem jednak zrezygnowała. Jeżeli będą mieli do niej jakieś pytania, to ją wezwą.

Posługując się smartfonem, Kat znalazła w internecie adres Snella i się tam udała. Przed domem ciągle stał radiowóz, część budynku odgradzała tradycyjna żółto-czarna taśma. Należało się tego spodziewać, toteż sama nie mogła się nadziwić, po co tu przyjechała. Chyba nie wśliznie się nielegalnie do jego mieszkania?

*Tak czy inaczej, jeśli nazwisko kontaktu jest w jego telefonie albo schowane gdzieś w jego biurze, niedługo wpadnie w ręce glin.* Kat powinna dać sobie spokój: nie spotka się ze świadkiem Snella, tym, który uciekł z obozu.

*Mój Boże, uciekł.*

Teraz, gdy widziała ten kompleks w lesie, słowo to budziło w niej jeszcze większą grozę.

Korciło ją, żeby wykonać anonimowy telefon i wysłać na miejsce wszystkich gliniarzy, niechby zobaczyli na własne oczy, co się wyprawia za tym ogrodzeniem pod napięciem. Tylko że wcale by tam nie pojechali bez mocnego, szczególnie sprawdzonego powodu, a tak potężny koncern jak EneK nie należał do tych, którzy nie podejmują środków ostrożności. Za cenę milionów dolarów z pewnością prześwietili dokładnie życie każdego członka władz stanowych, od gubernatora począwszy, poprzez sędziów, na szefach lokalnej policji skończywszy. Dla potęgi bez ograniczeń finansowych i moralnych istnieją rozmaite sposoby zapewnienia sobie lojalności każdego. Korupcja, szantaż, groźby albo całkiem zwyczajnie obietnica władzy. Każdy z osobna miał jakiś słaby punkt, nieważne, czy był nieprzekupny, czy od dawna skorumpowany, wystarczyło go tylko namierzyć.

Nie, Kat nie powinna robić sobie żadnych nadziei, EneK trzymał w garści cały sektor, może nie na wszystkich poziomach, ale wystarczająco mocno, żeby w razie potrzeby zyskać na czasie.

Wróciła na obiad do Carson Mills i chcąc nie chcąc, ponownie ruszyła na objazd po hotelach, pokojach gościnnych i wszelkich kwaterach. Pokazywała fotografie Leny i Galvina Hutchinsona, licząc, że ktoś zdoła ich rozpoznać. Bez rezultatu. W większości miejsc natrafiała na te same osoby, które zdążyła już wypytać dwa dni wcześniej. Przynajmniej wiadomość krążyła. Kat nie wątpiła, że w tej wielkości mieścinie ludzie wkrótce zaczną gadać o prywatnej detektyw z akcentem ze Wschodniego Wybrzeża i o poszukiwanej przez nią parze. Jeśli istniał jakikolwiek świadek bytności Leny albo Galvina w Carson Mills, w końcu o niej usłyszy i ją znajdzie.

*W obozie Dzieci Jana też się dowiedzą, że tu jesteś.*

To było niebezpieczne. Trudno, weźmie ryzyko na siebie, przecież nie może wiecznie się ukrywać.

*Kelvin Snell przez to zginął...*

Myśl ta przemknęła jej przez głowę, gdy mijała sklep z bronią. Prawo do zakupu i noszenia broni palnej w Kansas było bardzo jasne: dopuszcza się wszystko albo prawie wszystko, nawet paradowanie po ulicach z pistoletem. Mimo to Kat wołała nie ulegać pokusie. Sama nie wiedziała, czy to z powodu wychowania, nawyków nowojorczanki z krwi i kości – prawdopodobnie było to najbardziej wrogie broni miasto w całym kraju – czy po prostu zdrowego rozsądku, ale obawiała się, że to przyniesie więcej kłopotów niż rozwiązań.

*Nawet jeśli w obozie się zorientują, że wędzysz po okolicy, mają do złapania grubsze ryby. No chyba nie zamordują byle podglądaczki, która się kręci wokół nich!*

Kat przypomniała sobie, jak Kelvin Snell poprawiał okulary starannym ruchem, i aż jej się ścisnęło serce.

*On dysponował dowodami. Piramida fikcyjnych firm, świadek, którego miał przesłuchać...*

W jaki sposób się dowiedzieli? Snell wyznał, że był ostrożny, o wszystkim wiedział tylko jego redaktor naczelny. Czyżby to on zdradził?

*Bardziej prawdopodobne, że śledzą internet przez szpiegowskie programy, które analizują wyszukiwania po słowach-kluczach albo kiedy się wstukuje nazwy różnych firm... Tego typu pułapki.*

Poza tym EneK na pewno zatrudnia geniuszy informatycznych zdolnych do zhakowania na odległość komputera, a nawet telefonu, do grzebania w historii wyszukiwań, czytania e-maili, SMS-ów...

*I do stwierdzenia, że Snell depcze im po piętach i jest coraz bliżej...*

W tym wypadku dla miliardowego koncernu było to jedynie łatwe do zrealizowania połączenie kompetencji, każdy ma wyznaczony odcinek, dostaje określony zakres obowiązków, bez zadawania zbędnych pytań, bez ogarniania wizji całości. Żaden pracownik nie zdawał sobie sprawy z własnego zaangażowania w proces uśmiercenia Kelvina Snella, po prostu wykonywał swoją robotę, dostarczał informacje zwierzchnikowi, a ten z kolei przekazywał je komuś innemu i tak dalej aż... *Kto? Rada nadzorcza? Sam prezes? Jak on się nazywa? Edwin Kowalski!* Chociaż ten człowiek, jeden z najbogatszych na świecie, był bardzo dyskretny, nie zdołał uniknąć zainteresowania mediów. Kat widziała już więc jego zdjęcie – przedstawiało osobnika wycofanego, niemal sprawiającego wrażenie, że nie pasuje do tego świata.

Prywatna detektyw zaparkowała samochód przy głównej ulicy i wpisała nazwisko prezesa w wyszukiwarce Google. Wywodził się z wolnej od skandali mieszczańskiej rodziny z Vermontu, był dość dobrym studentem, chociaż nie prymusem. *Mimo wszystko uniwersytet Yale...* Na studiach założył małą firmę programistyczną, następnie pracował przy szybkiej transmisji danych, a potem przy ich gromadzeniu. Wpadł na genialny pomysł, żeby w strefie niemal podbiegunowej kupić za bezcen tereny, które nikogo nie interesowały, gdzie dzięki potężnemu wsparciu finansowemu od regionu, aż nazbyt uszczęśliwionego, że nareszcie na tych zacofanych gospodarczo obszarach wzrośnie liczba miejsc pracy, zbudował wielkie hale. Kupował ziemię i tworzył infrastrukturę wokół miasteczek o wysokim poziomie bezrobocia, żeby zaoferować zatrudnienie. Pracownicy stanowi zajmowali się pociąganiem przewodów niezbędnych do przesyłu danych na obszarze setek kilometrów. Poza

minimalnymi inwestycjami Kowalski zarabiał na kosztach obsługi. Panujące w strefie polarnej warunki klimatyczne wystarczały, by ochładzać macierze dyskowe i coraz bardziej monstrualne serwery, które mnożył, by zaspokoić żądania klientów, gdy tymczasem konkurencja topiła miliony w działającej bez przerwy klimatyzacji. W świecie, który stawał się coraz bardziej wirtualny, ale paradoksalnie każdy najdrobniejszy e-mail musiał być gdzieś fizycznie składowany i archiwizowany, Kowalski proponował ekonomiczne rozwiązanie wszystkim usługobiorcom.

Jego fortuna powstała zaledwie w dekadę. Potem znacznie urosła, powiększała się w miarę, jak dywersyfikował swoją działalność.

Kat uzmysłowiła sobie, że Kowalski uosabia garstkę mężczyzn i kobiet, o których profilu psychologicznym, zamiarach czy równowadze umysłowej właściwie nikt nie ma pojęcia, ale którzy w ciągu zaledwie jednego pokolenia wdrapują się na szczyt, między najbardziej potężne osobistości świata, mające do dyspozycji nieograniczone zasoby materialne i obłądną władzę. Nie muszą się przed nikim tłumaczyć ani poddawać jakiegokolwiek kontroli. W świecie rządzonym przez pieniądź kapitalistyczna globalizacja nadawała im status proroków.

Mogli swobodnie narzucać swoją religię ludziom, tłumowi wyznawców, posłusznych wobec wzorca ich żywicielki, brzęczącej mamony, zaślepionych przez te nowe ewangelie kreujące mody i tworzące tendencje. Kto może się dzisiaj chełpić, że nie odwiedza świątyni Amazon, nie traktuje Google'a jak Biblii, nie chodzi ze smartfonem i tabletem w rękę jako jednym z wielu ostentacyjnych oznak osobistych wierzeń, uzależniony od spowiedzi na Facebooku, Instagramie, Twitterze...?

*Więcej niż prorocy. Półbogowie.*

Sama ludzkość stała się zależna od tego panteonu, o którego powstanie zadbała w tak krótkim czasie, boskiego sądu złożonego zaledwie z jakichś dziesięciu twarzy, który teraz, umościwszy się w niebiosach, zamierzał urządzić ten świat według własnego widzimisię.

Przymulona od tych rozważań, które wywoływały zawrót głowy, Kat postanowiła wyjść na powietrze. Dzień dobiegał końca, ona nie uzyskała jednoznacznych rezultatów i zaczynała się czuć wyprana z wszelkich pomysłów na przyszłość. To wszystko nie mogło się tak zakończyć, nie wyobrażała sobie, jak staje przed Annie Fowlings i oświadcza jej prosto w twarz, że córka prawdopodobnie jest zamknięta w ściśle strzeżonym obozie, a ona nie wie, czy to dziewczynę uszczęśliwia, czy została do tego zmuszona.

Kat zjadła kolację w restauracji w starym stylu, jakby żywcem wyjętej z lat sześćdziesiątych: posadzka w szachownicę, boksy z ławkami obitymi skajem i odpowiednia muzyka wypluwana przez szafę grającą. Brakowało tylko kelnerka na

wrotek i krzepiącej twarzy Richie'ego Cunninghama. Pochłonęła swój omlet wśród rodzin, obserwując z zaciekawieniem, otwarta na innych, a nawet pozwoliła sobie na shake'a na poprawę humoru. Bawiła się telefonem, nie wiedząc, czy powinna zadzwonić do Mitcha, posłuchać jego głosu, żeby się uspokoić, i załagodzić napięcie ostatnich dni. Powstrzymała się jednak. Brakowało jej odwagi. Mimo wszystko wieczór dobrze jej zrobił, częściowo rozwiął chandrę.

Kiedy wróciła do motelu, noc zdążyła już zapaść, a ona wcale nie posunęła się naprzód. Z braku możliwości zamierzała poszperać w sądach okolicznych hrabstw, w nadziei, że znajdzie sprawy dotyczące Galvina Hutchinsona i wyłuska jakieś nazwisko albo adres. Może w bazie danych PACER nie zarejestrowano wszystkiego. Może nie szukała jak należy... Sama w to nie wierzyła, ale musiała spróbować. Może Hutchinson zawitał do Kansas dlatego, że miał tam dalszą rodzinę, kumpla z więzienia albo jakąś starą sprawę, która przywiodła go tutaj w młodości, by chwilowo się zakotwiczyć. Tak czy inaczej Kat nie miała nic innego, musiała znów przystąpić do mrówczej pracy.

Zatrzasnęła za sobą drzwi, nie mogąc się doczekać, kiedy zdejmie buty, lecz zastygła w progu. Ciało ostrzegło ją w ułamku sekundy, jej włoski na karku stanęły dęba, a oddech przyspieszył.

Wyczuła w pokoju czyjś obecność.

W powietrzu unosił się obcy zapach i jednocześnie rozlegał niemal niesłyszalny odgłos regularnego oddechu.

Ktoś na nią czekał.

Kat wymacała na ścianie wyłącznik.

– Proszę nie zapalać światła – rozkazał czyjś głęboki głos. – To nie będzie konieczne.

## 43.

Ze swymi długimi włosami i hawajskimi koszulami Samuel Trappier przypominał starego beatnika. Z jego antysystemowych przemów biła prawdziwa żarliwość.

Trzeba jednak przyznać, że potrafił się posługiwać narzędziami tegoż systemu, aby wytykać mu nadużycia i braki.

Podczas ich ostatniego spotkania Atticus zapytał, czy EneK ma coś wspólnego z entomologami, Trappier zaś i na to umiał znaleźć odpowiedź. Starannie odrobił lekcje, z dbałością o szczegóły godną zawodowego szperacza. Chociaż nie cierpiał internetu, w razie potrzeby czuł się w nim jak na własnym podwórku.

Jego synteza sprowadzała się do jakichś trzydziestu stron wydrukowanych z rozmaitych witryn i wsuniętych do brązowej koperty.

Plik nie był podpisany, ale Atticus nie miał żadnych wątpliwości. To mogło pochodzić wyłącznie od niego. Tylko jemu zadał to pytanie i tylko on dysponował źródłami, żeby sporządzić podobny raport, który zostawił pod drzwiami, anonimowo.

„Bardziej cenię głoszenie prawdy niż osobisty sukces, dlatego się dzielę”. To były jego słowa.

Atticus przeczytał całość w nocy, podkreślając fragmenty, które przykuły jego uwagę. W ciągu blisko dziesięciu lat EneK zainwestował setki milionów dolarów w wykup spółek specjalizujących się w biotechnologii, skupiwszy się na czymś oczywistym: dziedzinie nanotechnologii. Trappier dokopał się do jednej ze starych deklaracji, ogłoszonych przez Edwina Kowalskiego w okresie skupowania spółek: „Biomasa owadów, a szerzej wszystkich połączonych istot stanowi ogromną większość tego, co żyje na naszej planecie. Ten, kto zgłębi jej tajemnice, będzie kontrolował zasoby fundamentalne dla przetrwania gatunku ludzkiego”.

Atticus bez trudu wyobraził sobie, jak słowa te padają z ust naukowego potentata. Brakowało tylko późniejszej tyrady, w której wieszczył zniszczenie części ludzkości, aby mogli się pojawić nadludzie. Pozostawał jeszcze kryjący się za tym rzeczywisty zamysł. Atticus nie bardzo wierzył, żeby celem całych tych nakładów w perspektywie była prosta operacja ekonomiczna. Kowalski miał wizję. Jego obsesja na punkcie owadów wykraczała poza pragnienie ofiarowania ludzkości nowych źródeł białka w pożywieniu, a nawet uległej siły roboczej, którą można by ciemnić do woli.

*Potwierdza to modus operandi zabójcy Oscara Riotta czy Kopelсона. Coś im się udało osiągnąć z tymi owadami.*

Atticus powoli brał pod uwagę mrozące krew w żyłach hipotezy, które na koniec, z braku dowodów, odsunął. Zagłębianie się w niedorzeczne przypuszczenia niczemu nie służyło. Nie teraz.

Potem następowała dziesięciostronicowa lista laboratoriów, przy czym Trappier zamieścił pod spodem informację, w czym się one specjalizowały albo czym się zajmowały, jeśli udało mu się to wyszperać.

O piątej rano, kiedy zadzwonił budzik, Atticus wyskoczył z łóżka zły i zmęczony. Wyczerpany brakiem snu i przerażającymi koszmarami.

Śledczy z RHD zebrali się w Biurze w Valley, po drugiej stronie gór Griffith Park, tuż obok siedziby fundacji Long Life Harmony. Zgraja sześciu śledczych dowodziła piętnastoma mundurowymi. Odprawa była szybka i konkretna. Przyszli po dokumenty związane z zaginięciami w Skid Row, a także akta osobowe personelu. Należało zidentyfikować ochroniarza, który towarzyszył Ximenie Torrebiarte podczas jej wypraw do centrum, tego, którego oskarżyła, że jej groził i zmusił do zastawienia pułapki na Oscara Riotta. Jak tylko ustalą, kto to jest, przemagluje go policja Los Angeles w nadziei, że zdoła mu udowodnić udział w morderstwie dziennikarza.

Atticus raczej nie robił sobie złudzeń, a rewizja tylko utwierdziła go w pesymizmie. Ktoś ostrzegł tych z Long Life Harmony. Czas zmarnotrawiony przez RHD pozwolił im się ukryć. Atticus pieklił się w duchu. Wiedział, że zarekwirowane papiery okażą się nic niewarte. Wszystko już zostało wyczyszczone, niewygodni pracownicy usunięci ze wszelkich możliwych wykazów. Polecenia wydane reszcie. EneK działał skutecznie.

Atticus dał wyraz złości, nie kryjąc frustracji, gdy pomagał przenosić pudła z przechwyconymi dokumentami. Można by nimi zapełnić kilkanaście bagażników samochodowych, zapowiadało się wiele dni żmudnej dźbaniny, która i tak okaże się bezcelowa. Ktoś wysoko postawiony pozwolił na zwłokę, powinni byli tam wtargnąć jeszcze w dniu złożenia zeznań przez Ximenę.

Atticus rozpychał się łokciami, Atticus kłął, Atticus wydawał rozkazy, dźwigał i stopniowo sprawił, że zrobiło się wokół niego pusto, każdy bowiem starannie go unikał, chcąc sobie oszczędzić napadów jego złego humoru.

Kiedy tylko było to możliwe, po kryjomu umieścił we własnym samochodzie dwa kartony, które szczególnie go interesowały.

Przed południem, gdy przeszukanie dobiegło końca, zwrócił się do Connora Hogana z RHD:

– Wszystko jedzie prosto do waszego biura, zgadza się? Dołączę do was po południu.

Hogan zatrzaskał drzwi, nawet nie odpowiedziawszy.

*Palant.*



Na wszelki wypadek, gdyby go śledzono, Atticus udał, że wybiera się na dyżur na hollywoodzki komisariat. Upewniwszy się, że nie ma ogona, skręcił, by się dostać na Silver Lake, i wrócił do domu, po czym pospiesznie wniósł obydwie pudła, co chwilę rozglądając się niespokojnie po ulicy.

Opróżnił swój łup na stole w salonie i cofnął się o krok, by podziwiać stos dokumentów. Wszystkie kwestionariusze wypełnione przez ekipę ze Skid Row, w tym Ximenę Torrebiarte.

Nie było łatwo je wypatrzeć podczas przeszukania bez zwracania uwagi kolegów, a tym bardziej odłożyć na bok, aby następnie samemu je przetransportować w odpowiedniej chwili, ale się udało.

Zagotował wodę i zaparzył herbatę imbirową, po czym zabrał się do dzieła.

Każdy kwestionariusz zawierał cztery zadrukowane strony, kratki do zakreślenia, rubryki do wypełnienia. Podczas lektury jednego z nich Atticusa zdumiały dokładność i nakaz odpowiedzi, jakich żądano od bezdomnych. Pełne dane osobowe, data urodzenia, numer ubezpieczenia społecznego, o ile jest znany, jak najwięcej poprzednich adresów. Nie oszczędzono także rodziny, każąc im szczegółowo opisać wcześniejszy styl życia, zanim znaleźli się poza nawiasem. Na koniec pytano ich o życie na ulicy, o „przyjaciół”, zwyczaje, uzależnienia i tak dalej. Jeśli badana osoba chciała otrzymać wynagrodzenie w naturze, musiała się zgodzić, by wzięto jej życie pod lupę, musiała wszystko wyśpiewać, obnażyć się, i dopiero wtedy mogła odejść z pakunkiem żywności.

Kiedy Atticus zgłębiał jeden z przypadków, uderzyła go ilość uzyskanych danych. Long Life Harmony nie mogła ich opublikować, bo zarzucono by jej zbyt duże wścibstwo, nawet gdyby się zasłaniała wyczerpującymi i udokumentowanymi badaniami. Jak nic, gdyby ktoś się zainteresował jej działalnością, uciekłyby się do strategii typu: informacje te dotyczą prywatnej sfery „ochotników” i służą do zbudowania schematów, określenia modeli, aby udoskonalić profilaktykę, jak najskuteczniej zapobiec przyszłej desocjalizacji. W żadnym razie nie pozwoliliby na przeglądanie surowych danych.

Atticus znał jednak prawdziwy cel wypełniania tych kwestionariuszy. Namierzenie łatwych, samotnych ofiar, mających rzadkie więzi albo żadnych.

Dopił herbatę i przystąpił do sortowania.

Najprościej i najszybciej było podzielić je według autorów, a następnie wyodrębnić te sporządzone przez Ximenę. Wobec tego wyjął listę, którą wręczył mu Mel.

Dominik Sheppard, Baby Roy, Lorette i Ravnik Chessernicof.

Teraz należało spróbować wyłuskać ich z tego stosu.

Atticus starannie odczytywał każde imię i nazwisko, zdając sobie sprawę, że Mel opierał się na fonetycznym brzmieniu i że zapewne istnieje duży margines błędu albo może chodzić o pseudonimy, jak w przypadku Baby Roya.

Powoli magia zaczęła działać. Dominik Sheppard. Lorette Nichols. Radnik Chernikhov. Brakowało jeszcze Roya, lecz Atticus odłożył na bok trzy ankiety, które mogły pasować: Douglasa Roystona, Deana „Roya” Aystera i Michaela Roya Reynoldsa.

Lektura ich akt potwierdziła, że mogli być łatwymi ofiarami. Wszyscy egzystowali nieco z dala od grup, nie rzucali się w oczy albo przeciwnie, w ogóle nie odznaczali się podejrzliwością, jak Lorette Nichols, która potrafiła wsiąść do pierwszego przejeżdżającego samochodu w zamian za odrobinę jedzenia czy alkohol.

Odnalazł ich.

Obecnie każde nazwisko miało swoją przeszłość, dokładnie określone życie.

Co więcej, Atticus pragnął zrozumieć, co skłoniło EneK, żeby ich zabić.

Musiał to sprawdzić. Znaleźć wytłumaczenie dla ich śmierci.

Stojący na brzegu stołu spodek zapełniał się wyschniętymi torebkami z herbatą. Salon przesiąkł zapachem pieprzu i cytryny.

Po wyczerpaniu całego repertuaru Sepultury z lat 1980–1990 z okresu braci Cavallera, z kolumn Focal płynęła ciut mniej agresywna muzyka – *Angel Dust*, ostatni album Faith No More.

Atticus przeczytał wszystkie kwestionariusze, zapisał sześć stron notatkami i wyodrębnił ze dwadzieścia tropów, które po dokładniejszym sprawdzeniu kolejno odrzucił. Od grupy krwi po dawny zawód, poprzez odwiedzane dzielnice, zwyczaje albo pochodzenie etniczne, gliniarz przetrzepał wszystko.

Nie istniał żaden związek między zaginionymi ze Skid Row. Nic poza ich profilem łatwych ofiar.

Atticus zagłębił się w kanapie nieco zbity z tropu. Z zadumy wyrwał go czysty głos Mike'a Pattona. Po chwili zapomnienia w czasie refrenu śledczy powrócił na ziemię. Nie miał nic.

Albo każda z tych osób została porwana z przyczyn z nią niezwiązanych i posłużyła jedynie za mięso armatnie, albo rzeczywisty motyw nie pojawiał się w kwestionariuszu.

*Dokonując wyboru, opierano się na tych dokumentach, przecież to właśnie one stanowią rację bytu dla tych badań, więc to musi tam być!*

Jeśli nie, pozostawała wyłącznie pierwsza ewentualność. Ofiara sama w sobie się nie liczyła, podobnie jak to, kim była, istotę stanowiła tylko jej rola pokrzywdzonego.

W konsekwencji Atticus nie dysponował niczym więcej. Nie miał nakreślonego żadnego kierunku, a już na pewno żadnego sposobu działania, który dałoby się rozpoznać i zastosować przy pracach wykonanych przez Long Life Harmony w pozostałych dzielnicach bezdomnych.

Jeśli istniało więcej ofiar, nie był w stanie ich zidentyfikować.

Stał przed szklaną ścianą, żeby rozprostować nogi. Nie jadł obiadu i z powodu braku ruchu czuł się senny. Bieg wokół zbiornika dobrze by mu zrobił.

Ci z RHD nie dzwonili, ci z komisariatu w Hollywood, zbyt zadowoleni, że się go pozbyli, też nie. Pewnie sobie wyobrażali, że zaszył się w kącie i zawstydzony albo wściekły przetrawia rozczarowanie.

Atticus zrobił dwa okrążenia wokół sztucznego jeziora i wrócił na swoje wzgórze, zlany potem. Nie biegał długo, za to prędko, czuł bowiem potrzebę rozładowania

frustracji.

Motywację odzyskał pod prysznicem, kiedy strumień wody masował mu plecy.

Usiadłszy ponownie nad stertą ankiet, zaczął rozważać inną hipotezę.

Mianowicie taką, że kwestionariusze posłużyły jedynie jako punkt wyjścia. Fundacja albo ktoś mający do nich dostęp mógł je zdobyć, aby dokonać wstępnej selekcji, a potem prowadzić dalsze badania. Opierając się wyłącznie na tych danych, Atticus nie znalazł żadnego powiązania między ofiarami, ponieważ stanowiły tylko ogólną wskazówkę. Co wcale nie oznaczało, że jakiś związek nie istnieje gdzie indziej. To on powinien go wysledzić.

Zestawił wszystkie posiadane informacje. Zabójca działał na podstawie tych samych stron, rozwiązanie kryło się więc tu, pod nosem. Akta medyczne? *Nie, nie ma ani jednego pytania o szpitale.* Zaburzenia psychiczne? *Tak samo, nie to jest przedmiotem.* Coś związanego z zawodem, jaki wykonywali, zanim wszystko stracili? *Może...* Więź rodzinna?

Osoby zaginione odpowiadały na pytania o przeszłość zawodową, o nazwiska pracodawców, niekiedy o adresy, i wymieniały dawnych krewnych, niektóre podawały nawet pełne dane. Atticus podjął się uciążliwego dochodzenia, aby odnaleźć większość wzmiankowanych jednostek. Po czym kolejno do nich zadzwonił.

Zadawał nieskomplikowane pytania, zmierzając prosto do celu: czy znają albo pamiętają daną osobę. Wówczas albo to prowadziło donikąd, co wyczuwał natychmiast, albo rozwijał temat, aby się przekonać, jaki będzie finał.

Robił notatki, przytrzymując słuchawkę ramieniem, i z każdym następnym telefonem przekonywał się, że jego szanse na rozwiązanie drastycznie maleją. Większość rozmówców nie przypominała sobie osoby, o którą pytał, albo nie miała ochoty marnować czasu na pogawędkę o kimś, kto nie pozostawił po sobie niezatartych wspomnień. Inni, mniej liczni, dawali dowód niekiedy wręcz zbytnej elokwencji we współczuciu dla człowieka, którego porzucili. To też nie przyniosło żadnych efektów.

Atticus już prawie skończył, słońce chyliło się ku zachodowi, gdy telefon odebrała siostra Lorette Nichols. Ledwie zdążył wymówić nazwisko zaginionej, a kobieta po drugiej stronie już zapytała:

- Twierdzi pan, że jest z policji?
- Owszem, z policji Los Angeles.
- Nie spieszył się pan!
- Z czym?
- Z oddzwonieniem, psiakrew! Odnaleźliście ją? Ma pan jakieś wieści o Lorette?

Atticus przeczuwał, że nie do końca panuje nad sytuacją, musiał jednak inteligentnie brnąć dalej, żeby się nie zdradzić.

– Z jakimi służbami pani rozmawiała?

– Jak to, z jakimi? Zadzwoiłam do pieprzonych glin!

– Przekazano mi pani sprawę, ale nie wszystko jest jasne.

– Nie ma żadnych niejasności, do cholery, Lorette zadzwoniła spanikowana i poprosiła o pomoc, to wszystko! Czyli że pan nie wie, gdzie ona jest? Minęło sześć dni, a wy jej jeszcze nie odnaleźliście? Wysłaliście patrole tam, gdzie wam powiedziałam?

Atticus odłożył notes podekscytowany.

– Zrobimy tak, Mrs Nichols, zacznij pani od początku i wszystko mi opowie.

– Co wy tam odpierdalacie na tych komisariatach, do ciężkiej cholery? Przecież już wszystko powiedziałam!

– Proszę, chcę pani pomóc, ale upewnijmy się, że niczego nie pominęliśmy. Siostra zadzwoniła do pani, zgadza się? Kiedy to było?

– W sobotę wieczorem. Kurwa, od sześciu dni proszę was o pomoc, a wy oddzwaniacie dopiero teraz?

– Co dokładnie pani powiedziała?

– Była spanikowana, płakała, dukała coś. Stało się coś poważnego, znam ją, ja to wiem.

– Ale jakich słów użyła?

– Że uciekła, że muszę jej pomóc, zanim ją odnajdą. Boję się, że wpakowała się w jakiś pasztet z jakimiś popaprańcami, wie pan, moja siostra mieszka na ulicy i...

– Tak, w Skid Row, mam to zapisane w aktach.

– No właśnie, to też jest dziwne, jak się dostała z Los Angeles do Kansas?

– Mówi pani do Kansas? Powiedziała pani, że tam jest?

– Nic panu nie przekazali czy jak? Na tym dzisiaj polega skuteczność policji? Wszystko powtórzyłam... chwileczkę, gdzieś to zanotowałam... Tak, powiedziała w Carson Mills! W Kansas! Niech pan posłucha, moja siostra i ja nie jesteśmy specjalnie blisko... Ona dokonała własnych wyborów, a ja nie chcę czegoś takiego przy moich dzieciach. Ale znam ją, naprawdę nie było z nią dobrze, nie miałam od niej wieści co najmniej od roku i jestem pewna, że to coś poważnego.

– Podała pani jakieś nazwiska?

– Nie, miała potężnego cykora, nie chciała pozostawać zbyt długo na linii, powiedziała, że muszę jej pomóc, że zadzwoni znowu, żeby mi przesyłała trochę kasy, a także żeby mi znalazła numer do wojska. Cała Lorette, odkąd... wie pan, od narkotyków styki jej się z deczka stopiły. Wiem, że można by sądzić, że to taki myk

ćpunkci, żeby wyciągnąć ode mnie szmal, ale mówię panu: znam swoją siostrę i ona rzeczywiście trzęsła gaciami ze strachu, nie symulowała.

– Wierzę pani, Mrs Nichols. Zostawiła jakiś adres albo numer telefonu?

– Nie, dzwoniła z automatu i powiedziała, że prędko znów się odezwie. Od tamtej pory nie miałam więcej wiadomości. Kurwa, sześć dni, a wy dajecie znać dopiero teraz? Przecież moja siostra mogła już dziesięć razy odwalić kitę, jarzy pan?

Atticus ledwie próbował ją uspokoić, obiecał, że się tym zajmie, po czym się rozłączył i czym prędzej rzucił na kartki zadrukowane przez Trappiera.

Rozsypał połowę po parkiecie, zanim znalazł to, czego szukał. Listę laboratoriów wykupionych przez EneK.

Zjechał palcem na trzecią linijkę. Pamięć wcale nie płątała mu figła.

PodsBioTech. Z siedzibą w Carson Mills, Kansas.

## 45.

Postać wypełniła sobą mrok i runęła na ciągle jeszcze oszołomioną Kat, która nie zdołała zdobyć się na reakcję.

Mężczyzna chwycił jej dłoń i odsunął od wyłącznika, zanim zdążyła zapalić światło, po czym zajął pozycję z boku okna, by przez żaluzje mieć widok na parking przed motelem.

– Nikt pani nie śledził? – zapytał z lękiem.

– Ja... Kim pan jest?

Intruz był pobudzony, nie potrafił ustać w miejscu. Odepchnął Kat, by dostać się do drzwi, które czym prędzej zaryglował.

– Nikogo nie widzę – dodał – ale z nimi nigdy za wiele ostrożności. Proszę mi podać telefon komórkowy.

Widząc, że Kat się opiera, mężczyzna wyciągnął rękę w półmroku i stanowczo ją ponaglił.

– Proszę mi go dać!

Kat spełniła polecenie. Intruz wyłączył aparat i wsunął go pod poduszkę.

– Mogą się tym posłużyć do podsłuchiwania rozmów, nawet gdy jest ustawione na czuwanie. Czekając, obszedłem pani pokój, nie ma mikrofonów.

Po dwóch przejściach od drzwi do końca pokoju mężczyzna wyraźnie się uspokoił.

– Czego pan ode mnie chce? – odezwała się Kat.

– Odwzajemniam się tym samym pytaniem.

Nagle Kat pojęła, co ta odpowiedź oznacza w kontekście jej pobytu w Carson Mills, wydukała więc:

– To pan jest Galvin Hutchinson?

Mężczyzna zatrzymał się przed minibarkiem i go otworzył. Anemiczny blask, który wydostał się z wnętrza, nie wystarczył, by oświetlić jego twarz. Intruz obsłużył się sam i napił się whisky prosto z miniaturowej buteleczki.

– Pudło – wyszeptał, przełknąwszy.

– Kim pan jest?

Westchnął głęboko znużony.

– Dlaczego pani szuka Leny?

Kat natychmiast poczuła zaciekawienie, do tego stopnia, że strach zszedł na dalszy plan.

– Jestem prywatnym detektywem, jej matka zatrudniła mnie, żebym ją odnalazła – wyznała, grając w otwarte karty.

– Jasne, już to słyszałem. Proszę udowodnić, że naprawdę zna pani Lenę.

Kat nie była pewna, co robić, równie dobrze to mogła być pułapka. *Ale czy mam jakiś wybór?*

– Jej młodsza siostra Tanie...

– I co z Tanie?

W jego pytaniu kryła się jakaś aluzja, pozwalająca przypuszczać, że on wie i że czeka, aż Kat zrobi pierwszy krok.

– Zginęła, jak Lena miała jedenaście lat.

Zachowanie mężczyzny zaczęło się zmieniać. Stał się mniej nerwowy. Kat właśnie zdobyła punkt. *Czyli że dobrze zna Lenę, że ona mu się zwierzała.*

Mimo wszystko w ciemnościach Kat czuła się bardzo bezbronna.

– Czy zdaje sobie pani sprawę z tego, w jakie gówno wdepnęła? Wie pani, co się tutaj dzieje? – przemówił, usiłując zapanować nad histerią.

Teraz, gdy minęło zaślepienie wywołane napięciem i powróciła trzeźwość umysłu, do Kat dotarło, kim on jest.

*Jak mnie odnalazł?*

– Lena jest wśród Dzieci Jana – powiedziała. – Ściągnął ją tam Galvin Hutchinson, tyle wiem. Widziałam też obóz. To Kelvin Snell panu o mnie wspomniał?

– Zna pani Snella? On nie żyje.

– Pan jest jego świadkiem, prawda?

Mężczyzna zamilkł i dopił alkohol z buteleczki.

– Czy może pani nam pomóc opuścić miasto? – zapytał.

– Nam? Ilu was jest?

Domyśliła się jego złości na samego siebie, że tak głupio się zdradził.

– Dwoje.

– Czy mogę chociaż włączyć lampkę nocną? W ciemności robię się nerwowa.

Cisza. Po czym mężczyzna ruszył do łazienki, zapalił światło i niemal całkiem zamknął drzwi. Do pokoju przedostała się smużka światła, akurat tyle, by odgadnąć, że intruz jest biały, ma około trzydziestki, rude rozczochrane włosy i zmęczoną twarz.

– Jak pan się nazywa?

Tym razem mężczyzna również długo się namyślał, zanim odparł:

– Jake.

Łąpał za krzesło przy biurku i podstawił pod kątem pod klamkę, by zablokować drzwi.

– Snell nigdy nie wspominał o pani istnieniu – ostrzegł.



– Spotkałam go tuż przed tym, zanim został zabity. Wiem, że mieliście się zobaczyć.

– Nie bardzo się do tego paliłem, ale to był jedyny sposób, żeby wszystko ujawnić, żeby samemu się chronić. Czekałem na właściwy moment. Te padalce były szybsze.

– Dzieci Jana? To oni są mordercami?

Jake przestał się miotać i zastygł przed Kat.

– Co tak naprawdę pani o nich wie?

– Mam tylko strzępy informacji. Są niebezpieczni. Potężni.

– O wiele bardziej, niż może sobie pani wyobrazić. Proszę usiąść, nie mamy dużo czasu, nie zostaną długo, to zbyt ryzykowne, muszę się gdzieś zadekować.

– Niby gdzie?

– A jak pani sądzi? Przechodziła pani już tamtędy dwukrotnie, już myślałem, że należy pani do tych popaprańców i że nas namierzili. Napędziła nam pani cykora.

*Jeden z hoteli. Nie, przecież oni nie mają pieniędzy. Pokój u kogoś kątem. Jakaś współczująca dusza, której się zwierzyli i która wzięła ich pod swoje skrzydła.*

– Kim jest ta osoba z panem?

– Została na miejscu, tak jest bezpieczniej. To ja wyciągnąłem ją z piekła. O mało jej nie zabili.

Kat przypomniała sobie ogromne kominy i zadrżała.

– Czy to Lena?

– Nie.

– To właśnie robią Dzieci Jana? Przyglądają się morderstwom?

– Demonstracjom – sprostował Jake. – Ich absolutnej władzy. Nieuchronności kresu.

*Oczywiście. Dzieci Jana. Apokalipsa Świętego Jana...*

– Apokaliptyczna sekta...

– Tylko że ona nie wieszczy końca świata. Ona go programuje.

Kat nie bardzo nadążała i w obawie, że Jake znienacka postanowi zakończyć rozmowę i uciec, wołała skupić się na tym, co najistotniejsze, bardziej niż na otocze.

– Powiedział pan, że zna Lenę. Czy ona żyje?

– W zeszłym tygodniu, kiedy uciekłem, żyła. Jest jedną z ochotniczek.

– Bo nie wszyscy są?

Jake ponownie zerknął przez okno, czy nikt się nie zbliża od strony parkingu, po czym gestem nakazał Kat, by przysiadła na brzegu łóżka, a sam przycupnął na minibarku.

– Ich sposób działania jest idealnie dopracowany – wyjaśnił. – Najpierw zwerbowali charyzmatyczne, wygadane jednostki, cwaniaków o wątpliwej przeszłości, takich, co

to nie zadają zbyt wielu pytań, byleby dobrze, a nawet superdobrze płacili. Oni to naganiacze.

*Galvin Hutchinson. Skłonny do przemocy manipulant, a w razie potrzeby także psychopata.*

– Ich zadanie jest proste: szerzyć dobrą nowinę, żeby zwabić zabłąkanych, zrozpaczonych i umysły podatne na manipulację. Przyciągają ich ślicznym marketingiem o braku sensu w nowoczesnym świecie, o pustce egzystencji, podłości istoty ludzkiej...

*Ulotka.* Kat przypomniała sobie natarczywy tekst, który uznała za zredagowany przez cały zespół.

– Mogłaby pani pomyśleć, że to naprawdę dla idiotów, ale zapewniam, że w tym tkwi siła, oni dobrze to wszystko dopracowali – upierał się Jake. – Podstawowa zasada jest taka sama jak przy indoktrynacji przyszłych terrorystów: opowiadają ci, że świat zszedł na psy, że wszystko jest do dupy, a potem tłumaczą, że istnieje rozwiązanie. Ono zaś idealnie zaspokaja to, czego ci brakuje. Bo oni atakują właśnie takich ludzi: pozbawionych orientacji, idei, sensu. I powoli wślizgują się do ich mózgu. Naganiacze są uzdolnieni, zostali porządnie wyszkoleni przez armię ekspertów od zachowań.

– Istnieje obrzęd inicjacji, prawda?

Kat nie potrafiła zapomnieć kadzi w magazynie i śladów po paznokciach.

– Owszem, dla tych, którzy zostali wybrani. Z grubsza biorąc, dla tych najbardziej podatnych. Uczestniczą w...

Jake przełknął ślinę, oczy mu błyszczały. Dodał niższym, drżącym głosem:

– Oczyszczeniu.

– Jak to?

Kat miała wilgotne dłonie.

– Właśnie wtedy pojawiają się ci, którzy o nic nie prosili. Mężczyźni i kobiety zgarnięci po cichu, pariasi, zapomniani, za którymi nikt nie zatęskni. Oni służą do demonstracji.

Kat także zniżyła głos.

– To morderstwo? Zbiorowe?

– Nie. Złożenie ofiary. To metoda, która na koniec pozwala wmówić człowiekowi, że oni mają rację i że świat i tak nie zdoła im się wymknąć.

Sala w magazynie, z rzędem twarzy namalowanych na ścianach, rysy wydrapane paznokciami w kadzi...

– Mój Boże...

– Może pani o nim zapomnieć, widziałem, jak go błagają, a on nic nie zrobił, żeby ich ocalić. Za to ci, którzy dopuszczają się tych potworności, oni mają taką władzę jak

bóg. Nie uwierzyłaby pani, gdyby przy tym nie była. W tym tkwi ich siła, nikt nie byłby w stanie sobie wyobrazić, do czego są zdolni, trzeba to zobaczyć na własne oczy, żeby już nie móc więcej się podźwignąć. A wtedy...

Jake popatrzył na Kat z bezbrzeżnym smutkiem. *Ten człowiek został złamany.*

– To, co robią, jest odrażające – wyszeptał ledwie słyszalnie.

Kat czekała, aż nabierze dość sił, by poskładać słowa.

Dostrzegła łzę spływającą mu po policzku.

– Oni przemawiają do owadów, rozkazują im. A kiedy człowiek zostanie wybrany do oczyszczenia, robaki go pożerają.

Kat oddychała z trudem.

Zbyt dużo informacji naraz, zbyt wiele rewelacji, potwornych absurdów.

A przecież widziała porozgniatane owady na dnie kadzi. Wtem przemknęła jej przed oczami wizja objedzonego do kości kota Leny.

– Jak... Jak oni mogą... – wymamrotała.

– Nie mam pojęcia, po prostu to robią i tyle. A ja należałem do tych biedaków, którzy dali się uwieść, uwierzyłem w tę gadkę, dobrze dla mnie brzmiała, niesprawiedliwy świat, który oszalał, w którym kraje takie jak nasz marnotrawią miliony ton żarcia dziennie, podczas gdy gdzie indziej dzieci zdychają z głodu, w którym garstka facetów pławi się w morzu brylantów, podczas gdy trzy czwarte ludzi zasuwa na kilku etatach, żeby w ogóle przeżyć. Oszczędności całego życia powierzone lekkomyślnemu bankierowi idą z dymem, bo oni bawią się między sobą, przy okazji rujnując całe rodziny. Jałowość wirtualnego życia w sieciach społecznościowych, kontrolowanie mas przez upodlenie, szerząca się przemoc, którą tolerujemy coraz bardziej, wszechobecny brak kompetencji, kłamstwa... Owszem, świrowałem od tego wszystkiego, więc skoro dokładnie tak mówili, posłuchałem i poszedłem za nimi.

Jake pomasaował sobie skronie, złorzecząc.

– Wyobrażam sobie, że można mnie wziąć za kretyna – oznajmił. – Jednak zapewniam panią, że jak człowiek to przeżywa od środka, jest inaczej. To narasta, rozumie pani? Najpierw broszura, żeby przykuć pani uwagę. Jeśli pani zareaguje na ten bodziec, jest po ptakach. Jak tylko pani się stawi na jedno z ich spotkań, umarł w butach, już panią mają. Ich prezentacja jest tak dobrze zrobiona, przedstawiają nieznośne liczby, sugestywne obrazy, to jest mocne, chwyta za gardło, sprawia, że ma pani ochotę zareagować albo strzelając sobie w łeb, albo podpalając świat. I właśnie wtedy do gry wchodzi specjaliści od zachowań, wciskają się do pani umysłu, badają pani reakcje i podsuwają odpowiedź na pani wątpliwości, lęki. Wszystko to dzieje się stopniowo, człowiek się wciąga etapami, na przestrzeni paru miesięcy zostaje wyrwany z korzeniami z dawnego życia, i zanim się spostrzeże, co mu się przytrafiło, zdąży zrezygnować ze wszystkiego, wskoczyć do minivana i popędzić do Kansas.

Kat go nie oceniała. Wiedziała, jak łatwo jest upaść, kiedy człowiek czuje się źle we własnej skórze. Wystarczyło prześledzić pojawienie się Daeszu i tysięcy ochotników, którzy napłynęli z całego świata, żeby przyłączyć się do Państwa Islamskiego. Część

z nich zaledwie rok wcześniej nawet nie była wierząca. Wielka sprawa, starannie przygotowane łgarstwo, skuteczne nauki, zaspokajające wewnętrzne potrzeby ogromnej większości z nich, cała sieć powiązań i kandydaci przybywali. EneK miał miliardy dolarów, by udoskonalić swoją metodę.

Przerastała ją reakcja ochotników na uśmiercanie. Dlaczego nie dawali dyla, zorientowawszy się, gdzie trafili?

– Pan był obecny przy tym... oczyszczeniu.

Prześwidrował ją wzrokiem i Kat się wystraszyła. *Jest w nim jakieś szaleństwo.*

Oni do pewnego stopnia zniszczyli mu rozum.

– Tak – wyznał.

– Kto za tym wszystkim stoi? W jakim celu was indoktrynują?

Jake przyglądał jej się i nagle dostrzegła w jego oczach litość.

– Żebyśmy się przyczynili do zagłady. Żebyśmy byli raczej jej aktorami, a nie biernie czekali.

– Chwileczkę, czy usiłuje mi pan powiedzieć, że wszyscy ochotnicy w obozie to... coś w rodzaju proaktywnych survivalowców? To jest ich marzenie?

– Oni chcą unicestwić świat. Na dobre. I teraz to już nie jest marzenie. Wkrótce stanie się rzeczywistością.

– Ale... to jest...

Kat nie potrafiła sobie tego uzmysłować. Nikt nie jest w stanie zamknąć pięciuset osób razem i skłonić ich do przyjęcia roli katów ludzkości, to tak nie funkcjonuje.

*Lena.*

Kobieta, która źle się czuje we własnej skórze, usiłuje się odnaleźć, skonfliktowana z matką, mająca czarne myśli, niemal gotowa przejść do czynu. Najpierw odnalazła drogę ratunku poprzez magię i jej obietnicę ukrytego, być może lepszego świata, pod wpływem Silasa Okpora. To był pierwszy etap – zanim spotkała Galvina Hutchinsona, naganiacza od Dzieci Jana. Galwin zakradł się do jej umysłu, zlokalizował luki, aby tym skuteczniej zapełnić je toksycznymi słowami. Wszystko potoczyło się błyskawicznie, w miarę jak dręcząca Lenę beznadzieja się nasilała. Tatuaż na plecach, zapowiedź tego, co miało się wydarzyć. Ofiara z własnego kota, podczas której wymieszały się niezdarnie jej raczkujące magiczne wierzenia i akceptacja nadciągającego chaosu, w jakim miała raczej wziąć udział, niż mu ulec i cierpieć. *Lepiej wyrzucić krzywdę, niż jej doznać.*

Galvin Hutchinson zawrócił jej w głowie, żeby zrobić z niej marionetkę. A kiedy jej pokazał, do czego są zdolni, wszelki opór psychiczny Leny osłabł. *Albo to, albo obłąd.* Wrzaski ofiary w tamtej kadzi musiały rozbrzmiewać w jej uszach przez wiele, wiele nocy. *Podobnie jak skrobanie paznokci po metalu, dopóki się nie połamały.*

Owszem, od tamtej pory Lena podążała za Galvinem. Bo nie miała wyboru, chyba że czym prędzej sama zadałaby sobie śmierć. W ten sposób znów nadał jej życiu sens, miała jakąś rolę do odegrania. Fundamentalną.

Przyczynić się do apokalipsy. Zamienić własne wątpliwości w rzeczywistość dla wszystkich. Wyruszenie nie w pojedynkę, ale zabranie ze sobą świata do pewnego stopnia mniej by bolało.

A takich Len Fowlings musiało być wiele.

*Mnóstwo.*

Po każdym zachodzie słońca społeczeństwo wypuszczało kolejne jej podobne.

– To kompletne wariactwo – wyszeptała.

A jaki interes mieli w tym ci, którzy działali w cieniu? Jaką korzyść czerpali z tej zabójczej maskarady na szeroką skalę?

– Ilu was było w obozie? – zapytała Kat.

– Nie wiem, jesteśmy podzieleni według budynków, nie mieszamy się między sobą, ale na każdą sekcję przypada co najmniej dwustu ochotników.

Kat naliczyła około dziesięciu budynków.

– Ile zła mogą wyrządzić nawet przy jednym czy dwóch milionach wyznawców? W najgorszym razie zdołają spalić jakieś miasto, zanim spacyfikuje ich Gwardia Narodowa. Do apokalipsy jeszcze daleko...

Jake pokręcił głową.

– Nie rozumie pani. Przez cały dzień piorą nam mózgi filmami propagandowymi, bezwzględными przemowami. Ich celem jest utrzymywanie nas w ciągłym napięciu, żebyśmy, gdy nadejdzie czas, słuchali rozkazów bez szemrania. Wtedy każdy otrzyma bardzo konkretne zadanie do wykonania. To nic takiego, wcisnąć guzik, zakraść się, żeby przeciąć kabel, zadzwonić... Tylko że jeśli to wszystko połączyć w całość, powinno wystarczyć. Istnieje plan. Wizja. Dzieci Jana nie mierzą w żadne miasto ani nawet w cały nasz kraj. One chcą obalić świat.

Do Kat nadal nie docierało, jak można przekształcić wyznawców sekty w realne zagrożenie, toteż Jake odparł:

– Ja też nie mam pojęcia, nie rozumiem tego, celowo tak to urządzili! Każdemu przypada określona rola, nikt nie uświadamia sobie konsekwencji własnego czynu. I nie wiem, kto tym kieruje. Tam, w obozie, istnieje hierarchia, ale przez większość czasu widzimy jedynie swojego werbownika, to on jest szefem. Za to mogę pani powiedzieć, że już niedługo.

– Wypuszczą wyznawców na wolność?

– Owszem, tych, którzy zdobyli ich zaufanie.

– A potem długotrwała infiltracja?

– Nie wydaje mi się, oni chcą, żeby szybko poszło. Kiedy rozpęta się apokalipsa, trzeba będzie działać bez zadawania pytań.

– Co to znaczy niedługo? W ciągu miesięcy, tygodni?

– Nie mam pojęcia. Gdy uciekałem, w obozie wrzało. To się zbliża. Może nawet nadejdzie w ciągu kilku dni.

Kat czuła, jak z przerażenia coraz bardziej ścisła ją w gardle. Skupiła się na tym, co najistotniejsze.

– A Lena? Gdzie ją pan widział?

– Była w tym samym budynku co ja, ale nie z tym samym werbownikiem.

– W ubiegłym tygodniu udało jej się wysłać do matki SMS-a. Wie pan jak?

– Kiedy z człowiekiem jest źle, kiedy wątpi, mogą pozwolić na jedną wiadomość, a czasem sami tego wymagają, żeby uspokoić rodzinę, która za bardzo się martwi. Ale pilnują. Gdy ktoś przekracza bramę obozu, porzuca wolność. Staje się żołnierzem apokalipsy, życie prywatne musi zejść na drugi plan.

– Nikt się nie buntuje ani nie chce stamtąd odejść?

Jake zamilkł, szukając właściwych słów.

– Abyśmy nigdy nie zapomnieli o potędze Dzieci Jana, urządza się regularne oczyszczenia, w których musimy uczestniczyć. Ci, których determinacja słabnie, kończą jako przykład.

Kat chwilami korciło, by wybuchnąć okrutnym śmiechem, a momentami kusiło, by celowo stracić przytomność i w ten sposób o wszystkim zapomnieć.

To było zbyt naciągane. Jake ją nabierał.

*Historia dowiodła, że ludzie potrafią spełniać najgorsze wymagania, to tylko kwestia manipulacji, okoliczności, środków.*

EneK miał do dyspozycji to wszystko.

– Teraz musi mi pani pomóc – powiedział Jake błagalnie. – Chcemy opuścić miasto, po śmierci Snella zrobiło się niebezpiecznie.

Kat wstała. W głowie kręciło jej się tak mocno, że cały pokój zawirował.

– Ta cała konspiracja musi trafić do prasy... – oznajmiła.

– Najpierw pani nas stąd wyciągnie, potem zobaczymy. Nie będę więcej ryzykował z żadnym dziennikarzem. Ma pani samochód, proszę nas wywieźć jak najdalej.

Kat dała mu znak, by zamilkł. Miała już dość. Pognała do łazienki, żeby ochłapać twarz zimną wodą.

Stała tak dobre pięć minut, pozwalając, by woda skapywała jej po skórze. Gdy wróciła do pokoju, Jake zaczął się niecierpliwie.

– Mam plan – oświadczyła.

Kiedy nieco później, po długiej dyskusji, Jake opuścił motel, czaił się przyklejony do ściany, aż dotarł do ciemnej uliczki, w której się rozpułynał.

Ani przez chwilę nie zwrócił uwagi na cichego drona, który śledził go na niebie.



## 47.

Atticus przez cały dzień nie miał nic w ustach, jego paliwem były teina i adrenalina. Dopiero gdy mrok zgęstniał tak bardzo, że nie mógł rozczytać własnych notatek, zdobył się na wysiłek, by oderwać się od śledztwa i zapalić lampę w salonie.

PodsBioTech była to firma biotechnologiczna, której główna działalność polegała na przeprowadzaniu doświadczeń na owadach. Na pięć lat przed wykupieniem jej przez EneK dokonała fuzji ze spółką specjalizującą się w zminiaturyzowanej robotyce. Pół dekady wszelkiego rodzaju kosztownych prób, które nie przyniosły efektów, i znalazła się nad finansową przepaścią. Właśnie wtedy jak spod ziemi wyrósł EneK, dzięki któremu otrzymała zastrzyk gotówki i machina ponownie została wprawiona w ruch. Tylko że tym razem PodsBioTech korzystała z sieci znajomości, uruchomionych przez wszystkie start-upy, jakie dopiero co kupił sobie Edwin Kowalski. Przetrząsając zgromadzone przez Trappiera dokumenty, Atticus wyczytał, że PodsBioTech zrezygnował z bezowocnych technik robotycznych i zbratał się z MCR, którą Gore z początku wziął za firmę komunikacyjną. W rzeczywistości MCR prowadziła zaawansowane badania nad komunikacją... owadów. Wszystko miał pod nosem, ale nie wiedząc, na co powinien patrzeć i jak to zinterpretować, przeszedł obok.

A PodsBioTech niedawno przeniósł się do Kansas, do jakiejś zabitej dechami dziury o nazwie Carson Mills. Brakowało mu jeszcze największych fragmentów układanki, ale stopniowo udawało mu się wypełniać puste miejsca.

*Kowalski to świr. To mu nie przeszkadza dorobić się miliardowej fortuny. Ma syndrom małego ptaka, co kompensuje czytaniem Nietzschego i wyobrażaniem sobie, że sam może się stać nadczłowiekiem. Chce ocalić ludzkość przed... ludzkością, stawiając się ponad nią.*

OK, jak dotąd to się trzymało kupy.

*W tym celu pakuje hajs w dziedzinę nauki zajmującą się światem owadów. Dokonuje odkrycia, które trzyma w tajemnicy, ale które umożliwia mu sprawowanie nad nimi kontroli.*

Atticus przerwał swoje sprawozdanie, uświadomiwszy sobie, dokąd zmierza. Zapuścił się na dobre w science fiction. Sprawowanie kontroli nad owadami. Absurd.

*Nie zapominaj o Oscarze Riotcie i innych. Jego szkielet... Został dosłownie pożarty! Kowalski panuje nad owadami, to nie może być nic innego!*

W gruncie rzeczy od ponad wieku wojsko próbuje dokonać tego samego ze zwierzętami. Delfiny zamienione w żywe bomby, ptaki szpiedzy, a nawet, przypomniał

sobie, skarabeusze przenoszące miniaturowe kamerki! Taka właśnie była rzeczywistość. Choćby nie wiadomo jak bardzo wydawała się nieprawdopodobna.

*Dobra. I co dalej? Za pośrednictwem jednej ze swoich fundacji porywają bezdomnych, żeby...*

I tu zaczynały się schody. Lorette Nichols odnalazła się w Kansas, przerażona. Co robiła w laboratorium biotechnologicznym skupionym na owadach?

*Królik doświadczalny.*

Nie widział innej możliwości.

Zadzwoiła komórka. Hack.

– Jak leci? – zapytał partner.

– Czytam.

– Aha. A co takiego? „Sports Illustrated” na kiblu? Coś takiego. Wydają pisma o sporcie dla gejów?

– I po to dzwonisz?

Ton głosu mężczyzny uległ zmianie, stał się mniej beztroski.

– Nie. Chcesz wpaść jutro do domu na obiad? Robię burgery z grilla.

Pytanie zabrzmiało fałszywie. Było mechaniczne. Zbyt gładkie.

– Mam robotę, Hack.

– Bez przesady, przecież to piątek, zostaw brudną orkę gościom z RHD. Wiem, że rano było przeszukanie, będzie tona papierzysek do posortowania i przejrzania...

– To szef kazał ci mnie czymś zająć?

Hack nie starał się kłamać.

– Schaeffer. Co oznacza, że mnie i Alicii byłoby miło, gdybyś wpadł.

Atticus nie miał pewności, czy kapitanem ktoś steruje, należał do tych, którzy dbają o swoich ludzi, i zapewne dwoił się i troił, żeby trzymać swojego śledczego jak najdalej od kłopotów.

– Przepraszam w moim imieniu Alicię i dziewczynki, ale sobie odpuszczę.

– Naprawdę masz coś lepszego do roboty? Nie sądzisz, że powinienesz przyhamować? No wiesz, raport dla...

– Zrozumiałem, Hack. Schaeffer wysłał cię na urlop?

– Piwko, leżak, telewizja. Nawet nie wiesz, co tracisz.

Słowa Hacka nie brzmiały przekonująco. W jego głosie słychać było nutkę strachu.

*Wie, że prawdopodobnie nas podśluchują. Bawi się w kotka i myszkę, pokazuje, że przestał być zagrożeniem.*

Żaden z nich nie dodał nic więcej. Obaj poczuli skrępowanie.

– Uważaj na siebie – powiedział z powagą Hack.

Kiedy się rozłączyli, Atticus złąkł się ciszy. Nie lubił jej. Nigdy. Wyjął starego Ozzy'ego Osbourne'a, *No More Tears*, i już po kilku akordach ukoła go gitara Zakka Wylde'a.

O dziwo uzmysłowił sobie, że zależy mu na partnerze, akurat wtedy, gdy tamten zwinął żagle. Jeszcze zbyt dobrze się nie znali. Atticus często trochę pochopnie go osądzał z powodu tępawego wyglądu buraka, ale w gruncie rzeczy to był porządny gość. *On się nie bawi w kotka i myszkę. On się broni.*

I nie mógł mu mieć za złe, że troszczy się o rodzinę.

*Ja muszę dbać tylko o własny tyłek.*

A jeśli chce się zabezpieczyć, musi jak najprędzej obmyślić swój następny ruch na gigantycznej szachownicy, gdzie zmagali się ze sobą Edwin Kowalski i on.

Wyobrażanie sobie, że może rywalizować z takim człowiekiem, to dowód pychy, doszedł do wniosku.

*Niech się wali.*

Atticus przez godzinę szperał w internecie na temat PodsBioTechu, Carson Mills i okolic, ale na próżno. Kiedy wpisał w wyszukiwarkę słowa klucze „Kansas + owady”, pierwsze dwie strony podsunęły mu kompletną wiedzę na temat upraw i licznych szkodników, które je pustoszą. Z kolei gdy kliknął w zakładkę „Aktualności”, pierwszy link, jaki się wyświetlił, sprawił, że aż się pochylił nad ekranem.

Dziennikarz znaleziony martwy we własnym domu w Wichicie, pół godziny jazdy od Carson Mills. Prawie w stanie szkieletu. Policja odmawia wszelkich komentarzy, ale najwyraźniej jest bezradna. Wszyscy sąsiedzi w dniu śmierci ofiary widzieli ogromną chmurę owadów nad jej ogrodem. Stąd mnóstwo najgorszych plotek i fantastycznych dywagacji.

Dla Atticusa była to kopalnia informacji. Żyła złota. Już sama wzmianka w prasie oznaczała, że EneK utracił absolutną kontrolę nad tym, co się ukazuje w mediach, zwłaszcza lokalnych. Oraz że gliniarze nie chodzą na pasku.

Lorette Nichols ukrywająca się w regionie. Tuż obok laboratorium EneKu pełne owadów, a teraz trup kolejnego dziennikarza.

Nie było już żadnych wątpliwości. Atticus właśnie odkrył, jaki będzie jego następny ruch na szachownicy.

Sally Fuller była stuprocentową kobietą: potrafiła robić dwie rzeczy naraz z jednakowym skupieniem, mianowicie oglądać powtórkę *Koła fortuny* w telewizji, równocześnie śledząc przez okno każdy ruch na swoim podwórku.

Gdyby żył jej mąż, nie omieszkałby jej uświadomić, że jeśli będzie zajmowała umysł tyloma sprawami, skończy z chorobą Alzheimera. Tylko że od ciągłego sadzania tyłka w tym cholernym bujanym fotelu to on kofnął na raka okrężnicy, nie bez ironii, z której Sally samej sobie nie pozwalała się śmiać, przynajmniej przy ludziach. Zawsze przywiązywała dużą wagę do pozorów. W takiej mieścinie jak Carson Mills to, co o tobie myślą inni, jest fundamentalną kwestią. Bo dokładnie to cię określa, to pozostaje po tobie po twojej śmierci. Pamięć.

Właśnie dlatego nigdy nie powiedziała o stosowanej przez męża przemocy – stała się mistrzynią w ukrywaniu siniaków pod makijażem i wymyślaniu wszelkich wymówek. Tak samo nie do wyobrażenia było odejście od niego. Przez czterdzieści sześć lat zginała kark i inkasowała ciosy. Rezygnowała też z mnóstwa marzeń, które bydlakowi nie przypadły do gustu.

W miesiąc i jeden dzień po pogrzebie Sally Fuller zamieściła pierwsze ogłoszenie, żeby znaleźć lokatora. Zawsze chciała prowadzić hotelik, przyjmować przygodnych gości, wyłapywać ich akcent i na jego podstawie odgadywać, skąd pochodzą, słuchać ich opowieści, starannie przygotowywać im pokoje, aby dobrze się w nich czuli – wykombinowała sobie, że jej znakiem firmowym będzie gałązka lawendy na poduszce, aby pachniała. Lecz w wieku sześćdziesięciu pięciu lat nie miała już odwagi, żeby się porwać na coś takiego. Dwa pokoje na piętrze w zupełności wystarczały na skromniejszą, jeszcze bardziej osobistą ofertę.

Zamieszczania ogłoszeń przez komputer nauczyła ją wnuczka sąsiadki. Zimą nikt się nie zjawiał, ale gdy zapowiadano ciepłe dni, jakiś przedstawiciel handlowy albo turysta rezerwowali miejsce przez internet, czasem ktoś, kto miał przyjechać na ślub, a nawet paru stałych bywalców, którzy wracali co roku. Sally gościła ich wszystkich z prawdziwą radością.

Kiedy tamta para zawitała bez rezerwacji, Sally od razu spostrzegła, że coś nie gra. To było oczywiste. Ściągnięte rysy twarzy, oczy czerwone od łez i lęku, bez walizek i samochodu, wyglądali zupełnie jak dwójka zbiegłych kryminalistów, zresztą od razu miała ochotę cichutko podejść do telefonu i zawiadomić szeryfa.

Szczególnie dziewczyna była w paskudnym stanie. „Stuknięta”, to właściwe określenie. Sally wyczuła mowę ciała, którą znała aż za dobrze, i z miejsca oceniła mężczyznę bardzo surowo. Po czym zmieniła zdanie. Jego gesty w stosunku do niej, jego troskliwość, ostrożność, to nie było zachowanie męża nawykłego do przemocy, nawet w fazie pogodzenia. On był szczery. Wręcz mocno zaniepokojony. Bardzo o nią dbał.

W kilka sekund para rozczuliła Sally, więc kobieta otworzyła przed nią serce.

– Nie mamy pieniędzy, proszę pani – uprzedził mężczyzna – i nie chcemy ściągnąć na panią kłopotów, więc nie zostaniemy. Ale błagam ze względu na moją przyjaciółkę, mogłaby nam pani dać odrobinę wody i jedzenia?

Sally zrobiła o wiele więcej. Włożyła fartuch i upiekła swój najlepszy placek. Do diabła z tym, jeśli wpadnie tu szeryf we własnej osobie i oskarży ją o pomoc zbiegom. Istnieją spojrzenia, które nie kłamią: w oczach tej dwójki nie było nic potwornego. Wprost przeciwnie.

Zaczęło się od placka, teraz zaś, po sześciu dniach, ciągnęło się dalej w największej tajemnicy.

Jake i Lorette opowiedzieli jej swą szaloną historię. Sally z trudem wszystko pojęła, wręcz nie potrafiła uwierzyć własnym uszom. Tak czy inaczej nie była w stanie wyrzucić ich za drzwi i mocno wzięła sobie do serca misję ich ukrywania.

Kiedy więc trzeba było okłamać prywatną detektyw, zrobiła to z takim samym zapałem jak wtedy, gdy plotła bajki o wpadnięciu na drzwi po tym, jak mąż spuścił jej łomot.

Jake i Lorette nie wychodzili wcale albo prawie wcale. On się zarzekał, że to się wkrótce skończy, że wyjadą, jak tylko jakiś dziennikarz opublikuje ich historię. Tego wieczoru oznajmił jednak, że musi na trochę zniknąć, że wpadli w tarapaty.

Wrócił o północy, cień na dziedzińcu, i wśliznął się do kuchni tylnymi drzwiami. Jego widok w ubraniu zmarłego męża zawsze wywoływał u Sally lekki wstrząs.

Przywitał się.

– Uzyskał pan to, na co liczył? – zapytała.

– Chyba tak. Niedługo się pani od nas uwolni. Dziękuję za wszystko, co pani robi. Bez pani pomocy już byśmy byli martwi.

Sally nieszczęśliwie było spieszo ich pożegnać. Wzruszali ją, a cała ta tajemnica niemal ją bawiła.

Złożył ręce, jakby w modlitwie dziękczynnej. Po czym poszedł do łóżka.

Lorette już spała, kiedy Jake położył się obok niej.

Sam nie wiedział, co myśleć o tej całej Kat Kordell poza tym, że była ich jedyną nadzieją. Znała sekret Leny na temat jej młodszej siostry. Tymczasem Lena nie

zdradziłaby go pierwszej napotkanej osobie, Jake musiał zdobyć jej zaufanie, żeby mu o tym opowiedziała. Był to argument za uwierzeniem Kat Kordell.

Jej plan miał sens. Był prosty, istniało niewielkie ryzyko, że ktoś niepowołany wszystko zdekoduje.

Jake wahał się, czy obudzić Lorette i jej o tym opowiedzieć, ale się powstrzymał. Chociaż ten jeden raz, kiedy nie jęczała przez sen, należała jej się jeszcze odrobina spokojnego wypoczynku. Nazajutrz o świcie będą mogli swobodnie pogadać. Jake nigdy nie spał do późna, był zbyt zalękniony. Podrywał się na każde skrzypnięcie parkietu, na choćby najcichszy odgłos spalin wydobywających się z rury wydechowej na ulicy i natychmiast dopadał do okna z łomoczącym sercem. Nie nadawał się do życia w ciągłej nagonce, musieli jak najprędzej się z tego wydostać, w tym stanie długo nie pociągnie.

Obmyślając plan ucieczki na następny dzień, Jake nie zauważył wspinającego się po nodze łóżka pajaka sieciowego, który gorączkowo przebierał odnóżami, żeby szybciej dotrzeć do celu.

Zastanawiał się, czy Oklahoma City to naprawdę najbardziej oczywisty wariant. Kat oznajmiła, że na początek chce zmienić stan i znaleźć się w dużym mieście.

Zawędrowawszy na materac, pajak wsunął pod kołdrę swój brunatny matowy kształt, tworząc maleńkie wybrzuszenie, które pomimo szybkich ruchów było prawie niewidoczne.

Już sam wyjazd z Kansas to dobry pomysł, przyznał Jake. Kat się nie myliła.

Z kolei wokół nogi łóżka owinęła swe lśniące pierścienie nieskończenie długa, pulchna, niemal obsceniczna skolopendra, przyczepiając się haczykami na odnóżach do drewna, żeby się dźwignąć, po czym wdrapała się pod poduszkę Jake'a.

Kat wspominała o kontaktach w nowojorskiej prasie. Nowy Jork – to było dobre. Praktyczne, żeby zniknąć w tłumie. Daleko od Carson Mills.

Do pierwszych przybyszów dołączyło sporo chrząszczy, jedne lepkie, inne ze wścibskimi czułkami, długimi odnóżami wyposażonymi w czubate ostrogi. Oraz drugi, jeszcze większy pajak, który, zważywszy na jego wielkość, prostował swych osiem chitynowych ramion ze zdumiewającą zwinnością. Jego szczękoczułki drżały.

Wszystkie opanowały pokój zupełnie bezszelestnie, zmiennokształtna armada, która wykorzystwała brak czujności leżącego człowieka, by coraz bardziej się doń zbliżyć.

Pod kołdrą maleńkie garby sunęły w kierunku Jake'a.

Wtem jakiś szmer w głębi sypialni kazał mu się unieść na łokciach.

W ciemnościach niczego nie dostrzegając, za to uważnie słuchał.

Żyjątko w pościeli parły dalej naprzód.

Nie usłyszawszy już więcej żadnych dźwięków, Jake wyciągnął się z powrotem. *Pewnie Sally zostawiła otwarte okno, żeby przewietrzyć, i zapomniała je zamknąć.*

Na parkiecie zakołysał się ciemny woal – lecz Jake nie wyłowił go uchem – po czym rozciągnął się na ścianie niczym fala w zwolnionym tempie i runął na materac od strony Lorette.

Jake sądził, że to ona się porusza, dlatego nie wzbudziło to jego niepokoju.

Tym bardziej, że nie pojął, co się dzieje, kiedy zaczęła się szamotać i jęczeć, uznał to bowiem za jeszcze jeden koszmar, który jej się przyśnił.

*Zaczęło się. Już nigdy normalnie nie prześpi nocy.*

Gdy jednak dostała drgawek, Jake chwycił ją za ramiona.

– Lorette! Ej, Lorette, obudź się!

Pochylił się nad lampką nocną, zapalił światło.

Jego przyjaciółka leżała twarzą do niego, nadal pogrążona we śnie.

– Słyszysz? Jazda, przestań mnie straszyć, obudź się – nalegał.

Gałki oczne Lorette wywróciły się pod powiekami, a język uderzył o wnętrze policzka.

– Co ty wyprawiasz?

Spod kołdry wydobył się potworny, wilgotny i wygłodniały rój, całym ciałem Jake'a zaś wstrząsały dreszcze.

Żądła wbijały się, wstrzykując jad, szczęki miażdżyły, a narowiste hordy wnikały w ciało wszystkimi możliwymi otworami albo drażąc nowe, potężny przypływ zalał zaś nieszczęśnicę, która nie zdołała zareagować. Pożerając ją od środka.

Lorette uniosła powieki, odsłaniając puste oczodoły, popłynęły z nich krwawe łzy i wytrysnęła chmara owadów, tymczasem spomiędzy warg wyłonił się ogromny, mięsisty pająk.

Jake miał ochotę wrzasnąć, lecz z jego gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Rozum zdążył go opuścić. Wiedział, co go czeka.

Spod poduszki wysunęła się sucha gałązka lawendy.

## 49.

W okularach przeciwsłonecznych, w doskonale skrojonej koszuli, w obcisłych dżinsach i z tygodniowym zarostem Atticus wcale nie przypominał gliny. Przynajmniej nie takiego, jakich się spotyka w Wichicie w Kansas. Musiał wymachiwać odznaką i gadać jak glina, żeby traktowano go poważnie.

W prasie wymieniono nazwisko jednego ze śledczych prowadzących sprawę martwego dziennikarza, z którego pozostał tylko szkielet. Zaraz po przyjeździe na miejsce, późnym rankiem, Atticus bez trudu natknął się na niego w siedzibie policji Wichita – wielkim, paskudnym gmachu z czarnego szkła, gdzie mieścił się również ratusz.

Dennis Wallen miał sumiaste wąsy i smutne spojrzenie. Przywitał go przyjaźnie i zaproponował, żeby porozmawiali na zewnątrz. Otaczała ich przygnębiająca dzielnica administracyjna, pozbawiona handlu i życia.

– Nie mam pewności, czy jestem właściwą osobą – wyznał Wallen. – Już nie prowadzę tego dochodzenia.

– Kto się nim zajmuje?

– Ze względu na wyjątkowy charakter zbrodni powołano specjalną komórkę. Na jej czele postawiono dwóch weteranów z kręgów bliskich szefowi i burmistrzowi, a wspiera ich FBI z Kansas.

Zatem właściwie wszędzie sprawy toczą się tak samo.

– Zwykle pierwszy udzielam informacji koledze po fachu, ale w tym przypadku nie mogę nic zrobić. Jeżeli dostarczy im pan dane na temat podobnego przestępstwa popełnionego w pańskiej okolicy, przyjmą pana z otwartymi ramionami.

Atticus odparł uprzejmie, że tak robi, chociaż ani myślał. Odkąd wmieszali się w to politycy, całkowicie stracił zaufanie, w dodatku w Wichicie komendanta policji mianowała rada miejska. Słuchał więc rozkazów.

– Poszedł pan do domu ofiary, prawda? Czy zauważył pan na miejscu obecność owadów?

– Owszem, sporo. Rozgniecione. Zupełnie jakby Kelvin Snell stoczył bitwę z hordą robali. Czysty obłęd. Wie pan, że tu, w Kansas, zdarzają się inwazje szarańczy? Pojawia się znieczeka, chmara tak gęsta, że przesłania słońce. Rzucają się na pole, a po godzinie już nic nie zostaje. Jeżeli to cholera zacznie atakować ludzi, jak nic wybuchnie panika. Po tej historii ze Snellem ludzie się boją.

– Nie ma pan żadnego podejrzanego?



– Za wcześnie na to. Ledwie zdążyłem się zająć billingami ofiary, a już mnie odsunięto.

– Orientuje się pan, nad czym właśnie pracował?

– Nie, jego naczelny nie był zbyt rozmowny, ta wiadomość nim wstrząsnęła.

– Ten cały Snell był tutaj sławny? Dużo węszył?

– Prawdę mówiąc, go nie znałem, ale wszyscy czytają „Wichita Eagle”, więc na pewno natknąłem się na jego artykuły. A pan zapamiętuje nazwiska dziennikarzy, co? Właściwie to chyba nawet nigdy nie patrzę, kto napisał tekst! Jeżeli to nie jest niewdzięczna robota, to...

– Czy nazwisko Loretty Nichols coś panu mówi?

Wallen się skrzywił, przez co jego wąsy nabrały zabawnego kształtu.

– Nie, a powinno?

– To dziewczyna, której szukam ze względu na moje dochodzenie. Może mógłby pan zajrzeć do waszej bazy danych i sprawdzić, czy jej nazwisko ostatnio się pojawiło?

– Rozejrzę się. Proszę mi powiedzieć, porucznik nie wspominał o pańskim przyjeździe, czyli że to raczej nie jest... oficjalne, zgadza się?

Atticus nie mógł go dłużej okłamywać. Wallen był poczciwy, ale nie głupi.

– Faktycznie. Jestem tu w czasie wolnym. Ta sprawa wiele dla mnie znaczy.

– Znam to, niech pan się pilnuje, żeby nie zapłacić za to rozbiciem małżeństwa. Jak człowiek zaczyna myśleć wyłącznie o tym i wszędzie widzi przestępców albo śni koszmary o ofierze, musi sobie odpuścić. Nasza robota może się zamienić w obsesję. Ludzie tego nie rozumieją. Skąd się pan dowiedział o Snellu?

– Śledząc prasę w necie. Istnieją możliwe powiązania z moim przypadkiem.

Atticus nie miał pojęcia, jak się wyplątać z tego impasu.

– Z Los Angeles do Wichity to kawał drogi! Musi panu cholernie mocno zależeć... Niech pan uważa na obsesję, mówię panu.

– Właśnie odwiedziłem kogoś z rodziny i skorzystałem z okazji...

– Ach tak? A gdzie?

– W Carson Mills – odrzekł Atticus.

– Znam. Jeździłem tam, jak byłem mały, ojciec przyjaźnił się z tamtejszym dawnym szeryfem. Facet był niesamowity, prawdziwy kowboj w starym stylu, już takich nie ma.

– Przypuszczam, że prośba o przejrzanie wykazu połączeń telefonicznych Snella, o którym pan przed chwilą mówił, to zbyt wiele?

Wallen posłał mu karcące spojrzenie.

– Nie odpuści pan, co? Przybył pan z tak daleka, że nie mogę się zachować jak egoista. Czego pan szuka?

– Czy jest jakiś wspólny numer z moją ofiarą.

– Coś panu powiem: proszę mi dać listę, a ja porównam. Jeśli numery się powtórzą, obiecuję, że się odezwę.

– I jeszcze kto dzwonił ostatni, w dniu jego śmierci. I czy posłużył się telefonem na kartę.

– Zrobię co w mojej mocy.

Stary spryciarz nie zamierzał go wpuścić do swojego biura. Atticus go rozumiał, sam postąpiłby identycznie. Wallen był dobrym gliną.

– Świetnie. Dziękuję za pomoc.

Atticus wziął od Wallena wizytówkę i przyrzekł przesłać mu listę numerów do porównania, chociaż wiedział, że wcale tego nie zrobi. Po czym się pożegnał i ruszył bardziej na wschód, w kierunku starego miasta.

Przeciągnął się, wysiadłszy z samochodu. Od świtu, odkąd się przebudził, nie pozwolił sobie na chwilę wytchnienia. Taksówka, lotnisko, lot do Kansas City, wynajęcie auta, dojazd do Wichity... Dopadło go zmęczenie, toteż marzył o dżinie z tonikiem i masażu.

Redakcja „Wichita Eagle” mieściła się w maleńkim, wąziutkim, dwupiętrowym, typowym dla starówki budynku z czerwonej cegły.

Recepcjonistka miała akurat przerwę obiadową, zastępowała ją więc stażystka, która poinformowała Atticusa, że redaktor naczelny wziął wolne z powodu tragedii. Dziewczyna nie zdążyła jeszcze opanować sekretarskiego szyfru ani typowych zdań w rodzaju „jest na spotkaniu poza redakcją” i odpowiednich gładkich wymówek. Łatwa zdobycz dla takich wyg jak Atticus. Gore pokazał policyjną odznakę, nie precyzując, skąd jest. Udawał ważniaka, żeby zrobić na niej wrażenie. Osobom, którymi łatwo manipulować, zwykle odbierało to wszelką chęć kwestionowania jego autorytetu. Następnie przystąpił do przesłuchania na temat Kelvina Snella.

Dziewczyna nie miała o niczym pojęcia poza tym, jak działa centrala telefoniczna i kserokopiarka. Należało się tego spodziewać.

Jednakże kiedy Atticus, bliski kapitulacji, zapytał, czy zna rozkład zajęć Snella albo wie, z kim się ostatnio spotykał, stażystka odparła:

– Ach tak, wiem, że w dniu swojej śmierci widział się z jakąś gliną z Nowego Jorku!

– Z Nowego Jorku? Jest pani pewna?

– Tak, to ja odebrałam telefon. Nalegała na rozmowę, była twarda, wie pan, nie dała się zbyć. Nie mogła go złapać i chciała, żeby jak najszybciej oddzwonił.

– Zna pani jej nazwisko?

– Eee... Chyba nie.

Nagle gdzieś pod czupryną rozbłysło światelko, podniosła więc palec, prosząc o cierpliwość. Zaczęła stukać w ekran i przeszukiwać wykaz.

– Wszystkie telefony są tutaj – wyjaśniła. – To było... w środę, w porze obiadu, o ile dobrze pamiętam. Mam! To musi być ten numer. Zapisać na karteczce samoprzylepnej?

– To nie będzie konieczne.

Atticus zdążył zapamiętać cyfry.

## 50.

Rzeczywistość przerosła fikcję.

Kat nie przestawała sobie tego powtarzać. Najbardziej pomysłowe i złowieszcze seriale telewizyjne, przedstawiające jakże czarną wizję człowieka, często bywały groteskowe albo naciągane, godne Jamesa Bonda. Przypominała sobie jednak pewien skandal w Nowym Jorku, tym razem całkiem rzeczywisty, dotyczący słynnego miliardera, który zorganizował cały system werbowania dziewcząt, nader często niepełnoletnich, aby zaspokoić popędy seksualne – miał wręcz własny dwór, przekabaczone naganiaczki albo goryli do zajmowania się logistyką... Tylko że ograniczało się to do sfery seksualnej, klasyka, nie było w tym ideologii. Gość, który osiągnął wszystko, absolutnie wszystko, pan świata, który zamiast się nim cieszyć, usiłuje go zniszczyć? Jaki to ma sens? Żadnego poza totalnym nihilizmem. Osiągnąć życiowy sukces w oczach wszystkich, żeby tym skuteczniej to życie zniszczyć i pociągnąć ich za sobą.

Opowieść Jake'a, jakże mrożąca krew w żyłach, już nie wydawała jej się taka trudna do uwierzenia. Widziała obóz. Jego zabezpieczenia, to, co odsłaniał. *I jego kominy.*

To, co Lena zrobiła swojemu kotu. I jeszcze magazyn...

Kat zastanawiała się, czy Jake nie jest skłonny do przesadnego koloryzowania gadułą, który sam wierzy w swoje opowieści, a zatem szaleńcem, dopóki nie usłyszała o jego ucieczce wraz z przyjaciółką Lorette. Jego słowa były tak przekonujące.

Opowiedział jej ze szczegółami o ich eskapadzie. Kłopoty z wodą w obozie, której brakowało, jedyny słaby punkt powodujący konieczność prania w pralni przemysłowej znajdującej się na zewnątrz. Kilka razy w tygodniu ciężarówki przywoziły czyste ubrania i bieliznę i zabierały tobołki z brudami. Ciągła rutyna, wręcz męcząca dla ochrony, która ledwie miała oko na te pielgrzymki w tę i z powrotem. Jake to zauważył i skorzystał z okazji, żeby ukryć się pod bielizną wraz z Lorette. Wskoczyli z samochodu w biegu, w środku lasu, po czym wieczorem przedostali się na przedmieścia Carson Mills.

W tym miejscu historia jeszcze trzymała się kupy, Kat nie miała żadnego powodu, by wątpić.

Prywatna detektyw związała włosy gumką i poprawiła usta blad różową, delikatną szminką. Była gotowa.

Usiadła za kierownicą swego nissana i pojechała do pokojów na wynajem u Sally Fuller, o której Jake wspominał poprzedniego dnia.

Obmyśliła w miarę prosty plan, aby pomóc im się wydostać z Carson Mills, uznawszy, że tak będzie lepiej, mimo wszystko zawierał on sporą dawkę ostrożności, o ile nie paranoi. Po pierwsze, wyszła z założenia, że zapewne jest śledzona, dlatego należało w odpowiedniej chwili odwrócić uwagę. W tym celu zaparkuje przed domem Sally Fuller i zostawi odblokowane drzwi, następnie pójdzie do sklepu spożywczego na końcu ulicy, o którym mówił Jake. Jeśli naprawdę ktoś ją szpiegował, chciał wiedzieć, z kim rozmawia, istotna jest więc dla niego ona sama, a nie jej auto. W sklepie nie będzie się spieszyć. Zabawi wystarczająco długo, żeby Jake i Lorette zdołali się wśliznąć do bagażnika.

Potem uda, że coś jej wpadło do oka, i wróci do samochodu, żeby zadzwonić do Wellington, miasta na południu ze skromnym szpitalem, wystarczającym jako wymówka. EneK miał narzędzia technologiczne, by podsłuchiwać jej rozmowy telefoniczne, to nie budziło cienia wątpliwości. Usłyszą, jak tłumaczy, że ma coś w oku i że jedzie na SOR.

Wyjdzie po godzinie z poczekalni w Wellington, zadzwoni do motelu i wyjaśni, że nie zostanie na najbliższą noc, ponieważ musi się udać na konsultację do specjalisty w Oklahoma City. Żeby zmylić trop. Mogła nawet liczyć na to, że się odzepią, uznawszy, że przynajmniej na razie wypadła z obiegu z powodów zdrowotnych.

Dalszy ciąg zapowiadał się trudniej. Nie było mowy, żeby Jake i Lorette wsiedli na pokład samolotu, podróż pociągiem naraziłaby ich prawie tak samo. Kat dopuszczała wyłącznie długą jazdę przez kraj. Wiele dni. Dzięki czemu tamci mogliby o nich zapomnieć, zgubić ich. A ona miałyby czas, żeby się zastanowić, w jaki sposób obwieścić to szaleństwo w prasie, kiedy tylko dotrą do Nowego Jorku, do jej królestwa.

*Przede wszystkim należy się upewnić, że interwencja sił porządkowych na miejscu w reakcji na publikację nastąpi w jak najkrótszym czasie.*

Bo inaczej EneK zdąży zniszczyć przytłaczające dowody, a nawet rozrzucić Dzieci Jana po całym kraju. Nie, trzeba działać wspólnie, brutalnie uderzyć. Właśnie to budziło jej największy niepokój. Nie wiedziała, co robić. Za każdym razem, gdy rozważała jakieś rozwiązanie, dochodziła do wniosku, że to niemożliwe, że nad przemysłowym gigantem natychmiast rozłożono by parasol ochronny, aby wyciszyć sprawę, wyrzucić nacisk albo zyskać potrzebny czas. Tak jakby zaatakowanie kolosa pokroju EneKu przez taką mrówkę jak ona było nie do pomyślenia.

Zwolniła, kiedy zaczęła się zbliżać do domu Sally Fuller.

Na widok karetki pogotowia, radiowozów, gromady gapiów i dwóch par noszy z czarnymi workami na wierzchu Kat wcisnęła z powrotem gaz i pojechała prosto przed siebie.

Zrozumiała.

Krajobraz kołysał jej się przed oczami, musiała oddychać przez usta, aby odzyskać trzeźwość umysłu.

*Mój Boże...*

Jake i Lorette nie żyli.

Dzieci Jana ich odnalazły.

– To jakiś koszmar – powiedziała głośno.

*Skoro ich wysłedzili, to znaczy, że o mnie wiedzą, jak nic!*

Po Kelvinie Snellu następna na liście była Kat.

*Nie, przecież nie mogą zostawić za sobą morza trupów... Tamtych troje wiedziało, stanowili bezpośrednie zagrożenie, tymczasem ja...*

Kat nie miała żadnego dowodu. Była jedynie szkodnikiem, który krążył wokół nich, nic więcej. Nie zaryzykuje zamordowania jej i ściągnięcia uwagi na Carson Mills z jej powodu.

Jake.

Stanął jej przed oczami, w pokoju, bliski łez, przerażony, lecz to ona się rozpłakała.

Kat długi czas prowadziła jak automat, nie wiedząc, dokąd jedzie, niczym we mgle.

Bezwiednie zjechała na drogę wiodącą do Dzieci Jana. Gdy ujrzała ogromną tablicę z zakazem wjazdu, zadrżała i zawróciła.

Podwojenie środków ostrożności nie było dobrym wyjściem. Musi wrócić do domu. To koniec. Teraz nie miała tu już czego szukać.

Aż do telefonu, który trzy godziny później poderwał ją w motelu, kiedy pakowała swoje rzeczy do walizki.

– Jestem gliną z Los Angeles – oznajmił jakiś mężczyzna. – Musimy pogadać.

## 51.

Stary młyn w Carson Mills wyrastał ze szczytu wzgórza na zachodzie, widoczny w promieniu wielu kilometrów. Jego dach pokrywały brunatne łuski gontu. Cztery skrzydła chwytały wiatr, nigdy nie ruszając się choćby o centymetr, zastygłe i niepotrzebne. Wielokrotnie uległ zniszczeniu z powodu złej pogody, pożarów i upływu czasu, dlatego dobre dusze z miasta obficie sypnęły groszem, żeby przywrócić go do dawnego stanu, mimo że nie działał od ponad stulecia. Na tablicy przed wejściem widniała cała jego historia wraz z listą darczyńców – żaden dostojnik nie miał szans na zdobycie szacunku w regionie, jeśli nazwisko jego rodziny nie pojawiło się na płycie. Ten rolniczy totem na wiejskiej ziemi stanowił prawdziwy symbol. Powtarzano z upodobaniem, że dopóki w Paryżu będzie stała wieża Eiffla, dopóty Carson Mills będzie miało swój młyn.

Był czymś, co najłatwiej odnaleźć w hrabstwie. Idealnym miejscem spotkań.

Kat zatrzymała się nieco niżej, na czymś, co służyło jako parking na końcu drogi, a następnie wspięła się na górę i czekała.

Atticus Gore przybył kwadrans później.

– Nie jestem gliną – zastrzegła Kat na wstępie.

Atticus stanął przed nią.

– Powinienem być się domyślić. Dziewczyna, która dała mi pani namiary, nie budziła zbyt dużego zaufania. Dlaczego mi pani nie powiedziała przez telefon?

– Bo chciałabym wiedzieć, czego ode mnie chce śledczy z policji Los Angeles.

– Kelvin Snell. To pani widziała go żywego jako ostatnia.

– To Los Angeles prowadzi dochodzenie w Kansas?

Atticusowi jej sarkazm nie przypadł do gustu.

– Dla kogo pani pracuje? – zapytał.

– Jestem prywatną detektyw z Nowego Jorku.

– A co ma z tym wspólnego Snell?

– A co ma z tym wspólnego policja Los Angeles? I skąd mam wiedzieć, że naprawdę jest pan gliną?

Atticus wyjął odznakę.

– W porządku? Wystarczy?

– Mogę kupić taką samą przez internet za dwadzieścia pięć dolarów.

Kat spróbowała pokerowej zagrywki.

– Skąd mam wiedzieć, że nie stoi pan po stronie Dzieci Jana?

– W życiu nie słyszałem.

Wydawał się szczery. Kat liczyła na bardziej naturalną reakcję, na to, że on się zdradzi.

– EneK? – drążyła dalej.

– Co?

– To oni pana przysłali?

Tym razem strzał okazał się celny, nazwa wywołała reakcję, w spojrzeniu Atticusa nastąpiła zmiana.

– Dlaczego pani mówi o EneKu? Zna ich pani?

– To ma być prawdziwe pytanie gliniarza? – odcięła się Kat. – Bo zabrzmiało cholernie idiotycznie. Cały świat wie, kim oni są.

W tej chwili poczuła się tak samo śmieszna, sondując go w nadziei, że się dowie, czy jest szczery, czy zamierza ją zwabić w pułapkę.

*Oni nie działają w ten sposób, ale po kryjomu, w nocy...*

Oboje mierzyli się podejrzliwym wzrokiem. Było oczywiste, że w ten sposób do niczego nie dojdą. Kat porzuciła swoje gierki, chcąc okazać dobrą wolę.

– Szukam zaginionej młodej kobiety. Trop prowadzi tutaj, a Snell miał pewne informacje.

Atticus pokiwał głową. Kat czekała. Teraz nadeszła kolej gliniarza. Nie przywykł do pozycji przesłuchiwanego, odezwał się więc dopiero pod wpływem znaczącego spojrzenia rozmówczyni.

– Dlaczego obawia się pani EneKu? – zapytał nieufnie.

– Nigdy pan nie odpowiada na pytania?

Atticus zacisnął szczęki. Po czym rzucił:

– Ja też szukam pewnej kobiety.

– Leny Fowlings?

Pokręcił głową i niemal wbrew sobie wyszeptał:

– Lorette Nichols.

*Lorette i Jake.*

Kat wzięła się pod boki i przygryzła wargę. Nie była pewna, czy dobrze robi, mimo to w końcu oznajmiła:

– Opowiem panu moją historię.

Zalała go potokiem słów i streściła sześć ostatnich dni swego śledztwa. Niczego nie pominęła, chociaż chwilami targały nią straszliwe wątpliwości: niewykluczone, że ufając temu gliniarzu, o ile rzeczywiście nim jest, popełnia największy błąd w życiu.

Kiedy skończyła, Atticus popatrzył na nią badawczo.

Milczał. Zupełnie jakby nic nie usłyszał.



Po czym nagle się odblokował.

– Od dwóch dni nie wrzucałem nic na ruszt. Zapraszam panią.

Na prośbę Kat nie wrócili do Carson Mills, nie chciała, żeby widziano ich razem. Udali się do Wellington, na południe, gdzie z trudem znaleźli restaurację, w której podano im lunch o szesnastej.

Atticus pochłonał stek wielkości krowy, jednocześnie domagając się od prywatnej detektyw dokładniejszych wyjaśnień. Niekiedy ciekawiły go szczegóły bez znaczenia, z czego Kat wywnioskowała, że po kryjomu ją sprawdza. Rzadko zdarzało jej się trafić na kogoś równie podejrzliwego, kto nie odwdzieczył się tym samym, mimo że właśnie wszystko mu wyśpiewała. Ciągłe jeszcze nie odpowiedział na żadne pytanie – robił uniki, zadawał własne pytania albo zmieniał temat. Był bystry, przebiegły. Kat jednak również nie brakowało sprytu, toteż doskonale rozumiała, do czego zmierza.

*Chce mnie zmęczyć, żebym zaczęła sama sobie przeczyć, plątać się. Tylko że nic z tego, koteczku, bo to prawda. Brutalna, niewiarygodna, może nawet szalona, zgoda, ale prawda, czy ci się to podoba, czy nie.*

Kat była cierpliwa, miała mnóstwo czasu, i wspaniałomyślna, grała z tym Kalifornijczykiem o urodzie uwodziciela w otwarte karty. Nie nosił obrączki. *To nie ten typ.* Wyobrażała go sobie raczej, jak skacze z kwiatka na kwiatek, a jeśli tak rzadko się otwierał w życiu prywatnym jak teraz przed nią, można się było założyć, że po kilku tygodniach takiego chłodnego związku dziewczyny uciekały w podskokach.

Na deser Atticus zamówił herbatę żeńszeniową, a gdy napar naciągał, zmierzył Kat bezwstydnym wzrokiem, aż poczuła skrępowanie.

– Co? – zapytała poirytowana.

Ściągnął wargi.

– Jestem pod wrażeniem.

– Moim? – roześmiała się, w jej głosie zaś zabrzmiał niemal dziewczęcy ton.

Nieprzyzwyczajona do komplementów, zwłaszcza gdy się ich nie spodziewała, nie wiedziała, jak zareagować. Poza tym facet budził zakłopotanie, a ona nie potrafiła tego zinterpretować. To nie była zwykła nieufność. Pełna rezerwy postawa, błyskotliwe spojrzenie, wyważone ruchy, jakby każdy z nich pozostawał pod idealną kontrolą. Stwierdziła, że jest w nim niemal coś z pozera, co w gruncie rzeczy podziałało na nią pokrzepiająco. *Nienaganna prezencja, zadbany wygląd. Ten chłopak mocno kocha sam siebie.* Wyliczenie jego niedoskonałości sprawiało, że budził mniejszą fascynację.

– Jak daleko jest pani gotowa się posunąć? – zapytał.

– Żeby odnaleźć Lenę?

– Żeby zniszczyć EneK.

Kat westchnęła, unosząc ręce w obronnym geście.

– Kurczę, sama nie wiem... Taki ma pan plan? Magluje mnie pan od godziny, podałam panu wszystko na tacy i...

– Jeżeli panią wtajemniczę, wtedy oboje będziemy musieli grać w jednej drużynie.

– Co? Żeby zaatakować EneK? Pan naprawdę jest gliną?

– Nie tutaj. Nie teraz. To zaszło za daleko.

– Gorzej: osobista zemsta, zgadza się?

Atticus spojrział na ulicę przez szerokie okno, o które się opierał.

– Bycie przyzwoitym to nasz obowiązek – oświadczył.

– Och, proszę mi oszczędzić tej mowy-trawy o naszych wartościach.

– Świr, który się za tym kryje, jest gotów na wszystko. Ktoś musi go powstrzymać.

Kat prychnęła, na wpół kpiąco, na wpół z lękiem, nie wiedząc, co jest silniejsze.

– Czy pan słyszy, co mówi? Tyrada bohatera! Nie, dziękuję, nie mam takich ciągot.

Atticus pochylił się nad stołem i przygwoździł ją wzrokiem do krzesła.

– Zdaje pani sobie sprawę z tego, co się wyprawia tam, w obozie? Co ci popaprańcy szykują? Do czego są zdolni?

– Właśnie. Ani pan, gliniarz krzyżowiec, ani ja, skołowana tajniaczka, nie jesteśmy dostatecznie mocni, żeby tego dokonać.

– Ma pani świadomość, że EneK jest nietykalny na mocy prawa.

– To nie mój problem.

– A Lena Fowlings? A cała reszta? Przyszłe ofiary?

– Ale co pan sobie wyobraża? Że wpadniemy do Edwina Kowalskiego i go kropniemy? Odbiło panu!

Usłyszała już zbyt dużo albo za mało, sama nie wiedziała, wstała jednak, chcąc opuścić lokal.

Atticus chwycił ją za rękę.

– Oni panią zabiją – powiedział po prostu.

Posłała mu wyzywające spojrzenie.

– Skoro mnie się udało do pani dotrzeć – ciągnął – dla nich to będzie bułka z masłem.

Zastygła z drżącymi wargami. Atticus przestał się hamować.

– Za dużo pani o nich wie. Naślą na panią swoje owady, a pani nie będzie w stanie nic zrobić.

Kat czuła narastający w środku strach. Próbowwała wmówić sobie, że jest inaczej, że wróci do swojego loftu na Brooklynie, sporządzi raport dla Annie Fowlings, oznajmi jej ze spuszczoną głową, że nie może nic więcej zrobić, aby jej pomóc, i znów będzie wiodła zwyczajne życie...

W głowie kotłowały jej się obrazy wypatroszonego kota, paznokcia w kadzi w magazynie, obozowych kominów i Jake'a szlochającego w ciemności. Do listy dołączyły w zawrotnym tempie dwa czarne worki na zwłoki.

– Proszę usiąść – powiedział Atticus. – Proszę usiąść, Kat. Pani ma w ręku fragment układanki. Ja pokażę pani drugi.

Za szerokim oknem przydrożnej restauracji po bulwarze z ogromną prędkością przesuwały się ciężkie kształty. Kat Kordell słuchała dzielnie, a Atticus jej nie poganiał, tak samo jak wtedy, kiedy ją osaczał, pozwalając jej wyrobić sobie własne zdanie, nabrać zaufania.

Nie przestawał się jednak zastanawiać, kim jest kobieta kryjąca się za prywatną detektyw. Czy ma dzieci? Nie przypuszczał, żeby była mężatką, już raczej rozwódką. Maniaczka sportu, co zdradzała jej figura. Czyżby odwet na życiu, na innych? *Nie wszyscy są tacy jak ja...*

Raczej walka z czasem, z wiekiem. Ładny strój, pomalowane paznokcie, lekki makijaż. Atticus doszedł do wniosku, że Kat Kordell nie starała się uwieść innych, lecz samą siebie. *Robi wszystko, aby nadal być piękną, jak najdłużej.* Myśl ta sprawiła, że wydała mu się jeszcze bardziej ujmująca. Doskonale znał ten problem.

Poza wyglądem rzeczywiście urzekło go to, jak wiele udało jej się dokonać w tak krótkim czasie, bez pomocy policji – szczerze to przyznał. We dwójkę zdołali też ogarnąć umysłem cały plan Edwina Kowalskiego, tego szalonego mizantropa, megalomana i miliardera.

– Da się zapanować nad owadami? – powtórzyła Kat, szukając potwierdzenia.

– Na papierze to się wydaje skomplikowane, ale najwidoczniej tak. Ich system porozumiewania się bazuje głównie na feromonach, substancjach chemicznych przypominających zapachy, niewykrywalnych dla człowieka. Z kolei mają prymitywne, bardzo proste mózgi. Przy użyciu feromonów, oddziaływaniu impulsów elektrycznych na układ nerwowy i węzły nerwowe i nie wiadomo jakich jeszcze wynalazków to jest do pomyślenia. Od kilkudziesięciu lat pracują nad tym rozmaite laboratoria, ale nie sądziłem, że komuś się to udało.

– Dopóki EneK nie wyłożył na stół miliardów dolarów. Mimo wszystko jednak wyobraża pan to sobie? Potrafić sterować każdym z tych żyjatek osobno...

– To nie jest konieczne. Przy większości gatunków wystarczy zmanipulować jądro roju, a reszta pójdzie za nim. Poza tym skoro EneK wie, jak rozsiewać określony feromon, żeby sterować albo zwabić, wzbudzić głód, nawet doprowadzić do agresji lub przeciwnie, wyciszyć, wystarczy rozpylić rozkaz, a wszystko, co żyje w okolicy, natychmiast posłucha. Dyfuzor feromonów stanie się pilotem.

– To oznacza, że w tym celu EneK musi być na miejscu.

– W każdym razie niezbyt daleko. Chodzi jedynie o pokonanie barier naukowo-technicznych. Jeśli się to osiągnie, pozostaje tylko kwestia wprowadzenia tego w życie w terenie.

Kat ukryła twarz w dłoniach. Przetrawiała wszystkie te informacje, następnie, prawdopodobnie aby się upewnić, że wszystko dobrze zrozumiała, podsumowała:

– W imię przetrwania ludzkości Kowalski chce stworzyć nadczłowieka, ale po drodze zamierza wyeliminować większość, żeby zrobić miejsce. W tym celu wykorzystuje własny majątek w służbie faszystowskich ideałów, skupuje firmy, które go interesują, i zdobywa władzę nad owadami.

– Ogólnie nad stawonogami, owadami, pajęczakami, krocionogami...

Kat zbyła go machnięciem ręki.

– Krótko mówiąc, nad paskudztwami. Tymczasem zatrudnia bandę zbrojników z kryminalną przeszłością i o profilu charyzmatycznych manipulatorów i robi z nich kaznodziejów, żeby werbowali kandydatów do apokalipsy.

– Dopuszczając się uprowadzeń, żeby zdobyć króliki doświadczalne albo ofiary do ceremonii, urządzanych w celu pokazania władzy absolutnej rekrutom, a tym samym przekonania ich i zastraszenia.

– Rekrutom, których zamyka w obozie Dzieci Jana razem z klawiszami.

– Tak na marginesie, oficjalnie to adres PodsBioTechu, tych, którzy dostarczyli mu technik komunikacji za pośrednictwem owadów, jak sądzę.

Tuż obok restauracji śmignęły dwa olbrzymie ciągniki siodłowe, aż zadrżały szyby w oknach.

– A to doprowadza nas do planu Edwina Kowalskiego – skwitowała Kat – do wykorzenia roboczej wersji człowieka. Tylko nie pojmuję, w jaki sposób, nawet mając kilka rojów robali i tysiąc czy dwa tysiące fanatyków. W skali kraju to margines.

– Jeżeli pani świadek...

– Jake. Miał na imię Jake.

– Jeśli Jake mówił prawdę, start operacji jest blisko. I to logiczne, to kwestia klimatu.

– Jak to?

– Temperatura krwi owadów zależy od temperatury otoczenia. Dlatego zimą zapadają w odrętwienie i w większości przestają być aktywne. Dopiero wiosną lub latem stają się najbardziej ruchliwe i podatne na bodźce.

– Czyli teraz...

Kat ponownie wydała długie westchnienie.

Z kolei Atticus był zdecydowanym pragmatykiem, skupiał się na rozumowaniu, gromadzeniu danych, aby uzupełnić całościową wizję. Była to jego osobista metoda,

aby nie dać się ponieść niepokojącym emocjom. Oświadczył więc:

– Kowalski nie należy do tych, którzy inwestują wyłącznie dla zysku. Dokładnie wszystko planuje, właśnie tego dowiedziałem się o nim, badając jego nabytki. A jego ostatnią obsesją jest kosmos.

– On chce wymazać z mapy rodzaj ludzki i zostawić jedynie garstkę nadludzi, których tam wyśle?

– Jest stuknięty, ale nie wydaje mi się, że aż do tego stopnia. Nawet jeśli po kryjomu robią postępy, można przypuszczać, że jeszcze nie są gotowi do długiej podróży w kosmos. Tego rodzaju technologie wymagają czasu, nawet jak się ma pieniądze, co widać na przykładzie Elona Muska, Jeffa Bezosa albo Richarda Bransona, innych potężnych miliarderów, wyznawców podróży gwiazdnych. A więc nie, to nie to. Jednak większość firm, które zakupił Kowalski, ma połączenie z satelitami...

Kat, która intensywnie rozmyślała, dokończyła:

– Mógłby je wykorzystać jako sieć, żeby nadawać sygnały poprzez atmosferę?

– I w ten sposób wywołać zmasowany atak z czterech stron świata.

Kat pokręciła głową w osłupieniu.

– To jakiś obłąd.

Atticus położył dłoń na ręce Kat przyjaznym gestem, ona jednak z zażenowaniem cofnęła swoją.

– Właśnie dlatego nie możemy siedzieć z założonymi rękami – oznajmił Atticus po krótkim milczeniu.

Kat uniosła brwi.

– Kowalski się zabarykadował, chroni się. Pan i ja nie mamy żadnych szans. FBI albo inna agencja federalna powinny mu się dobrać do tyłka. A poza tym... zapewne ma protekcję, ludzi, którym załatwił wysokie stanowiska, których wspiera finansowo albo trzyma za jaja w taki czy inny sposób.

– Wiem. Przekonałem się na własnej skórze.

– Sam pan widzi, to niesprawiedliwe, zgadzam się, ale taka jest rzeczywistość.

– Skoro instytucje mają związane ręce, to opinia publiczna musi się dowiedzieć i właśnie ona zareaguje.

– Ach tak, a niby jak? Chce pan, żebyśmy założyli blog? Konspiracja-Owady.com? Kelvin Snell został zamordowany z błahszego powodu. Oni mają oko na wszystko. Na pewno media to ich największe zmartwienie.

Atticus pochylił się ku niej.

– Potrzebuję pani. W pojedynkę nie dam rady.

Aby uniknąć fizycznego kontaktu, Kat rozparła się w ławce, zamykając oczy.

– Sama nie wiem – odrzekła. – Proszę mi dać trochę czasu.

– Dużo go nie mamy.

Tym razem Kat wstała z determinacją.

– Wobec tego to się odbędzie beze mnie – mruknęła, odchodząc.

## 53.

Bernie Fulher pchnął drzwi do biura szeryfa Carson Mills i stanął przed ladą, czekając, aż Jennifer Jamison wyłoni się z zaplecza. Na jego widok młoda kobieta zrobiła skruszoną minę.

– Przykro mi, Mr Fulher, szeryf nie ma żadnych wieści, inaczej wpadłby do pana, przecież pan wie.

– Powtarza pani tę samą śpiewkę od ponad miesiąca – zdenerwował się staruszek. – Moja Janie nie żyje i wszyscy mają to w nosie! Żądam odpowiedzi teraz.

Jamison, nie bardzo wiedząc, jak się zachować, wybrała empatię.

– Rozumiem, na pewno jest pan wzburzony, ale niestety nic nie możemy zrobić. Próbował pan szukać pociechy w swojej parafii? Oni mogą...

– Moja Janie nie zmarła z powodu wypadku, ją zamordowano! Jestem o tym przekonany! Otruto ją! Dlaczego nie chce mi pani oddać tego przekłętego raportu z sekcji zwłok? Co się w nim kryje?

– Nic, Mr Fulher, niczego nie ukrywamy, dobrze pan wie, że przeciwnie, jesteśmy tu po to, aby panu pomóc.

– Skoro pokroiliście moją Janie, chcę przynajmniej przeczytać raport! Jestem pewny, że zawiera niewygodne informacje!

– Proszę nie krzyczeć, Mr Fulher.

– Wiem, kto ją zabił! W tej chwili potrzebuję tylko dowodu. Sam przeprowadziłem własne śledztwo, skoro nikt tego nie robi! Tamtego ranka na końcu naszej alei stała ciężarówka. Widział ją Mark Sullivan, listonosz, i mi o tym powiedział! Ktoś nas szpiegował!

– Niech pan nie opowiada głupstw, Mr Fulher...

– Ja to wiem. Co do tej ciężarówki, to w końcu ją namierzyłem, obserwując centrum miasta, i wie pani, do kogo należy? Do tych ludzi z obozu w lesie, niedaleko miasta! To oni są odpowiedzialni za śmierć mojej żony! Od kiedy się tu pojawili, wszystko się zmieniło. Robią doświadczenia, to nie może być nic innego, bo po co mieliby się zaszyć w najdalszym zakątku Ameryki? Moja Janie posłużyła właśnie do tego: jako królik doświadczalny naturalnej wielkości. Wybrali ją do swoich testów, jestem tego pewien. Bo my jesteśmy parą zwyczajnych staruszków, na uboczu, w miasteczku na końcu świata, stwierdzili więc, że nikt nie zwróci uwagi. Ja nie jestem naiwniakiem!

– Proszę ściszyć głos.

– Dlaczego nikt nie chce mnie słuchać, co? A gdzie jest szeryf?



– Jest zajęty, wyjechał.

– Świetnie. Skoro wy nie chcecie mnie słuchać, przekonamy się, czy dziennikarze są tak samo wyrozumiali. Powysyłałem e-maile do wielu gazet w Kansas, jeszcze zobaczycie! Już niedługo zostaniecie zmuszeni oddać mi ten raport z sekcji zwłok, a ja się dowiem, na co umarła moja biedna Janie. I wszyscy winowajcy zapłacą za tę ohydną zbrodnię!

Bernie Fulher z furią obrócił się na pięcie i trzasnął drzwiami.

Po powrocie do domu Bernie zalogował się do poczty internetowej na komputerze, który zajmował specjalnie do tego przeznaczony stolik w salonie. Przez cztery miesiące uczęszczał na kurs wieczorowy, żeby się tego nauczyć. Jeszcze żaden dziennikarz nie odpowiedział. Przypomniał sobie, jak działa skrzynka e-mailowa, i poszukał zakładki „Wysłane”, aby się upewnić, że wszystko poszło jak trzeba, ale o dziwo nie pokazała się żadna z trzech napisanych przez niego wiadomości. Bernie złożył to na karb tajemnic informatyki, albowiem co do tego nie miał absolutnie żadnych wątpliwości: wystukał każdy list osobno, dostosowując go do konkretnego odbiorcy, następnie kilkakrotnie odczytał adres e-mailowy, który uprzednio uzyskał. Nie, wiadomości zostały wysłane, po prostu on nie potrafi ich odnaleźć, to nie może być nic innego.

Tak czy siak, jeśli nie otrzyma żadnych wieści przed środkiem tygodnia, sam uda się do wszystkich redakcji, aby go usłyszano. Jego cierpliwość była na wyczerpaniu.

Bernie pognał do łazienki wziąć gorący prysznic, a gdy się rozebrał, co w jego wieku zajmuje sporo czasu, wszedł pod wrzący strumień wody, aby jak zwykle wymasowała mu plecy. Żona z kolei wolała kąpiele – oczyma duszy ujrzał, jak zamyka się na ponad godzinę z jedną ze swoich dobrych książek, żeby się popluskać. Za czasów ich młodości Bernie’emu nie wolno było wchodzić do łazienki, kiedy ona tam była. Później, wraz z rutyną, ich ciała nie miały już przed sobą tajemnic, toteż drzwi stanęły otworem. Dopiero na starość zakaz powrócił. Z początku Janie prosiła nieśmiało, potem z coraz większą natarczywością, aż wreszcie oświadczyła, żeby nigdy więcej tam nie wchodził, dopóki ona nie włoży przynajmniej szlafroka. Wstydziała się tego, jaka się stała. On wcale nie był lepszy, wręcz przeciwnie, ale nie przejmował się tym, niestety tak było i już. Jednak nie Janie.

Zabawnie było sobie uświadomić, że ich najlepsze lata przypadły na okres pomiędzy końcem trzydziestki a połową pięćdziesiątki. Złoty wiek małżeństwa. Ach, jakież wiedli razem piękne i proste życie!

Coś ścisnęło go za gardło i nagle Bernie rozplakał się pod prysznicem.

Na sufit wśliznęła się czarna wdowa, podobna do tej, która wniknęła do przewodu słuchowego Janie, ciągnąc gruby, lśniący odwłok na cienkich ostrych odnóżach.

Przemierzyła całą odległość, aż zajęła pozycję nad kabiną prysznicową.

Bernie potarł zaczerwienione powieki, następnie wziął szampon i nałożył pianę na cienkie i delikatne włosy.

Pająk zaczął się spuszczać, zawieszony na nici. Wyprostował dwa przednie odnóża, jakby się szykował, żeby skuteczniej chwycić zdobycz.

Bernie ciągle masował głowę, jakby miał wyrzucić z niej wszystkie wspomnienia, które tak mocno kłuły go w sercu.

Teraz czarna wdowa znajdowała się tuż nad nim, zaledwie jakieś dziesięć centymetrów wyżej. Zwolniła.

Bernie pochylił się, chcąc wymacać kran, i w ten sposób wymknął się stawonogowi, który próbował się wczepić w jego włosy. Zwiększył ciśnienie i temperaturę wody, po czym się wyprostował.

Czarna wdowa wyciągnęła całe drobne mięsiste ciało i tym razem udało jej się spaść na staruszkę, który nie zdawał sobie z tego sprawy. Huśtała się pośrodku piany, podczas gdy Bernie szorował boki, a jego palce muskały pająka. Miał pełno szamponu w oczach, a spływająca po plecach woda sprawiała, że nie czuł dotyku intruza.

Pająk wśliznął się pod kosmyk i umiejscowił na powierzchni głowy.

Mężczyzna zachwiał się, a strumień zalał mu twarz i całą głowę, po czym spłukał pianę. Bernie wsunął szczupłe palce we włosy, żeby przyspieszyć spłukiwanie. Potrącił pająka, który wczepił się mocniej, o mało nie wbijając szczękoczułek w delikatną skórę, i w tej samej chwili został zmieciony przez strugi wody. Czarna wdowa skuliła się i wpadła w zagłębienie między palcami wskazującym a środkowym Bernie'ego, który masował sobie głowę. Wtedy zaczęła się ponownie rozprostowywać, stawiając końce odnóży pomiędzy włoskami na palcach, po czym wstała gotowa ugryźć.

Bernie ponownie się poruszył i pochłonął go silny strumień prysznica.

Woda porwała pająka, aż zjechał na prawą łopatkę mężczyzny, następnie zsunął się po plecach, uderzył o dno kabiny i podryfował w kierunku odpływu.

Bernie wyszedł, żeby się wytrzeć.

Niczego nie zauważył.

Ubrał się w piżamę i szlafrok i poszedł przygotować skromną kolację – nie był głodny. Zjadł ją przed telewizorem. Kiedy się kładł, nie minęła jeszcze godzina dwudziesta druga. Był wyczerpany. Smutek ograbił go z siłą.

Zasnął niemal natychmiast, nie nastawiwszy budzika – przywilej emeryta.

We śnie przewracał się kilkakrotnie, zanim wyciągnął się na boku. Mięśnie twarzy rozluźniły mu się całkowicie, a usta powoli rozchyliły.

Spomiędzy warg na poduszkę pociekła strużka śliny.

Po pościeli prosto na niego sunęła lepka skolopendra. Zmierzała ku głowie, wspierając się na dziesiątkach przypominających pazury, tańczących odnóży.

Bernie, któremu przyśniło się coś burzliwego, otworzył dłoń, a wówczas kleiste stworzenie zakradło się obok niej, kołysząc wszystkimi pierścieniami niczym brązowy wąż.

Dotarłszy do podbródka staruszka, skolopendra uniosła szczękonoża zaopatrzone w gruczoły jadowe, jakby chciała wymacać teren, a ponieważ instynktownie skusiło ją wilgotne schronienie, wyprostowała się, by dosięgnąć rozdziawionych ust. Kiedy poruszyła czułkami, sondując zagłębienie, pod wpływem łaskotek męczyzna przesunął językiem.

Następnie skolopendra weszła do środka. Powoli.

Bernie spał tak głęboko, że nawet się nie obudził, za to jego mózg odczytał doznania – i kiedy trwający właśnie sen wziął je pod uwagę, przerodził się w koszmar. Bernie coś burknął.

Koniec stwora zwisał z kącika ust, dopóki przednia część nie wciągnęła go do środka, jakby to było olbrzymie spleśniałe spaghetti. A potem nie było już nic.

Wtedy Bernie znienacka otworzył oczy.

Wyprostował się na łóżku w panice, tymczasem parecznik wnikał mu do gardła. Staruszek chciał krzyknąć, lecz nie był w stanie, wsadził więc palce do ust, usiłując wydobyć insekta, ale było już za późno.

Szczękonoża zaopatrzone w gruczoły jadowe wpiły mu się w przełyk, i choć szamotał się, waląc w ściany, turlał po podłodze, jego gardło i tak puchło coraz bardziej, a nogi i ręce drętwiały, aż stopniowo nastąpiła agonia.

Umarł w środku nocy, w ciszy, z płynącą po policzku łzą, nie wiadomo, czy wywołaną stanem, w jakim się znalazł, czy tym, że zaraz miał dołączyć do Janie.

Żaden z jego e-maili nigdy nie dotarł do wybranych dziennikarzy.

Na zewnątrz ciężarówka czekała jeszcze trochę, po czym wycofała się i zawróciła.

## 54.

Atticus wypadł z restauracji, żeby stawić czoło Kat. W kilka sekund jego twarz zmieniła się nie do poznania. Kiedy się zorientował, że idzie na wojnę sam, maska gliniarza opadła. Teraz w jego bystrych oczach było też życie, kipiące, pełne wątpliwości i obaw.

– Potrzebuję pani – nalegał.

– Dobrze, zrozumiałam, usłyszałam już dość. A ja potrzebuję powietrza, muszę się zastanowić.

Atticus stanął tuż przed jej nosem.

– Nie jesteśmy bezpieczni, prawdopodobnie ekipy EneKu już nas śledzą, być może zhakowali nam telefony.

– Jak pan sądzi, dlaczego chciałam tu przyjechać, z dala od Carson Mills?

– Każdy kolejny dzień może się okazać fatalny. Dla pani, dla mnie i dla tysięcy innych. Edwin Kowalski stanowi realne zagrożenie.

W Kat narastał gniew. Nacisk połączony z presją fizyczną całkowicie przestał jej odpowiadać. Chciała, by uszanowano jej wybór.

– Proszę dać mi spokój.

– Tylko my dwoje wiemy.

– Proszę dać mi spokój! – warknęła Kat, doprowadzona do ostateczności.

Atticus najwyraźniej dopiero wtedy sobie uświadomił, co robi, toteż cofnął się z podniesionymi rękami.

– Przepraszam.

Pokręcił głową.

– Nie chciałem... – wyjąkał.

Kat zamierzała go wyminąć i podejść do samochodu na parkingu po przeciwnej stronie ulicy, lecz zobaczyła jego oczy. Zupełnie jakby źrenice mu drżały. Wydało jej się, że dostrzega w nich rozpacz zabarwioną głęboką samotnością. I wówczas pojęła. Od jak dawna walczył z tą nietykalną hydrą? Ile trupów odkrył, prowadząc dochodzenie w sprawie EneKu? Zwierzchnicy tak bardzo skażeni, że kazali mu odpuścić, politycy zmuszający go do wycofania się... Kim jest Atticus Gore? Czy ma żonę albo chociaż towarzyszkę, której mógłby się zwierzyć wieczorem, żeby się pozbyć napięcia, skupić uwagę na czymś innym, czy też jest skazanym na błąkanie się uwodzicielem, który przez większość nocy zasypia, nie mając nikogo u swego boku?

Sprawiał wrażenie tak pewnego siebie, wiernego własnym przekonaniom, niezłomnej opoki...

*A ja? Jakie wyobrażenie może mieć na mój temat? Że jestem kobietą nieustępliwą, narwaną, wyznającą niezachwiane wartości, gruboskórną, dostatecznie uzbrojoną, by przyjąć każdy cios? Bo właśnie tak jestem postrzegana, taki obraz siebie stworzyłam, tylko co jest w środku poza mnóstwem lęków? Kto mógłby przypuszczać, że pracuję jak szalona po to, by zadawać sobie jak najmniej pytań o to, kim jestem? Że udaję determinację, by skuteczniej maskować własne niedoskonałości?*

W normalnych warunkach Kat uznałaby te słowa za śmieszne i nie pozwoliła sobie na dalsze rozważania. W tej chwili jednak za sprawą tego wszystkiego, czym emanował Atticus, bezustanna krytyka jakby uległa zawieszeniu. Patrząc w ten sposób, niczego nie ukrywał, był sobą, do samego końca.

*Jesteśmy do siebie podobni.*

– Wiem, że się pan boi – odezwała się wreszcie. – Ja też.

Atticus nie odpowiedział, tylko przełknął ślinę.

Tuż za jego plecami przemknął z rykiem ciągnik siodłowy, aż owionął ich pęd powietrza.

– Powinien pan zrezygnować – dodała Kat. – Przypomina pan człowieka, który od dawna się o siebie nie troszczył. Nie mam na myśli pańskiego wyglądu ani całej reszty, ale pana, to, kim pan w rzeczywistości jest.

Atticus pokręcił głową.

– Nie mogę.

– Nawet jeśli pan dopnie swego, chociaż nie mam pojęcia jak, nie jestem pewna, czy wyjdzie pan z tego bez szwanku. Niech pan to zostawi. Proszę wracać do domu. Inni, bardziej kompetentni, liczniejsi, potężniejsi wykonają tę robotę za nas.

– Okłamuje się pani i sama o tym wie. Nikt nic nie zrobi. Za późno. Jesteśmy tylko my i owoc splotu okoliczności, naszej pracy. Jeżeli przepuścimy taką okazję, wszystko pójdzie na marne. Za to Kowalski doprowadzi sprawę do końca.

Kat wpatrywała się w niego jeszcze przez kilka sekund. Dbłość o własne ciało, pedantyczność, wrażliwość... Wtem ogarnęły ją wątpliwości, ale je odsunęła i wróciła do tego, co najistotniejsze. Uciec, żeby przeżyć.

– Niech pan zachowa się trochę jak egoista i wraca do domu – powiedziała, chcąc zakończyć rozmowę.

Atticus jednak odparł czym prędzej:

– To niemożliwe. Zostałem gliną właśnie dla tego typu chwil.

– Wielki komunał o walce o prawdę?

Kat natychmiast pożałowała tak cierpkiej uwagi.

– Bronić tych, którzy tego potrzebują.

Kat już miała na końcu języka jakąś ironiczną ripostę, lecz znów powstrzymała ją malujące się w jego oczach wzruszenie. On nie udawał. Na poboczu hałaśliwej drogi krajowej, na progu restauracji dla kierowców Atticus Gore obnażył się, albowiem chwila liczyła się bardziej niż wszystko inne.

– Przez całe dzieciństwo marzyłem, żeby mnie słyszano, broniono, żeby ktoś mnie strzegł, ale nikt nigdy nie podjął się dla mnie tego zadania – wyznał. – Dlatego jestem gliną. Nie mogę się teraz wymigać. Już za późno.

Kat westchnęła, niemal wzruszona jego szczerością, jego ból napawał ją smutkiem. Jakim był kiedyś dzieckiem? Z rodziny dysfunkcyjnej? Bitym? Szkolnym kozłem ofiarnym? Prawdopodobnie wszystkiego po trochu. Zanim Atticus Gore wyćwiczył sobie zbroję subtelnych mięśni, niczym warstwę ochronną dla dorosłego, którym się stał, musiał być chudy i wrażliwy. Nie przypuszczała, by jako nastolatek odznaczał się szczególną urodą. Jego urok był urokiem mężczyzny, rozwinął się z czasem, to nie było nic wrodzonego.

– Może to pani nazwać karykaturą, śmiać się z tego – ciągnął – ale taki właśnie jestem. Mam wiele wad, lecz nie okłamuję sam siebie tu i teraz, na własny temat i tego, co będzie dalej. Nie mogę wykręcić się sianem. I jestem sam. Potrzebuję pomocnej dłoni bardziej niż kiedykolwiek.

Kat instynktownie odsunęła się o krok. Chociaż dostrzegała jego rozpacz, nawet ją rozumiała, w jej głowie kłębiło się zbyt dużo myśli, sprawa ta pociągnęłaby zbyt wiele kosztów, które ją przerastały, przygniatały. Nie czuła się na siłach, żeby to wszystko przetrwać, a tym bardziej przeciw na osłep, nie zważając na konsekwencje.

Wszystko zaczęło się zwyczajnie, na Brooklynie, niemal spodziewała się zamknąć sprawę tego zaginięcia w trzy, cztery dni... Na myśl o drodze, jaką od tamtej chwili przeszła, kręciło jej się w głowie.

Ona, drobna prywatna detektyw z Nowego Jorku, w starciu z takim imperium jak EneK? Obłąd. To niewiarygodne. Wręcz niemożliwe.

Czuła się tak, jakby włożyła za duże ubranie. O wiele za duże. Pływała w nim.

*Zaraz się utopię...*

Po szosie, tuż obok, mknęły załadowane ciężarówki. Niewzruszone. Tak jakby świat potrafił doznać najcięższych ran, a one zaspokajać jego logistyczne potrzeby. Dla codziennego funkcjonowania mrowiska potrzeba było milionów ton ubrań, żywności, surowców, wszelkiego rodzaju gadżetów. Czy jeden samotny mężczyzna jest zdolny tym wszystkim zachwiać? Choćby nie wiadomo jak bogaty?

Przez moment Kat wyobrażała sobie, co się stanie z całym tym systemem, jeżeli Edwin Kowalski dopnie celu. Wellington zamieni się w miasto widmo, z każdą bowiem

porą roku przyroda będzie odzyskiwać kolejne tereny. Ciężkie ładunki porzucone na poboczach, skazane na rdzę. Wszędzie ludzkie szkielety, szczęki szeroko rozwarte w wiecznym niemym krzyku. Robaki albo pająki gnieźdzące się w oczodołach.

Poczuła pierwsze objawy ataku paniki, kołatanie serca, przyspieszony oddech. Zamknęła oczy, aby nad tym zapanować.

Kiedy uniosła powieki, Atticus wpatrywał się w nią wyczekująco.

– Przykro mi – powiedziała na pożegnanie.

Jego dłoń muskała płatki maków, których dzikie pola porastały pobocze drogi. Rozsiane pośród zbóż przypominały maleńkie kropelki krwi, rozprysnięte przez ranę, której natura na zawsze pozostanie niezrozumiała dla ludzi.

Atticus pomyślał, że najwyższy czas zmienić zawód, wszędzie dostrzegał przemoc, nawet wśród wiejskiego krajobrazu. Za bardzo jednak lubił to, co robił, by rozważać coś innego, to siedziało w nim głęboko. Tak czy inaczej, jeśli nadal będzie podążał tym szlakiem, wkrótce przestanie myśleć o zmianie. Wolał nie zadawać sobie zbyt wielu pytań na temat tego, co go czeka. Nie należało wykluczyć ani więzienia, ani cmentarza.

Szedł, aby ulżyć ciału, które zbyt długo tkwiło w bezruchu w ciągu dnia, i zająć umysł podziwianiem przyrody. Wysoko na gałęzi, na skraju lasu, ujrzał drapieżnika, toteż próbował skupić na nim wzrok. Nie pozwolić, żeby coś go rozproszyło. Potrzebował psychicznego odpoczynku.

Pozostał tam, dopóki niebo na horyzoncie nie rozgorzało, i podziwiał jeden z najpiękniejszych zachodów słońca w życiu. Majestatycznie wycieniowane barwy, fiolety i błękity odbijające się od strzępków obłoków wysoko na niebie, purpurowy tren przybierający kolor otchłani na samej górze, ledwie usiany diamentami lodu, nietykalnymi w wiecznej pustce. Ostatni płomienny oddech i dzień zgasł.

Po przyjeździe do Carson Mills Atticus udał się do hotelu, który poleciła mu Kat Kordell, i położył się spać, lecz obudził się po godzinie i potem już nie mógł zasnąć. Powrócił myślami do Lorette Nichols. Chociaż nigdy się nie poznali, jej śmierć napawała go smutkiem. Ta uzależniona od substancji toksycznych, bezdomna kobieta, którą odmalowano jednocześnie jako radosną i łatwo wpadającą w złość, prawdopodobnie cierpiąca na chorobę dwubiegunową, wyjątkowo towarzyska, do tego stopnia, że ufała absolutnie wszystkim. Liczył na to, że się z nią spotka i że stanie się ona ważnym ogniwem w szerzeniu prawdy. Teraz pozostały z niej tylko kruche szczątki w szufladzie kostnicy, a istota tego, co definiowało ją w ziemskiej przeszłości, została pożarta przez armię maleńkich organizmów.

W końcu Atticus się ubrał i powędrował do baru, gdzie przyglądał się rytuałom stałych bywalców, sącząc miejscowe piwo.

Kiedy wreszcie wrócił do pokoju, jego myśli rozpuściły się w alkoholu. Szukał w kieszeni klucza, gdy wtem spostrzegł na parkingu nissana, którego prowadziła Kat.



Siedziała za kierownicą z głową odrzuconą do tyłu. Atticus podszedł bliżej i zauważył torbę na fotelu pasażera. Kat opuszczała miasto. Skapitulowała.

Zastukał w szybę.

Prywatna detektyw drgnęła wyrwana ze snu. Wysiadła z auta, błyskawicznie rozbudzona.

– Wpadła się pani pożegnać? – zapytał z przekąsem Atticus, lekko podchmielony.

– Muszę się napić po raz ostatni. Czuje się pan jeszcze na siłach?

– Proszę za mną, znam drogę.

Kiedy tak siedzieli w słabo oświetlonym boksie, wśród oparów piwa i muzyki country, Kat wychyliła trzy bourbony jednego po drugim, po czym zamówiła czwarty, tymczasem Atticus przyglądał się jej z ciekawością.

– Ma pan dzieci? – zapytała.

– Nie.

– Nawet w planach?

Atticus nieznacznie zaprzeczył ruchem głowy.

– Ja też nie.

Zamilkła, obserwując salę przez długą chwilę, następnie dodała:

– Znajomi rodzice mówią, że dzięki temu przeżywam mniej lęków, jestem bardziej odporna na strach. Nie cierpię tego rodzaju bzdur. Może i są w ciągłym stresie, bojąc się o zdrowie swoich latorośli, ale czy już nie pamiętają, jak to jest zasypiać samotnie, nie mając nikogo u boku? Nie, nie pamiętają, nie wiedzą tego. Kiedy człowiekowi stuknie czterdziestka, nie kładzie już głowy na poduszce w ten sam sposób, jak wtedy, gdy miał dziesięć albo piętnaście lat mniej. Kiedy zamyka oczy i zagląda we własne serce, słyszy tykanie zegara. Gorzej, to bicie, a każde uderzenie wieszczy okrutną prawdę: że jest sam na świecie. Całkowicie sam. A czas ucieka. Nieodwracalnie. Sprawia, że człowiek powoli się rozpada, aż pewnego dnia jest w strzępach gotów na śmierć.

– Zawsze jest pani taka ponura czy tylko dzisiaj?

– Pan jest mężczyzną, w pańskim przypadku to wygląda inaczej, życie pana nie dopada w samym środku i nie przypomina, że pańska pierwotna funkcja już uległa przedawnieniu.

Atticus nie odpowiedział, jego oczy musiały jednak wyrażać, co czuje, bo Kat uniosła dłoń w przeproszającym geście.

– W porządku, to mnie odbija na tym punkcie, przepraszam.

– Nigdy pani nie wyszła za mąż?

– Nie. Byłam zbyt zajęta. Nigdy nie znalazłam tego jedyne.

Po chwili namysłu Kat sprostowała:

– Właściwie może i tak, ale nie dałam nam szansy, żebyśmy zaszli aż tak daleko. Małżeństwo to taniec na linie, człowiek musi się odważyć rzucić w przepaść, przystosować, zyskać pewność siebie... A potem bezustannie zmuszać się do powrotu do podstaw: pracować nad własną równowagą. Kiedy człowiek nie robi nic innego, tylko patrzy na krajobraz, prędzej czy później spadnie. Chyba za bardzo lubię patrzeć na krajobraz, żeby tego próbować. Lepiej mi daleko z tyłu, bezpiecznie nad urwiskiem. A pan?

– Coś w tym rodzaju – odparł wymijająco Atticus.

– Naprawdę nigdy nie był pan w poważnym związku? Wyobrażam sobie, jak bierze pan ślub pod wpływem chwili, w Las Vegas, w wieku dwudziestu pięciu lat. Nie?

– Jestem samotnym wilkiem, mieszkam na swojej górze i schodzę z niej od czasu do czasu, żeby poszukać odrobiny towarzystwa, ale najczęściej wolę swoją górę.

– I nie cierpi pan zbyt mocno z tego powodu?

– Raczej nie. Mam własne rytuały, którymi się otaczam.

– Niech zgadnę: bez alkoholu, jest pan na to za szczupły... Sport, to oczywiste. A do tego... Joga? Wygląda pan na takiego, co uprawia jogę!

– Muzyka. Słucham jej bez przerwy.

Kat wpatrywała się w niego badawczo z uśmiechem na twarzy.

– Zabawny z pana gość, wie pan?

Alkohol zaczynał ją odurzać, pomijając brak zahamowań, dało się to dostrzec w jej ruchach.

– Z jednej strony Mr Perfect – dodała prowokująco.

Gdy z głośników popłynęła piosenka *I Love This Bar* Toby'ego Keitha, Kat rozsiadła się wygodniej, aby jej posłuchać.

Atticus oparł łokcie na stole i pochylił się ku niej.

– Dlaczego jest pani tutaj teraz ze mną?

Wskazała na pustą szklankę.

– Żeby dodać sobie odwagi.

– Odwagi do ucieczki?

Kat świdrowała go wzrokiem. Było w niej tyle samo przewrotności, ile zwątpienia.

– Skoro jakiś człowiek jest w stanie w pojedynkę przewrócić świat do góry nogami, choćby był nie wiem jak bogaty, musimy być w stanie go powstrzymać.

Atticus, nagle czujny, odchylił się na oparcie ławki.

– A pan ma rację – dodała. – Skoro chcą mnie zabić, lepiej zachować ostrożność i nawzajem się chronić. Czy w tej pańskiej norze są dwa łóżka?

– Zdaje się, że tak...

– Ostrzegam: niech pan nie próbuje się do mnie zbliżyć. Wrócimy, udając parkę, na użytek ewentualnych podglądaczy, a potem ja wezmę zimny prysznic, żeby dostarczyć paliwa szarym komórkom. Musimy opracować strategię. Sam pan powiedział: nie mamy czasu do stracenia.

– Ja już mam plan.

– Ach tak?

– Brakuje mi tylko jednego elementu, żeby dostać się do obozu – wyjął.

Kat odepchnęła od siebie szklankę i zsunęła się na brzeg ławki, dając sygnał do wyjścia.

– W takim razie ja mam to, czego panu trzeba – oświadczyła.

W oczach Atticusa obudziła się nadzieja, towarzyszyło jej zaś bardziej rozproszone uczucie, które zdołał nazwać dopiero po kilku chwilach. Lęk zaczynał topnieć.

Nie był już sam.

## 56.

O pierwszym brzasku Atticus zniknął i wyruszył do Kansas City, gdzie miał odebrać sprzęt potrzebny, by się zakraść do obozu.

Z kolei Kat wyznaczyła sobie konkretne zadanie: wrócić do punktu obserwacyjnego, który zajmowała już poprzednim razem, i sporządzić listę stałych zajęć Dzieci Jana. Od topografii terenu po rozmieszczenie kamer, ewentualne martwe pola, rozkład i częstotliwość wart, wejścia i wyjścia z każdego budynku.

Leżąc na mchu, obserwowała wszystko przez lornetkę, robiła notatki i zdjęcia telefonem i starała się, by jej analiza była rzeczowa. Tak naprawdę to nie była jej dziedzina, mimo to, jak oceniła w południe, pogryzając zbożowy baton, radziła sobie całkiem nieźle.

Od samego rana bezustannie krakały wielkie tłuste kruki, toteż Kat miała już serdecznie dość tego hałasu. Wkurzał ją ten ich przenikliwy jazgot.

Co jakiś czas sprawdzała komórkę, aby się upewnić, czy Atticus Gore nie przysłał jej wiadomości. Zasięg nie okazał się najgorszy, chociaż 4G ani nawet EDGE nie działały. Połączenie z internetem było niemożliwe, co zauważyła już przy poprzedniej wizycie.

Największa wada tego typu obserwacji, poza niewygodną pozycją przez wiele godzin, polegała na tym, że umożliwiała ona myślenie. Podważanie wszystkiego. Wątpienie w siebie. Kat nie potrafiła porzucić Atticusa, Leny i wszystkich tych ludzi zamkniętych, jak przypuszczała, w więzieniu, które nosiło inną nazwę. Usiłowała się zasłonić wymówką, że sprawa jest beznadziejna, że się do tego nie nadaje, że to nie jej rola, że inni poradzą sobie lepiej i tak dalej, lecz to nie zadziało. Wciągnęło ją. Wiedziała za dużo, żeby udawać, że zapomni, żeby wrócić do życia w Nowym Jorku i nie mieć poczucia winy, gorzej: żyć w strachu. Zabarykadować się z przerażeniem w mieszkaniu, przypatrywać każdej postaci, spodziewając się zbirów z EneKu. Znała siebie zbyt dobrze, by wiedzieć, że każdego dnia rano będzie się zastanawiać, czy to nie jej ostatni, sama wyglądając apokalipsy. A nie ma nic gorszego, niż wiedzieć i czekać.

Do tego dochodził jeszcze aspekt moralny. Jak wyznała Atticusowi, nie czuła w sobie żyłki bohaterstwa, tymczasem wyznawane przez nią głębokie wartości, te, które zaszczepiono jej w dzieciństwie, te same, którymi kierowała się na każdym kroku w każdej godzinie rozwoju, właśnie brały górę, wyśrubowane do maksimum, wypełniając umysł pewnikami. Prawe przykazania, dziecinne ideały, które zapewniały światu określoną uczciwość. Ojciec wychował ją, powtarzając: „Postępuj tak, żeby

świat stał się taki, jak byś chciała”, a ona posłuchała. Nawet dzisiaj. Niemilknące echo, nadające kierunek wewnętrznemu kompasowi.

Lojalna wobec samej siebie Kat nie była w stanie opuścić Carson Mills.

Atticusowi również nie było to obce. Nieco zbyt pochopnie go oceniła. Uwodziciel, niewzruszony pozer, w rzeczywistości okazał się o wiele wrażliwszy. Mały chłopiec przeżywający traumę z powodu swej odmienności, którego nikt nigdy nie wziął w obronę. To ten sam dzieciak, którego dzisiaj bronił, chcąc stawić czoło EneKowi. Ufała mu, narodziła się między nimi szybka więź, typowa dla ludzi, którzy są do siebie podobni. Rozpoznali się wzajemnie we własnej samotności, w głębokich ranach smutku. Wiedziała, że może na niego liczyć.

Kiedy tkwiła tak odrętwiała z bólu mięśni, instynkt przetrwania kazał jej się zastanowić nad sensem podjętej decyzji.

Nie cofnie się. Nawet jeśli nie ma pojęcia, co to oznacza, najwyżej także wsłucha się w ukrytą w sobie małą dziewczynkę. Tę, której nie zdążył jeszcze zepsuć egoizm dorosłej. W restauracji natrzęsała się z bohaterkiej niewinności Atticusa, teraz jednak ogarniało ją podobne uczucie, do którego postanowiła się szczerze przyznać.

Około osiemnastej doszła do wniosku, że wypełniła swoją misję, i zwinęła żagle. Nie mogła dłużej znieść kruków i ich drwiących wrzasków. Miała jeszcze przed sobą dwie godziny marszu przez las i wolała dotrzeć do samochodu, zanim całkiem się ściemni. Było to doprawdy ostatnie miejsce na Ziemi, w którym chciałyby się zgubić ścigana spojrzeniem księżycy.

Słońce zniknęło, toteż mimo braku ścieżki i nieustannie gęstego poszycia Kat przyspieszyła kroku.

Ptaki umilkły. Wszystkie bez wyjątku. Rozlegało się tylko skrzypienie ocierających się o siebie pni i szelest zarośli, poruszanych chłodnym wieczornym wietrzykiem.

Z zakamarków wyłaniały się cienie, mieszając się ze sobą i tkając pierwszy woal nocy, wspinały się po listowiu, przeciągały w gęstwinie, wślizgiwały po konarach. Kat wyjęła z kieszeni latarkę i ją włączyła, nie miała innego wyjścia, jeśli nie chciała się potknąć o zdradliwe korzenie. Będzie świecić jak reflektor, w tej chwili jednak znajdowała się już dostatecznie daleko od obozu, nie obawiała się więc niczego.

Wtem panująca w lesie cisza kazała jej przystanąć. Chyba przez całe życie nie spotkała się na dzikiej przestrzeni z aż taką martwotą. Natura właśnie wstrzymała oddech.

*Coś ci się roi. Lepiej jak najszybciej wracaj!*

Kat przemknęła między dwoma sękatymi dębami i zeszła po urwistym zboczu. Zgodnie z własnym poczuciem orientacji nie mogła być zbyt daleko od ubitej drogi, w każdym razie kompas wskazywał właściwy kierunek. W najgorszym wypadku, nawet

jeśli nie zawędruje dokładnie tam, gdzie zaparkowała auto, łatwiej jej będzie przedzierać się przez utorowany szlak niż przez samo serce lasu.

Cisza jednak napawała ją coraz większym niepokojem.

*Porównujesz to z Prospect Park na Brooklynie, dlatego nie jesteś przyzwyczajona do tego rodzaju bezgłosu.*

Coś przemknęło jak błyskawica za jej plecami, potrącając liście i gałązki, aż mieszcuch Kat podskoczyła.

*Pieprzone żyjotka. Brakuje mi drapaczy chmur, brakuje mi odgłosów miasta, brakuje mi złorzeczających taksówkarzy, brakuje mi nawet smogu.*

Przyspieszyła tak bardzo, jak pozwalało jej otoczenie, i zaczęła się o kolce, co zmusiło ją do kolejnego postoju, by się wyswobodzić.

Miała nieprzyjemne wrażenie, że nie jest sama.

*Oczywiście, idiotko! Przecież tu się zaszyla cała fauna...*

Tym razem pośliznęła się na stoku, upadła i otarła nadgarstek. Latarka wyleciała jej z ręki i potoczyła się na dół, w zarośla. *Cholera!*

Musiała zwolnić, żeby nie połamać kości.

Na kolanach pochyliła się, by chwycić zapaloną latarkę, wycelowaną w olbrzymią pajęczynę ukrytą w chaszczach.

*Nie pora na reakcje w stylu małej dziewczynki.*

Wyciągnęła dłoń, lecz na dźwięk pękającej gałęzi gwałtownie się poderwała. Coś, co ją złamało, było duże.

Kat rozglądała się pilnie dokoła. Łomotanie serca jeszcze się nasiliło.

Mrok pożerał wszystko wokół, Kat rozróżniała więc jedynie najbliższe drzewa, reszta zaś stanowiła ledwie rozmytą szaroczną plamę, w której złowieszczo tańczył wiatr. Gałęzie unoszone przez ów niewidzialny prąd powietrza przypominały zjawy. I gdzie, do diabła, podziały się wszystkie ptaki, świerszcze i motyle? Nawet w nocy zwykle da się zobaczyć gadatliwe i widzialne stworzenia, powtarzała sobie Kat.

W oddali rozległ się kolejny trzask drewna.

*Jakieś zwierzę. Skarżyłaś się na ciszę, w pobliżu jest co najmniej jeden zwierzak...*

Kat pochyliła się ponownie nad pokrytą igłami ziemią i znów wysunęła ramię, próbując dosięgnąć do latarki.

Uchwycona snopem światła pajęczyna lśniła, prawdziwa zasłona jak ze srebrnego tiulu.

Stawonóg pojawił się znienacka. Wskoczywszy z kryjówki, przemierzył się w kierunku dłoni Kat, która nie odważyła się poruszyć, nie wierząc własnym oczom. Tak mała istota nie powinna zachowywać się w ten sposób!

Pająk spadł na dłoń Kat i zanim kobieta zdążyła go strzepnąć, wśliznął się do rękawa.

Kat zerwała się na równe nogi i zaczęła bić się po ręce wszędzie tam, gdzie wyczuwała obecność intruza. Wrażenie wilgoci na wysokości łokcia wskazywało na to, że właśnie go rozgniotła.

Prywatna detektyw oddychała szybko. Doskonale wiedziała, co się właśnie stało, dlatego obróciła się na pięcie i rozejrzała na wszystkie strony.

Pająk, który zwariował, to nie była aberracja przyrody.

One tu były, całkiem blisko.

Mnóstwo.

To jedyne wytłumaczenie.

Kat mogła je niemal zobaczyć, jak przemieszczają się wśród roślinności – nieubłagany, monstrualny rój.

Nadchodziły.

Po zmroku nie potrafiła dostrzec ich masy, mimo to zdawała sobie sprawę, że zaraz się na nią rzucą, puściła się zatem biegiem. Tak prędko, jak to tylko możliwe. Nie zastanawiając się nawet nad kierunkiem.

Przekroczyła pniak przed sobą, przemknęła między dwiema skałami porośniętymi mchem, po czym nie zważając na posiniaczony, obolały bok, zwiększyła tempo. Gałęzie chłostały ją po twarzy, przecinały policzki.

Kat biegła po życie.

Jakaś drobinka uderzyła ją w czoło, potem następna ugodziła w opuszczoną dłoń. Otaczały ją dziwaczne gwizdy.

Raczej buczenie...

Jedna z pszczoł, które ją dogoniły, zakradła się pod kołnierz i ją użądliła. Kat poczuła, jakby w kark poraził ją prąd.

Druga wpuściła jad w jej podbródek, trzecia w szyję. Zewsząd wyrastały czarne plamy. Kat, która się potknęła i poturlała po ziemi, otaczało coraz mocniej jakieś niesłychane bzyczenie.

Zamierzała czym prędzej ruszyć dalej, lecz wtem paprocie zatrzęsły się pod wpływem nadciągającej armii, która natychmiast ją okrążyła.

Zewsząd wysypały się skarabeusze, skolopendry, chrząszcze, przybyszki, karaluchy, modliszki i wszelkiego rodzaju pająki.

Kat chciała krzyknąć, ale istniało ryzyko, że wtedy wpadną jej do ust pszczoły, zatkała więc nos, by powstrzymać je przed wtargnięciem.

Owady i ich pobratymcy obstały buty Kat, po czym błyskawicznie podreptały pod nogawki spodni.

Kat była w stanie wyczuć, jak ich maleńkie nóżki wspinają się po niej do góry, i pomimo zadawanych im ciosów, zdołała zmiażdżyć zaledwie malutką część tej armady. Kąsały ją po plecach, wyrzucały ubranie, napływały na ludzką ucztę nieskończonym strumieniem. Do biustonosza przyczepiło jej się coś dużego, miękkiego i wyposażonego w liczne odnóża, usiłując dosięgnąć gardła, prawdopodobnie włośchaty i szybki gigantyczny pająk, którego Kat pragnęła schwycić, lecz zaraz za nim wyłonił się następny. Po pachwinie sunął długi parecznik, usiłując wcisnąć się do majtek. Kat rąbnęła go tak mocno, że poczuła ból, on jednak mimo wszystko dopiął swego. Wrzasnęła bezgłośnie przez zaciśnięte wargi.

Po rękawie gramolił się jej skorpion, zaś setki chitynowych pancerzy chwyciło się włosów, kolonizowało bluzę. Jedno z tych ohydztw usiłowało wcisnąć się w przewód słuchowy. Pozostałe pędziły ku jej twarzy. Jej skóra zniknęła pod skorupą oskórków. Panował piekielny hałas, chrzęst, który przyprawiał o obłąd.

Powolutku ją podgryzały. Tysiące ciosów szczękami, jeszcze i jeszcze. Kat miała świadomość, że wkrótce będzie krwawić wszystkimi postrzępionymi porami. Horda zaraz wniknie w nią każdym otworem ciała i zacznie ucztować od środka.

Cierpienie stanie się nie do zniesienia. Będzie trwać bez końca.

Kat nie mogła się dłużej powstrzymać.

Jej wrzask przypominał ryk dzikiego zwierza w agonii.

Rozbrzmiał wśród drzew i zginął w bezkresnym lesie.



Pod wpływem nieludzkiego krzyku szyby w samochodzie zadrżały, Atticus ściszył więc muzykę. Nawet dla niego gardłowy głos Johna Tardy'ego był zbyt mocny, zwłaszcza kiedy tak się wydierał. Droga powrotna z Kansas City do Wichity, a następnie do Carson Mills okazała się rozpaczliwie nudna. Ciągące się w nieskończoność płaskie i monochromatyczne pola, chwilami złote, chwilami szmaragdowe, chwilami brązowe wstęgi, ścielące się całymi kilometrami.

Żeby nie zasnąć, Atticus pochłaniał najbardziej porywające albumy, które ze sobą zabrał. Właśnie był przy *Cause of Death* Obituary, agresywnym aż do bólu death metalu, znakomitym, żeby obudzić umarłego.

Wyprawa w obie strony zajęła mu cały dzień, z czego siedem godzin sama jazda.

Za to zrobił, co miał do zrobienia, i wracał z bagażnikiem pełnym sprzętu.

Brak jakichkolwiek wiadomości od Kat Kordell go nie zdziwił, oboje wiedzieli, że prawdopodobnie linie telefoniczne są na podsłuchu, skoro więc nie mogli sobie nic powiedzieć, po co tracić czas.

Atticus musiał jeszcze wszystko przygotować, wykonać próby i dopracować plan w zależności od rewelacji, jakie Kat będzie miała mu do przekazania po swoim rekonesansie, ale to zaczeka do następnego dnia. Gliniarz leciał z nóg i nie marzył o niczym innym, jak się położyć, ledwie przekroczył próg pokoju.

Ona zrozumie, był tego pewien. Chociaż się nie znali, już zaczynał ją cenić. Jej charakter, uczciwość, szczerłość, zalety, które potrafił wykryć. Rzadkie.

Wczesnym rankiem, kiedy kupowali kawę i sałatkę owocową na stacji benzynowej naprzeciw hotelu i zanim się rozdzielili na cały dzień, powiedziała mu:

– Pozwoli pan sobie zadać pytanie, które mogłoby bardzo podziałać na nerwy, gdyby się okazało, że się mylę?

– Śmiało, proszę sobie nie żałować.

– No cóż... Jest pan gejem, Atticusie?

Roześmiał się. Jego najlepsza odpowiedź.

– Na ogół ludzie nabierają wątpliwości dopiero po wielu miesiącach, a jak minie drugie tyle, zdobywają się na odwagę, żeby zapytać.

– To tylko przeczucie. Przepraszam, jeżeli to zbyt intymna sprawa. Nie powinnam była, proszę mi wybaczyć.

Wzruszył ramionami.

– Czy to coś zmienia?

– Uspokaja mnie, kiedy śpię w łóżku obok pańskiego, to wszystko.

Zajął miejsce w samochodzie, po czym skwitował:

– Dziś w nocy będzie pani spała jak niemowlę. Powodzenia, proszę na siebie uważać.

Teraz, parkując przed hotelem i nie dostrzegając nissana, Atticus miał nadzieję, że posłuchała jego ostatniej rady.

Nie znalazł jej w pokoju. Sprawdził godzinę. 22.30. To nie było normalne.

Poszedł zapytać w recepcji, czy ktoś ją widział albo czy zostawiła jakąś wiadomość, ale bez powodzenia. Gdy do niej zadzwonił, odezwała się poczta głosowa. *Niedobrze. Kompletnie niedobrze.*

Atticus zlustrował hol, potem parking, szukając najdrobniejszego znaku, czyjejś obecności, podejrzanego samochodu. Nic.

Powoli zaczął ulegać panice, ale zdołał się opanować. A jeżeli ją znaleźli? *W takim razie nie żyje...*

Tylko że nie było żadnego śladu. Poza tym Atticus nie bardzo mógł uwierzyć, żeby EneK pozwolił sobie na porwanie w biały dzień, tym bardziej w małym mieście, gdzie wszyscy wszystkich bezustannie obserwują. Tak blisko własnego centrum operacyjnego zapewne muszą zachować najdalej idącą dyskrecję.

Wskoczył do auta i ruszył z kopyta na zachód. Kat dokładnie opisała siedzibę i miejsce, w którym namierzyła metę. Kiedy natrafił na ubitą drogę, o której wspomniała, posuwał się naprzód powoli, z włączonymi światłami, aby nie wpaść do przylegającego do niej niewielkiego wąwozu.

Jakiś kilometr dalej natknął się na nissana.

Gdy tylko wysiadł, odruchowo sięgnął ręką z tyłu paska, gdzie zwykle znajdowała się kabura, ale przypomniał sobie, że nie zabrał broni. Niemożliwe w czasie lotu samolotem. Mógł liczyć wyłącznie na własne zmysły.

Wynajęty samochód był zamknięty. Pusty.

*Może zauważyła coś, co wymagało dłuższych oględzin...*

Atticus próbował się uspokoić, lecz sam nie wierzył, że nic się nie stało.

Poszperał w bagażniku swojego auta i wy dobył latarkę, którą kupił w Kansas City, następnie powiódł wokoło superpotężną wiązką światła. Nic tam nie było.

Potem przyjrzał się ziemi i dostrzegł świeże ślady opon. Posuwając się wzdłuż nich, odkrył, że nakładają się na te pozostawione przez nissana. *Pojazd, który przybył po Kat.*

Nie miał pewności, ze względu jednak na szerokość opon i rozstaw kół pomyślał, że samochód, który manewrował, aby wyjechać, mógł być pick-upem albo ciężarówką.

*Dorwali ją.*

Atticus poczuł pieczenie w przełyku i zakręciło mu się w głowie.

*Kat Kordell.*

Natychmiast odezwało się poczucie winy. Nie powinien był jej pozwolić samej podchodzić tak blisko. To była jego rola. Tylko że nie mógł być wszędzie, a Kat nie dałaby rady podjąć się tego, po co pojechał do Kansas City.

– Kat! – zawołał. – Kat!

Zbadał okoliczne poszycie i pokonał ten sam odcinek w szybszym tempie. Zaczynał panikować. *Nie ona. Nie w ten sposób...*

Biały blask latarki przecinał noc niczym ostrze i wytyczał szlak, odsłaniając korzenie, korę i wysokie trawy. Atticus mógł się tam zanurzyć, szukając jej, wątpił jednak w sens takiego posunięcia.

*To koniec. Już jej tu nie ma. Zabrali ją.*

Może jej szkielet leży w pokrzywach i mchu.

*Nie, przestań, ona nie umarła.*

Atticus z uporem parł do przodu i w końcu dostrzegł coś, co przypominało ślady po czyjejs obecności: podeptane liście, połamane gałęzie. Pognał dalej, mając za przewodnika snop światła. Odkrył serpentynę, którą trudno by było podążyć i która zmuszała go, by posuwał się powoli. Regularnie na całe gardło wykrzykiwał imię Kat, chociaż wiedział, że to na nic, lecz to było silniejsze od niego.

Na jego wołanie z wysokiego drzewa odpowiedziała sowa.

Atticus czuł się w ciemności, w środku tego bezkresnego lasu przeraźliwie samotny i bezbronny. Latarka tańczyła chybotliwie w mroku, zalewając swym blaskiem to, co przed nim, co za nim i co po bokach, Atticus czatował na jakąś wskazówkę, że jego partnerka tu była, im bardziej się wszakże zagłębiał, tym słabszą żywił nadzieję. Z kolei serce w jego piersi pęczyło, bijąc coraz mocniej, aż się niemal dusił.

*Tylko nie to... Tylko nie ona,* powtarzało z każdym uderzeniem.

Trudno się szło po śladach, często gubił trop, zmuszając się, by zawrócić i przyjrzeć im się na nowo. Mijały minuty, narastał chłód, zaś wszelka niewykrywalna fauna zaczynała zachowywać się coraz swobodniej, to potrącając jakiś krzak, to skacząc z gałęzi na gałąź za jego plecami albo nawołując się ostrymi wrzaskami. Atticus miewał chwile słabości, którą przeganiał machnięciem ręki, myśląc o Kat, o tym, że czas ucieka, że absolutnie musi stanąć na wysokości zadania.

Wołał jednak coraz rzadziej.

Nagle stąpnął na coś, co trzasnęło, na gąbczaste szczątki. W snopie światła ukazało się mnóstwo rozgniecionych owadów leżących na ziemi. Potrzebował długiego i głębokiego oddechu, żeby się uspokoić. Poszukał wokół i znalazł ich więcej.

Pomiażdżone zlepkki. Takie, jakie już widział na miejscu zbrodni Oscara Riotta.

*Biegła, podeptała je, bo były wszędzie...*

Kiedy Atticus pojął, co się stało, zawirowało mu w głowie, oparł dłonie na udach, by móc oddychać.

Po czym wrzasnął. Cała wściekłość, lęki, poczucie winy i frustracje przemieszały się w jednym ryku.

Cały las zamilkł.

Atticus tkwił tak z zaciśniętymi powiekami, twarzą wykrzywioną od emocji, niezdolny się wyprostować. Walczył ze sobą, by spojrzeć prawdzie w oczy. Brał pod uwagę wszelkie możliwe scenariusze, próbując sobie wmówić, że zdołała się wywinąć, ale nie był w stanie zaprzeczyć temu, co oczywiste. Samochód, który nie ruszył się z miejsca, żadnych wieści... Nikt nie mógł umknąć przed mackami EneKu.

Stopniowo nocne towarzystwo powypełzało ze swych nor, otrząsając się z osłupienia, a żywa i słyszalna, choć nadal niewidzialna przyroda obudziła się do życia.

Wtem Atticus poczuł przemożne pragnienie zemsty, popęd do zniszczenia. Nabrał ochoty, żeby natychmiast najechać na obóz, rozwalić ogrodzenia, wcisnąć gaz do dechy, rozpędzić się i rozbić wszystkie urządzenia w pył.

Pognał z powrotem w dół na złamanie karku.

*Najpierw zająć się szczątkami.*

Atticus rozejrzał się dokoła, popatrzył w głęboką czerń o różnych odcieniach. Zrezygnował. Nie mógł improwizować obławy w pojedynkę na tak rozległym terenie, nigdy w ten sposób jej nie odnajdzie.

*Kiedy wszystko się skończy, wrócę.*

Przyrzekł to sobie. Zapewnić jej pogrzeb. Był jej to winien.

Na razie należało ruszać, nie miał więcej czasu do stracenia. Bez pomocy Kat będzie musiał wszystko zrobić sam.

Nie pozwoli, by kolejna noc upłynęła beczynn timer.

Najpierw musiał się gdzieś schronić. Skoro EneK zlokalizował Kat, prawdopodobnie wiedzieli, że on też jest w okolicy i że nie ryzykują przecieku ze strony żadnego dziennikarza. Zdążyli przeprowadzić własne śledztwo, aby się upewnić, że Atticus nie ma żadnego dowodu ani nikogo nie zawiadomił. Powrót do hotelu zagrażał jego bezpieczeństwu.

Mógł się jeszcze zatrzymać w przydrożnym zajeździe dla kierowców i zapłacić gotówką. Na jedną noc by się udało. *Pod warunkiem że zaraz się pozbędę telefonu.*

Nie był gotowy, ale już postanowił. Rozpocznie operację nazajutrz skoro świt.

Rozważał swoje szanse na przeniknięcie do obozu bez wsparcia prywatnej detektyw. Dokładnie go poinstruowała. Wiedział, co robić.

Było to jedno szaleństwo więcej w królestwie obłąkanych.

Nie pierwsze.

Atticus modlił się, żeby się nie okazało ostatnie.

Galvin Hutchinson beknął, wydalając opary piwa.

Jego misja dobiegła końca, mógł zmykać do łóżka.

Ta dziwka siedziała mu na karku już od dawna! Teraz sprawa została załatwiona, a jemu ulżyło. Przyjmując tę robotę, nigdy by nie przypuszczał, że jakaś prywatna detektyw z Nowego Jorku trafi za nim aż tutaj. Spryciara jakich mało. W dodatku żadna z niej poczwara. Niezły kanał...

Właściwie godząc się na tę babraninę, pewnych rzeczy nigdy by nie był w stanie sobie nawet wyobrazić. Należała do nich zapłata. W rok odłożył więcej niż przez całe życie. A obiecane premie przekraczały wszelkie pojęcie!

W pełni na to zasłużył, biorąc pod uwagę to, co musiał wykonać, i poniesione ryzyko. Chociaż właściwie miał już na koncie parę przestępstw i wykroczeń, nigdy jednak nawet nie mógł marzyć o podobnych kwotach.

Nie przewidział także rozmiarów, jakie to wszystko przybierze. Kiedy zamknięto go tu na trzy miesiące z pięcioma innymi delikwentami, aby udoskonalali „techniki indoktrynacji”, wiedział, że zapuszcza się poza granice legalności, to stanowiło część wstępnego układu. Trzeba będzie przekroczyć czerwoną linię i to niejeden raz. Uprzedzono go, że poleje się krew, w końcu również po to został wybrany. Galvin nie bał się zabić. Świat to kłębowisko żmij, a żeby się nażreć, człowiek musi kąsać pierwszy. Ale od tego było jeszcze daleko do składania ofiar, musiał to przyznać, to odcisnęło na nim piętno. Nogi miał jak z waty, szczęka mu opadła, o mało nie złał się w gacie. On! Galvin Hutchinson! Ci goście nie żartowali, mówiąc, że szykuje się nowy porządek świata, a oni będą pełnić funkcję generalnych wykonawców. Galvin dostrzegł swoją szansę, by stać się jednym z wybrańców, i już choćby za to codziennie im dziękował.

No i jeszcze nauka sterowania insektami, uwielbiał to.

To uczucie całkowitej władzy, kiedy wyjmował ze skrzynek „Przewodniki” i wypuszczał wszystkie te żyjątka, po czym kierował nimi na odległość, aby oblepiały wszystko, co napotkają na swojej drodze, aż utworzą przerażającą masę. To mu sprawiało radość.

Władza nad życiem i śmiercią każdej istoty.

Był wybrańcem, powtarzano mu to w tych ścianach. Gdy świat ulegnie destrukcji, będzie należał do ostatnich ocalałych. Potem świat będzie trzeba odbudować, a on zostanie jednym z królów i będzie miał pod swymi rozkazami cały lud ocalałych.

Galvin nie mógł się doczekać. Nigdy nie wierzył w te kościelne brednie, a teraz roztaczano przed nim wizję zostania rzemieślnikiem apokalipsy, żywym bogiem...

Żałował tylko jednego: że nie będzie mógł sobie wybrać własnych ocalańców. Umieściłby na liście tę sukę Marcję, choćby po to, żeby ją sobie podporządkować, pieprzyć i łać do woli, przez wzgląd na stare, dobre czasy.

W kwestii ruchania w obozie panowały surowe zasady. Galvin i jemu podobni nie mogli bzykać, kogo chcieli, to było zabronione, zakaz klasy pierwszej, z rodzaju tych, które sprawiały, że człowiek wylatywał prosto do Ogrodu. A nikt nie pragnął skończyć w Ogrodzie. Nikt. Jeśli Galvin miał ochotę posiąść jakąś dziewczynę, musiał złożyć podanie i dopiero po uzyskaniu pozytywnej odpowiedzi mógł ją przelecieć. W tym momencie wykluczano ją z kampusu, oddzielano od reszty i zamykano w haremie szefów. Kolejny przywilej wybrańców.

Taa, przy tej robocie wyłaziła na wierzch najgorsza wersja człowieka, ale ta praca miała swoje plusy, powtarzał sobie często Galvin, chociaż chwilami ogarniał go strach. Było to uczucie, o którym nie lubił wspominać, wprawiało go w zakłopotanie, lecz musiał się przyznać bez bicia, że zdarzało mu się bać innych osób. Dowódców, pięciorga mężczyzn i kobiet, zimnych jak śmierć, bezlitosnych. Galvin nie lubił, kiedy patrzyli nań z pogardą. Raz podsłuchał dwójkę, jak szeptali między sobą – uważali się za nadludzi. Tylko tyle. Skurwysyny, ot co! Lepiej, żeby go nie wykiwali. Regularnie sprawdzał konto w banku, czy przypadkiem go nie orznęli. Tyle szmalu, z którym nie wiedział, co zrobić. Jak zostanie królem, to będzie jego kapitał na start. Bo bez względu na to, co twierdzili inni, on był przekonany, że hajs będzie miał znaczenie. Ludzie nie potrafią nic zrobić bez pieniędzy. Barter to prowizorka. Na swoich ziemiach Galvin ustanowi dolar jako królewską monetę. Właśnie tak to widział. On siedzący na tronie, a u jego stóp nagie dziewczyny, gotowe spełniać rozkazy.

Zbliżał się wielki dzień.

Galvin nie miał pojęcia, jak będzie dokładnie wyglądał. Wiedział tylko tyle, że z całej Ziemi nadciągną wszystkie owady świata i zaczną pożerać planetę, dopóki nie zostanie garstka ocalałych. Wystarczy kilka tysięcy, które podzieli się między wybrańców.

To będzie piekło. On znajdzie się pod ochroną, wszystko, co będzie musiał zrobić, to co dzień rano połknąć pigułkę, aby jego naturalne feromony przestały wydzielać cząsteczkę, która doprowadza do szału owady. Nie ominie to żadnej innej ludzkiej istoty. Wyjaśniono mu to szczegółowo, podpierając się liczbami, żeby bez przerwy to powtarzał swoim uczniom.

Każdy mężczyzna i kobieta tam, na zewnątrz, będą mieli na karku półtora miliarda tych cholernych robali. Każdy.

Galvin już przy dwóch komarach w swojej klitce nie potrafił zasnąć, wolał więc sobie nie wyobrażać, co mogłoby mu zrobić półtora miliarda owadów.

A to razy siedem miliardów.

Aż kręciło mu się od tego w głowie.

Ile to zajmie czasu? I jakie będą tego konsekwencje? Nie miał pojęcia, ale wiedział, że szefowie wszystko przygotowali. Będzie postępował ściśle według instrukcji.

Wyrzucił puszkę po piwie do kontenera przed budynkiem i otworzył elektroniczny zamek, przykładając kartę. Usłyszał odgłosy rozmów w pokojach.

Nazajutrz zbierze wszystkich swoich uczniów i zrobi rundkę po Ogrodzie. Dawno już nie mieli powtórki. Nie wątpić we władzę. Poddać się i przygotować. Żeby następnie móc dominować. Wykorzystać szansę, jaką otrzymali, niesłychany przywilej. Kiedy nadejdzie godzina apokalipsy, każde z nich dokona wyboru. Poświęcić się sprawie albo przetrwać i zostać baronem lub baronesą. Będzie tak wiele do odbudowania, Dzieciom Jana przydadzą się ochotnicy.

Owszem, nadeszła kolej na nich. Nazajutrz urządzi pokaz.

Galvin wykrzywił usta w złośliwym uśmiešku. Jego oczy koloru arktycznego błękitu rozbłysły.

On stanie u steru.

Właśnie dotarła świeża zwierzyna.

Prosto w paszczę lwa.



## 59.

Podskakiwał na każdym wyboju albo ostrym zakręcie. Atticus trzymał się ścian ciężarówki, pośród szerokich worków z bielizną.

Wspięcie się na pakę to była bułka z masłem. O szóstej rano czatował na załadunkowej rampie pralni przemysłowej. Formularze dostawy wisiały na ścianie, każdy kierowca podchodził po swój, Atticus musiał jedynie pilnować tego, który go interesował. Korzystając z chwili, gdy dostawca był zajęty podpisywaniem karty drogowej, Atticus wśliznął się na tył pojazdu.

Najtrudniejszą częścią zadania będzie wysiąść we właściwym momencie.

Jake objaśnił wcześniej Kat, w jaki sposób dość łatwo wymknął się z obozu wraz z Lorette, stosując tę samą metodę. Plan prywatnej detektyw działał świetnie. Pozostało mieć nadzieję, że ochrona na miejscu nie zauważyła luki i nie podwoi środków bezpieczeństwa, bo wtedy Atticus nie zdąży nawet dostać się do środka.

Teraz wszystko było jedynie kwestią improwizacji. W każdej chwili ktoś mógł go namierzyć. Zanim zdoła się zorientować w topografii i uzyskać dostęp do serca urządzeń, będzie mu potrzebne szczęście. Dużo szczęścia. Ale nie miał nic lepszego.

Atticus był fatalistą. Dotrzeć jak najdalej, aż do końca, o ile to możliwe.

Za każdym razem, gdy myślał o Kat Kordell, ścisnęło go w żołądku, a serce waliło mu jak młotem. Nie potrafił uwierzyć, że ona nie żyje, i zastanawiał się, czy nie istnieje choćby minimalna szansa, że jednak nie umarła, że po prostu porwali ją strażnicy Dzieci Jana, aby ją przesłuchać, a nie pożarły owady.

Pojazd zwolnił, charakter nawierzchni uległ zmianie.

*Wjeżdżamy w las. Jeszcze pięć minut i pojawi się ogrodzenie.*

Chwila prawdy.

Pierwsza z wielu.

Kiedy dotarli pod bramę obozu, zapiszczały hamulce. Atticus słyszał wymianę zdań między kierowcą i wartownikiem.

– Pranie, jak zwykle.

– Proszę jechać. Jak pan będzie wracał, proszę się zatrzymać na stanowisku po prawej na inspekcję, nie chcę blokować przejazdu.

– Tak jest.

Przynajmniej teraz wszystko było jasne: Atticus nie zdoła się stąd wydostać w ten sam sposób. Obawiali się raczej ucieczek niż tego, że ktoś się tu zakradnie. Kto okazałby się aż tak szalony, żeby odważyć się tu wjechać ukryty w workach z bielizną?

Ciężarówka pokonała jeszcze kilkaset metrów, po czym znieruchomiła. Silnik zgasł.

*Zaraz wszystko się rozstrzygnie.*

Tylne drzwi otworzyły się na oścież i dostawca złapał pierwszy pakunek, stękając z wysiłku. Ledwie się oddalił, Atticus wyłonił się ze swej kryjówki i przysunął do krawędzi.

Mężczyzna ciągnął towar w kierunku drzwi wiodących na niższy poziom długiego prostokątnego budynku. Towarzyszył mu strażnik w czarnym mundurze, aby odryglować zamek za pomocą karty magnetycznej.

Atticus zeskoczył w trawę i pomknął w stronę baraku, w którym mieścił się transformator, po czym przywarł do ściany.

Jeśli któraś z kamer była wycelowana w jego stronę i akurat w tym momencie jakiś żołnierz wpatrywał się w monitor, to już po nim, już zdążyli wszcząć alarm.

*No dalej, trochę wiary w swoją szczęśliwą gwiazdę. Na pewno są dziesiątki kamer, ale tylko jeden czy dwóch ochroniarzy. Panuje ruch, trzeba by mieć naprawdę pecha, żeby widzieli właściwy ekran we właściwej chwili.*

Dodawał sobie otuchy, jak mógł...

Pochylił głowę i rozejrzał się dokoła, żeby ocenić sytuację. To nie było zbyt skomplikowane. Kat naszkicowała mu wcześniej ogólny plan tego, co widziała, licząc, że tu wróci i poobserwuje ich ochronę. Na wspomnienie prywatnej detektyw Atticus zacisnął pięści.

Rozpoznał coś, co służyło jako mieszkania, wszystkie jednakowe – znajdował się akurat przy jednym z nich.

Rzut oka za siebie potwierdził obecność dwóch wysokich kominów.

Dymiło się z nich.

Atticus westchnął głęboko. Był zdenerwowany. Zerknął na nowy telefon komórkowy, który kupił poprzedniego dnia w Kansas City – musiał się pozbyć starego, aby nie posłużył EneKowi jako GPS do śledzenia go na odległość. Miał zasięg, ale nie internet. Tak jak doniosła mu Kat.

W oddali mniej więcej pół tuzina mężczyzn i kobiet opuściło sypialnię, aby udać się pod imponującą kopułę górującą nad halami. Na czele maszerował jakiś człowiek z identyfikatorem na szyi i wściekłą miną.

Atticusa nie wpuszczono by nigdzie bez przepustki. Każdy musiał tu nosić własną, poza tym przypuszczał, że istnieją różne poziomy dostępu. Najłatwiej by było ukraść identyfikator „zwykłemu” ochotnikowi, tylko że nie otworzyłyby przed nim wszystkich drzwi...

Atticus się nie zrażał. Przyglądał się wędrownikom dostawcy bielizny. Kiedy kierowca skończył wyładunek, pożegnał się z wartownikiem i wsiadł do auta, żeby odjechać.

Wartownik stał tyłem.

*Teraz albo nigdy.*

Serce waliło Atticusowi tak mocno, że o mało nie wyskoczyło z piersi, dłonie mu zwilgotniały, detektyw zwątpił, że to się uda. Facet nosił broń w kaburze na biodrze. Jeśli usłyszysz, że Atticus się zbliża, zastrzeli go natychmiast.

Zanim wahanie zdążyło go sparaliżować, gliniarz rzucił się niczym pantera na swą zdobycz pośrodku sawanny, z zaciętą, skupioną miną, głową wtuloną w ramiona, miękkimi, bezszelestnymi ruchami.

Chwycił wartownika za ramię i tył kamizelki, po czym posłuchał własnego instynktu: pewnie wykonać to, co umie robić najlepiej. Ruchy powtarzane tysiąc razy w szkole policyjnej, a potem w praktyce. Dźwignia, żeby unieruchomić podejrzanego.

Tylko że wartownik zaczął wierzgać i zamierzał krzyczeć.

Atticus zdołał go obezwładnić, wyprostowane ramię najemnika znalazło się z tyłu, wzięte w imadło, i siłą popchnął go ku schodom prowadzącym do budynku. Rąbnął jego głową o betonową rampę, żeby uniemożliwić mu wezwanie pomocy. Raz. Drugi. Potem jeszcze mocniej. Pod wpływem stresu Atticus dopuścił się dzikiej przemocy, aż ciało wartownika przestało stawiać jakikolwiek opór, a on osunął się na schody.

Twarz najemnika zalał szeroki strumień krwi.

Atticus dyszał.

To nie była pora na wyrzuty sumienia. Czym prędzej odebrał mu identyfikator, aby otworzyć drzwi do podziemi, chwycił go pod pachy i zawlókł do środka. Pospieszny rzut oka potwierdził istnienie pakamery, służącej wyłącznie jako dostęp do rur od ogrzewania, toteż idealnie się nadawała do ukrycia ciała. Przedtem jednak Atticus go rozebrał. Był przerażony na myśl, że w każdej chwili może się ktoś pojawić, przez co jego ruchy stawały się mniej pewne.

*Przystopuj, bo niczego nie osiągniesz.*

Popracował nad oddechem. Odrobina jogi nauczyła go, że wszystko bierze się właśnie stąd. Oddech powrócił do normalności, umysł powoli zaczął działać sprawniej.

Wartownik był od niego wyższy, toteż mundur nie bardzo pasował, ale po podwinięciu rękawów mogło ująć. Do za dużych o dwa numery butów Atticus włożył na swoje skarpetki te zabrane ofierze. Lepsze to niż nic. Jako broń służył mu glock. *Doskonale.* Łatwy w obsłudze. Z bliska nawet żółtodziób był w stanie trafić. Wsunął za pasek dodatkowy magazynek.

*Wykorzystasz go, żeby zabijać ludzkie istoty z zimną krwią?*

Nie. Nie byłby do tego zdolny. Użyłby go do podporządkowania sobie innych. Jako blefu. Pociągnięcie za spust byłoby ponad jego siły. Szczerze tak myślał. Nawet na terytorium wroga, w zagrożeniu życia nie negocjował wszystkiego, co uczyniło z niego glinę i pchnęło, by ryzykując życie, przybył tu w imię dobra, prawdy i sprawiedliwości.

Atticus skrępował wartownika naprędce sznurkiem, który się walał w szafce, i zakneblował szmatami. Paskudna otwarta rana biegła przez całe czoło aż do skroni. Atticus wątpił, żeby mężczyźnie udało się przeżyć, jeśli go tu zostawi, rozplątał mu przecież czaszkę.

*Nie miałeś wyboru. Już za późno, trzeba było o tym pomyśleć, zanim go trzasnąłeś!*

Nie powinien się bawić w litość, jeżeli sam chciał przeżyć. Tylko że to zdecydowanie nie leżało w jego naturze, wiedział, że nie da rady. *Do licha ciężkiego, skup się na tym, co najważniejsze!*

Wytarł ranę i czym prędzej obandażował, po czym zamknął drzwi.

Przed wyjściem zaczepił zausznik okularów przeciwsłonecznych z przodu munduru. Dopasował wszystko jak się dało, żeby wyglądać na odprężonego.

Na zewnątrz przysypał krew na schodach ziemią, a następnie odetchnął pełną piersią i ruszył przed siebie.

Z daleka był jednym z wielu strażników.

Sam zaczynał w to wierzyć.

Centralny budynek, okrągły i wysoki na ponad dwadzieścia metrów, znajdował się tak blisko przed nim, że pokonałby tę odległość sprintem.

Jeśli istniał jakiś główny punkt kontroli, mieścił się tutaj.

Atticus zmusił się, by zapanować nad lękiem, i udał w tym kierunku, starając się iść pewnym krokiem.

Wtem w górze rozległ się warkot helikoptera.

To była ta sama maszyna, która przetransportowała go do Edwina Kowalskiego.

Przy akompaniamencie ogłuszającego terkotu śmigła przechyliła się na bok i wylądowała na dachu głównego kompleksu.

*Ten świr tu jest.*

Atticus przyspieszył kroku.

## 60.

Następnym etapem po śmierci było zeszywnienie wszystkich mięśni. Ciało przestawało odpowiadać. Wysyłało jedynie do nerwów sygnały o bólu. Ukłucia, niczym igły powbijane w skórę wszędzie po trochu. Pulsowała każda rana, promieniując do kości, aż do obolałego mózgu.

Odzyskanie przytomności przypominało utopienie we wrzącej wodzie, z której wyciągają człowieka za włosy. Długi oddech, poparzone płuca, brak odwagi, żeby podnieść powieki, połączone z cierpieniem organizmu, dezorientacja, do przejścia tunel, wzdłuż którego zmysły pozostają splątane, jakby uległy zakłóceniu.

Na koniec przychodziła kolej na pamięć.

Tego, kim się jest, co się przeżyło, i ostatnich chwil.

Krzyk. Westchnienie. Panika. Żadnego punktu odniesienia.

Kat skuliła się z jękiem, tak gwałtowny wysiłek musiała bowiem wykonać. O mało znów nie straciła przytomności, na powierzchni utrzymała ją wściekła chęć życia.

Przypominała sobie okropieństwo ataku, owady na swoim ciele, wszędzie, rojące się, spragnione przebić skórę, poruszające się, żeby ją zadusić, użądlenia, ukąszenia, potem nicość. Przez krótką chwilę wydawało jej się, że odzyskała świadomość, miała wrażenie, że widziała jakiś cień, ludzki, że ją przewożono, rzucono ot tak, a potem zapadła ciemność.

Wszystko ją bolało. Palce wymacały brzuch upstrzony maleńkimi rankami. Również krostami, reakcją na użądlenia. Kłuło ją to, swędziało od stóp aż po uszy. To było nie do zniesienia.

*Ja żyję.*

Po pobieżnym samobadaniu, które potwierdziło, że wygląda nie najlepiej, ale szkody są powierzchowne, uniosła się powoli i usiadła.

Nadal znajdowała się w lesie.

Zostawili ją na miejscu.

Kat nie potrafiła pojąć. Oparła się o porośnięty mchem kamień i obserwowała.

Nie rozpoznawała krajobrazu widzianego za dnia.

Potem za roślinnością dostrzegła mury.

*Co to...*

Otaczały ją ze wszystkich stron.

Olbrzymia szklarnia. Wyrastała pośrodku całkowicie zrekonstruowanego fragmentu lasu, dość obszernego sztucznego biotopu, okolonego gładkimi metalowymi ścianami,

które tworzyły wysoką na co najmniej dwadzieścia metrów kopułę o całkowicie szklanym wierzchołku.

Kat zauważyła wysoko szerokie okna, idealne obserwatorium.

Teraz, gdy zupełnie odzyskała zmysły, zorientowała się, że aby las był prawdziwy, brakuje mu pewnej podstawowej rzeczy.

Dźwięku.

*Jest jeszcze cichszy niż ten wczorajszy, przed atakiem...*

Już na samą myśl dostała gęsiej skórki. Położyła dłoń na piersi, sądząc, że zaraz zwymiotuje, lecz mdłości minęły.

Nie było ani jednego zwierzęcia, ani jednego ptaka. Tylko drzewa, paprocie, chaszczce...

Bardziej odsłoniętą przestrzeń stanowiła ścieżka, na której właśnie się znajdowała. Wiodła do centrum instalacji, ku polanie, na której stały rzędem czarne skrzynki przypominające ule.

Wtedy do Kat dotarło.

*Jestem w ich magazynie. To tutaj przechowują te swoje paskudztwa.*

Zaraz dadzą ją owadom na pożarcie.

Po to ocalili ją poprzedniego wieczoru przed śmiercią, żeby zabić nazajutrz rano?

*Złożą mnie w ofierze. Będę przykładem.*

Kat chciała wstać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

Jęknęła z niezadowoleniem i już miała ponowić próbę, gdy wtem na samej górze, za oknami ujrzała jakiś ruch.

Przybywały Dzieci Jana.

Ceremonia mogła się rozpocząć.

– Nie, nie... – wymamrotała nerwowo Kat, ciągnąc się za ramiona, aby się dźwignąć.

Obserwowały ją rozpląszczone na szybach twarze pięciu, może sześciu osób, pozbawione wyrazu.

– Nie róbcie tego – szepnęła. – Błagam was, nie róbcie tego...

Noga. Chociaż zdrętwiała w kostce, Kat czuła stopę.

Po czym rozpoznała tego, który stanął na początku szeregu. Jego okrutny uśmiech, a zwłaszcza oczy.

Niewidzący wzrok. Lodowaty.

Galvin Hutchinson.

*Nie waż się tego robić, padalcu!*

Kat podwinęła drugą nogę i pchnęła. Powolutku dawała radę. Za chwilę wstanie.

Zerkała w górę spanikowana, aby sprawdzić, co knują.

Nagle wyłowiła spojrzeniem znajome rysy. Kobieta, młoda, kruczoczarne włosy, przygaszona smutkiem, przybita.

*Lena.*

Rozległo się mechaniczne szczęknięcie i rozsunęły się klapy.

Potwory zostały spuszczone z łańcucha.

## 61.

Karta otworzyła stalowe drzwi i Atticus wszedł do okrągłego budynku ze skuloną głową, aby kamery nie uchwyciły jego twarzy.

Z miejsca musiał się zmierzyć z poważniejszym problemem. Korytarze, schody, rozwidlenia.

Nie miał najmniejszego pojęcia, dokąd iść.

Granice improwizacji. Musiał odnaleźć serce instalacji, bo inaczej dotarł tu na próżno.

*I to szybko. Jak będę się za bardzo guzdrał, to mnie namierzą.*

Przestudiował wiszący na ścianie plan ewakuacji, aby się rozeznać w architekturze budynku. Na środku znajdowała się duża przestrzeń zajmująca dwie trzecie budowli, przypominająca wewnętrzny dziedziniec. Wokół kilka poziomów, wszędzie pokoje, ale bez oznaczeń, nie sposób odgadnąć cokolwiek więcej. *Zbliżyć się do szczytu, do jednej z tamtych alej na górze.* Tak czy inaczej, nie miał nic lepszego.

Pognał naprzód, pokonał stopnie i usłyszał, jak tuż nad nim otwierają się drzwi. Za późno, żeby się schować.

Pojawiło się dwóch mężczyzn, jeden w białym fartuchu, drugi normalnie ubrany. Ujrawszy jego mundur, potraktowali go jak powietrze.

To napełniło Atticusa otuchą. Może w końcu jednak mu się uda.

*Gdybym tylko znalazł centrum operacyjne albo coś w tym rodzaju.*

Wspiął się na czwarte piętro, najwyższe, i przyczajony przemierzył wąskie korytarze, szukając najmniejszej tabliczki, jakiegokolwiek drogowskazu. Wszędzie panowała czysta, kliniczna biel i śmierdząło środkiem do dezynfekcji. Zajrzał do kilku pomieszczeń, do pustej sali zebrań, już nieużywanego laboratorium, magazynu pełnego kartonów, ale nigdzie nie natknął się na nikogo. Zaczynał się zastanawiać, czy nie pomylił się, sądząc, że to stąd ktoś wszystkim steruje, kiedy na końcu długiego korytarza pojawiło się dwóch strażników w czerni.

Na ich widok nabrał pewności, że podstęp się nie powiedzie. Atticus pchnął pierwsze napotkane drzwi i znalazł się w pomieszczeniu typu *open space*, w którym stało jakieś dziesięć biur. Tym razem też ani żywego ducha.

Strażnicy byli coraz bliżej.

Atticus wyjął glocka. Jeżeli tu przyjdą, nie będzie miał wyboru.

Ich kroki rozbrzmiewały na linoleum.



Gliniarz wycelował w drzwi. *Tylko bądźcie posłuszni, chłopcy, nie zmuszajcie mnie do zrobienia czegoś, na co nie mam ochoty.*

Teraz, kiedy zmierzył się z sytuacją, nadeszła refleksja. Czy strach nie może go popchnąć do popełnienia czegoś nieodwracalnego? W obronie życia...

Atticus nie chciał się tego dowiedzieć.

Cienie minęły drzwi, nie zwalniając.

Oddalały się.

Atticus odetchnął.

Schował broń i rozejrzał się dokoła. Cała ta pusta infrastruktura, bez ani jednego pracownika, to było coś nieprawdopodobnego...

*Albo za bardzo się rozpędzili, albo wszystko skończone i są gotowi do ostatniej fazy.*

Wydawało się to logiczne. Przez wiele miesięcy były tu dziesiątki badaczy, z których każdy otrzymał określone zadanie, chociaż nikt tak naprawdę nie wiedział, czemu ta misja ma służyć, albowiem nie znał ogólnej wizji. Tych tutaj pewnie zwerbowano ze względu na ich wiedzę, prawdopodobnie w przeciwieństwie do Dzieci Jana to nie byli „ochotnicy”. Zatem osobnicy, których trudno skaptować do równie szalonej sprawy jak apokalipsa. Nie byli niczego świadomi. Po wykonaniu pracy podziękowano im albo odesłano ich gdzie indziej, aby zrobić miejsce dla wszystkich kandydatów do końca świata. Nie pakować wszystkich do jednego worka. Izolacja dla zachowania kontroli i tajemnicy.

Atticus na wszelki wypadek odczekał jeszcze minutę i wrócił na korytarz. O ile się zorientował, musiał on stanowić galerię, ciągnącą się wokół całej centralnej przestrzeni. Zgodnie z planem ewakuacji północna część prowadziła do szeregu przedsionków przed obszerniejszymi pomieszczeniami, czymś w rodzaju obserwatorium górującego nad wewnętrznym dziedzińcem, a na końcu znajdowało się coś, co było zapewne schodami na dach. Lądowisko dla helikoptera.

Edwin Kowalski musiał tu gdzieś być.

Atticus przyspieszył kroku. Oczywiście nie brakowało kamer, ale w ogólnym rozrachunku wewnątrz obiektu było słabiej strzeżone niż przestrzeń na zewnątrz. Modlił się, żeby przebranie wystarczyło i żeby na monitorach nie dało się go rozpoznać.

Skręcił i zwolnił. Znalazł się na miejscu. Rząd czarnych drzwi, wiele z nich wyposażonych w zamki elektroniczne. *Wzmocniona ochrona. To tutaj.*

Ruszył ku pierwszemu z nich i przyłożył kartę.

Zapaliło się czerwone światełko.

Nie posiadał wystarczającego dostępu. To potwierdziło jego przekonanie, że dotarł do celu. Spróbował z kolejnymi drzwiami, z tym samym rezultatem.

Naprzeciwno, w czymś, co musiało pełnić funkcję obserwatorium, usłyszał głosy.  
Nasilały się, zapewne trwała kłótnia. Jakiś mężczyzna wyszcze kiwał rozkazy.  
Potem już Atticus nie miał czasu, by dowiedzieć się więcej.  
Odezwał się alarm.  
Potężna syrena.  
Jego obecność wyszła na jaw.

## 62.

Biokopułę wypełniało narastające bzyczenie roju w locie.

Kat wiedziała, co zaraz nastąpi. Najpierw latające, najszybsze, kłusają całe ciało, aż nie da się wytrzymać, aż zaczną je połykać, aż zasłonią jej oczy, otoczą ją jak tornado skrzydeł i żadeł. Drugą ścianę tworzyły największe chrząszcze, spadające niczym żywe bombowce, skarabeusze i jelonki rogacze z otwartymi ogromnymi szczękami.

Potem pojawią się owady pełzające. Tysiące. Histeryczne pająki, nieugięte skorpiony, podstępne przybyszki i karaluchy, złośliwe pareczniki, a za nimi pasikoniki i świerszcze. Wszystkim będzie przyświecał tylko jeden cel: dopaść ją, wniknąć do środka, aby ją rozedrzeć i zjeść żywcem.

Najgorsza jednak będzie ostatnia fala. Ta, przed którą zbiegła w lesie poprzedniego dnia. Mrówki legionistki. Atticus wszystko jej o nich opowiedział. Po ich przejściu zostanie z niej sam szkielet.

Kat trzymała się prosto, przerażenie zaś sprawiło, że nogi odzyskały wigor. Z początku się potykała, później jednak udało jej się przyspieszyć. Posuwając się wzdłuż ścieżki, natrafiła na drzwi, mocne, z hartowanej stali. Rzuciła się na nie, pchnęła, lecz na próżno. Nie było żadnej klamki, tylko tabliczka magnetyczna, żeby przyłożyć do niej kartę. Zamek elektroniczny. Kat zabębniła w drzwi, po czym słysząc za plecami poruszającą się roślinność, wsunęła koniuszki palców w rowek pośrodku i pociągnęła ze wszystkich sił.

Wiedziała, jakie czeka ją cierpienie, jeśli nie zdoła się wydostać, i sama ta myśl doprowadzała ją niemal do obłędu bardziej niż to, że ją zabiją.

Kat krzyknęła ze złości i rozpacz, wyrwała sobie dwa paznokcie, raniąc się do krwi.

Przed oczami stanął jej magazyn wraz z kadzią. Teraz nadeszła jej kolej.

– Nie! Nie! – wrzasnęła.

Z tyłu paprocie zatańczyły pod dotykiem rozkołysanego i wygłodniałego dywanu, rozkiełznanego przez feromonowe wiadomości rozpuszczane wokół Kat.

Uzmysłowiwszy to sobie, przyjrzała się dokładnie ścianom, podłozie w nadziei, że natrafi na jakieś urządzenie, które mogłaby popsuć, by opóźnić sforę. Nic nie znalazła.

*Jak oni to robią? Musi być jakaś maszyna albo...*

Nie miała więcej czasu, zbliżały się, ścigały ją.

Kat pognęła na ścieżkę, ale na widok czarnej chmury, która wirowała, szukając jej, zmieniła kierunek, przeskoczyła przez krzaki, pomiędzy pniami, aż dobiegła do bardziej pustej przestrzeni, gdzie wdrapała się na przewrócony dębowy kłoc.

Na samej górze, za szybą wpatrywała się w nią mętным wzrokiem Lena.

– Lena! – zawołała Kat, nie wiedząc, czy ze swego punktu obserwacyjnego dziewczyna jest w stanie ją usłyszeć. – Błagam panią, Leno! Proszę mi pomóc!

Na dźwięk własnego imienia młoda kobieta drgnęła. Kilka razy zamruła, aby się upewnić, że nie śni. Kat nie dawała za wygraną:

– Leno Fowlings! Przysyła mnie pani matka! Annie!

Bzycząca horda zmieniła kurs. Namierzyła ją.

– Błagam panią, Leno! Niech pani im nie pozwoli się zniszczyć! Wiem, kim pani jest! Wiem, że nie jest pani kimś, kogo usiłują stworzyć! Proszę mi pomóc!

Kiedy pojawiły się pierwsze pszczoły, Kat odskoczyła, zadając na oślep ciosy. Pomknęła na polanę pośrodku.

– Spotkałam Cécile! – darła się na całe gardło. – Ashlee i Silas mówili mi o pani! I widziałam, co Galvin Hutchinson kazał pani zrobić Wenus! To nie jest prawdziwa pani, Leno!

W oddali młoda kobieta wpatrywała się w tę obcą istotę, która wymieniała imiona osób z jej życia, po czym odwróciła się do Galvina, który odpowiedział porywczo.

Pokaźny chrząszcz zajął pozycję tuż nad Kat, która dostrzegła delikatne srebrne refleksy na jego hebanowym pancerzu. Miniaturowe okablowanie.

Wówczas przypomniały jej się objaśnienia Atticusa. Impulsy elektryczne w układzie nerwowym i węzły nerwowe czy coś w tym rodzaju. Skarabeusz niósł na grzbiecie jakiś miedziany prostokąt wtopiony w oskórek chitynowy, skąd rozchodziły się druciki.

*Sterują nimi na odległość! To on rozpyla feromony! Właśnie wypuszcza je na mnie, żeby zwabić resztę.*

To był przewodnik. Pilot stada.

Kat ugięła nogi i dzięki mocy, jaką zapewniła jej adrenalina, udało jej się ściąć chrząszcza i posłać go na pniak.

Czyżby się uwolniła?

Zeskoczyła na ziemię i oddaliła się o dwadzieścia metrów, by to sprawdzić.

Bzycząca masa również skręciła i pogoniła za nią. Musiało być ich więcej. Kat rozglądała się bacznie dokoła w poszukiwaniu skarabeuszy cyborgów, ale właśnie zaczynały się zlatywać pszczoły.

– Lena! Błagam panią! Proszę pomyśleć o Tanie!

Buczenie się nasiliło i nagle Kat nie widziała już nic więcej. Obsiadły ją.

Szaleńczy wir się zacieśnił i poczuła pierwsze palące ukłucia na skórze.

Było już za późno. Na ziemi pojawiło się mnóstwo pełzających stworzeń, wszystkie rzuciły się na Kat spragnione mięsa, obmierzła fala, która chłostała ją po kostkach, po czym wdarła się pod cienki materiał ubrania.

I ruszyła do góry.  
Kat walczyła jak szalona.  
To była inwazja.  
Lena nie zareagowała.

## 63.

W obawie, że w korytarzu zaroi się błyskawicznie od szukających go strażników, Atticus jak gdyby nigdy nic wszedł do obserwatorium, gdzie właśnie wybuchła kłótnia. Liczył, że wykorzysta napięcie i dyskretnie się zakradnie.

Wewnątrz nadział się jednak na jakieś pół tuzina osób, ochotników z dzikim wyrazem twarzy, niezdecydowanych, czy mają patrzeć przez olbrzymią szybę, czy na poirytowaną mężczyznę. Tamten nimi dowodził, co do tego nie było cienia wątpliwości. Umieśniony szczupły blondyn wbił w Atticusa spojrzenie niewzruszonych bladoniebieskich oczu.

– Co to za burdel z tym alarmem? – ryknął.

– Ćwiczenia – zablefował Atticus, jednocześnie szukając wyjścia.

– Złap mi tę sukę – rozkazała mężczyzna gliniarzowi.

Wskazywał dziewczynę około dwudziestki, ze zrozpaczoną miną, o gotyckim wyglądzie, który jakby stracił na świeżości. Najwyraźniej przyczynę sprzeczki.

– Pożałujesz, że w kółko pyszczysz – pieklił się nadzorca. – Strażnik, brać mi tę małą kurewkę!

Atticus znalazł się w potrzasku. Musiał spełnić polecenie. Popatrzył na pozostałych: byli zakłopotani, nerwowi. Wszyscy podporządkowani władzy. Wtedy zrozumiał, że nie sprawią kłopotu.

Musiał czym prędzej podjąć decyzję i wcale nie miał pewności, czy dokonuje właściwego wyboru.

Podszedł do stojącej twarzą w twarz dwójki, lecz zamiast schwytać dziewczynę, poczęstował pięścią mężczyznę, a ten pod wpływem ciosu i zaskoczenia poleciał do tyłu.

Galvin Hutchinson, rozrabiaka, który nieraz zebrał po pysku, uczeplił się muru i zrobił unik przed kolejnym sierpowym, po czym odpowiedział uderzeniem prosto w żebra.

Atticus skulił się, jęcząc, i otrzymał fangę w kość jarzmową, od której aż zobaczył oślepiające gwiazdy. Zachwiał się i odruchowo sięgnął po broń, ale nie zdołał jej wyjąć, bo Galvin rzucił się na niego.

Obaj mężczyźni poturlali się po ziemi, gubiąc glocka, który znalazł się poza ich zasięgiem. Kopniaki, przyduszanie, napastnicy rozkręcali się coraz mocniej.

Z tyłu Lena otrząsnęła się z odrętwienia i chwyciła leżący na pulpicie tablet. Na ekranie widniały przyciski, kursory oznaczające poziomy, a także ikony joysticków.

Zaczęła bębnić po nim z zawrotną szybkością.

Galvin zdołał zyskać przewagę nad przeciwnikiem i usiadł na nim okrakiem. Zamierzył się, by rozkwasić Atticusowi nos, tamten jednak złapał go za jaja i mocno ścisnął, następnie udało mu się zepchnąć Galvina, który przewrócił się na bok, chcąc mu się wywinąć.

Obaj ciężko dyszeli, krew zalewała im oczy. Zwarli się w uścisku i runęli na szklaną ścianę. Osłupiałe Dzieci Jana przyglądały się całej scenie bez żadnej reakcji.

Galvin chwycił Atticusa za głowę, zamierzając roztrzaskać ją o rozbite szkło. Niemal dwadzieścia metrów niżej, w rozległym ogrodzie zimowym rozlegał się hałas i panowało w nim osobliwe poruszenie.

Atticus rąbnął rywala w skroń.

Rozwścieczony Galvin zaczął krzyczeć, czując, że coraz mocniej napiera na okno. Atticus wyraźnie usłyszał trzask pękającego dalej szkła. Zaraz przez nie przeleci, po drodze przecinając sobie żyłę szyjną.

Za plecami Galvina pojawił się jakiś cień i z całej siły rozwalił mu na głowie tablet. Mężczyzna został ogłuszony na tyle, by Atticus zdołał go odepchnąć.

Lena się cofała. Zmieniła się na twarzy. Wyswobodziła się.

Drzwi się otwarły i wpadło przez nie sześciu strażników w czarnych mundurach, zanim jednak Atticus zdążył doskoczyć do leżącej na ziemi broni, schwytali go i obezwładnili, nie dając mu żadnych szans na ucieczkę.

Tym razem to koniec, pomyślał Atticus.

## 64.

Żywy owadzi sarkofag rozszczepił się, po czym insekty rozpierzchły się równie szybko, jak wcześniej obsiadły Kat.

Oszołomiona Kat zastygła w bezruchu, pozwalając ostatnim maruderom po sobie biegać. Klęczała, wszechobecny, pulsujący ból pozwalał jej zachować przytomność, chociaż myślami była gdzie indziej.

Nie potrafiła pojąć.

Uniknęła odrażającej śmierci, z którą zdążyła się pogodzić, ustępując przed oczywistymi faktami. Po raz drugi. W jaką perwersyjną grę się z nią bawili? Ile razy każą jej znosić te męki, zanim pozwolą swoim stworom całkowicie ją pożreć?

Kat trwała tak przez kilka minut, będąc w stanie jedynie mrugać.

Odczuwała ból. Jego przyczynę stanowiły mikroskopijne ranki rozsiane po całym ciele i jej reakcja na wszystkie żądła, które utkwiły w skórze. Chociaż w porównaniu ze spustoszeniami w psychice to było nic. Właśnie niszczyli ją emocjonalnie, zdobycie władzy nad jej fizyczną powłoką to było dla nich za mało, musieli przedtem złamać jej duszę.

W Kat obudził się gniew, który narastał, zalewając ją potężną falą.

To wystarczyło, by z trudem wstała, otarła mokry woal z twarzy, krwawy całun. Podniosła wzrok ku obserwatorium.

Pusto.

Gdzie oni się podzieli? Dlaczego nie oglądali finału przedstawienia?

Teraz, po zastanowieniu, doszła do wniosku, że słyszała przenikliwe wycie, kiedy usiłowała daremnie umknąć drapieżcom. Czyżby alarm?

Pokuśtykała przez polanę, zdumiona, że już nie słyszy buczenia rojów ani przerażającego tupotu armii stworzeń. Wszystkie wróciły do swoich nor.

Czekają na kolejny sygnał.

Kat błędziła po ścieżce aż do drzwi, spodziewając się, że będzie musiała się wycofać.

Drzwi jednak były uchylone.

Serce podskoczyło jej do gardła.

Czyżby to była zasadzka? Ich kolejna okrutna gra, żeby znów dać jej nadzieję, a potem tym dotkliwiej ją upokorzyć?

Pociągnęła za skrzydło – jej paznokieć nadal tkwił w kauczukowej uszczelce – i jej oczom ukazał się nieskazitelny, biały korytarz.

Kat postąpiła ostrożnie krok do przodu, potem drugi. Nikogo.



*Co się stało?*

Czyżby to, co stworzyli, wymknęło im się i pustoszyło obóz? Nie, to było raczej mało prawdopodobne. A zatem co? Pożar? Nie widziała dymu i nie czuła smrodu... I dokąd ma pójść?

W oddali rozległy się kroki, ktoś się zbliżał.

Kat nie wiedziała, gdzie się schować, pod wpływem uczucia paniki na myśl, że tak prędko ją złapią, zastygła jak przygwożdżona i z zatrważającym żalem uznała, że nie ma innego wyjścia, jak wrócić do biokopuły i wtopić się w tło, dopóki kroki nie ucichną. *A jeśli zamkną drzwi? Nie, nie zniosę kolejnego ataku.*

Kroki były coraz bliżej.

Kat niechętnie zawróciła i całkiem odepchnęła drzwi, po czym skuliła się za kępą bambusa. Wbrew wszelkim oczekiwaniom kroki się nie oddaliły, przeciwnie, do szklarni weszły dwie osoby.

– Za kogo ty się uważasz, co? – zagrział męski głos. – Idiotka. Skoro chciałaś jej pomóc, to zaraz do niej dołączysz!

Kat wyciągnęła się dostatecznie mocno, by rozpoznać Galvina Hutchinsona i Lenę. Był obity i opuchnięty, Lena zaś miała ręce skrępowane z tyłu. Patrząc na jej wątłą sylwetkę trudno było sobie wyobrazić, że mogła go doprowadzić do tego stanu.

Lena potknęła się i poturlała po ziemi.

– Już ja cię nauczę moresu! – wykrzyknął Galwin, wymierzając jej kopniaka w zębra. – Sprawię sobie przyjemność, wiesz? Nie odmówię sobie niczego, będę się delectował, kiedy pożrą twoje gałki oczne, a ty będziesz wrzeszczeć z gębą pełną tego paskudztwa! Słyszysz? Nikt mi się nie sprzeciwia. Nikt! Ja jestem król Hutchinson!

Ryknął jak obłąkany. Postradał rozum. Kat nie miała pojęcia, czy to efekt planowanej od dawna destrukcji, czy skutki jego działalności tutaj, w tych murach. Wiedziała jednak, że zaraz odejdzie i zamknie drzwi, a one wpadną w pułapkę, przeznaczone na śmierć. *To się nie zacznie od nowa.* Kat nie zostanie pożarta. Nie. Wszystko, byleby nie poczuć po raz kolejny, jak tysiące ich nówek wędrują po jej ciele, jak ich szczęki przecinają skórę...

Podniosła zeszczyły pęd bambusa, wypróbowała jego twardość i wybrała ostrzejszy koniec. Kat nie analizowała już na chłodno sytuacji. Rządził nią instynkt przetrwania, podsycany najgroźniejszym typem energii: strachem.

Nie zastanawiając się dłużej, podeszła od tyłu do Galvina.

Psychopata usłyszał szelest kroków wśród liści w ostatniej chwili i odwrócił się do Kat.

Wyglądał, jakby nie wierzył własnym oczom, zdumienie przykuło go na moment do ziemi.

To wystarczyło, by Kat, z całą nagromadzoną w sobie wściekłością, wbiła pęd bambusa w brzuch swego oprawcy.

Bez skrupułów zanurzyła go w ciełe i obróciła, z zaciśniętymi zębami, z roziskrzonym wzrokiem, z rozszerzonymi nozdrzami.

Ośłupiały Galvin, z wykrzywioną przez histerię twarzą, usiłował jej dosięgnąć. Ponieważ miał za krótkie ręce, sam chwycił bambus i wepchnął jeszcze głębiej, aby się zbliżyć do Kat. Zamierzał zacisnąć palce wokół szyi napastniczki, ale ugryzła go w policzek aż do krwi. Następnie odepchnęła go gwałtownie, aż upadł.

W napadzie szału wywołanym przerażeniem, nienawiścią i furią Kat złapała za bambus i tym razem wbiła go padalcowi w pierś, aż wygiął się w łuk.

Z ust pociekła mu krew.

Bambus ponownie poszybował w górę i przedziurawił mu na wylot gardło, po czym utkwiał pod spodem, w ziemi.

Kat się cofnęła.

Galvin wydobył z siebie przeciągły skowyt i skonał, wpatrując się w nią z niedowierzaniem.

Kat trzęsła się na całym ciełe.

## 65.

Edwin Kowalski urządził swój gabinet na szczycie, nad szklarnią. Biuro przypominało miniaturowy batyskaf z zaokrąglonym nosem z plexi, z tą różnicą, że tutaj otwór wykonano pośrodku, aby wyposażyć je w balkon górujący nad biokopułą. Idealny cypel, żeby się napawać własnym dziełem.

W pokoju strażnicy posadzili Atticusa na krześle, zanim Edwin polecił im je umieścić na zewnątrz, na stalowym mostku. Wykonali rozkaz, usunąwszy zabezpieczenie umożliwiające otwarcie bariery, a zarazem ustawienie krzesła na samym końcu, bez żadnej poręczy. Atticus miał ręce związane na plecach opaską zaciskową i siedział tyłem do przepaści, w każdej chwili na rozkaz potentata mógł spaść w dół. Urządzenie było dopracowane – domyślił się, że nie zajmuje go jako pierwszy.

Dowódca najemników położył rzeczy Atticusa na stole, wewnątrz gabinetu.

– To wszystko, co miał przy sobie, kiedyśmy go zgarnęli.

– Niczego nie uszkodził?

– Nie, niczego.

– W porządku. Zostawcie nas.

Najwyraźniej polecenie zbiło mężczyznę z tropu.

– Chce pan z nim zostać sam?

Kowalski podniósł głowę i rzucił mu władcze spojrzenie, strażnik cofnął się więc i wyszedł wraz ze swymi ludźmi.

Miliarder oglądał uważnie należące do Atticusa przedmioty. Odsunął palcem glocka, okulary przeciwsłoneczne i komórkę, zaciekała go natomiast książka. Kieszonkowe wydanie *Odysei* Homera.

– Nie sądziłem, że czytuje pan mitologię grecką, detektywie – powiedział jak zwykle beznamiętnym tonem. – Dlaczego akurat ta książka?

– Proszę zapytać pańskiego żołnierza. Była w jego ciuchach, jak go załatwiłem.

Kowalski uniósł brwi i odwrócił się twarzą do więźnia.

– To było silniejsze od pana, prawda? – zapytał. – Mógł pan sobie żyć w spokoju u siebie, a jednak pan nie odpuścił. Byłem gotów o panu zapomnieć, Atticusie.

– Ja o panu nie.

Kowalski pokręcił głową zawiedziony.

– A tymczasem jest pan tutaj, ledwie łapiąc równowagę nad przepaścią.

Atticus czuł z cypla lekką bryzę. Powtarzał sobie, że to tak, jakby siedzieć na trampolinie, nic więcej, nie należy patrzeć w dół, a wszystko będzie dobrze. *Tyle że nie ma wody, która zamortyzowałaby upadek...*

– Przynajmniej sam pan wykona brudną robotę – odciął się gliniarz.

– Och, jestem człowiekiem, który odpowiada za swoje czyny. Tylko czy mam wybór? Zawsze byłem sam, wie pan? Jako dziecko, później nastolatek, głęboki samotnik. Nigdy się nie dowiedziałem, czy to odrzucenie przez innych uczyniło ze mnie mizantropa, czy już wcześniej nim byłem, miałem to w genach, i że robiłem wszystko, by sprowokować takie zachowanie. Pieniądze skazują na izolację, Atticusie, władza też, nie mówmy o tym. W gruncie rzeczy zrobiłem wszystko, żeby taki pozostać.

– Bo jest pan nadczłowiekiem? – odparł z ironią Atticus. – Bliźni nie zasługują na pana!

Na twarzy Kowalskiego malował się podziw.

– Nawet u progu śmierci znajduje pan siłę, żeby z tego drwić, brawo. Niewielu ma tyle odwagi.

– Mówi pan z własnego doświadczenia.

Sardoniczny uśmiech.

– Powiedzmy, że nie pan pierwszy siedzi dokładnie w tym miejscu – potwierdził. – Czasami trzeba było... przekonać opornych. Ale wracając do pańskiego pytania, nie, nie uważam się za lepszego.

– A to wszystko? Pański plan stworzenia nadludzi?

Kowalski powoli pokręcił głową. Wpatrywał się w Atticusa przez kilka długich sekund, oceniając go. Był inteligentny, zdawał sobie sprawę, że gliniarz skłania go do rozmowy, aby opóźnić nieuniknione. Postanowił zagrać w tę grę, lecz nie po to, by podarować mu parę minut życia, tylko ze względu na niego samego. Trafiła się zbyt piękna, zbyt rzadka okazja. Wyznał:

– Moja samotność jest tego rodzaju, że nikomu nie zwierzam się ze swoich przekonań. Nawet najbliższym współpracownikom. Nie zrozumieliby. Oni ciągle jeszcze wierzą w nadczłowieka.

Atticus się pogubił. Skoro Kowalski nie kieruje się zamysłem, by ofiarować ludzkości swoje ostateczne dokonanie, to dlaczego to wszystko robi?

– A pan nie?

Kowalski przyglądał mu się badawczo przez chwilę, po czym zdecydował się na tę wyjątkową dla siebie wymianę zdań, na podzielenie się własnymi myślami.

– Gdzie się podziała pańska przenikliwość, detektywie? To słodki sen, utopia dla filozofa. Jesteśmy i pozostaniemy na zawsze zwierzętami na różnym poziomie rozwoju, cywilizacji, ale mimo wszystko zwierzętami. Nadczłowiek to intelektualny

mit, może się zrodzić z naszych rąk, ale z pewnością nie może pochodzić z naszych jakże skłonnych do zepsucia ciał ani dusz. W istocie prawdziwy nadczłowiek nie jest niczym innym jak tylko maszyną.

– W takim razie... po co to wszystko?

– Ponieważ potrzebowałem pretekstu. Jak skupić wokół siebie żywe siły, zmotywować je, zindoktrynować, aby oddały wszystko, w największej tajemnicy, bez szlachetnego celu? Według pana wszyscy ci ludzie to potencjalni przestępcy, którzy zacierają ręce na myśl, że wyrządzą światu krzywdę? Bez przesady, to nie jest pana godne. Nie, nadczłowiek to ten, kto przewodzi moim oddziałom.

– A pan?

– Ja?

Stłumił parsknięcie.

– Chcę nam oddać przysługę – oświadczył po chwili milczenia. – Gatunek ludzki jest stracony. Indywidualnie nie jesteśmy zdolni do niezbędnych poświęceń, aby ocalić zbiorowość. Wręcz przeciwnie: nasz model wpada w coraz większy egoizm, wyścig po wygodę, po ciągle więcej... Planeta kona, a wkrótce lodowce na biegunach stopnieją pod wpływem naszych zanieczyszczeń, obszar lądów nadających się do zamieszkania drastycznie zmaleje, zmiany klimatyczne utrudnią uprawy i hodowlę. My zaś, istoty ludzkie, wśród których panuje przeludnienie, żeby przeżyć, będziemy prowadzić zaciekle wojny o najmniejszy skrawek ziemi pod szerokością geograficzną, gdzie da się oddychać. Promienie ultrafioletowe usmażą nas na wolnym ogniu, nowe wirusy uwolnione z lodu będą rozsiewać epidemie i powoli wyginieemy.

Atticus siłą skupiał uwagę na jego przemowie, byleby tylko nie myśleć o sobie, o pustce za plecami, po prostu chciał sprawić, żeby Kowalski mówił jak najdłużej.

– Mógłby pan poświęcić majątek na szukanie rozwiązań, zamiast na rezygnację.

– Zostawiam to innym miliardernom, którzy na próżno dwoją się i troją, marząc o lepszym świecie, za czym kryją się całkowicie megalomańskie intencje. I żadnemu z nich się nie udaje. Za późno, przekroczyliśmy punkt, od którego już nie ma odwrotu, trzeba myśleć trzeźwo. Właściwie ja jestem największym altruistą, troszczę się o cały nasz gatunek, a nie o samego siebie.

– To jest właśnie marzenie człowieka, który ma wszystko?

Magnat się skrzywił.

– Jak pan twierdzi, wszystkiego już dokonałem i nie mam pięćdziesięciu lat. Na co więcej mogę teraz liczyć? Na ckliwą iluzję w jednorazowej banalnej opowieści? Na przysporzenie światu potomków, którzy pewnego dnia będą cierpieć z powodu mojego egoizmu i prawdopodobnie umrą wraz z naszym modelem w pełnym rozkładzie? Że będę zarabiał ciągle więcej? Żeby co z tym zrobić? Mam wszystko, Atticusie. Wszystko.

I nie czerpię z tego zadowolenia. Ciągle jestem równie samotny, pozbawiony przyjemności. A próżna chwała, że trafię kiedyś do podręczników historii, mnie nie interesuje.

Atticusowi nie mieściło się to w głowie, nie mógł się powstrzymać od gorzkiego śmiechu.

– Kochać bliźniego? Uczynić świat lepszym? Mogę panu podsunąć pomysły, jeżeli pan chce...

– Czy pan nie słucha? Ja chcę oddać mojemu gatunkowi przysługę! Skrócić jego pobyt na Ziemi, zrobić miejsce, z pełną pokorą, i poświęcić cały mój sukces na to, żeby oszczędzić nam powolnej agonii. Czyż to nie jest deklaracja ostatecznej miłości? Sam też nie przetrwam, rozumie pan? Przygotowuję się do tego od lat, pogodziłem się z własną ofiarą!

Na krótką chwilę Atticus dostrzegł w postawie i spojrzeniu Edwina Kowalskiego namiastkę ludzkich uczuć. Zaczął się więc zastanawiać nad prawdziwymi motywami, jakimi się nieświadomie kierował. Czy strach przed śmiercią nie popychał go aby do tego, żeby wszystko przyspieszyć i całą cywilizację zabrać ze sobą? Umrzeć z całym światem, nie w pojedynkę. Po prostu żałosny facet przerażony własną ulotnością, ale z możliwościami boga.

Atticus pomyślał o sobie, o długich wieczornych godzinach zwątpienia, a także o krótkiej rozmowie z Kat, w barze, i serce mu się ścisnęło. W gruncie rzeczy byli straszliwie podobni.

Zmusił się, by powrócić do rzeczywistości, by znaleźć temat do dalszej dyskusji, żeby zyskać na czasie, żyć.

– I sądzi pan, że pańscy siepacze za panem pójdą?

– Proszę im pozwolić walczyć z własnymi nerwicami. Każdy ma swoje powody, żeby być wśród nas. A tym, którzy nie chcą się poświęcić, wydaje się, że jak połkną pigułkę, to ich ochroni... Naiwni. Ja nie chcę selekcji, detektywie, nie chcę ludzkości 2.0, która będzie niezmordowanie powielać te same błędy, nie, chcę wiecznego odpoczynku dla każdego.

– Robiąc z nas pokarm dla owadów... Cóż za godny koniec!

– One stanowią sedno życia na naszym globie. Moim zdaniem słuszne więc jest, żeby stały się narzędziem naszego zniszczenia, zanim wszystko rozpieprzymy. Ale jeśli potrafi pan docenić dramatyzm, dalszy ciąg się panu spodoba. Potajemnie zainwestowałem ogromne środki w sektor bankowy. Kiedy będziemy gotowi, Dzieci Jana wyruszą w cztery strony świata, aby dopełniło się ich przeznaczenie. Przekazą polecenia, aby moje ruchy na siedmiu największych giełdach światowych wywołały

załążek paniki. Biorąc pod uwagę kruchość międzynarodowej gospodarki, efekt będzie natychmiastowy. Rynki się załamają. To będzie początek. Siedem trąb apokalipsy.

Kowalski dodał z zadowoloną miną:

– Kiedy wszyscy będą się miotać, żeby uratować nędzne oszczędności, tkanka społeczna popęka ze strachu i frustracji, chaos udaremni jakąkolwiek operację koordynacji, wtedy moje satelity roześlą sygnał, aby wszystkie stanowiska gromadzące feromony otworzyły śluzy. Zainstalowałem je wszędzie. Dosłownie. Nasze laboratoria pracowały dwadzieścia cztery godziny na dobę, aby wyprodukować astronomiczne ilości feromonów. Rozsiejemy ich tyle, żeby wszelkie stworzenia oszalały, zgłodniały, dostały obłądu, obsesji na myśl, że mogą pożreć wszystko, co się da. Bo za sprawą moich feromonów nie będą w stanie się oprzeć naszemu ludzkiemu zapachowi. Zrobią z nas ofiary. Owady masowo powstaną, a wtedy nastąpi koniec. Nie zostanie nikt, żeby mnie osądzić ani mi podziękować, że tylko ja zdobyłem się na odwagę, że działałem, zamiast czekać.

– Palant – wyszeptał przez zęby, prawie niesłyszalnie gliniarz.

Nawet jeśli miliarder usłyszał, nie okazał najmniejszej urazy, i aż nazbyt uszczęśliwiony, że wreszcie znalazł rozmówcę na swoim poziomie, ciągnął:

– To wiecznie ta sama śpiewka, prawda? Każdy chce, ale nikt nie bierze na siebie odpowiedzialności. Wszyscy krytykują, ale nikt nic nie proponuje ani nie podejmuje działań. Wszyscy są gotowi wydawać wyroki, aż potrzeba ochotnika, który by przyjął rolę kata, ale nikt nie jest chętny.

– Z wyjątkiem psychopatów.

Edwinem Kowalskim wstrząsnęło coś w rodzaju zduszonego wewnętrznego śmiechu, który zdradziło nosowe gwizdnięcie.

– Płyniemy statkiem, który może pomieścić tylko dziesięć osób, a już nas jest piętnaścioro, w dodatku nadal się rozmnażamy. Ponieważ żyliśmy samolubnie, wkrótce trzeba będzie wyrzucić za burtę połowę pasażerów, ale nikt nie zechce tego zrobić, każdy będzie odwracał wzrok, tuląc do piersi własne dziecko i modląc się, żeby padło na sąsiada. A jeśli nikt nie wzniesie się ponad to, żeby odwalić brudną robotę, wtedy utoniemy wszyscy. Oto co się dzieje, Atticusie. Wojny, głód, choroby przez dziesiątki lat, a na koniec nasza zguba. Prędszej zerwę plaster raz na zawsze, zamiast działać powoli i niepotrzebnie cierpieć.

Pomimo więzów śledczy pochylił się możliwie jak najmocniej w przód.

– Całe szczęście, że pan tu jest, Edwinie.

Miliarder pozbył się resztek uprzejmości, a jego twarz, która rozjaśniła się nieco na czas wyznań, na powrót stężała.

– Chyba czas się pożegnać, Atticusie.

Kowalski obciągnął nieskazitelną marynarkę i z determinacją maszyny ruszył ku Atticusowi z zamiarem zepchnięcia krzesła w przepaść.



Telefon na stole zawibrował. Edwin Kowalski zignorował go i chwycił krzesło Atticusa za krawędź siedziska.

– Z przyjemnością przerwałem moją samotność na czas tej rozmowy, detektywie.

Atticus wymierzył mu kopniaka w kolano, a miliarder zachwiał się i przytrzymał poręczy.

Teraz źle patrzyło mu z oczu.

Wstał i poszedł po glocka, aby dokończyć robotę.

Wtem drzwi się otworzyły.

Atticus nie od razu rozpoznał wchodzącą kobietę o spuchniętej, pokrytej śladami po ukąszeniach skórze, z łomem w dłoni, gotową zrobić porządek.

*Kat!*

Za nią podążała Lena.

Kowalski był człowiekiem czynu. Pojawszy w lot, wycelował półautomat w Kat, która zatrzymała się sześć metrów od niego.

– Jeszcze jeden krok, a będzie pani martwa – zagroził. – Co pani tu robi?

Kat zamierzyła się łomem. Atticus wyczuł, że jest gotowa nim rzucić. *Nie rób tego.* Tamten odpowiedziałby natychmiast kulką albo i dwiema. Nie zdołałaby się wywinąć.

Kowalski przesunął się wzdłuż ściany z plexi aż do gabinetu i swobodną ręką nacisnął kilka klawiszy na telefonie. *Wzywa ochronę.*

Atticus pragnął wstać albo rzucić się do pokoju, aby mu przeszkodzić, ale był zbyt mocno skrępowany, toteż udało mu się tylko lekko poruszyć. Krzesło zadrżało i przez sekundę wydawało mu się, że naprawdę spadnie w przepaść.

Telefon komórkowy Atticusa ponownie zawibrował.

– Powinien pan odebrać – oznajmił Atticus pod adresem Kowalskiego. – To do pana.

Miliarder go zignorował.

Tymczasem tuż nad budynkiem przeleciał helikopter, aż zatrzęsły się mury.

*Dennis Wallen.*

Atticus z miejsca wyrobił sobie opinię na temat gliniarza z Wichity i się nie pomylił. Prawy człowiek.

Po raz pierwszy maska obojętności opadła, a Edwin Kowalski zaczął przełykać ślinę z niepokojem w oczach.

– Niech pan odbierze! – krzyknął Atticus.

To Lena wcisnęła guzik i włączyła tryb głośnomówiący.

– Hack? – zapytał Atticus. – Masz obrazy?

– Jesteście na linii od pół godziny, a bezpośredni podgląd śledzi jedenaście milionów, licznik nie przestaje bić.

Kowalski najwyraźniej tracił grunt pod nogami. Nagle pojął, co się dzieje, i otworzył księgę Homera. *Odyseję* wydrążono w środku i ukryto w niej czarną skrzynkę. Atticus go okłamał. Książka należała do niego.

– Nadajnik 4G hotspot – rzucił policjant. – Kamera znajduje się obok, w okularach przeciwsłonecznych. Proszę się uśmiechnąć, Mr Kowalski, teraz jest pan gwiazdą i już nigdy nie będzie pan sam.

Helikopter latał nad nimi, podwieszany sufit drżał.

Rozległ się rozkazujący głos Hacka:

– Niech pan przestanie robić z siebie idiotę na oczach całego świata, Kowalski, pożałuje pan tego. Niech pan odłoży broń. Cały obóz jest otoczony.

Telefon na biurku się rozdzwonił. Ochrona.

Z zewnątrz, z oddali dobiegły pierwsze dźwięki syren.

Kowalski posiniał. Spoglądał to na Kat, to na Atticusa.

– Istnieje wiele sposobów na koniec świata – oświadczył.

Po czym wycelował lufę we własną skroń i nacisnął spust, wywołując pióropusz światła i krwi.

## 67.

Dennis Wallen miał dwadzieścia dwa lata doświadczenia w policji w Wichicie i uczestniczył w zaskakujących czasem sprawach, siedząc w pierwszym rzędzie. Jeszcze nie należał do „starej wiary”, chociaż w pewnym stopniu czuł się już zblazowany.

Kiedy poprzedniego dnia Atticus Gore, gliniarz z Los Angeles, wpadł się z nim zobaczyć w drodze do Kansas City i domagał się najwyższej uwagi, zaintrygował Dennisa.

Gore go uprzedził: trudno będzie uwierzyć w to, co miał do powiedzenia, a jeśli tamten zdecyduje się mu pomóc, będzie musiał zachować ostrożność i nikomu nie ufać, a już na pewno pominąć zwykłą drogę służbową – nieważne, jakie czekają go sankcje. Następnie wszystko mu opowiedział. Wtedy do Dennisa Wallena dotarło, że jeszcze niejedno może go zdziwić.

Gore nie pominął niczego. Żadnego szczegółu. Zdradził również, na czym polega jego plan: kupić telefon na kartę, nie do namierzenia przez ekipy EneKu, i połączyć się ze swoim kolegą Hackiem. Nie mogąc zadzwonić bezpośrednio do jasnowłosego olbrzyma – Atticus obawiał się, że on także może być na podsłuchu – zrobi to przez jego żonę. Wątpił, żeby podsłuch obejmował również ją.

Od tej pory Hack miał za zadanie popędzić do Venice, odszukać Sama Trappiera i poprosić, by zajął się stroną informatyczną całej strategii. Trappier dowiedział już wcześniej, że nie cierpi technologii i wszystkiego, co się z nią wiąże, ale stosuje zasady sztuki wojennej Sun Tzu: poznaj swojego wroga. Atticus był więc przekonany, że stanie na wysokości zadania. Przygotuje interfejs, nie wzbudzając podejrzeń. Potężna dawka paranoi opakowana w wiedzę techniczną – jednym słowem cały Trappier.

W Kansas City Atticus kupił kamerę szpiegowską, którą znalazł w końcu w zakamuflowanej wersji w postaci okularów przeciwsłonecznych, i nadajnik 4G hotspot, ponieważ telefony nie łąpały internetu, prawdopodobnie z powodu obozowego zakłócacza. Nadajnik miał umożliwić ponowne rozesłanie sygnału wideo i audio przez sieć telefoniczną aż do Trappiera, któremu nie pozostało nic innego jak umieścić go bezpośrednio w sieci i sprawić, żeby wiadomość jak najszybciej się rozniosła.

Atticus poprosił Dennisa Wallena tylko o jedno: żeby się przygotował. Zmobilizował posiłki. Oficjalnie pod fałszywym pretekstem, który sam musiał wymyślić, tak by

wyglądał wiarygodnie. Jeśli jednak chciał mu pomóc, powinni być gotowi, gdy nadejdzie sygnał. Następnie Wallen miał zgromadzić swoje oddziały na drodze w pobliżu obozu Dzieci Jana i śledzić internet.

Jeśli plan Atticusa nie wypali, nic się nie stanie, a Wallen będzie się tylko gęsto tłumaczył zwierzchnikom, co go napadło, żeby wszczynać alarm na południu stanu, chociaż nikomu wcześniej o tym nie wspominał.

Lecz jeśli Kalifornijczyk mówił prawdę i dopnie swego, choćby jego pomysł był nie wiadomo jak szalony, wtedy Wallen zjawi się na miejscu pierwszy i będzie mógł mieć tę satysfakcję, żeby zaarrestować cały ten mały świat.

Historia była śmieszna, zalecenia Gore'a jeszcze bardziej, przede wszystkim jednak przypominało to kiepski western, w którym kawaleria wpada z pompą z jakiegoś mglistego powodu.

Tymczasem Dennis Wallen miał nosa do osaczania ludzi, a od razu widać, że ten cały Atticus Gore, bez względu na to, jak komicznie brzmi jego imię i nazwisko, jest absolutnie szczery. Kiedy więc zobaczył na własne oczy i usłyszał na własne uszy, bezpośrednio w telefonie, co też plecie Edwin Kowalski, od razu wiedział, że intuicja go nie zawiodła.

A poza tym Dennis, jako typowy mieszkaniec Kansas, zawsze uwielbiał westerny.

Kat Kordell leżała na noszach, czekając na transport karetką. Ratownicy medyczni uspokoili jej obawy co do stanu zdrowia, musiała jednak pojechać do szpitala w Wichicie na dokładniejsze badania i na opatrzenie licznych ran.

Atticus zjawił się biegiem. W całym zamieszaniu, jakie wybuchło po interwencji sił porządkowych, nie mógł jej zobaczyć. Dał sanitariuszom znak, żeby wstrzymali się na chwilę, i pochylił się nad nią.

– Dziękuję – powiedział, obdarzając ją swoim najszczerzym uśmiechem.

– To Lenie należą się podziękowania, to ona wspomniała o strażniku, który pobił się z Hutchinsonem, a którego nigdy wcześniej nie widziała, który mówił z akcentem z Zachodniego Wybrzeża, był nieogolony i miał wydatne usta. Zrozumiałam, że to musi być pan. Potem zaprowadziła mnie na górę.

– Naprawdę tak powiedziała: wydatne usta?

Pomimo bólu Kat zdołała odwzajemnić uśmiech.

– Gdzie ona jest? – zapytała.

– Z ludźmi Wallena. Zostanie przesłuchana jak wszyscy. Trzeba będzie wyjaśnić jej rolę od samego początku. Ale jestem pewien, że to, co zrobiła dla pani, okaże się okolicznością łagodzącą.

Przejąwszy kontrolę nad tabletem, Lena zahamowała atak owadów i odblokowała drzwi, ratując Kat przed potworną śmiercią.

Sanitariusz oświadczył, że pora jechać.

– Nie będzie pani dobrze sypiać w najbliższych tygodniach – rzekł Atticus. – Proszę uważać z tabletkami nasennymi i antydepresantami, a jeśli pani woli dla odmiany ponapawać się klimatem Los Angeles, będzie pani miała przewodnika. A poza tym mam raczej dobry gust muzyczny, jeżeli to panią kręci.

Mrugnął porozumiewawczo.

Chwyciła jego dłoń i ścisnęła.

Ponad nimi zleciały się pierwsze helikoptery stacji telewizyjnych i już nie byli w stanie się usłyszeć.

Atticus spacerował po plaży w Santa Monica, podwinąwszy nogawki dżinsów do pół łydki. Fala przyboju mroziła mu kostki z regularnością zegara, a on podziwiał cienie fok igrających w wodach Pacyfiku.

Towarzyszył mu Eli Hackenberg i jego żona Alicia, na piasku nieco z dala od wody bawiły się i śmiały ich dwie córki.

– Teraz jesteś sławny! – zażartował Hack. – Film miał ponad sto milionów wyświetleń. Wyobrażasz sobie? Starsza córka mówi, że do końca tygodnia będzie co najmniej trzy razy tyle. Skandal stulecia.

Posuwali się powoli, zamyśleni.

– Nie robi to na tobie wrażenia? – drążył jasnowłose olbrzym.

Atticus wzruszył ramionami.

– Nie zrobiłem tego dla popularności, chciałem tylko wywrzeć nacisk, żeby zmusić władze do działania.

– Coś takiego, dziewczynki chcą sobie zrobić z tobą selfie! Z zakały policji Los Angeles stałeś się ikoną! Zażądaj, czego tylko chcesz. Nawet przeniesienia do RHD!

– Raczej nie...

– W takim razie co będziesz robił?

– Nie wiem. Chyba to samo co przedtem. W sumie nie jesteś takim złym partnerem.

– Kurwa, mógłbyś wykorzystać sytuację, żyć jak pączek w maśle i...

– To nie w moim stylu, Hack. A poza tym śledztwo i proces potrwiają miesiące, nawet lata. Jeszcze nie skończyłem.

Milczeli przez chwilę, po czym Hack znów przypuścił atak.

– Masz jaja. Chciałem ci to powiedzieć. To nie tylko moje zdanie, inni na naszym komisariacie też tak uważają, nawet jeśli nie powiedzą tego głośno.

Atticus zmrużył oczy przed słońcem i nie odpowiedział.

– O czym myślisz?

Atticus długo się zastanawiał. Co tak naprawdę chodziło mu po głowie? Co kryło się pod pozorami, pod maską niepewności? Czy rozmyślał o tamtym strażniku, któremu rozwalił łeb o betonową rampę i który być może nigdy nie wybudzi się ze śpiączki? O wszystkich, którzy zginęli z powodu szaleństwa jednego człowieka? O wystrzale, który pozwolił temu tchórzowi Edwinowi Kowalskiemu na zawsze uciec? Sam nie wiedział. Świat przyprawiał go o zawrót głowy, jak tylko zaczynał o nim myśleć na poważnie. Jak dla niego wszystko pędziło zbyt szybko. Technologia, mody, kasa,

władza, głupota... Mężczyźni i kobiety, o których nikt nic nie wiedział, raptem w ciągu dziesięciu czy piętnastu lat potrafili się dorobić majątków, wpływać na nasze zwyczaje, a nawet je dyktować, obwieszczając się panami świata bez żadnych zahamowań.

Atticus postrzegał ludzkość jako pełną podziemnych sił, zdolną jednoczyć większość i pobudzać prądy nośne, wspólne, nieświadome potrzeby, dostosowując się nieustannie, by zachować równowagę. Właśnie ta zasada kierowała naszym gatunkiem przez dwa ostatnie stulecia, podczas gdy ujednolicały nas industrializacja i globalizacja.

Teraz Atticus rozważał, czy te masowe ruchy nie przyjęły po prostu roli wabików. Przestały stanowić owoc naszej ewolucji, lecz były obecnie produkowane i kształtowane przez pragnienie garstki przywódców, którzy urabiali świat według własnych żądz. Miliarderów, potrafiących określić, jakie będą nasze jutrzejsze potrzeby, zachowania, abyśmy stali się przewidywalni, plastyczni. Abyśmy byli idealnym narzędziem dla ich imperiów.

*Słowa Samuela Trappiera przez chwilę miały na mnie wpływ, przemknęło mu przez głowę, gdy obserwował, jak foki ślizgają się na falach.*

– O niczym, Hack, nie myślę o niczym.

Po powrocie do Silver Lake Atticus pootwierał wszystkie okna w swym małym domu, aby pooddychać. Pragnął nasiąknąć świeżością, zapachem rosnących wokół kwiatów i drzew. Zachód słońca przypominał mu ten cudowny, wcześniejszy, w Carson Mills. Już tamtego wieczoru jakaś jego część wiedziała, że wkracza na niebezpieczną ścieżkę i być może po raz ostatni napawa się widowiskiem zmierzchu. Czyż to nie ulotność sprawia, że rzeczy stają się jeszcze bardziej upragnione i nabierają intensywności? Pewniki, zdobyta wiedza, rutyna, to wszystko nie była jego bajka.

Atticus podszedł do regałów z płytami CD i wyjął tę, która od razu rzuciła mu się w oczy.

Zadzwońska komórka, rozpoznał numer. Atticus zostawił mu wcześniej, w ciągu popołudnia, wiadomość. Jemu i pozostałej trójce, jakby wrzucał do morza listy w butelkach. Nieważne, który z nich, byleby oddzwonił. Atticus stwierdził, że jest żaloszny, i ogarnął go smutek. Dlaczego z uporem brnął w ten schemat? Istniały przecież inne rozwiązania, na ulicach roiło się od istnień gotowych go zaskoczyć, ponieść...

Zajrzał do portfela: miał gotówkę, spory zapas.

Kupował swoje ulotne szczęście. Wraz ze spokojem.

*I samotnością.*

Edwin Kowalski też zawsze miał ją za towarzyszkę, tak twierdził.

W tej chwili Atticus pojął, że jego ponury nastrój, ciężar, od którego nie jest w stanie się uwolnić, to skutek przemowy miliardera i odciśniętego przez nią piętna.

O ile jego lekarstwo było nie do przyjęcia, o tyle w samej diagnozie tkwiło sporo prawdy.

Atticus przyglądał się domom w dole i na przeciwległym wzgórzu. Lśniły światła, a w oddali zapalało się wiele następnych, ledwie dostrzegalnych, w miarę jak ludzkość odgrywała swą partię z beztroską i egoizmem, które doprowadzą ją do zguby.

Wziął komórkę i wysłał SMS-a. „U mnie za godzinę”.

Po czym nastawił płytę winylową.

Entombed, *Left Hand Path*.

Muzyka się rozpętała. Przepelniona złością i melancholią.



Kiedy Annie witała się z Leną, Kat trzymała się na uboczu. Widziała, że matka nie ma odwagi wziąć córki w ramiona, lęka się jej reakcji, ale w końcu jej serce rozbiło w puch wszelki opór i przytuliła ją do siebie mocno, z płaczem. Kat nigdy jeszcze nie widziała jej tak ludzkiej. Lena nie protestowała, choć nie okazała ani krzty wylewności, lecz pozostała przy matce, gdy się rozdzieliły, by na siebie popatrzeć.

Kat wymknęła się dyskretnie, ciąg dalszy już do niej nie należał.

Dla Leny Fowlings kłopoty prawne dopiero się zaczynały, lecz przynajmniej miała czekać na proces na wolności.

Kat wróciła na Brooklyn taksówką. Nie chciała, by pasażerowie w metrze rzucali na jej zapuchniętą, czerwoną i pocętkowaną twarz zakłopotane spojrzenia. Lekarze oznajmili, że dopiero po dziesięciu dniach odzyska normalny wygląd. Kat odparła żartobliwie, że przynajmniej od teraz już nie potrzebuje botoksu, a oni się roześmiali. Tymczasem w środku ciągle się trzęsła.

Nie umiała zasnąć bez lampki, a tym bardziej bez odrobiny chemii, która przegoniłaby koszmary.

Paraliżował ją widok najmniejszej muszki.

*Potrzeba czasu, wszystko się ułoży, musisz tylko być silna i cierpliwa.*

Zaraz po powrocie do Nowego Jorku, gdy zadzwoniła do Mitcha i wszystko mu opowiedziała, natychmiast zjawił się przy jej łóżku. Co noc spał obok niej. Jego obecność i troskliwość działały na nią kojąco.

Nigdy dotąd nie zastanawiała się tak intensywnie nad tchórzostwem, którego dowodziła w relacji z nim. Lubiła go, był wygodny.

Ich związek stał w miejscu. Czy takie właśnie miała ambicje na resztę swoich dni?

*Większość ludzi żyje w ten sposób, bo tak jest łatwiej, z przyzwyczajenia.*

Gdyby wszyscy zadowalali się taką namiastką życia...

Arterie Manhattanu zalewały olbrzymie banery reklamowe, niemal przyćmiewając słońce i rzucając wyzwanie populacji, że ma w ręku zbyt mało, że celem jej istnienia jest posiadanie, że określa się poprzez własną konsumpcję. Na bulwarach roiło się od tłumnej fauny, zaopatrzonej albo spragnionej zaopatrzenia. Po prostu rozwinięte owady, stwierdziła Kat z goryczą. Poświęcające się świętemu kultowi konsumpcjonizmu. Dokąd ich to zaprowadzi?

Południowy kraniec wyspy dołożył jeszcze do tego braku umiaru zimne budynki banków, niczym donżony z kamienia i szkła, w których uwięziono krew cywilizacji.

– Właściwie proszę mnie wysadzić tutaj – poleciła Kat.

Odetchnęła pełną piersią południowym wiatrem z kropelkami wody i ruszyła w stronę Mostu Brooklyńskiego. Przemierzyła go w swoim tempie. Mijała gapiów i zakochanych, idących ręka w rękę.

Kiedy dostrzegła czarną wodę poniżej, dopadła ją przerażająca pokusa. Wolała więc się nie zatrzymywać, nie stawiać jej czoła. Już wiedziała, że drzemią w niej popędy do zadawania śmierci, które ją przerastały. Oczyma duszy znów ujrzała, jak wbija broń w ciało Galvina Hutchinsona, mocniej i mocniej, aż wyzionął ducha, w połowie tonąc we własnej krwi. Była do tego zdolna. Wątpliwości, niepokoje, wielkie pytania – Kat nie przestawało dręczyć to, co przeżyła tam, w Kansas.

Strach przeminie. Lecz nie jego głęboka natura.

Jeszcze nie dotarła do końca mostu, a już wyjęła telefon. To było idiotyczne, ale wydawało jej się, że w tym momencie może ją zrozumieć tylko jedna osoba.

Atticus odebrał od razu.

– Długo pani z tym zwlekała – powiedział z wyrzutem, chociaż wcale nie miał pretensji.

– Z czym? Żeby się odezwać?

– Myślałem, że porozmawiamy wcześniej.

Kat nawet nie wiedziała, dlaczego w ogóle zadzwoniła, nie była pewna, czy może z nim cokolwiek dzielić.

– Co pan robi? – zapytała.

– Czekam na kogoś.

– Kogoś ważnego?

Atticus sapnął do słuchawki, wążąc odpowiedź.

– Niestety nie.

– Nasza zdolność do narzucania sobie czegoś, co niekoniecznie okazuje się dla nas najlepsze, jest zadziwiająca, nie sądzi pan?

Nie odpowiedział.

– Jest pani w stanie teraz zasnąć? – chciał wiedzieć.

– Jak nie słucham pańskiej rady, to tak.

– Rozumiem.

Głos Atticusa brzmiał ciepło. Kojąco.

– Gdybym była w Kalifornii, wystawiłby pan go dla mnie do wiatru?

– Nie zaspokajalibyście tych samych potrzeb.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Atticus parsknął śmiechem.

– Tak. Dla pani tak.

Niewiele myśląc, Kat zapytała:

– Jak pan sądzi, są jakieś loty do Los Angeles o tej porze?

– W mieście, które nigdy nie śpi? Jeśli to się może sprzedać, to tak, jestem tego pewien.

Nastała długa cisza pełna uderzeń serca, wahania, powolnych oddechów. Po czym Kat rzekła:

– Lecę.

# Podziękowania

Niech sceptycy, którzy uważają, że przesłanie tej powieści za mocno trąci science fiction, pozwolą mi wymienić trzy przykłady spośród wielu innych, które miałem okazję odkryć, przygotowując tę książkę.

W 2007 roku DARPA (Agencja Zaawansowanych Projektów Badawczych w Obszarze Obronności) przyznała, że pracowała nad owadami, które miała kontrolować na odległość, konkretnie umieszczając chipy w larwach motyli. Celem było uzyskanie całkowitej kontroli nad stworzeniem. DARPA działa na ogół w jak największej tajemnicy, toteż nie przeciekła żadna informacja więcej.

W 2008 roku uniwersytet w Michigan na jednej z konferencji zaprezentował skarabeusza cyborga, który był sercem projektu MEMS, *Micro Electro Mechanical Systems* (mikrosystemy elektromechaniczne). Wszczepiono chrząszczom miniaturowe elektrody, aby móc nimi sterować. Już wtedy udało się sprawić, że latały zygzakiem i w kółko. Później dowiedzieliśmy się, że projekt w całości sfinansowała... DARPA, pod nazwą Hi-MEMS, dla *Hybrid Insect MEMS*.

Było to ponad dziesięć lat temu... Wyobraźcie sobie, jakich postępów dokonano od tamtego czasu.

Dość niedawno przecieki pozwoliły się dowiedzieć, że Pentagon przygotowuje owady genetycznie modyfikowane, co w końcu potwierdził. Program trwa.

A zatem science fiction?

Niekiedy surrealistyczne miejsca, które opisuję w powieści, istnieją rzeczywiście. Skid Row i jego namiotowe miasteczko, The Hole i jej kury w środku Nowego Jorku. Chciałem, byście się zanurzyli w tych światach, czasami także zadawali sobie pytania.

To jest fikcja, ale karmi się rzeczywistością, niekiedy ponurą.

Skoro już mowa o rzeczywistości, wiedźcie, że na komisariacie w Hollywood nie ma już wydziału zabójstw, przy reorganizacji kilka lat temu wcielono go do innych służb. Wolałem włączyć moich bohaterów do żywszego, skromniejszego komisariatu podzielonego na sektory i zachować ducha Hollywood. Nazwijcie to licencją powieściową!

Z kolei Carson Mills w całości powstał w mojej wyobraźni. To teren gry należący wyłącznie do mnie.

Zdanie, które Lena kazała sobie wytatuować na plecach w rozdziale 16, pochodzi z Kerouaca, z *W drodze*.

Moi przyjaciele są jak liście drzewa, zbierają wodę, chwytają słońce, ja zaś na końcu wydziobuję to, co mi dadzą. Dziękuję, że zawsze tu jesteście, moje opowieści karmią się także naszym wzajemnym zaufaniem, rozmowami i zwierzeniami.

Dziękuję tym, z którymi widuję się zaledwie przez parę godzin, a którzy odpowiadają na moje dziwaczne (jakże często niepokojące!) pytania.

Dzięki ci, Charles, brachu z LA, amerykańska skarbnico wiedzy i skarbnico serca!

Przyjęcie przez policjantów z Los Angeles było wspaniałe. Pragnę im podziękować za profesjonalizm, sympatię i jakże rzadką chęć dzielenia się. Mam na myśli zwłaszcza kapitana Cory'ego Palkę, który jeszcze do niedawna królował na komisariacie w Hollywood. Wielkie dzięki dla Jamesa Dicksona za poświęcony mi czas, którego często nadal mi nie szczędzi, zawsze skory odpowiedzieć na moje najbardziej drobiazgowo pytania! Szczodrość i akuratność to jego zalety.

Pragnę również pozdrowić wszystkie zespoły mojego wydawcy Albin Michel, które pracują w cieniu, aby zbudować most między mną a wami, czytelnicy. Ja przedstawiam pomysły, ale udana koncepcja moich książek to ich zasługa! Należą im się podziękowania. Na pierwszym miejscu Richardowi i Caroline, na których mogę liczyć przy najmniejszych wątpliwościach. Wydawca takiej klasy jest na wagę złota.

Nie byłbym w stanie wydobyć na wierzch opowieści, które buzują mi pod czaszką, gdybym nie miał kochającej i wyrozumiałej rodziny. Abbie, Peter, dziękuję za poświęcony czas. Faustine, jesteś moją Gwiazdą Polarną, tą, która świeci najjaśniej, na którą mogę liczyć i dzięki której nigdy się nie zgubię. Kocham was.

Cichy głosik, który szepcze mi różne opowieści, podsuwa mi, że ma w zanadru co najmniej jeszcze jedną z udziałem Atticusa Gore'a. Mam nadzieję, że go polubiliście, kiedyś jeszcze powróci.

Ostatnie słowo na temat owadów i stawonogów, jeśli pozwolicie. Nie przydzielam im w książce pozytywnej roli – dla pisarza, który lubi się bawić naszymi lękami, pokusa była zbyt wielka. Zachęcam was jednak do poszukania informacji o tym cudownym świecie małych żyjątek, owadów i ich „kuzynów” pajęczaków, pareczników itd. Ponieważ z roku na rok niestety ich biomasa stale się kurczy. Oczywiście za to programowe wyginięcie odpowiada głównie człowiek. Rezultat owego „ekologicznego armagedonu”, jak nazywają go niektórzy naukowcy, dostarczyłby piękny temat na powieść grozy o planecie, gdzie nie ma już życia dla naszego gatunku, tylko że jeśli nie zwolnimy tempa, to wcale nie będzie fikcja. Przekonamy się...

Przy okazji otwórzcie stronę w internecie albo w książce na temat tego fascynującego świata małych stworzeń i nie zapominajcie, co opowiada się dzieciom: nie należy się bać, przecież to nie małe zwierzę zje to duże! Cóż... To była prawda aż do tej powieści.

Zapraszam więc do dyskusji na Twitterze: @ChattamMaxime.

Maxime Chattam  
Edgecombe, 13 lipca 2019 roku

- 
- <sup>1</sup> Tłumaczył Waclaw Berent.
- <sup>2</sup> National Crime Information Center: baza oficjalnych danych statystycznych na temat zbrodni popełnionych w Stanach Zjednoczonych.
- <sup>3</sup> Network Communications System: program używany przez policję Los Angeles, umożliwiający dostęp do wszystkich kartotek cyfrowych na temat notowanych osób.
- <sup>4</sup> W amerykańskiej nomenklaturze osoba o nieustalonej tożsamości, N.N.
- <sup>5</sup> Apokalipsa św. Jana, 20,1, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Przegląd Reader's Digest, Wydawnictwo Pallottinum, Warszawa–Poznań, 2000.
- <sup>6</sup> Jack Kerouac, *W drodze*, w przekładzie Anny Kołyszko.
- <sup>7</sup> Robbery-Homicide Division – Wydział Rozbojów i Zabójstw, zajmujący się najpoważniejszymi sprawami kryminalnymi i delikatnymi przypadkami w Los Angeles.
- <sup>8</sup> Amerykańskie prawo jazdy ma określoną ważność i należy je odnawiać w wyznaczonym terminie – w stanie Nowy Jork co osiem lat.